PRZEGLĄD POWSZECHNY.

PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO". *Ps. 143.*

ROK TRZYDZIESTY SIÓDMY. — TOM 145 i 146.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC, KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1920.

KRAKÓW.
CZCIONKAMI DRUKARNI »CZASU« — 1920.

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Manowce chorobliwego mistycyzmu.

Jako naród katolicki, Polacy odznaczali się dużą trzeźwością religijną. Znajdując w nauce swego Kościoła pokarm duchowy obfity a zdrowy, a w praktykach pobożnych zaspokojenie swego religijnego uczucia, Polacy nie odczuwali potrzeby szukania pobocznych ścieżek do prawdy, ani kłaniania się obcym bogom. Jakże dodatnio pod tym względem wyróżnialiśmy się od naszych wschodnich sąsiadów, Rosjan, wśród których od kilkuset lat rodzą się, jak grzyby po deszczu, najróżnorodniejszych i najdziwaczniejszych typów sekty i zabobony! A nawet wyróżnialiśmy się na lepsze od ludów zachodnich, gdzie protestantyzm ze swą zasadą prywatnego wykładu Pisma i indywidualnych wewnętrznych świadectw Ducha Św. o posiadaniu prawdy przedstawiał podatną glebę dla rozmaitych pseudomistyków i illuminatów w rodzaju Böhme'go i Swedenborga, albo Kwakrów i Mormonów.

Nie możemy atoli powiedzieć, żeśmy zdołali zupełnie uchronić się od pseudo-mistycyzmu, zwłaszcza w okresie romantyzmu i w ostatnich dwóch dziesiątkach lat. W roku 1842 wystąpił na paryskim bruku w roli proroka, mającego zapoczątkować nową epokę świata, Andrzej Towiański i powiodło mu się znaleźć wiarę i posłuch nawet u najlepszych synów Polski, Mickiewicza i Słowackiego. Nowa epoka, jak ją »mistrz« pojmował, dotąd nie nastąpiła, mimo to kółko jego zwolenników wciąż wegetuje, zaczadzając swym członkom głowy oparami niezdrowego mistycyzmu[1]). — Nie gdzieindziej,

[1]) Apostołem »towianizmu« w naszych czasach jest niejaki p. Wacław Muttermilch, występujący niekiedy pod pseudonimem »Bojomira«. Próbuje on rozszerzać ideje Towiańskiego w pismach, które coraz to pod nowemi tytułami zakłada. W Krakowie wydał pięć numerów »Logosu«, w Warszawie niedawno zapalił »Pochodnię«, a gdy ta niebawem

jak w kraju naszym, byliśmy świadkami zbałamucenia dziesiątków tysięcy naszego ludu pod wodzą kilkudziesięciu księży, którzy dali się omamić matce Kozłowskiej i na jej zapewnienie uwierzyli w jej nadprzyrodzone posłannictwo, nie cofnąwszy się nawet przed jawną apostazją od Kościoła. Cechą charakterystyczną marjawityzmu był właśnie chorobliwy mistycyzm, chciwy bezpośrednich bożych objawień, a postponujący zasadę kościelnego autorytetu. — Niezdrowy mistycyzm jest też duszą stowarzyszenia, jakie przed kilkunastu laty powstało wśród młodzieży akademickiej pod nazwą »Eleusis«. Piękne bezwątpienia hasła etyczne, jak również kult wielkich naszych pisarzy jednały temu stowarzyszeniu sympatje wielu; nie dostrzegano, a podobno i dotąd nie dostrzega się tego, że »Eleusis« karmi się po części nauką Towiańskiego, a jeszcze więcej szuka pokarmu w marzeniach i praktykach obcych nam »jogów« indyjskich[1]). — Ostatnie lata odznaczają się szerokiem rozpowszechnieniem się u nas innego rodzaju mistycyzmu w postaci seansów spirytystycznych. Powiększyła się po naszych miastach liczba »medjów« męskich i żeńskich, stoliki tańcują, żywi wchodzą w stosunki ze zmarłymi, odbierają od nich listy, wiersze i całe filozoficzne traktaty[2]), częstym odczytom różnych »profesorów« okkultyzmu przysłuchuje się tłumnie chciwa nadzwyczajności i cudowności miejska gawiedź. Słowem powtarza się u nas to samo, co zauważono już w innych przecywilizowanych krajach, że coraz szersze koła ludności nawet inteligencji, w miarę jak zrywają z praktycznem chrześcijaństwem i zapominają o nauce Kościoła, oddają się przesądom, wróżbiarstwu,

---

zgasła, począł w jednokartkowej »Odezwie« wzywać Polskę do wiary w jakieś »mesjanizmy«, »parakletyzmy«, »instytuty mesjaniczne« i t. d. Pobożnych ale nieuświadomionych katolików mogą te pisma bałamucić swoją religijnością i ciągłem cytowaniem Pisma Św. O wartości praktycznej pomysłów p. Muttermilcha może dać pojęcie projekt jego, propagowany w »Logosie«, by papieżowi ofiarować koronę polską.

[1]) O »Eleusis« i o całej nauce W. Lutosławskiego, który założył to stowarzyszenie, pisałem w Przeglądzie Powszechnym jeszcze w 1910 roku p. t. »Katolicyzm eleuzyński«. Nic odtąd nie stało się, coby mogło wpłynąć na zmianę mojego sądu o »elsach«.

[2]) Niedawno temu wyszedł cały tom komunikatów ś. p. Dra Ochorowicza z tamtego świata, p. t. »Z zamkniętej księgi bytu«. Medjum, które służyło »nieboszczykowi« w jego stosunkach z żywymi, niejaka p. Domańska, leczy podobno w Zakopanem swoje rozstrojone praktykami spirytystycznemi nerwy.

chorobliwym usiłowaniom przedarcia zasłony śmierci, słowem uprawiają wszelkiego rodzaju zabobony i kuglarstwa.

Dziś chcę zwrócić uwagę czytelników Przeglądu na inną jeszcze odmianę pseudo-mistycyzmu, przedstawiającą może większe od innych niebezpieczeństwo z powodu płaszcza, w jaki się drapuje, a jakim jest rzekoma filozoficzność głoszonej nauki.

Przed tygodniem przyniesiono mi niewielką broszurę, którą była wyłożona suto witryna jednej znanej krakowskiej księgarni. Tytuł broszury »U stóp Mistrza« mógł katolickiemu poszukiwaczowi nowych książek nasunąć przypuszczenie, że w wystawionej przez katolicką księgarnię broszurze znajdzie jakieś rozmyślania u stóp Chrystusa [1]). Dopiero po przypatrzeniu się bliższem spostrzeże, że broszurę wydała »Spółka wydawnicza dzieł teozoficznych Adyar«.

Co to za spółka i z jakąż to nową mądrością chce polskie społeczeństwo zaznajomić? Co to jest teozofja?

Już w r. 1910 niejaki p. Geniusz, zdaje się inżynier z Port-Said, rozrzucał po cichu w kraju program »zawiązania Sieci Ezoterycznej i założenia Ogniska badań Ezoterycznych i Metapsychicznych«. Czem zaś w istocie miało być owe Ognisko i jaką naukę miały popierać projektowane badania, wyjaśniała broszura tegoż p. Geniusza p. t. »Znaj samego siebie«, którą wszakże autor za numerem i z własnoręcznym podpisem rozdawał tylko wtajemniczonym. Dowiadywali się oni, że chodzi o przeszczepienie na polski grunt istniejącego w wielu krajach obu półkuli świata Towarzystwa Teozoficznego. Z powodu wojny nie doszło do skutku w zapowiedzianym terminie założenie w Krakowie »ezoterycznego i metapsychicznego ogniska«, świeża atoli broszura »U stóp Mistrza« przekonuje nas, że »teozofja« usiłuje pozyskać adeptów wśród naszego społeczeństwa, a może i zdążyła się już uorganizować, skoro rozporządza środkami na wydawanie w tak trudnych warunkach swoich elukubracyj.

Z czem przychodzi do nas?

Sądząc z nazwy »teozofja«, mniemaćby można, że przynosi ona jakąś filozofję rzeczy boskich, jakieś usiłowanie głębszego po-

---

[1]) Pod tytułem zupełnie tak samo brzmiącym wydaną była przed rokiem książka Huondera w przekładzie ks. J. Korzonkiewicza, zawierająca rozmyślania na tle ewangelji. Może niejeden, poszukując tamtej książki, dostanie tę.

jęcia bóstwa. Naturalne poznanie Boga, przedewszystkiem przekonanie o jego istnieniu, zdobywamy drogą wnioskowania z istnienia przymiotów rzeczy stworzonych. Obok tego jednak istniały pewne jednostki czy grupy i kierunki, chełpiące się głębszem poznaniem bóstwa, nabytem drogą jakiejś bezpośredniej intuicji. W tem znaczeniu teozofja jest bardzo starą i sączy się po przez wieki raz obfitszym to znowu uboższym strumykiem, obok wielkich rzek naturalnego poznania Boga i opartej na objawieniu bożem wiary. W szczególności w erze chrześcijańskiej teozofja, począwszy od gnostyków po przez neoplatonizm Plotina, mistycyzm Skota Erigeny, po przez żydowską kabałę, udziela się średniowiecznym mistykom niemieckim, jak mistrz Eckhardt, i kończy na illuminatach nowszej daty, jak Swedenborg. Prawowierna teologja katolicka zna również możliwość pewnych stanów mistycznych, w których rzeczy boże głębiej się poznaje, ale w stanach tych dopatruje się szczególnego działania Bożego, którego nie można ani wysłużyć ani żadnemi naturalnemi przygotowaniami i ćwiczeniami sprowadzić; ponadto otrzymane tą drogą »doświadczenia religijne« teologja poddaje pod kryterjum nauki Kościoła i odrzuca jako złudzenia te z nich, które sprzeciwiają się dogmatom katolickim. Inaczej czyni teozofja wszystkich czasów: mistyczne przeżycia i intuicyjne poznania zagadek bytu uważa za naturalne dalsze rozwinięcie władz duchowych, a co do treści zdobytych tą drogą doświadczeń uchyla się od wszelkiego zewnętrznego sprawdzianu tak ze strony nauki, jak i wiary.

Z taką zapowiedzią przychodzi do nas ta najnowsza teozofja. Projektowane przez p. Geniusza ognisko badań ezoterycznych i metapsychicznych miało właśnie służyć budowie takiej »wiedzy«, któraby zastąpiła »ślepą« wiarę religijną, a jednocześnie uzupełniła urzędową, jak o niej z przekąsem wyrażają się teozofowie naukę uniwersytetów.

Po bliższem wszakże rozpatrzeniu się w treści nauki, jaką podają książki i broszury współczesnych nam teozofów, przekonujemy się, że do jej zdobycia zbyteczne są jakiekolwiek mistyczne przeżycia i doświadczenia »metapsychiczne«. Teorje bowiem naszych teozofów nie czem innem są, jak plagjatem hinduskiej mądrości zwłaszcza buddyzmu, którą w zupełnie naturalny sposób każdy ciekawy z książek poznać może. A więc najpierw najmniejsze prawo ma ta nauka do nazwy t e o z o f j i, albowiem nie tylko nie przynosi nam głębszego poznania Boga, ale go zupełnie zaprzecza. Jest

więc jakiemś lucus a non lucendo. Chociaż szafuje często imieniem Boga i takiemi wyrazami, jak boski, ubóstwienie, Ojciec niebieski, etc., to rozumie przez nie na sposób panteistyczny jakąś pełnię wszechbytu, ogarniającego wszystkie stworzenia, będące tylko jego cząstką, przejawem, promieniem. Taki bóg, pozbawiony wolności, nie wpływa na rządy świata, nie ma żadnego znaczenia w dziele doskonalenia się człowieka, nie jest dla niego ani ojcem ani sędzią. Jest to byt nieosobisty, z którego wszystkie inne byty siłą jakiejś konieczności wypływają i do którego również siłą konieczności wracają. Nie może być tu mowy o modlitwie do tego boga i w rzeczywistości teozofowie w swoim systemie środków doskonalenia się nie znają modlitwy.

Człowiek w systemie teozoficznym sam jest Bogiem, będąc cząstką wszechbytu i ubóstwienie jego odbywa się nie przez łaskę, jak naucza Kościół, ale przez proste zrozumienie tej »prawdy«, że człowiek jest cząstką bożą, iskrą bożą. Duch, który człowieka ożywia, albo lepiej który jest właściwym człowiekiem, to jest ogólny duch boski, który niby słońce jednym ze swych promieni zapada w daną cząstkę materji i tym sposobem indywidualizuje się. W materji samej, w której ten duch mieszka, odróżniają teozofowie, oprócz ciała widzialnego, jeszcze jakieś ciało subtelniejsze, astralnem zwane, a nawet jeszcze inne mentalne. Niektórzy wynaleźli już coś siedm różnych ciał, których cudaczne indyjskie nazwy nie chcą się trzymać pamięci europejczyka. Człowiek, według tej »antropologji«, nie mającej oparcia ani w nauce, ani we wierze, przedstawiałby rodzaj znanej dziecinnej zabawki: w jajku jest mniejsze jajko, a w tem jeszcze mniejsze i t. d. Podczas snu duch wraz z ciałem astralnem opuszczać ma ciało widzialne i błąka się po świecie, co niewtajemniczony w mądrość teozoficzną bierze za marzenie wyobraźni, a co według teozofów jest rzeczywistym spacerem. Definitywne opuszczenie ciała fizycznego przez ducha i ciało astralne, identyfikowane czasem z naszą »duszą«, stanowi śmierć.

Na tamtym świecie pozostaje człowiek w swojem ciele astralnem, by po pewnym czasie znowu się wcielić i narodzić na ziemi jako dziecię. Te »reinkarnacje« są podstawowym dogmatem teozofów, o którego prawdziwości nie śmią wątpić. Rodząc się na świat, człowiek przynosi tę wartość moralną, te nałogi i skłonności, lub też cnoty, które zdobył w poprzedniem bytowaniu. Celem tych reinkarnacyj, czy jak je z hinduska nazywają »awatar«, jest właśnie do-

skonalenie się dalsze. Udoskonalonym ostatecznie przyświeca w perspektywie rozpłynięcie się w »nirwanie«, której zresztą teozofowie nie umieją określić. Czasem tacy doskonali zstępują z litości na ten świat, by służyć innym za wzór: są to buddowie, chrystusi, mistrze. Żelazne prawo, które ustanawia ścisły związek między czynami człowieka a jego przyszłością w nowem wcieleniu, nazywa się »karma«. Człowiek jest sam, absolutnie sam, sprawcą swojego szczęścia, czy nieszczęścia, jest sam dla siebie odkupicielem i zbawcą. Z cnót podają teozofowie jako najważniejsze: tolerancję dla wszystkich, miłość nietylko względem ludzi, ale i zwierząt, gdyż te są wcieleniem duchów, które kiedyś w ludziach zamieszkają. Stąd zaś wynika zakaz używania mięsnych pokarmów.

Oto krótki szkic mądrości teozoficznej. Nie trzeba być głębokim znawcą dogmatyki katolickiej, by widzieć, że cała ta nauka diametralnie sprzeciwia się nauce, tak objawionej jak i zdobytej rozumem naturalnym, o Bogu, istocie i pochodzeniu człowieka, o życiu przyszłem. W systemie teozoficznym w szczególności niema miejsca na niebo w chrześcijańskiem rozumieniu, na piekło, czyściec i ciał zmartwychwstanie.

Wobec tej sprzeczności między teozofją a katolicyzmem zrozumiałą jest rzeczą niechęć, jaką teozofowie okazują do Kościoła. Głosząc zasadę tolerancji innych przekonań i dopuszczając nawet pożyteczność modlitw i sakramentów dla niewtajemniczonych w teozofję, owszem przedstawiając — w pismach przeznaczonych dla chrześcijan — swoją naukę jako głębsze »ezoteryczne« ujęcie dogmatów chrześcijańskich [1]) w przeciwstawieniu do chrześcijaństwa zwyczajnego, które nazywają »egzoterycznem«, popularnem, zdradzają teozofowie do tego ostatniego głęboką niechęć, przechodzącą w nienawiść i usiłują oderwać od niego swoich adeptów. Piszą naprzykład, że »jeśli się jest jednym z nas, niema znaczenia najmniejszego, czy się wyznaje religię bramińską, czy buddyjską, chrześcijańską czy

---

[1]) W jednem z pism teozoficznych znajdujemy takie »głębsze« ujęcie sakramentów katolickich. Dla niewtajemniczonych używanie tych sakramentów jest pożyteczne, bo zdolne jest w człowieku sprowadzić pewne rzeczywiste zmiany. Jak? Przykładem komunja. Dzięki falom głosu, jakie na chleb oddziaływują w chwili poświęcenia przez księdza, zachodzi zmiana w substancji astralnej tego chleba, a zatem zmieniają się jego własności, to zaś nie może pozostać bez wpływu na ciało astralne przyjmującego komunję człowieka.

mahometańską«, mimo to przy każdej sposobności podkreślają wyższość mądrości indyjskiej, jej większą starożytność i t. d., a ku chrześcijaństwu usiłują zasiać nieufność. »Żadnego pojęcia nie przyjmuj za słuszne jedynie dlatego, że inni za takie je uważają, ani dlatego, że setki lat weń wierzono, lub że tak jest napisano w jakiejś księdze, którą ludzie za świętą poczytują; samodzielnie musisz myśleć o każdej kwestji«. Oczywiście, wymaganie takiej samodzielności musi schlebiać nowoczesnemu człowiekowi, ale ono odnosi się tylko do dotychczasowych wierzeń, nie zaś do samej nauki teozoficznej, »gdyż nie powinieneś robić, mówić lub myśleć czegoś, co według ciebie byłoby niezgodnem z czynem, słowem, lub myślą Mistrza«.

Jak w istocie wygląda owa samodzielność myślenia u tłumu teozoficznego, okażą następujące przykłady. Wyrocznia teozofów Helena Bławacka, założycielka Towarzystwa Teozoficznego[1]), ułożyła cały szereg książek, jakie podawała częściowo za oparte na własnej intuicji bytu, częścią na komunikatach, otrzymanych cudownym sposobem od jakichś mnichów tybetańskich. W siedzibie swej w Adyar posiadała rodzaj czarodziejskiego koła, do którego wierzący teozofowie wrzucali rozmaite trudne zapytania, poczem odpowiedzi na takowe zjawiały się za dziesięć minut rzekomo z dalekiego Tybetu. Angielskie »Towarzystwo do badań psychicznych«, zainteresowawszy się owemi komunikatami, zwanemi »mahatmas«, wydelegowało r. 1884 specjalną komisję dla zbadania na miejscu całej sprawy. Okazało się, że cudowne odpowiedzi pisane były ręką Bławackiej, że cała rzecz była najzwyczajniejszem oszustwem. Niektórzy autorzy zbadali książki Bławackiej i wykryli, że są one przeważnie niezdarną kompilacją rozmaitych źródeł. Mimo to wszystko teozofowie dotąd poczytują oszustkę za jasnowidzącą i na jej słowa przysięgają.

Inny przykład. Pozyskana przez Bławacką dla teozofji niejaka Annie Besant[2]), po śmierci Olcotta prezydentka całego Towarzystwa,

[1]) Ur. 1831 r. z niemieckiej rodziny Hahn, żona oficera rosyjskiego, którego po paru miesiącach pożycia opuściła, jeździła po różnych krajach, w Indjach studjowała braminizm, w r. 1875 wraz z pułkownikiem amerykańskim Olcottem założyła w Nowym Jorku Towarzystwo Teozoficzne. Olcott został jego prezydentem, będąc powolnem narzędziem w ręku Bławackiej, która zresztą o nim wyrażała się, że jest »głupi jak król portugalski«. Z Ameryki ognisko nowej teozofji przeniosła do Adyar w Indjach, skąd czyniła liczne wycieczki po świecie w celach propagandy. Umarła w r. 1891.

[2]) Również rozwódka, żona niegdyś pastora anglikańskiego w Ameryce, potem naterjalistka, socjalistka, wreszcie apostołka teozofji. »Na-

swoją intuicją odkryła między innemi rzeczami, że Jezus żył zupełnie w innym czasie i w innych okolicznościach, niż podają ewangelje, i znalazła powolnych uczniów, którzy wolą pod tym względem wierzyć »mistrzyni«, aniżeli nauce historycznej. Albo z całą powagą twierdzi, że była obecną przy narodzeniu już nie pamiętam czyjem: króla Asoki, czy bożka Kriszny, ale wtedy była jeszcze w ciele małpy, lub znowu, że przed tylu a tylu tysiącami lat była tym a tym słynnym braminem [1]) itp. brednie, które podaje jako nieulegające żadnej wątpliwości wspomnienia z dawnych żywotów na ziemi, i, o dziwo! znajduje tysiące ludzi, którzy te brednie przyjmują, jako objawienie! Mało tego. Przed kilku laty wyszukała Besant w Indjach jakiegoś malca, imieniem Krisznamurti, i dawszy mu nowe imię »Alcyone«, poczęła go obwozić po świecie i pokazywać z estrady, jako nową »awatarę« Chrystusa, jako urzeczywistnienie zapowiedzi, którą przez lata głosiła, że wkrótce na nowo wcieli się na tej ziemi Chrystus. I znaleźli się tak pobożni i wierzący teozofowie, że całowali stopy nowego »Chrystusa«, nie zdającego sobie zresztą sprawy z tego, co z nim wyrabiają i czego od niego chcą. Obecnie ten właśnie Krisznamurti-Alcyone figuruje już jako autor broszury »U stóp Mistrza«, do której Besant daje swoją przedmowę. Kto jest owym »mistrzem« Alcyona, trudno byłoby z tekstu domyśleć się, gdyby nie zwierzenie Besant w przedmowie, że uczeń tak pojął naukę swego mistrza i tak ją wiernie w książeczce wyłożył, iż tylko w dwóch zdaniach okazały się potrzebnemi poprawki. Z tego wywnioskowywa czytelnik, że mistrzem nowowcielonego «Chrystusa« jest chyba sama prezydentka Towarzystwa Teozoficznego.

Towarzystwo posługuje się godłem: »prawda — najwyższą religją«. Ale już wiemy, z jak mętnych ta »prawda« płynie źródeł. Za całą jej rękojmię mają służyć stare święte księgi hinduskie, a przedewszystkiem osobiste jasnowidzenia, przeżycia i wspomnienia rozmaitych Bławackich, Besant, Olcottów. Za nimi idzie liczny tłum wierzących im teozofów. Liczono ich już w r. 1911 blisko 17 ty-

---

wrócenie« jej uważają teozofowie za jeden z cudów, uczynionych przez Bławacką.

[1]) Twierdziła to o sobie w pewnym odczycie. Gdy wśród słuchaczów zauważono uśmiech, oznaczający niedowierzanie, powstał jeden z obecnych i odezwał się: »Możecie państwo wierzyć tej pani, bo i ja sobie przypominam, że żyłem w tymże co ona czasie i byłem wówczas jej żoną«. Towarzystwo, ubawione tym konceptem, opuściło salę.

sięcy, rozsianych po rozmaitych krajach świata, skupiających się w 700 kołach czy lożach. Zapewne liczba ta nie zmalała, lecz wzrosła. Jest to wymowny przyczynek do osławionej «krytyczności« ostatniego i obecnego stulecia. Cały ten zastęp pochłania masę książek, broszur czasopism w rozmaitych językach, urządza kongresy międzynarodowe, zdaje się szczerze mozolić nad tem, by osobiście i samodzielnie przekonać się o prawdziwości teozofji. Nie wszystkim im atoli dano już teraz posiadać dar bezpośredniej intuicji »prawdy«. Niecierpliwym odpowiadają »wtajemniczeni«, że widać jeszcze są za mało wyrobieni w cnotach prawdziwego teozofa i zamało rozwinęli w sobie władze ducha; pocieszają ich, że to przy wytrwałości nastąpi prędzej czy później, jeśli nie w obecnym to w jednym z przyszłych żywotów.

W związku »wszechświatowego braterstwa«, za jaki podaje się Towarzystwo Teozoficzne, zapanowały już jednak rozłamy, potworzyły się sekty. Przed paru laty generalny sekretarz Towarzystwa, Dr. Steiner, poróżnił się z prezydentką Besant. Zaczęło się od tego, że prezydentka, zdaniem Steinera, zbyt jaskrawo podkreślała wyższość buddyzmu nad chrześcijaństwem, a niechęć jego ku niej utrwaliła sprawa z owym wcielonym Chrystusem-Alcyone'm. Na zuchwałą krytykę swego podwładnego odpowiedziała Besant potwarzą, że Steiner jest ukrytym jezuitą, który po to wszedł do Towarzystwa, aby je rozbić. Zawrzała polemika: jedni woleli uwierzyć Steinerowi, który na dowód niedorzeczności rzuconej nań kalumnji powoływał się na fakt, że przed wstąpieniem do T. T. był guwernerem u żydowskiego bankiera w Wiener-Neustadt, — inni atoli wbrew widoczności faktów sądzą, że prezydentka mylić się nie może. Rozszczepiło się tedy towarzystwo, i Dr. Steiner ze swymi zwolennikami założył towarzystwo nowe pod nazwą »antropozoficznego« z główną siedzibą w Szwajcarji. Zresztą »antropozofja« Steinera nie różni się prawie niczem od »teozofji« Bławackiej i Besant i pomimo »jezuityzmu« Steinera, musimy wydać o niej taki sąd, jak o teozofji: jest to wszechświatowy humbug garstki świadomych oszustów, wyzyskujących »głód nadprzyrodzoności« — jak wyraził się raz Huysmans — u szarego tłumu ludzi, co się od wiary oddalili.

Humbug ten atoli jest nie tylko karą za ludzką łatwowierność, jest on nadto szkodliwy, jako rozszerzający błędy, wprost przeciwne nauce katolickiej, podkopujący podstawy moralności i zaciemniający

chorobliwym · mistycyzmem zdrowy rozsądek. Dlatego to zajęto się kwestją teozofji i w Rzymie. Na postawione w Kongregacji Św. Oficjum pytanie, czy nauki, zwane teozoficznemi, dadzą się pogodzić z nauką katolicką i czy wolno należeć do towarzystw teozoficznych, brać udział w ich zebraniach, czytać ich książki, czasopisma i dzienniki, taż Kongregacja po pilnem zbadaniu rzeczy odpowiedziała 17 lipca 1919 r. przecząco co do wszystkich punktów pytania, a Ojciec sw. Benedykt XV odpowiedź tę potwierdził.

Spodziewać się można, że polscy teozofowie, mniejsza czy są oszustami czy osobnikami uwiedzionymi, będą się starali poprzeć swą »wiedzę« autorytetem niektórych naszych pisarzy i poetów, przedewszystkiem Słowackiego. Jest to stała taktyka różnych naszych pseudo-mistyków: neotowiańczyków, elsów, spirytystów. Już i Geniusz cytuje Słowackiego, jako proroka reinkarnacji, a Krasińskiego, jako zwolennika nauki o ciele astralnem. Stare indyjskie mrzonki usiłuje się wystawić, jako oryginalny wytwór polskiego ducha, jako iście narodową polską filozofję. Staje się wobec tego rzeczą potrzebną przy czytaniu pism naszych wielkich pisarzy pamiętać o katechizmie, by umieć spostrzedz, co w nich stoi w niezgodzie z religją katolicką. Bezkrytyczny kult wszystkiego, co napisał Słowacki czy Cieszkowski, dlatego tylko że to polskie, nasze, pomnożyć może tylko ilość niezrównoważonych marzycieli, głów zaprószonych i dziwacznych, podczas gdy nam tak potrzeba ludzi o jasnej myśli, i o zasadach pewnych, ludzi czynu, nie mistyki chorobliwej. Mówiąc to, może narażę się, że zainteresowani poczytają mię za zuchwalca, rzucającego się na majestat naszych nieśmiertelnych, może goniący za popularnością profesor wszechnicy z lekceważeniem zobaczy we mnie tylko ciasnego doktrynera dogmatyzmu, może ktoś z boku syknie: inkwizycja! Mimo wszystko uważam, że w naszem polskiem i katolickiem społeczeństwie nie powinno być miejsca dla fałszywych mistycyzmów, choćby one najczcigodniejszemi nazwiskami chciały się legitymować. Do Boga, do wieczności posiadamy utorowaną drogę nauki Kościoła; nie błąkajmy się po manowcach chorobliwych marzeń.

A panom wydawcom i księgarzom, patronującym swojem polskiem nazwiskiem rozszerzaniu bałamutnych broszur, zwracamy uwagę, że zysk, jaki z tego mieć mogą, nie zrównoważy szkody, jaką społeczeństwu swemu przynoszą.

Ks. Jan Urban.

Wolny Polak a pesymizm.

(Z refleksyj przygodnych.)

Wojna światowa i pokój ciężko się i boleśnie z niej rodzący zawierają w łonie swem dużo zagadek, na więcej jeszcze zagadnień otwierają oczy tym, co je mają do patrzenia, a nawet do widzenia. Pytajniki to wojenne i powojenne, a jednak nie lokalne i nie czasowe, jeno sfinksowe prawdziwie, jeno iście ludzkie, wszechczasy i wszechkraje obejmujące, bezprzestrzenne prawdziwie i bezczesne. Na niektóre z tych ważniejszych sfinksów chciałem sam baczniejszą zwrócić uwagę i podzielić się swemi spostrzeżeniami z widzącymi czytelnikami Przeglądu.

Już miałem oczy nastawione na wyraźne widzenie, już prawica gotowa była do szkicowania tych sfinksów, starych jak ludzkość i jak ludzkość młodych, gdy mi nagle przerwano widzenie i zamyślenie i zawołano do rozmownicy, »bo pani N. przyjechała i chce się koniecznie z ojcem widzieć w bardzo ważnej sprawie«.

Panią N. znałem o tyle, że jej dawałem ślub trzy lata przed wojną. Mąż jej to bardzo uzdolniony i wykształcony bardzo człowiek, o porywach namiętnie szlachetnych, trochę za mało praktyczny, zanadto krańcowo idealistyczny. I z nim jednak od czasu ślubu prawie nie korespondowałem. Co to za ważna sprawa?

— Powitać panią!

— Ojcze, proszę mi przyrzec, że ojciec nie odmówi mej bardzo wielkiej i bardzo ważnej prośbie.

— Nie mogę obiecywać, nie wiedząc, o co idzie.

— Ale niech ojciec koniecznie przyrzeknie.

— Proszę pani siadać i wytłómaczyć mi, o co chodzi.

— Ojcze! stało się nieszczęście, straszne nieszczęście. Mąż mój popadł od przeszło pół roku w jakąś dziwną zadumę, czy melancholję, a przed tygodniem targnął się na życie swoje; tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi nie zabił się, jeno zranił się ciężko. Zdaniem lekarzy jest uzasadniona nadzieja, że da się go utrzymać przy życiu. Ale nastrój jego duchowy niepokoi mię bardzo — jakiś smutek bezbrzeżny i jakaś rozpacz beznadziejna opanowały całkowicie jego duszę. Jego trzeba koniecznie podnieść na duchu, wlać mu trochę nadziei, trochę pogody w serce, zaszczepić jeden promyk uśmiechu w oko. Po namyśle, po naradzie i po modlitwie przyszłam do przekonania, że ojciec jeden mógłby to zrobić skutecznie, ojciec naprawdę mógłby łatwo wpłynąć na niego dodatnio i zbawiennie. I po to przyjechałam; proszę i błagam na wszystko przybyć koniecznie do męża choćby na godzinkę tylko i ratować go.

— Ależ proszę pani, żeby w takim stanie wpłynąć na kogoś dodatnio a nie ujemnie, trzebaby znać jego usposobienie psychiczne z czasów ostatnich, a Oleś wywnętrzał się przede mną po raz ostatni jeszcze przed ślubem waszym.

— Co do tego, sądzę, nie będzie miał ojciec żadnych trudności, bo mąż mój napisał bardzo obszerne umotywowanie swego rozpaczliwego kroku w jedynym zostawionym liście do mnie, pisanym widocznie dość długo, a skończonym, jak data na końcu wskazuje, na godzinę przed nieszczęściem. Ten list daję ojcu w zaufaniu, żeby ojcu ułatwić rozmowę z mężem.

— Dziękuję za szczerość i zaufanie, list przestudjuję i telegraficznie zawiadomię panią, kiedy przyjadę. Do widzenia.

List nieszczęśliwego Olesia przykuł moją uwagę całkowicie do siebie. Przeczytałem go jednym tchem. Psychologicznie i ideowo jest niezrównany. W każdej powieści lub noweli psychologicznej mógłby się znaleźć bez poprawek i cyzelacyj. Ujmuje czytelnika jakąś dziwną, naiwną i głęboką jednocześnie bezpośredniością i jeszcze dziwniejszą a przenikliwą prostotą, bo składa się ostatecznie tylko z gorącej i idealnej miłości żony i z gorętszego jeszcze ukochania Polski. Dwa te umiłowania splatają się w nim w taką ścisłą, jednolitą całość, iż niepodobna prawie rozpleść ich i oddzielić od siebie Zdumiewającą zaś wprost niespodzianką dla mnie było to, że niedoszły samobójca wysuwa na pierwszy plan prawie wszystkie refleksje i sfinksy, które sam właśnie zamierzałem poruszyć, tylko że przedstawia je

żywiej i dosadniej ode mnie, aczkolwiek ze swego tylko punktu widzenia, więc jednostronnie. Dlatego nie będę się już kusił o szkicowanie swoich refleksyj, zadowolę się tylko przytoczeniem niektórych urywków z tego listu, z pominięciem oczywista momentów czysto subjektywnych, odnoszących się do żony.

»...Ogół ludzi potępi niezawodnie krok mój, ale ogół już mię dzisiaj nie obchodzi. Ty jednak nie potępisz mnie, Ty mię pojmiesz, Ty mię zrozumiesz, moja droga Jadwisiu... Pamiętasz początek tej tak strasznie brzemiennej wojny, jakem Cię uspokajał i pocieszał, że ta wojna, jakkolwiek się skończy, skończyć się musi z korzyścią dla naszej miłej ojczyzny.... Pamiętasz, jakeśmy wtenczas czytali razem nadziejnie przepowiednię bł. Boboli, jakeśmy się razem modlili do niego za naszą Polskę! I jakem Ci potem czytał Krasińskiego: »Nie, mój kochany, dobrzy ludzie nic dla nas nie zrobią. Minie jeszcze wiele lat mąk i cierpień bez liku, naród nasz wycierpi tak straszne katusze, że o nich nie śniło się nikomu. Ale po wielu latach przyjdzie wielka wojna, w której wezmą udział wszystkie prawie narody Europy, a która głównie będzie się toczyła w naszym kraju. I kraj jak długi szeroki spłynie łzami i krwią — zniszczenie, pożogi, wyludnienie przejdzie wszystko, co dotąd naród wycierpiał. Ale wówczas Bóg na pohańbienie dobrych ludzi a większą chwałę swoją każe szatanowi odbudować Polskę, i ci, co ją rozszarpali, walczyć będą na drgających jej członkach — wyrywając ją sobie nawzajem i licytując, kto uczyni więcej dla jej wskrzeszenia«...

Tylko wiesz co, dlaczego mnie wtenczas nie uderzyło ani razu, że Krasiński każe szatanowi odbudować Polskę? a dziś po niewielu latach ta właśnie myśl, ta przerażająco straszna myśl nie chce się odczepić mojej biednej głowy! Nie zwierzyłem się dotychczas z tej myśli przed Tobą, bom nie chciał zaszczepiać w serce Twoje jadu mej goryczy...

...Oglądaliśmy razem pierwszych ciężko rannych, niepodobnych do ludzi. Ilem się nacierpiał, cierpiąc razem z nimi! Nie mogłem się ani rusz wstrzymać od łez, chociażem się tego wstydził. A potem klęski, a potem inwazje — cierpienie miljonów za frontem, dotkliwsze, głębsze, ciąglejsze od cierpień żołnierzy na froncie! owo straszne i strasznie szalone morze, morze nędzy, krwi, głodu, zarazy, morze narzekań, jęków i przekleństwo, zalewające potopem wsie, miasteczka, miasta, całą naszą biedną ojczyznę, i to nie przez kilka tygodni, ale

przez lata całe! Widocznie Aryman zdobył znowu władzę nad światem. I Aryman szalał i Aryman się wściekał i Aryman śmiał się i drwił z bolu ludzkiego, z biedy człowieczej.

Z początku zdawało mi się, że to wszystko podniesie serca ludzkie w górę, gdzieś w pozaświaty do samego Boga, że uszlachetni i wyanieli dusze ludzkie; ale już po kilku miesiącach szara i zimna rzeczywistość zaczęła kłam zadawać i wprost urągać memu optymizmowi. Do rozlanego już potopu cierpienia przyłączył się gwałtowniejszy jeszcze potop barbarzyństwa, ździczenia i zwyrodnienia. I widziałem, jak się znieczulały i kamieniały serca ludzkie, i musiałem na własne oczy widzieć, jak ludzie zwierzęceli, jak ludzie szatanieli!

To były nawiązki mojej Kalwalarji wewnętrznej. Już wtenczas zaczął mię nagabywać czy opętywać duch Manesa, już wtenczas zaczęły mię, acz jeszcze nieśmiało, niepokoić i dręczyć pytania: naco jest zło, naco jest boleść na świecie?! I wżerały się te pytania coraz głębiej w moją korę mózgową i właziły w najtajniejsze zakątki duszy mojej. Chwilami zdawało mi się, że już wkrótce zwarjować muszę.

Lecz przyszedł 5-ty listopada 1916 roku. Polska niepodległa! Marzenia tylu miljonów odojczyźnionych a tęskniących, nadzieje tylu pokoleń, znających tylko z opowiadania przodków, co wolna Polska, sny tylu upartych oczekiwań więziennych i sybirskich, wizje tylu naszych poetów i powieściopisarzy — spełnione, ziszczone! Co za radość, co za szczęście dla biednego serca polskiego! Jakem się cieszył i jak radował serdecznie! jakem naprawdę skakał z radości, jakem płakał rzewnie jak dziecko, bodaj czy nie po raz pierwszy, a z pewnością po raz ostatni w życiu płakałem z radości! Więc warto było cierpieć, cierpieć nawet więcej niż wycierpiałem, by dożyć tej chwili! Więc mój optymizm dawniejszy nie był bezpodstawny, więc mój idealizm nie był czczą abstrakcją!

A jak mnie dzisiaj boli, jak dotkliwie boli, samo wspomnienie ówczesnej radości! Bo jakże prędko prysły tęczowe bańki mydlane! Niepodległość dwucesarzowa okazała się wkrótce niepodległością manifestową, wolnością na papierze. W rzeczywistości poczęto nam jeszcze skracać kajdanki obcego poddaństwa i zacieśniać obroże niewoli, co gorsza i boleśniejsza, przygotowany już pokarm zabierano nam z przed ust zgłodniałych, a z rąk osłabłych wydzierano nam narzędzia pracy na chleb i przyodziewek. Strasznieś się zemścił na mnie Arymanie!

I zdawało mi się, moja droga, że mi ktoś na szyję zarzucił stryczek zwątpień wszystkich i wszystkich rozczarowań, że mi wtłoczył w piersi i w serce olbrzymi ciężar beznadziejności ołowianej, że mą duszę pogrążył w bezdenne ciemności dziwnej apatji i hiperalgezji jednoczesnej — bo mię wszystko dokuczliwie bolało, a jam nawet nie był zdolny do krzyku lub klątwy, jeno co najwyżej mogłem skomleć nieśmiało lub kwilić cichutko. Wszystkie cierpienia i dręczące pytania niedawne odżyły i pogłębiły się w mej jaźni, stawały się tylko raz po razu świeżą karmią dla biczujących bez ustanku mą duszę boleści.

Grom brzeski obudził mię z apatji, lecz powiększył me męki. Nic tak nie boli jak podłość ludzka, jak zdrada ze strony tych, od których się jej chwilowo przynajmniej nie spodziewamy. Zacząłem krzyczeć, zacząłem przeklinać. Gdzie się zapodziała sprawiedliwość na świecie?! Dlaczego to szkaradne, to wszeteczne zło święci tak niesłychane triumfy? Dlaczego Aryman, dlaczego Szatan unosi się ciągle na skrzydłach zwycięstwa? Azaż miłosierdzie Boże już się wyczerpało lub istnieć przestało? Czy Bóg sam poszedł w służbę lub dostał się w niewolę Arymana?!... I jam to wszystko przetrzymał. Ach nieszczęsny, pocóżem przetrzymał! Dlaczegóż nie zabił mię na miejscu piorun z Brześcia litewskiego?!

Nadszedł listopad 1918. Dlaczego nie cieszyłem się tak, jak dwa lata temu? Jakiś zaczajony lęk wstrzymywał mię przed radością, wzdragałem się przed nowemi zawodami i rozczarowaniami, a nawet nie byłem już zdolny do czystej i wybuchowej radości. Chciałem być zresztą realistą i brać rzeczy na zimno, pozytywistycznie i pragmatystycznie. Zacząłem rozważać, zestawiać, porównywać, obliczać. Mamy Polskę, o jakiejśmy przed wojną nie marzyli w tak bliskiej przyszłości, od morza do Karpat, a może i większą; mamy wolność, mamy niepodległość, mamy naprawdę swoją Rzeczpospolitą, swoją zmartwychwstałą! I otucha zaczęła powoli podbijać moją duszę, i do serca mego zaczęła się wkradać nieśmiało radość prawdziwa. Więc jest jeszcze sprawiedliwość na świecie, jest i stąpa już majestatycznie po ziemiach polskich! więc jest Bóg i opiekuje się nadal po ojcowsku losami Polski! więc Aryman, więc Szatan poskromiony pogromiony, starty doszczętnie!

Skończyły się moje nieznośne cierpienia, moje wątpliwości i pytania niepokojące rozwiały się. Podniecenie radosne zaczęło napełniać mą głowę i serce, zaczęło zapładniać bujnie moją wyobraźnię.

Już wystawiałem sobie, jak w naszej Polsce układać się teraz będą stosunki zewnętrzne i wewnętrzne, wojskowe, polityczne, ekonomiczne, oświatowe... I oczy moje zaczęły się uśmiechać szczęściem i zadowoleniem do tej nowej Polski.

I widziałem już w myśli Polskę składającą się z samych bohaterów i bohaterek; przed oczyma duszy przesunęły się nieprzejrzane tłumy bohaterów żołnierzy, bohaterów urzędników, bohaterów uczonych, bohaterów robotników, bohaterów rolników... bez końca, samych bohaterów obowiązku i zawodu. Przecież Polak, jeśli do czego jest skory i zdolny, to do bohaterstwa — a wojna chyba nauczyła już wszystkich Polaków, że obowiązek bohaterstwa względem ojczyzny ciąży nie tylko na żołnierzu w rowach strzeleckich, ale także na wszystkich ludziach, na wszystkich stanach, zawsze i wszędzie. Jeśli prosty żołnierz Polak mógł być bohaterem w wojsku rosyjskiem, niemieckiem, austryackiem, to teraz w odrodzonej ojczyźnie własnej każdy Polak będzie tem bardziej bohaterem swego obowiązku, będzie tem bardziej gotów zawsze i wszędzie na heroizm, gdzie tylko chodzić będzie o dobro i sprawę ojczyzny lub sprawę Boga. Teraz chyba żaden Polak nie dopuści żadnego cienia, żadnej plamy na swem bohaterstwie — prócz plamy krwi, gdy mu przyjdzie zwyciężyć lub wytrwać i paść na swojej placówce.

Potem zaraz widziałem w myśli całe szeregi wolnych Polaków i tylko wolnych... bez łańcuchów na rękach i nogach, bez obroży na szyi, bez piętna niewolnictwa wszelakiego na duszy. — I widziałem nieopisany zapał i bezgraniczne poświęcenie w pracy, aż do upadłego, aż do wyniszczenia, aż do wyzucia się z mienia swego dla dobra zmartwychwstałej ojczyzny. — I widziałem wolnych Polaków miłujących się wzajemnie szczerze i prawdziwie, samą tylko miłością serdeczną oddychających, będących istotnie podług Krasińskiego piekłem miłości! Bo i jakżeż synowie jednej i to dopiero odradzającej się ojczyzny mogliby się nie miłować, nie kochać z całej duszy, z całego serca, z całej kory mózgowej! Oni już zapomnieli o urazach wzajemnych, już przebaczyli nawet swym wrogom najzaciętszym, oni już nie znają ani z imienia nienawiści!

I cieszyłem się naprawdę tą Polską moją, Polską myśli moich, jak cieszyła się nasza nieboszczka córeczka pierwszą laleczką swoją. I trwała ta radość rosnąca i to rozgrzanie serca aż kilka dni!

Bo przestałem wkrótce myśleć, a zacząłem obserwować. Zacząłem mianowicie wychodzić i wyjeżdżać coraz częściej z domu

i przypatrywać się nieco wolnej Polsce rzeczywistej. I rzeczywistość ta była dla mnie przerażająco straszna, była wprost zabójcza. Szukałem najpierw moich bohaterów ; nałaziłem się, napatrzyłem, nasłuchałem i — nie spotkałem ani jednego! Widziałem zato wracających tłumnie żołnierzy Polaków z nad Piawy, z nad Donu i Dniepru, z nad Sanu i Wisły, a nie chcących żadną miarą wstępować do wojska polskiego! Spotykałem zato na każdym kroku popisujące się wprost nago i publicznie : niekarność, niesumienność, usuwanie się od obowiązków, niedbalstwo, gnuśność, lenienie się w pracy wszelakiej, przedewszystkiem narzekanie i krytykowanie prawa, władzy, wszystkiego, a zwłaszcza tego, co lepsze, co szlachetniejsze, co idealniejsze. Zagadywałem rozmaitych ludzi, co to wszystko ma znaczyć ; zbywano mię w najlepszym razie ruszeniem ramion, najczęściej wydrwiwano mię kpinami. Rozgoryczony zacząłem wołać z Norwidem :

Pospolita rzecz, panowie,
To nie nierządnica!
Lecz w gwiaździstym złotogłowie
Czysta anielica.

Pogardliwe spojrzenie lub szydne politowanie nad niepoprawnym idealistą były zwyczajną odpowiedzią na to.

Smutny i przybity zdobyłem się jeszcze na jedną wyprawę, by poszukiwać wolnych ludzi w Polsce niepodległej. I nie znalazłem znowu ani jednego; choć szukałem skrzętnie, choć wszędzie szukałem. Spotykałem ludzi wprawdzie bez kajdanów i łańcuchów na ciele, ale znamiona niewoli na ich czołach jeszcze się nie zatarły, a hańbiące piętna niewolnicze na ich duszach jeszcze się głębiej wżarły. I snuły się te przeróżne legiony niewolników gdziekolwiek okiem spojrzeć. Iluż to spotkać można niewolników najgłupszego pod słońcem względu ludzkiego! ilu mamy niewolników i niewolnic chwili, śmiesznie aż do płaczu zależnych od chwilowego kaprysu i humoru! ilu nieszczęśliwych i pożałowania godnych niewolników własnej cielesności i zwierzęcości! ilu pozostaje w najsromotniejszej niewoli zasad i haseł przewrotnych! ilu niewolników i bałwochwalców cielca złotego albo raczej bałwana z papierków bankowych! ilu w prochu i błocie czołgających się niewolników sobkostwa, ambicji, pychy, zazdrości, nienawiści! Któżby zresztą ich zliczył! Za długośmy byli w niewoli, zanadtośmy się przyzwyczaili do niej. Polacy zapomnieli już widocznie, na czem wolność prawdziwa zależy, nie znają już

właściwych jej znamion królewskości szlachetnej ani jej porywającej boskości; oni sądzą, że jak kto zerwał okowy z nóg swoich, już nie jest niewolnikiem; oni nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że są nadal niewolnikami prawdziwymi. Żaden z tych niewolników nie powtarza sobie: niewolniku, pęta rwij! A jednak rzecz to gwałtownie konieczna.

I zrobiło mi się jeszcze smutniej, i serce moje skowyczało boleśnie. Chciałem płakać nad Polską, lecz płakać nie mogłem. Pociemniało mi wszystko w oczach — więc nie chciałem już dalej oglądać ni przeszukiwać polskiej rzeczywistości. Postanowiłem wtedy sam tworzyć rzeczywistość. Zgłosiłem się do wojska polskiego. Pamiętasz, moja droga Jadwisiu, ilem się nachodził, nabłagał, naprosił. Wszystko napróżno. Lekarze się oparli i powiedzieli, że się absolutnie nie nadaję z mojem zdrowiem do żadnej służby wojskowej. Przeklinam was dzisiaj za to, bez serc eskulapy, z serca całego! Byłbym zginął chwalebnie w obronie Lwowa, albo gdzieś w pobliżu Wilna u stóp Ostrobramskiej!

Były to właśnie Święta Bożego Narodzenia. Takich świąt nie miałem jeszcze w życiu, choć miewałem już przeraźliwie smutne w ciągu całej tej wojny. Wszystkie fale cierpień, pytań, wątpliwości poprzednich wróciły ponownie, a wypoczęte i wzmożone wróciły z jakąś dziką wściekłością i starannie złośliwą zaciętością; wchłaniały w siebie łapczywie wszystkie przejścia ostatnie, a nasyciwszy się dowoli, urządzały sobie w mej głowie, sercu i duszy formalne orgje szalonych kurczów, jęków, goryczy, boleści. Narodziny Boga na ziemi wydały mi się tylko zgrzytną i straszną ironją.

Po kilku tygodniach takiej udręki zacząłem się dziwnie niepokoić: a możeś się pomylił? możeś ty źle obserwował? spróbuj raz jeszcze obserwować Polskę rzeczywistą, jeno gruntowniej i dokładniej. — Spróbowałem, obserwowałem i — skamieniałem. Tak! źlem poprzednio obserwował! — i nie dostrzegłem podłości, błota i zbrodni! Jam tych rzeczy nie przypuszczał w Polsce, choćby najgorszej, choćby dziesiątkami wieków steranej i obarczonej... a cóż dopiero w Polsce zmartwychwstającej i dopiero się odradzającej! A teraz com oczy otworzył, tom musiał je zamykać lub zasłaniać; musiałem się palić i rumienić ze wstydu za Polskę, do której tak czule i naiwnie wzdychałem, za którą tak serdecznie i gorąco tęskniłem. I uciekałem teraz przed wyuzdanem i rozpasanem paskarstwem, oplatającem gęsto całą polską ziemicę, przed wyrafinowaną

kradzieżą i defraudacją mienia Rzeczypospolitej nawet w szeregach wojskowych; musiałem ze wstrętem odwracać oczy od upadlającego łapownictwa, przekupstwa, korupcji, od ostentacyjnego i jak zaraza szerzącego się próżniactwa, żądającego jeszcze sowitej zapłaty za bezrobocie i to z grosza pożyczonego na najgwałtowniejsze potrzeby ojczyzny i to wtedy, kiedy stroskana matka-ojczyzna zaklina wszystkich na wszystko o pomoc w postaci pracy wydajnej. I musiałem widzieć chcąc nie chcąc rozbójnicki bandytyzm, zagrażający raz po razu własności prywatnej i życiu jednostek; musiałem słyszeć nieraz półgłośne podszczuwania i podżegania zakapturzone do krwawej pożogi, do rosyjskiego bolszewizmu; zamiast z piekłem miłości, musiałem się zetknąć z istotnemi piekłami nienawiści, niezgody społecznej, obłudy, kłamstwa, oszukaństwa, bezmyślności i zaślepienia; i musiałem obserwować, jak nad ciałem ojczyzny tłoczyły się i dobijały się o pierwszeństwo: nieuctwo, prywata, frymarka, zbrodnicze robienie majątków, formalne pastwienie się i okrucieństwo. I miałem dosyć. Już więcej na objawy życia publicznego patrzeć nie chciałem. Zaglądnąłem jeszcze za kotarę, zasłaniającą polskie życie prywatne — i zrobiło mi się ciemno i słabo — węchem tylko stwierdziłem brud, srom, hańbę i zgniliznę moralną. — I powlokłem się bólem głębokim rażony do domu.

W głowie mej powstał bezład kłębiący się i zamieszanie. Co to jest? czy to wszystko rzeczywiste? czy to możliwe? czy to Polacy? czy to ludzie? czy to niewolnicy?! — Nie! to szakale! to szatani! to kanibale nad żywem ciałem rodzonej matki-ojczyzny!

Wielkim prorokiem i wieszczem prawdziwym byłeś i jesteś Zygmuncie Krasiński! To Aryman, to Szatan wskrzesił Polskę!

W ten sposób cierpienia dotychczasowe nabrały znowu świeżej energji, a rozpoczęła się długa litanja nowych mych katuszy.

Przestałem wychodzić, przestałem dowiadywać się i obserwować, przestałem pracować; zato cierpiałem i cierpiałem i cierpiałem bez końca. Zamknąłem się w sobie z bólem swoim i pozwoliłem mu się siekać, krajać, rwać, palić, smagać, kłuć, bom był bezsilny i do dziś dnia jestem bezsilny wobec niego. Przestałem się nawet żalić i uskarżać, nawet przed Tobą, jak dobrze sama wiesz, moja najdroższa Jadwisiu, ba nawet przed samym sobą.

Chciałem przestać nawet myśleć, zacząłem wzdychać do bezmyślności, do nirwany, do nicości. Ale cóż? Im bardziej chciałem uciec od myśli, tem natarczywiej nagabywały mię, tem mocniej

trzymały się mojej kory mózgowej. I powstawały w głowie mojej bez mojej woli i wbrew mojej woli łańcuchy pytań, powątpiewań, dręczących, bolesnych — i plątały się i kłębiły się i wirowały bez wytchnienia godzinami, dobami, miesiącami.

Czem jest życie ludzkie? do których marności i podłości trzeba je zaliczyć? Naco jest boleść? Czemu i poco cierpią i dręczą się ludzie? Poco ja cierpię i poddaję się tym męczarniom wewnętrznym? Jak może nieuchwytna myśl zadawać tak dotkliwy ból biednej duszy ludzkiej? Dlaczego cierpienie, dlaczego zło musi być trzonem i samą istotą życia ludzkiego? Dlaczego podłość i nikczemność stała się dzisiaj bezczelną i bezwstydną? Dlaczego zbrodnia i hańba tak bujnie się pleni w sercu ludzkiem i tak bardzo i butnie podnosi swą trupią i bezmyślną głowę? Dlaczego im bezdenniejsza głupota, tem łatwiej i pewniej pokonywa rozum? Dlaczego nienawiść strąciła z tronu miłość i sama została królową internacjonalną wszystkich republik ludzkich? Dlaczego w obecnej wojnie przeciwko pięści a w obronie ideałów i sprawiedliwości tylko pięść ostatecznie i stal zwycięża? Dlaczego w obecnych troskach pokojowych o zjednoczenie narodów tylko egoizm narodowy i nienawiść rasowa o wszystkiem rozstrzyga? Czy postęp cywilizacyjny już jest niemożebny bez sztucznego nawozu anarchji i zgnilizny moralnej? Czyż odtąd tylko spaleniska i popieliska będą urodzajne?

I ja miałbym żyć w tej Polsce nowej? i ja miałbym się ciągle obracać wśród podłości, hańby i sromu? Przecież ja dzisiejszych ludzi nie rozumiem, ja ich nigdy nie zrozumiem; ja się nie potrafię wczuć i wmyśleć w obecne dusze polskie, w obecne warunki i stosunki, a przecież uczucie jest podstawę psychologiczną zrozumienie bliźnich! — Czemu to wszystko takie zagadkowe, takie irracjonalne? Czyż racjonalny jest człowiek dzisiejszy? czy racjonalny jest Polak dzisiejzy? czy racjonalna jest wojna dzisiejsza? czy racjonalny jest pokój dzisiejszy? Jak może żyć człowiek racjonalny w świecie irracjonalnym i alogicznym?

I zdało mi się, że już nie sam duch Manesa, ale całe czeredy duchów złośliwych wstąpiły we mnie i opanowały całą moją istotę, i duszę i ciało. Dręczą mnie te duchy kołowrotem myśli zawrotnych i rozpacznych, obracając go bezustannie, rozpalają moje mózgowie, rozsadzają mi czaszkę, przeszywają mi serce, chłoszczą moją duszę. Stałem się istną pastwą i potworną igraszką tych duchów czy furyj piekielnych. Raz mię pochłaniają jakieś dziwne otchłanie ognia

i płomieni; to znowu otaczają mię jakieś lody podbiegunowe, mrożące krew w żyłach i tętnicach; to ogarniają mię nagle jakieś ślepe ciemności, beznadziejnie smutne; to znowu zapadają się; rozpadają pode mną jakieś grzęzawiska przepastne, wstrętne i bagienne. I noszę w sobie piekło prawdziwe — nie, wszystkie piekła możebne zwaliły się równocześnie do duszy mojej!

I ciągną się te piekła bezprzerwnie już miesięcy siedm.

Dlaczego ja dotychczas nie wściekłem się, nie zwarjowałem? ach! czemum nie oszalał?!

(w tem miejscu znajnuje się w rękopisie kilka rzędów kropek.)

Wiesz co, moja droga i kochana? Coś mi się w ostatnich dniach zaczęło rozjaśniać. Ta Polska, co powstała, to Polska Arymana; a moja Polska nie powstała! moja Polska nie powstanie! moja Polska na drugim jest świecie!! I dlatego ja powstałej Polski, ja tego świata nie rozumiem, rozumieć nie mogę, bo ja należę do tamtej Polski, do tamtego świata!

Więc idę tam, śpieszyć się muszę.

Czy już rozumiesz mię, moje kochanie najdroższe?! A może... a może i Ty mnie nie rozumiesz?

Ale mnie łzy zalewają oczy, ja już dalej pisać nie mogę«...

Następują jeszcze czułe wylewy szczerej serdeczności dla żony i ostatnia wola. Cały swój majątek zapisuje żonie z zastrzeżeniem, że gdyby w przeciągu pół roku po jego śmierci pokazało się, że jego poglądy na ziemską Polskę były niesprawiedliwe, połowa majątku czyli milion koron przejdzie na skarb polski. Na końcu umieszczona data 15 sierpnia 1919 godzina pierwsza po północy.

Czy nasz Oleś nie jest również sfinksem swego rodzaju? Czy on sam jest bohaterem? Czy on sam jest naprawdę wolnym wewnętrznie? Czy nie jest on niewolnikiem marzycielstwa i przeżuwania psychologicznego? niewolnikiem niekonsekwencji i słabej woli? Czy on sam jest prawdziwym wzorem nieznużonego pracownika na ojczystym łanie? czy jest piekłem miłości w swojej krytyce jednostronnej i pesymistycznej?! Co gorsza i smutniejsza, czy on sam, targnąwszy się na życie własne, nie stał się ostatecznie zbrodniarzem i wobec Polski i wobec Boga?!

Słowa, słowa same w obecnych warunkach nic nie znaczą, dziś ostatecznie tylko te słowa mają jakąś wartość, które są równo-

ważne czynów stali, bo dziś naprawdę, dziś gwałtownie czynów potrzeba, dziś tylko c z y n ó w potrzeba.

Potrzeba niewątpliwie Polsce zmartwychwstałej ludzi prawdziwie wolnych, zrywających śmiało i odważnie wszelkie pęta wewnętrznego także niewolnictwa; potrzeba prawdziwych bohaterów, gotowych na heroizm nie raz jeden w życiu, ale codziennie, zawsze i wszędzie; potrzeba wielkich i wytrwałych pracowników na wszystkich polach, na każdym zagonie; potrzeba ludzi będących piekłem miłości i ukochania wszystkiego, co polskie, ziemi ojczystej, społeczeństwa swojego, języka polskiego, wszystkich spraw i interesów polskich — tego wszystkiego na gwałt potrzeba. Atoli nie potrzeba zaczynać od szukania tego wszystkiego po wszystkich zakątkach i zaułkach Polski; nie wystarczy zaczynać od nawoływania choćby najgłośniejszego do tego po wszystkich szlakach i rubieżach polskich — jeno t r z e b a z a c z ą ć o d t w o r z e n i a i c z y n i e n i a t e g o w s z y s t k i e g o, a z a c z ą ć o d s i e b i e p r z e d e w s z y s t k i e m.

Niech jeden z nas zacznie na serjo być prawdziwie wolnym, prawdziwym bohaterem... a Polska nowa mieć już będzie jednego wolnego bohatera! i już nie będzie prawdą, że niema w niej ani jednego. A przecież według prawa nie zawodzącego psychologji międzyjednostkowej za jednym zjawi się wkrótce drugi, za dwoma pójdzie dziesięciu, stu, za nimi powstaną tysiące i miljony! A czy nie mogłoby kilku? czy nie mogłoby stu? czy nie mogłoby wielu zacząć od razu?!

Pod wpływem półtorawiekowej niewoli, po części zaś i pod wpływem poezji romantycznej przyzwyczailiśmy się zanadto do Polski wyśnionej, wymarzonej, abstrakcyjnej, do jakiejś Polski idealnej, platonicznej. Tymczasem Polska nie jest bynajmniej abstrakcją urojoną, ona nie jest nawet jakąś tam nikłą gwiazdką w świecie idej platońskich — Polska jest, dzisiaj zwłaszcza, rzeczywistością, jest konkretną rzecząpospolitą polską.

Ideały są i pozostać muszą ideałami, tylko ideałami; jako takie nie są i być nie mogą rzeczywistościami. Bo ideały istnieją i istnieć mogą jedynie i wyłącznie w umysłach poznających, a poza umysłami żadnej rzeczywistości nigdzie nie znają. Nawet tak zwany świat idej platońskich jest utopją, bo jest wręcz niemożebny. Rzeczywistość natomiast jest zawsze rzeczywistością, która istnieje niezależnie od umysłu poznającego, nie jest zaś i być nie może ideałem.

Ideał istnieje w umyśle oderwany od czasowości i rzeczywistego istnienia, a całą swą formę zawdzięcza umysłowi poznającemu, skutkiem tego jest niezmienny, nadczasowy, nadświatowy, wieczny; rzeczywistość zaś jest czasowa, jednostkowa, związana tysiącznemi łańcuchami z resztą świata istniejącego, i dlatego wre i kipi siłą, energją, czynem, życiem, bolem, radością, klęską, triumfem. — Pomieszaniem pojęć zatem i niedorzecznością byłoby szukać ideałów w rzeczywistości. Nie dziwota więc, że kto będzie szukał Polski idealnej w Polsce rzeczywistej, spotka się niechybnie z zawodem słusznym i rozczarowaniem.

Każdy byt rzeczywisty poza bytem bezwzględnym jest rzeczywistością skończoną. Każdy zaś byt skończony ma cechy dodatnie, o ile jest urzeczywistniony i ograniczony. Doskonałość każdego bytu polega na jego rzeczywistości, na tem, co w nim jest już urzeczywistnione — niedoskonałość zaś bytu polega na braku wyższej dalszej doskonałości, na tem co w niem dotychczas nie zostało jeszcze urzeczywistnione. Lecz chyba nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ważniejszą jest rzeczą, czem jakiś byt jest, niż czem nie jest, czyli że ważniejsza jest pod każdym względem strona dodatnia niż ujemna, rzeczywistość sama, niż jej ograniczenie.

Widzenie zatem w czemkolwiek samych cech dodatnich zbliża się bardziej do prawdy, niż widzenie samych cech ujemnych; zasadniczo więc lepszy i słuszniejszy jest optymizm od pesymizmu. Ale i optymizm skrajny i pesymizm skrajny to tylko jednostronność, ciasnota i ograniczenie rozumu ludzkiego.

A więc i w zapatrywaniach na Polskę nową precz z optymizmem skrajnym! ale po trzykroć precz ze skrajnym pesymizmem! nie bójmy się natomiast optymizmu umiarkowanego, rozumnego. Musimy się zdobyć pod tym względem na krytycyzm ścisły, ale koniecznie wszechstronny, bo taki tem samem nie będzie nawskróś pesymistyczny, jeno zasadniczo przynajmniej optymistyczny.

Ileż to stron dodatnich tkwi niewątpliwie w każdej duszy polskiej! Ile szlachetności, bohaterskości i wolności, ile odwagi, zapału i poświęcenia ile hartu, wytrwałości i umiłowania — śpi albo drzemie na dnie duszy robotnika polskiego, ludu polskiego, urzędnika polskiego, szlachcica polskiego, żołnierza polskiego! Z powstaniem Polski i na cześć powstałej Polski wskrześmy je! zbudźmy je! wywołajmy ich powstanie! — w sobie najpierw, następnie w innych!

Ks. Jan Nuckowski.

Wyprawy zagraniczne możnych za Zygmunta III.

Cechą charakterystyczną panowania Zygmunta III są częste wyskoki wybujałego indywidualizmu szlachty. Występuje ten indywidualizm w rodzinach i w powiatach, na sejmikach i sejmach, czy to w ostrej opozycji przeciwko nielegalnym czynom i zamiarom króla, czy też przez związki i rokosz Zebrzydowskiego, lub też przez konferencje wojskowych, kiedyto, jak mówi jeden z konfederatów Markiewicz, mógł każdy z nich bezkarnie i zabić kogo w Warszawie i to w czasie trwania sejmu obradującego nad zapłatą wojska, lub wreszcie w wojnach prywatnych osób, jak Stadnickiego Djabła z Opalińskim, i w całym szeregu wojen podjętych przez możnych za granicami kraju, począwszy od wyprawy Jerzego Mniszka z Dymitrem Samozwańcem, a skończywszy na trzeciej wyprawie zięciów Elżbiety Mohyłowej, którzy bezskutecznie usiłowali drugiego jej syna Aleksandra w 1615 r. posadzić na tronie Mołdawji. Nie tykając wcale dwóch wypraw Samozwańców i ich autorów Jerzego Mniszka i Piotra Sapiehy — temat ten wymaga osobnego opracowania — znanych jest nadto pięć innych wypraw prywatnych osób, a mianowicie wyprawa Mikołaja Jazłowieckiego z 1594 r. na zdobycie Krymu, trzy wyprawy z lat 1608, 1612 i 1615 zięciów Elżbiety Mohyłowej celem usadowienia jej synów na tronie ojca ich Jeremiego Mohyły, wreszcie najazd w 1610 r. na przemyskie ze strony Siedmiogrodzian, lecz to nie wyprawa prywatnych, lecz wojna spowodowana przez knowanie prywatnych a odparta przez stanowczą postawę i decyzję szlachty.

Przypatrzmy się bliżej tym właśnie wyprawom i ich losom, a zobaczymy, w jaki sposób objawiał się w nich duch indywidualizmu, niemniej jakie skutki za sobą pociągał dla Polski. Zaczynamy

od najwcześniejszej wyprawy, poczem w porządku chronologicznym przebiegniemy losy wypraw mołdawskich, a wreszcie poruszymy i ów najazd z 1610 r.

I.

Jednym z tych indiwidualistów jest Mikołaj Jazłowiecki starosta śniatyński i czerwonogrodzki, mąż słynnej rodziny kresowych rycerzy Abdanków Buczackich. I on jest wybitnym wojakiem, kresowym rycerzem, a konfederacja generalna warszawska porucza mu 1587 obronę kresów, mianowicie dowództwo w Kamieńcu, podczas gdy Mikołajowi Herburtowi z Dziedziłowic poruczono rząd nad wojskiem, czem osłabiono władzę hetmana. Miasto Lwów w bezkrólewiu tem obawiało się wodza i zamykało przed nim dobrze bramy, a nawet przygotowało się na oblężenie od partyzanta rakuskiego. Był on wraz z tymże Herburtem zdeklarowanym wrogiem hetmana i kanclerza Zamojskiego, a zarazem potężnym stronnikiem rakuskim. Toż król Zygmunt, jakby chcąc pozyskać dla siebie potężnego magnata, nadał mu dowództwo nad Niżowymi Kozakami, na jego ręce wyznaczał dla tychże żołd, jak w 1591 r. na lat pięć, zabraniając niepokoić sąsiednie kraje [1]). Zamojski w 1592 r. publicznie na sejmie skarżył się z powodu owej nominacji, że dano dowództwo nad Niżowymi Kozaki pana Jazłowieckiego, co jest połączone z niebezpieczeństwem dla kresów; uzasadniał bowiem, że nic nie jest szkodliwszego dla wojska, jak wielość wodzów, czego dowodem klęska pod Byczyną arcyksięcia Maksymiljana.

Inni podnieśli inne a bardzo poważne zarzuty z powodu tego dowództwa Jazłowieckiego, przełożonego nad Niżowcami i jego porucznika Jana Orgszowskiego. Byli oni bowiem przez króla ustanowieni celem pohamowania swawoli ukrainnej i zatrzymania przymierza z państwami sąsiedniemi. Wydano ścisłe przepisy, jak się mają zachować, jaki zakres ich działalności, król najsurowiej wzbronił przekroczenia granicy, zaczepek z sąsiadami, owszem polecił, by wszystkim innym, chcącym przejść na Niż albo w kozactwo bronili przechodu. Ale komisarze królewscy Jakób Pretwicz trembowelski, ks. Aleksander Wiśniowiecki czerkaski, Jerzy Struś winnicki, Stanisław Gulski barski starostowie stwierdzili, że ci Kozacy złupili

[1]) C. Leop. 347 p. 1105.

dobra i zamki królewskie Białą Cerkiew i Bohusław, a gdy ich powołano przed komisarzy do usprawiedliwienia się, oni odpowiedzieli groźbami i zaraz potem Perejasław zdobyli. Toż na sejmie zapadła konstytucja, znosząca dowództwo nad Niżowymi; przywrócono nad nimi dawniejszą jurysdykcję hetmańską [1]).

Jabkolwick Jazłowiecki sam zgodził się na dekreta sejmowe, wymierzone przeciwko owym swawolnym Kozakom, które jednak nie weszły w życie ani też w konstytucje ich nie włączono, — utrzymywał dalej z Kozakami przyjazne stosunki. Było to wszakże w czasie, gdy cesarz Rudolf wyprawił na Ukrainę najpierw Eryka Lasotę i Jakóba Henkla, potem Stanisława Chłopickiego, którzy mieli podburzyć Kozaków przeciwko Turkom i tym celem zaopatrzył swego posłańca w pieniądze, w chorągwie, broń i inne oznaki wojenne w darze dla starszyzny. Rozesławszy gońców po Ukrainie i Niżu, poszóstnym koczem jeździł Chłopicki po majątkach sprzyjających Rakuszanom magnatów, jak Janusza Zbaraskiego, brzęczał czerwieńcami, zwoływał przez trębacza Kozaków i lał w nich wódkę, a od wojsk pod dowództwem hetmana Żółkiewskiego trzymał się o 19 mil zdala. Cesarzowi szło głównie o to, aby Kozacy przeszkodzili wymarszowi Tatarów z Perekopu do Węgier, by napadli na tyły tatarskie w czasie przechodu tychże przez Wołoszczyznę, o czem wszystkiem cesarz dał wiadomość carowi moskiewskiemu, usiłując i tegoż przez Warkocza wciągnąć do wojny przeciw Turkom, z którymi podówczas wiódł wojnę.

Wszystkie te dążenia celem zapewnienia sobie pomocy w wojnie z Turkiem, wychodzące od cesarza, o którym w Polsce mówiono, że cudzemi rękami żar zagrzebać pragnął [2]), bez wiedzy króla Zygmunta zarządzone, były także środkiem zmuszenia tegoż ostatniego do wojny z Portą. Ale w Polsce wiedziano o nieszczerości cesarza, który popierał Ernesta brata swego, toczącego układy z królem Zygmuntem o tron polski, a potem zsyłającego się przez posłów z carem, który podobnie jak i wszechwładny Borys Godunow w układach z cesarzem szukali przeciwwagi przeciwko Polsce, podobnie jak i cesarz szukał w tych stosunkach także i oparcia się o Moskwę, przeciwko Polsce, co prawda nie tak daleko idąc jak brat jego Ma-

---

[1]) Konstytucji tej niema w Vol. legum, ale jest ona w rękopiśmiennych ob. Żereła VIII N. 49 p. 71.

[2]) Rp. b. Jag. 2596 (I).

ksymilian, który wprost żądał zasiłków pieniężnych do wojny przeciwko koronie polskiej.

Ta cała działalność zakusów, jakkolwiek może w szczegółach nie była znaną w Polsce, jednakże w głównych rysach była tam podpatrzoną i ostro zcenzurowaną, i temsamem powinna była urzędników kresowych oddalać od wszelkich działań, mogących wesprzeć zamysły wrogie koronie. Toż np. wiadomo o hetmanie Żółkiewskim, że zamierzał pojmać Chłopickiego [1]), który raz już za króla Stefana osadzony był w wieży, zapewne z powodu działalności szkodliwej dla rzptej. A jednak Mikołaj Jazłowiecki, jakby wspierając te zamiary rakuskie, wchodzi w układy z Kozakami, zbiera drużynę, uzbraja, płaci i nosi się z zamiarem uderzenia na sam Perekop właśnie w chwili, kiedy Tatarzy wyruszyli, by przez Polskę uderzyć na Węgry. Czy zamiary swe poddawał pod cenzurę poważnych mężów rzptej niewiadomo. Mamy z 17 maja 1594 r. wiadomość od Żółkiewskiego, że chciał się z nim widzieć Jazłowiecki, ale nieznaną jest sprawa, nad którą mieli obradować. To pewne, że hetman wszystkie te zakusy Kozaków uważał jako zbrodnicze, jako akt, który jest bez wiedzy publicznej nad wolę króla i rzptej zamierzony. Starosta barski Golski — pisze hetman polny do Zamojskiego — wysłał do Białogrodu z listem, jakiego kopię mi dał, bo w Białogrodzie wiedzą już o nich (Kozakach). Lepiej, że się ta zbrodnia dzieje bez wiedzy publicznej nad wolę króla i rzptej.

Jazłowiecki drogą na Białogród chciał się pokusić o Krym. Ale nie doszedł nawet do Białogrodu, gdyż większa część Kozaków odbiegła go, zanim dostał się pod mury miasta, które zapewne zdobyć zamierzał. Rozczarowany, jak wielu innych, podówczas na pomoc Kozaków liczących, powrócił do domu.

Tak się zakończyła pierwsza wyprawa na własną rękę podjęta przez indiwidualistę, kresowego rycerza, mającego wiele zalet, mogących ułatwić trudne zadanie, bo i animusz przedsiębiorczy i znajomość sztuki wojennej i kresów a wreszcie i przychylność ze strony Kozaków. Rzeczywistość rozwiała jego plany, zanim jeszcze przyszło do jakiegoś wybitniejszego ich zrealizowania i o to powód, dla krórego niema o nich mowy w historji. Nawet współcześni zaledwie wspominają o planach Jazłowieciego; tylko Żółkiewski o wiele lat później publicznie wspomina o Jazłowieckiego nieu-

[1]) Rp. Jag. 3596 (1).

dałym zamiarze, podając go jako przestrogę dla tych, którzy lekceważyli sobie Tatarów, a brali się do dzieła z niekarnymi pomocnikami.

II.

Indywidualizm kresowy jaskrawie występuje w popieraniu pretensyj Mohyłów do tronu mołdawskiego. Mohyłowie, rodzina starodawna mołdawska, jak wiele ówczesnych, szukała poparcia i pomocy dla nieszczęsnej, przewagą Turka, najazdami Tatarów, pretensjami Siedmiogrodzian kołatanej ojczyzny. W Polsce znaleźli nietylko przyjaciół, wspierających ich w niedoli, ale i ucieczkę na czas ucisku, coraz bardziej się zwiększającego ze strony Turcji. Już w 1593 r. głowa rodziny tej, Jeremi Mohyła, a następnie i brat jego, Szymon, otrzymali na sejmie przyznany im indygenat, poczem i Szymon Stroicz, wisternik mołdawski, dostąpił tego rzadko udzielanego zaszczytu. Wszyscy oni zakupili na Pokuciu obszerne majątki, jak majętność uścieckà od Ostrorogów, Dźwinogród, aby mieć punkt oparcia w Polsce, na wypadek nagłego niebezpieczeństwa, mogącego ich wytrącić z ziemi ojczystej. Służba dworska, wojskowa asystencja na zamkach była u mężów tych polska, jak Stanisław Chański, rotmistrz rot polskich pana Jeremiego, Jakób Bobowski, Jan Wolski w służbie pana Symeona, Stanisław Józefowicz w służbie młodego Konstantego, pana uścieckiej włości, obdarzani za wierność przez swoich panów, którzy w Polsce znaleźli drugą ojczyznę. Toż Jeremi miał wśród najznakomitszych magnatów, dygnitarzy, a nawet szlachty, wiernych przyjaciół i gdy mu w chwili ważnej, pod koniec 1599 r., przyszło mianować opiekunów dla małoletniego syna Konstantego, wybrał wśród nich opiekunami hetmana i kanclerza Zamojskiego, polnego hetmana Żółkiewskiego, starostę drohobyckiego Mikołaja Daniłowicza, pisarza ziemi lwowskiej Jana Swoszowskiego, a ze swoich, oprócz brata Symeona, Jerzego Mohyłę, arcywładykę mołdawskiego i Łukasza Stroicza, logofeta mołdawskiego. Córki Jeremiego powychodziły za panów polskich, jak Katarzyna za ks. Samuela Koreckiego, Regina za Michała Wiśniowieckiego, Marja za Stefana Potockiego, Anna za Jana Przerębskiego.

Przyjaźni polskiej zawdzięczał też Jeremi Mohyła hospodarstwo mołdawskie. Jan Zamojski w 1595 r. w pochodzie swym na Cecorę zawarł układ z najeźdźcą Mołdawji, Kazigirejem, na mocy którego

tenże uznał Jeremiego hospodarem z ramienia Polski. Ale już w pięć lat później wyrzucił Jeremiego z Mołdawji multański wojewoda Michał. Przed przewagą sił Michałowych Jeremi z rodziną, otoczony swemi polskiemi rotami pod dowództwem Golskiego i Jordanowskiego umknął z Soczawy do Chocimia, gdzie się zamknął. Król poruczył znowu Zamojskiemu obronę Mołdawji od wrogów i nastąpiła owa świetna wyprawa hetmana, uwieńczona zwycięstwem nad armją Michała nad Telużynem, dzięki któremu obaj Mohyłowie otrzymali hospodarstwa; Jeremi powrócił do Soczawy, Symeon otrzymał Mułtany. Obaj oni mieli na żołdzie wojska polskie i głównie siłami temi i powagą Polski utrzymywali się na tronie przeciwko zakusom ze strony Siedmiogrodu i Turcji.

Po zgonie Jeremiego 1606 r. wynikły na Mołdawji zamieszki. Syn Konstanty, mający wówczas lat dziewięć, otrzymał wprawdzie za wstawieniem się Polski od Turcji chorągiew, czyli potwierdzenie na hospodarstwo, bojarzy jednak ze względu na młodociany wiek Konstantego obrali hospodarem Symeona Mohyłę i Porta dała temuż chorągiew, w obec czego Konstanty stracił tron ojcowski.

Wtedyto nastąpiło werbowanie w Polsce wojsk dla poparcia Konstantego. Kuszono się dwukrotnie. Markiewicz [1]) donosi o pierwszej próbie z 1607 r., że panowie Potoccy wszyscy, pan Struś, książę Michał Wiśniowiecki sprawili się dobrze z wprowadzeniem na państwo Konstantego i uspokoiwszy rzeczy wrócili szczęśliwie Ostatecznie jednak dopiero 1608 widzimy Konstantego w Jassach, gdy Symeon umarł, a poseł polski wyjednał u Porty potwierdzenie dla Konstantego.

Dzięki poparciu szwagrów, o których wyprawie niewiele wiemy i która była przyczyną niezadowolenia w Polsce, objęło chłopię rządy Mołdawji. Niezadowolnie w Polsce objawiło się w dwojakim kierunku; prywatni, jak Mikołaj Lanckoroński, mając na skutek werbowania wojsk w Polsce zniszczone dobra, jak Jagielnicę, Myszkow, Pietniczany, Latawę, pozywali [2]) Konstantego do sądów o zwrot szkód przez żołnierzy poczynionych; na sejmie znowu zapadły postanowienia przeciwko swawolnemu żołnierzowi, a król wydał mandaty, zabraniając wchodzenia w państwa postrone z chorągwiami i nakazał, by z takimi swawolnikami postępowano według świeżych konstytucyj sejmowych.

[1]) S. 10. Por. Hurmuzaki IV. p. 292.

[2]) Pozew 1608 r. 19 czerwca: quia tu collecto in rem suam privato exercitu...

W taki sposób szwagrowie Konstantego Mohyły mieli ręce związane na wypadek, gdyby panowanie tegoż było zagrożone. Można było się dorozumiewać, że panowanie chłopięcia nie potrwa długo. Jeżeli wierzyć relacji bailo carogrockiego przesłanego do Signorji, Konstanty a raczej jego rada opłacali się w Konstantynopolu hojnym trybutem i bogatemi darami. Środki takie tylko do czasu mogły podpierać tron w owych czasach potęgi osmańskiej i niepokojów nad Dunajem. Skoro zjawiłby się kandydat, któryby więcej ofiarowywał aniżeli dawał Konstanty, tron jego był zachwiany.

Takim drugim kandydatem do tronu mołdawskiego był Stefan Tomsza, który złożył trybut Turkom, otrzymał pomoc i posiłki tatarskie i przed którym w początkach 1612 r. Konstaty uciekł z Jass do Soczawy, potem do Chocimia, dokąd wysłał naprzód wszystko mienie. Z Chocimia wysyła Nestora Urekiego, dwornika swego, Konstantego Byczka poharnika i innych do panów polskich, nawet do Lwa Sapiehy kanclerza litewskiego, z prośbą o pomoc. Z wygnańcem przybyły obie Dumny, matka Konstantego Elżbieta i wdowa po Symeonie Margieta, która do Kamieńca pojechała na mieszkanie, a stąd do Lwowa. Turek począł się mocno trwożyć, tępił bojarów, którzy też uciekali z Mołdawji i szukali przytułku w Polsce.

Tutaj akcja była zwrócona przeciw Moskwie i to właśnie było powodem, dla którego Turcja skwapliwie poparła Tomszę. Widzi dobrze ten poganin — mówił o tych wypadkach Lew Sapieha — że mu to nie na rękę, kiedyby król Polski Moskwę miał opanować. Podobnie sądzili i inni senatorowie. Toż Tomsza był potężnie wsparty przez wojska tureckie, podczas gdy od wschodu następował car krymski. Puszczono się za uciekającymi do Polski, przekroczono granice i na Pokuciu i około Kamieńca szeroko spustoszono ogniem i mieczem »siła wsi szlachty spłonęła, siła dusz zaciągniono w niewolę pogańską« mówi król w orędziu, zwołując szlachtę kresową do boku hetmana Żółkiewskiego. Widocznie pogaństwo z nami przyczyny do wzruszenia przymierza szuka, kończył król swe pismo. Car Krymski jest w Oczakowie — donosił strażnik koronny Jan Zamojski. Więc i ci z Budziaku poszli do niego z za Dunaju, także Dobrudzcy Tatarzy i insze Turki i Wołochy jak może kupi nowy hospodar... Nieprzyjaciel szuka przyczyny do wtargnięcia, upomina strażnik.

Zdawałoby się, że król gotów był do wojny z Turczynem, w rzeczywistości dalekim był od tego zamiaru i restytucję Mohyły

na hospodarstwie polecał uważać jako przedsiębiorstwo prywatne. Oto co polecał hetmanowi Żółkiewskiemu: [1]) Aby nie wnosić wojny tureckiej — pisał król — woleliśmy, aby Konstanty sam Tomżę poturczonego zniósł, a tymczasem hetman, Ukrainy, co świeżo w popiół poszła, bronił. Szkoda prywatnych ludzi zbiorów żałować, a tych zwłaszcza, co sobie i nam mieszaniny narobili. W pokoju wskórać mogą, w niepokoju i nas zawiodą i siebie zgubią. Postąpić więc według instrukcji Miaskowskiemu danej... Dobra Twoja rada, aby wojewoda ruski Golski napisał do sędziaków, jak to Tomszyc z naszemi państwami poczyna i posłom naszym przejazdu bronić grozi. Posła Tomszynego i Kapudziów zatrzymanie nie podoba się nam; miały się te rzeczy wedle prawa narodów odprawić. Niech hospodar (Konstanty) do Chocimia iusto exercitu powróci dla dalszej suspicji pogańskiej, aby snać nieprzyjacielowi nie zdawał się ustępować wszystkiego. Kwarciani zostać mogą ale owi, których konieczność teraźniejsza wymaga, aby na zawod pieniędzy wołoskich byli zaciągnieni.

Jeszcze wyraźniej zamiar unikania wojny z Turcją, wypływa z instrukcji danej dworzaninowi królewskiemu Wojciechowi Miaskowskiemu, wysłanemu do hetmana, tudzież do Stefana Potockiego, starosty felińskiego.

Dowie się — brzmi instrukcja [2]) dla Miaskowskiego — czy gubernatorowie wołoskiej ziemi prześli, rzucili się na poratowanie tej tam prowincji i Ukrainy podolskiej za naszem żądaniem. Jeśliby zastał rzeczy surowe, albo takie, któreby i żołnierzowi i haraczowi i upominkom zwyczajnym baszom wydołać nie mogły, otworzy wolę naszą tak hetmanowi jako i staroście, że my znowu upomnieć ich i wieść do tego Miaskowskiemu nakazaliśmy. Ale gdzieby ociętni być chcieli, ostatnią wolą otworzyć im przyjdzie, aby owi z depozytów ich, gdziebykolwiek się nalazły, tak te rzeczy opatrzyli, jakoby i haracz Turkowi był odesłany i Konstanty jako najpotężniej tam tego intruza sparł i posiłki wojska kwarcianego na granicach stanęły ich dostatkami, ponieważ ich złe rady w tę mięszaninę i pana ich prowincją tamtę i granice państw naszych wprowadziły... Upomni się Miaskowski, aby (z depozytów) nic in privatorum emolumentum nie szło, ale jeśli sto zbioru będzie, aby się nad pierwsze pomie-

[1]) List z 10 kwietnia 1612 Rp. bibl. lud. Cieszyńskiej 350 p. 351.
[2]) Ibid. p. 349.

nione potrzeby i na upominki tatarskie co odłożyć mogło i na sustentację hospodarską — ostatek pod pieczęcią hetmana i starosty zachować i nic bez wiadomości ich nie ma czynić Miaskowski.

Tak przeto skarbiec mołdawski w Chocimiu się znajdujący, miał posłużyć i na zapłacenie haraczu przez Konstantego Mohyłę składanego i na upominki dla baszów i na zaciągi żołnierza na rzecz Konstantego celem czem rychlejszego wyparcia Tomży z Mołdawji. Gdy jeszcze hetman stanie na granicy, pokój rychło zapanuje w Mołdawji — sądził król — a korona nie będzie wmieszaną w nową wojnę, zaciągi bowiem na rzecz Mohyły miały być sprawą jego samego i ze skarbu jego pokryte.

Żółkiewski rad nie rad musiał się zastosować do woli króla. Jako żołnierz doświadczony wiedział, że taka wyprawa celem posadzenia Konstantego na stolicy zajętej przez liczne wojska tureckie pod wodzą sprawnych baszów, posiłkowanych przez Wołochów, a co bardziej przez lotnych Tatarów, będzie rzeczą nad siły Stefana Potockiego. Ten atoli nie szczędził skarbca mołdawskiego i czynił wszelkie w Polsce zaciągi i rycerstwo nawet doświadczone w wojnach moskiewskich śpieszyło zewsząd po żołd pod chorągwie wojewody Konstantego. Zbierało się zaś wojsko na granicy mołdawskiej, niszcząc tu włoście pp. Stanisławskich, Elżbiety Cebrowskiej i innych właścicieli pogranicznych siół, którzy wszyscy w skargach swych wnoszonych do grodów o odszkodowanie godzili się na jedno, że siła wojska zebranego wynosiła dwadzieścia tysięcy. Kierunek szedł od Konstantego Mohyły, a właściwie od Stefana Potockiego, w Kamieńcu podolskiem rezydujących. Żółkiewski poruczył dowództwo załogi polskiej w Chocimiu Stanisławowi Golskiemu, wojewodzie Rusi, sam zaś, za wtargnięciem do Wołoch »tych swawolników«, żeby tem większe rozgoryczenie nie przyczyniło się do zatrudnienia rzptej, musiał obesłać Kozaków i upomnieć, by krzywd nie czynili — i posunął się bardziej ku wschodowi, by bronić tatarom wtargnięcia...

Tymczasem od czujnego Golskiego nadeszły wieści o strasznym losie »swawolników«. Pod dniem 23 lipca z obozu pod Chocimem rozesłał Golski listy, że wojsko, które z Potockim do Wołoch poszło, jest rozgromionione, rotmistrze pobici: sam Potocki i hospodar albo pojmani, albo pobici. Z tak znacznej wiktorji nieprzyjaciel wziął serce wielkie. Z garścią wojska tu jestem na ryzie; przyjdzie klęska na to wojsko, a wrota otwarte do rzptej. Śpieszcie a rychło na pomoc — wzywał wojewoda szlachtę.

O klęsce samej, zaszłej na Sasowym rogu nad Prutem, opowiada nam współczesny Markiewicz [1]), że z niemałem wojskiem polskiem poszedł pan Stefan, że bitwę sromotnie z Turki i Wołochy przegrał, sam do więzienia się dostał, z wielką osławą i ohydą narodu polskiego wojsko wszystko stracił, bo czego nieprzyjaciel nie pokonał, to w Prucie albo w Dzieży, rzekach, gdzie bitwę zwiedli, potonęli; tysiączny ledwie wrócił. Płacz i narzekanie matek naszych było wielkie w Polsce o stracenie dzieci, bo z akademji, z szkół wywiódł był na tę wojnę i potracił łacno. Także i współczesny Zbigniew Ossoliński gani złe dowództwo i »zuchwalstwo« Potockiego [2]), podczas gdy Pszonka [3]) upadek wojska przypisuje nieostrożności wodza, dodając i to, że wojewodowie ruski, Golski, tudzież bracławski, Jakób Potocki, ze zmartwienia pomarli niebawem już po otrzymanej smutnej wieści o klęsce. Naima effendi, przypisujący zwycięstwo mylnie walemu Sylistrji, Ibrahimowi paszy, donosi o zdobyciu wszystkiego taboru niewiernych [4]). Wszyscy zaś zgodni są w tem, że mało kto powrócił z tej klęski do ojczyzny; jedni bowiem zginęli, inni poszli w niewolę. Najdzielniejsi rotmistrze rot husarskich, jak Kamiński, Jordanowski, Ujazdowski, Chomętowski, Tworzański, Stanisław Potocki itp. zginęli wraz z rotami nawet po 200 koni liczącemi. Zaledwie kilku z rot Kłodnickiego, Sienińskiego, Stroyczowej, Plichty, Lyczkowskiego, Krzetowskiego przedostało się do granicy [5]) — zaiste, skoro się weźmie na uwagę tysiące biorących udział rycerzy, liczba znikomie mała, stu kilkudziesięciu ludzi... Stefan Potocki i hospodar Konstanty dostali się do niewoli. Wołosi z Tatarami zalali całe pogranicze — czytamy w diarjuszu O. Wielewickiego — i gdyby Żółkiewski nie zwołał był żołnierza, który z wojny moskiewskiej powracał, i nie stanął z nim przeciwko Tatarom, niebezpieczeństwo rzpltej byłoby jeszcze większe [6]). Zasmakowała im korzyść i łupy — mówi Żółkiewski, pod Skałą broniący przejścia Tatarom w połowie sierpnia — jakich nabrali, jak nigdy przedtem.

---

[1]) p. 80.
[2]) Pamiętnik S. 35.
[3]) Przonka 50.
[4]) Senkowski. Collect. I. 126.
[5]) Spis w Castr. Hal. 115 p. 463. p. t. Regest Towarzystwa, którzy z Wołoch wyśli.
[6]) Wielewicki III 70.

Żółkiewski wyznaczył obóz dla rycerstwa swego pod Tatarzyskami nad Studenicą, pomknął się sam pod Szerlejów; car krymski musiał obrócić się do Mołdawji. Król dziękował hetmanowi, że w powszechnem zatrwożeniu umysłów mężnie staje przeciwko nieprzyjacielowi; donosił, że Tomsza przysłał listy do królewicza i do koronnych urzędników, ofiarowując swe posługi i prosząc o wstąpienie z nim w traktaty. Na dniu 8 października pod wsią Brahą u Chocimia komisarze królewscy i Tomszy zawarli ugodę, na mocy której nowy hospodar przyrzekał wiarę i życzliwość Koronie, zamek chocimski pozostawiał w ręku Polaków, Stefana Potockiego i innych jeńców bez okupu miał wypuścić na wolność i powrócić szkody, poczynione w Polsce przez spustoszenia [1]).

Ale już w kilka tygodni po tym traktacie wojsko tatarskie wpadło z Baterbejem pod Murafę w 40.000, gdzie mu drogę zastąpił Tomasz Zamojski. Pokoju nie było, gdyż Turcja stanowczo żądała powstrzymania Kozaków od napadów, czego rzplta uczynić nie mogła. Sejm w 1613 r. wydał wprawdzie konstytucje sejmowe o Kozakach i ludziach swawolnych, zabronił prywatnych zaciągów żołnierza ku infestowaniu państw pogranicznych, starostowie atoli pograniczni, na których ciążyła egzekucja tych ustaw, nie mieli sił potrzebnych do wykonania tejże. Tatarzy i Tomsza stawiali się znowu wrogo przeciwko Polsce.

Toż już w 1613 r. król polecił oskarżyć w Carogrodzie Tomszę, iż tenże nie stara się o pokój z Polską i przyjaźń z sułtanem, a nadto daje przyczyny do zerwania zawartego z nim przymierza, chowając przy sobie swawolnych ludzi i na skargi i zażalenia nie czyniąc zadość pokrzywdzonym. Ponieważ jednak napady Kozaków nie ustawały, skarga króla Zygmunta nie była wysłuchaną i Tomsza dalej stawiał się hardo przeciwko Polakom. Co prawda, mógł wiedzieć, że sejm 1613 r. pod srogiemi karami zabronił obywatelom Polski najeżdżać przyległe państwa, zbierać wojska i targać przyjaźń sąsiedzką [2]). Swawolną szlachtę, zbierającą kupy i wpadającą w granice Wołoszczyzny i Węgier, polecono na sejmie uważać za prostych rozbójników i rozciągnąć na nich konstytucję 1588 roku o rozbójnikach województwa ruskiego.

(Dok. nast.)

Dr. A. Prochaska.

---

[1]) Pisma Żółkiewskiego, 453.
[2]) Vol. l. III, 163 cf. 180.

O dusze dorastającej młodzieży.

Kwestją wychowania jednolitej zdrowej duszy młodzieży dla dobra i rozwoju życia społecznego zajmują się dziś wszystkie społeczeństwa.

Niektóre narody poczyniły wielkie wkłady i czynią wciąż w wychowanie jednolitej i zdrowej duszy narodowej. Dobre i liczne rezultaty już osiągnęły społeczeństwa, jak Szwajcarja, część Belgji, także Holandja, Szwecja i t. d.. a nawet Chorwaci i Słowieńcy w Krainie. Jednolite wychowanie młodzieży dało społeczeństwom w ostatnich czasach na wszystkich polach wytrawnych polityków, znakomitych socjologów, umiejętnych apologetów, prawdziwych uczonych, mądrych prawodawców, zdrowych artystów, głębokich mistrzów, obrotnych przemysłowców, zdolnych i sumiennych rękodzielników, uczciwych i obywatelskich kupców, kulturalnych i pracowitych robotników, oddane pracy społecznej i pełne poświęcenia kobiety.

U nas w Polsce również kwestja wychowania młodzieży poruszyła wszystkie czynniki zawodowe. Zapożyczono z obcych społeczeństw dość wiele, próbowano u nas niemal wszystkiego, ale niczego na serjo dobrze i dokładnie nie wykończono. A przecież w kierunku wychowania jednolitej duszy polskiej jeszcze nam dużo pozostało do zrobienia. Prawda, że nasz naród, jak żaden inny, miał wielkie trudności nie tylko wewnętrzne ale i zewnętrzne. Faktem jednak jest, że braki są jeszcze wielkie w wychowaniu młodzieży w naszym narodzie.

Błędy te i narodowe braki w wychowaniu stwierdzają zbyt liczne, krnąbrne, mędrkujące, swawolne, pyszałkowate jednostki starszych gimnazjalistów i realistów, za wielki procent młodzieży uniwersyteckiej bez religji i prawdziwej etyki, a przytem wiecznie politykującej. A wśród naszych bogatych posiadaczy ziemi, mająt-

ków i kapitału młodzież przeważnie prowadzi życie próżniacze, potem trwoni swe majątki, a karjerą jej społeczną jest dobrze się ożenić.

Nie lepiej wśród młodzieży rękodzielniczej, przemysłowej, handlowej i robotniczej. Tesame przeważnie błędy, co u młodzieży z inteligencji z dodatkiem większego braku zewnętrznej kultury, form towarzyskich i większego zewnętrznego podłoża do częstych występków zbrodni, kradzieży, rozboju, morderstw. We wszystkiem przeważnie chodzi o zdobycie pieniędzy bez wielkiej pracy, o używanie rozkoszy i zaspokojenie najniższych namiętności.

A kto był w pierwszych miesiącach podczas światowej wojny w barakach Choceńskich lub zwiedził placówki naszych wychodźców choćby tylko w Czechach lub na Morawach i sam się dotknął ich życia i posłyszał skargi obcych, ze zdumieniem mógł stwierdzić, jak ciemne, brudne i wstrętne szumowiny mogło wydać ze siebie nasze polskie społeczeństwo i wytworzyć takie orgje zwyrodnienia i grubych rozszalałych namiętności polskiej młodzieży obojga płci, orgje, które potrafiły tak sponiewierać i zohydzić nas wobec obcych. Tu dopiero zrozumie się, żeśmy kolosalnie zaniedbali i dużo zawinili w wychowaniu młodzieży.

A przypatrzmy się młodym synom wiejskim, np. jadącym lub powracającym z asenterunku, podobnym do nierozumnych istot, wydobywającym ze siebie przeraźliwe głosy i przybierającym pozy obłąkańców i cyników. Jaki to straszny i przygniatający obraz i wyciskający wobec obcych rumieniec wstydu na obliczach polskich. I na ten obraz wciąż i wszędzie po ziemiach polskich musimy patrzeć bezradnie. Coraz częstsze są skargi, że na wsiach coraz więcej dzieci nieślubnych. Nasza młodzież wiejska, do ostatnich czasów bardzo zdrowa, coraz bardziej poczyna podlegać rozmaitym chorobom, dotychczas nieznanym po naszych wioskach.

Rozważmy dalej fakt, że np. w Trzebini w fabryce sztucznych drogich kamieni nie można było rozmówić się inaczej, jak po włosku lub po francusku, bo robotnice były same włoszki i francuski. a polskie dziewczęta w Europie i Ameryce, a nawet i w innych częściach świata nie są znane z przemysłu, z wyrobów koronek brabanckich, haftów i t. d., ale z tego, że są żywym towarem dla świata całego.

A czem się tłumaczy, dlaczego w naszem polskiem społeczeństwie w porównaniu z innemi tak mało polityków i wodzów narodowych, którzyby potrafili dzierżyć w swych rękach ster najży-

wotniejszych spraw narodowych i kierować narodem w najkrytyczniejszych chwilach i prowadzić go ku lepszej i świetniejszej doli? Wszędzie się daje odczuć wielki brak wybitnych i znakomitych mężów na każdem polu, nauki, wiedzy, filozofji, ekonomji itd. Przedewszystkiem my właściwie nie mamy, a przynajmniej zamało mamy tęgich, wielkich i odważnych świeckich katolików, którzyby w sejmie, w gminach, w akcji społecznej, w życiu prywatnem i publicznem, gdzie reprezentowali Kościół katolicki, którzyby umieli energicznie bronić jego żywotności, wielkości, wpływów i stanu posiadania.

Z tegosamego zaniedbania wypływa wielki brak energicznych ojców, uczciwych mężów, tęgich głów rodziny; wyrobionych, wyszkolonych, obowiązkowych obywateli kraju i narodu. Brakiem wychowania od podstaw i fundamentu tłumaczy się, że zamało mamy mądrych, cnotliwych, gospodarczych niewiast polskich.

Wskutek zaniedbania młodzieży zawczasu i w odpowiednim okresie dwie oprócz innych utworzyły się bolące i szkodliwe rany w organizmie naszego społeczeństwa: wychodźctwo do obcych krajów i zalew polskiej ziemi obcym przemysłem i handlem. Polscy synowie i córki na polskiej ziemi nie mogą się wyżywić, ale musieli iść do obcych po chleb, a setki tysięcy obcych na ziemi polskiej znachodzą obficie chleb, pieniądz i bogactwo.

Z tego samego źródła wypływa smutny fakt, że kiedy Czesi nie płacą ani halerza podatków państwowych i krajowych, bo za nich płacą drzewa owocowe zasadzone po drogach, to na naszych ziemiach z powodu zapoznania umiejętnej pracowitości rosną dotychczas same wierzby i olchy, widzi się całe przestrzenie nieuprawionej ziemi, błota nieprzebyte przy domach. Nieposzanowanie cudzej własności tak jest zakorzenione, że bywają nierzadkie wypadki, iż nikt nie je własnych owoców, ale każdy skradzione. Dotychczas nie można utrzymać w spokoju i w całości nie tylko owoców, ale kwiatka, drzew, płotów, tablic przy drogach i t. d., nawet zając w polu, wiewiórka w lesie nie może przejść koło wiejskiej młodzieży.

Moglibyśmy jeszcze długo wyliczać braki naszego życia społecznego. Otóż pytanie wielkie co za przyczyna tych błędów. Co za źródło tych braków licznych i wadliwych?

Twierdzę stanowczo, że przedewszystkiem zapoznanie wychowania starszej młodzieży obojga płci, w okresie przeciętnie od roku 14 do 24.

Nie pomoże wykładać katechizm dzieciom i niedorosłej młodzieży choćby po mistrzowsku, choćby z gorliwości księża katecheci wygadali płuca, a ich ilość wzrosła do niebywałej liczby, jeśli odpowiednie czynniki nie potrafią starszej młodzieży ugruntować w religijności i pobożności chrześcijańskiej. Próżny będzie trud, choćby pierwszo- i drugo-klasista gimnazjum chodził codziennie do Komunji św., jeżeli w 6, 7 lub 8 klasie odpowiednie czynniki nie potrafiły zatrzymać go pod wpływem Eucharystji. Nie pomoże choćby najidealniejsze, najtroskliwsze, i najumiejętniejsze wychowanie maleńkich dzieci czy w rodzinie, czy w szkole, czy w ochronce, czy po pensjonatach, jeżeli społeczeństwo i jego odpowiednie czynniki w dalszym ciągu nie zajmą się wychowaniem umiejętnem, systematycznem, celowem młodzieży w okresie od lat 14—24, tak w rodzinie jak w szkole. A przedewszystkiem w tym okresie trzeba absolutnie się zająć życiem pozaszkolnem, t. j. życiem w towarzystwach, na ulicy, w zabawach, w stowarzyszeniach, w sportach, trzeba się zająć ich książkami, życiem koleżeńskiem, partjami i t. d.

Życie pozarodzinne i pozaszkolne tego okresu od lat 14—24, wprost decyduje o przyszłości młodzieży. Ten to okres ma na myśli Krasiński, gdy wygłasza, że życie młodzieńcze jest rzeźbiarką życia późniejszego, a trzeba to rozumieć o życiu rodzinnem, narodowem, religijnem, społecznem, ekonomicznem.

Pytanie, dlaczego ten okres. Jest to naturalne. Do lat bowiem przeciętnie 14-tu młodzież żyje życiem starszych. Wybór własnych dróg życiowych zwykle następuje dopiero przeważnie w okresie po latach 14-tu. Po roku 14-tym organizm chłopca jest w stadjum przesilenia. Budzi się w nim namiętność, wywierająca największy wpływ na umysł i wolę. Wskutek przeobrażeń organicznych chłopiec między 15—17 rokiem jest jakby w ciągłem podnieceniu, a wiemy do czego człowiek zdolny jest w takim stanie. Łatwo nim wtedy owłada szlachetny zapał, ale jeszcze łatwiej występek nawet najbardziej wyrafinowany. Świadczą o tem statystyki o nieletnich zbrodniarzach.

Fantazja i cała umysłowość wskutek fizjologicznego podniecenia szuka nowej strawy, zwraca się przedewszystkiem do zagadki początków istnienia człowieka i rozwiązuje ją w samotności, lub pod kierunkiem najgorszych pedagogów — zepsutych rówieśników. W tym okresie rodzić się zaczyna myśl samodzielna, biorąca często pod analizę krytyki dawne przekonania i wierzenia, wszczepione

w duszę słowem matki, katechety lub nauczyciela. Pozostaje pragnienie zdobycia wiedzy, a przynajmniej żądza wielu wrażeń, ale poza opiekuńczem okiem rodziców, przełożonych. Wzrost sił fizycznych, szczęśliwe tu i ówdzie zaimponowanie zręcznością, bystrością wywołuje zbytnie zaufanie w sobie, które często po wielu zawodach i stratach niweczy twarda szkoła życia — niekiedy zapóźno!

W tych latach po raz pierwszy pada na wolę ciężar pokus zmysłowych, a pod nim albo się wola gnie i łamie na wielkie nieszczęście swoje i drugich, albo nabiera tężyzny, prawdziwie stalowego charakteru. Istotnie w tych latach zawiązuje się zdrowy charakter, albo przeciwnie miernota, nikczemność, podłość zakładają swe gniazda. Tu tkwi początek męskiej rzetelności i sumienności, poświęcenia dla sprawy publicznej i tu sięgają początki rozrzutności i samolubstwa. Tu prawdziwie rozpoczyna się droga życia, z której niełatwo później zboczyć.

Młodzieniec zatem w tych latach ma przed sobą olbrzymie zadanie, ale do jego szczęśliwego wykonania brak mu najbardziej podstawowych środków: odpowiedniej mądrości życiowej i doświadczenia, brak wyrobienia i stanowczości. Braki te muszą uzupełnić starsi. Bywa atoli zazwyczaj inaczej. Rodzice zadowoleni, że syn już wyrósł, że nabrał odpowiednich sił, bardzo często nie dbają prawie całkiem o niego, ot tyle tylko, by był uczciwie ubrany i nie narzekał, że głodny, lub byle zewnętrznie zachował kulturalne formy towarzyskie, rodzinne, nie odbiegał od zwyczajów i nawyczek rodowych, patrjotycznych, lecz do jego duszy sami sobie odmawiają wstępu. Z drugiej znów strony wrogowie moralności i fałszywi i destruktywni apostołowie wiedzą o podatności młodzieńca na wpływy obce i umieją podawać jad niemoralności i fałszu w ponętnej formie kinoteatrów, powieści, dzieł i broszur pseudonaukowych. Słowem, niebezpieczeństwo jest podwójne.

Okres przejściowy trwa mniej więcej do 24 roku; po skończeniu zaś lat 24 zwykle nie może być już mowy o wyrobieniu duszy ludzkiej, gdyż już w danym osobniku powstała jakby druga natura ze swemi wadami lub cnotami, lub zakorzenionemi namiętnościami. A wtedy bardzo trudno zmieniać, naginać. W okresie od 14 do 24 lat w umyśle, sercu, duszy, charakterze, narowach, błędach, cnotach jednem słowem w całem jestestwie każdej jednostki wszystko już się indywidualnie kształtuje, wyrabia, ustala. Dlatego

to w tym okresie, to zwycięża i ostatecznie się wykończa, co najsilniej wpływa, otacza, porywa.

Tem się tłumaczy, że niejeden chłopiec do lat 14 jest dobry, posłuszny, czysty, pilny, przystępujący z ochotą i wiarą do św. Sakramentów, naraz w okresie od lat 14 do 24 poczyna się zupełnie zmieniać i staje częstokroć na stanowisku wprost przeciwnem do dawnych zasad i dawnego swego postępowania. A przeciwnie nieraz młodzieniec o charakterze bardzo wadliwym, przykrym, częstokroć już zepsutym, pod wpływem pracy zdrowych czynników i zdrowej atmosfery wychowawczej w tym okresie przemienia się korzystnie pod każdym względem dla przyszłości życia.

Stąd ludzie dobrej woli w społeczeństwach dobrze uporządkowanych już oddawna zwrócili uwagę na ten okres życia młodzieży i najtroskliwszą opieką otoczyli, wielkie i wszechstronne dla tego okresu czynią wkłady pracy wychowawczej. A jeśli w jakiemkolwiek społeczeństwie rozważymy i podziwiamy znakomite owoce i rezultaty życia religijnego, narodowego, społecznego, gospodarczego, to z pewnością trzeba szukać tego źródła w pracy i wpływach okresu od lat 14 do 24 życia.

Stąd wszelkie partje wywrotowe i destrukcyjne niewiele się troszczą o okres dziecięcy i młodszej młodzieży do lat 14, ale za to wszystkie swe siły wytężają, by zapędzić i zagarnąć w swe kadry młodzież starszą obojga płci. Jest to głębokie zrozumienie i odczucie, którem wszelkie zło w całej pełni i instyktownie się kieruje i przeprowadza skutecznie swe zgubne zamiary.

Wobec tej prawdy nic nam nie pozostaje, jak zrozumieć ważność tego okresu, a zrozumiawszy, otoczyć ten okres najtroskliwszą opieką i czynić wszelkie umiejętne, systematyczne, wypróbowane, trwałe i ustawiczne wkłady pracy około wychowania młodzieży w tym okresie. Trzeba się dać koniecznie przekonać, że życie pozaszkolne i pozarodzinne musi być ujęte w społeczeństwie dobrze urządzonem w ręce ludzi uczciwych, wypróbowanych w cnotach obywatelskich i znanych w społeczeństwie. Wychowanie starszej młodzieży i to w tym okresie bezwarunkowo nie może być zostawione wpływom ulicy, złych towarzystw, złych partyj i złych książek.

Troski o wychowanie młodzieży tego okresu nie można zostawiać samejże młodzieży, choćby chodziło o młodzież, uczęszczającą na uniwersytet, lub do innych szkół wyższych. Musi ona być ko-

niecznie nie tylko kontrolowaną, ale wychowywaną przez zdrową i doświadczoną część społeczeństwa.

My nieraz myślimy, że młodzież starszą, zwłaszcza z inteligencji można pozostawić samej sobie i jej życie poza domem, szkołą, czy zawodowemi obowiązkami, może być zostawione samemu sobie. Jest to błąd bezwzględnie zgubny i nieobliczalne szkody przynoszący zdrowemu życiu całego naszego społeczeństwa.

Okres przeciętnie od lat 14 do 24 musi jeszcze podlegać wychowaniu w całej swej rozciągłości i we wszystkich stanach społecznych i we wszystkich objawach życia społecznego. Dlatego jeśli chcemy w naszem społeczeństwie umniejszyć liczbę wykolejonych jednostek, zatamować falę szumowin społecznych, żyć w spokoju po miastach przed złodziejami i rabusiami, a z drugiej strony, jeśli chcemy w społeczeństwie naszem i w całym narodzie więcej zdrowia moralnego w życiu prywatnem i publicznem, więcej ładu, zgody, harmonji, porządku, kultury prawdziwej, cnót obywatelskich, obywateli pożytecznych, wyrobionych, sumiennych, obowiązkowych, to nie odkładajmy na lepsze czasy tej pracy, ale jak najprędzej zabierzmy się do ratowania starszej młodzieży od lat 14 do 24.

Niech w tej pracy wspólnie razem z młodzieżą starszą podadzą sobie ręce nie tylko rodzina i szkoła, ale wszyscy, a zwłaszcza kapłani, lekarze, adwokaci, właściciele kapitałów i majątków, fabryk, pracowni rękodzielniczych, firm handlowych. A także niewiasty polskie w tej pracy na wszystkich polach mogą oddać wielkie usługi.

A jak to przeprowadzić? Sposób przeprowadzenia tej pracy nad młodzieżą starszą zasadniczo trzeba oprzeć o jednolitą atmosferę wychowawczą i to na następujących zasadach:

Po pierwsze, całe to wychowanie ma być oparte na podstawach Ewangelji Chrystusowej i nauki Kościoła katolickiego i ten postulat ze ścisłą konsekwencją przeprowadzić w całej rozciągłości zdecydowanie, tak by ten duch wszedł we wszystkie przejawy życia prywatnego i publicznego młodzieży starszej. Bo inaczej takie dotychczasowe na pół lub trochę katolickie wychowanie wiecznie niezdecydowane, będzie ustawicznie chromało, wadliwe i niedokończone, będzie dyskredytowało na każdym kroku twórczą i dobroczynną moc wiary chrześcijańskiej i religji katolickiej. A przytem takie wychowanie na pół katolickie wciąż chodzić

będzie po manowcach i tracić czas i siły na rozmaite eksperymenta, teorje i programy.

Powtóre, wychowanie starszej młodzieży ma być oparte o gruntowną znajomość braków i potrzeb narodowych. Bez tej znajomości wychowanie nasze popełniałoby znowu wiele błędów i nie zmierzałoby świadomie a stanowczo i pewnie a skutecznie do prawdziwych i owocnych rezultatów wychowawczych nie tylko dla dobra osobistego, ale też i dla dobra całego narodu i państwa.

Po trzecie, celem przeprowadzenia i utrwalenia umiejętnej i silnej organizacji obywatelskiego wychowania starszej młodzieży trzeba powołać do życia narodowy i katolicki Instytut wychowawczy, któryby stał nie tylko na czele całego tego wychowania, aleby i kierował niem w Polsce.

A ponieważ nasze czasy to czasy organizowania się wszystkich i wszystkiego, dlatego też, po czwarte, i praca wychowawcza młodzieży od lat 14 do 24 musi być ujęta w umiejętną i systematyczną organizację.

Znamienna jest rzecz, że katolicy w Polsce do tego czasu nie mogli stworzyć i utrwalić nawet trzech stowarzyszeń akademickiej młodzieży, a o katolickich stowarzyszeniach młodych artystów, młodych urzędników, uczniów akademji handlowej, przemysłowej dotąd niema ani mowy. Na tyle miljonów katolików my dla czeladników katolickich i starszych młodocianych robotników nic dotychczas nie potrafiliśmy zbudować, ani jednego domu i hospicjum.

Co się tyczy organizacji młodzieży wiejskiej, to są tu i ówdzie próby, ale próby te są niewystarczające. Nie dość zająć się pewną liczbą sierót, podrzutków lub zepsutych chłopców, lub od czasu do czasu zgromadzić w niedzielę trochę młodzieży na jakąś pogadankę, lub śpiew i deklamację. Trzeba koniecznie za wszelką cenę wziąć się u nas do pracy organizacyjnej wychowania całych mas starszej młodzieży obojga płci na wszystkich polach.

A więc należy zorganizować młodzież akademicką i młodzież wszelkich wyższych szkół, a przedewszystkiem — kładę na to nacisk — starszą młodzież gimnazjalną. Daremne nasze trudy szkolne i rodzinne, jeżeli życie starszej młodzieży gimnazjalnej nie będzie ujęte w dobre ręce zdrowych katolików i narodowych organizncyj pozaszkolnych. Znieśmy system zakazu, bo zakaz należenia do jakiejkolwiek organizacji jest już przestarzały. Z takiego zakazu wynika zwykle to, co w swym systemie stwierdziła Rosja, że złe zakazane

organizacje zawsze znajdą sposób zwerbowania starszej młodzieży, a dobrzy chłopcy do dobrych organizacyj z powodu zakazu boją się należeć. Na takich zakazach tylko zyskują złe i przewrotne organizacje. Nie bójmy się otwartej, dobrej, zdrowej, a zwłaszcza katolickiej pracy w organizacjach, jak się nie boją tego inne społeczeństwa.

Dalej, trzeba zorganizować na zasadach powyższych starszą młodzież handlową, przemysłową i rękodzielniczą po miastach i miejscowościach przemysłowych. Inaczej niema mowy o czysto polskim handlu i przemyśle, bo choćbyśmy miljony i miljardy wydali na ratunek, na podniesienie i odbudowanie przemysłu i rękodzieł, gdy nie będzie zdolnych, fachowych, obrotnych i sumiennych sił wytwórczych polskich, to miljony przepłyną jak przez wór dziurawy do cudzych kieszeni, a przemysł i handel na ziemiach polskich jak był tak będzie zalany przez obcych [1]).

W naszym kraju przeważnie rolniczym koniecznie i bez zwłoki zabierzmy się do wychowania starszej młodzieży wiejskiej. Bez tego ujęcia pracy wychowawczej w umiejętne organizacje, niema mowy o podniesieniu rolnictwa i przemysłu po naszych wsiach. Umiejętne i systematyczne wychowanie młodzieży wiejskiej może wielce zabliźnić ranę wychodźctwa, uczynić naszą wieś kulturalniejszą, bogatą, wytwórczą, przemysłową, pełną ogrodów i kwiecia, kas, spółek mleczarskich, owocowych i innego rodzaju gospodarczych.

Zorganizowanie kobiet i dziewcząt polskich wszystkich stanów uzupełni całość pracy wszystkich stanów dla dobra, potęgi, rozwoju i lepszej przyszłości narodowej [2]).

W ramy tych organizacyj będzie można wszystko wtłoczyć, co usuwa i plewi błędy narodowe, a zaszczepia cnoty narodowo-obywatelskie.

Największą trudność w tej sprawie wychowania starszej młodzieży tego okresu stanowi to, że nie ma funduszów i że mało kto ma ochotę na serjo i systematycznie zabrać się do tej pracy. Wszystkich odstraszają liczne i przykre trudności. Ale i to da się usunąć.

---

[1]) Po informacje w sprawie organizacji młodzieży rękodzielniczej i przemysłowej można się zwrócić do Sekretarjatu Polskiego Związku kat. uczniów rękodzielniczych i przemysłowych, Kraków, ul. Krupnicza 29.

[2]) Po informacje w sprawie organizacyj stowarzyszeń kulturalno-oświatowych można się zwracać do Poznania, gdzie stoi na czele tej akcji ks. Wal. Adamski, lub do Krakowa, Plac Marjacki 2.

Inne społeczeństwa przed 60 lub 50 ciu laty miały te same z początku trudności, a jednak je przezwyciężyły i dziś cieszą się znakomitemi owocami swej pracy nad starszą młodzieżą. Mogły tamte społeczeństwa tyle dokonać twórczych dzieł i tyle milionów znakomitych obywateli i obywatelek wychować dla swego narodu, potrafi to uskutecznić i nasze społeczeństwo. Po latach systematycznej i umiejętnej pracy dojdzie i ono do pożądanych rezultatów, byle pracę tę tak zbudować silnie i fundamentalnie, by co chwilę się nie rwała, ale ustawicznie rosła i udoskonalała się.

A na koniec jeszcze jedno — Powiedział Chrystus Pan: »Idąc tedy nauczajcie«. A więc iść, to nie znaczy czekać, aż ktoś do nas przyjdzie, ale znaczy to udać się do nieświadomych, do potrzebujących, do opuszczonych i zdobyć ich dla danej sprawy. Zasada ta, którą Chrystus wypowiedział celem zdobycia świata dla swego Królestwa, ma to samo zastosowanie w zdobyciu młodzieży dla dobra społeczeństwa. To polecenie Chrystusowe wypływa ze znajomości ludzkiego umysłu i serca. Jak słusznie mówi Paweł Bourget: »Prawdziwym środkiem propagandy nie jest ani doktryna ani rozumowanie, lecz styczność jednej duszy z drugą«. Dlatego Chrystus, Ten największy psycholog ludzkiej natury, tak położył nacisk na obowiązek pójścia do potrzebujących. Chrystus zdobył świat i zawsze zdobywa ludzkie dusze i urabia je dla Królestwa Bożego nietyle tą drugą incyzą »nauczajcie« ale pierwszą »idźcie«.

Praca społeczna w wychowaniu starszej młodzieży nie może być czem innem, jak tylko spełnieniem owego najmędrszego wskaźnika wszelkiej pracy twórczej: »idąc tedy nauczajcie«.

To też ten wskaźnik Chrystusowy podchwycili wrogowie ładu i prawdy i poszli do starszej młodzieży wszystkich stanów i zdobyli zaniedbane przez polskich katolików posterunki.

A więc i my idźmy osobiście, tak kapłani jak świeccy, do starszej młodzieży wszystkich stanów w Polsce: do młodzieży uniwersyteckiej i gimnazjalnej, do handlowej i przemysłowej, do rękodzielniczej i wiejskiej, do chłopców i dziewcząt.

Takiej pracy społecznej w duchu katolickim nad starszą młodzieżą polską żąda bezwzględnie od nas Bóg i Ojczyzna.

Ks. M. Kuznowicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Najnowsza powieść polska.

(C. d.).

III. Powieść psychologiczna.

St. Wł. Kamocki: Dziecię natchnienia. — H. Zbierzchowski: Człowiek o dwu twarzach. — T. Konczyński: Blaski miłości. — K. Glinka: Spotkanie. — St. Dzikowski: Gracz.

Krytyka literacka w Polsce ma obok całego szeregu grzechów na sumieniu swojem i ten jeszcze, że od lat kilkunastu ani razu nie uświadomiła czytelnikom i autorom faktu, iż zbyt wiele czasu poświęca się powieści. Naturalnie dodać tu trzeba: powieści marnej, nic nie mówiącej, robionej i pochłanianej »dla zabicia czasu«. Za grzech ten pokutowano już, odbił się on też zarówno na krytykach, jakoteż i na autorach. Pierwsi zarażeni gadulstwem beletrystów, zasuggestjonowani brzmieniem nazwisk, co nie walor i wartość istotną, ile częste a natrętne naprzykrzanie się literaturze oznaczały, poczęli wypisywać »krytyczne«, wszystko sławiące feljetony w prasie codziennej (bo na utrzymanie czasopism literackich i naukowych nigdy zdobyć nie mogliśmy się); drudzy zachęceni temi pochwałami i »wzięciem« wśród bezkrytycznych czytelników, brnęli nie tylko w coraz głębszą wodę, którą następnie wiadrami całemi wylewali na karty powieści, ale i w bezgraniczne przecenianie własnego talentu. I tak otrzymaliśmy »znakomitą powieść współczesną« i genialnych jej twórców. Dość przeczytać przedmowę do »Krzyku« Stanisława Przybyszewskiego, by się przekonać, jak dalece przekroczono granice krytycyzmu i... autoreklamy. Najciekawszy zaś w tem wszystkiem jest wprost odwrotny stosunek prawdziwego talentu do afiszowannia się i »ruchliwości« danych pisarzy.

Zwłaszcza tak zwana »powieść psychologiczna« do wielu doprowadziła nieporozumień. Powieściopisarzom zdawało się, a i dziś jeszcze nawet się zdaje, że ten rodzaj beletrystyki daje im prawo do swobodnego snucia przeróżnych fantasmagoryj, zmyślanych na temat człowieka. Mniejsza o to, czy rzecz przedstawiona odpowiada prawdzie życiowej czy nie, mniejsza także o zasadniczą znajomość kardynalnych i elemen-

tarnych praw psychologji. Tworzy się stany »podświadome«, których kontrola jest niemożliwą, »wyzwala się« duszę z obrębów świata a może i... wszelkich pojęć, rozdwaja się jaźń, a przedewszystkiem, pod pozorem badania najtajniejszych kryjówek psyche ludzkiej, wyciąga się na jaw i opisuje się z lubością wszelkie brudy, które pod piórem autora przemieniają się w pornografję. Do tego rodzaju »twórczości« każdy czuje się powołanym.

Jeszcze inni powieściopisarze są zdania, że wszystko, co człowiek odczuwa, zwłaszcza w zakresie erotycznym, należy do rodzaju powieści psychologicznej I dlatego tem mianem oznaczają najzwyczajniejsze romanse, mało mające wspólnego z duszą, a wiele z ciałem. To przesunięcie punktu ciężkości fabuły i zainteresowania jest tak częste, a jednak tak przez krytykę zapoznane, że wprost dziwić się trzeba, iż nawet tak jaskrawo na plan pierwszy wysuwające się cechy mogły być pomijane milczeniem. Zresztą psychologja obejmuje cały zakres władz duchowych człowieka, nie zaś wyłącznie wzajemny stosunek płci. O tem zdają się zapominać beletryści, a krytycy wiedzieć nie potrzebują. Wyrobili oni bowiem sobie (przynajmniej w Polsce) takie pojęcie o swoich zadaniach, że ograniczyć im się wolno do tego, co mają przed sobą. Tak dał autor — i takiem to jest. Jest ładne lub nie ładne, dobrze zrobione lub źle, subjektywnie podoba się, lub nie. O więcej nikt nie dba Toż nic dziwnego, że krytyka nie nauczyła jeszcze niczego twórców naszych, że ci ostatni nic sobie z niej nie robią, a wyjątkowo głos trzeźwy, lub umiejętne rozważanie biorą za zrzędzenie, moralistykę, względnie nieuzasadnione pretensje. Zupełnie przeciwnie niż na zachodzie. Ale to już nasza wada ogólna, boć przecie wiadomo, że mamy zbyt wielu pisarzy zdolnych, a za mało rozumnych, zbyt wielu twórców — za mało ludzi krytycznych. I to może sprawia, że luzem puszczona literatura, nie trzymana przez nikogo w karbach, nie kierowana przez żadne doświadczone ręce, wykoleiła się i jest na ogół poza torem wiodącym ją ku życiu.

Nie pomoże jednak już dziś narzekanie. Od dziesięciu lat powtarza się to samo i beznadziejnie zapowiada się na przyszłość. Nie pozostaje więc nic innego, jak w świetle zmienionych obecnie poglądów i stosunków życia okazać całą naiwność tej, »powieści psychologicznej«, która z nowoczesnym, powojennym człowiekiem nie jest w żadnej łączności. To, co ongiś zdawało się tragedją dla Przybyszewskiego i jego naśladowców, dziś, na tle bytu nowych pokoleń nie jest już nawet melodramatem, a często staje się... komedją, nierzadko orgją. Ale to nie wstrząsa, nie jest osią jestestwa i świata całego.

Więc niechajże literatura nie ulega pomyłkom.

* * *

Tymczasem jednak pomyłki takie są na (tak zwanym przez krytyków feljetonistów), »porządku dziennym«. Co gorsze jeszcze, że i czytelnicy dają się mylić i poważnie traktują te okazy niesfornej pracowitości całego szeregu pisarzy o znanych lub do sławy pretendujących

nazwiskach. Czytają tedy kilometrowo długie romanse bez żadnego pożytku dla siebie, nie wiedząc, że bez szkody jakiejkolwiek można je pogrążyć w morzu niepamięci. I pojawiają się »drugie wydania« upstrzone winietami, i płatne ogłoszenia alarmują publiczność o »nowościach literackich«, i usłużni a przyjaciele autorów czy nakładców piszą »przychylne wzmianki« w dziennikach. Ot zwykła zabawka... w literaturę — szkoda tylko, że tak kosztowna w dzisiejszych, na brak papieru chorujących czasach. Bo czyż nie za zabawę i to nieudałą do tego nie należy poczytać wydania takiej np. powieści, jak St. Wł. Kamockiego: »Dziecię natchnienia« [1])? Gdyby nie to, że dziś mało okazuje się powieści, a to, co zjawia się, powinno się tem skrupulatniej sądzić, nie należałoby właściwie pisać o tej pracy, która już nie z »natchnieniem«, ale zwykłą dobrą robotą literacką nie ma żadnych stycznych punktów. Lecz aspiracje do »współczesności« ma, i to do tej współczesności, która aż za dużo wydała powieści pod tytułami »Literaci«, »Malarze« i t. p. Nie przeszkadza to atoli p. Kamockiemu raz jeszcze wrócić do tego świata, o którym on coś słyszał, lub który podglądał przez dziurkę od klucza. Patrząc zaś nań nie wprost, ale przez pryzmat literatury, stojąc sam w przedpokoju, za którego drzwiami rozgrywało się jakieś dziwne misterjum, sprawowane przez ludzi nie zawsze słusznie otaczanych nimbem wielkości — wywnioskował, że to musi być zdrada, jakaś niezwykła, boć przecie przez »nadludzi« popełniana. Wyfantazjował więc malarza, który więcej chciał, niż umiał, i malarkę, żonę zwykłego śmiertelnika i suchotnika w dodatku. Te dwie »dusze artystyczne« pokochały się, ona ma z nim dziecko i wmawia w męża, że to jego syn. Oszukuje tak schorzałego człowieka przez lata całe, aż wreszcie »wyzwala się« zupełnie i zamieszkuje z kochankiem. Mąż na ślad zdrady wpada przypadkiem, oglądając obraz dziecka, który oni wspólnie malowali w pierwszych dniach swojej miłości. Dziecko to było łudząco podobne do chłopczyka, którego on uważał za swego. Pytanie, czy rodzice przed przyjściem na świat owocu swojej miłości, mogli go przeczuć i jego konterfekt wierny namalować — jest »problemem«, który zajmuje p. Kamockiego. Problem to naiwny, książkowy, tak jak wszystko, co autor zaprodukował.

Cóż zresztą mówić tu o jakichś zagadnieniach, kiedy p. K. nie umie dać sobie rady z przedstawieniem chociażby stanów psychicznych swoich bohaterów. Opisując naprzykład rozterkę wewnętrzną, stwarza »senaty sprawiedliwości«, których »pełnomocnictwa kontrasygnuje przez miłość« (str. 27). W duszy ludzkiej widzi autor »członków kulturalnych towarzystw« (sic! str. 28). Czyżelska w objęciach kochanka »była tryumfującą królewną... giełdą nienasyconą (tak! tak!) i... domem gościnnym, a także osobą, co dla idei (?!) życie składa w ofierze«... (str. 29), W splocie tych nonsensów nie wiedzieć, co więcej podziwiać: niedołęstwo, czy głupotę. Ale p. Kamocki, który »fizjologji« nie rozróżnia od

[1]) St. Wł. Kamocki: Dziecię natchnienia, powieść współczesna. Kraków; nakład dawnej księgarni Spółki wydawniczej polskiej.

fizjognomii (str. 37), chce wyrokować o istnieniu Boga. »Ujmowanie nieskończonego i nieograniczonego wszechświata — mówi on — jako całości, jako jednostki z mojego punktu widzenia jest niedopuszczalne... Przecież, gdyby jedna potęga wszystkim rządziła, to w niej koncentrowałaby się nieograniczoność... Już nie tylko pojęcia te wzajem się wykluczają... słowa nawet protestują przeciw takiemu zestawieniu«... (str. 135).

Po przeczytaniu tego »filozoficznego« dowodu — mamy dość. Wiemy, kim jest p. Kamocki, jak rozumuje, widzimy, że jest nieukiem i ignorantem, a poprzednio widzieliśmy, że artystą i powieściopisarzem także nie jest. Po co więc jego elukubracja wtłacza się do rąk czytelników i wyłudza się od nich za to pieniądze? Niech na to odpowie nakładca...

* * *

O całe niebo wyżej od »Dziecięcia natchnienia« stoi Zbierzchowskiego: »Człowiek o dwu twarzach« [1]) chociaż powieść tę zaliczyłbym do najsłabszych utworów utalentowanego autora »Impresji«. Zbierzchowski bowiem jest nawskróś poetą i wędrówka po zaułkach domów Piszczyków-karawaniarzy nie jest jego specjalnością. Toż raczej już, gdy pisze powieść o fantastycznym podkładzie (np. Djabelska przełęcz) zbliża się do prawdziwej sztuki. Zbyt jednak starym jest pisarzem, zanadto wielką ma rutynę pisarską, by nie napisał na zamówienie — nawet za liche pieniądze, kiedy potrzebuje gotówki — kilkuset stronicowego romansu. Za taki też utwór uważam »Człowieka o dwu twarzach«, historję kamelota, który amerykańskim wprost sprytem dochodzi do fortuny, zakładu pogrzebowego i pięknej żony i nic sobie nie robi z tego, że ma na swem sumieniu śmierć dawnego chlebodawcy pana Kudelki, u którego spowodował rozmyślnie atak sercowy. Ale historja ta nie byłaby zupełna, gdyby nie było przygód miłosnych, kończących się fatalnie. Oto żona Piszczyka Ela zdradza go z niejakim Kędzierskim (naturalnie poetą z zawodu!). Zdradzany mąż obmyśla piekielną zemstę Zakłada patrony dynamitowe pod oranżerją i łączy je z elektrycznym kontaktem; następnie zaprasza tam kochanków, każe im przed śmiercią wysłuchać przez katarynkę granego poloneza Ogińskiego, poczem ich i siebie samego wysadza w powietrze. I »trzy cierpiące, umęczone istnienia ludzkie, były już po tamtej stronie, gdzie toczy swe czarne fale cicha rzeka wieczności«.

Tak banalną jak to zakończenie, jest cała powieść. Zbierzchowski zmęczony wojną nie mógł się zdobyć na ton wyższy, na temat godniejszy jego pióra. Zmęczenie to widać też w nierównem opracowaniu całości, nie pozbawionej miejscami polotu i żywej fantazji obok kart bardzo szarych. Mam jednak wrażenie, że to objaw u niego przejściowy. Obdarzony bowiem naturą niezwykle bujną, temperamentem ciągle młodym, energją pisarską, a także zadziwiającą płodnością, każącą mu się prze-

[1]) Henryk Zbierzchowski: Człowiek o dwu twarzach, powieść Kraków 1919. Nakład dawnej księgarni Spółki wydawniczej polskiej.

rzucać od artykułu dziennikarskiego do teatralnego feljetonu, to znów sprawozdania muzycznego, od którego niebawem podąży do aktualnego wierszyka — nie zapominając zresztą nigdy o prawdziwej poezji — odnowi się pewnie niebawem, by znów dać utwór zrównoważony i przemyślany. Wiemy, że stać go na to, byle tylko zechciał i nie ulegał pokusom... pisania na zamówienie. Niestety ta pokusa coraz to bardziej uwodzi dziś pisarzy polskich, zdanych na łaskę losu lub opiekę zawsze platoniczną i idealną... Ministerstwa kultury i sztuki.

* * *

We wszystkich literaturach spotkać można pisarzy, u których rutyna zastępuje talent, a wprawa pisarska wyrównywa braki natchnienia. Dzieła ich mogą być niepozbawione wartości i są ogniwami łączącemi utwory genjuszów, co rąz na sto, czy więcej nawet lat się zjawiają. Rzecz inna, co książki te przynoszą i co dają. Mogą np. nie przynosić nowych form artystycznych, nowych walorów treściowych, ale natomiast być przepełnione wielkimi ideami, lub też kierować się szczytną tendencją. Mogą nie poruszyć z posad ziemi, ale odrywać od niej ludzi i kierować ich ku wzniosłym celom. Biada jednakże i dziełu i pisarzowi, jeśli w tem, co dał, nie ma takiego »ekwiwalentu«, jakiby pozwalał zapominać o progeniturze utworu, lub przeciwnie, gdyby treść wskazywała nie tylko na brak talentu, ale także i myśli jakiejkolwiek.

Literatura polska ma wiele, nieskończony prawie szereg dzieł rutyny. O jednych, co tylko rutynę dla niej samej okazywały, rychło zapomniano, inne uratowała tendencja, czy myśl obywatelska, która w nich przejawić się zdołała. Wszakże znaczną część powieści Kraszewskiego zaliczyć można nie do płodów natchnienia i twórczego talentu, ale do prac, stworzonych przez pisarza świadomego swych środków i celów, a tem samem oddającego czytelnikom rzetelną przysługę uświadamiania ich pod względem narodowym i społecznym. W tem leży ich wartość i dzięki temu przeszły one do piśmiennictwa. Nie można tego powiedzieć o wielu innych, którym na imię legjon. Zjawiają się i giną, nic nie pozostawiając po sobie.

Do pisarzy bardzo rutynowanych należy współcześnie Tadeusz Konczyński. Dramaturg, powieściopisarz i publicysta, pisze prozą i wierszem, próbował sił swoich nawet w zakresie krytyki naukowej i literackiej. Wszystkie jego książki, a jest ich sporo, są poprawne, czytają się gładko, nie mają nic, ani jednego słowa niżej normy przyjętej. Styl i kompozycja, prowadzenie akcji, ustawienie i charakterystyka osób, efekta zewnętrzne, konflikty wewnętrzne — wszystko aż do szczegółów przemyślane na zimno, rozważone, oglądnięte z daleka, wygładzone z blizka, odmierzone i wykonane z precyzją, na jaką stać człowieka z kulturą, oczytanego, obytego w świecie i... z książkami. Konczyński jest literatem w całem tego słowa znaczeniu. Zna swoje rzemiosło i gdyby był cech, czy konfraternja dla pracowników pióra, zawodowców, Konczyński mógłby w niej być honorowym członkiem. Ale w stosunku do twórców stoi on na przeciwległym biegunie. Zdaje mi się, że obce są

dla niego takie rzeczy, jak np. konieczność wypowiedzenia się, żywiołowa chęć przedstawienia tworów swojej fantazji lub wreszcie dążenie do oryginalności, którąby nadała dziełu cechy nowe i swoiste. Konczyński pisze łatwo, ale też i łatwe jest to, co on pisze. Motyw miłości zawsze urozmaiconej wiarołomstwem czy to ze strony bohaterki, czy bohatera, przeszkody stojące na drodze do upragnionego przez kochanków celu, wreszcie finale mniej lub więcej tragiczne, wszystko to zaprawione sentymentalizmem, oto i kanwa, na której wyszywa p. Konczyński swoje wzorki, używając ku temu rzadko jedwabiu, najczęściej zaś kolorowej bawełny. Wynika to z natury rzeczy, z tych tematów, które obiera i tych sytuacyj, jakie przedstawia. A chociaż stara się często szarzyznę wyciągnąć na stopnie wyższe, mianując bohatera literatem, albo uczonym — to mimo to, eksperyment ten zawodzi, gdyż i ci ludzie mają swoją przeciętność, która wcale nie jest ciekawa dla postronnych.

Kto przerzuci karty »Śmiertelnego biegu« czy też »Blasków miłości«, [1]) ten łacno o tem przekonać się może. Co więcej: spostrzeże jeszcze, że autor ma już pewien szablon, w który wtłacza figury, nadając im tylko inne nazwiska i przemieniając role. Jeśli gdzie, to właśnie w tych dwu powieściach Konczyńskiego widać to bardzo wyraźnie. Trójkąt małżeński odwraca się tu tylko, zostając zawsze równobocznym, mając kąty o tej samej ilości stopni.

Ale mówiąc o tem, trzeba pamiętać o jednej rzeczy. P. T. Konczyński jest dobrze wychowany i stara się pisać »salonowe powieści«. Dlatego to wszystko, choćby najczarniejsze, przedstawia słodko, w należnej perspektywie, dyskretnie, tak, że nawet jakaś wychowawczyni może się zawahać, czyby nie dać tych powieści do rąk dziewiętnastoletniej panience. Bo Konczyński nie nazywa rzeczy po imieniu. Opowiada, mówi, opisuje, raz rzuca woal tylko na fakta, które się dzieją, to znów spuszcza zasłonę — względnie za kulisami każe czynić to, co się dziać nie powinno na scenie. I to ratuje jego powieści od tego, by one przy drażliwości swego tematu nie stały się niesmacznemi czy trywialnemi nawet. Widać, że Konczyński rozumie się na powieści oraz pisarstwie i wie co można, a czego nie można. To już wiele, bardzo nawet wiele, jak na czasy zupełnej swobody piszących pornografo-manów.

* * *

Do takiego typu pisarzy, lubujących się w wyuzdaniu a pustocie zaliczyłbym Ksawerego Glinkę. Jego »Spotkanie« [1]) to niebywała w literaturze polskiej powieść. Przy temacie bowiem nikłym, a talencie więcej niż miernym, puszcza się autor na opisy tak nieobyczajne, że dziwić się trzeba, iż książka ta nie uległa konfiskacie, a do nakładcy nie zastosowano postanowień z ustawy Związku Księgarzy polskich (§ 7, punkt 4 c.).

---

[1]) Tadeusz Konczyński: Blaski Miłości. Poznań. Nakładem spółki wydawniczej »Ostoja«.

[1]) Ksaw. Glinka; Spotkanie. Nakł. księg. J. Czerneckiego. Kraków 1919.

Mówi się o zwalczaniu upadku moralnego, o akcji mającej na celu poprawienie naszej młodzieży, a równocześnie dozwala się szerzyć jad i zgniliznę pod płaszczykiem literatury i sztuki. Mówi się o zwalczaniu nierządu, o nauce obyczajności, a tymczasem nic się nie robi, by wyplenić chwast pornografji z literatury naszej, która dociera do rąk studentów i pensjonarek, podsuwając im różne myśli i sposoby bezkarnego próbowania grzechu. — Ale dość już tego! Przecież istnieje jakaś cenzura, jakiś urząd moralności publicznej, są stowarzyszenia, które mogą się zdobyć na utrącenie tej »literatury« pp. Glinków, co już w błoto przemienili wszystko. Niech działają i niech się w tej pracy spieszą, bo mogą się rychło doczekać, że z tego posiewu zła i trądu wzejdzie niebawem kwiat bagna.

W »powieści« p. Glinki obok cynizmu jest tyle naiwnych pomysłów, że rozbrajają one wprost i czytelnika i krytyka. Bo proszę sobie wyobrazić taki np. fakt, jak ten, że gdzieś pachnie drzewko migdałowe i koło niego kręci się »bohater« powieści. Nagle zjawia się jakaś nieznajoma kobieta, powiada, że przeczuła tu swego najdroższego, idzie z nim do jego mieszkania, następnie ulatnia się, gubiąc chusteczkę od nosa z koroną książęcą i monogramem. Pomijając wszystkie »epitata ornantia« zmysłowych uniesień — bohater poczyna tęsknić, co mu nie przeszkadza uwodzić dalej. Wreszcie ma się żenić, ale ciągle tęskni do nieznajomej i ciągle jeszcze uwodzi. Żeni się wreszcie i właśnie, kiedy klamka zapadła, dowiaduje się z listu, jaki otrzymał od nieznajomej, że ona jest księżną, obecnie wdową i czeka na niego. Wyrywa się tedy od żony, jedzie gdzieś nad morze do zamku księżnej, lecz w momencie, kiedy tam przybył, utytułowaną nierządnicę co otruła swego męża, zabija grom.

Takim efektem kończy się ta opowiastka, mająca więcej »jurności« niż cały Balzac, Maupassant, Prevost, Srokowski, Żeromski i Daniłowski. Kiedy bowiem tam pewne momenty tylko były niemoralne, to tu cała książka napisana jest z premedytacją zabawienia czytelnika sprośnością. I to sprośnością grubą, ordynarną, budzącą w normalnym człowieku wstręt i odrazę.

* * *

Na podstawie tego, co dał nam p. St. Dzikowski w swej powieści pt.: »Gracz« [1]), możnaby sądzić, że rozkład, istniejący w Polsce jest naprawdę wielki. To środowisko szulerów warszawskich, które zostało odmalowane przez autora z wielkim nakładem pracy, a sporym zasobem obserwacji, te anormalne stosunki pośród biurokracyi, o których on opowiada, wszystko to mówi, że źle się dzieje i coraz gorzej dziać się będzie, jeśli nikt o poprawie nie pomyśli. Dezorganizacja wkradła się wszędzie, pojęcie etyki i poczucie obywatelskie stają się obce wszystkim, którzy dla zysku czy prywaty zajmują odpowiedzialne stanowiska. I zdaje się, że p. Dzikowski wcale nie przesadza, charakteryzując do-

[1]) St. Dzikowski: G r a c z. Warszawa; nakład księgarni E. Wenda i Ska.

sadnie tych ptaków niebieskich, co nie orzą ani nie sieją a przecie jedzą dobrze, jeszcze lepiej piją i cieszą najlepszem powodzeniem i szacunkiem. Ordów (tak bowiem zwie się bohater »Gracza«) jest w Polsce wielu, ale nie wszyscy wśród mętów życiowych potrafią zachować tak jak on czyste serce, które w decydującym momencie każe mu rzucić zielony stolik, pijacką kompanię i kochankę i pójść na Niemców, by wyzwalać od najeźdźców stolicę Polski. Orda w powieści p. Dzikowskiego jest niejako symbolem tej energji i żywotności, jaka tkwi w wojsku polskiem. Poczucie honoru żołnierskiego jest też tą ostoją, o którą rozbić się potrafią nie tylko zapędy wroga zewnętrznego, ale i fale deprawacji.

Powieść p. Dzikowskiego, mimo banalny koniec, jest utworem, który, jakkolwiek sam wcale doskonałym nie jest, pozwala po jego autorze spodziewać się wiele. Pan D. bowiem nie bawi się w literaturę, nie ugania się za łatwym frazesem, ale pisze to i o tem, co mu leży na sercu, co spostrzega wokół siebie. A że umie on patrzeć, więc widzi wiele i jasno. Potrafił też autor zająć odwowiednie stanowisko wobec zaobserwowanych faktów, stanowisko nie literackie, ale społeczne. Tem samem dał naprawdę szmat realnego życia i psychologji ludzkiej i on jeden z pośród wszystkich tu omawianych pisarzy, mógłby dać śmiało swemu »Graczowi« podtytuł »powieść współczesna«. Współczesność bowiem jest tu pokazana w całej swej nagości i prawdzie, niesfałszowana żadną domieszką fantazji, ckliwego erotyzmu, czy wreszcie skrajnej pornografji. Jest może cały obraz zbyt surowy w konturach, zbyt pozbawiony okrasy efektów pisarskich — ale to tem lepiej. W tem surowem tworzywie znać więcej talentu twórczego, niźli w salonowych powieściach salonowych literatów. Oby tylko autor zechciał dalej iść w tym kierunku i nie dał się sprowadzić na manowce »literatury pięknej«.

(C. d. n.)

Dr. Stanisław Lam.

Tadeusz Sinko: Poetyka Sarbiewskiego. Nakładem Akademji Umiejętności. Kraków 1918, str. 61.

Z prawdziwem zainteresowaniem przeczyta każdy miłośnik naszego piśmiennictwa siedemnastego wieku rozprawę prof Sinki, w której skreśliwszy narodziny baroku w architekturze i w literaturze, nieco szerzej omawia, z dużem znawstwem rzeczy, jego teoretyków literackich, t. z. konceptystów, w Hiszpanji, we Włoszech, zwłaszcza łacińskich, a wśród nich przedewszystkiem jezuickich. Najpopularniejszym był bezsprzecznie ks. Maciej Sarbiewski, autor Poetyki, dotychczas jeszcze nie ogłoszonej drukiem. (Rękp. w Muz. Czart. nr. 1446). Pierwotny tytuł opiewał prawdopodobnie: De perfecta poesi l. IX. seu de inventione et dispositione epica. Osobną księgę stanowi traktat: De acuto et arguto, oraz: De lyrica, libri III. De elegia liber unus.

Szczegółowe streszczenie i ocena tych prac ze stanowiska estetycznego, wykazanie stosunku Sarbiewskiego do Arystotelesa, Pontana, Skaligera i innych teoretyków poetyki — oto właściwy przedmiot roztrząsań prof. Sinki.

W końcowych wywodach zauważa uczony filolog-krytyk, że poetyka Sarbiewskiego, poza teorją konceptyzmu, żadnym nowym punktem widzenia nie wzbogaciła teorji poezji europejskiej, nie wniosła żadnego ożywczego fermentu, słowem przystosowała się tylko do potrzeb szkolnych. Główną jej wadą i cechą zarazem to zretoryzowanie poetyki (55 i nn.).

Nie myślę wcale kruszyć kopji w obronie jezuickiego »luminarza«; zwracam tylko uwagę na fakt, że potępienie w czambuł całej estetyki Possevina na podstawie jego Bibliotheca selecta jest conajmniej zbyt pośpieszne. Przecież w dziełach dla młodzieży często nie można wygłosić w całości swego Credo estetycznego z łatwo zrozumiałych względów pedagogicznych. Dziwnie również brzmi twierdzenie, że jezuickie »wychowanie nietylko nie dążyło do rozwoju indywidualności, osobistości, ale przeciwnie krępowało ją i poddawało pod ogólną normę Kościoła« (15). Czyżby zdaniem autora Kościół istotnie przeszkadzał rozumnemu rozwojowi indywidualności?

Ks. J. K.

Roman Zawiliński: Nasz język ojczysty w przeszłości i teraźniejszości. W Krakowie 1919. Księgarnia G. Gebethnera i Sp., str. 119.

W zmartwychwstałej Polsce język ojczysty, z którego naród przez tyle lat niewoli niby z czarodziejskiego źródła czerpał siłę i otuchę, powinno się otoczyć szczególniejszym kultem znawstwa i poszanowania. Ową świętą i wielką powinność ułatwia obecnie zbiorowa publikacja Akademji Umiejętności (Encyklopedja polska t. III.), w której pomieścili wyniki swych badań najwybitniejsi polscy przedstawiciele polonistyki i slawistyki, a więc de Courtenay, Brückner, Nitsch, Łoś, Ułaszyn, Kryński i t. d.

Ale rozmiary tych rozpraw, oraz ich przeważnie ściśle naukowy charakter, odstręczał szerszą publiczność, która czekała na popularyzatora. I nie zawiodła się; jest nim redaktor »Poradnika językowego«, dyr. R. Zawiliński. Podobne zagadnienia niejednokrotnie omawiał już w swoim miesięczniku; teraz związał je w całość książkową i podał społeczeństwu zbiór koniecznych wiadomości o języku polskim, stojących na pograniczu gramatyki i stylistyki.

Książeczka, mimo szkicowego ujęcia przedmiotu i niezdecydowanego stanowiska popularyzatorskiego, znajdzie napewno w całem społeczeństwie, zwłaszcza w szeregach nauczycielstwa szkół średnich i ludowych, serdecznych i wdzięcznych przyjaciół.

Ks. J. K.

Z francuskiej literatury powojennej.

Ernest Psichari: Terres de soleil et de sommeil. Paris. Louis Conard. — 1919.

Pierwsza to z prac autora, który w r. 1915 oddał życie za ojczyznę, a w swoich »Wędrówkach setnika« pozostawił dzieje swej ewolucji duchowej ku prawdzie nieśmiertelnej. W tej przemianie duszy, w tem podniesieniu jej do Boga niemało zaważyła przyroda afrykańska, wielkość jej krajobrazów, oddalenie od gorączkowego chaosu wielkich europejskich stolic. »Senna, słoneczna ziemia« Afryki poruszyła do głębi wrażliwy, subtelny umysł młodego żołnierza, który przybył do niej bezpośrednio prawie od zawiłych filozoficznych zagadnień, nad któremi pracował w paryskiej Sorbonie.

Urok pierwotnego świata zdobył szybko młodego myśliciela. »Ten świat czyni nas lepszymi, podnosi nas ponad samych w napięciu duszy, gdzie czyn stapia się z marzeniem«. Przesuwa on przed oczami czytelnika widziane w Afryce obrazy, jak szereg barwnych akwarel: tajemnicze lądy, widnokręgi bez granic, słońce podzwrotnikowe, promieniejsze niż u nas, a przedewszystkiem człowiek, ten pierwotny tubylec i autor sam »zapominający tam o próżności i fałszu, jakie niesie wyrafinowana kultura«. »Błogosławienie kamienie i skały, lasy i pustynie!« Ciekawym umysłem i współczującem sercem zwraca się do poznania duszy ludzi, którzy go otaczają, ludzi innej rasy, innej barwy i innej duszy. Bada tę duszę, porównuje ją ze swoją i przychodzi do przekonania, że zna tylko jej powierzchnię. Przypomina sobie teorję, mówiącą, iż murzyni nie są ludami w stanie dziecięctwa, ale zdegenerowanymi spadkobiercami bardzo dawnej cywilizacji.

Ślicznym i wzruszającym obrazkiem jest opowieść o małym Samie, przydanym do usług autora i zdobywającym sobie trochę zaciekawionej jego sympatji. Czarny chłopak patrzy na niego oczami gazeli, brząka na pierwotnym »bandjo« instrumencie, przez siebie sporządzonym, śpiewa niezrozumiałe afrykańskie piosenki — wreszcie znużony trudem długiej wędrówki i niekorzystną zmianą klimatu, ginie. I pozostaje po nim chwilowe wspomnienie i trochę żalu — i męcząca myśl, że się nie znało wcale tej duszy, która uleciała. »Niechaj spocznie nad tobą wielki pokój twojej ojczystej ziemi«.

W muzułmańskiej krainie płynie wieczorem modlitwa Islamu, jak krzyk duszy, rzucony w pustynię. Postacie w białej szacie pochylają się i całują ziemię żywicielkę. Jeszcze jeden okrzyk i modlitwa rozpływa się w bezkresie, tęskna i jakby beznadziejna...

Wśród tych wrażeń autor odbiera od wierzącego przyjaciela list, wyrażający nadzieję »iż samotność Afryki przyniesie mu wiarę«. — Nie znać jeszcze jej jutrzenki w omawianej przez nas książce — zaledwie niewyraźny brzask tęsknot religijnych wśród malowania metafizycznych krajobrazów i zagłębiania się w dusze tubylców, odrębne i niezrozumiałe w swej pozornej prostocie.

Z tych wrażeń i myśli wyłania się wkrótce zwycięska żądza czynu i to czynu bohaterskiego. Afryka nie jest dla niego tylko »ziemią słońca« — to ziemia bitew i zdobyczy, któremi Francja szerzy nietylko swoje panowanie ale i swoją misję cywilizacyjną. Psichari stanie odtąd w szeregu tych, którzy idą naprzód, gotowi umrzeć za swoją ideę. Najpierw szuka on ładu, karności i harmonji — potem znajduje ideę ojczyzny, aż nareszcie w »Wędrówkach Setnika« wypowiada, iż w Kościele Chrystusowym spotkał »piękną równowagę życia, cudowną miarę, spokój i harmonję«.

Książka jego o Afryce »sennej i słonecznej« została uwieńczona przez Akademję francuską, a ojciec młodego bohatera chciał, aby nowe wydanie tych szkiców poprzedziła przedmowa misjonarza afrykańskiego. Napisał ją biskup Le Roy, który 20 lat życia spędził w Afryce na misyjnej pracy. Przedmowa jego jest zarazem i szkicem biograficznym i pełnem miłości ocenieniem wzniosłej duszy, która od współczesnego poganizmu potrafiła osiągnąć najwyższe szczyty myśli chrześcijańskiej.

* * *

Ernest Psichari: L'appel des armes. Paris, Louis Conard, 1919. Wydanie 2 z przedmową Mgr. Baudrillart.

Autor tej książki z różnych względów stał się we Francji znanym i głośnym. Wnuk Renana, wychowany po za wiarą i Kościołem, wypielęgnował w sobie tak gorącą do nich miłość, iż nietylko został katolikiem, ale miał zamiar wstąpić w szeregi kapłańskie. Wojna powołała go na pola bitewne, na których położył młode życie. Testamentem jego jest książka: »Le voyage du centurion«, gdzie odzwierciedlił swoją ewolucję duchową, wędrówkę ku światłu i prawdzie. Przypieczętował krwią ideały, których był apostołem i wyznawcą wielkiej ewolucji duszy francuskiej przed wybuchem tej niewidzianej burzy, dziejowej, którą świeżo przeżyliśmy pod nazwą wojny światowej. Zanim Francja przelała swą krew na pobojowiskach tej wojny, dała już dowody wewnętrznego odrodzenia i temu zawdzięcza zwycięstwo swego oręża. Najmłodsze pokolenie francuskie dało swej ojczyźnie dwa wielkie świadectwa i dwie nauki; złożył je żołnierz, przywracając jej swą ofiarą utraconą wielkość — zatwierdził chrześcijanin, który zerwał z jałowym intelektualizmem epoki i poszedł prosto do wiary, jako do źródła życia.

Mistrzem tej młodzieży był Karol Pégny, który również oddał swe życie w obronie ojczyzny, a przedtem wypowiedział słowa, które stały się hasłem i programem tych najmłodszych: »Trzeba, aby trwała Francja, aby trwało chrześcijaństwo«.

Temu to Karolowi Pégny poświęcił Psichari swoją książkę: »L'appel des armes«. Dedykacja ta określa wymownie ducha dzieła, więc ją tu podajemy: »Temu, którego duch towarzyszył mi w pustyni i samotności Afryki, temu samotnikowi, w którym żyje dziś dusza Francji, przed którego dziełem pochyliła się nasza młodość — naszemu Mistrzowi, Karolowi Pégny — poświęcam tę książkę o naszej wielkości i naszej nędzy«.

Francja i chrystjanizm — ideał narodowy i ideał religijny, zlane ze sobą w jedno — powrót do tradycji, nawet do mistyki chrześcijańskiej i do katolickiego dogmatu — oto wyznanie tej młodzieży, dla której celem życia stało się zbawienie Francji. Lecz dla zagrożonego narodu niema zbawienia bez siły orężnej i tę to właśnie myśl rozwija Psichari w swojem »Appel des armes«. Myśl ta, daleka od niemieckiego, barbarzyńskiego bóstwienia zbrojnej przemocy — rozwija znaczenie i wielkość służby wojskowej, podnosząc ją aż do mistycznych szczytów. Porównuje żołnierza z kapłanem, podkreśla moralne i cywilizacyjne zadania armji.

W tym powrocie do tradycji idzie młody Francuz śladem swoich ojców wbrew własnemu ojcu, bo poprzednie pokolenie odwróciło się od tej tradycji, głoszą potępienie armji i poświęcenia żołnierza w imię fałszywego humanitaryzmu. Idzie młodzieniec w szeregi wojskowe, najpierw we Francji, później w Afryce, gdzie go obejmuje tajemnicze piękno pustyni, bezmiar słońca i milczenia. I rośnie tam jego dusza. Dziecię Francji na służbie ojczyzny — służba to twarda, ale wielka, a niema większej wolności, niż ta, jaką posiadają ci pozorni niewolnicy, oddani służbie i jej prawom. W tem życiu żołnierskiem, prostem i męskiem, wśród falujących białych piasków bez kresu, zalanych powodzią światła, daleko od małości i brzydoty życia miast, młody bohater czuje, że ma duszę, stworzoną na obraz i podobieństwo Boże, że stworzonym jest, aby wierzyć, ufać i kochać.

Helena Skolimowska.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Acta Academiae Velehradensis. Vol. X, 1914—1919, Pragae Bohemorum. Typis Gaultier et Thébet, Angers. Stron 508+9.

Semaine d'Ethnologie religieuse. Comte-rendu analitique de la II session, tenue à Lonvain 1913. Paris, G. Beauchesne, 1914, str. 565.

M. Morawski. S. J.: Abende am Genfer See. Ubertr. von J. Overmans, 9 i 10 wyd. Fryburg, Herder, 1919, str. 260.

Ks. Emanuel Grim: Jasełka Śląskie, Cieszyn 1920, str. 64.

Jerzy Turnau: Muszka. Powieść. Nakł. Wydawn. Polskiego we Lwowie, 1920, str. 301.

Tenże: Sąsiedzi. Powieść. Nakł. jak wyżej, 1920, str. 415.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Polscy purpuraci. — Rzym a dyplomacja. — Papież a dzieci. — Katolicy holenderscy. — O przyszłość Kościoła w Jugosławji.

W dniach 16—19 grudnia odbył się w Rzymie długo oczekiwany konsystorz papieski. Ojciec święty kreował na nim kilku kardynałów, zapełniając szczerby, jakie w najwyższym senacie kościelnym poczyniła śmierć w ostatnich czasach. W tym akcie Polska, rzec można, została wyróżnioną w sposób szczególny, otrzymując odrazu dwa miejsca w kolegjum kardynalskiem. Otrzymali kapelusz czerwony arcybiskup gnieźnieńsko-poznański i prymas Polski, ks Edmund Dalbor i arcybiskup warszawski, ks. Aleksander Kakowski, którego nominacja na godność kardynalską została zapowiedzianą pismem Ojca św. jeszcze z 15 października 1918 r. Obchodzi nas może jeszcze udzielenie purpury kardynalskiej księciu-biskupowi wrocławskiemu, Dr Adolfowi Bertramowi, pod którego jurysdykcją pozostaje dotąd cały Śląsk, a więc i te jego części, jakie mamy nadzieję otrzymać dla Polski, to jest Śląsk Górny i Śląsk Cieszyński. Dr Bertram był już prawie od początku wojny zarezerwowany przez Ojca św. in petto.

Odznaczenie purpurą kardynalską naszych dwóch arcypasterzy posiada niezwykle doniosłe znaczenie. Wiadomo, że ten najwyższy w Kościele senat, do którego atrybucyj należy i wybór papieży, składa się przeważnie z przedstawicieli włoskiej narodowości. Jest to zrozumiałe, jeśli się zważy, że jest on w idei radą przyboczną papieża, który jest głową całego Kościoła, ale przedewszystkiem jest biskupem Rzymu. Stąd do owego kolegjum powoływano ongiś

wyłącznie z kleru rzymskiego, lub z sąsiednich kościołów. Z biegiem czasu, ze względu na wszechświatowe znaczenie papiestwa, poczęto dopuszczać doń prałatów i innych narodowości w liczbie wszakże dość ograniczonej. Praktyka ostatnich wieków wyrobiła, że np. Francja posiadała w kolegjum świętem po pięciu-sześciu przedstawicieli, inne państwa tradycyjnie otrzymywały również pewną ilość miejsc. Polska przedrozbiorowa za cały czas swego istnienia posiadała jedenastu kardynałów, z których pierwszym był znakomity Zbigniew Oleśnicki (um. 1455 r.), a ostatnim Jan Aleksander Lipski (um. 1745 r.), obaj biskupi krakowscy. W pozostałej liczbie widzimy trzech książąt krwi, mianowicie Fryderyka Jagiellończyka, Jana Alberta i Jana Kazimierza późniejszego króla, ponadto: bratanka królewskiego Andrzeja Batorego, Stanisława Hozjusza, Jerzego Radziwiłła, Bernarda Maciejowskiego, Jana Kazimierza Denhoffa, Michała Radziejowskiego. Byli jeszcze niektórzy nominowani kardynałami, lecz albo się tej godności zrzekli, albo kapelusza się nie doczekali. Polska porozbiorowa dała świętemu kolegjum czterech purpuratów, mianowicie kard. Mieczysława Ledóchowskiego, Włodzimierza Czackiego, Albina Sas Dunajewskiego i Jana Puzynę. Nie wliczamy tu purpuratów ruskiej narodowości, metropolitów lwowskich obrz. gr. Michała Lewickiego i Sylwestra Sembratowicza. Purpuraci wszakże polscy ostatniego stulecia nie reprezentowali Polski, jako osobnego niezależnego narodu; dwaj z nich, ostatni biskupi krakowscy, figurowali w świętem kolegjum jako kardynałowie monarchji austro-węgierskiej. W Rosji godność kardynalska usiłowała wyrobić dla swego protegowanego arcybiskupa Siestrzencewicza cesarzowa Katarzyna II. Napotkała jednak na opór papieża, który arcybiskupom mohylewskim zezwolił jedynie używać purpury. Później nie mogło już być mowy o obdarzeniu kapeluszem kardynalskim żadnego biskupa z zaboru rosyjskiego.

Obecni dwaj purpuraci nasi wchodzą do kolegjum kardynalskiego niejako urzędowo, jako przedstawiciele niezawisłej Polski, nawiązując do listy na której jaśnieją nazwiska Oleśnickich i Maciejowskich. Że Polska zyskuje odrazu dwóch purpuratów — to dowód wysokiego wyróżnienia Polski z pośród państw, jakie wojna światowa powołała do życia. Zauważmy, że np. Czechy posiadają tylko jednego purpurata (kard. Skrbensky), Jugosławia dotąd żadnego. Niemcy całe w obecnej chwili są reprezentowane w św. kolegjum przez samego tylko kard. Bertrama. My przeto zajmujemy w uznaniu

Stolicy Świętej należne nam miejsce w rzędzie narodów chrześcijańskich i przez nowokreowanych dostojników zyskujemy wpływ i głos w sprawach całego Kościoła. Stąd też całe polskie społeczeństwo składa radośnie Dostojnym Purpuratom, Ich Eminencjom Kardynałom Dalborowi i Kakowskiemu, powinny hołd i życzenia ad multos annos!

Z różnych stron dawały się słyszeć przepowiednie, będące wyrazem tajemnych życzeń wielu, że po wojnie światowej religja wogóle, a kościół katolicki w szczególności straci resztę swego światowego znaczenia. Zarówno liberalny radykalizm, oddychający ideologją lóż masońskich, jak i międzynarodowy socjalizm, nie uznający potrzeby religji w życiu publicznem, pragnęłyby zepchnąć Kościół katolicki z jego piedestału i zdegradować religję Chrystusową na stopień »rzeczy prywatnej«. Atoli potęga katolicyzmu, nie tylko jako wewnętrznego przekonania miljonów, ale również jako majestatycznej instytucji wszechświatowej jest jeszcze tak wielką, że volentes nolentes muszą się z nią liczyć nawet jej zawzięci nieprzyjaciele. Pominięto wprawdzie papieża w urzędowych pracach nad pacyfikacją świata, nie zaproszono go dotąd do rodzącej się Ligi Narodów, mimo to prawie wszystkie rządy uznały konieczność bądź utrzymania dotychczasowych, bądź nawiązania nowych stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską, i podobno od dawna nie było takiego ruchu w wymianie dyplomatycznych not z Watykanem, w nominacjach z jednej strony nuncjuszów papieskich, a z drugiej ambasadorów i posłów przy papieżu; jak w ostatnim roku. I tak zrewolucjonizowane Niemcy uważają za konieczne utrzymać dobre stosunki z Watykanem i pierwszy ich prezydent, socjalista Ebert, czyni pierwszy krok, wysyłając list do Benedykta XV z zapewnieniami, że religja katolicka będzie się cieszyła w nowej republice wolnością i należnemi prawami. Zapewne, że nowouchwalona konstytucja niemiecka pozostawia pod tym względem nie jedno do życzenia; wszakże jakże daleko jesteśmy od urzeczywistnienia socjalistycznej zasady; »religja rzeczą prywatną!« W ostatnich dniach dowiadujemy się też o nominacji Vergera na stanowisko przedstawiciela Niemiec przy Stolicy Świętej. Z drugiej strony nuncjatura papieska w Monachjum istnieje po dawnemu, a nawet były, czy nawet są jeszcze, projekty przekształcenia jej w nuncjaturę dla Niemiec z siedzibą w Berlinie. Z nowych państw, nie mówiąc o Polsce, która tak lojalnie nawiązała stosunki

dyplomatyczne z Rzymem papieskim, Czechy przyjmują na razie wizytatora apostolskiego w osobie Mgra Micara, co zapewne doprowadzi, jak u nas, do utworzenia nuncjatury, Jugosławia, choć przeważają w niej schizmatycy, niejednokrotnie nawiązuje stosunki z Rzymem i wysyła tam posła nadzwyczajnego w osobie Bakotiča. Młoda rzeczpospolita finlandzka, choć prawie wyłącznie protestancka, szuka w Rzymie uznania swej niezależności, a w celu uregulowania spraw wyznawców katolicyzmu wysyła kapłana ks. Christiersona; to samo czyni inna protestancka republica Łotwa, wysyłając do kół watykańskich ks. Rancana. Nawet schizmatycka Ukraina Petlury chce mieć z Rzymem stosunki i używa do tego poselstwa z hr. Tyszkiewiczem na czele. Daleka Brazylja misję swą przy Watykanie podnosi do godności ambasady, a za jej przykładem idzie republica Peru. Wenezuela wysyła swego przedstawiciela w osobie Edwarda Dagnino. Japonja przez specjalne poselstwo paktuje ze Stolicą Świętą w sprawie misyj w odebranych Niemcom kolonjach, a Ojciec Święty wysyła do Japonji w charakterze delegata apostolskiego Mgra Fumasoni-Biondi, dotychczasowego delegata w Indjach. Wikarjusz apostolski Kantonu, Mgr Guébriant, mianowany zostaje wizytatorem apostolskim dla całych Chin, co ma znaczyć pewien wyłom w dotychczasowych pretensjach Francji do wyłącznego reprezentowania interesów katolickich w dawnem niebieskiem cesarstwie. Jeszcze rok temu Francja czyniła dyplomatyczne trudności, kiedy Stolica Św. chciała wysłać do Chin swego przedstawiciela włoskiej narodowości. Mgr. A. Masetta, zasłużony około utrwalenia stosunków dyplomatycznych Stolicy Apostolskiej z Portugalją, świeżo został nuncjuszem w Chili.

Oto nominacje i poselstwa prawie z ostatniej tylko doby. Nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Watykanem przez Francję można uważać po wyniku wyborów listopadowych za rzecz niedalekiej przyszłości. Jeszcze urzędowe sfery z jednej i drugiej strony dementują zbyt pospieszne pod tym względem domysły prasy, ale właśnie samo to powracanie na jej łamach podobnych zapowiedzi dowodzi, że idea nawiązania stosunków z Rzymem należy do tych, co »wiszą w powietrzu«, co zatem są blizkie urzeczywistnienia. Możemy tedy uważać za fakt, że wieszczenia rozmaitych proroków i synów proroczych o blizkiem zupełnem zignorowaniu Kościoła przez rządy krajów okazały się fałszywemi. A kłam im zadało nietylko oportunistyczne liczenie się sfer rządzących z licznemi jeszcze zastępami wierzących, ale i coraz to jaśniejsza świadomość, że w życiu

publicznem narodów nie można lekceważyć czynników religijno-moralnych i że wśród takich właśnie czynników pierwsze miejsce należy się wszechświatowej religji i organizacji katolickiej.

Jak ta świadomość przenika nawet do kół religijnie obcych katolicyzmowi, ilustruje jeden świeży fakt. W pierwszych dniach grudnia obradowała w Brukseli międzynarodowa konferencja zwolenników Ligi Narodów. Katolicy z powodów oświetlonych na łamach Przeglądu w ubiegłym miesiącu, niezbyt licznie byli na niej reprezentowani, choć przewodniczył jej znany katolicki działacz, bar. Descamps. Księgą, z której przeważna część członków konferencji czerpie dla siebie światło i natchnienie, nie tyle jest ewangelja, ile raczej Umowa społeczna Russa lub Kapitał Marxa. Otóż, kiedy przyszła kolej na kwestję członków Ligi Narodów, stała się rzecz znamienna: czego nie śmiał poruszyć bar. Descamps lub Mgr. Deploige, poruszył protestant, prezydent trybunału cywilnego w Bazylei Silbernagel, domagając się zaproszenia Stolicy Świętej do przyszłej Ligi. Przedstawił on z naciskiem, że Liga Narodów nie będzie dawała szans trwałości, jeśli nie będzie w niej reprezentowaną Stolica Święta, i że w szczególności w Szwajcarji akces do Ligi mógłby być zakwestjonowany przy plebiscycie w razie wykluczenia papieża. Próbowano tłómaczyć, że Stolica Św. nie jest »narodem«, ani »państwem«; na co jednak rektor uniwersytetu katolickiego w Lowanjum, Mgr. Deploige, odpowiedział, iż papiestwo jest przynajmniej »puissance«, mianowicie największą potęgą moralną, a przytem uznanym w nauce prawa podmiotem prawa międzynarodowego. Kwestji ostatecznie nie załatwiono, wypłynie ona jednak na porządek dzienny następnej konferencji, która ma odbyć się w roku bieżącym. Słowem jeśli będzie dobra wola i uznanie znaczenia Stolicy Świętej, to i formuła usprawiedliwiająca udział jej w Lidze łatwo się znajdzie.

Wojna zubożyła narody, zubożenie się narodów dla pewnych klas oznacza nędzę. Nędza sroży się najbardziej nad tymi, co wojny w żaden sposób nie spowodowali, a sami borykać się z nędzą nie mogą — nad dziećmi. Mamy tu do czynienia z jedną z tych przepaścistych tajemnic rządów Bożych nad światem, jaka jest solidarność całej ludzkości wobec sprawiedliwości dziejowej. To młode pokolenie, które podczas wojny na świat przyszło i z którego winnaby wyłonić się przyszła lepsza od swych ojców ludzkość, zagrożone jest w wielkiej części przedwczesnem wymarciem z głodu, a przy-

najmniej fizycznem zwyrodnieniem z niedostatku. Zwłaszcza większe zbiorowiska ludzkie w Centralnej Europie i we wschodnich jej krajach patrzą na bogate pokosy, jakie śmierć zgarnia wśród nieodżywianej dziatwy, na plagę tuberkulozy, rachitis'u i innych chorób, przyjmujących się bujnie na wycieńczonych dziecięcych organizmach. Zaszczyt przynosi to sumieniu ludzkości, że obojętnie nie może patrzeć na karę dzieci za winy ojców. Nędza, panująca wśród dzieci, poruszyła serca lepszych ludzi i to bez względu na narodowość, bez względu na to, że ojce tych dzieci jeszcze wczoraj może stali z bronią w ręku we wrogim obozie. Głównie w Anglji, Stanach Zjednoczonych i Holandji rozwinięto szeroką akcję w celu ratowania dzieci z kontynentu Europy, zwłaszcza z wielkich miast Europy centralnej. W Anglji powstały dwa wielkie stowarzyszenia w tym celu: katolickie »Westminster catholic Federation« z inicjatywy kardynała Bourne'a i protestanckie »Save the Children fund«, założone przez lorda Palmoora. To ostatnia mimo względów wyznaniowych, nie wahało się już od kilku miesięcy wejść w stosunki z Ojcem Świętym w celu zapewnienia sobie większej powagi i skuteczności akcji.

W papieżu znalazły te humanitarne usiłowania najgorliwszego protektora. Benedykt XV ogłosił 24 listopada encyklikę do wszystkich biskupów świata, nawołując wszystkich katolików do ratowania dzieci od śmierci głodowej i od cherlactwa bez względu na narodowość ich rodziców. Trzy myśli górują w tym dokumencie, który utworzy jedną z najjaśniejszych kart powojennej historji: »Dzieci nie powinny ponosić odpowiedzialności za wojnę morderczą«; »Dzieci są latoroślami, z których mają wyróść narody przyszłości«; »Miłość chrześcijańska winna wziąć górę nad zapamiętałą nienawiścią wzajemną narodów«. Zwraca się papież nie tylko do katolików, ale wogóle do wszystkich, ktokolwiek żywi w swej duszy »poczucie ludzkości«, chwali dotychczasowe usiłowania ratownicze, zwłaszcza akcję amerykańskich biskupów, i zarządza we wszystkich katolickich świątyniach zbiórkę na głodne i marznące dzieci. Sam składa pierwszą kwotę w wysokości stu tysięcy lirów. Zbiórka ofiar ma się odbyć jednocześnie w całym świecie w niedzielę 28 grudnia, w święto pomordowanych przez Heroda niewiniątek. Pierwsi chrześcijańscy choć nieświadomi męczennicy, ofiary przewrotnej polityki Idumejczyka, mają z nieba patronować dziełu, które winno choć

w części zagoić rany, sprawione przez egoistyczną i niechrześcijańską politykę nowoczesną.

Mamy głębokie przekonanie, że wezwanie Ojca chrześcijaństwa poruszy do głębi serca ludzkie i otworzy miłosierne dłonie ubogich zarówno jak bogaczów. I Benedykta XV, a w nim Kościół Chrystusowy pokochają liczne rzesze uratowanych w dzieciństwie od śmierci głodowej, a historja wypisze mu obok innych tytułów tytuł »papieża cierpiących dzieci«.

Tak mało pisze się obecnie o krajach »neutralnych«, a zwłaszcza o katolickiem w nich życiu! Do takich mało u nas znanych z tej strony krajów należy Holandja. Warto więc podać choć parę o niej szczegółów. Holandja, jak wiadomo, jest krajem pod względem religji mieszanym. Protestanci stanowią w niej dwie trzecie, katolicy zaledwie jedną trzecią część ogółu ludności. I katolicyzm trzyma się przeważnie w klasach niższych, pracujących i średnich. Najbogatsza finansjera, przemysłowcy i kupiectwo należą przeważnie do świata protestanckiego. Otóż w tym kraju, gdzie niegdyś religja katolicka była upośledzoną i prześladowaną, katolicyzm zdołał tak się zorganizować i umocnić, że może służyć pod tym względem za wzór wielu innym społeczeństwom. Posiada liczny stosunkowo episkopat, dostateczny zastęp kapłanów świeckich, kwitnące bujnem życiem zakony, doskonałe teologiczne zakłady. Wysyła też ten kraj setki misjonarzy do krajów zamorskich.

Na co w tej chwili chcemy zwrócić uwagę, to na to, że katolicyzm stał się w Holandji najsilniejszą podporą ładu społecznego i najlepszym czynnikiem zdrowych reform. Kiedy partje socyalistyczne, rekrutujące się tam prawie wyłącznie z pomiędzy protestantów, usiłowały w jesieni 1918 roku wywołać polityczny rozstrój i doprowadzić do zwycięstwa bolszewickich haseł, właśnie głównie katolickie organizacje robotnicze udaremniły tę próbę. Siła katolicyzmu zyskała tak szerokie uznanie, że w kraju o większości protestanckiej, ster rządów można było złożyć w ręce przekonanego i otwartego katolika. W gabinecie holenderskim obok pzezydenta Ruysa de Beerenbrocka dzierżą teki jeszcze trzej ministrowie katolicy, nawiasem dodajmy — katolicy nie z imienia, ale z przekonań, wierzący i praktykujący. I ten właśnie gabinet, a zwłaszcza jego zwyczajny prezydent potrafił przeprowadzić cały szereg reform, wśród których wyróżnia się prawodawstwo robotnicze, mogące służyć za wzór dla

innych narodów. Cechą tego prawodawstwa jest umiejętne sharmonizowanie nowoczesnych postulatów (8 godzin pracy, ubezpieczenie robotników, udział w zyskach etc.) z zasadami etyki i socjologji chrześcijańskiej. W pierwszych dniach listopada 1919 roku katolicy holenderscy mogli się już zebrać na kongres katolicki, w którym obok arcybiskupa i 4 biskupów brali udział czterej katoliccy członkowie gabinetu. Podsumowano rezultaty dotychczasowej pracy katolickiej i obradowano nad zadaniami, jakie katolicyzm ma jeszcze w Holandji do spełnienia. W szczególności uznano potrzebę założenia uniwersytetu katolickiego. I dzieje się to wszystko w kraju wysoce kulturalnym i bogatym, a u nas wielu domorosłych filozofów wystawia sobie, że katolicyzm jest znamieniem krajów zacofanych i ubogich, a bezreligijność dowodem wszelkiego postępu. Należałoby więcej puszczać do nas zagranicznego światła...

O losy katolicyzmu troszczą się często powołani i niepowołani. Doświadcza tego na sobie młode państwo jugosłowiańskie. Po złączeniu w wspólny polityczny organizm prawosławnych Serbów i katolickich Chorwatów i Słowieńców, jedni wskazywali szczytne dla katolicyzmu zadanie — sprowadzenia z czasem całego narodu do katolickiej jedności, drudzy odczuwali obawę o losy religji katolickiej pod berłem schizmatyckich władców. Może i jedni i drudzy mieli częściowo słuszność, ale są ludzie, którzy z troski o katolicyzm chcieliby uczynić polityczny argument przeciwko zjednoczeniu południowych Słowian. Niedawno w szwajcarskim dzienniku Liberté de Fribourg pojawił się artykuł, który przyszłość katolicyzmu w republice S. H. S. maluje czarno. Podobnyż artykuł zamieszcza wiedeński tygodnik Das neue Reich, artykuł pochodzący, jak zapewnia redakcja, z bardzo poważnego źródła, a dowodzący, że duchowieństwo katolickie, nie wyłączając episkopatu, łudzi się co do wolności i postępów katolicyzmu w Jugosławji, że w błąd wprowadza nawet Stolicę Świętą, kiedy żąda języka słowiańskiego w liturgji, widząc w nim most dla dla prawosławnych ku katolicyzmowi. Autor artykułu twierdzi przeciwnie, że katolicyzm będzie w Jugosławji wystawiony na najcięższe próby i nawet skazany na powolne rozpłynięcie się w schizmie.

Pierwszy z wymienionych artykułów wywołał już ze strony księży chorwackich sprostowanie. La Croix z dnia 17 grudnia ogłasza list trzech kapłanów katolickich, którzy wchodzą w skład

delegacji jugosłowiańskiej na konferencję pokojową. Księża Spincič, Jagič i Ehrlich oświadczają, że artykuły w rodzaju tego, jaki opublikował fryburski dziennik, wychodzą z kuźni madziarskiej i mają za cel pokłócenie Chorwatów z Serbami, przez sianie wzajemnej nieufności i oczernianie przed światem nowej rzeczypospolitej. Twierdzą dalej, że katolicy cieszą się zupełną swobodą w Jugosławji, że rządzą w niej nie sami Serbowie, lecz zarówno i Chorwaci i Słoweńcy, że w rządzie belgradzkim są przecież i katolicy, a w szczególności ministrem dla całego państwa jest właśnie katolik Alanpowič, jeden z wodzów stronnictwa katolickiego w Bośni, zresztą, że części składowe nowej republiki cieszą się wielką autonomją wewnętrzną, która najlepiej gwarantuje katolikom ich prawa. Wobec tak kategorycznych wyjaśnień ze strony miarodajnej, alarmy o niebezpieczeństwach, grożących katolicyzmowi w państwie południowo-słowiańskiem, trzeba chyba uznać za pochodzące od takich »przyjaciół«, od jakich autor znanego napisu w podziemiach weneckich bronił się aż modlitwą.

Ks. Jan Urban.

Włoskie Stronnictwo Ludowe.

Wielką niespodziankę światu sprawiły ostatnie wybory do włoskiego parlamentu. Oto na 500 miejsc w parlamencie 103 z nich zyskało Stronnictwo Ludowe, które dopiero w lutym bieżącego roku ogłosiło swój program. I nie to może dziwne, że nowa partja zdołała zyskać odrazu tak pokaźną ilość mandatów, ale że stronnictwo to jest czysto katolickie i stanowisko swe wyraźnie zaznaczyło w odezwie z 20 stycznia. W liberalnych Włoszech zjawisko prawdziwie nadspodziewane.

Przyczyną częściową tak świetnego zwycięstwa była kompromitacja partji liberalnej i radykalno-narodwych w całej polityce wojennej i pokojowej ostatnich miesięcy. Ale tem samem, że partja liberalna traciła kredyt u włoskich obywateli, coraz większe wzięcie zyskiwały prądy socjalistyczne, boryka ące się ustawicznie z liberałami. I faktycznie pokazało się przy wyborach, że partja socjalistyczna ma wielką siłę. W parlamencie obecnie stanowi najpotężniejszą grupę, złożoną ze 150 przedstawicieli.

Zwycięstwo tedy Stronnictwa Ludowego, które w parlamencie stanowi drugą co do ilości i spoistości partję, musiało mieć i inne przyczyny, a nie tylko przegraną liberałów. Być może, że w szerokich masach narodu włoskiego budzić się zaczyna na nowo katolicyzm, zepchnięty

tak głęboko i przytłoczony olśniewającemi hasłami i szczęśliwemi wynikami początkowych prac liberałów i masonów. Wpłynęła na to zwycięstwo również zmiana stanowiska Stolicy Apostolskiej wobec udziału w rządzie wiernych synów Kościoła. Od kategorycznego »Non expedit«, zabraniającego głosować na przedstawicieli ludu, którzy stanowili blok wrogi Kościołowi, poprzez sporadyczne zezwolenia w latach 1904 i 1909, kiedy to biskupi tu i owdzie godzili się na udział w wyborach, by do parlamentu dostali się ludzie przynajmniej nie najgorsi, wreszcie po 27 posłach katolickich, których wywalczono wyborami z 1913 r. doszło wreszcie tego roku do całkowitego zniesienia wszelkich ograniczeń w tym względzie ze strony Stolicy Św. Równocześnie Stolica Św. zaznaczyła, że nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności za działalność polityczną Stronnictwa Ludowego. Bezsprzecznie fakt ten wpłynął również na żywszy udział katolików w zapasach wyborczych.

Lecz najwięcej z pewnością do uzyskania pokaźnej reprezentacji katolików w izbie włoskiej wpłynęła odezwa, przedstawiająca program działalności stronnictwa. O programie tym wyraził się Corriere della Sera, główny organ partji liberalnej, że członkowie partji piszą się na postulaty Stronnictwa Ludowego. Jest to oczywiście przesada, gdyż S. L. bardzo silnie podkreśla znaczenie Kościoła i moralności publicznej dla rozwoju tak włoskiego państwa, jak wogóle postępu kultury. Dlatego też żąda dla Kościoła wolności i swobody ruchów tak, by jego nauka mogła uzyskać całą pełnię rozwoju. Sumienie katolickie uważa program za fundament życia narodowego i dlatego państwo musi je uszanować.

Lecz ze stanowczem postulatem uszanowania zasad wiary i moralności łączy S. L. niemniej stanowcze żądania natury społecznej. W program stronnictwa wchodzi wszystko, co dziś staje się w wielu społeczeństwach kością niezgody, co rozdziela partje w parlamentach, co u nas jest od roku tematem walki prasowej i sejmowej. Tam przy tych postulatach zjednoczyli się wszyscy najlepsi synowie ojczyzny i Kościoła bez różnicy stanów, pochodzenia. Wystarczy nadmienić, że nad wypracowaniem wspomnianej odezwy debatowali, prócz duchowieństwa i byłych posłów do parlamentu, także książęta Santucci i Grosoli, że Stronnictwo Ludowe tworzą nietylko przedstawiciele związków robotniczych, chłopów, ale i kilku arystokratów przemysłowych, pokaźna liczba profesorów uniwersyteckich, niepośledniej sławy ekonomiści i publicyści.

Wszystkich tych ludzi jednoczy ten sam społeczny program, którego wszystkie zasadnicze postulaty — prócz kilku odnoszących się do spraw międzynarodowych i ogólno państwowych — zmierzają do dźwignięcia szerokich mas ludu na wyższy poziom kultury, do zapewnienia im opieki prawnej pod względem społeczno-ekonomicznym i politycznym. Walka z analfabetyzmem i szerzenie oświaty wśród ludu, wolność i uznanie prawne syndykatów, przedstawicielstwo poszczególnych klas zarówno w publicznych organach prawnych jak i w urzędach komunalnych, prowincjonalnych i państwowych, narodowa i międzynarodowa poręka prawa do pracy, ograniczenie prawne czasu pracy, wysokości

zapłaty i odpowiednich warunków higjenicznych, sądy polubowne zastosowane i do konfliktów zbiorowych między przemysłem a rolnictwem, rozwój kooperatyw, ubezpieczenie na czas choroby, kalectwa, starości i bezrobocia, szczególniejsza opieka nad małą własnością rolną i jej rozwój, zastosowanie kolonizacji wewnętrznej i intensywnej gospodarki na zaniedbanych wielkich obszarach, decentralizacja administracji, która ma ułatwić współpracę kapitału i sił roboczych przemysłu, handlu i rolnictwa, reforma podatków ogólno-państwowych i lokalnych na zasadzie postępowego zwiększenia odsetek od odchodów z wyłączeniem drobnych zysków, głosowanie powszechne, tajne, proporcjonalne z udziałem kobiet, senat wybieralny, opieka państwowa nad wychodźcami — oto główne punkta z programu stronnictwa.

Postulaty, jak widać, bardzo doniosłe i, mógłby ktoś powiedzieć, radykalne. Postulaty, nad którymi już dziś nie można przejść do porządku dziennego, których już nie można uważać za utopijne, czy rewolucyjne mrzonki.

Bardzo zbliżone, a w niektórych punktach całkiem identyczne żądania stawiają pewne grupy naszego sejmu. Niestety, podczas gdy we Włoszech wszystkie elementy zdrowe, bez względu na swe położenie ekonomiczne, skupiły się, by w nich bronić zasad chrześcijaństwa i zapewnić Kościołowi przewagę nad elementami radykalnemi i liberalnemi, u nas wśród grup katolickich — boć tylko lewica i żydzi wykluczają Kościół ze swych programów — wre walka o samo uznanie godziwości postulatów. Walka ta przynosi całkiem niepożądany skutek, bo zainteresowanych w urzeczywistnieniu programu pcha coraz bardziej na lewo, gdzie jest lepsze zrozumienie żądań i silniejsze poparcie, a tem samem wytrąca z rąk katolickich stronnictw atut pewnej przewagi nad prawdziwie radykalnemi i liberalnemi prądami.

Stronnictwo Ludowe włoskie uważa swój program za dziedzictwo idei chrześcijańskiej i w swym stosunku do Stolicy Św. chce być narzędziem podatnem na wpływy namiestnika Chrystusowego. Tem jasnem wytyczeniem drogi zapewniło sobie stronnictwo wzięcie w społeczeństwie włoskiem i konsekwentnie zwycięstwo przy wyborach i, rzec można, otwarło nową epokę pracy chrześcijańsko-społecznej, a tem samem i wpływów Kościoła. Twierdzenie to można tem śmielej wypowiedzieć, że do parlamentu posłało ludzi wybitnych, z których już niejeden w poprzedniej kadencji odznaczył się i był uważany za podporę ojczyzny w krytycznych chwilach.

R. M.

Z ruchu naukowo-religijnego w Rzymie.

Po straszliwej wichurze wojennej, w wielu krajach już ożył zdławiony wojną ruch umysłowo-naukowy. Powstają nowe uniwersytety, zaludniają się opustoszałe stare uczelnie. Szczególnie zaś w murach Wiecz-

nego Miasta można od zeszłego roku dostrzec parę dowodów wzmożonego ruchu naukowo-religijnego.

I tak w murach sędziwego uniwersytetu Gregorjańskiego: powstaje na fakultecie teologicznym t. zw. Cursus Magisterii. Jakiż jego cel i zadanie? Czem rzeźbiarz dla bezkształtnego głazu, lub architekt dla bezładnego stosu kamieni, tem wychowawca dla umysłów młodocianych. Bezsprzecznie umysł młodzieńca bardzo nawet samodzielnego i wybitnie indywidualnego ulega wpływowi wychowawcy i zwykle aż do grobu nosi na sobie ślad jego dłoni. Dlatego to Kościół katolicki tak bardzo troszczył się i troszczy o doborowy zastęp wychowawców. Jeśli zaś kto, to przedewszystkiem wychowawcy katolickiego kleru muszą mieć specjalne wykształcenie. Zakon Jezuitów rozumiał dobrze tę nieodzowną konieczność i dlatego ostatni jego Generałowie i kongregacje generalne usilnie polecają t. zw. »biennia«, czyli dwuletnie przygotowanie się po skończonych naukach do zawodu profesorskiego i pisarskiego. Obecny generał Wł. Ledóchowski, pragnąc tym bienniom dać jednolite, konkretne kształty i pragnąc, tak dla całego Towarzystwa, jak wogóle dla katolickiego kleru, stworzyć specjalną szkołę przyszłych profesorów teologji, w porozumieniu z kard. Bisletim, prefektem kongregacji studjów i seminarjów, otwiera na fakultecie teologicznym uniwersytetu Gregorjańskiego osobny kurs dwuletni t. zw. Cursus magisterii.

Zwyczajnymi słuchaczami tego kursu mogą być księża »laurea theologica donati«. Ci też po dwu latach otrzymają osobny dyplom, jeśli szczęśliwie przepłyną przez coroczny egzamin ustny i na koniec przedłożą naukową pracę piśmienną. Nadzwyczajnymi słuchaczami mogą być nie doktorzy po skończonych czteroletnich studjach filozoficzno-teologicznych.

Tegoroczny (1919/20) Cursus magisterii obejmuje trzy działy: teologję scholastyczną, pozytywną i biblijną. Godzin wykładowych w tygodniu 9. Profesorem teologji scholastycznej jest znany autor licznych artykułów teologicznych i dzieł polemiczno-społecznych: »L'Attitude des catholiques en face de la violence légale« (1907), »En face du pouvoir« (1910), były profesor na uniwersytecie katolickim w d'Angers, O. M. De la Taille T. J. Z pomysłowością i intuicją właściwą francuzom wykłada o ofierze mszy św. i wysnuwa stąd wnioski ogólne dotyczące Najśw. Sakramentu. Według programu profesor teologji scholastycznej ma pewne tylko traktaty pogłębiać, dając słuchaczom żywy wzór wykładu metodycznego. Dział teologji pozytywnej objął O. De Groot T. J., autor ascetyki św. Pawła: »La asœtica de San Pablo« (1915) i christologicznych studjów: »Jesus« Estudios Cristologicos. »De Getsemani al Calvario« i t. d. Po nader zajmującym wstępie o teologji biblijnej wogóle, jej istocie, odmianach, odcieniach, wnika O. Bover w przewodnią myśl teologji Pawłowej potem zaś przystąpi do Jego nauki o Duchu św. i do marjologji. Wdrożenie swych słuchaczy w naukową metodę dowodzenia ścisłego ze słów Pisma św. — oto ostateczny cel, do którego przedewszystkiem zmierza.

Drugą nowością i osobliwością uniwersytetu Gregorjańskiego jest: instytut kultury filozoficzno-religijnej Istituto di coltura filosofica e religiosa per il laicato. Zawiązkiem jego był przeszłoroczny (1918/19) wyższy kurs religji dla świeckich, »cursus superior religionis pro laicis« i jeszcze wcześniejsza padewska akademja »Academia di studi Religiosi« (cf. »Atti dell'Academia di studi religiosi«, anno 1°; Padova 1915—1916). W osobnem breve z dn. 26 lipca 1919 r., wystosowanem do O. Aug. Garagnani'ego T. J., papież Benedykt XV z wielką radością pochwala rozpoczęte dzieło, nazywa je »Opatrznościowem, nader aktualnem«, oraz życzy sobie, by uniwersytet gregorjański wcielił ten instytut w swój organizm, poświęcił mu siły fachowe i otoczył go szczególniejszą troską i pieczołowitością. (Cf. »Acta Sedis Apostolicae« 1 września 1919).

Pomysł i cel instytutu jest wzniosły. Chodzi tu o rozszerzanie i krzewienie katolickiego na świat poglądu, o pogłębianie religijnego wykształcenia wśród młodzieży szkół wyższych i inteligencji Członkami jego mogą być uczniowie szkół wyższych i inteligencja, pragnąca pogłębić swe wykształcenie religijne. Obecnie (1919/20) instytut kultury filozoficzno-religijnej ma pięć kursów: filozoficzny, na którym O. Monaco T. J. podaje zarys antropologji »Saggi di Antropologia«. O. Cesar Goretti-Monati T. J. wykłada o suggestji. Na kursie apologetycznym O. J. Gian Franceschi T. J. miewa konferencje o naukowej apologji, zaś O. Aug. Garagnani T. J. dowodzi boskiego pochodzenia religji katolickiej. Na kursie biblijnym przedstawia O. S. Rosadini T. J. współczesne zapatrywania na Pismo św. i przeciwstawia im naukę Kościoła katolickiego. Na kursie historycznym skreśli O. Crescentino Greppi T. J. szkic współczesnego ruchu religijnego. Wreszcie światową sławą cieszący się O. Artur Vermeersch T. J. wykłada na kursie społecznym etyczne podstawy prawa społecznego.

Że instytut jest dziełem bardzo aktualnem, świadczy o tem choćby sama liczba zwyczajnych słuchaczów, przechodząca już dwie setki. A są to ludzie przeważnie na stanowisku »professionisti«. Na wykładach O. Garagnani'ego największa sala napełnia się szczelnie.

Poświęćmy teraz słów parę nowo utworzonej w uniwersytecie greg. katedrze ascetyki i mistyki.

Od kapłana, wychodzącego na pracę do winnicy Pańskiej żądają wszyscy nie tylko wielkiej wiedzy apologetyczno-teologicznej, ale też wielkiej znajomości życia wewnętrznego. Jakże bowiem po stromych ścieżynach doskonałości prowadzić będzie dusze ten, któremu świat mistyki jest księgą na siedm pieczęci zamkniętą? Przy zwykłym rozkładzie nauk teologicznych mało się poświęcało miejsca ascetyce i mistyce. Otóż, żeby swym alumnom umożliwić i ułatwić wykształcenie także i w tym zakresie, otworzył uniwersytet tę katedrę. W okresie trzyletnim, (2 godziny tygodniowo) zamierza O. Marchetti T. J. przebiedz całokształt teorji doskonałości chrześcijańskiej. W dwu latach wyłoży ascetykę, w trzecim mistykę. Tego roku (1919/20) tłumaczy wogóle pojęcie cnoty i jej odmiany, oraz rolę pokus w życiu duchownem.

Jak instytut kultury filozoficzno-religijnej dla świeckich, taksamo i erekcja tej katedry napełniła radością Benedykta XV. W liście z dnia 10 listopada 1919 r. Ojciec św. wyraża ks. Marchetti'emu swe niezwykłe zadowolenie. Ten bowiem kurs może wypełnić wielką lukę w wykształceniu ogólnem kapłana, może wychować wielu mistrzów życia duchownego, zwłaszcza, że swe pewniki i twierdzenia buduje na twardej skale nauki św. Tomasza, a więc nie zboczy na grząski teren »modnej, nieuchwytno-sentymentalnej ascezy«, ani nie da się uwieść prądowi zgubnego mistycyzmu, puszczającego na ślepo wodze bujnej wyobraźni. Breve kończy Ojciec św. nadzieją, że na ten kurs uczęszczać będą gromadnie nie tylko alumni uniwersytetu, lecz także kapłani, zarówno świeccy, jak zakonnicy.

Syntezą nakoniec, kwiatem i owocem ożywionego ruchu naukowo-religijnego w gronie profesorów uniwersytetu gregorjańskiego jest zamiar wydania w r. 1920 pierwszego zeszytu czasopisma p. t. Gregorianum, które ma wychodzić co kwartał. Poruszać będzie zagadnienia nietylko dogmatyczno-apologetyczne, ale i filozoficzne. Wszystkich współpracowników ożywia i zapala jedna myśl: obrony katolickiego światopoglądu. Pod tem też hasłem wyjdzie w świat ten kwartalnik.

Lecz opuśćmy już mury uniwersytetu Gregorjańskiego. Stoimy właśnie na »Piazza Pilotta« przed gmachem papieskiego instytutu biblijnego. Wejdźmy do jego wnętrza.

Choć wojna światowa zmniejszyła ilość słuchaczy i porobiła szczerby w gronie profesorskiem, to jednak nie zabiła w niem życia naukowego. Wymownie o tem świadczą świeżo wydane: »Acta Pontificii Instituti Biblici«. (V. II. n. 1^0 Romae 1919). Owszem, dowodem żywotności Instytutu jest zamiar otwarcia nowego domu w Jerozolimie, jakby filji, w którejby alumni instytutu uzupełniali swe wiadomości geograficzne i archeologiczne. Zamiar ten pochwala Ojciec św. osobnem brevem z dn. 29 lipca 1919. Dowodem tejże żywotności jest również wydawnictwo nowego czasopisma ściśle biblijnego, którego pierwszy zeszyt ukaże się w r. 1920, p. t. Biblica. Biblica wychodzić będą co trzy miesiące. Znajdzie w nich czytelnik bieżące zagadnienia biblijne w formie artykułów. Ruch biblijograficzny oceniać będzie rzeczowo dzieła, monografje i rozprawy biblijne. W kronice zasięgnąć będzie można informacji o uczonych, poświęcających się studjom biblijnym, o wynikach prac, odkryć archeologicznych.

I jeszcze słówko o papieskim instytucie orjentalnym. W r. 1917 powołaną została do życia odrębna kongregacja dla kościołów wschodnich, a jednocześnie zapowiedzianem utworzenie odrębnego Instytutu orjentalnego dla wykształcenia misjonarzy, mających poświęcić się pracy na schizmatyckim Wschodzie. Nie ulega bowiem wątpliwości, że między umysłowością wschodnią a zachodnią istnieje olbrzymia różnica, wielka przepaść, którą wykopały wieki. Żeby więc do owczarni Chrystusowej sprowadzić bodaj jedną gromadkę zbłąkanych owiec, trzeba wprzód zżyć się z odmiennym światem wyobrażeń, upodobań, aspiracyj

chrześcijan wschodnich, a potem trzeba im prawdy wiary przedstawić w oświetleniu na ich serce i rozum działającem.

Szkołą Apostołów wschodu, palestrą szermierzy i krzewicieli zjednoczenia ma być Pontficium Institutum Orientale. Mogą doń uczęszczać nie tylko łacinnicy unici, ale też wszelkiego rodzaju odszczepieńcy wschodni. Uczniami jednak, czyli słuchaczami zwyczajnymi mogą być kapłani po skończonych studjach filozoficzno-teologicznych. Alumni, chcący po dwuletnim kursie otrzymać dyplom, muszą słuchać wykładów, brać udział w ćwiczeniach praktycznych, zdać szczęśliwie na końcu każdego roku ustny egzamin i napisać jedną naukową rozprawę na temat dowolnie obrany. Słuchaczami nadzwyczajnymi mogą być świeccy, nawet schizmatycy, pragnący poznać naukę Kościoła katolickiego.

Rektorem wschodniego instytutu zamianował Ojciec św. Ildefonsa Schustera, opata ordynarjusza bazyliki św. Pawła. Krom berła rektorskiego dzierży on równocześnie katedrę liturgji wschodnich. Słynny Assumpcjonista, autor dzieła o Nestorjuszu O. M. Jugie wykłada dogmatykę schizmatycką. Skreśliwszy krótko dzieje teologji greckorosyjskiej, przedstawi, jak najbardziej bezstronnie i przedmiotowo dogmatykę schizmatycką na podstawie t. z. »ksiąg symbolicznych« i najwybitniejszych teologów nowoczesnych. Przy każdym artykule przywodzi na pamięć twierdzenia katolickie, wykazuje niedomagania i braki w dowodach schizmatyckich. O. Teofil Spačil T. J. śledzi rozwój dogmatów. Szczególniejszą zaś uwagę zwraca na prawdy wiary przez schizmatyków odrzucane i na podstawie wschodnich Ojców Kościoła wykazuje niekonsekwencje twierdzeń różnowierczych. Patrologję i patrystykę wykłada O. A. Vaccari T. J., profesor instytutu biblijnego. Tego roku uwzględnia głównie szkołę Aleksandrijską, oraz świętych: Bazylego, Grzegorza i Jana Chryzostoma. Wschodnie prawo kościelne wykłada redaktor »Les Echos d'Orient«, O. Romuald Souarn, Assumpcjonista. Katedrę powszechnej historji Wschodu objął profesor Col. Angelici O. Tomasz Garde, dominikanin. W pierwszem półroczu zajmować się będzie dziejami cesarstwa bizantyńskiego, w drugiem nowożytną historją Słowiańską półwyspu bałkańskiego, uwzględniając przedewszystkiem zabiegi dyplomatyczne o przywrócenie unji. O. W. de Ierphanion T. J. jest profesorem archeologji, O. Bonawentura Ubach, benedyktyn, profesorem języka syryjskiego, Aristodem Zolakides greckiego, A. Jevreinow rosyjskiego, Abba Tecle-Mariam Cahassai etjopskiego. Dzieje literatury chrześcijańskiej ludów wschodnich wykłada Sylwjusz Mercati.

Ks. Wł. Lohn.

Niebezpieczeństwo idące z Ameryki.

Jeśli wychodźca polski z Nowego Świata z tęsknotą zwraca oko ku swej ojczystej ziemi, to niemniej tęsknie spoglądamy ku amerykań-

skiej Polonji i my, zbiedzeni wojną i fizycznie i ekonomicznie, wyglądając w niejednem pomocy od tych zamorskich braci naszych, którzy w wyprzedzającym wszystko tempie techniki amerykańskiej wyćwiczyli swą energję życiową, nabrali rozpędu w pracy, urośli w oczach naszych tak prędko na dzielnych i majętnych ludzi, a głodu i chłodu wojennego zupełnie nie znali. Rozumieją te nasze pragnienia rodacy z zamorza, współczują z naszym niedostatkiem tem współczuciem, które obejmuje całem polskiem sercem Matkę-Ojczyznę i dlatego niejednokrotnie urządzali składki dla najbardziej cierpiących z pośród nas, a przy pierwszej sposobności poszli ochotnie w szeregi armji i czekają tylko na odpowiednią chwilę, by zacząć wracać masowo na ojczystą ziemię.

Objawy te mogłyby nas tylko cieszyć i napawać nadzieją, że przybędzie nam sił, z któremi szybciej postępować będzie budowa naszego państwa. Niestety, radość naszą mąci obawa przed rozstrojem religijnomoralnym, który mogą i chcą przynieść ze sobą reemigranci, przynajmniej pewna ich część.

Na niebezpieczeństwo to zwrócił uwagę, pierwszy zdaje się z pism polskich »Miesięcznik Pasterski Płocki«. Ks Charszewski autor artykułu p. t. »Niebezpieczeństwo amerykańskie« przeczuwa, że chłop polski, który się przetarł po szerokim świecie, patrzył własnemi oczyma na życie niezależnych kościołów w Ameryce, a w poważnym odsetku należy i sam do Polsko-Narodowo katolickiego Kościoła zechce, wróciwszy do kraju, przeszczepiać idee kościelnej niezależności i złączonych z nią dogmatycznych błędów. Posłuch może uzyskać tem łatwiej, że będzie innym imponował jako bywalec, prędzej też znajdzie przystęp do ludu, będąc sam chłopem.

Przeczucie swoje uzasadnia ks. Ch. nawet pewnem smutnem doświadczeniem. Oto tej pracy wywrotowej jęli się już częściowo »ukochani skądinąd hallerczycy«, rekrutujący się z Ameryki. Ośmielili się oni już nieraz występywać przeciw powadze Kościoła i duchowieństwa, a żywioły nasze radykalne zaczynają już uciekać się do ich patronatu, jeśli sami nie czują się dość pewnemi.

To atoli dorywcze łączenie się naszych rodzimych lewicowych elementów z przygodnymi gośćmi nie jest tak niebezpieczne, jak inne zjawisko, o którem ogół społeczeństwa, ani duchowieństwa nie wie, a na które pragnęlibyśmy zwrócić uwagę. Od czasu przywrócenia połączenia pocztowego między Ameryką a Polską, płyną do naszego kraju, zwłaszcza do naszych wsi, a płyną nieprzerwanie czasopisma, broszury i książki z Ameryki, propagujące ruch odszczepieńczy i ideę kościoła narodowego.

Najsystematyczniej propagandę w tym kierunku prowadzi Straż, znany już oddawna tygodnik polski, organ Polsko-Narodowego katolickiego Kościoła i Polsko-Narodowej Spółki. Każdy numer tego pisma wzywa usilnie po kilkakroć członków narodowego kościoła do prenumerowania Straży dla znajomych i krewnych, będących w Polsce, wyznaczając premje dla tych, którzy zyskają 10 abonentów. I te wezwania nie są bezowocne. W jednym z listopadowych numerów Straży ogłoszono list sierżanta z armji Hallera, który prosi o podwyższenie liczby

nadsyłanych mu egzemplarzy Straży z 9 na 15, by mógł je doręczyć nowym zwolennikom. Według tego listu najodpowiedniejszy teren dla agitacji za kościołem narodowym przedstawia warszawskie, Sosnowiec, Będzin, Kielce, Słonie, Wyszogród. Całe setki zwolenników udało mu się już w tych miejscowościach pozyskać. A jest to działalność jednego tylko agitatora. Na podobne ataki muszą się przygotować i inne okolice — te przedewszystkiem, z których obficiej płynął do Ameryki przed wojną strumień emigracyjny. Niema wprawdzie obawy, by szersze koła u nas pozwalały sobie na abonowanie Straży wobec wysokiej stosunkowo prenumeraty (3 dolary rocznie czyli około 300 M.), ale koszta mogą pokrywać wychodźcy w Ameryce, albo, co również poruszył wspomniany sierżant, mogą oni wysyłać już przeczytane przez siebie numera do Europy.

Niebezpieczne to pismo łatwo może znaleźć u nas czytelników. Sprzyja ono bardzo dzisiejszym tendencjom ludowym, pisane w tonie polemicznym, występuje ostro przeciw kapitalizmowi, a raz po raz podaje cytaty z pism tutejszych: »Naprzodu«, »Robotnika«, »Przyjaciela Ludu«. Wogóle w kwestjach społeczno-ekonomicznych stoi Straż na stanowisko radykalnem i wszystkie walki toczące się u nas na tem tle znajdują w niem żywe echo. Straż posługuje się też chętnie motywami narodowemi. Prócz ponęt jakie może dla niejednego przedstawiać język ojczysty w liturgji, zapamiętale szerzy złudzenie, że naród nasz i państwo nie zdobędzie odpowiedniej siły wewnętrznej ani należnego uznania zagranicą, póki się Kościoła w Polsce nie wyzwoli z zależności od Stolicy św. — Nadmienić warto, że biskup Hodur w otwartym liście do p. Paderewskiego śmie dowodzić cytowaniem nazwisk wybitnych Polaków i Polek z XVIII i XIX w., że każdy prawdziwy patrjota musi popierać dążenie do zerwania z Rzymem. — Już powyższa treść Straży może zbałamucić niejednego czytelnika, a dodajmy do tego jeszcze liczne błędy dogmatyczne, zjadliwą krytykę kleru a obok tego zaraz słowa święte i różne tego rodzaju powiedzenia, za któremi pójdzie każda i najpobożniejsza dusza polska, o ile się nie spostrzeże, że to parawan odszczepieństwa. A wiemy niestety, że na różne takie pobożne przynęty lud nasz bardzo łatwo da się brać, a przeciwnie w doniosłych nawet kwestjach dogmatu i ortodoksji nie bardzo się orjentuje.

Zwrócić tu należy uwagę, że nieprzyjaciel atakuje niejako z dwu stron. W Ameryce wyznawcy Kościoła narodowego pod przewodnictwem księży apostołów i znanego odstępcy »biskupa« Hodura organizują misję celem rozszerzenia błędu, u nas tu i ówdzie zdarzają się ruchy odszczepieńcze, jak np. w parafji mstyczowskiej, a jeszcze częściej radykalne, które łatwo przyjmą ideje zrzucenia z siebie niewygodnego dla nich autorytetu rzymskiego, a duszę polską jakby z natury swej pobożną zaspokoją surogatem wierzeń i rytuału Kościoła narodowego. »Misja« długo nie mogła się wybrać do Polski wskutek »anormalnych stosunków i ogromnych trudności komunikacyjnych«. Już dziś jednak są jej przednie straże w naszym kraju. Do nich należy świeżo przybyły z Ameryki niejaki ks. B. Krupski, który w dzień Trzech Króli ma wygłosić odczyt

na temat: Kościół polsko-narodowy w Ameryce, pod gościnnym — dla tego rodzaju prelekcji — dachem domu P. P. S. w Krakowie. Upragniony atoli przez pewne tutejsze indywidua apostoł kościoła narodowego, ks. Hodur, nie myśli się osobiście do nas fatygować, bo »gdy naczelny wódz ze swoją gwardją ruszy na pierwszy ogień, to co się stanie?« — zapytuje Straż. »Oto tylna armja — brzmi odpowiedź — ruszając poza nim, przyniesie mu szkodę«. Ks. Huszno, którego demokratyczny kościół wzbudził w narodowym amerykańskim kościele żywe zainteresowanie pod koniec grudnia stracił swobodę ruchów, ale żywioły lewicowe napewno będą wedle sił i możności popierały ruch odszczepieńczy, odwdzięczając się w ten sposób za pomoc w szerzeniu krańcowych zasad społecznych.

Trudno dziś przewidzieć czy cała ta propaganda spowoduje większe spustoszenia, bo nawet w Ameryce nie przedstawia Kościół Narodowy zbyt wielkiej i jednolitej siły. W łonie tego Kościoła są różne tarcia, są też pewne oznaki, że brak mu dostatecznej liczby kierowników. Kandydatów np. do seminarjum duchownego w Scranton spraszać musi ks. Hodur odezwami pomieszczonemi w Straży, a pewno i innemi amerykańskiemi sposobami. W Krakowie w pierwszych dniach stycznia rozpoczął wspomniany misjonarz K. N., ks. Krupski, werbunek kandydatów duchownych inseratami pomieszczonemi w Naprzodzie. Prócz tego z zewnątrz atakują K. N. inne kościoły niezależne i katolicy, broniący wytrwale pod wodzą ks. bpa Rhodego wiary ojców. Ale w każdym razie te namiętne paszkwile, miotane na całe duchowieństwo katolickie, to podcinanie systematyczne powagi Ojca św., to udrapowane naukowością atakowanie wszelkich dogmatów i urządzeń Kościoła katolickiego, nie może przejść bez wrażenia i szkodliwych następstw. »Kłamcie, kłamcie jaknajwięcej, zawsze coś z tego pozostanie...«

Z tego względu nie można lekceważyć przeciekających do nas bałamuctw i mętów na łamach Straży.

Jeszcze więcej bałamuctw pod względem religijnym zawiera inna kategorja pism, którą amerykańscy Kolumbowie na polu wiary częstują Polaków w ojczyźnie. Należą tu wszystkie płody Towarzystwa Biblijnego i Badaczy Pisma, a więc miesięcznik Strażnica i cała plejada broszur, z których parę dla oryginalności choćby tytułów warto podać. Dostaliśmy więc z Ameryki Boski Plan Wieków, Mannę Niebieską, Cienie Przybytków lepszych ofiar, Powrót naszego Pana, czyli świtanie Dnia Sądnego, Karność Nowego Stworzenia, Cuda zawarte w Wielkiej Piramidzie, Walkę Armagieddonu — Chrześcijaństwo przed wielkim Sądem i t. p. Dziwacznym tytułom odpowiada leszcze dziwaczniejsza treść. Pismo św. Starego i Nowego Testamentu, zwłaszcza proroctwa Ezechjela i Listy św. Pawła komentowane w taki sposób, żeby koniecznie czytelnika przekonać o nikczemności papiestwa i t. zw. »kościelnictwa«, czyli kościołów wogóle, o tem, że bliski jest dzień sądu, ba, że się już rozpoczął w r. 1914 albo 1915, że Chrystus przyszedł już drugi raz na świat w r. 1873 i od tego czasu datuje się

tysiąclecie jego szczęśliwego panowania itd. itd. Oto dla ilustracji kilka zdań z różnych dzieł: »My teraz znajdujemy się w »Czasie Ostatecznym« Wieku Chrześcijańskiego! Nasza epoka jest »Dniem przygotowania Pańskiego« do Wieku Tysiąclecia«. — »Wiek Chrześcijański zakończy się »Dniem Pomsty«. Wszystkie systemy, tak polityczny, społeczny finansowy, jak i religijny — upadną. Przygotowania do tego symbolicznego »Ognia« i »Burzy« są w toku i wkrótce rozpoczną swą gwałtowną działalność. To będą zapasy między masami a klasami«. — »Dawno utracony »Klucz Umiejętności« Pisma św. został odnaleziony i daje możność ludowi Bożemu znaleźć »Tajemnicę Zakrytą«. Boski Plan jest, aby wybrać członków Kościoła w wieku Ewangelji i użyć ten Kościół w celu błogosławienia świata w czasie Tysiąclecia«. — »6.000 lat od stworzenia Adama upłynęło w 1872 r. Data Narodzenia Pańskiego przypada w paźdz. r. 2 przed Chr. Chrzest Chrystusa P. odbył się w paźdz. R. P. 29«.

Wszystkie te twierdzenia wygłaszane są z bezwzględną pewnością, a opierają się na zawiłej kabale dni, tygodni, miesięcy i lat, o których gdzieś Pismo św. wspomina. Pocóż zresztą do tej pewności aż Pisma św. skoro amerykańscy prorocy to samo i jeszcze więcej mogą poznać z jednej piramidy Heopsa. Każdy kamień tej piramidy, każda komora, chodniki, słowem najdrobniejszy szczegół mówi o planie bożym co do wszechświata, o każdym ważniejszym wypadku, o naturze człowieka etc. A inny znowu mędrzec tych jasnych, pewnych znaków szuka na firmamencie niebieskim. Na planecie Wenus znalazł ludzi i to cudownych ludzi. »Mieszkańcy Wenery są o dużo bystrzejsi umysłowo niż mieszkańcy ziemi, bo mózg ich pod działaniem elektryczności ławiej fosforyzuje i wykonywa swe funkcje myślenia. Wzrost ich bujny, wspaniały, oczy lśniące i lekkie. Do pojmowania kształtów nie koniecznie potrzebują używać zmysłów, wzroku i dotyku. Mogą to pojmować za pomocą siły elektrycznej. Każdy z nich bowiem jest chodzącą, silną baterją elektryczną«. Wszystkie te odkrycia i wynalazki dowodzą jasno, że człowiek powinien się oprzeć tylko na Piśmie św., zerwać z pogaństwem kościelnem, porzucić »antychrysta« papieża, że niema piekła, że karą za grzech jest śmierć duszy, że niema Trójcy św., niema żadnego dogmatu.

Trudno zaprzeczyć, że te oryginalne prawdy mogą zaimponować tylko głowom tych, którzy niedawno drżeli z trwogi, przed grudniowym końcem świata, każdy zaś cośkolwiek trzeźwiejszy umysł odrzuci je z oburzeniem — ale i tutaj obok naiwnych i bałamutnych mistyfikacji, obok astrologji i kabalistyki, obok rycin przedstawiających dzieje świata, widzenia (sic!) prorocze Ezechiela i t. p., napotykamy pseudonaukowe wycieczki na hierarchję kościelną, a potem znowu najpobożniejsze wiersze na cześć Chrystusa i Jego męki, zachęty do życia cnotliwego, w zaparciu i miłości Boga i bliźnich. Jest to zatem dość znowu poważne niebezpieczeństwo, jeśli uwzględnimy wygłodzenie naszego ludu pod względem religijnym, zwłaszcza w byłej Kongresówce.

Do tego trzeba dodać jeszcze, że Towarzystwo Biblijne jest w pewnym kontakcie, przynajmniej ideowym, zarówno z masonerją jak i so-

cjalizmem, o czem świadczą osobne broszury na ten temat. Nie trzeba też zapominać, że i Żydzi mogą mieć specjalny interes w popieraniu tej biblijnej sekty, ktora widzi w dzisiejszem żydostwie »zieleniejące drzewo figowe, oznajmiające, iż nadchodzi dzień sądu«. To też choć największy prorok wśród »badaczy pisma« pastor Russel zamknął na wieki oczy jeszcze 1916 r. i odtąd niema kto godzić indywidualnych i kłócących się tłumaczeń Pisma św., Strażnica rozchodzi się coraz szerzej, broszur pojawia się coraz więcej, a niektóre dochodzą do nieznanej u nas ilości nakładu, »Boski plan wieków« okazał się w 5231000 egzemplarzy. Z tegoby można wnosić, że tu działają jakieś ukryte siły i fundusze, które potrafią zasypać i nasz kraj tą niebezpieczną literaturą.

Z tych wszystkich względów powinny, zdaje nam się, powołane czynniki baczną zwrócić uwagę na tę sprawę i zapobiegać już dziś złemu w imię zasady: principiis obsta.

Ks. Romuald Moskała.

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. Jan Urban T. J.*

Druk ukończono 5 stycznia 1920.

Ucisk włościański w dawnej wiosce polskiej.

Dawna wieś polska, pojmowana jako jednostka ustrojowa i ekonomiczna, przedstawia się jako malutkie państewko, w którem pełnia władzy należała do właściciela wioski, w którem tak władza stanowienia przepisów wszelkich kategoryj, jak i sądownictwo wraz z wykonaniem wyroków, wchodziło w ramy uprawnień tego minjaturowego władcy patrymonjalnego. Włościaństwo polskie nie miało w ustroju Rzeczypospolitej ochrony prawnej, nie miało możności składania skarg na swych panów, a co najważniejsza prawnie władza orzekania o życiu i śmierci chłopa należała do właściciela wioski.

Takim był stan prawny wsi polskiej w ostatnich stuleciach niepodległego bytu Rzeczypospolitej polskiej. Stan to był bezsprzecznie smutny i on to skłonił wielu pisarzy politycznych do wygłoszenia potępiającego wyroku na niesumienną szlachtę, która zapatrzona w swój własny kastowy interes, poddała w zupełności chłopów pod swą władzę, zrobiła z nich niewolników, zmuszonych ulegać każdemu skinieniu, niepewnych przy tem nie tylko już mienia, ale nawet życia. Na tem to tle tak określa stosunki polskie Modrzewski: »U nas pospolity człowiek niewolstwem nad miarę jest uciężon, a szlachta zasię nazbyt z wielkiej wolności buja« [1]), przyczem najbardziej boli go nierówność karania za tąż samą zbrodnię chłopa i szlachcica, jak również najwyższa władza sądowa właściciela wioski nad swymi poddanymi. Mówi on bowiem na innem miejscu »to też trzeba postanowić, aby żaden rzeczy swej sędzią bydź nie śmiał, bo na każdym sądzie trzy osoby mają bydź: powodowa strona, obżałowany a sędzia. Bardzo tedy niesprawiedliwie czynią, którzy o swą rzecz ludzi swemu panowaniu poddane sądzą. Nie jest to

[1]) Modrzewski. O poprawie Rzptej: wyd. Turowskiego, str. 174.

ona wolność, która jest w uściech każdego, ani umiarkowanie prawa, przez które stoją dobrze postanowione rzeczypospolite — ale jest okrutne niewolstwo, że pan przywłaszcza sobie moc nad żywotem i śmiercią sługi swego skazać go na śmierć, albo wolnym uczynić« [1]).

Dola ludu włościańskiego boli i Skargę, który też w jednem z kazań sejmowych nie omieszkał się za tą najliczniejszą warstwą ująć, mówiąc: »Dotknąćby i onego złego prawa, którem kmiecie i wolne ludki Polaki i wierne Chrześciany poddane ubogie niewolnikami czynią, jakoby mancipia kupieni albo na wojnie sprawiedliwej pojmani byli i czynią z niemi drudzy co chcą na majętności i na zdrowiu i gardle żadnej im obrony i forum żadnego o krzywdy ich — drugdy nieznośne — nie dając i na nich supremum dominium (na które się sami wzdrygamy) stawiąc...« [2]).

Za poprawą bytu ludu wiejskiego przemawiają i inni pisarze, jak Starowolski, określający położenie włościan w Polsce jako niewolę, Miaskowski i tylu innych. Co więcej nawet tak wybitny przedstawiciel magnaterji, jak Opaliński, sam niedwuznacznie stwierdza, że jeżeli za co Bóg Polskę karze, to za ucisk poddanych.

Takich opinij możnaby przytoczyć więcej. Ograniczamy je jednak do tych niewielu powyżej skreślonych, wszystkie zaś one mają to wspólne, że główne źródło złej doli ludu włościańskiego widzą w ucisku szlachty.

Nie ulega wątpliwości, że określając dawniejsze stosunki według dzisiejszych, lub dopiero co ubiegłych, dla ustroju dawnego, dla poddaństwa włościan i w ślad za niem idącego ucisku chłopów, znajdziemy tylko słowa potępienia. Prawny bowiem stosunek był tego rodzaju, iż włościanin był oddany na łaskę i niełaskę pana, że ten ostatni miał prawnie nieograniczoną niczem władzę nad poddanym swej wioski. Taki stan prawny stwierdziła niedwuznacznie konfederacja warszawska z r. 1573 mówiąc: »Wszakże przez tę konfederację naszą zwierzchności żadnej nad poddanymi ich, tak panów duchownych, jako i świeckich nie derogujemy i posłuszeństwa żadnego poddanych przeciwko panom ich nie psujemy i owszem jeśliby takowa licencja gdzie była sub praetextu religionis, tedy jako zawsze było będzie wolno i teraz każdemu panu poddanego

[1]) Tamże, str. 215.
[2]) Skarga. Kazania sejmowe, wyd. Turowskiego, str. 95.

swego nieposłusznego tam in spiritualibus quam in saecularibus podług zrozumienia swego skazać« [1]).

Wypowiedziawszy te znamienne słowa i określiwszy w nich stanowisko warstwy włościańskiej, myśl prawna Polski na całe dwa niemal wieki, w zasadniczych swych podstawach co do sprawy poddańczej, umilkła. Dopiero bowiem w r. 1768 weszła ona na drogę reformy, odbierając panu ius vitae ac necis nad poddanym, nie naruszając jednak innych jego uprawnień [2]).

Na szczęście stan prawny nie zawsze odpowiada stanowi faktycznemu. Niejednokrotnie w poszczególnych społeczeństwach przepisy uciążliwe są tylko pium desiderium, w praktyce zaś nie są wykonywane. I u nas też naogół — przynajmniej w pewnych okolicach — podobnie było. Jak bowiem stwierdzają księgi sądowe wiejskie, chłop polski w wielu wioskach cieszył się samorządem gromadzkim, miał dziedziczne władanie gruntem a tem więcej ruchomościami i w praktyce nie zależał znowu tak bardzo od widzimisię swego pana. Nie odgrywał wprawdzie żadnej roli czynnej w rządach państwa, ale też trzeba przyznać z drugiej strony, że horyzont jego nie wykraczał poza graniczne kopce wioski lub parafji. Ten niewielki horyzont poddanego był bezsprzecznie wypływem odpowiedniej, może nie zawsze uświadomionej, polityki pana, niemniej jednak był faktem — w skutkach zaś usuwał chłopa z widowni wypadków politycznych.

Przy tem wszystkiem ucisk chłopów w wielu miejscach był smutną rzeczywistością. Byli bowiem zbrodniczy panowie, którzy nie chcieli widzieć człowieka w poddanym, którzy poddanych swych mieli za psów [3]), którzy ostatnią ich krwawicę wyciskali. Rzecz jednak znamienna, ucisk tego rodzaju najczęściej tam miał miejsce, gdzie rezydował nie dziedziczny właściciel wioski, lecz jego tymcza-

---

[1]) Volum. leg. II. 124.

[2]) Ma się jednak wrażenie, że ustawa ta nie wprowadzała praktycznie nic nowego, lecz była tylko przepisem normującym już istniejącą praktykę. Można bowiem w całym szeregu przypadków stwierdzić, że właściciele wiejscy nie korzystają ze swego prawa, a wrazie popełnienia przestępstwa przez poddanego, za które groziła mu kara śmierci, oddają go do sądu wiejskiego lub grodzkiego.

[3]) Modrzewski. O poprawie Rzptej, 216. »I kmiecie i wasze nieszlacheckiego stanu ludzi polska szlachta ma za psy; ztądże one nieczystych ludzi mowy: ktoby wieśniaka albo chłopa zabił... jakoby psa zabił«.

sowy zastępca, którym zwyczajnie był zastawnik lub dzierżawca. Stąd to pochodzi między innemi, że tyle skarg spotykamy na starostów królewskich i pomniejszych dzierżawców królewszczyzn, stąd też słusznem jest przekonanie jednego z badaczy, który twierdził, że »puścić dobra w zastaw lub w dzierżawę znaczyło to najczęściej wydać je na spustoszenie, chłopów na pastwę chciwości« [1]).

Nie mamy zamiaru przeprowadzać w niniejszej pracy momentu ucisku chłopskiego przez szlachtę, jako panów dziedzicznych, lub lub przez ich zastępców — dzierżawców. Chcielibyśmy jednak zwrócić uwagę na niezmiernie ciekawą okoliczność, iż ucisk chłopstwa, — o ile jest stosowany — wychodzi nie tylko od samej szlachty, ale także od samych poddanych, pojętych jako klasa bogatsza lub wpływowsza ze względu na sprawowane urzędy.

Przypatrując się ustrojowi wsi polskiej z XVII lub XVIII-go wieku zauważymy, że warstwa poddańcza w poszczególnej wiosce polskiej nie jest jednolitą, że nie składa się ona z członków mających równe uposażenie gruntowe. W dawnej wiosce szlacheckiej, czy duchownej, lub królewskiej, nie tylko kmiecie się znajdowali. Obok nich bowiem jako warstwy najlepiej w nieruchomości uposażonej, zauważamy zagrodników, posiadających mniej więcej połowę gruntu kmiecego [2]), a dalej jeszcze chałupników i komorników, którzy albo niewiele gruntu posiadają, lub wogóle własności nieruchomej są pozbawieni. Co więcej ostatnia kategorja niejednokrotnie nie ma nawet własnej chatki, lecz mieści się komorą u bogatszych kmieci czy zagrodników, którym pomaga przy zbiorze i uprawie ról.

Znamiennem jest, że wyższe kategorje poddańcze we wsi, przedewszystkiem zaś kmiecie zmierzają do przerzucenia ciężarów, zwłaszcza pańszczyźnianych i podatków, na warstwy uboższe, to jest chałupników i komorników. Celem ich to rozłożenie ciężarów nie według majątku posiadanego, nie według uposażenia gruntowego, ale na podstawie osobistej, na podstawie ilości osób wchodzących w gospodarstwo domowe, a już co najmniej na podstawie posiadanego domostwa. Zwierzchności dworskie przeciwdziałały temu prądowi, zmierzając do równomiernego rozłożenia powinności, nie według mo-

[1]) Łoziński. Prawem i lewem I. 140.

[2]) Byli jeszcze we wsiach t. zw. pół rolnicy, liczeni jako kmiecie i zarębnicy, oznaczający przeważnie to samo.

mentu osobistego, ale »podług maiątku«. Takie to stanowisko zajął sąd referendarski, gdy rozpatrywał sprawę sporną ze wsi Przyborowa i Łęk [1]), a nie inne zajęła i zwierzchność zamkowa suska, gdy jej przedłożono rozkład powinności między poddanych [2]).

W tem przerzuceniu ciężarów na warstwy uboższe wiejskie celowali zwłaszcza wójtowie wiejscy, rekrutujący się zwyczajnie z kmieci. Oni to nieraz wraz z przysiężnikami mieli prawo sumę podatkową nałożoną na wieś, rozłożyć na poszczególne gospodarstwa wiejskie, czyli mieli t. zw. prawo repartycji. Opłacało się im ono, ponieważ swe wyjątkowe stanowisko wyzyskiwali dla osobistych celów. Że rzeczywiście tak było, to niedwuznacznie stwierdzają postanowienia pańskie wydane w tym względzie. We wsi bowiem Mogile polecił klasztor w r. 1756 »podatki wszelkie, jako to: hibernę, pogłówne, spy i insze, powinien wójt z przysiężnemi przy gromadzie i wcześnie ułożyć, o ułożeniu dworowi dać znać, żeby na mniejszych nie zwalano, co więksi wypłacać powinni« [3]). Nie inaczej było i we wsiach Przyborowie i Łękach, gdzie wyraźnie stwierdzono, iż podatki mają być sprawiedliwie rozłożone »aby nikomu krzywdy nie było«.

Nieraz nie pomagały takie zastrzeżenia. Dlatego to zwierzchności dworskie wydawały rozporządzenia, określające karę na wójtów i przysiężnych, wrazie gdyby oni wbrew swej przysiędze, w wykonywaniu swych funkcji urzędowych dopuścili się takiego przestępstwa. W sprawie takichto wójtów i przysiężnych dwór krowoderski postanowił w r. 1776 »co się tycze także kary wójta i przysiężnych za niesprawiedliwość, którzy gdyby mieli z jakowej nienawiści przeciwko któremukolwiek obywatelowi większe na niego nakładać składki gromadzkie, jakoteż i uciemiężenia różne, niżeli powinność jego podług majątku wyciąga, takowy mając sprawiedliwe zażalenie, któreby świadectwem poprzysiężonym dowiódł, tedy wójt i przysiężni za takową niesprawiedliwość powinni bydź przez dwór Krowoderski ukarani grzywnami 15 oraz odsądzeniem od urzędu, co się tym dekretem niepochybnie pokazuje« [4]).

---

[1]) Korzystałem z księgi gromadzkiej wsi Przyborowo, łaskawie użyczonej mi przez p. prof. Kutrzebę, za co mu na tem miejscu serdeczne składam podziękowanie.

[2]) Rkp. Bibl. hr. Bran. z Suchej 16, str. 296.

[3]) Rkp. OO. Cystersów w Mogile 137, str. 78.

[4]) Starod. prawa pol. pomn. X, str. 666/7. Korzystałem z nich, mimo że dotąd nie zostały puszczone na półki księgarskie, dzięki życzliwości p. prof. Kutrzeby.

Wójtowie mieli jeszcze sposobność w innym kierunku działać na szkodę ludności wiejskiej, której przewodzili. Ta sposobność nadarzała im się przy wydawaniu orzeczeń w sprawach spornych włościańskich, które z woli pana dostały się pod ich orzecznictwo. Orzekali oni w tym wypadku nie sami, bo mieli dodanych sobie do pomocy przysięźnych, ponadto nie wyrokowali oni ostatecznie, ponieważ dopuszczalną była apelacja do wyższej instancji, ale mimo to mieli możność kierowania się w swem orzecznictwie sympatjami lub nieprzyjaźnią. Zwłaszcza spory gruntowe, rozmierzania ról, worywania się wzajemne dawały im sposobność występowania przeciw warstwom wioskowym słabszym. Że rzeczywiście tak było, tego klasycznym dowodem był przykład wójta suskiego Jędrzeja Herenczyka, który powodowany pokrewieństwem i datkami przy wymierzaniu gruntów działał na korzyść kmieci, a ku szkodzie zagrodników i chałupników. Doszło wkońcu do tego, że władze dworskie, wpadłszy na ślad takiego postępowania, wszelkie jego orzeczenia zniosły, polecając nowemu wójtowi ponowne przeprowadzenie rozpraw wraz z dodatkowym rozmierzaniem ról [1]).

I inne sprawy sporne dawały wójtom i przysięźnym możność wystąpienia przeciw chałupnikom i komornikom. Mogły to być sprawy natury cywilnej i karnej — ale w obu wypadkach wójtowie skutkiem niedostatecznie określonego prawa, skutkiem nieznajomości niejednokrotnie przepisów obowiązujących, a co najważniejsza, skutkiem świadomego niezastosowywania rozporządzeń pańskich, wydawali orzeczenia krzywdzące warstwy słabsze. Zwłaszcza zaś pamiętali, aby w wyroku znalazło się oznaczenie winy pieniężnej na skazanego, a która z natury była obracaną na poczęstunek ławy przysięgłej. Co więcej nieraz już naprzód strony zjednywały sobie sąd wiejski odpowiedniem ugoszczeniem trunkowem, tak że wójt z przysięźnymi zasiadał do osądzenia sprawy w stanie nietrzeźwym. Sposobność do »wypitki« była tem większa, iż sądy niejednokrotnie w braku odpowiedniego pomieszczenia odbywały się po karczmach — jak to miało miejsce w Palikówce, Łące, Terliczce i Łukawcu, a także czasami zdarzało się w Kasinie Wielkiej czy też Olszówce.

Chcąc zapobiedz temu smutnemu stanowi rzeczy, organa dworskie polecały odbywać sądy o wschodzie słońca, na czczo. Tak np. urządzano się we włościach suskiej, ślemieńskiej i żywieckiej, idąc

[1]) Rkp. Bibl. hr. Bran. z Suchej 18, str. 197—201.

zresztą w tym wypadku za wzorami zaczerpniętemi z prawa niemieckiego. Gdzieindziej znowu zakazywano odbywania sądów po browarach lub karczmach. We wsi Zagorzanach, stanowiącej posiadłość opactwa Tynieckiego, nakazano wójtowi, aby »tenże sądy suchedniowe według zwyczaju prawa rugowego u siebie w chałupie czyli innego sąsiada, lub gdziekolwiek w miejscu przystojnem, byle nie w browarze ani w karczmie wjezdnej« składał, przyczem dodano w tejże wiosce znamienne dla charakterystyki stosunków tamtejszych postanowienie: »przed zaczęciem sądów, ani przy sądach trunków pić lub po pijanemu sądzić pod winą grzywien i innemi karami zakazuje się« [1]).

Ażeby uchronić chałupników i komorników przed zbytnim wyzyskiem wójtów i przysiężnych, których bogatsi »kwartą« przekupywali, pomniejszano ich ilość, wychodząc z założenia, że tym sposobem chociaż w pewnej mierze pomniejszy się zło skoro łatwiej będzie skontrolować dwóch przysiężnych z wójtem, niż ławę złożoną z wójta i 7-miu czy 9-ciu przysiężnych. Stąd to pochodziło odstępstwo od zwyczaju zdawna praktykowanego, iż zamiast siedmiu przysiężnych w Zagorzanach, wprowadzono tam w r. 1752 tylko dwóch, motywując to postępowanie tem, iż dawni przysiężni »bardziej tumulty czynili a pensji większej pacjentom na trunki przyczyniali« [2]).

Wójt wiejski jako naczelnik samorządu wioskowego, zwłaszcza w okolicach podgórskich, miał dużą władzę i jako taki nieraz dawał się we znaki uboższym swym sąsiadom. Nie poprzestawał on na pobieraniu opłat od bogatszych za sprzyjający im wyrok, nie poprzestawał na nakładaniu kar pieniężnych, obracanych potem na cele poczęstunku, ale co więcej nieraz bez sądu, bez odwoływania się do pełnej ławy przysiężnych, wymierzał kary oskarżonym. Podobnie postępowali i przysiężni, idąc śladami swego zwierzchnika. Że rzeczywiście takie stosunki miały miejsce, to świadczy o tem zakaz wystosowany przez dwór do gromady krowoderskiej w r. 1776. Zaznaczono w nim bowiem wyraźnie, że »wójt, jako też i przysiężni żadnej kary lub bicia nie powinni sami sobie czynić prywatnie albo z gniewu, ale urzędownie lub przez dekret wykraczających według miary występku karać, któryby przysiężny tak zu-

[1]) Starod. pr. pol. pomn. X, 604.
[2]) Tamże.

chwale uczynił i był doniesiony do dworu Krowoderskiego, ma podpadać karze 14 grzywien dworowi a 7 grzywien pokrzywdzonemu człowiekowi« [1]). Zdaje się, że wymienione rozporządzenie miało na celu usunięcie sądownictwa policyjnego wójta w sprawach błahych i nie cierpiących zwłoki, przy których można się było obyć bez zwoływania ławy przysięgłych.

Tego rodzaju przepis nie zdołał z pewnością usunąć nadużyć a razem z niemi i jednostronego sądownictwa wójtowskiego policyjnego. Takie bowiem sądownictwo spotykamy i później, utrzymało się zaś ono i za późniejszych czasów austrjackich i skończyło się dopiero ze stworzeniem sądów powiatowych — ale i wtedy niezupełnie. Z tych to czasów utrzymała się tradycja o bezwzględnem postępowaniu wójtów przeciw uboższym warstwom wiejskim, o znęcaniu się nad niemi, które nieraz dochodziło do tego stopnia, iż ten zwierzchnik wioskowy odbierał chałupnikom domostwa i grunta, a nawet co więcej przymuszał ich do robocizny na rzecz swoją [2]). Tego rodzaju praktyka była odblaskiem dawnych stosunków, która utrzymała się prawie niezmieniona, mimo zmiany państwowej, praktyka ta zaś skierowaną była przeciw warstwom zagrodniczym i komorniczym, w małej zaś tylko mierze przeciw kmieciom.

O ile wójtowie mieli powierzony sobie nadzór robocizny, to i w tym wypadku mogli działać na szkodę swych sąsiadów i to tak bogatszych, jak i uboższych, chociaż zapewne w wyższej mierze na niekorzyść tych ostatnich. Zapewne wtedy to za opłatą nieraz zwalniali od pańszczyzny włościan, a ponadto niejednokrotnie zamiast wychodzić z chłopami na pole dworskie, skierowywali ich na własne grunta lub sąsiadów sobie przyjaznych.

Że tego rodzaju postępowanie było możliwe, to o tem świadczy ustawa Anny Wielopolskiej dla majętności suskiej z r. 1696, której jeden z przepisów wymierzony był przeciwko niesumiennym sołtysom, przedającym pańszczyznę i obrabiającym własne grunta robocizną pańską. Postanowiono wtedy w niej, iż »gdyby się pokazało na sołtysa któregokolwiek, aby się ważył poddanym zaprzedawać roboty, lub przez niedbalstwo jakie przespać i opuścić jej, albo na cudzym gruncie, bądź u siebie, pańskim poddanym robić, takowy

---

[1]) Tamże 666/7.

[2]) Świątek. Zwyczaje i pojęcia prawne. Materj. kom. antropol. II, str. 150—251.

winy pańskiej nieprzepuszczonej grzywien 10« ma złożyć na rzecz dworu, jako karę za nadużycie [1]). Co do wójtów nie mamy wzmianki o tego rodzaju postępowaniu, pochodzi to jednak stąd, że — o ile chodzi o okolice podgórskie cieszące się samorządem — obowiązek nadzoru pańszczyzny spotyka się rzadko, że jednak tu i ówdzie ciążył on na wójtach, tego dowód mamy we wsi Krowodrzy, gdzie wójt wypędzał poddanych na robociznę, otrzymawszy uprzednio odpowiednie zlecenie z dworu [2]). Gdy tego rodzaju ciężar spoczywał na barkach naczelnika samorządu, łatwo też było o nadużycie tego rodzaju, jakie zauważyliśmy przy sołtysach.

Przedstawione wzmianki z praktyki wójtów i przysiężnych wskazują dowodnie, że we wsi polskiej obok zdarzającego się ucisku ze strony właścicieli dóbr, miał miejsce jeszcze inny ucisk, mający swe źródło w samej klasie chłopskiej, a objawiający się przerzuceniem ciężarów i powinności z warstwy ekonomicznie silniejszej, na warstwę ekonomicznie słabszą, przyczem najwybitniejszym objawem tego ucisku była praktyka wójtów i przysiężnych.

Była jeszcze i inna forma ucisku biedniejszych mieszkańców wioski przez bogatych. Oto zdarzało się we wsiach niejednokrotnie, iż kmiecie mieli na swoich rolach osadzonych chałupników i komorników, którzy wzamian za dzierżawiony grunt względnie najmu mieszkania, opłacali im czynsz, a co więcej odrabiali umówioną robociznę. Tacy chałupnicy kmiecy istnieli na rolach kmiecych we wsiach królewskich Jadowniki i Maszkienice [3]), których obowiązkiem było pomagać kmieciom w odprawieniu robocizny folwarcznej i to w ten sposób, że chałupnicy ci zamiast kmieci pojawiali się na pańszczyźnie. Podobnych chałupników zauważamy — i to w większej ilości — w Kasime Wielkiej. Tam to ogółem wszystkie zagrody i chałupy powstawały, jako osobne jednostki gospodarcze w ten sposób, iż ich posiadacze, drogą umów lub też rozporządzeniem ostatniej woli, otrzymywali wydzielone sobie kawałki gruntu od kmieci wraz z pobudowanemi na nich zabudowaniami mieszkalnemi i gospodarczemi. Wza-

[1]) Chomentowski. Materjały do dziejów rolnictwa w Polsce, str. 413—417.

[2]) Starod. prawa pol. pomn. X. str. 667. Co się tyczy jakiej powinności lub robocizny dworskiej Krowoderskiej, względem której zawczasu wójt z ekonomem dworskim Krowoderskim znosić się powinien i gromada powinna zaraz bez odwłoki odnieść się do wójta...

[3]) Castr. Sand. 152 str. 371—384.

mian za to mieli ponosić cząstkę ciężarów na ich dział przypadającą, którą składali w ten sposób, iż płacili czynsz kmieciom i odrabiali robociznę albo u nich, albo też w zastępstwie ich na folwarku pańskim. Prawo ich jednak do posiadanego gruntu nie było zbyt silnem, skoro ze strony kmieci ponawiano ustawicznie atak, aby odebrawszy cząstki chałupnicze i zagrodnicze, przywrócić dawne całkowite role kmiece. Widocznie nie mieli ani pełnej własności swych zagród i chałup i, dlatego to z obawy przed grożącem im »rugowaniem« z gruntu, choć niechętnie, jednak zmuszeni byli na podwyższenie swych ciężarów na rzecz kmieci. A więc i w ten sposób kmiecie, jako warstwa najbardziej uposażona, ekonomicznie uciskali i trzymali w niepewności co do dalszego losu zagrodników i chałupników, spędzając ich z ról, lub też wymuszając na nich powiększenie powinności.

W tym wypadku potrzebnym był czynnik pośredniczący, któryby łagodził nierówności wiejskie w poszczególnych warstwach. I taką to rolę spełniał dwór, który w zasadzie niechętnie uznawał bezpośrednie umowy między kmieciami a zagrodnikami i chałupnikami, który dążył do stworzenia bezpośredniego stosunku między dworem a zagrodnikami i chałupnikami z pominięciem pośredniego ogniwa kmiecego. Stąd to, gdy w r. 1764 w sądzie rugowym kasińskim znalazła się sprawa między braćmi Putami, przedstawiającymi interes kmiecy, a Szymkiem Ziębiakiem chałupnikiem, gdy Putowie żądali odebrania gruntu Ziębiakowi, to sąd stanął po stronie tego ostatniego, uznając go za właściciela i znosząc stosunek między nim a Putami i usuwając opłaty dotąd przez niego składane na rzecz gospodarstwa kmiecego. [1])

Wyrok ten był zasadniczym i dla innych gospodarstw zagrodniczych i chałupniczych. I one temsamem zerwały łączność z gospodarstwami kmiecemi, a weszły w stosunek bezpośredniej zawisłości od dworu, składając tam a nie gdzieindziej czynsz i na folwarku odrabiając robociznę. Tak zaś postąpiono dlatego, ponieważ jak się wyraża wyrok — »gdyby się pozwoliło Putom, aby ten kawałek roli odebrali Ziębiakom, wszyscy kmiecie oburzyliby się i chcieli

[1]) Starod. prawa pol. pomn. X, 417, »że zaś przez przysiężnych i gromadę doniesiono i dowiedziono jest, że cisz Putowie sztukę pola przyczynili do swego pola z pańskiego lasu, konwent ustępuje tej kopaniny wiecznemi czasy dla Putów, Szymonowi zaś Ziębiakowi podnosi pańszczyzny dzień drugi i ta chałupa obraca się na zagrodę. Tenże niepowinien będzie płacić Putom pół złotego na rok«.

poodbierać zagrodnikom wydzielone im kawałki gruntów, jako zaś pokazało oczywiście na sądach teraźniejszych, gdy Szymon Łukasik kmieć z tym się odezwał, że gdy Putowie odbiorą Ziębiakowi ten kawałek gruntu, zaraz i ja odbieram, et sic consequenter«. [1])

Kmiecie zapisywali się jeszcze w inny sposób w pamięci chałupników i komorników, oni to bowiem starali się im odebrać szereg uprawnień, przysługujących im z tytułu zamieszkania we wsi. Stąd też jak najbardziej ograniczano im serwituty leśne ogólne, stąd ściśle określano ile bydła ma prawo komornik lub chałupnik trzymać, kiedy ma prawo jeździć do lasu gromadzkiego i jaką ilość drzewa stamtąd może pobrać. Co więcej nawet zwyczajowo zdawien dawna uznane uprawnienia starali się im odebrać, dbając tylko o interes swej warstwy. Tak to postąpili kmiecie mogilscy, którzy w r. 1756 przyczynili się do wydania postanowienia zabraniającego komornikom i chałupnikom wydzierać z pól kmiecych chwastów. Odnośny przepis miał następujące brzmienie. »Ponieważ się kmiecie skarżą, że baby osobliwie chałupniczki i komornice w zbożach ich na wiosnę wyrywając dla krów chwasty wraz wyrywają i zboże, więc którakolwiek złapanaby była zboże wyrywająca i tego dokument pokazano przed wójtem, natychmiast u wójta ma wziąć plag 30 bez wszelkich wywodów« [2]). Wprawdzie — jak widzimy — wydanie tego postanowienia tłómaczono wyrywaniem i niszczeniem zboża, w rzeczywistości jednak, jak z całej osnowy wynika, chciano w ten sposób udaremnić zwyczajową służebność zbierania trawy na polach kmiecych.

Mówiąc dotychczas o pewnego rodzaju ucisku, jakiego doznawały we wsi polskiej warstwy ekonomicznie słabsze i gorzej uposażone, przedstawialiśmy zarazem, że ucisk ten wychodził od kmieci i wywodzących się z nich przeważnie wójtów i przysiężnych. Ucisk tego rodzaju rozgrywał się, że się tak wyrazimy — w ramach samorządnego ustroju wioskowego. Obok niego jednak można zauważyć i inny, wychodzący wprawdzie również od chłopów, ale chłopów nie znajdujących się w ramach wioski w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz stojących poza nią, spełniających pewne funkcje urzędowe dworskie, powierzone im przez pana. Do tej kategorji urzędników dworskich można zaliczyć gospodarza, albo dwornika, mającego pod swym zarządem gospodarstwo folwarczne, a ponadto cały szereg

[1]) Starod. prawa pol. pomn. X, 418.
[2]) Rkp. OO. Cystersów w Mogile 137, str. 74.

innych jak karbowy, klucznik i t. p., którzy nieraz przymuszeni przez pana musieli spełniać swe funkcje. Nazywamy ich urzędnikami, ponieważ spełniają oni nieraz cały szereg czynności w sprawach gromady, wydelegowani do tego przez czynniki dworskie, praktycznie jednak nie różnią się oni niczem od służby. Nie różnią się zaś tem więcej, że i ich wynagrodzenie składa się obok małej zapłaty pieniężnej, także z pewnej ilości ordynarji obliczonej specjalnie na każdą osobę. Że funkcjonarjusze ci mogli się właśnie dawać we znaki gromadom, fakt ten nie ulega najmniejszej wątpliwości. Przecież oni to znajdowali się ustawicznie w bezpośredniem otoczeniu pana, ciągle się z nim stykając, oni to wykonywali jego rozkazy, spełniając rolę pomocników. Przy tej to sposobności niejednokrotnie wobec patrjarchalnego stosunku pana do służby mogli w pewnym określonym duchu wpływać na właściciela wioski, mogli wykorzystać sytuację, aby otrzymać jakiś pożądany kawał roli lub łąki, kosztem prawowitego posiadacza. Że rzeczywiście tak było, to świadczą o tem dobra OO. Dominikanów, w których mamy cały szereg przykładów, iż gospodarz folwarku zapewnia sobie posiadanie roli na wsi dla późniejszego na niej gospodarowania, zapewnia ją zaś sobie kosztem prawowitych spadkobierców. W ten to sposób Józef Kajdas gospodarz przeciszowski uzyskuje posiadanie roli w tejże wiosce, mimo, że prawa do niej bliższe ma inny poddany Mendyk [1]), zaś Żmizialkowie zostali z rozkazu dworu obici za namową i poduszczeniem jednej ze służebnych [2]).

Ci to urzędnicy w tej lub owej formie mieli także do czynienia z pańszczyzną i jej dozorem. I przy tej sposobności mogli poddanym dać się dobrze we znaki. Znany nam jest przykład sołtysów klucza suskiego, co do których trzeba było wydać osobne postanowienie w sprawie doglądanej przez nich pańszczyzny, a co do Pawła Kowalika, gospodarza paczułtowskiego, czytamy w zapiskach, iż »wiernie pańszczyznej od gromady swojej należącej nie przestrzegał, robociznę mierzał według swego upodobania, któremu chciał chłopu pańszczyznę odpuszczał, a osobliwie temu, z którym miał zachowanie i u którego przysiewał«, a co więcej wykorzystując swe stanowisko męczył chłopów robocizną, bo »za dzień pański kazał sobie chłopom

[1]) Rkp. OO. Dominik. 9., str. 1279.

[2]) Tamże str. 1290—1291 »a to wszystko z zawziętości z (sic) przeszłej dworki małżonki Jana Olexego stało się bo... powiedziała, póki ja będę i tenże ekonom wszystkiego dokaże czego będę chciała«.

rabiać, orać, radlić, włoczyć tam, gdzie przysiewał, cum praeiudicio pańskiej roboty« [1]).

Wspomniany Kowalik specjalnie zapisał się w pamięci swych współbraci. Obok bowiem przymuszania ich do pracy na gruntach bezpośrednio przez siebie użytkowanych, to jeszcze — jak się wyrażają akta — »nad zakaz pański chłopskie stajania obsiewał i wyciągał nad chłopami, żeby mu ich ustępowali, a kiedy który chłop nie chciał tego uczynić, to gospodarz rankor brał do niego i wszelkim sposobem mścił się tego, uciążając, podszczuwając we dworze na niego« [2]). Co więcej dochodziło do tego, że »jako popularis fama« mówiła, z powodu zaciekłości tego to gospodarza nie tylko kilku poddanych zostało zrujnowanych, ale i umarło. Tak to miało się stać z półłannikiem Szafirem, który »z okazji jego miał umrzeć; napadszy go bowiem tenże gespodarz na rzekach pod klasztorem zbierającego pokrzywy, tak go dobrze wytrzepał za ową szkodę, że chłop ledwie zalazł do chałupy na noc i potem nazajutrz umarł». Podobnie powodem śmierci dwóch innych poddanych Lemiesza i Małodobrego, miał być nie kto inny, tylko gospodarz paczułtowicki Kowalik, przy czem pierwszy został uprzednio przez niego zrujnowany »miawszy się przedtym dobrze«, tak że »z roli musiał pójść i mizernie żywot skończyć« [3]).

Urzędnicy dworscy tak srogo z włościanami postępujący mieli tem większą możność działania na szkodę swych współbraci, iż nieraz oddawano pod ich opiekę specjalne zakresy życia wiejskiego. Tak to w dobrach wspomnianego klasztoru karmelitańskiego, gospodarze folwarczni mieli sobie powierzoną pieczę nad stanem bydła włościańskiego. Postanowiono bowiem: »każdy gospodarz niech przestrzega tego w swojej wsi, żeby bydła chłopi nie przedawali bez opowiedzi dworskiej« przyczem powodem wydania tego przepisu była szkoda klasztorna, »bo secundum libitum suum chłopi sprzedają woły, konie zdolniejsze, a słabsze kupują i tak ani dworowi, ani sobie zarobić nie mogą, a co większa, że się ważą i to bydło przedawać, co wzięli na zakładkę ze dwora« [4]). Że przy takiem przelaniu władzy na urzędnika dworskiego w pewnym kierunku była możliwość szykan ze strony tegoż, o tem nie trzeba mówić. Urzędnik ten bowiem

[1]) Rkp. OO. Karmelitów w Czernej 2, str. 313.
[2]) Rbp. OO. Karmel. z Czernej 2, str. 313.
[3]) Tamże str. 313—314.
[4]) Tamże str. 317.

lepiej znający od pana stosunki wiejskie, a postępujący ściśle formalistycznie i według wydanego sobie rozkazu, wcale nie przyczyniał się do umożliwienia tranzakcyj handlowych, ale przeciwnie nieraz nawet całkiem bezpodstawnie je udaremniał. Ponadto miał on czujniejsze oko na poddanych, aniżeli pan, którego poddani nieraz wywodzili w pole. W razie sprzedaży bezprawnej bydła, zaraz się o tem dowiadywał, donosząc o tym fakcie dworowi, który nie tylko, że znosił umowę alienacyjną, ale co więcej nakazywał pozbytą sztukę bydła odkupić od nowonabywcy, ażeby ją z kolei odsprzedać po cenie pierwotnej dworowi. W ten to sposób w Dubiu poddany sprzedawszy do obcej miejscowości cielę, nie tylko że musiał je po wyższej cenie od nowonabywcy odkupić, ale także sprzedać je natychmiast po pierwotnej cenie dworowi [1]).

Jak widzimy funkcjonarjusze dworscy, rekrutujący się z chłopów, odgrywają dość znamienną rolę w życiu swych współbraci. Od nich to szedł nieraz bezpośredni ucisk w formie odbierań gruntu, zmuszania do pańszczyzny, bicia i t. p., a jeszcze cięściej ucisk pośredni, wiemierzony przeciwko warstwie włościańskiej przy pomocy rad i namów dawanych dworowi. Za tę swoją rolę nie byli oni lubiani we wsi polskiej. Ileż to bowiem razy słyszymy o oszczerstwach na nich rzucanych przez rozżalonych kmieci i zagrodników, a co więcej ileż to przypadków podają nam akta — przypadków pobicia służby dworskiej, zanadto skrupulatnie spełniającej polecenie pańskie. W kluczu suskim podczas jarmarku odium zwraca się przeciwko dwom leśnym zanadto obszernie pojmującym swe obowiązki [2]), a w Olszówce korzystając z ciemności nocnych pobito tamtejszego dwornika [3]). W obu wypadkach był to odruch niezadowolonego tłumu poddanych i była to zemsta na zaprzańcach.

Gospodarze folwarczni, dopuszczający się różnych krzywd względem mieszkańców wioski, stanowią przejście do innej kategorji ludności wiejskiej, która również, korzystając z władzy sobie nadanej, dawała się we znaki, już nie tylko zagrodnikom, chałupnikom, ale także i kmieciom. Mowa tu o dzierżawcach - chłopach, którzy na

---

[1]) Poddany ten sprzedał cielę do Krakowa za $2^1/_2$ złp., a przymuszony od dworu, musiał ci on o północy szukać cielęcia i znalazłszy musiał za nie dać 4 złp. i oddać do dworu za $2^1/_2$ złp. Rkp. OO. Karmelit. z Czernej 2, str. 147.

[2]) Rkp. Bibl. hr. Bran. z Suchej 18, str. 93.

[3]) Rkp. Bibl. Jag. 909, fol. 62.

pewien przeciąg czasu, zwyczajnie trzyletni, uzyskiwali dzierżawę wioski, a z nią »posłuszeństwo poddanych«, ich czynsze i inne powinności pańszczyźniane. W zasadzie ci to dzierżawcy w okresie tym trzyletnim, zastępowali pana na tem terytorjum wiejskiem, uprawnieni zaś byli do mieszania się we wszelkie zakresy życia wiejskiego.

Z punktu widzenia ustaw państwowych, dzierżawa taka sprawowana przez chłopa była niedopuszczalną, już na podstawie konstytucji z r. 1496 i całego szeregu późniejszych, któremi plebejom zabroniono jakimkolwiek tytułem posiadać na własność, a potem i dzierżawić, nieruchomości wiejskie. Stan taki utrzymywał się w stosunku do chłopów do końca istnienia Polski, próba zaś zmiany dokonana w projekcie Zamojskiego z r. 1778 nie doczekała się urzeczywistnienia. Na podstawie tego to bowiem projektu proponowano, iż »dzierżawcą dóbr szlacheckich wszelkiego stanu ludzie być mogą, dla czego, gdyby od Pana, pomieszkanie z innemi do niego należącemi budynkami i tudzież rolami wymierzonemi arędował i kontrakt na to zyskał, Pan mu go we wszystkiem dotrzymać powinien, a niedotrzymującego będzie miał prawo domagać się dotrzymania kontraktowej umowy, którego zachowanie we wszystkiem sąd Panu pod winą 200 złotych polskich nakaże« [1]).

Jeżeli jednak ustawy państwowe nie dopuszczały dzierżawy wiosek przez chłopów wraz z poddanymi je zamieszkującymi, a ci w rzeczywistości je dzierżawili, to musiała być jakaś furtka, która dozwalała przepis prawny obejść. Otóż taką furtkę przedstawiała instytucja poddzierżawy, przy której to kto inny był wymieniony w samej umowie dzierżawnej, w rzeczywistości zaś w zarządzie dobrami posługiwał się kim innym, z którym zawierał osobną umowę tajemną. W tym razie mógł zachodzić wypadek cichej spółki, która tem więcej miała możliwości urzeczywistnienia, iż i w zwyczajnych warunkach gospodarze folwarczni na podstawie porozumienia się z panem, prowadzili folwark we własnym zarządzie, oddając właścicielowi wioski umówioną sumę pieniężną lub pewną ilość produktu.

Takie to posiadanie wioski przez chłopa w formie dzierżawy, mamy zanotowane w zapiskach klasztoru OO. Dominikanów. Rzecz przy tem znamienna — dzierżawi w tym wypadku wioskę nie własny

[1]) Zamojski, Zbiór praw sądowych. Warszawa 1778, str. 29, § 9.

poddany OO Dominikanów, tę wieś zamieszkujący, lecz obcy, należący do dóbr ówczesnego kasztelana bieckiego Wodzickiego. Jest nim Wojciech Gardulski, zwany czasami także Gardulińskim, a przez chłopów także Garbulskim, który w latach 1743—1747 posiada Rupniów. Okoliczność, że dzierżawi wioskę obcy poddany, rzuca charakterystyczne światło na ówczesne stosunki włościańskie. Widocznie zamknięcie wioski rodzinnej nie było tak szczelne, widocznie zakaz opuszczania wioski przez włościan nie był z całą ścisłością przeprowadzony, widocznie nawet za pozwoleniem pańskiem można było opuścić wieś, skoro chłop mógł się wznieść aż do rządzenia wsią poddańczą.

Dzierżawa Rupniowa przez Gardulskiego, nie była pierwszą z jego strony. Przedtem już bowiem dzierżawił on wieś królewską Wierzbanową i to za sumę dość pokaźną, jak na warunki chłopskie bo za 800 złp. [1]). Prawdopodobnem jest, że on sam tak wielkiej sumy nie byłby w stanie zebrać, lecz pomógł mu w tym wypadku brat O. Jacek Wolański, znajdujący się ówcześnie w zakonie OO. Dominikanów w Krakowie i z tego tytułu dzierżawiący przez długie lata Stróżę i Kasinę Wielką. I ten to zakonnik pomagał swej rodzinie, pamiętny może i na dziś jeszcze istniejące przysłowie »kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie«. I rzeczywiście dobrze się powodziło braciom przy jego boku. Nie tylko bowiem, że zfanego nam już Wojciecha Gardulskiego sprowadził do swego boku, uzyskując dla tego kroku pozwolenie pana dziedzicznego Wodzickiego, nie tylko dał mu potrzebne sumy na dzierżawy i zaopatrzył go w konie i bydło, ale to samo uczynił i z innymi braćmi. Drugiemu bowiem bratu Szymonowi miał dać 100 czerw. zł. i parę koni, trzeciemu zaś Franciszkowi, którego chciał zrobić kupcem, ofiarował na ten cel około 2000 złp. obok 4 koni, które miały stanowić podstawę jego handlu [2]).

Największe zachowanie jednak u niego miał Gardulski. Jemu to pomagał ustawicznie, gdy ten dzierżawił Wierzbanową i to pomagał mu nie tylko pieniądzmi, ale i zbożem, które mu posyłał, a co najważniejsza i robocizną poddańczą dla zagospodarowania. Jak się

[1]) Rkp. OO. Dominik. 9., str. 1365. Obydwie wioski tak Rupniów, jak i Wierzbanowa leżą w okolicach podgórskich dawnego województwa krakowskiego.

[2]) Rkp. OO. Dominik. w Krak. 9., str. 1365—1366.

bowiem wyrażają zapiski »ociec Jacek zaarendował dla niego za swoje pieniądze Wierzbową, to jest za fl. 800 i zboża na zasiewy dał i robocizny jakiej było potrzeba dodawał z Kasiny i na jedzenie jak czeladzi tak i jemu dawał zboża przez lat trzy« [1]). Później zaś, gdy wydzierżawił dla niego za wiadomością przeora Rupniów, to jeszcze więcej dał mu dowodów miłości i przywiązania, gdy nie tylko pieniądze, bydło, zboże posyłał mu na folwark, ale co ważniejsze z narażeniem własnego imienia, ochraniał jego niesumienne praktyki względem poddanych Rupniowa.

Rzecz bowiem znamienna. Jak we włościach królewskich zawsze pełno było skarg poddanych na dzierżawców, »że je przymuszają na roboty nieznośne i niepowinne, każąc im robić na każdy dzień w tydzień bez przestanku, zaczym odpoczynku nigdy nie miewają«, jak te same zażalenia spotyka się i we włościach szlacheckich na dzierżawców — szlachtę, tak i chłop Gardulski, dzierżawiąc Rupniów nie inaczej postępuje w sprawie robocizny poddanych. I on to bowiem przymuszał ich do »niepowinnej« robocizny wtedy także, gdy zwyczajną pańszczyznę odbyli, a co najważniejsza za dni te nadobowiązkowe nie chciał płacić i to tak kmieciom, jak zagrodnikom i chałupnikom. I tak jeden z poddanych Józef Mieniec »ma dni czternaście nadrobionych wołami«, a inny Jakób Żurek skarży się, że mu nie zapłacono za dni 13 robocizny. Co więcej Jan Galeja »ma dni nadrobionych 35 piechotą, a nie należy się mu żadnego dnia robić«, który do tego musiał dwukrotnie jechać na »podróż«, najmując w tym celu konie [2]).

Ze sprawą robocizny łączyła się zwyczajnie i kwestja bicia poddanych, ponieważ ci niechętnie szli na robociznę, i stąd dla postrachu dwór karał opornych. Kara ta zresztą nie tylko dla tego była stosowaną. Wymierzano ją bowiem i w tym celu, aby odstraszyć chłopów od skarg na dzierżawcę u właściwego pana; tak postępowano na wielką skalę we włościach królewskich. Niemal bowiem w każdym roku sądu referendarskiego zakazuje się niesprawiedliwego bicia poddanych z powodu zanoszenia skarg do sądu królewskiego. Staroście zatorskiemu wyraźnie nadmieniono w wyroku z r. 1592 »i o to, żeby do nas ci to poddani... na skargi przy-

[1]) Rkp. OO. Dominik. 9, str. 1365.

[2]) Tamże str. 1398. Kazimierz Łyszczarz wywodząc swe zażalenia dodaje: »do tego mam zarobionych dni dziesięć bydłem u niego«.

chodzili, rozkazujemy Wierność Twą i napominamy, aby ciężkości żadnej i najmniejszej nie ponosili, gdyż każdemu wolno do nas, jako do zwierzchniego pana w krzywdach się swych uciekać« [1]). Podobnie i Bonarowi, jako dzierżawcy wsi Harklowej i Głębokiej, nakazano: »mandamus Fidelitati Tuae, ne eos (subditos) incarceret, nec quicquam duri in eos statuat, liberum enim volumus subditis nostris ad nos de iniuriis suis questum venire« [2]).

Nie inaczej postępował wobec poddanych rupniowskich i chłop Gardulski. I on bowiem ustawicznie, przy lada sposobności, bił tak komorników, chałupników, jak nawet i kmieci, więził ich w lochu, a nawet za gardło wsadzał w łańcuch. I tak gdy wożny miejscowy posłał syna na służbę do Gardulskiego, a potem sam się pojawił u niego, aby upomnieć się o zasługi synowskie, to dzierżawca »wziąwszy (go) za głowę, mocno cisnął o ziemię, wziąwszy kija od niego do woli swoi obił i gdyby go był IMCP Strzałka, będąc na ten czas nie zbronił«, to smutno skończyłoby się to bicie, ponieważ jak później twierdził w skardze woźny, ćwiczył go Gardulski kijem aż do utraty przytomności [3]). Podobnie na innym poddanym Tomaszu Grabańskim połamał dwa kije, kiedy ten przyszedł upominać się o zapłatę za 30 dni robocizny [4]). Nie koniec na tem. Nawet starzy ludzie nie byli poszanowani przez niego, bo i tych bił, jak to miało miejsce z Grzegorzem Nowakiem i jego żoną. Najgorzej jednak postąpił z żoną Kazimierza Łyszczarza i niejaką Lubeczną, pierwszą bowiem »wziął do dworu i wsadził jako złodzieja za gardło«, a potem ją zbił »aże jej księdza przyprawieno« [5]), drugą zaś nie pamiętając na jej płeć, kazał zbić publicznie rózgami [6]).

Podobnie jak dzierżawcom królewszczyzn, nie podobało się i jemu udawanie się poddanych ze skargami do konwentu OO. Dominikanów w Krakowie. Dlatego to babę żebraczkę, już bardzo starą, »która prosiła ojca Prokuratora, a (by) była wolna od robocizny i komornego, bo się też wystarzała we wsi, zawoławszy (ją) do siebie, o to, że się skarżyła przed ojcem Prokuratorem kazał rozciągnąć i we dwojnie moczno ociąć« kazał. Zapowiedział zaś przy tej spo-

[1]) Kutrzeba. Materjały do dziejów robocizny w Polsce, str. 148.
[2]) Tamże, str. 84.
[3]) Rkp. OO. Dominik. 9, str. 1397.
[4]) Tamże »dwa razy kij połamał o mnie«.
[5]) Tamże.
[6]) Tamże, str. 1389.

sobności, że każdy poniesie taką karę, który się będzie uskarżał na niego w klasztorze.

Nie brakło w Rupniowie i innego faktu, jaki często zdarzał się w dobrach królewskich jako następstwo ucisku dzierżawców. Oto cały szereg poddanych uciekał ze wsi, chroniąc się przed zemstą dworu i całemi miesiącami nie pojawiał się w swych zabudowaniach. I tak wiemy, że za czasów rządów Baranowskiego, jako starosty czorsztyńskiego, wybraniec Komorek musi się chronić ucieczką przed hajdukami obrażonego możnowładcy [1]), a w pobliskiej dzierżawie nowotarskiej całe legjony chłopów mieszkały w lasach, w chwili, gdy siepacze Komorowskiego szukały za nimi po ich domostwach [2]). Takie same fakta zauważamy i w Rupniowie. Uciekł bowiem syn Urbana Drakusa przed zemstą Gardulskiego [3]), uciekł Michał Bulga a i inni poddani otwarcie wyznawali, że jeżeli tak dalej pójdzie, jeżeli Gardulski nadal będzie się dopuszczał rozmaitych krzywd, to będą musieli opuścić wioskę [4]).

Jak widzimy, Gardulski, mimo, że sam był chłopem, mimo, że w młodych latach sam musiał przejść praktykę pańszczyźnianą w wiosce rodzinnej, to przecież dostawszy dzierżawę, chcąc się jak najszybciej na niej wzbogacić, postępował ze swymi współbraćmi nie lepiej od szlachty — bijąc i ciemiężąc poddaństwo rupniowskie. Jak bardzo ciemiężył Rupniowian i jak częstych krzywd się dopuszczał, to dowodnie o tem świadczy ten fakt, że na 41 poddanych, tylko 4 nie doznało pokrzywdzenia [5]).

Jak we włościach królewskich zdarzają się kruczki pańszczyźniane, iż w razie deszczu dzień spędzony na pańszczyźnie nie liczy się, jak to miało miejsce w starostwie grybowskiem, gdzie »kiedy wyszły gromady do żniwa a deszcz ich spędził, czyli to z rana, czyli ku południowi, to im tego nie wytrącano, ale przy pogodzie odrabiać im kazano«, to analogicznie urządzał się w Rupniowie

---

[1]) Porównaj bliżej mój szkic: Starosta Baranowski a wybrańcy i sołtysi czorsztyńscy w Roczn. Tow. Tatrz. za r. 1913.

[2]) Długopolski: Rządy Komorowskiego w Nowotarszczyźnie. Roczn. Tow. Tatrz. za r. 1911.

[3]) Rkp. OO. Dom. 9, str. 379.

[4]) Tamże, str. 1393—1396.

[5]) Rkp. OO. Dominik. w Krak. 9, str. 1380. Byli to trzej Wilczkowie i Błażej Bednarz, przyczem trzej pierwsi, jak stwierdzają zapiski, byli pomocnikami Gardulskiego.

i Gardulski[1]). Jak bowiem skarży się kmieć Andrzej Górka, dzierżawca, gdy kmiecie wyjechali na pańszczyznę »gdy był deszcz, to z pola kazał zjechać, gdyby godzina była do wieczora albo do południa, to kazał nazajutrz cały dzień robić i do tego bił i nogami kopał« [2]).

Nie koniec na tem. Dzierżawca rupniowski, mimo, że gdzieindziej był zwyczaj przyjmowania czeladzi do odprawiania pańszczyzny, to jednak »czeladzi niechciał przyjmować«, lecz wymagał, ażeby sami gospodarze pojawili się na folwarku. Co więcej nawet, gdy zdolniejszą czeladź dopuścił do odrobienia dni pańszczyźnianych, to tak ją bił i ciemiężył, że kmiecie nie mogli utrzymać przy sobie służby, właśnie z powodu Gardulskiego [3]).

Oczywiście, że i powinności poddańcze były przez niego powiększane. Wymagał więc większego czynszu od kmieci i zagrodników, narzucał jakieś specjalne daniny, jak np. rolną, a co najważniejsze, ludzi przychodzących na stróżę nocną do dworu zarzucał robotą. Musieli oni bowiem przynosić siano i wodę nie tylko dla bydła inwentarskiego, ale jeszcze dla 36 sztuk, które należały do samego Gardulskiego. Praca ta specjalnie ciężką była w zimie, kiedy były wielkie mrozy, kiedy to ludzie ręce sobie poodmrażali [4]).

Celem powiększenia swych dochodów wymagał dzierżawca Rupniowa, aby poddani mający woły sprzedawali je nie gdzieindziej, tylko we dworze. Ostatecznie postanowienie to możnaby jeszcze zrozumieć, skoro i gdzieindziej tego rodzaju przepis można zauważyć [5]), gorszą jednak rzeczą było to, że Gardulski zmuszał poddanych do sprzedaży wołów, sam naznaczał cenę, której do tego jeszcze nie chciał odrazu wypłacać, lecz upominających się o nią bił i katował. Tak to Kazimierz Łyszczarz musiał mu sprzedać woły, dzierżawca zaś »nie dał tego co warte były« [6]), gdy zaś inny poddany sprzedał Gardulskiemu dwa woły, to ten skrzywdził go

[1]) Castr. Sand. 152. str. 1038—1048.

[2]) Rkp. OO. Dominik. 9. str. 1393.

[3]) Tamże. Wyraźnie fakt ten stwierdza Ja Szczygieł, że z powodu dzierżawcy »czeladnika nie mógł zachować«.

[4]) Tamże, str. 1349.

[5]) W dobrach klasztoru karmelitańskiego w Czernej istniało postanowienie: »na ostatek przykazujemy surowo, aby się żaden poddany nie ważył bydła sobie powierzonego, albo jakiegokolwiek choć swego własnego przedawać, albo od siebie oddalać, albo na swój pożytek obracać, bez wiadomości rzetelnej zwierzchności«.

[6]) Rkp. OO. Dominik. w Krak. 9, str. 1377.

na nich na 10 tynfów [1]). Podobnie i Janowi Szczygłowi nie zapłacił za woły pełnej kwoty 80 złp., lecz ujął mu z niej bezprawnie 6 złp. [2]).

Niewypłacanie przez Gardulskiego pełnej ceny kupna było nieuczciwością z jego strony. Podobną zaś nieuczciwością było i niewypłacenie zasług służbie swojej dworskiej, którą miał ze wsi zaciągniętą. Widzieliśmy już, że syn woźnego nie otrzymał zapłaty, a podobnie córce Górki nie zapłacił dzierżawca 5 złp. ani też nie dał jej 12 łokci płótna. I inna poddanka została w tym względzie pokrzywdzona — córka bowiem Bulgi nie otrzymała 6 złp. zasług [3]).

Jeżeli na tego rodzaju krzywdy zdobył się Gardulski, to nic dziwnego, że żaden z poddanych nie czuł się pewnym w posiadaniu domostwa i gruntu, że za jego rządów kilkoletnich we wsi zdarzały się rugowania zasiedziałych na gospodarstwie kmieci i zagrodników. Tak to musiał ustąpić z roli Jan Szczygieł, a analogiczny los spotkał i Jana Nowaka, który został przeniesiony na folwark w Kułaku. Nie koniec na tem, Sebastjan Ciapak bowiem był przeniesiony trzy razy z miejsca poddańczego na inne, na podstawie rozporządzenia Gardulskiego, przez co oczywiście doszczętnie się zrujnował, ponieważ na każdem z tych gospodarstw stracił pewną ilość pieniędzy i zostawił pod przymusem jakąś sztukę bydła roboczego [4]). Tego rodzaju postępowanie było rujnującem nie tylko dla samych włościan, stanowiło bowiem ono także pomniejszenie późniejszych dochodów klasztoru, który musiał dawać zakładkę nowemu gospodarzowi, jak również musiał się przez pewien czas wyrzec dochodów z tego miejsca poddańczego.

Niesumienny dzierżawca i w inny sposób, może więcej odpowiadający zapatrywaniom prawnym, rujnował poddanych Rupniowa. Oto pożyczał on na przednówku kmieciom czy zagrodnikom zboże, groch, bydło, potem zaś nie czekając zapomożenia ni dłużnika, żądał zwrotu należności w chwili dla tego najnieodpowiedniejszej. Ponieważ poddany oddać nie mógł, przeto zabierał mu bydło, zboże i inne ruchomości, a w końcu zrujnowanego zrzucał z gospodarstwa.

---

[1]) Rkp. OO. Dominik. w Krak. 9, str. 1377.
[2]) Tamże, str. 1378.
[3]) Tamże, str. 1343,
[4]) Tamże, str. 1378/9. Takiż los spotkał poddanego Korala, o którym mówił wójt, że »był wielce Konwentowi potrzebny, nie było nad niego we wsi«.

Taki to los spotkał kmiecia Jędrzeja Górkę, któremu za pożyczone zboże zabrał 15 sztuk bydła, rachując za zboże i bydło »jak mu się podobało« [1]).

Gdy tak Gardulski nie obawiał się zrzucenia poddanego z gospodarstwa, gdy samowolnie odbierał mu rolę, lub zagrodę, to oczywiście tem pewniej zabierał pomniejsze kawałki gruntu czy łąki. Tak to zabrał on Antoniemu Buldze łąkę, położoną w pobliżu pańskiego gruntu, a na dobitek kazał mu ją nadal opłacać i spełniać z niej powinności pańszczyźniane [2]).

Gardulski nie omieszkał pokrzywdzić i karczmarza miejscowego. Jemu to bowiem kazał płacić większą kwotę za beczkę wódki niż należało — mianowicie wymagał od niego zapłaty za 5 garncy, mimo że w rzeczywistości beczka zawierała tylko 4 garnce. Ponadto dostawiał mu do karczmy niepełne beczki piwa, a kazał sobie płacić za pełne, przez co pokrzywdził go na kwotę 100 złp. Co więcej w karczmie wprowadził przy szynkowaniu mniejszą kwartę, zawierającą tylko trzy kwaterki, a gdy się karczmarz Karol Podporski z żoną upominał o zaspokojenie swych pretensyj, bił go, katował i więził a nawet »na postronek brał, jako złoczyńcę«. Co więcej — żonę która chodziła do Jadłownika, ażeby tam u przeora wyjednać łaskę, wtrącił do więzienia i zamknął w łańcuch, nie dając jej przez dwa dni jeść. Nie pomogła potem i prośba plebana rybskiego o wypuszczenie jej z kaźni, ponieważ Gardulski nawet »nie wziął kartki do ręki, jeno ją cysną na ziemię«, mówiąc do karczmarki «hoćby cie djabli wzieny, to cie nie puście« [3]).

Po tak smutnych, doświadczeniach karczmarz z karczmarką woleli opuścić Rupniów i prawdopodobnie, uzyskawszy pozwolenie klasztoru, osiedlili się w dobrach Porębskiego, który teraz pretensyj ich, dochodzących do sumy 384 złp. poszukiwał na klasztorze, żądając wymierzenia swym poddanym sprawiedliwości [4]).

---

[1]) Rkp. OO. Dominik. w Krak. 9, str. 1393.

[2]) Tamże, str. 1398. Skarży się on »że łąkę mając przy Pańskiem gruncie, odebrał mi ją, a ja muszę opłaczać i obrabiać i zadość konwentowi czynić, a tej łąki nie zbiram za jego Państwa«.

[3]) Tamże str. 1399—1401.

[4]) Tamże str. 1399—1401. Rzeczywiście konwent specjalnie zwracał uwagę, ażeby karczmarz otrzymał swoje, robił to zaś dlatego, ponieważ chciał uniknąć uciążliwego procesu z Porębskim.

Koroną jednak ucisku włościan, jakiego się dopuszczał Gardulski, było przyczynienie się do śmierci Marcina Kołaczyka. On to bowiem »rozgniewawszy się na tegoż nieboszczyka o to, że krowa stojąc w piekarni powaliła się na ziemię, a on jej nie podźwignął, dobywszy zatyczki od kolców uderzył go w bog (sic) tak okrutnie, iż do tygodnia nie dożył, ale umierać musiał« [1]). Z tak więc błahego powodu musiał umierać człowiek jako ofiara srogości dzierżawcy. Wprawdzie Gardulski wymawiał się, że zmarły z całkiem innej przyczyny zakończył życie, jednak zaprzysiężone zeznania świadków stwierdziły dowodnie winę jego [2]).

Przy tak wielkim ucisku, ucisku nie tylko ekonomicznym, ale i fizycznym, bo poddani byli przy lada sposobności bici i katowani, wtrącani do więzienia, a nawet życia swego nie byli pewni, skoro jeden z nich chwilowe nieopatrzenie się swoje przypłacił śmiercią — chłopi udają się ze skargami do konwentu dominikańskiego w Krakowie, prosząc nie tylko o zaspokojenie swych pretensyj, ale i o usunięcie Gardulskiego. I wtedy to w jednej z swych skarg, zatytułowanych suplikami, w ten sposób się odzywają: »My ubodzy chrobacy... upadszy cała gromada pod stop(y)... z pokorną supliką żebrządz miłosierdzia i uwolnynia, które ponosiemy przez lat 4 od Pana Gardulskiego, którzy zostajemy jako w czyszcu dusze od tego, że i ojcowie nasi nie pamiętają takiej dolegliwości, jako my ubodzy ludzie« [3]). Co więcej w innej — po przedłożeniu swych zażaleń — supplikują, aby »P. Gardulskiego odmienić«, bo jeżeli to się nie stanie, to w Rupniowie »mało by się nas zostało« [4]).

Klasztor, jako właściciel dziedziczny, wobec ustawicznych skarg na Gardulskiego, musiał się niemi zająć. Musiał się też niemi zająć tem więcej, że i on sam skutkiem tego nieludzkiego postępowania cierpiał, ponieważ niezadowolona ludność uciekała z włości, ponieważ mnożyły się pustki we wsi, co więcej Gardulski tak mało zważał na interes konwentu, że bydło własne karmił sianem i sieczką, konwenckie zaś trzymał na oborze, żywiąc je zgniłą słomą, tak że zbie-

---

[1]) Tamże str. 1339.
[2]) Tamże str. 1339—1341.
[3]) Rkp. OO. Dominik. 9, str. 1393.
[4]) Tamże str. 1332. Takie żądanie postawili i dlatego, że wielu poddanych doszczętnie zrujnowanych przez Gardulskiego poszło o żebranym chlebie ze wsi.

dniałe nie miało nawet sił, aby o własnej mocy przejść do rzeki dla napoju. Nie oprawiał też budynków, jak to było jego obowiązkiem, sad zaś koło dworu, przynoszący dochodu rocznie do 100 złp., prawie zupełnie spustoszył, pasząc w nim bydło i wycinając drzewa [1]).

Pierwsze upomnienie poszło nie do Gardulskiego, ale do O. Jacka Wolańskiego, który właściwie za dzierżawę był odpowiedzialny. Zaznaczył w niem przeor O. Michał Siejkowski pod datą 24 stycznia 1747 roku, iż gdyby poddani rupniowscy mieli dobrze, »toby gromada Rupniowska nie miała racji podawać skarg do Konwentu«, ponadto zaś zastrzegł, iż na przyszłość, gdyby nawet O. Jacek Wolański miał dzierżyć te dobra, to żadną miarą nie może utrzymywać w nich swego brata, sprawcę tylu krzywd. Co więcej przeor zauważył, że nie życzy sobie żadnych tłumaczeń tak ze strony Gardulskiego, jak i O. Wolańskiego, ponieważ pisał, że zaś WĆ na każdy punkt responsorja obiecujesz, tych konwent nie potrzebuje, ale tylko każdemu ukrzywdzonemu z gromady satysfakcji żąda się« [2]).

W ślad za tem upomnieniem wyznaczył przeor dnia 1 lutego 1747 r. komisję złożoną z OO. Benedykta Burzyńskiego i Tomasza Okolskiego dla zbadania skarg poddańczych, rewizji majętności i zaspokojenia pretensyj pokrzywdzonych. Komisja ta zjechała całkiem niespodzianie do Rupniowa w dniu 11 lutego i przez kilka dni przyjmowała zeznania, badała stosunki, ustalając sumę dłużną poddanym i w końcu zmusiła Gardulskiego do zaspokojenia pretensyj włościańskich. Ponadto komisarze ci odebrali dzierżawę Gardulskiemu, nakazując mu w przeciągu krótkiego czasu opuścić majętność [3]).

Poddani więc wygrali na całej linji. Nie tylko bowiem miano im wypłacić pieniądze i produkta, jakie im był winien Gardulski, ale co więcej uzyskali usunięcie tegoż z dzierżawy. Jednak mimo tego wyroku srogi ten chłop-dzierżawca nie myślał wynieść się z Rupniowa, owszem nie tylko na ludzi się srożył, ale jeszcze twierdził, »że ieszcze nie tylko on sam tam (w Rupniowie) będzie, ale i dzieci i wnuczęta«. Jak zaś ogromnie się go bano, to świadczy o tem fakt, że na wiadomość o możliwości pozostania jego »przerażeni poddani Rupniowscy utriusque sortis żadnego gospodarstwa

---

[1]) Tamże str. 1349.

[2]) Tamże str. 1355.

[3]) Rkp. OO. Dominik. w Krakowie 9, str. 1343—1345. Miał opuścić Rupniów z upływem jednego tygodnia.

ani skiby w polu chwytać się nie chcieli, jako i na zimę nic nie siali... i o rosypce wszyscy myśleli« [1]).

Wobec oporu Gardulskiego wysłał klasztor nowych komisarzy i ci to ostatecznie usunęli go z Rupniowa, wsadzając żonę jego wraz z ruchomościami na wóz i odwożąc do Stróży. Ale i wtedy chytry ten chłop umiał jeszcze rzucić podejrzenie na komisarzy, że postąpili z żoną jego zbyt surowo, że niesłusznie kazali mu popłacić pewne pretensje, że niesprawiedliwie zapłacili mu mniejszą cenę za bydło, aniżeli mu się to należało. Nie uznano tych jego zarzutów, a chcąc z nim już raz skończyć, z tym chłopem, który mimo rządzenia większą wioską, nie umiał nawet pisać, lecz na aktach podpisywał się krzyżykiem, polecono O. Wolańskiemu odstawić go wraz z bratem Ignacym do dóbr kasztelana bieckiego Wodzickiego, który się o niego, jako o własnego poddanego, dopominał [2]). Tym sposobem skończyły się rządy tego włościanina — dzierżawcy w Rupniowie, rządy jak widzieliśmy obfitujące w krzywdy i uciążenia poddanych, rządy analogiczne do postępowania starostów w dobrach królewskich. Jak bowiem tym ostatnim w ciągu ich zarządu zależało jedynie na wyciągnięciu jak największych dochodów z majętności, co oczywiście możliwem było prawie tylko kosztem pokrzywdzonych poddanych, tak i ten chłop - dzierżawca nie inaczej się urządzał. I jemu również na tem samem zależało, przy czem mimo obowiązku uspokojenia pretensyj poddańczych w pewnej mierze dopiął celu, ponieważ obok ruchomości, wywiózł z Rupniowa do kilku tysięcy złotych polskich. Pieniądze te zaś uzyskał nie drogą żmudnej pracy, ale głównie kosztem potu i krwawicy poddanych. Postępowanie tego chłopa - dzierżawcy — wraz z przykładami ucisku, któreśmy uprzednio przedstawili — rzuca charakterystyczne światło na stosunki wiejskie. Oto nie tylko starosta królewski, nie tylko szlachcic ciemiężyciel i krzywdzi włościan polskich. Równie bowiem dobrze potrafi to wykonać i chłop, o ile tylko albo godnością, albo majątkiem wzniesie się ponad szary tłum współbraci. Mówiąc więc o złej doli włościanina polskiego, mówiąc o ucisku, jakiego on doznawał, pracując na zagonie oddziedziczonym po ojcach, nie należy zapominać, że chociaż małą, ale przecież jakąś cegiełkę, dorzucał do niego sam chłop.

Dr. Józef Rafacz.

[1]) Tamże, str. 1370.

[2]) Tamże str 1341. Akt wydany w tej mierze przez O. przeora Siejkowskiego w ten sposób brzmi »eundem Gardulski ab administratione ulteriori expediant et per R. P. Hyacinthum uti Economum Illmo et Magnifico Castelano Biecensi una cum Fratre eius Ignatio restituant«.

O metodzie w historji sztuki starochrześcijańskiej.

W ciągu wojny wyszła książka ks. Dr Tadeusza Kruszyńskiego p. t. Dzieje sztuki starochrześcijańskiej. Jest to pierwszy tego rodzaju w języku polskim podręcznik do historji starochrześcijańskiej sztuki.

Ta książka nastręcza mi szereg uwag, dotyczących metody w traktowaniu historji sztuki starokościelnej.

Książka wyszła, jak autor zaznacza na końcu, przed końcem r. 1913, a więc pół roku przed wielką wojną, kiedy badania na polu dziejów sztuki starochrześcijańskiej już daleko postąpiły. Wprawdzie zaznacza autor niejednokrotnie, że zna te nowsze badania, jednakże ich w ciągu swej książki nie uwzględnia.

Autor wychodzi wciąż jeszcze, jak Kraus, Springer, Kuhn z założenia, że Rzym jest centrum i źródłem sztuki starochrześcijańskiej, że stąd rozpowszechnia się sztuka rzymska na Wschód i na Zachód. W dalszych partiach książki, sam sobie zaprzeczając, mówi o sztuce wschodniej syryjskiej i koptyjskiej, przyznaje, że ona jest starsza od rzymskiej i że wywarła na nią wielki wpływ pod względem ikonograficznym, ale jaki wpływ, gdzie, kiedy i na co, tego nigdzie nie czytamy. Tak zapatruje się autor na pochodzenie sztuki starochrześcijańskiej. Co do kwestji bizantyńskiej, stoi na stanowisku również przedawnionem. Dla autora bizantyńska sztuka, którą ma cechować sztywność i ostrość linji, zaczyna się dopiero po upadku obrazoburstwa, a więc w połowie IX w., zatem cała poprzednia sztuka bizantyńska nie jest wedle autora bizantyńską, tylko rzymską. Także co do miejsca ogranicza sztukę bizantyńską tylko do niektórych miejscowości we Włoszech, do Rawenny. Sztuka

bizantyńska przed r. 850 jest dla autora tylko pewnym lokalnym odcieniem sztuki rzymskiej.

Pod zakres sztuki starochrześcijańskiej podciąga autor całą sztukę chrześcijańską 1-go tysiąclecia, od jej początków aż do r. 1000 mniejwięcej; a więc zdaniem autora, tu należy nietylko starochrześcijańska w ścisłem tego słowa znaczeniu, ale i starobizantyńska, a nawet średniobizantyńska po części (od 850—1000) i sztuka, którą autor słusznie nazywa sztuką początków średniowiecza, sztuka wędrówek ludów, (merowińska, karolińska, longobardzka, iryjska etc.).

Zdaje się, że autor zawiele podciągnął pod zakres sztuki starochrześcijańskiej. Niezawodnie tak w sztuce starobizantyńskiej a nawet średniobizantyńskiej, jak i w sztuce wczesnego średniowiecza na zachodzie jest dużo pierwiastków starochrześcijańskich, ale obie te sztuki mają swój charakter odrębny, przeto należy je stanowczo ze sztuki starochrześcijańskiej wyłączyć.

Na miejsce zaś wyłączonych partyj należy włączyć to, co było wynikiem ostatnich badań na polu sztuki starochrześcijańskiej wchodniej.

Pewnie, nie można postawić wyraźnej granicy, gdzie się kończy sztuka starochrześcijańska a zaczyna starobizantyńska i wolno niektóre rzeczy starobizantyńskie traktować w ramach sztuki starochrześcijańskiej jako przejściowe, jednakże nie można już dzisiaj całej sztuki bizantyńskiej aż do r. 1000 wciągać w sztukę starochrześcijańską.

Badania ostatnich lat 40 przed wojną (1875—1914) dały tak olbrzymi rezultat nowoodkrytych zabytków na Wschodzie, że choćby ktoś dzisiaj nie był zwolennikiem teorji orjentalnej o pochodzeniu sztuki starochrześcijańskiej ze Strzygowskim (Rom oder Orient, 1901), to przecież tej teorji ignorować już nie może, a stąd należy ją dokładnie i objektywnie przedstawić. To samo powiedzieć należy i o kwestji bizantyńskiej. Zwłaszcza, że na nowszem stanowisku w obu kwestjach stoją wybitni uczeni wszystkich krajów i narodów: Bayet i Millet we Francji, Dalton w Anglji, Strzygowski i Wulff w Niemczech, Kondakow i Ainałow w Rosji.

Autor widocznie, jak widać z cytowanych dzieł, stoi na stanowisku uczonych włoskich, którzy uważają swój naród za następców Rzymian, a co do tych ostatnich, sądzą, że oni mieli swoją własną sztukę niezależną, że taksamo niezależną była w Rzymie starochrześcijańska, a nie chcą przyznać, aby na starochrześcijańską sztukę Rzymu oddziaływały jakieś wpływy obce wschodnie, a szczególniej bizantyńskie.

Tego zdania jest też i zasłużony badacz sztuki starochrześcijańskiej rzymskiej Wilpert, który wszystko, co jest w Rzymie, uważa za rzymskie nietylko lokalnie, ale i genetycznie co do charakteru i pochodzenia. (Por. jego najnowszą pracę: Mozaiki Rzymu). Nie chce w nich widzieć żadnego obcego wpływu.

To przekonanie u księży zwłaszcza pochodzić może także z fałszywego wnioskowania per analogiam. Z tego, że Rzym stolicą następców św. Piotra, skąd wychodzi nieomylna wiara, nie wynika, że stąd musiała wyjść także sztuka chrześcijańska. Rzymowi się żadna krzywda nie stanie, choćby nawet ktoś powiedział, że sztuka starochrześcijańska pochodzi n. p. ze Wschodu, bo Rzym mimoto zostanie centrem wiary nieomylnej. Tam była sztuka, ale ona skądinąd tam przyszła. Tak jak i Rzymowi pogańskiemu nikt krzywdy nie zrobi, jeśli powie, ze Rzym sztuki nie stworzył, lecz przyjął ją ze Wschodu, od Greków. Tak było istotnie. Rzymską inwencją w literaturze jest tylko satyra, a w sztuce realistyczne popiersia, zresztą cała literatura i sztuka zapożyczona od Greków. Nic dziwnego, Rzym pogański do takich zabawek talentu nie miał. Rzymianie bowiem, to naród praktyczny, zajmujący się wojną, polityką, prawodawstwem i podbojem świata. To samo da się zauważyć w Rzymie chrześcijańskim. On wszakże po tamtym objął spuściznę, a więc wziął i ducha i charakter jego. I rzeczywiście Rzym chrześcijański zajmuje się głównie propagandą wiary i organizacją Kościoła, a rzeczy takie, jak sztukę, poezję, a nawet liturgję zostawia Wschodowi hellenistycznemu i niehellenistycznemu.

Nicby więc nie szkodziło, gdyby autor w kwestji pochodzenia sztuki starochrześcijańskiej i w kwestji zakresu sztuki bizantyńskiej stanął na stanowisku nowszem i objektywnie je przedstawił na podstawie najnowszych badań, które po części, jak widać z dzieł cytowanych, nie mogły ujść jego baczności.

Zresztą dzieło robi wrażenie nie podręcznika do dziejów sztuki, lecz rodzaju leksykonu realnego o starożytnościach chrześcijańskich 1-go tysiąclecia. Materjał duży skrzętnie zebrany, opisany, podzielony wedle materji i zaopatrzony w liczne, dobre nawet ilustracje. Jednakże brak tu pragmatycznego ujęcia tych szczegółów w jedną całość, w którejby jedno z drugiem się ściśle wiązało, jedno z drugiego wypływało.

Autor nigdzie nie wskazuje na rozwój wewnętrzny sztuki starochrześcijańskiej, ani pod względem ikonograficznym, ani pod

względem stylistycznym, pomijając już techniczny, jako mniej ważny. Należałoby dokładnie przedstawić, jak się rozwijała ikonografja starochrześcijańska, innemi słowy przedstawić rozwój treści, a potem, jak się rozwijał styl starochrześcijański, czyli forma artystyczna, a jeśli już ktoś nie chce widzieć tam rozwoju, to przynajmniej winien przedstawić dokładnie zmiany, jakim ten styl ulegał. Inaczej niema mowy o rozwoju wewnętrznym sztuki, a więc i o dziejach sztuki. Dzieje sztuki mają nam powiedzieć, jakie koleje przechodziła twórczość artystyczna danej epoki.

Aby to uskutecznić, trzeba zestawiać poprzednie dzieła z następnemi i wykazywać, w czem się zgadzają, a w czem jest różnica, postęp, względnie upadek.

Co do tego upadku w sztuce, często ulegamy pomyłkom. Wszyscy jesteśmy wychowani na Winckelmanie i jego zasadach. A wyrządził on nam wielką krzywdę, wpajając w nas zapomocą niemieckich profesorów zasadę, że piękne jest tylko to, co klasyczne, a co nie jest klasyczną sztuką grecką czy rzymską, to nie jest piękne, to upadek. Na tej podstawie tylko sztuka starożytna klasyczna i na niej oparta Odrodzenia będzie piękna, a wszelka inna będzie niepiękna. Stąd zwolennicy jednostronnej tej teorji uważali całą sztukę, starochrześcijańską, bizantyńską, średniowieczną, romańsko-gotycką, a z nowszych czasów barokową i rokokową, za barbarzyństwo i rzecz nic nie wartą. Znać ten wpływ także i na autorze omawianej książki. Piękne (czyli udatne jak mówi) jego zdaniem w sztuce starochrześcijańskiej i bizantyńskiej jest to tylko, co się zbliża do klasycznych wzorów, a ostrość i sztywność bizantyńska już w oczach autora oznacza upadek. Dziś na szczęście ta teorja już przezwyciężona. Artysta będzie prawdziwie twórczym [1]), a dzieło jego dziełem sztuki, chociaż się umyślnie oddala od wzorów klasycznych, a oddala się, bo tak chce, bo ma w tem swoje tendencje artystyczne. Nie jest to upadek lub nieudolność, jak nam się zdaje, lecz odmienna wola artystyczna. I to się odnosi w całej pełni do sztuki chrześcijańskiej. Ona o tyle właśnie jest chrześcijańską, i co za tem idzie o tyle staje w opozycji do pogańskiej, o ile się z pod jej wpływu wyzwala i staje na własnych nogach.

---

[1]) W dzisiejszem pojęciu sztuka nie jest identyczna z pięknem, lecz z twórczością, choćby ona nie była piękną.

Tak było ze sztuką chrześcijańską w jej początkach. Zrazu niczem się ona nie różni od pogańskiej, napozór i treść i forma jest klasyczna. Potem zaczynają chrześcijanie podsuwać treści pogańskiej nowe, symboliczne znaczenie, następnie wprowadzać nową treść biblijną, ale jeszcze ciągle w szatach klasycznych, aż wreszcie sztuka chrześcijańska rozrywa i tę szatę, czy formę klasyczną i tworzy sobie własną formę odpowiednią do treści i tak staje na własnych nogach; tym sposobem powstaje nowa sztuka. Ktoś wychowany na zasadach jednostronnych Winckelmanna będzie sądził, że to powolny upadek, coraz większa nieudolność. Tymczasem jest to ciągły rozwój i dążność do nowego ideału artystycznego zgodnego z odmienną wolą artystyczną.

Sztuka zatem klasyczna i sztuka chrześcijańska, choć z tej ostatniej wyszła, są to dwa fenomena, dwa światy diamentralnie i co do formy i co do treści sobie przeciwne. Nic dziwnego, bo sztuka jest zmysłowym wyrazem myśli artystycznej, a ta myśl jest znowu odbiciem światopoglądu danej jednostki twórczej i tego środowiska, z którego ona wyszła. To też nic dziwnego, że świat klasyczny, pogański, który tak bardzo afirmował życie doczesne cielesne, będzie nacisk kładł na piękność i harmonję cielesną i formę zewnętrzną, a świat chrześcijański, który neguje życie ziemskie i cielesne a afirmuje życie zagrobowe i duchowe, będzie akcentował wyraz duchowej istoty człowieka i treść duchową, a lekceważył piękność cielesną jako coś przemijającego i formę zewnątrzną; nieraz nawet posunie się do podkreślenia brzydoty, aby tem wyraźniej wystąpiła duchowa treść. Inne pojmowania życia, inna zupełnie sztuka. Może się ona nam nie podobać, może się wydawać brzydką, ale ma rację bytu taksamo, jak t. zw. piękna. Jest bowiem w niej taksamo twórczość, jak i w tamtej. Nie piękno bowiem, lecz twórczość jest istotą sztuki.

Autor zdaje się być zdania Winckelmanna i nigdzie nie podkreśla charakteru sztuki starochrześcijańskiej. Albo we wstępie, albo jeszcze lepiej metodą induktywną w zakończeniu należało skreślić nie tylko genezę, ale przedewszystkiem charakter sztuki chrześcijańskiej. A charakter inaczej nie da się skreślić, jeno przez zestawienie i porównanie z poprzednią klasyczno-pogańską i następną renesansową, która na klasycznej wykwitła, a chrześcijańską zluzowała.

Tak więc charakter sztuki starochrześcijańskiej i odpowiedź na pytanie: co to jest sztuka chrześcijańska, byłyby najważniejszą rzeczą, którą w poglądowej syntezie należałoby uwzględnić. A drugą

ważną rzeczą to geneza: skąd się wzięła sztuka chrześcijańska. Co do genezy, należałoby przedstawić teorję orjentalną o pochodzeniu sztuki starochrześcijańskiej. Źródłem najstarszych zabytków chrześcijańskich w Rzymie wedle teorji jest hellenistyczna Aleksandrja. Przyznaje to nawet Kraus. Ten charakter idylli aleksandryjskiej jest widoczny w Pompei, ten sam jest i w początkowych malowidłach katakombowych Rzymu i najstarszych sarkofagach. (Rybak, pasterz, winobranie, pory roku, amor i psyche etc.). Przyłącza się do tego świat żydowski shellenizowany ze swoją całą ideologją opartą na Biblji. Potem przybywa wpływ innego środowiska wschodniego hellenistycznego: Antjochja w Syrji. Wpływ tego miejsca, gdzie była sławna szkoła retorów, odzwierciedla się w przedstawieniach już nie idylliczno-symbolicznych, lecz historycznych (Chtus jako nauczyciel wśród uczniów, agapy, portrety etc). Charakter ten uwidocznia się tak w malowidłach jak i sarkofagach, a potem mozaikach.

Od IV w. wpływ ogromny na sztukę wywiera Syrja i Palestyna. Tam powstaje kult miejsc świętych i potrzeba ozdabiania bazylik na tych miejscach. Syryjska sztuka początkowo zależna od hellenistycznej i antjocheńskiej, wyzwala się od niej i staje się samodzielną o semickim naturalistycznym charakterze z domieszką staroasyryjskich pierwiastków (4 słupy tabernaculum weneckiego, drzwi św. Sabiny). Zrazu są historyczne przedstawienia, a potem liturgiczne i ceremonialne pod wpływem liturgji i nowa symbolika apokaliptyczna (Baranek na pagórku rajskim).

Równocześnie w głębi Egiptu powstaje nowa sztuka zrazu w zależności od klasycznej aleksandryjskiej, potem jednak coraz bardziej się od niej wyzwalająca i przyjmująca pierwiastki staroegipskie — sztuka koptyjska.

Wreszcie jeszcze jedno środowisko sztuki starochrześcijańskiej odkryto na Wschodzie w Małej Azji nad Morzem Marmara w bliskości Bizancjum. Jest to najpierw sztuka hellenistyczna małoazjatycka (sarkofagi z Sidamara), ale potem przybywają wpływy syropalestyńskie i tak wytwarza się nowa gałąź starochrześcijańskiej sztuki w środowisku bizantyńskiem, z której powoli krystalizuje się sztuka starobizantyńska. (Wspomniany przez autora Chtus z Psamatji podobny do Demostenesa w Lateranie na sarkofagu berlińskim). Warstat przenosi się na wyspę Prokomnesos i stąd od V w. rozchodzą się dzieła sztuki bizantyńskiej na cały świat. I oto rozwiązana kwestja bizantyńska.

Sztuka ta, jak zaznacza autor, ma zawiązki swoje wedle teorji Strzygowskiego już w IV w., rozwija się w V, a około r. 500 już jest gotowa, skrystalizowana, tak że za Justynjana zaczyna oddziaływać na Wschód i Zachód. Wiek VI, VII, a do pewnego stopnia i V po śmierci Teodozjusza jest epoką sztuki starobizantyńskiej, wiek VIII i połowa IX epoką obrazoburstwa przejściową, a od połowy w. IX trwa epoka starobizantyńska do 1450.

Sztuka bizantyńska powstaje w ten sposób, że chłonie w siebie różne pierwiastki wschodnie, hellenistyczne aleksandryjskie i antjocheńskie i niehellenistyczne syryjskie z dodatkiem asyryjskich, koptyjskie z dodatkiem egipskich, małoazjatyckie, armeńskie i perskie i powoli wytwarza swój własny odrębny styl. Dzieła wieku V będą albo już bizantyńskie albo starochrześcijańskie jeszcze, ale o zabarwieniu bizantyńskiem.

A co Rzym i Zachód? Tu niema samodzielnej sztuki. Tu przyjmują się wpływy wschodnie, hellenistyczne i niehellenistyczne, aleksandryjskie, antjocheńskie, syro-palestyńskie, koptyjskie, małoazjatyckie i prokonezyjskie, względnie bizantyńskie wczesne, co najwyżej zmienione nieco i przerobione stosownie do charakteru nowego przeznaczenia. Tu napotykamy więc tylko lokalny odcień wschodnich środowisk. Albo dzieła sztuki były zrobione na Wschodzie, na Prokonnesos n. p. i tu sprowadzone, albo wschodni robotnicy grecy, czy syryjscy, w Rzymie i na Zachodzie je wykonują, albo tubylcy sporządzają dzieła sztuki, ale wzorują się na wschodnich.

Z początku tedy sztuka starochrześcijańska, choć o różnych odcieniach, jest jedna wszędzie. Na Wschodzie i Zachodzie, bo ze Wschodu przyszła i dzielić jej na wschodnią i na zachodnią nie można, chyba lokalnie. Rozłam na wschodnią i zachodnią następuje dopiero około r. 500, kiedy nowa sztuka bizantyńska już się skrystalizowała, a początek tego rozłamu datuje się już od śmierci Teodozjusza i podziału państwa na dwie części, wschodnią i zachodnią. Zachodnia wtedy pod wpływem wędrówek ludów coraz więcej zaczęła podupadać, aż wreszcie z upadkiem państwa (476) zupełnie zaginęła. Nic dziwnego zatem, że z wiekiem V kończy się sztuka starochrześcijańska, a zaczyna nowa bizantyńska, powstała we wschodniej połowie imperjum, która to połowa jeszcze była pełna życia i miała żyć jeszcze 1000 lat.

Zatem sztuka starochrześcijańska trwa pięć wieków. Pierwsza jej połowa przypada na czas przed Konstantynem, druga po Kon-

stantynie aż do r. 500. Nie tak to jednak rozumieć należy, jakoby po r. 500 już nie było sztuki starochrześcijańskiej, bo jeszcze w VI, a nawet w VII w. dzieła sporadyczne, w duchu tej sztuki wykonane, się znajdują, ale od r. 500 już przeważa i dominuje sztuka bizantyńska. Na zachodzie sztuka starochrześcijańska albo zanika, zasilając się wschodnią bizantyńską, albo wchodzi w skład nowej sztuki narodów, powstających na gruzach państwa zachodnio-rzymskiego. Od VI w., a nawet od V już panuje na Zachodzie sztuka bizantyńska nawet w Rzymie (n. p. późniejsze malowidła w katakombach), o ile nie jest to sztuka początków średniowiecza. Gdyby był autor tę teorję przedstawił, wyjaśniłoby się mnóstwo rzeczy, które w jego przedstawieniu są niewyjaśnione i uniknąłby gmatwaniny, jakiej się dopuszcza, kiedy miesza różne rzeczy wschodnie, zachodnie, rzymskie, bizantyńskie i t. d.

Przejdźmy do szczegółów. Autor zaczyna od katakomb, ale omawia tylko katakomby zachodnie, a nic nie mówi o katakombach i grobach wschodnich. Należało wspomnieć o żydowskich katakombach na Górze Oliwnej, o grobach w Syrji i ich konstrukcji semickiej, o Palmirze z Victoriami skrzydlatemi, podtrzymującemi portrety zmarłych w tarczach okrągłych, o katakombie Wesher w Aleksandrji z liturgicznemi przedstawieniami komunji, o grobach Bagauat na Wielkiej Oazie egipskiej, o katakombie na Cyrenie itd.

Potem autor mówi o malowidłach katakombowych, ale nie widać wcale ani kierunków, ani rozwoju treści czy formy; przedstawienie rzeczy bez związku. Nie omawia wcale ciekawych sepulkralnych malowideł Wschodu w katakombie Wesher w Aleksandrji, w Bagauat, w Cagliari na Sardynji itd. Gdyby te wschodnie malowidła były omówione, toby się pokazało, że istnieje ścisły związek między wschodniemi a zachodniemi i rzymskie malowidła nie byłyby rzymskie.

Następują sarkofagi. Należałoby tu dać osobny ustęp, bo zaczyna się rzeźba. (Porządek chronologiczny jest zgodny z rzeczywistością: Pod koniec I w. zjawia się malarstwo, pod koniec II w. płaskorzeźba.) Omawia autor bez porządku różne sarkofagi, nie robiąc żadnych między niemi klas, ani nie przedstawiając rozwoju ikonograficznego. Sarkofagi na Zachodzie się znajdujące nie są zachodnie, lecz wschodnie aleksandryjskie, antjocheńskie, a później bizantyńskie. Istniała wprawdzie rzymska szkoła sarkofagów, ale nie samodzielna. Tamtejsi artyści łączyli bezmyślnie różne rzeczy,

jakie spotykali na wschodnich. Rawennackie sarkofagi już są wprost wschodnie bizantyńskie.

Po sarkofagach, które należą do aleksandryjskich i antjocheńskich, najlepiej omawiać płaskorzeźbę syro-palestyńską (słupy weneckie, ambona w Salonikach, fryz w przedsionku weneckim, drzwi św. Sabiny, potem omówić aleksandryjsko-koptyjską płaskorzeźbę, następnie przejść do warsztatu na Prokonnesos, z którego w V i VI w. wyszedł cały szereg sarkofagów (w Berlinie, Salonie i Rawennie). Wreszcie należałoby powiedzieć o drobnej plastyce starochrześcijańskiej (kość słoniowa przedewszystkiem), bo na niej można ilustrować różne kierunki. Ustęp o rzeźbie (str. 380) tu należało zamieścić.

Teraz dopiero kolej na architekturę. Pod koniec I wieku zjawia się chrześcijańskie malarstwo, pod koniec II w. rzeźba, a pod koniec III w., a raczej na początku IV architektura. Tu znowu autor zaczyna od Rzymu. Lepiej zacząć od Wschodu — Palestyny, gdzie Konstantyn i Helena wznieśli mnóstwo bazylik zaraz po r. 313. Takie same bazyliki powstają i w Rzymie, ale źródłem bazyliki nie Rzym, ale Wschód hellenistyczny, który otwarł bazylikę, a Rzym ją tylko przyjął i zastosował. Dziś już pewną jest rzeczą, że bazylika chrześcijańska powstała z bazyliki pałacowej hellenistyczno-rzymskiej, wobec czego inne teorje można opuścić.

Po omówieniu bazylik palestyńskich należało przejść do syryjskich. Autor nie zaznacza, że budowle syryjskie są zupełnie odrębnym typem bazyliki sklepionej ciosowej.

Omawia wprawdzie autor północno-afrykańskie bazyliki, ale nie mówi o egipskich, bardzo charakterystycznych przez zastosowanie chórów trójkonchowych w kształcie liścia koniczyny, który to typ, stąd [1]) wyszedłszy, znalazł swoje naśladownictwo w t. zw. cellae trichorae w Rzymie i północnej Afryce.

Mała Azja zupełnie została pominięta. A przecież jest tu specjalny typ bazyliki z wbudowanemi pastoforjami o prostolinijnem zakończeniu n. p. w Efezie. Całkiem innego typu są bazyliki w głębi Azji Mniejszej w Bimbirkilisse n. p. (1001 kościołów) o sklepionem wnętrzu, zbliżone do syryjskich.

Dopiero po omówieniu wschodnich najlepiej przejść do zachodniej bazyliki. Naprzód powinna być omawiana rzymska. Autor nie

[1]) Wedle Strzygowskiego trikonchos jest pochodzenia armeńskiego.

rozróżnia bazylik miejskich (Ś. Piotra) od cmentarnych (S. Lorenzo fuori le mure i S. Agnese fuori le mure).

Potem przechodzi autor do omawiania budowli centralnych. Niepotrzebnie oddziela baptysterja i budowle centralne wschodnie od zachodnich, przez co związek i ciągłość się rozrywa. Na rozwój nie zwraca też autor uwagi. Najpierw należałoby mówić o prostych rotundach, potem o rozwiniętych z obejściem. Następnie o 8-bocznych konstrukcjach prostych i rozwiniętych, a na końcu przejść do budowli centralnych, które zdradzają dążność do łączenia się z systemem podłużnym przez wysuwanie naprzód chóru względnie absydy, lub przez przedłużenie nawy ku przodowi. Autor wprawdzie mówi o niektórych z tych budowli (Oktogon Grzegorza z Nyssy, Mauzoleum Galli Placydji, kościoły w Bosra i Esra), jednakże wiele innych opuszcza (Derbe, Isaura, Mudżeleja, Wiranscher), a przy kościołach w Bosra i Esra nie zwraca uwagi, że zdradzają dążność do wydłużania się.

Wreszcie po omówieniu budowli podłużnych i centralnych należało wspomnieć o specjalnym typie, w którym podłużna budowla (bazylika) łączy się z centralną (z kopułą na środku). Autorowi tego rodzaju budowle są zupełnie nieznane (Kodża-Kalessi i Efez późniejszy, kościół w Małej Azji). Ten typ jest ogromnie ważny, gdyż stanowi przejście do budowli bizantyńskich.

W związku z centralnemi omawia autor następnie budowle bizantyńskie i mylnie sądzi, że jest to typ centralny. Tymczasem jest to typ centralno-podłużny, albo odwrotnie podłużno-centralny t. j. kombinacja bazyliki z systemem centralnej budowli kopułowej. W innem miejscu przyznaje to autor. Byłby uniknął niejasności, gdyby powiedział, że główną cechą bizantyńskiej budowli jest kombinacja systemu podłużnego z centralnym, ale że obok tego głównego zjawiają się w bizantyńskiej architekturze także typy czysto podłużne (S. Apollinare Nuovo) i czysto centralne (S. Vitale, Sergjusz i Bakchus). Zresztą autor, który chce się zajmować sztuką starochrześcijańską, powinien budowle bizantyńskie wyłączyć, chyba, że chce je uważać za odłam starochrześcijańskiej sztuki. Lecz nawet dawno zmarły Springer nie ma odwagi św. Zofji w Konstantynopolu zaliczyć do starochrześcijańskich budowli, ale omawia ją między bizantyńskiemi. Tu na tym przykładzie budowli centralno-podłużnej z VI w. wyraźnie odrębnej od bazyliki pokazuje się, w jaki ambaras wpadają ci, którzy zaczynają sztukę bizantyńską dopiero od IX w. po obrazoburstwie.

Nadto skoro autor zaczął już omawiać sztukę bizantyńską, to powinien był zaznaczyć, że w obrębie systemu podłużno-centralnego są pewne typy: rozwiniętej Aji Zofji, krzyżowy św. Apostołów w Konstantynopolu z 5 kopułami i uproszczony bazylikowo-centralny Św. Ireny. Wreszcie typ, który łączy bazylikę kopułą centralną i krzyż grecki w obrębie prostokąta (Aja Zofja w Salonikach i Kalender Dżami w Konstantynopolu, w. VI).

Następnie przechodzi autor do malarstwa w okresie bazyliki i słusznie. Bazyliki bowiem otrzymały od czasów Konstantyna wspaniałą dekorację mozaikową, co wpłynęło nawet na malowidła katakombowe późniejsze IV w. Jednakże zacząć należy nie od mozaik, lecz od minjatur. One bowiem są wcześniejsze i są niejednokrotnie wzorem dla malarstwa monumentalnego. Autor nigdzie nie rozróżnia malarstwa monumentalnego (mozaikowego i freskowego) od drobnego (minjatury, obrazy sztalugowe), a to przecież ważna różnica, wpływająca na charakter malarstwa. Inaczej przedstawia się malarstwo służące do ożywienia ścian kościelnych, a inaczej to, które samo dla siebie jest celem.

Miniatury mają osobny ustęp u autora. Jednakże autor nie uwzględnia tu najnowszych badań i nie zwraca uwagi na rozwój stylu u nich, ani na kierunki, jakie się w nich uwidaczniają. Jak w malarstwie sepulkralnem i płaskorzeźbach, rozróżnić należy i w minjaturach szkołę aleksandryjską, potem syryjską, następnie bizantyńską na Wschodzie, a wreszcie pewne lokalne odcienia wschodnich szkół na Zachodzie. Najstarsze są aleksandryjskie rękopisy. Pierwsza jest rolka (zwój) Jozuego (V w.). Wprawdzie wspomina o niej autor, ale nic nie mówi o jej charakterze klasycznym, hellenistycznym, aleksandryjskim specjalnie (paralelizm z malowidłami pompejańskiemi). Wybitny iluzjonizm t. j. usiłowanie oddawania rzeczywistości z głębią przestrzenną i perspektywą. Brak wszelkiej reprezentatywności, osoby nigdy do widza się nie zwracają. A przecież mimo charakteru klasycznego, zdradza ten rękopis sposób przedstawienia rzeczy już chrześcijański, specjalnie syryjski, przez podwajanie jednej i tej samej postaci na tymsamym obrazie, przez co zaznaczone są sceny bezpośrednio po sobie następujące.

Autor nic nie wie o Quedlinburskiej Itali (IV w.), która wykazuje w swoich ilustracjach do Księgi Królów zupełnie klasyczny charakter, wygląda jak aleksandryjsko-pompejska ilustracja dramatycznego przedstawienia scenicznego.

Psałterz Dawida w Paryskiej Bibljotece Narodowej Nr. 139 omawia wprawdzie autor, ale dopiero na końcu wraz z Homiljami Grzegorza z Nazjanzu z X w. Widocznie nie wie autor, że w Psałterzu tym rozróżnić należy 2 redakcje, jedną późniejszą bizantyńską z X w., która obecnie jest w Paryżu i zaginioną starochrześcijańską z IV—VI w., która w dzisiejszym paryskim egzemplarzu się zawiera, z której bizantyński minjaturzysta kopjował minjatury pierwotne. Różnica jest nie co do treści; lecz jedynie co do stylu. Dawny klasyczny iluzjonizm z głębią, zastąpiony został częściowo przez czysto figuralną płaską kompozycję bizantyńską o tle złotem. Tło dawne perspektywiczne zastąpione zostało (nie zawsze) tłem złotem. Tu była doskonała sposobność wykazania, jak się rozwija styl chrześcijański (bizantyński) z klasycznego pogańskiego. Zestawić trzeba było 2 ilustracje (n. p. Dawid grający na harfie, Izajasz między Nocą a Świtem). Tosamo da się powiedzieć o Topografji Kosmasa Indicopleusty z VI w. o wybitnie aleksandryjskim charakterze. W drugiej redakcji bizantyńskiej z IX w. widać w Nawróceniu św. Pawła, jak zanika zwolna iluzjonizm klasyczny pod ręką bizantyńskiego kopjatora.

O syryjskim Ewangeljarzu Rabuli z VI w. chyba trudno powiedzieć, że to jest zabytek zachodni, rzymski. Autor nic nie mówi o jego charakterze syryjskim. Ukrzyżowanie sławne jest tedy kompozycją wschodnią, syryjską nie zachodnią.

Już całkiem mylnie sądzi autor o Wiedeńskiej Genesis, że jest zachodnią i ma pochodzić z Akwizgranu (VIII/IX), bo na Zachodzie się znajduje. Ale i inny argument podaje autor mający świadczyć o jej rzymskiem pochodzeniu, mianowicie, że przypomina klasyczną sztukę. Lecz zapomina, że rzymska sztuka była hellenistyczna, a ta jest wschodnią. A więc z tego, że coś jest klasyczne, nie wynika, że jest rzymskie. Zresztą wyraźnie noszą iluminacje charakter syryjski ze swoim naturalizmem i bizantyński ze swoją płaską kompozycją frontalną i pionową. Syryjski oryginał był widocznie kopjowany i przerabiany przez artystę bizantyńskiego w V/VI w. Jest to zatem kodeks starochrześcijański, ale powstały w środowisku bizantyńskiem. Do tej samej szkoły bizantyńskiej jeszcze bardziej należy Kodeks z Rossano (500) i z Sinope. Oba wyraźnie wykazują płaski styl bizantyński bez głębi, z kilkoma szeregami nad sobą zamiast za sobą i realizm bizantyński.

Pentateuch Ashburnhama powstał wprawdzie na Zachodzie, jednakże wykonany był przez syryjskiego mnicha w jakimś klasztorze zachodnim. Charakter syryjski jest widoczny.

Teraz należałoby mówić o ikonach starochrześcijańskich czyli podobiznach malowanych na desce, a na ostatku dopiero o malarstwie monumentalnem mozaikowem i ściennem. Co do tego ostatniego znowu autor widzi w tem wszystkiem przeważnie sztukę zachodnią, mianowicie rzymską. Tymczasem malarstwo to jest wschodnie aleksandryjskie, albo antjocheńsko-palestyńskie, albo wreszcie bizantyńskie. I tak do aleksandryńskiego kierunku należą mozaiki w absydzie św. Rufiny i S. Maria Maggiore w Rzymie (zwoje akantu w tejże), jakoteż u św. Jana Lateraneńskiego i u św. Constanzy (kopuła i obejście), krajobraz rzeczny z idyllą również zdradza aleksandryjsko-hellenistyczny kierunek.

Do antjocheńsko-palestyńskiego kierunku należą mozaiki u Św. Constanzy (nyże boczne, Wręczenie Prawa) u św. Pudencjany, (Chrystus uczący), u P. Marji Większej (łuk trjumfalny i ściany nawy), wreszcie mozaiki w obu baptysterjach w Rawennie. Mazuoleum Galli Placydji tamże. Ikonografja palestyńska i styl mozaik palestyńskich, które zaginęły, w nich się przebija. Bizantyński kierunek reprezentują starochrześcijańskie mozaiki w S. Paulo (V) i w kaplicy arcybiskupiej w Rawennie (ikony w medaljonach).

Malarstwu ściennemu autor poświęca osobny ustęp i przez to rozrywa ciągłość i rozwój. Traktować je należy permixtim z mozaikami. Malowidła w S. Maria Antiqua, S. Clemente należą już do wyraźnie bizantyńskich, tak samo jak mozaiki u św. Agnieszki, w S. Venanzo, S. Pietro in Vincoli etc. Skoro autor o tych rzeczach chciał mówić w sztuce starochrześciańskiej, to należało przynajmniej dać osobny ustęp: Starobizantyńskie malarstwo monumentalne (VI i VII w.). Tu należą naprzód mozaiki wschodnie o wyraźnie starobizantyńskim charakterze z VI w. w S. Cosma e Damiano w Rzymie (absyda i łuk), w S. Apollinare in Classe, w S. Vitale, w S. Apollinare Nuovo w Rawennie i w Parenzo (Marja jako Hodegetrja), wreszcie mozaiki w Aji Zófji w kopule i absydzie, (nie zaś mozaika w przedsionku, ta z IX/X w.) i w Kościele Apostołów w Konstantynopolu nieistniejącym obecnie (Chrystus Pantokrator).

Na końcu zamieszcza autor rzeźbę. Niezawodnie była rzeźba i w okresie bazyliki po Konstantynie, ale lepiej ją traktować razem

w związku z rzeźbą przed Konstantynem — tam gdzie sarkofagi. One zjawiają się pod koniec II w. i tam ją podzielić na przed- i pokonstantyniańską.

Książka mimo wszystkie braki ma swoje zalety. Papier kredowy i druk doskonały, dużo dobrych ilustracji, nawet takich rzeczy, które dotychczas nie były publikowane, obfitość wielka materjału, skrzętnie przez autora zebranego i szczegółowe opisy stanowią dodatnią stronę książki. Autor zapowiada, że w II części mówić będzie o sprzętach, naczyniach i tkaninach. Byłoby pożądaną rzeczą, aby przy tej sposobności zechciał poddać dokładnej rewizji I część, wyszłą już z druku. Materjał skrzętnie zebrany należałoby opracować całkiem inaczej, stosując się do nowszych badań, uwzględnić przedewszystkiem rozwój ikonografji i zmiany stylu; opisy zaś dawać nie po literacku, lecz ze stanowiska naukowego historji sztuki, zwracając baczną uwagę na wewnętrzną ewolucję sztuki chrześcijańskiej. Poradzoną też byłoby rzeczą, aby autor wyłączył sztukę bizantyńską z początków średniowiecza, poświęcając im osobne książki, a wtedy wszystko, co się odnosi do starochrześcijańskiej sztuki, zmieści się w jednym tomie. 2-gi tom mógłaby stanowić sztuka bizantyńska w całości, od V w. do czasów najnowszych. Przedewszystkiem zaś we wstępie, albo w zakończeniu pogląd syntetyczny na całość, na charakter i genezę sztuki starochrześcijańskiej jest niezbędny.

Ks. Wład. Żyła.

Prawo rozwodowe a szczęście małżeńskie.

(Ciąg dalszy).

Zabieg leczniczy, który ma goić rany społeczne, nie będzie nigdy wystarczającym, jeżeli ograniczy się tylko do powierzchni chorego organizmu — on musi wniknąć do środka, dotrzeć do samego źródła niedomagania i usunąć je w zarodku. Czy sprawdza się to na prawie rozwodowem?

Powiadacie: ustawa ta jest jedynem lekarstwem, które może wybawić tylu niewinnie cierpiących. — Dobrze, lecz rozwód zwraca się bezpośrednio przeciw samemu węzłowi małżeńskiemu i rozrywa go. A tymczasem czy ten węzeł jest przyczyną złego, czy też może inne czynniki?

Doświadczenie wskazuje raczej na to drugie. Jeżeli przypatrujemy się baczniej istniejącym nieszczęśliwym małżeństwom, dochodzimy do przekonania, że pierwszą przyczyną smutnego ich losu bywa głównie nierozważne zawarcie związku; winę zaś tego ponoszą sami małżonkowie, a w części ich rodzice.

Dłuższe trwanie okresu narzeczeństwa ma głębokie uzasadnienie. Dwie, do niedawna może obce sobie osoby, które pragną zjednoczyć rozbieżne dotychczas drogi życia, muszą przecież poznać się wzajemnie i zbadać uprzednio, czy plan ich jest możliwym do wykonania, czy ma widoki powodzenia. Do tego celu nie wystarczy oczywiście samo częstsze odwiedzanie się, przechadzki, przynoszenie bukietów i tradycyjnych pomadek, ponieważ to wszystko może być również formą bez duszy. Najważniejszą rzeczą będzie możliwie

daleko idąca pewność, że: łączy się z osobą, na której charakterze, a konsekwentnie słowach i czynach można polegać teraz i w przyszłości. Póki tego niema, sam prosty rozum nie pozwala na stanowcze przechylenie się do zgody.

Małżeństwo, to nie gra hazardowa, bo stawka w niej zbyt wielka. Niezawodnej rękojmi nie możemy wprawdzie mieć nigdy, lecz właśnie dlatego tem potrzebniejsza jest jak najdalej posunięta przezorność i zabezpieczenie się przed niepożądanemi możliwościami. A zatem i on i ona poznać powinni wzajemne przymioty; a jeszcze bardziej wady, stan zdrowia, dotychczasowe życie, stosunki rodzinne i stanowisko społeczne. Póki się tej znajomości nie posiędzie, w rubryce aktu wstępnego świecić będzie zawsze luka, której wypełnienie nastąpi może, gdy już będzie zapóźno.

Ostrożność ta niezbędną była zawsze, a dziś stała się nią w dwójnasób. Przy obniżeniu się ogólnego poziomu moralności występuje na widownię coraz więcej ludzi, którzy brak charakteru pokrywają złudnym połorem powierzchowności i mniemanego dobrobytu, lub blichtrem szumnych frazesów. Brak zasad i wiary prowadzi niejednego młodzieńca do życia nieuczciwego, a wytępiwszy w nim resztki lepszych stron jego duszy, pozwala mu z lekkiem sercem łamać życie i szczęście drugiéj osoby. Z drugiej strony mnóstwo młodych kobiet, których nadwyżka wzrosła niepomiernie wskutek wyginięcia mężczyzn w latach ostatnich, za wszelką cenę chce zdobyć męża i nie cofa się w tym celu przed żadnemi środkami. W czasach obecnych nie możemy nadto pominąć milczeniem groźnego widma chorób wenerycznych, tak straszliwie rozwleczonych przez wojnę; a przecież wniesienie ich do gniazda domowego wystarcza niekiedy, by podkopać jego szczęście na zawsze. Coraz czarniejsze chmury tych i podobnych im niebezpieczeństw zalegają horyzont i dlatego wzmożona czujność jest dziś postulatem zdrowego rozumu i najprostszej przezorności.

Młodość jednak lubi bujać po błękitach i na konkretne zjawiska życiowe spoglądać z lotu ptaka, wzrokiem zbyt oderwanym od rzeczywistości, a zapatrzonym w krainę ideału. Piękna to właściwość, lecz nie kierowana roztropnością może się stać groźną. Gdy lot człowieka, którego naturalnem środowiskiem jest ziemia, zanadto wzbije się w przestworza, łatwo traci on równowagę i spada w przepaść; ziemia pokryta jest gęsto strzaskanemi szczątkami takich śmiałków.

Nigdzie może nie jest tak łatwo o to niebezpieczeństwo, jak w miłości. Kiedy na wspólnej glebie dwojga serc wyrośnie jej kwiat, który czasem rozwija się powoli, a kiedyindziej wystrzela nagle z niewidzialnego przedtem pączka, wtedy woń jego działa odurzająco na umysł i przyćmiewa jego siłę. Cała energja człowieka skupia się natenczas w uczuciu, które z niepohamowaną gwałtownością prze naprzód do spotęgowania i utwierdzenia na zawsze tak zapoczątkowanego zespolenia. Stąd trudno wtedy o chłodną rozwagę i nawet najrozumniejsi skądinąd ludzie wypadają niekiedy z równowagi i stają się głuchymi na zaklinania rodziców oraz perswazje życzliwych znajomych. W wyobraźni ich osoba ukochana staje się jakby wcieleniem doskonałości, w którem błyszczy tylko samo dobro i piękno, podczas gdy wszelkie wady cofają się w tył i znikają za nieuchwytną zasłoną.

I zdarza się nieraz, że sen zamienia się w rzeczywistość i węzeł, tak zadzierżgnięty, staje się źródłem niegasnącego szczęścia. Lecz ileż to razy bywa przeciwnie. »Cudnie marzyłem, srodze mnie zbudzono« — mógłby niejeden i niejedna powtórzyć za poetą. Kiedy prysły czarodziejskie mamidła, pokazało się, że owe idealne zalety duszy i ciała były tylko czczą marą. Niestety, już po niewczasie! A tych ofiar zawiedzionych takie mnóstwo...

Ale też źródłem ich nieszczęść, przyczyną smutnego losu nie jest nierozerwalność małżeństwa, ale własna nieroztropność. Sprawę tak doniosłą należało poważniej traktować.

Jeżeli więc z różnych stron rozlegają się głosy: »Litości nad tymi i temi, którzy padli ofiarą zawodu dlatego, że szli w imię świętych haseł i najwznioślejszych uczuć, a nie oglądali się na podłość ludzką!« — czy z ręką na sercu możemy powiedzieć: tak, oni są zupełnie niewinni?

Nie! nie możemy, choćby nam serce rwało się z boleści! Nie możemy, bo człowiek jest istotą rozumną, a roztropność pierwszą z cnót kardynalnych. Nie możemy, bo musielibyśmy wydać na nich wyrok, że nie są ludźmi charakteru, a to byłoby ujmą dla ich imienia. Człowiek charakteru postępuje według zasad i trzyma na wodzy wszelkie zapędy uczucia, kierując je niezłomną swą wolą tam, gdzie rozum i wiara wskazują mu drogę. Wszelkie marzycielstwo i nieliczenie się z konkretnemi warunkami jest zawsze symptomem chorobliwym, który u człowieka normalnego zasługiwać może tylko na pewną wyrozumiałość, lecz nie na uniewinnienie.

Na usprawiedliwienie ich podać można chyba, że nie zawsze sami są winni, lecz znaczna część tego brzemienia spada na ich rodziców. Z tych bowiem jedni, chcąc zabezpieczyć los córki, pozwalają jej wyjść za mąż za pierwszego lepszego kandydata, jaki się trafi, owszem używają nawet w tym celu przymusu moralnego. Inni nie posuwają się wprawdzie tak daleko, nie spełniają jednak należycie swego obowiązku rodzicielskiego, gdyż nie hamują nieroztropnych zapędów i nie służą skuteczną radą i pomocą. A jednak, gdyby korzystali z doświadczenia, jakie mieć powinni, zapobiegliby może nieszczęściu.

Wniosek z powyższych słów jest oczywisty.

Skoro przyczyną nieszczęść małżeńskich nie jest nierozerwalność lecz, obok niesumienności, przedewszystkiem nierozważne zawieranie związku, przeto lekarstwem gruntownem na nie może być tylko zapobieżenie owej nierozwadze, a nie ustawa rozwodowa.

Rozwód byłby zabiegiem dorywczym, przynoszącym chwilową jedynie i pozorną ulgę, a w rzeczywistości psułby tylko pozostałe organy i sprzyjał procesowi rozkładowemu, nurtującemu już oddawna w ukryciu. Byłby to środek powierzchowny i ograniczony tylko do poszczególnych jednostek, a nie usuwający złego tak doszczętnie, by zabezpieczyć przed niem przyszłe generacje. Jeżeli chcemy ocalić młode pokolenie przed cierpieniami, starajmy się wychować je moralnie, wyrobić w niem zdrowe zasady i niezłomny charakter; kiedy zaś staną u rozstajnych dróg życia, służmy im radą i pomocą, by wybór ich wypadł trafnie, a staranność przygotowania odpowiedziała ważności chwili.

Gdy to nastąpi, wtedy zniknie wielka, owszem — możemy śmiało powiedzieć — większa część rozczarowań i zawodów, a z niemi nieszczęść małżeńskich.

* * *

Zgoda! — odpowie na to niejeden — lecz przecież mogą zajść także inne, nieprzewidziane przyczyny złego, a zresztą ułomność ludzka sprawi, że zawsze znajdzie się pewien procent ludzi mniej rozważnych. Środek powyżej wskazany nie może zatem być jedynym. Powtóre, służy on raczej do zapobieżenia złemu na przyszłość, uwzględnia zatem dalsze pokolenia. Lecz cóż mają począć

istniejące już nieszczęśliwe związki, dla których dobra ta rada przychodzi za późno? Czy nie trzeba uznać rozwodu za jedyny dla nich sposób wybawienia?

Przyznajemy, że taka myśl może się narzucić, jako najprostsze t. j. najłatwiejsze rozwiązanie w danym wypadku; ale żeby to było najlepsze i jedyne wyjście, trudno powiedzieć.

W wielu wypadkach przyczyną nieszczęścia bywa niezgodność zapatrywań i charakterów, która prowadzi stopniowo do coraz ostrzejszych nieporozumień, tak że wkońcu wytwarza się przekonanie, iż dalsze wspólne pożycie będzie niemożliwem. Powiadamy umyślnie: »wytwarza się przekonanie«, ponieważ niepodobna przypuścić, aby usposobienia ludzi, którzy przecież znali się przedtem i pokochali gorąco, nie odpowiadały sobie w pewnym przynajmniej stopniu. Węzeł, który ich złączył, musiał mieć przecież w tych duszach jakieś realne podstawy, które istnieją zapewne nadal i mogą służyć za wspólny pomost do ponownych rokowań i pojednania. Tylko uporne trwanie na raz zajętem stanowisku i zaciętość, nie dopuszczająca żadnego ustępstwa, sprawić mogą, że kiedy jedna strona wyciąga rękę do zgody, druga cofa prawicę, wmawiając gwałtem w siebie i innych, że to niepodobne.

A tymczasem trochę dobrej woli, nieco więcej panowania nad sobą, pewna doza wyrozumiałości dla drugich zdołałyby zapobiec wszystkiemu i przywrócić jedność. O nie więc trzeba się starać, a nie uciekać się zaraz do skrajnego rozwiązania, jakiem jest rozwód. Wszędzie musimy się krępować drugimi, a przezwyciężać własne upodobania, żaden wiek ani miejsce nie uwalnia nas od tego.

Doświadczenie wykazuje zresztą, że usiłowania, szczerze tu podjęte, doprowadzały do pomyślnego wyniku i na nieurodzajnej pozornie glebie odrastał zwolna kwiat prawdziwej miłości i oddania się wzajemnego.

Nie jest to bynajmniej myśl nowa. Już dawno podali ją inni. Słyszeliśmy przedtem, jak A. Roguenant potępił rozwód, jako złamanie słowa, danego w najuroczystszej chwili. Uzasadniwszy to twierdzenie i powtórzywszy je raz jeszcze z naciskiem, stawia on sobie następujące pytanie:[1]) »Lecz powie kto, czyż trzeba raczej stać się nieszczęśliwym, niż złamać przysięgę?« — i odpowiada:

[1]) »La natalité et les moeurs«, str. 166.

»W zasadzie tak. Raczej być nieszczęśliwym. W praktyce życia zdarza się najczęściej, że z głębokiego poszanowania tej przysięgi rodzą się przymioty, które potrafią osłabić i zmniejszyć do minimum niedogodności, wynikłe z niezbyt szczęśliwego związku.

»W ilu to związkach, niefortunnych zrazu, zaczęło się dziać coraz lepiej i wkońcu stały się szczęśliwemi małżeństwami dzięki temu, że zaczęto w nich praktykować codzienne cnoty wyrozumiałości, cierpliwości i dobroci, które są niejako naturalnym wykwitem moralnym z przejęcia się tą wzniosłą prawdą: poszanowania przysięgi.

»Rozwód popchnął do ostateczności niejednych, których położenie nie było wcale tak rozpaczliwem«.

Oto pierwsze rozwiązanie, prawdziwie godne, piękne i wzniosłe. Człowiek lekki, bez charakteru wzruszy wprawdzie ramionami na taką propozycję, lecz nie dziwmy się temu. Czy można się od takiego wogóle spodziewać czegoś lepszego?

Lecz jeżeli nie można dojść do porozumienia, co wtedy?

I wtenczas nawet dla wyższych pobudek, dla dobra dzieci niejeden i zwłaszcza niejedna kobieta raczej heroicznie zniesie cierpienia, ale wytrwa na posterunku w imię wzniosłej zasady: »Szczęście w małżeństwie może więc być albo nie być, ale obowiązki, jakie związek małżeński nakłada, spełnionemi być powinny[1]).

Na taką siłę ducha zdobędzie się wprawdzie tylko kobieta, która wsparta potężną dźwignią wiary, spogląda z wyższego punktu widzenia na świat i nie cofnie się przed żadną ofiarą, byle spełnić swe zadanie. Takich kobiet mamy jednak wiele. Choć spotkał je gorzki zawód, trwają one dalej na stanowisku i żadna z nich, według słów wspomnianej autorki, »rozpaczać nie będzie i rąk nie opuści«.

* * *

Zdarzają się jednak wypadki, w których ofiara tego rodzaju tak dalece przechodzi przeciętną miarę, że trzeba ją podziwiać, unosić się nad nią, ale niepodobna jej żądać od wszystkich. Niedochowanie wiary, stałe okrucieństwo, ściągnięcie na siebie większej hańby i inne nadzwyczajne trudności mogą uczynić dalsze współżycie wprost niemożliwem. Czy wtedy przynajmniej rozwód nie jest ostatnią ucieczką?

---

[1]) C. Plater Zyberkówna: »Na progu małżeństwa«, str. 41.

Nie — bo jeszcze pozostaje separacja czasowa lub trwała.

On i ona pozostają wprawdzie spojeni nadal węzłem małżeńskim, lecz rozłączają się, zabezpieczywszy przedtem wzajemnie warunki bytu i opiekę nad dziećmi. Zajmują odtąd mieszkanie osobne, a wszelka styczność jest między nimi zerwana, bądź na stałe, bądź też do pewnego czasu, jeżeli zmiana okoliczności doprowadzi do porozumienia. Oczywiście położenie takie jest przykrem, zarówno z powodu wzajemnych zobowiązań i skrępowania, jak ze względu na krewnych i znajomych. Jeśli jednak powody były wystarczające, jest ono zupełnie uprawnione i każdy musi przyznać stronie niewinnej zupełną słuszność.

Dla wielu jednak nie wystarcza takie rozwiązanie. Sama myśl, że dopóki druga strona żyje, nie mogą wejść w ponowny związek, cięży na nich, jak srogie kajdany, które pragnęliby zerwać jak najprędzej i dlatego domagają się zupełnego rozwodu.

Żądaniu temu nie można się dziwić. Są to nieraz ludzie młodzi, do których życie się uśmiecha. Albo on ma najlepsze chęci, albo ona pragnie szczerze wieść życie pracy i oddania się obowiązkom żony i matki, a tymczasem czują, że droga przed nimi zamknięta, niewiadomo na jak długi przeciąg czasu — może na zawsze. Każdy odczuje chyba, jak dotkliwie i przygnębiająco wpływać musi na duszę świadomość tego beznadziejnego położenia. Trzeba rzeczywiście nadzwyczajnego zaparcia siebie i hartu woli, by przyjąć je spokojnie i znieść cierpliwie. Tylko pamięć na Boga, cenę obowiązku i życie przyszłe stanowić może prawdziwą i jedynie realną pociechę w tak ciężkiem doświadczeniu.

Czy zatem w tej ostateczności nie należy przyznać swobody rozwodu?

* * *

Ci, którzy na powyższe pytanie odpowiadają twierdząco, zapominają na jedną z istotnych cech każdego prawa.

Prawo nie może uwzględniać pewnych tylko jednostek, lecz ogół. — A czy tu mamy do czynienia z ogółem?

Czy małżeństwa tak nieszczęśliwe, że przed niemi stoi jedna tylko alternatywa: albo rozwód albo życie złamane, stanowią przeważną część związków?

Nie, tego nie można powiedzieć. One należą do wypadków rzadszych.

Czy do rzadszych? — Tak jest; związki, które zostały zawarte z pełną rozwagą i świadomością zadania, jakiego się podejmują, a potem popadły w takie nieporozumienia, że niema dla nich innego ratunku oprócz rozwodu, należą do wyjątków. A dla wyjątków nie ustanawia się praw.

Jakto! — zawoła wielu — a cóż znaczą owe setki i tysiące podań o rozwód? To mają być wyjątki?

Trzeba uważnie słuchać naszej odpowiedzi. Nie powiedzieliśmy, że małżeństw wogóle nieszczęśliwych jest mało, lecz że niewiele jest związków należycie zawartych, a mimo to tak ciężko dotkniętych, że niema dla nich innego sposobu wyjścia oprócz rozwodu. Te bowiem, które popadły w nieszczęście skutkiem własnej lekkomyślności, same są sobie winne, jak to powyżej wykazaliśmy, nie dzieje się więc im krzywda, jeżeli za to pokutują; każde prawo musi przecież mieć sankcję.

A niewinnie cierpiący?

Wspomnieliśmy już, że trudno mówić w tym wypadku o ludziach zupełnie bezwinnych, a w każdym razie będzie ich bardzo mało, nie można więc dla nich wydawać osobnych ustaw, które łączyłyby się nadto ze szkodą ogółu. Powtóre jest to właściwością każdego prawa, ograniczającego wolność ludzką, z obawy przed jej nadużyciem, że jakkolwiek wydanem zostało dla zabezpieczenia się przed osobnikami złymi, dotyka jednak nie mniej zacnych i uczciwych.

Zresztą dla wszystkich, winnych i niewinnych otwiera się tak przepiękne pole działania, że warto dla niego złożyć w ofierze trochę miłości własnej i nawet cierpienia. Praca nad podniesieniem poziomu moralnego i zdrową reformą stosunków małżeńskich, o której tyle mówiliśmy poprzednio, stoi przed nimi otworem. Mając tak bogate doświadczenie za sobą, czy nie mogliby tem skuteczniej przyłożyć do niej ręki? Tyle się dziś deklamuje o altruizmie, tyle słyszy wykrzykników o kulturze, miłości ojczyzny, czy nie byłoby lepiej czynem je okazać i poświęcić swe, nieraz niezupełnie słuszne uroszczenia, dla dobra przyszłości?

Tembardziej, że w tych pretensjach i skargach tyle nieraz tkwi przesady!

Trafnie i ściśle rzeczowo zwraca uwagę na ten punkt znany nam już G. v. Rohden [1]). Zwolennicy wolnej miłości, a temsamem przeciwnicy nierozerwalności małżeństwa powołują się jego zdaniem zawsze, jako na główny dowód, na fakt istnienia tylu nieszczęśliwych związków, dla których rozwód może być jedynem wybawieniem. Otóż Rohden odmawia wręcz słuszności takiemu sposobowi dowodzenia i powiada, że o ile chodzi o kwestję rozluźnienia węzłów małżeńskich, »nie można się w niej kierować na pierwszem miejscu względem na nieszczęśliwe związki« i to nawet »przy najdalej idącem uwzględnieniu uzasadnionych żądań jednostki«. Związki te bowiem właśnie dlatego, że tak są pożałowania godnemi, »wpadają więcej w oczy i budzą sensację« dokoła, podczas gdy nie zwraca się uwagi na inne liczne pary, które wiodą szczęśliwe, lecz mniej głośne życie.

Że taką błędną argumentacją posługują się nawet ludzie skądinąd wybitni, pokazuje on następnie na przykładzie I. Bloch'a, Tenże przytacza w swej pracy książkę Dra Gross-Hoffinger'a, który zestawił sto wypadków nieszczęśliwych małżeństw i doszedł stąd do wniosku, iż związki rzeczywiście zadowolone są tylko »wyjątkiem z reguły«. Lecz Bloch — zauważa na to słusznie Rohden — nie tylko nie udawadnia tem swego twierdzenia, ale przeciwnie, przegrywa je zupełnie. Jeżeli bowiem powybiera się umyślnie same tylko nadzwyczajne wypadki, to jasnem jest, że nie można na ich podstawie wysnuć wniosku o istnieniu szczęścia w małżeństwie. Lecz takiej konkluzji nie wolno pod żadnym warunkiem rozciągać na wszystkie związki, bo to jest postępowanie zgoła nienaukowe.

Podobnie zapatruje się na tę kwestję Fr. Paulsen[2]). Przestrzega on przed »dramatykami pesymizmu, modnymi poetami i literatami«, którzy prześcigają się wzajemnie w przedstawianiu nędzy pożycia małżeńskiego i podaje przeciw nim bardzo zręczny dowód: jeżeli tragedje małżeńskie cieszą się na scenie takiem powodzeniem, to widocznie w życiu należeć muszą do rzadkości. »Gdyby bowiem małżeństwa widzów były przeciętnie odbiciem tego, co się przedstawia w teatrze, oburzyliby się na tego rodzaju sztuki, albo uznali je za zupełnie chybione i nieprawdziwe; w rodzinie skazanego na powieszenie nie wolno bowiem wspominać o stryczku«.

---

[1]) Zeitschrift für Socialwissenschaft, Leipzig, r. 1908, str. 101—2.
[2]) System der Ethik, II[6], str. 277—8.

Według Paulsen'a »niema więc najmniejszego powodu do tak pesymistycznego zapatrywania się na faktyczny stan obecnych małżeństw. Istnieją dobre i szczęśliwe związki, jakkolwiek nie są zbyt częste; są inne złe i nieszczęśliwe, a te są prawdopodobnie częstsze; istnieją wreszcie związki pośrednie, które trzymają się razem wskutek zwyczaju, wspólności interesów, pewnego przywiązania i zarazem przymusu, a te będą stanowiły większość«.

Oba te świadectwa, pochodzące od ludzi uczonych i z różnych obozów, posuwają się znacznie dalej od naszych dotychczasowych twierdzeń. Powiadają bowiem, że nieszczęścia małżeńskie nie tylko nie wystarczają do wykazania potrzeby rozwodu, ale wprost nie nadają się do tego, by się na nie powoływać, nie mogą być użyte jako dowód.

Opierając się na tem, moglibyśmy wszystkim, którzy domagają się ustawy rozwodowej w imię ratowania nieszczęśliwych związków, odpowiedzieć: to nie jest wcale wystarczająca racja, szukajcie innej! — Nie czynimy jednak tego, lecz pragnąc odsłonić prawdę aż do dna samego, pójdziemy dalej drogą dowodów, by odkryć przed oczyma niedowierzających całą przepaść nędzy, do której pchają siebie i drugich.

* * *

A dowodów tych nie brak.

Ustawa rozwodowa istnieje przecież w niektórych państwach od kilkudziesięciu lat i widzieliśmy już, że w rezultacie przyniosła ona wszędzie tylko znaczny wzrost ilości rozwodów, czyniąc tem srogi zawód pokładanym w niej nadziejom. Czemu tak się stało, dlaczego tak musiało się stać, poznaliśmy w ciągu niniejszej rozprawy. Pozostaje nam tylko uzupełnić powyższe rozważania przez przytoczenie pewnej liczby nowych faktów, oraz zwrócenie uwagi na parę innych ujemnych następstw, które dotychczas pomijaliśmy.

Ażeby przekonać się naocznie, jakie obniżenie poziomu moralności i jakie zdziczenie obyczajów pociągnęło za sobą prawo rozwodowe, przypatrzmy się naprzód przyczynom, dla jakich sądy udzielały pozwolenia na rozejście się. Rzucają one jaskrawe światło na stan moralny tych ludzi, a zarazem pozwalają wniknąć nieco w ich życie i dusze.

W Niemczech n. p., na ogólną liczbę małżeństw rozwiązanych w latach 1905—7, prawie połowa, bo 40%, podało za powód

cudzołostwo lub nienaturalne popędy (widernatürliche Unzucht [1]). We Francji, według Castelein'a [2]), przeciętnie 75% podań o rozwód uzasadniło swą prośbę okrucieństwem i złem obchodzeniem się drugiej strony, około 20% cudzołostwem, a tylko pozostałe kilka procent odwołuje się do innych przyczyn. Na 945.625 rozwodów, danych w Stanach Zjednoczonych w okresie od r. 1887—1906, mniejwięcej 39% zostało udzielonych z powodu porzucenia (desertion), 22% wskutek cudzołostwa, 16% dla okrucieństwa, a około 9% z powodu kombinacji powyższych przyczyn [3]).

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że taki wykaz to triumf naszych przeciwników. Wysoki procent przestępstw najgorszej kategorji jest oczywistym dowodem, że odpowiadająca mu ilość mężów i żon znajduje się w położeniu ciężkiem nie do opisania, z którego jedynie rozwód wybawić ich może.

Lecz tak się tylko... zdaje.

Ta potwornie wysoka cyfra sprzeniewierzeń małżeńskich i nieludzkiego postępowania świadczy tylko o bankructwie prawa rozwodowego.

Gdyby bowiem ów stan nadużyć panował przedtem, póki nierozerwalność małżeństwa była prawie nakazaną i sankcjonowaną, możnaby mieć przynajmniej pozór do złożenia winy na karb owego przymusu. Lecz nie! Przykłady powyższe wyjęte zostały właśnie z okresu, poprzedzonego dłuższem trwaniem ustawy rozwodowej i dlatego są wymownym dowodem, jak chybionym jest ten środek, jak niezdolnym do poprawienia doli małżonków.

I temu nie należy się dziwić! — Trzeba albo przewrotnej woli albo skończonego krótkowidztwa, by nie przewidzieć, że tak być musiało. Udzielanie bowiem rozwodu ludziom złym i pozwalanie im na wstępowanie w nowe związki jest właśnie szerzeniem zarazy, a nie ograniczaniem i usuwaniem jej. Proceder taki można jedynie porównać z wypuszczaniem niebezpiecznych bandytów z więzienia na wolną stopę. Dopóki bowiem istniała nierozerwalność, tak długo cierpiała jedna żona lub jeden mąż. Z chwilą zaś wprowa-

[1]) V. Cathrein: Moralphilosophie, II[5], str. 420.
[2]) Droit naturel, str. 555.
[3]) Encyclopaedia Britannica [11]), t. VIII, art. »Divorce«.

dzenia w życie ustawy rozwodowej, ta sama zbrodnicza jednostka otrzymuje możność unieszczęśliwienia już nie jednej osoby, ale kilku, kilkunastu, a nawet i więcej! To jest chyba jasne jak słońce.

Jeszcze w roku 1889 podał The Tablet (London, 985—7) orzeczenia angielskiego męża stanu Gladstone i byłego ministra amerykańskiego Phelps, którzy choć protestanci, z całą stanowczością oświadczyli się za nierozerwalnością małżeństwa, ponieważ od czasu, jak pozwolono na wstępowanie w ponowne związki, wzrosła w Anglji i Ameryce liczba rozwodów a moralność upadła. Na sto rozwodów 99 miało miejsce dlatego, że liczono na możność zawarcia nowego małżeństwa; gdyby nie ta nadzieja, byłoby ognisko domowe ocalało.

Gdyby bowiem ustawa zabraniała występnemu małżonkowi wchodzić w ponowne związki, wtedy moglibyśmy powiedzieć, że został on odosobniony, a świat uwolniony od jednej więcej zmory. Lecz nie. Prawa państwowe stawiają tylko pewne chwilowe i niewielkie ograniczenia, a poza tem pozwalają wszędzie na zawarcie nowego małżeństwa. Taka jednak metoda otwiera tem samem na oścież bramę najstraszliwszym nadużyciom, szerzy zarazę coraz bardziej i unieszczęśliwia coraz więcej ludzi dobrych, zmuszając zarazem do tem częstszych rozwodów[1]). Obok obniżającego się poziomu moralności tu leży sekret wzrastania liczby tychże.

Gdyby bezstronność i dobra wola rozstrzygały w tej kwestji, ten jeden punkt przeważyłby szalę zupełnie. Niestety, jednego i drugiego mało jest na świecie.

Nie koniec na tem. Prawo rozwodowe nie tylko ułatwia i szerzy zło, ale wprost pociąga, zachęca do niego.

W jaki sposób?

W bardzo prosty. Z jednej strony otwiera bowiem możność zerwania związku, a z drugiej zapowiada, iż może się to stać jedynie pod tym warunkiem, że skarga poparta zostanie jednem z przestępstw,

[1]) W słowach tych mieści się odpowiedź na ulubioną i przez zwolenników rozwodu często powtarzaną rację, że »zerwanie małżeństwa jest tem samem, co amputacja w szpitalu, która jest zawsze bolesną ale może być koniecznością«. — Otóż członek amputowany odrzuca się, a nie przyprawia innej osobie; tymczasem w praktyce rozwodowej dzieje się przeciwnie.

wymienionych w kodeksie, t. j. cudzołostwem, okrucieństwem, porzuceniem itd. Innemi słowy prawo odzywa się tak: albo musisz postarać się, by jedna z tych zbrodni została spełnioną, albo też zrezygnuj z nadziei otrzymania rozwodu. Co przy takiej alternatywie uczyni człowiek, nie kierujący się zasadami, jest chyba jasnem. Jeden dopuści się sam danego przestępstwa, byle zmusić do wniesienia skargi, inny posądzi o nie, słusznie lub niesłusznie, drugą stronę, w trzecim wypadku obydwoje umówią się, by uczynić to za wspólną zgodą i w ten sposób dojść do celu.

I nie są to bynajmniej czcze tylko domysły lub podejrzenia, ale tak dzieje się rzeczywiście. — Sławnem jest n. p. oświadczenie biskupa z Rochester, »który twierdził, że w Anglji na dziesięć cudzołostw, przedłożonych w sądzie przez mężów, jako motyw do otrzymania rozwodu, dziewięć wypadków zostało umyślnie spowodowanych w ten sposób, że sami ci mężowie porozumieli się uprzednio z tymi, którzy grzeszyli z ich żonami« [1]).

Podobnym przykładem posłużyć nam mogą Stany Zjednoczone Ameryki pn. W wykazie statystycznym rozwodów, udzielonych tamże pomiędzy rokiem 1867 a 1886, podano dla samego stanu New York 14.247 wypadków, przyczem nadmienić należy, że wszystkie były umotywowane cudzołostwem, jako jedynym powodem prawnie wystarczającym. Otóż »jeden z najwyższych urzędników sądowych, tamże zajętych, oświadczył po długoletniej służbie, że nie rzadko popełniano umyślnie cudzołostwo jedynie dlatego, aby mieć wystarczający motyw do otrzymania rozwodu« [2]).

Nie lepsze wyniki przyniosła ustawa rozwodowa we Francji.

»Po 25-ciu latach istnienia prawa, uważanego niegdyś za zbawcze... możemy ujrzeć jego owoce. Przenosząc się myślą do nadziei, jakie pokładali w niem zwolennicy projektu Naquet'a, stawiamy każdemu bezstronnemu, kimkolwiekby był, tę parę pytań:

1) »Czy ilość zbrodni, rozgrywających się na tle płciowem, zmniejszyła się?

2) »Czy moralność publiczna podniosła się?

»Odpowiedź będzie krótka, bez względu na to, jakich przekonań politycznych będzie lojalny świadek, tak zapytany. Będzie nią: nie, i jeszcze raz nie!

---

[1]) Rivista internationale, 1903, str. 199.

[2]) Zeitschrift für Socialwissenschaft, 1908, str. 225.

»To znaczy: wbrew oczekiwaniom widzieliśmy i widzimy, że dzień w dzień sztylet, witrjol i rewolwer są ostatnim argumentem żony lub męża w chwili, która poprzedza albo następuje po legalnem zerwaniu węzła małżeńskiego. Prawo Naquet'a »ułatwiło wymianę«, lecz nie usunęło bynajmniej dzikości obyczajów i brutalności

»Oto odpowiedź na pierwsze pytanie.

»Co się zaś tyczy moralności publicznej, rozwód przyczynił się tylko do jej obniżenia...«[1]).

Tyle laureat akademji paryskiej. Nic też dziwnego, że inny jego rodak nazwał rozwód »sakramentem cudzołostwa«.

Także prof. Morselli, zestawiwszy w Rivista Ligure z r. 1902 dane statystyczne, odnoszące się do następstw rozwodu, tak kończy swą rozprawę: »Statystyka, zestawiająca fakta najpospolitsze i najłatwiej dające się zauważyć, jasno wykazuje związek, jaki zachodzi pomiędzy rozwodem a wszystkiemi niższemi objawami duszy ludzkiej, mianowicie zbrodnią, samobójstwem, obłędem i prostytucją«.

Jak często zabójstwo łączy się z zawiedzioną miłością, a zatem i z rozwodem, dowodzi wystarczająco życie codzienne. Tragiczne afery miłosne i małżeńskie stały się czemś tak pospolitem, że poważniejsze gazety zajmują się niemi chyba wtedy, kiedy w grę wchodzą osobistości więcej znane. On pozbawia ją życia lub odwrotnie, często sprawca popełnia równocześnie samobójstwo, a za narzędzie służy zarówno browning jak nóż, siekiera i trucizna.

Co więcej — zdarzenia te, tak przejmujące i smutne same w sobie, że powinny stać się dla wszystkich przykładem odstraszającym i pobudzić do reformy stosunków, zostały wciągnięte w służbę teatrów, kin i niezdrowych powieści, by sensacją treści i obrazów rozdrażnić do reszty i tak już chorobliwie nastrojone nerwy publiczności.

Co się tyczy samobójstw, dalekimi jesteśmy od twierdzenia, jakoby pomiędzy niemi a rozwodami zachodził ścisły, wewnętrzny związek. Uderza nas jednak okoliczność, że oba te zjawiska idą łącznie i wzrastają równomiernie.

»Podobnie jak we Francji i Szwajcarji, tak we wszystkich krajach niemieckich porównawcze wykazy statystyki moralnej potwierdzają ogólny ten fakt, że wraz z wprowadzeniem rozwodu otwierała się zgubna era samobójstw. W Prusach na 1,000.000 kobiet zamę-

[1]) A. Roguenant, dz. c., str. 161—2.

żnych 61 pozbawiło się życia, podczas gdy pomiędzy żyjącemi w rozwodzie lub separacji zaszło 348 wypadków; na 1,000.000 mężczyzn żonatych przypadło 286 samobójstw, na 1,000.000 rozwiedzionych lub żyjących w separacji było ich 2.834. Najoczywiściej — pisze wobec tego Morselli — rozwód nie zaspakaja, jak się to zwyczajnie sądzi, potrzeby szczęścia i spokoju indywidualnego, skoro tak wielka liczba osób rozwiedzionych przecina własną ręką swe istnienie« [1]).

Jakże gorzką, bezlitosną ironią tchną wobec tego słowa wynoszonej przez niektórych autorki!

»Kiedy rozwody będą dozwolone — mówi E. Key — zaczną małżonkowie tak na siebie uważać i będą się tak starali być interesującymi, ujmującymi i ciągle nowymi, jak to dziś robią narzeczeni. Każde potrafi uszanować wszystkie istotne potrzeby życiowe drugiego, a samo potrafi swe przemijające nastroje opanować« [2]).

Jak się ta zapowiedź spełniła w rzeczywistości, widzieliśmy. Lecz jakim sposobem E. Key mogła ją wygłosić, skoro książka jej ukazała się dopiero w roku 1906, to pozostanie zagadką nierozwiązalną. Chybioną tę wizję trudno nawet nazwać iluzją, lecz tylko halucynacją — tak daleką jest ona od tego, co się dzieje przed naszemi oczami.

(Dok nast.).

Ks. Stanisław Podoleński.

---

[1]) Rivista internationale, 1903, str. 200.
[2]) »Miłość i małżeństwo« str. 283.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Apologetyka.

P. Gustave Neyron S. J.: Le Gouvernement de L'Eglise. Paris, 1919, Beauchesne, str. 324.

Rządy monarchicznego absolutyzmu i oligarchji należą już do przeszłości. Szerokie warstwy ludu, nie spuszczając się na sąd jednostek, domagają się czynnego udziału w rządach. Stąd ustrój parlamentarno-republikański zajął miejsce absolutnych i dziedzicznych monarchij. W jednym tylko Kościele katolickim trwa ustrój monarchiczno-absolutny, choć nie ulega wątpliwości, że społeczeństwo ze zmianą systemu politycznego zyskało wiele. Czyż więc Kościół rzymski, nie licząc się z temi korzyściami, nie popadł w stan odrętwienia i zacofania? Czyż jego autorytet absolutno-centralistyczny nie niweczy wszelkiej samodzielności w organach sobie podporządkowanych? Czyż nie podciąga wszystkiego pod jeden strychulec? Czy przez nieomylny autorytet w nauczaniu nie zabija swobody badania, a przez sakramentalny rytualizm czyż nie podcina skrzydeł indywidualnej pobożności?

Oto splot zarzutów, które niegdyś po części podnosili zwolennicy wyższości soboru nad papieżem, a dziś we wszystkich tonacjach i odmianach powtarzają moderniści i racjonaliści. Ten splot aż do ostatniej niteczki rozwikłać to rzecz arcytrudna! Nie uląkł jej się O. G. Neyron T. J. i w dziele »Le Gouvernement de L'Église« usiłuje ten kłębek rozplątać. »Gouvernement« ma sześć rozdziałów: 1. Prawo następstwa w Kościele. 2. Kościół a centralizacja 3. Ultramontanizm a miejscowe tradycje. 4. Kościół a władza absolutna. 5. Władza jego nad naszą myślą. 6. Nad życiem dusz. Rzecz poprzedza przedmowa i wstęp, nadto dwa dodatki: 1. Sobór watykański i jego dzieło. 2. Katolicy a tolerancja. Znając doskonale zarzuty wirujące w duszy współczesnej, stara się O. Neyron naprzód je dobrze skrystalizować, do źródła, skąd wypływają, sprowadzić, a potem daje na nie odpowiedź zadawalniającą, wyczerpującą. Na zarzuty, godzące w autorytet kościelny, odpowiada nie dogmatycznie, lecz apologetycznie, uciekając się przedewszystkiem do faktów historycznych. W dziele O. Neyrona znajdzie polski

czytelnik wiele światła i odpowiedzi gotowych, przykrojonych w sam raz do naszych stosunków, jakby miarę na nie brał autor czy to z zarzutów i wywodów »Wielickiego teologa« z »Prawa ludu« lub »Naprzodu«, czy też z niegrzeszących nadzwyczajną oryginalnością pomysłów ks. A. Huszny. Żeby czytelnikowi dodać bodźca do zapoznania się z tem doskonałem dziełem, jakby dla próbki, streszczę w najgrubszych zarysach tok rozumowań O. Neyron'a. Oczywiście to streszczenie nie będzie ani setną cząstką poruszanych zagadnień.

1-o Kościół katolicki jest nieubłaganie a b s o l u t n y w strzeżeniu swej powagi: z papieżem, z biskupem w diecezji nie można dysputować lub wchodzić w układy. Ci ludzie nie znają ustępstw, kompromisów. Roma locuta, causa finita!

Niezawodnie Kościół katolicki jest, był i będzie absolutny, bezwzględny w strzeżeniu swego autorytetu, o ile wszelka władza od Boga pochodząca, wymagająca uległości z natury rzeczy jest absolutną i bezwzględną. Z papieżem, biskupem nie można rozprawiać, o ile nie można rozprawiać z ojcem w rodzinie, lub niezwykle szlachetnym wodzem, wydającym rozkazy. Dla anarchisty, któremu wszelka władza jest nieznośną obrożą, każdy rozkaz będzie objawem despotyzmu i absolutyzmu. Jak Żydom na Górze Synaj wśród grzmotów i piorunów obwieścił Bóg swe prawo, tak dzieciom XX wieku, mocno zarażonym miazmatami anarchji, przypomniał prawo posłuszeństwa i poszanowania władzy wśród łun, gruzów, potoków krwi wezbranych podczas wojny światowej. Ci, którym wszelki rozkaz prawowitej władzy wydawał się zamachem na najświętsze osobiste prawa, musieli słuchać pod grozą kuli. Rowy strzeleckie to twarda szkoła posłuszeństwa.

2-o Rzym, centralizując wszystkie arterje władzy w swej twardej dłoni, wyklucza wszelkie p r a w o s a m o s t a n o w i e n i a. Tak jest! Rzym nie dopuszcza do wyborów ani biskupów, ani kapłanów! Lecz jeśli najwyższem dobrem doczesnem, jakie nam może dać ziemska instytucja, jest ład, spokój, zgoda zrzeszonych, to czyż wykluczając ten wielki akt samostanowienia, wybory, Kościół źle postępuje? Wątpimy o tem śmiało, skorośmy przeżyli bodaj raz piekło przedwyborcze i skojarzone z niem istne orgje zawziętych walk i pasowania się ludzkich namiętności. Dalej wszelkie wybory o tyle mają sens, o ile na odpowiednie stanowisko zostanie wybrany odpowiedni kandydat. Lecz czyż o odpowiednich zaletach, przymiotach, o wymaganem fachowem uzdolnieniu n. p biskupa w danych warunkach trafny sąd może wydać farmaceuta, kołodziej lub stróż kamieniczny?

3-o Rzym niweczy wszelki s a m o r z ą d organów prowincjonalnych!

I temu zarzutowi zadaje kłam rzeczywistość. W Kościele katolickim biskupi nie są wprawdzie samodzierżcami w udzielnych, luźnie poklejonych książtewkach, ale nie są też prostymi tylko zastępcami papieża, usuwalnymi na każde jego skinienie, jak usuwalnymi są starostowie, gubernatorzy, »delegaci« prowincjonalni, zmieniający się, jak rękawiczki, wedle »pogody« i ministerjalnego »kursu«. Choć więc władza biskupów płynie z rąk papieskich, to jednak biskupi są prawdziwymi

rządcami na swem terytorjum i z niego nic ich wyważyć nie może, chyba kanoniczny proces. Nadto historja wymownie świadczy, że jedyną ostoją, tarczą i puklerzem władzy biskupiej był właśnie Rzym, ten osławiony »moloch«, chłonący wszelkie samorządy. Wschodni cezaropapizm, dzieje angielskiego kościoła dostarczają wielu wymownych sylwetek. A w państwie byłego wielkiego Cara czemże byli biskupi, czy nie »posłusznymi« urzędnikami, jak i inni czynownicy? Czy do rzadkości należeli tacy, co w 5 latach siedzieli na 6 stolicach?

4-o Ale ten rzymski strychulec jest nieznośny! Wszystko tu musi iść pod jeden sznur, dla rozmaitości niema tu miejsca!

By zarzut odeprzeć, wystarczy rzucić okiem na różne liturgje, obrządki kościoła wschodniego, które Kościół katolicki nie tylko toleruje, ale o ich zachowanie się troszczy. Któż więcej dbał o tę rozmaitość w jędności, o tę barwną szatę Kościoła, niż rzymscy papieże?! Gdyby w Rzymie nurtowała tendencja ściągania, równania wszystkich prowincjonalnych odrębności do jednej linji, to pocóż Benedykt XV utworzył osobną kongregację dla obrzędów wschodnich i instytut orjentalny? Czemuż pod sznur nowego prawa kanonicznego nie podciągnął kościołów zjednoczonych?

5-o Rzym w zarodku dusi swobodę naukowego badania.

Tak! o ile nas jej pozbawia samo objawienie Boże. Chyba Bóg objawiający tajniki swego życia i dzieł swoich, domagając się wiary, nie narzuca kajdan naszemu rozumowi? Jeśli tak, to nie nakłada ich i Kościół katolicki, który niczem innem nie jest, jak tylko wiernym stróżem i nieomylnym tłumaczem objawienia Bożego.

6-o Kościół katolicki jest największym wrogiem religji, bo religja z pojęcia swego wiedzie do jak najściślejszego, bezpośredniego połączenia duszy z Bogiem; tymczasem Kościół katolicki stawia między duszą a Bogiem wysoki mur, potężną tamę sakramentalnych praktyk i dewocyj.

O, dziwna ignorancjo! olśniona nimbem uczoności. Kto taki zarzut stawia, ten patrzy jedynie na zewnątrzną szatę religijnego życia Kościoła, a o jego wewnętrznym duchu nie ma nawet słabego wyobrażenia. Do jakich wyżyn wznosi się katolickie zjednoczenie z Bogiem, widać jasno z życia Świętych. A właśnie na te szczyty wzbili się na skrzydłach sakramentalnej łaski.

Ks. Wł. Lohn.

J. Huby S. J.: La conversion. Paris, Beauchesne, 1919, str. 123.

Jak na początku 19 stulecia powróciło na łono Kościoła katolickiego wielu wybitnych ludzi n. p. Newman, Faber, Manning, Stolberg, Brentano, Goerres, Ratisbonne, Lacordaire, Gratry, Veuillot, Olivaint, tak również u schyłku tego stulecia i na początku 20 wieku do łódki Piotrowej wrócił niejeden zbłąkany żeglarz. Wielu z nich, idąc śladami Augustyna, Newmana, Veuillota, Gratry'ego, chwyciło za pióro, by uwielbić dziwnie miłosierną prawicę Bożą, która ich różnemi krzywi-

znami, wśród skał i raf wiodła do przystani. Z zapałem iście apostolskim, szczerze, nieraz naiwnie, kreślą ci wybrańcy Bożych zmiłowań swe przeżycia i męki serdeczne, pragnąc przez ich opis podać dłoń przyjacielską swej braci zbłąkanej, usiłując jej wskazać jasny, bity gościniec, wiodący do Rzymu.

Te mniej więcej pobudki dały początek wielu pamiętnikom, »wyznaniom« konwertytów z ostatnich lat, że wspomnę Fr. Coppéego »La bonne Souffrance«, J. Joergensena: »Le Néant et la vie«, »Le Livre de la route«, A. Rettégo: »Du diable à Dieu«, A. Rüville'a: »Zurück zur hl. Kirche«, R. Hugh-Bensona: »Les Confessions d'un converti«, M. Anstice Baker: »Vers la maison de lumière«, H. Chapmana »L'âme anglicane«, H. D'Arrasa: »Une Anglaise convertie«, E. Abt'a: »Une conversion de protestants par la S. Eucharistie«, E. Psichari'ego: »Le voyage du Centurion«, P. Van der Meer de Walcheren'a: »Journal d'un converti«, M. Mink-Jullien'a: »Les voies de Dieu«, W. Camelliego: »Du Socialisme au sacerdoce«, L. Roure'a: »Un chrétien«, Bessières'a: »Ames nouvelles«, »De l'art à la foi: Jean Thorel«, L. Lenoira: »Deux Marsouins de 1915«, »La Confession d'un Juif«, Ronalda Knoxa: »A Spiritual Aeneid«. A dziełko O. Huby'ego czy to może pamiętniki lub życiorys konwertyty, w rodzaju D. Rosenthala »Convertitenbilder aus dem 19 Jahrhundert« lub Thureau-Dangin'a: »La Renaissance catholique en Angleterre«, albo G. Goremana »Converts to Rome«? Może Czcigodny redaktor Études'ów analizuje w swej »Conversion« psychologiczny proces nawróceń, jak go świetnie naszkicował O. T. Mainage O. P. w swej »Psychologie de la Conversion«? Lub może z tych dziwnych a licznych nawróceń chce dowieść boskiego pochodzenia katolickiej wiary, jak n. p. Baunard, »La Foi et ses victoires dans le siècle présent«? Bynajmniej! Cel autora jest inny. Wobec bujnie rozwijającej się w naszem stuleciu gałęzi »Wyznań« zajął Ks. Huby stanowisko bystrego obserwatora i w jednym rzucie oka, jakby na rewji, obejmuje całość, wskazuje, na co przedewszystkiem przy ich czytaniu warto baczyć i jakie wogóle dla teologji ma znaczenie ta nowa, egzotyczna latorośl piśmiennictwa religijnego.

Wyznania konwertytów ukazują nam w jasnem świetle genezę aktu wiary, rolę łaski i współpracy ludzkiej. Nadto niezrównane mistrzostwo prawicy Bożej, która tak sprawnie wygrywa przeróżne skłonności, upodobania współczesnej duszy, łagodnie, słodko ale i gwałtownie szarpie strunami tej harfy dopóty, dopóki w jej łonie nie zadźwięczy hymn wiary. W tem rodzeniu się aktu wiary posługuje się P. Bóg nieraz środkami po ludzku najnieodpowiedniejszemi, tak n. p. dla D. Williams'a piorunująca tyrada pastora anglikańskiego przeciw możliwości przeistoczenia była bodźcem do nawrócnia. »Plain Reasons against the joining the church of Rom«, ten zwarty szereg zarzutów Dra Littledale'a, szarpiącego katolicki Kościół sprowadził W. O Sutcliffe'a na łono katolicyzmu. Najkompletniejsza ateuszka i socjalistka Mink-Jullien odzyskuje wiarę przy wirujących stolikach na seansie spirytystycznym.

Zeznania konwertytów ujawniają nieodzowną konieczność łaski w genezie wiary. Wszystkie wywody, rozprawy, wszelkie wysiłki, dociekania nic tu nie znaczą bez nadprzyrodzonego tchnienia Ducha św. Jeden błysk, jedna iskierka światła Bożego opromienia wszystko: pierzchają cienie, mroki i groźne mamidła. Taki n. p. benedyktyn Dom John Chapman przewertował, jeszcze jako anglikanin, od deski do deski św. Tomasza, Scota, Suareza, Vasqueza, Mansiego, Hefelego, a jednak duszę jego zalegała nieprzejrzana noc zwątpienia i duchowej niemocy, aż wreszcie wionął Duch Pański i odnowione jest oblicze ziemi.

Dla apologetów są wyznania, że tak powiem, wystawą duszy współczesnej. W ich świetle poznaje teolog jej aspiracje, skłonności, upodobania, poznaje trudności, piętrzące się przed heretykiem, czy schyzmatykiem, uczy się oceniać siłę psychologiczną różnych dowodów.

Wreszcie te liczne a bardzo dziwne nawrócenia ujawniają świętość, niespożytość i wieczną młodość Kościoła katolickiego, który nie zna zmarszczki ani skazy.

»La conversion« ks. Huby'ego, aczkolwiek nie odznacza się ani artyzmem układu, ani jasno przeprowadzaną jednolitą myślą, to jednak zawiera tyle trafnych spostrzeżeń i uwag, że po uważnem ich przeczytaniu dojdzie każdy do wniosku, iż dziwnym jest Bóg w dziełach swoich.

Ks. Wł. Lohn.

Życie duchowne.

R. Plus S. J.: Dieu en nous. Lettre-Préface du R. P. Foch. 2 édit. Toulouse, 1919, str. 159.

Zjednoczenie z Bogiem to ośrodek, ognisko doskonałości chrześcijańskiej. Choć o nią usilnie się staramy, to jednak na ogół stosunek nasz do Boga jest zimny, sztywny, oficjalny. W modlitwie wyobrażamy Go sobie hen... w bezkresnej oddali, za lazurami gwieździstego nieba. Dzieli nas od Jego serca jakaś wysoka ściana z granitowych złomów. Chrystus Pan pragnął ten mur zwalić. Dlatego tylekroć oświadczał, iż nie jesteśmy niewolnikami, sługami, ale Jego domownikami i przyjaciółmi. Czemuż jednak w naszym stosunku do Boga niema tej dziecięcej, przyjacielskiej zażyłości i poufałości? Bo zażyłość i poufałość opiera się na bezpośredniej obecności Boga w sercu naszem, a my o tej obecności tak mało pamiętamy.

Dla żydowina był już Bóg bliskim, gdyż Jahve w szczególniejszy sposób mieszkał w świątyni Jerozolimskiej. Ta obecność napawała Izraela szczęściem i dumą. Dla proroków kresem tęsknot i pragnień był w półcieniu widziany Mesjasz, Bóg-Człowiek, okolony wieńcem ludu, kładącym swe święte dłonie na jasne główki pacholąt. Izajasza napawał radością sam dzień, w którym »Słowo« stanie się ciałem, a szczęście jego nie miałoby granic, gdyby był mógł, jak Jan św. złożyć swe skronie na Boskiej piersi Zbawiciela. Istotnie bardzo ściśle zjednoczył się Bóg

z ludźmi, gdy druga Osoba Boska złączyła się hypostatycznie z naturą ludzką. Jeszcze ściślejsze węzły kojarzyły Chrystusa z Marją, gdy w Jej przeczystem łonie ubierał się w kapłańskie szaty ten najwyższy ofiarnik według obrządku Melchizedecha, gdy jako dziecię tulił się do Jej piersi, gdy Ją zaszczycał dziecięcemi pieszczotami. Atoli to tak ścisłe, lecz poniekąd przejściowo-czasowe zjednoczenie nie zaspokoiło tego serca, którego najwyższą rozkoszą jest mieszkać między synami człowieczymi. Dlatego Chrystus na stałe, aż do skończenia świata pozostał na ziemi pod postacią chleba i mieszka zarówno w bogatych, w niebo strzelających świątyniach, jak i w ubogich, z sitowia licho skleconych lepiankach. Dlatego codziennie w osłonach eucharystycznych »zagrody nasze widzieć przychodzi« i w Komunji św. do dusz wstępuje.

Przechodząc te różne sposoby obecności Boga wśród nas, czyż już wyczerpaliśmy wszystkie jej odmiany? Zapytani na katechiźmie: gdzie jest jeszcze Bóg w szczególniejszy sposób? szczebiotaliśmy śmiało: Bóg nadto mieszka rzeczywiście, prawdziwie w duszy człowieka sprawiedliwego. Przez co? Przez łaskę poświęcającą. Króciuchna to odpowiedź, ale jakież w sobie kryje głębie tajemnic! Chrystus Pan miał je na myśli, gdy do Samarytanki mówił: »O si scires donum Dei«!! O! gdyby ludzie znali tę wielką tajemnicę, zakrytą przed narody, objawioną przez Ewangelję« (I. Kolos. 1. 26), toby Boga nie szukali w ogrodzie świata, jak ongi Magdalena Zmartwychwstałego, ale na dnie swego serca. Niestety! Wielu lęka się tej prawdy, nie śmie jej spojrzeć w oczy. W tym zaś lęku pokutuje może dalekie echo Chrystusowego »Noli me tangere«. Nie może im się w głowie pomieścić: w jaki sposób Trójca Przenajśw. mogłaby mieszkać w sercu biednego człowieka. Zdaje im się, że te wszystkie twierdzenia o rzeczywistem zjednoczeniu się duszy z Bogiem przez łaskę poświęcającą są chyba krasomówczemi przenośniami, uniesieniami dusz wybranych. Tymczasem to prawda tak pewna jak słońce na niebie. Albowiem Chrystus Pan skierował był te słowa do wszystkich ludzi, wszystkich bez wyjątku: Jeśli kto mię miłuje, będzie przestrzegał nauki mojej, a Ojciec mój umiłuje Go i do niego przyjdziemy i mieszkanie u niego założymy« (Jan. 14, 23). Św. Paweł często zawraca w swych listach do tej prawdy, na niej jako na pewniku niewzruszonym, dobrze znanym buduje wnioski, z niej czerpie pobudki. A więc to rzeczywistość. Trójca Przenajśw. mieszka w nas przez łaskę tak realnie, jak realnie jest Chrystus w Najśw. Sakramencie.

Przez łaskę poświęcającą stajemy się świątynią Ducha św. »Czyli nie wiecie, iż członki wasze są mieszkaniem Ducha św.«? Przez nią jesteśmy według św. Augustyna niebem. »Portando Deum coeli, coelum sumus« (In Psal. 38). Chrześcijanin w łasce to drugi Chrystus. Łaska poświęcająca, ta »wielka karta« nadprzyrodzonych tytułów i zaszczytów, zadzierżgnęła między duszą a Bogiem węzły rodzinne. Przez nią Bóg naszym Ojcem, my Jego dziećmi, Chrystus rodzonym, serdecznym bratem, Duch św. słodkim gościem, oblubieńcem. Stąd greccy Ojcowie nazywają duszę sprawiedliwego: »spirita sancta«. O! gdybyśmy o tej pra-

wdzie pamiętali, wówczas z niej wytrysnąłby dla nas potężny zdrój siły, pociechy nadprzyrodzonej!

Oto bardzo pobieżny i niedokładny szkic dziełka O. Plus. Nie jest ono rozprawą dogmatyczną, gdyż autorowi nie chodzi o udowodnienie istnienia łaski poświęcającej, ani o zgłębienie jej istoty, ani o wytłumaczenie natury tego dziwnego zjednoczenia duszy z Bogiem, tego tajemniczego mieszkania w nas Ducha Przenajśw. przez łaskę poświęcającą. »Dieu en nous« nie jest również arcydziełem ascetyczno-mistycznem, gdyż z tej wyżyny strąca je ton nadto krasomówczy, nastrój i koloryt prowincjonalny, zbyt francuski, (co się tłumaczy szlachetnym zamiarem ożywienia i pogłębienia ducha religijnego przedewszystkiem we Francji). Ale mimo to dziełko O. Plus'a jest wskaźnikiem, czy wzorem, jak z dogmatów i tajemnic wiary można i trzeba korzystać, jak z nich czerpać siłę, zapał, pociechę, słowem jak ascezę trzeba i można budować na niezłomnym granicie dogmatu. Autor pisze żywo, barwnie, porywająco. Czyta się go jednym tchem, i z żalem rozstaje się z jego książką, widać, że do serc trafia, skoro w przeciągu roku rozkupiono dwa nakłady. »Dieu en nous« polecamy usilnie inteligencji, sodalicjom, gdyż to dziełko walnie się może przyczynić do odrodzenia życia religijnego.

Ks. Wł. Lohn.

V. Cathrein S. J.: Die christliche Demut. Freiburg, 1919, Herder str. 8, 188.

Znany moralista niemiecki podaje nam nie rozprawkę ascetyczną, lecz apologję tej zasadniczej cnoty chrześcijańskiej, jaką jest pokora. Pokora potrzebuje takiej apologji, bo inteligencja naszego wieku, nie wyjąwszy także licznych katolików, ma o niej niedostateczne i wprost wypaczone pojęcie, zwłaszcza pod wpływem autonomicznej etyki Kanta i filozofji Nietzschego, który pokorę zohydza jako cechę »moralności niewolników«. Tymczasem pokora stanowi najcudniejszy kwiat religji wogóle a w szczególności religji chrześcijańskiej, która bez zrozumienia pokory musi pozostać dla nowoczesnego człowieka zamkniętą księgą. Niezależna moralność czyli etyka, obywająca się bez religji, nie dostarcza żadnych podstaw pokory i przez to najbardziej ujawnia swą słabość i nieużyteczność.

Po treściwym poglądzie na nowożytne racjonalistyczne zapatrywania na pokorę, określa Cathrein jasno pojęcie i podstawy pokory, objaśnia ją na tle nauki i życia Chrystusa i wielkich apostołów Piotra i Pawła, uzasadnia jej konieczność i tłumaczy jej praktyki w stosunku do Boga i bliźnich. Pismo św. i najcelniejsze zdania Ojców Kościoła w danym przedmiocie znalazły obfite uwzględnienie. Rozdział »Pokora a miłość krzyża« najgłębiej oświetla wzniosłość tej nieodzownej cnoty Świętych.

Książka Cathreina zwraca się w pierwszym rzędzie do rozumu, gdyż dąży do usunięcia przesądów wśród inteligencji odnośnie do pokory, ale temsamem pogłębia także ascetyczne pojęcie pokory i zachęca do jej praktykowania. Za gruntowność w opracowaniu ręczy już samo nazwisko zasłużonego pisarza.

Ks. E. M.

Karl Haggeney l. 9: Im Heerbann des Priesterkönigs. Betrachtungen zur Weckung und Förderung des priesterlichen Geistes im Anschluss an das Evangelium des hl. Lukas. VI u. VII Teil: Ehret Gott und seine Heiligen. Herder, Fryburg, 1918.

Na tle ewangelji św. Łukasza podał nam Haggeney serję oryginalnych i gruntownych rozmyślań kapłańskich, które obok kształcenia ducha mają posłużyć zarazem do pogłębienia wiedzy teologicznej przez sumienne komentowanie Pisma św. oraz obfite wyzyskanie egzegezy Ojców Kościoła i jasne wyjaśnienie dogmatu. Metoda autora, trzymającego się ściśle ewangelicznego tekstu św. Łukasza, nie pozwoliła na uwzględnienie w toku tych rozmyślań całego szeregu uroczystości kościelnych i wspomnień Świętych Pańskich, co jednak dla kapłanów jest bardzo pożądanem. Brakowi temu mają zaradzić ostatnie dwa tomy dzieła p. t. Ehret Gott und seine Heiligen! Znajdujemy w nich gruntownie opracowane rozmyślania na święta Pańskie, na uroczyste dnie Matki Najśw. i najwybitniejszych świętych apostołów, Ojców i doktorów Kościoła, wielkich zakonodawców i powszechnie czczonych patronów.

Rozmyślania na święta Pańskie i Najśw. Marji Panny oparł autor na Piśmie św. i dogmatyce, rozmyślania zaś o Świętych na dokładnych materjałach historycznych, przedewszystkiem zaczerpniętych z dzieł bolandystów. Przytem Haggeney sprowadza szczegóły z życia Świętych do jednej charakterystycznej ich cnoty lub cechy ich działalności, co z praktycznych względów ascezy bardzo jest korzystnem. Poszczególne punkta, składające się na jedno rozmyślanie, są dość obszerne i stanowią odrębne dla siebie całości, tak że mogą służyć za oddzielne nawet medytacje. Zastosowania praktyczne są obfite i głębsze, zawsze dostrojone do potrzeb kapłańskich.

Ks. E. M.

J. J. Laux: Der hl. Kolumban, sein Leben und seine Schriften. Freiburg, 1919, Herder, str. 16, 290.
Helena Riesch: Die heilige Hildegard von Bingen. Freiburg 1918, Herder, str. 6 i 160.

1. Jakkolwiek nie brakło dotąd naukowych prac o pismach i życiu św. Kolumbana, nie mieliśmy jednak dotąd krytycznej i wyczerpującej monografji tego »króla mnichów«, jak potomność go nazwała. Opracował ją dopiero z okazji 1300-letniej rocznicy śmierci Kolumbana (615) Jan Józef Laux, kapłan z Kongregacji Ducha św., najpierw w języku angielskim (Filadelfja 1914) a później w języku niemieckim pod wyżej wy-

mienionym tytułem. Praca nie była łatwą, bo trzeba było oprzeć ją na szerokiem tle historji kultury zachodniej VI i VII w. na ziemiach od północnej Irlandji aż do południowej Lombardji. Tak szeroko bowiem rozciągała się działalność wędrownego apostoła Kolumbana i jego towarzyszów. Autor, obeznany dobrze z metodą historyczną, odtwarza przed nami plastyczne obrazy staroiryjskich klasztorów w Cluain-Inis i Bangor, gdzie pod kierownictwem słynnego Comgalla Kolumban otrzymuje zakonne i apostolskie swe wyszkolenie, następnie zaś rozwija przed czytelnikiem obraz działalności Kolumbana i jego dwunastu towarzyszów w Galji, Alemanji i Lombardji, kreśląc barwną historję założonych przez nich klasztorów w Annegray, Luxeuil, Fontaine, Bregenz, St. Gallen, Bobbio.

Przez umiejętne wykorzystanie pism i listów Kolumbana wnosi w tok faktów pożądaną rozmaitość i psychologiczne pogłębienie postaci tego wybitnego prawodawcy i odnowiciela życia zakonnego, głosiciela i obrońcy ewangelji, apostoła sakramentu pokuty, nieustraszonego szermierza w walce przeciw niemoralności możnych, wreszcie opiekuna i miłośnika pracy pokojowej wśród szczęku oręża. Poznajemy z tych kart zbawienny wpływ kulturalny zakonów na oświatę i obyczajność średniowiecza, tudzież ideał ascetyczny ówczesnych mnichów, łączący wzniosłość zasad z surowością pokutniczego i pracowitego życia. Nie zamilcza też autor ujemnych rysów gwałtownego i gorącego temperamentu Kolumbana, który niekiedy porywa go do zbytniej śmiałości wobec prawowitej władzy kościelnej, choć w najczystszej bez wątpienia intencji, np. w sporze o dzień obchodzenia Wielkiejnocy i o t. zw. trzy rozdziały (tria capitula) przeciw papieżowi Wigiljuszowi.

Sumienność w badaniu źródeł i dokładność historyczna na tle obszernej literatury stanowią szczególną zaletę dzieła obok przejrzystości w układzie i potoczystego i barwnego języka i stylu. Sześć pięknych rycin na papierze kredowym, przeważnie reprodukcyj starych rękopisów z V—IX wieku, zdobi pracowite, jubileuszowe dzieło, drukowane jednak na papierze wo ennym.

2. Prawdziwą perłą w zbiorze monografij p. tyt. »Frauenbilder« obdarzyła nas znana już autorka życiorysu św. Katarzyny z Sieny, Helena Riesch. Z pożółkłych pergaminów i starych ksiąg wywołuje ona z prawdziwem mistrzowstwem cudną i żywą postać Hildegardy, tej jedynej w swym rodzaju zakonnicy średniowiecza, która łączyła w sobie wysoki dar mistycznego widzenia z zadziwiającą i wszechstronną nauką a klasztorną samotność z rozległą pisarską i misyjną działalnością. W jej korespondencji spotykamy się z nazwiskami papieży i cesarzy, kardynałów, opatów, książąt i uczonych, którzy u niej szukali porady, zarówno w zagadnieniach teologicznych jak w praktycznych problemach życia. Choć żadnych nie pobierała nauk poza cichym klasztorem na górze św. Dyzyboda, do którego oddano ją jako 8-letnią dziewczynkę, zasłynęła szeroko jako poetka i kompozytorka a w zakresie nauk świeckich jako »twórczyni naukowej historji naturalnej« i pierwsza pisząca o swym fachu lekarka. Jej pisma, owiane światłem rozumu, wiary i mistycznych wizyj tudzież głębokością i ciepłem uczuć, zdradzają wielką znajomość

duszy ludzkiej i niezwykłą tężyznę ducha, stojącą w dziwnym kontraście do jej delikatnego a od wczesnej młodości chorowitego ciała. Autorka umiała w ciepłych barwach i wzniosłym, miejscami poetycznym stylem odtworzyć przed oczyma czytelnika tę niezwykłą kobietę, która tak wszechstronnie się rozwinęła na gruncie życia klasztornego, stając się przez to żywą jego obroną przeciw niesprawiedliwym zarzutom ciemnoty i zacofania. Zdobią książkę reprodukcje dwóch miniatur z kodeksu Scivias Hildegardy.

Ks. E. M.

Alban Stolz und Friedrich von Drais, Eduard Steinbrück, Augustin Arndt, Selma von Seydlitz, Klotilde von Werthern. Herausgegeben von Dr. Julius Mayer, Freiburg 1919, Herder str. 8 i 316.
M. Regina Most: Geh hin und künde! Freiburg 1919, Herder, 9—12 wyd. str. 12 i 224.

Biografje konwertytów ze sfer inteligencji zawsze posiadają szczególny urok. Odsłaniają bowiem tęsknotę szlachetnych serc za najwyższą prawdą a zarazem przedziwne łaski, któremi Bóg odpowiada na każdy odruch ich duszy w poszukiwaniu najświętszej Jego woli. Owszem uwydatnia się w dziejach tych dusz wybranych spokojne a przytem skuteczne działanie łaski, która uprzedza dobre chęci człowieka według niepojętej jakiejś a nieskończenie miłościwej Opatrzności. Nie teorje, ale namacalne życie łaski przemawia do nas z tych kart, będących cudną a rzeczywistą ilustracją do przypowieści o »ukrytej perle« lub »skarbie w roli«. Wierzącym lektura tych nawróceń uświadamia szczęście, jakie posiadają w wierze św., wątpiącym daje pobudkę do utwierdzenia się w wierze, a dla odstępców lub urodzonych w herezji stanowi silny bodziec do rewizji poglądów i powrotu na łono prawdy. Wybitnie odznaczają się temi zaletami wyżej wymienione książki, którym poświęcić chcemy kilka następujących uwag.

1. Pierwsze dzieło stanowi drugą część kilkutomowego zbioru pod tytułem: Alban Stolz, Fügung und Führung. Już w czwartem i piątem wydaniu wybiera się ta książka w świat. To samo już mówi o niezwykłej wartości tego dzieła. Przed oczyma naszemi przesuwają się sylwetki rozmaitych osobistości, skreślone przeważnie na tle własnych ich przeżyć i zeznań. Różnemi drogami dążą one do tego samego celu, do znalezienia prawdy i spokoju serca, a znajdują te nieocenione skarby dzięki pismom i korespondencji niezwykłego znawcy dusz, Albana Stolza.

Najbardziej budzi naszą sympatję sędziwy baron Drais, Badeńczyk. Dopiero po śmierci swej zacnej małżonki i gorliwej katoliczki zdradza on swą przychylność do katolickiego Kościoła, który nie pozostawia człowieka samemu sobie w swych wierzeniach i poglądach, jak to czyni protestantyzm, lecz daje mu niezachwianą pewność wiary i niezamąconą pociechę w godzinie śmierci. W 63 roku życia powraca więc na łono powszechnego Kościoła, a cztery lata później puka do furty klasztornej w Beuron, gdzie znajduje mimo sędziwego wieku przyjęcie, aby jeszcze przez 19 lat być wzorem dla wszystkich przez ujmującą swą pogodę

ducha, swą budującą sumienność w zachowaniu reguł i życia wspólnego a zwłaszcza swą usłużną i wyrozumiałą miłość ku wszystkim.

Najobszerniejszą biografję poświęcił wydawca wybitnemu malarzowi-artyście, jakim był profesor i zwyczajny członek królewskiej Akademji Sztuk pięknych w Berlinie, Edward Steinbrück. Liczne jego listy do Albana Stolza, a zwłaszcza list XIII, zawierający historję wewnętrznego życia tej szczerej i pięknej duszy, pozwalają na dokładne zrozumienie całego psychologicznego rozwoju nawrócenia tego męża, który z protestantyzmu przeszedłszy na katolicyzm, pozostał już wiernym Bogu i odznaczył się wybitnie w życiu duchownem.

Podczas gdy Edward Steinbrück w 57 roku życia znalazł drogę do Kościoła katolickiego, młodzieńczy protestancki teolog Augustyn Arndt już w 23 roku życia przejrzał, że prawda nie tkwi w sprzecznych często z sobą poglądach Lutra, ale w jednolitej i konsekwentnej nauce Kościoła katolickiego. Szlachetne i gorące pragnienie służenia prawdzie skłoniło go do jednoczesnej prośby o przyjęcie na łono katolickiego kościoła i do książęco-biskupiego konwiktu w Wrocławiu. Niedługo jednak mógł się cieszyć pobytem w konwikcie, gdyż kulturkampf zmusił go wraz z jego kolegami do opuszczenia tej kapłańskiej uczelni. Tymczasem dojrzało jego powołanie zakonne, stąd też w rok po zamknięciu konwiktu Wrocławskiego spotykamy go jako nowicjusza Towarzystwa Jezusowego w Starejwsi pod Brzozowem, gdzie kładzie fundamenty pod pracowite swe życie naukowe, któremu dotąd jest oddany w prowincji polskiej tegoż Towarzystwa.

Ostatnie dwie biografje kreślą nam wpływ Albana Stolza na dwie postacie z arystokratycznego świata kobiecego, równie szlachetne jak pełne prostoty i wytrwałości w poszukiwaniu prawdy. Siostra Lojola Franciszkanka występuje w tem ostatniem wydaniu książki po raz pierwszy z swem nazwiskiem rodowem jako Selma Seydlitz, skoro od wiosny r. 1918 przeniosła się do wieczności. Druga, Klotilda Werthern, ur. Seebach, już w r. 1909 zakończyła ofiarne swe życie, mając lat 69, z których 31 spędziła w radosnem posiadaniu katolickiej prawdy i w poświęcaniu się dla bliźnich.

2. Niebywałem wprost powodzeniem cieszy się autobiografja młodej konwertytki, Heleny Most, która skreśliła swą »historję o drogach ludzkich i bożych« z polecenia przełożonych z wytężeniem ostatka swych sił na łożu przedśmiertnem. Doprowadziła dzieje swej duszy do r. 1905, gdy śmierć wytrąciła jej pióro z ręki dnia 4 listopada 1913. W ciągu jednego roku «Geh hin und künde! doczekało się osiem wydań, tak iż nakładca obecnie wysłał w świat odrazu cztery wydania. Czemu przypisać należy takie wzięcie tych młodzieńczych wspomnień? Helena to prawdziwe dziecko XX wieku, przedwcześnie dojrzałe i wysoce uzdolnione, przed którem już w latach szkolnych stanęły najgłębsze problemy poglądu na świat i życie. Trzynastoletnie dziewczę porzuca z całą świadomością swą wiarę protestancką, która nie zdołała zadowolić jej spragnionej za miłością duszy, wchłania w siebie nowoczesne powieści i dramaty Hauptmanna, Sudermanna, Ibsena i innych, przejmuje się odrazą

a nawet nienawiścią Chrystusa, nauczyciela wstrętnej jej pokory, stwarza sobie jakąś religję naturalną, schodzi na drogę nowożytnego pogaństwa. Atoli nie wspomnienia owych żywych wrażeń wśród otoczenia wielkiego miasta stanowią atrakcję tej autobiografji, lecz wijąca się poprzez te manowce duszy nić zwycięskiej łaski, która powoli i stopniowo podbija w gruncie szlachetne serce i prowadzi je przez mroki i światła do pełnego dnia wiary i powołania zakonnego. Działanie tej łaski jest wewnętrzne, niedostrzegalne dla oka ludzkiego, ale natchniony genjusz poetki umiał jej mistrzowskie kierownictwo tak wymownie »ogłosić« światu, że czyta się jej wyznania jak najbardziej zajmującą powieść. Wszystkie nowoczesne zarzuty przeciw wierze i pobożności katolickiej znajdują w tych kartach rozwiązanie praktyczne, wspaniałą w swym rodzaju apologję, przekonywującą swą życiową prawdą i chwytającą za serce. Kryształowa szczerość z jaką odsłania siostra Marja Regina swe wnętrze w owej epoce walki o posiadanie pełnej prawdy, a więcej jeszcze śmiały i wzniosły wzlot jej oświeconej i Bogu wyłącznie poświęconej duszy ku niezgłębionym a tak prostym katechizmowym prawdom o Nieskończonym i miłosiernym Majestacie Bożym nadają dziełu cechę »wyznań nowoczesnego Augustyna«, na których namaszczenie i szczęście, płynące z niebios, wycisnęły swe cudne piętno. Poświęcenie się Heleny na służbę Bogu w zakonie SS. Dominikanek bynajmniej nie zgasiło w niej iskry poezji, owszem jej lutnia opiewająca odtąd najwznioślejszy przedmiot, Boga, i Jego oddziaływanie na duszę, zawdzięczała pełniejszemi akordami uwielbienia i miłości najwyższego dobra. Wskazują na to zbiory jej poezyj: »Mein Lied dem Herrn« i »Sonne, ringe dich durch«!

Możemy więc gorąco polecić tę piękną książkę naszym inteligentnym a tak często płochym i obojętnym we wierze pannom jak również wszystkim wogóle duszom, spragnionym prawdy wśród wewnętrznej rozterki. Będzie ona dla nich »głosicielką«, jak wielkie rzeczy działa Bóg w duszach, które Go szczerze szukają.

Wydanie ostatnie zostało pomnożone zarysem życia zakonnego siostry Reginy od 1905 do jej cichej i błogiej śmierci. Czytelnicy pierwszych wydań pragnęli się zapoznać z dalszemi dziejami tej uprzywilejowanej duszy. Spełniła ich życzenie jedna z jej sióstr zakonnych i wywiązała się z tego zadania wybornie, jakkolwiek jej pióro nie dorównywa dziękczynnej pieśni samej konwertytki, poetki z łaski Bożej.

Ks. Ernest Matzel.

Rzeczy współczesne.

Th. Mainage: La Pologne, puissance catholique (artykuł w Revue des jeunes).

O wzmożeniu się życia i ruchu katolickiego we Francji mówi nam wiele zjawisk w życiu społecznem i umysłowem tego kraju. Wojna przeorała dusze: w niektórych pogłębiła pierwiastek religijny, w innych obu-

dziła go z uśpienia. Wymownie mówi o tem powojenne piśmiennictwo. Mamy przed sobą kilka numerów dwutygodnika »Revue des jeunes«, pisma o kierunku wybitnie katolickim. Mowa w nich o przyszłości arcydzieła architektonicznego i skarbnicy pamiątek, jakiem jest Mont St. Michel; inny autor zestawia dwie postacie, bliskie sobie krwią, a tak dalekie ewolucją duszy: Ernesta Renan'a i wnuka jego, Ernesta Psichari. W innym numerze czytamy ciekawy artykuł o warunkach prawdziwego pokoju, jeszcze w innym o pracy misjonarzy afrykańskich, o stosunkach w Irlandji i t. p. Dla nas zatrzymać się godzi najdłużej przy rozważaniach o Polsce, jako o państwie katolickiem. Mówią nam one, czego spodziewa się po niej katolicyzm Zachodu, widzący w Polsce przedmurze pomiędzy schizmatycką Rosją, a protestanckiemi Niemcami.

Kwestję katolicką w Polsce rozważać trzeba z trojakiego względu: Z punktu widzenia politycznego nasuwa się pytanie: jaką będzie rola Polski w religijnej dyplomacji europejskiej? — Pod względem społecznym: Jakie usługi odda Polska socjalnemu katolicyzmowi? a nakoniec: w jaki sposób rozszerzy Polska u siebie i jak spotęguje swe życie religijne? Co do pierwszego punktu, posłannictwo Polski jest pierwszorzędne. Naród ten był, jest i będzie głęboko katolickim — wiara nierozerwalnie w nim spojona w narodowem poczuciu. Padły dziś wrogie okopy, któremi zaborcze potęgi oddzielić chciały Polskę od Watykanu — dziś będzie mogła i będzie chciała spełnić swoją misję katolicką na Wschodzie Europy. I oto powód, dla którego katolicy francuscy pragną, by Polska stała się mocarstwem silnem i wpływowem — pragną tego dla dobra Kościoła, pragną i dla siebie, czując w niej szczerą aliantkę. »Synowie św. Jadwigi i synowie św. Klotyldy spotkają się przy tronie papieskim i razem przedstawiać będą potrzeby bratnich wiarą narodów«.

Pod względem społecznym, Polska jest naturalną obroną Europy przed rozkładowemi prądami bolszewizmu, strażą, czuwającą u europejskich rubieży. W XVII w. oręż Sobieskiego stawił zwycięski opór inwazji muzułmańskiej — w XX stuleciu Polska, wskrzeszona przez Opatrzność, w jednej z najtragiczniejszych chwil dziejów świata, stawia czoło anarchji socjalnej, która chce zalać Europę, zniszczyć ład społeczny i wiekową kulturę. Jest ona i rycerzem i apostołem katolicyzmu społecznego i w tym charakterze wita ją Francja, jako bojowniczkę o ład i zdrowie Europy. Aby nią była, musi Polska czuwać i pracować nad swojem własnem życiem wewnętrznem. Lud jej jest szczerze wierzący, ale trzeba, by wiara ta była więcej oświeconą i pogłębianą przez światłych, mądrych kapłanów. Zła wola Rosji nie pomagała do zwiększania ich szeregów, dlatego stwierdzić trzeba dużą ignorancję religijną u ludu polskiego, nawet u warstw wykształconych, pomimo ogólnego przywiązania do Kościoła i wiary. Polsce potrzeba elity religijnej, zdolnej do pokierowania jej duchowym rozwojem. Praca to ogromna, bo organizowania, budzenia inicjatywy, kierowania porywami młodzieży, ale praca w owocach swych błogosławiona. Pod tym względem Francja może i po-

winna podać Polsce pomocną dłoń siostrzaną, wytworzyć wymianę myśli i wspólność działań w zakresie spotęgowania, pogłębiania wiary i przepojenia nią życia narodu.

H. Skolimowska.

Michał Siedlecki: Paryż 1919. Wrażenia i wspomnienia. Kraków 1919. Gebethner i Spółka, str. 161.

Żyjemy w okresie, kiedy historja bieży tak szybkim krokiem, że z miesiąca na miesiąc, czasem nieledwie z dnia na dzień zmieniają się wypadki i ich oświetlenie. Ale zasadnicze tło, ale istotna treść historycznej prawdy pozostają te same, a wartość pisanych wspomnień zawisła też w znacznej mierze od wartości duszy i umysłu, przez które przeszły wrażenia i w których się wyryły. Dlatego choć rok blisko dzieli nas od czasu, gdy dzisiejszy rektor wileńskiego uniwersytetu powrócił z Paryża i spisał następnie swoje wspomnienia, książkę jego czyta się z ogromnem zajęciem i niemałą korzyścią. Uczony przyrodnik pisze stylem jasnym, przejrzystym i jędrnym, oświetla ludzi i wypadki ze szczerą bezstronnością, czuje się, iż nie pisze tu człowiek żadnej partji, ale obywatel, stojący ponad niemi. Jako delegat wydziału wykonawczego K. B. K. do Komitetu Narodowego w Paryżu, oraz wysłannik Uniwersytetu Jagiellońskiego, wiozący dyplomy doktorskie dla Wilsona i Clemenceau, wyjechał do Francji i spędził tam kilka tygodni. Zdobyta już dawniej sława uczonego na miarę europejską, oraz misja, z którą przybył do Paryża, ułatwiły mu głębsze wniknięcie w prace i ludzi, zmieniających kartę Europy.

Wrażenia, przez niego spisane, mają też urok wielkiej bezpośredniości. W dziesięciu rozdziałach, pisanych żywo i barwnie, podaje nam fizjognomię Paryża po zwycięstwie, zapoznaje z działalnością Komitetu Narodowego, podkreśla zasługi i olbrzymią pracę jego wybitnych członków i uczonych, którzy jak prawdziwi bojownicy wytężają siły, aby uzyskać Polskę wielką i mocną. Niezmiernie zajmującym jest rzut oka na stosunki, łączące nas z wielkiemi mocarstwami koalicji i zupełnie odrębne wyświetlenie duszy każdego z tych narodów z osobna.

Sympatyczne karty poświęcone naszej armji i jej twórcom na francuskiej ziemi, ciepłe słowa o kolonji polskiej w Paryżu, tej młodszej, złożonej z ludzi o współczesnym typie i tej dawnej, której przyświecają jeszcze wspomnienia z r. 1863, a nad obydwoma »jedna idea, jedna myśl świetlana, ucieleśniona w jednem nazwisku: »Mickiewicz!« Na osobne podniesienie zasługuje rozdział, p. t. »Honoris causa«, opisujący wręczenie dyplomów Wilsonowi i Clemenceau, z podaniem dokładnie treści wygłoszonych adresów i mów i z żywem przejęciem skreślonemi sylwetkami tych dwóch wielkich mężów stanu.

H. Skolimowska.

Literatura polska.

Bibljoteka Narodowa, nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej. Nr. 1. Jan Kochanowski, Treny, opracował Tadeusz Sinko, str. XXXVII + 77. Nr. 2. Juljusz Słowacki, Kordjan, opracował Józef Ujejski, str. 134. Nr. 3. Jan Kochanowski, Odprawa posłów greckich, opracował Tadeusz Sinko, str. LI + 53. Nr. 4. Juljan Niemcewicz, Powrót posła, opracował Prof. Dr. Stanisław Kot, str. 118. Nr. 7. Juljusz Słowacki, Anhelli, opracował Józef Ujejski, str. 64.

Od paru tygodni zatrzymuje przechodniów przed oknami wystaw księgarskich coraz bardziej wydłużający się szereg tomików średniej wielkości, na których widnieje wspólny napis: Bibljoteka Narodowa.

Wewnętrzna strona okładki zapowiada, że »Bibljoteka Narodowa« pragnie przynieść wzorowe wydanie najcelniejszych utworów literatury polskiej, w opracowaniu podającem wyniki najnowszej o nich wiedzy. W tym celu do współpracownictwa zaprosiła redakcja Bibljoteki najwybitniejszych badaczy naszej twórczości literackiej i kulturalnej, powierzając wydanie poszczególnych utworów najlepszym każdego znawcom i podając najdoskonalsze teksty samych utworów, opartych na autografach, pierwodrukach lub wydaniach krytycznych.

Jakżeż spełniono dość dużo obiecującą zapowiedź? Istotnie, poruczając opracowanie n. p. Kochanowskiego prof. Since, znakomitemu historykowi humanistycznej, łacińskiej poezji w Polsce, trudno było o szczęśliwszy wybór. Można wprawdzie nie mieć upodobania w jego filologicznej, drobiazgowej metodzie, możnaby również niejedno w popularnym wstępie bez żalu i szkody odrzucić jako zbyteczny balast naukowy, owszem należałoby owe wstępne wywody powiązać w bardziej organiczny i logicznie splatający się łańcuch roztrząsań, nie zawadziłoby także w całość tchnąć pewien wdzięk artystycznego wysłowienia, ale w każdym razie trudno odmówić prof. Since znawstwa przedmiotu lub sumienności w opracowaniu. Nikt przed nim nie rzucił tyle światła na polską poezję konsolacyjną, będącą echem rzymskiej i humanistycznej. Pogłosem starożytnych epikadyj i humanistycznych epitafiów były także Treny Jana z Czarnolesia. Przed wystąpieniem prof. Sinki najgruntowniej zależność Trenów od wzorów greckich i rzymskich zbadał W. Kubik (Geneza Trenów 1903), ale i on, jak sam wyznaje (5), pracy nie skończył, chciał tylko innych do dalszych poszukiwań na tem polu zachęcić. Dzisiaj już to pragnienie spełnione.

Kochanowski — rozumuje prof. Sinko — wyśpiewał Treny nie tylko sobie dla własnej pociechy, co zrodziło kilka fragmentów, ale jako humanista, także muzom, które miały nieśmiertelnością uwieńczyć mu skronie. Aby jednak pieśń mogła przejść do literatury, powinna według poglądów humanistycznych nie tylko płynąć z talentu, ale być także dziełem uczoności, polegającej na uwzględnieniu wzorów starożytnych. W myśl tego położenia rozpoczął prof. Sinko poszukiwania i nie zawiodła go intuicja; obszerny komentarz i wstępne rozdziały aż nadto wymownie dowodzą, jak twórca Trenów, podświadomie, czy celowo

nie zapominał prawie nigdy o swoich mistrzach. Korowód ich, dość długi, rozpoczyna Teokryt (3 w. p. Ch), któremu przypisywano żale za Adonisem, i ciągnie się poprzez Biona, Pseudo-Moschusa, grecką Antologję, idzie dalej poprzez najrzewniejszych rzymskich elegików złotego wieku i późniejszych, jak Stacjusz i Auzonjusz, a kończy się na Petrarce. Kochanowski, znał także zapewne J. C. Skaligera Poëtices libri VII (1561), której ks. III. podaje właśnie przepisy do tworzenia poematu pocieszającego.

Owa humanistyczna maniera daje nam klucz do zrozumienia przesady w malowaniu Urszulki, jako poetki, mimo, że jeszcze słów nie domawiała (Tren 19. w. 37), teraz także rozumiemy, że zakończenie Trenu VI., opisujące pożegnanie się jej z matką, to tylko konwenans literacki.

Ale mimo wszystkich reminiscencyj i zapożyczeń w Trenach Kochanowskiego drga taki szczery i taki przeogromny żal serca nabrzmiałego bólem po stracie ukochanego dziecka, że stoją one nieporównanie wyżej od epikedjów rzymskich. Kochanowski również pod względem kompozycji wnosi nowość do literatury europejskiej: osobny cykl elegij żałobnych na śmierć jednej osoby. Bo i sonety Petrarki o Laurze nie odtwarzają poszczególnych faz żalu rozpaczy poety, ale są warjacjami, epigramatami na jeden temat.

Wprawdzie już nie w europejskiej, ale w każdym razie w polskiej literaturze stanowi nowość Odprawa posłów greckich jako pierwszy i jedyny okaz polskiej tragedji renesansowej. Dramat i komedja łacińska, starożytna czy humanistyczna znana już była w Polsce od połowy XV. w. Owszem już w 1509 r. drukują w Krakowie komedję Bruniego Aretina p. t. Poliscene. W pierwszej połowie wieku XVI. ukażą się również przekłady Erazma tragedji Euripidesa i trzy tragedje Seneki. Oryginalną wszakże polską tragedją dotychczas nie mogło się poszczycić nasze piśmiennictwo.

Ale dlaczego właśnie taki, a nie inny temat obrał Kochanowski? I to zagadnienie, zdaje się, że trafnie, rozwiązuje prof. Sinko. Zamówiona tragedja przez Zamojskiego miała uświetnić jego wesele, a więc nie wypadało, żeby sceny krwią ociekały; równocześnie stosownie do recepty Horacego motyw powinien być ogólnie znany. A któraż osnowa była w Polsce popularniejsza, jak historja trojańska? Wszak znano ją z łacińskich romansów t. z. Daresa Frygijczyka i Dintysa Kreteńskiego, a także z przeróbki Gwidona de Columna; tłómaczenie tego ostatniego wyszło 1563 r. p. t. Historja Trojańska. Również wielką poczytnością cieszył się utwór Lochera: Judicium Paridis, spopularyzowany przez polski przekład 1542 r. Że poeta przy tworzeniu zapożyczał się co do wątku i poszczególnych motywów, prócz wspomnianych, u wielu jeszcze innych autorów greckich, rzymskich i humanistycznych, — mniejsza o to, czy świadomie, czy też tylko czerpał z tajemnych złoży swej duszy wykształconej na wzorach klasycznych — znowu wykazuje dowodnie i szczegółowo nader sumienny komentarz i wstępne uwagi (XIII—XXI).

Mimo tych zapożyczań, mimo szkicowości wykonania, nawet mimo braku właściwego bohatera — Odprawa nie przestaje być pierwszą, oryginalną tragedją polską, którą Mickiewicz ośmiela się stawiać ponad wszystkie inne współczesne. Oprócz tego Odprawa datuje także nową epokę w użyciu środka estetycznego; poraz pierwszy w niej spotykamy bezrymowy jedynastozgłoskowiec; użyto go prawdopodobnie pod wpływem Gian Giorgia Trissina (1478—1550); w posługiwaniu się równocześnie nierymowanym dwunasto i trzynastozgłoskowym wierszem mógł naszemu poecie wzorować uczeń Trissiniego, Padewczyk Sperone Speroni (1500—1588), gorący obrońca rodzinnej mowy w poezji. Słusznie tedy zauważa uczony badacz, że raczej Padwa, aniżeli Paryż nauczyła Kochanowskiego cenić język ojczysty i pisać w nim tragedje na wzór grecki (XLVIII).

Jak Odprawę możnaby nazwać pierwszą polską tragedją polityczną, tak Powrót posła jest w Polsce niewątpliwie pierwszą i oryginalną komedją polityczną, w której na pierwszy plan nasuwa się walka dwu obozów w czasie Wielkiego Sejmu: konserwatywnego i postępowego. Toteż słusznie prof. Kot wstępne uwagi poświęcił głównie odmalowaniu współczesnego tła politycznego i umysłowego w Polsce, a tylko z lekka napomknął o wpływach literackich Moliera i Beaumarchais'go. Jeśli u poprzednio omawianego krytyka raził nas pewien nieład w rozkładzie treści i balast nagromadzonych szczegółów, to tutaj musimy podziwiać logiczność układu i jędrność wysłowienia, ogrzaną ciepłem serdecznego ukochania dobra całej Ojczyzny, a zwłaszcza tych, którzy długo byli »wydziedziczonymi« — mieszczan i chłopów. Szkoda, że w ogniu tej miłości nie stopniała także nieskrywana niechęć do Jezuitów i do ich systemu edukacyjnego (8, 15). Historyk okazał się również wrażliwym na piękno krytykiem estetycznym. Świetnie szkicuje charaktery osób Powrotu posła, a jeszcze trafniej ocenia jego znaczenie w dziejach naszej literatury. »Najwybitniejszą zaletą Powrotu posła — pisze autor — pozostanie na zawsze znakomite odtworzenie atmosfery, która ożywiała społeczeństwo polskie w dobie Sejmu Wielkiego... Wszystkie zagadnienia rzucił poeta na tło ogólnoobyczajowe narodu, przez co komedja uniknęła znamion pamfletu, mającego jedynie aktualno polityczne znaczenie, a równocześnie zdołał je odmalować tak barwnie i tak wiernie, że Powrót posła na zawsze zostanie znakomitym komentarzem do zrozumienia owej przełomowej epoki w życiu narodu... Ta wyjątkowa zaleta stawia komedję Niemcewicza niezmiernie wysoko i okupuje jej niedomagania artystyczne. Poeta, tworząc je pospiesznie (w kilkunastu dniach), chciał dać tylko dzieło publicystyczne, tymczasem jego talent literacki sprawił, że z pod jego pióra wyszedł utwór trwałej wartości (24)«.

Wybór kilku bajek politycznych Niemcewicza jest miłym dodatkiem, uzupełniającym obraz szlachetnych wysiłków postępowych posłów.

Krytykowi, przystępującemu do rozbioru arcydzieł twórcy Kordyana i Anhellego nie może wystarczyć odszukanie podobnych zdań, metrów w stosie zapylonych ksiąg, nie może nawet ograniczyć się

na podsłuchaniu haseł współczesnej mu chwili, na wyczuciu gorącego tętna, jakiem biło podówczas całej Polski serce; krytyk Kordjana musi przedewszystkiem przeżyć wewnętrzną tragedję samego twórcy, musi zebrać wszystkie jego półuśmiechy i półrozpacze, wszystkie kiry i roztęcze, by z nich dopiero tkać dzieje jego twórczości, niby to podobne do innych, a przecież zupełnie odmienne. Tak też pojął swe zadanie p. Ujejski. W swoich wstępnych uwagach nietylko przeprowadził subtelną, może najlepszą dotychczas, jeśli mowa o Anhellim — analizę narodzin wspomnianych dwu arcydzieł, powstałych nietyle z chęci przeciwstawienia się twórcy Dziadów i Ksiąg Pielgrzymstwa, ile raczej z właściwej Słowackiemu psychiki i płynącego stąd zapatrywania na cały naród, — ale zarazem nadał im iście artystyczną oprawę, naprawdę godną rozprawy o »Królu duchu« polskiego języka. W komentarzach natomiast może tu i ówdzie zdałoby się rozrzucić więcej objaśnień, zwłaszcza w Kordjanie.

Bądź cobądź »Bibljoteka« spełnia swoją zapowiedź w sposób godny uznania.

Ks. J. K.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Ks. Teodor Czaputa: Życie i śmierć męczeńska bł. Jana Sarkandra. Cieszyn 1920, drukiem i nakł. »Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra«, str. 119.

Ks. Wład. Żyła: Kościół OO. Dominikanów w Tarnopolu. Lwów, 1917, str. 82 z 58 ilustr.

Tenże: Katedra ormiańska we Lwowie. Kraków, 1919, str. 157 i 8 tablic.

Stan. Dunin Borkowski S. J.: Reifen des Lebens. Ein Buch der Selbstzucht für die Jugend. Berlin und Bonn, Ferd. Dümmlers Verlagsbuchhandlung, 1920, str. 362.

Ilustrowannyj Kalendar na 1920 god. Wyd. Twa im. M. Kaczkowskiego we Lwowie, str. 160.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Odstępstwo księży czeskich. — Socjaliści wobec propagandy Kościoła narodowego. — Dwa rzymskie upominki dla Polski.

Wrzenie wśród księży reformistów czeskich doprowadziło wreszcie do wybuchu schizmy kościelnej. Jeszcze 17 grudnia roku ubiegłego zwracał się arcybiskup praski dr. Kordač w swoim liście pasterskim z przestrogą do radykalnych księży, uzasadniając boską powagę Kościoła katolickiego i zapewniając o bliskości reform kościelnych w granicach możliwości. Na przestrogi prymasa narodu odpowiedzieli zradykalizowani księża szeregiem drwin, osobistych napaści i pogróżek.

Doszło wreszcie do czynów. W dzień Nowego Roku w byłej cerkwi rosyjskiej św. Mikołaja, odstąpionej przez rząd wyłamującym się z pod posłuszeństwa biskupiego księżom, odprawiono pierwszą mszę czeską. Celebrował ją przewódca reformistów Zahradnik Brodski w otoczeniu kilku suspendowanych księży. W tydzień potem, 8 stycznia, zwołali reformiści konferencję należących do radykalnego »Ohniska« księży, na której postawiono wprost wniosek oderwania się od Rzymu. Z dwustu dziesięciu obecnych »ohniskarzy«, dwie trzecie t. j. 140 wniosek ten przyjęło. Dzień ten trzeba uważać więc za datę jawnego odszczepieństwa pewnego odłamu kleru czeskiego.

Czy dokonany fakt będzie miał jakie szersze znaczenie w dziejach kościoła czeskiego? Można jeszcze powstrzymać się od zbyt tragicznych przewidywań. Stu czterdziestu odstępców na jakieś 4 tysiące księży w Czechach i na Słowaczyźnie, to jeszcze nie zbyt wielki odsetek. Przeciwko schiźmie posypały się z wielu stron ener-

giczne protesty. Nie przyłączą się do niej księża ani parafje niemieckie, już choćby dzięki nacjonalistycznemu charakterowi odstępstwa. Z całej Słowaczyzny nie bierze w odstępstwie udziału żaden kapłan, owszem, zaprotestowano przeciwko przyjętej przez odstępców nazwie dla swej sekty, t. j. przeciwko nazwie kościoła czesko-»słowackiego«. Prasa poważniejszych stronnictw, nie wyłączając socjalistów, krytycznie zapatruje się na dzieło reformistów. Podkreśla mianowicie brak głębszych religijnych motywów w tworzeniu narodowego kościoła. Wprawdzie schizmatycy w swoim organie »Právo Národa« zapowiadają niedaleki rozkwit życia religijnego i moralnego w niezależnym od Rzymu i od polityki zdemokratyzowanym kościele narodowym, ale ta zapowiedź, wyciągnięta z lamusa zwyczajnych komunałów wszelkich odstępców, jest tylko zasłoną figową, mającą ukryć prawdziwe ubóstwo duchowe. Przedewszystkiem frazesem jest apolityczność nowej sekty. Właśnie nic bardziej niż ona nie staje na usługach ultranacjonalistycznej polityki. Zapału prawdziwie religijnego dla swojego dzieła, nawet takiego zapału, jakim odznaczali się fanatyczni poprzednicy dzisiejszych reformistów, Jan Hus i Žižka, wcale nie okazują twórcy narodowego czeskiego kościoła. Ani z ich mów, ani z czynów nie widać, by byli gotowi wstąpić za Husem na stos. Żaden też z nich zapewne nie przeznaczyłby swej skóry, jak Žižka, na bęben, któryby zwoływał pobożnych do »narodowej« kapliczki. Z wielu stron podkreślono, że główną sprężyną całego ruchu jest kwestja ożenku, a właściwie ulegalizowania w oczach ludzkich faktu złamania ślubów celibatu. Jeżeli można mówić o jakichś wyższych aspiracjach w całym tym ruchu, to chyba tylko o aspiracjach pewnej liczby ambitnych kucharek proboszczowskich...

Czy lud pójdzie za odstępcami? Można o tem poważnie wątpić. W ciągu ostatniego roku mieliśmy dowody znacznego ożywienia przywiązania do Kościoła wśród szerszych mas ludowych czeskich. Jeżeli są jeszcze koła obojętne, zwłaszcza wśród zradykalizowanej przez modną »wolną myslenkę« inteligencji, to z tej obojętności religijnej nie wyrwą jej nawet takie zapowiedzi odstępców, jak ta, że w narodowym kościele czeskim znosi się obowiązek niedzielnej mszy św., albo że każdemu pozwala się wierzyć we wszystko, jak mu się spodoba. Religja, która u kolebki swojej wygłasza takie zdania, odrazu zdradza swoje duchowe bankructwo i obojętni dla religji raczej nadal pozostaną obojętnymi i praktycznie bezwyznaniowymi, aniżeliby mieli dokonywać formalności przyłączania się do

takiego, pozbawionego wewnętrznego przekowania i zapału, kościoła. Jeżeli jakaś garstka świeckich Czechów pójdzie za zrewoltowanymi pasterzami, będzie to chyba ostatnim pogłosem haseł, które długo w duszę Czecha wszczepiano, że katolicyzm jest sprzymierzeńcem polityki Habsburgów, a husytyzm wyrazem iście czeskiej duszy. Rychło się przecież spostrzegą, że jakkolwiek było w przeszłości, dzisiaj Czechom nic od Habsburgów nie grozi i że Kościół katolicki może popierać i błogosławić niezależność narodu czeskiego. Umiarkowane reformy w zakresie liturgji i prawa kościelnego, na jakie niewątpliwie Rzym na wniosek episkopatu czeskiego zezwoli, otworzą wreszcie oczy czeskiemu społeczeństwu, że hasło »precz z Rzymem« nie niesie z sobą żadnej pozytywnej treści i żadnych narodowi nie daje korzyści, że zatem jest tylko krzykliwą manifestacją niesfornych jednostek. Z takich niesfornych jednostek można ostatecznie sklecić jakąś sektę, której atoli nie zapewni się widoków trwałości. Uwiędnie ona zanim się zdoła rozwinąć i wzmocnić. Analogię do tego znajdujemy w »niemieckim katolicyzmie« Rongego, z którego po kilkudziesięciu latach nie zostało śladu.

Zuchwały czyn z 8 stycznia to pęknięcie dawno wzbierającego wrzodu. Oczyści on organizm kościelny czeski z chorobliwych pierwiastków i ułatwi czeskiemu katolicyzmowi pracę nad wewnętrznem odrodzeniem duchownem i wzmocnieniem pierwiastków religji Chrystusowej.

My, Polacy, posiadamy aż dwa kościoły »narodowe«: marjawitów i niezależnych w Ameryce. Każda z tych sekt przy swoich narodzinach zapowiadała religijne odrodzenie narodu. Obie dzisiaj ledwie wegetują. Marjawici, którzy nad niezależnymi z Ameryki tem górowali, że wystąpili w szacie franciszkańskiego ascetyzmu, a odwołali się do głębin mistycyzmu niezdrowego, drzemiącego na dnie duszy ludowej, nietylko nie pociągnęli za sobą całego narodu, ale coraz bardziej opuszczani przez swych wyznawców zaczynają likwidować swoje interesy, sprzedając nawet własne kościoły. Amerykańscy niezależni nie zdołali oderwać od Kościoła nawet naszych emigrantów, mimo, iż wyzyskując zręcznie i egzagerując błędy lub niechęć obcojęzycznego episkopatu względem Polaków, uderzali w czułą strunę narodowego polskiego uczucia.

Czynią zato od niedawna usilniejsze próby przeszczepienia kościoła narodowego na grunt macierzystego kraju. Pisaliśmy o tem

w ostatnim zeszycie Przeglądu. Na szczęście i tu zawodzą się w swoich oczekiwaniach. Wysłannik niezależnych amerykańskich, Krupski, uciekł się pod skrzydła socjalistycznej partji. Zapewne zachęciła go do tego protekcja, jaką niedawno nasi socjaliści otoczyli ks. Husznę, który również chciał nas uszczęśliwić narodowym kościołem. Zawiódł się jednak srodze Krupski w swoich rachubach. Ten sam poseł Klemensiewicz, który przed pół rokiem usilnie kolportował broszurę Huszny, wystąpił obecnie z całym temperamentem swoim w »Prawie Ludu« (18 stycznia) przeciwko propagandzie narodowego kościoła. Ks. Krupskiego potraktował jako szerzyciela ciemnoty i wyzyskiwacza, zapowiadając, że stanowczo zwalczać będzie wszelkie próby zaszczepienia waśni religijnej w szeregach partji.

Tak więc możemy być pewni, że apostołowie kościoła narodowego w narodzie naszym nie znajdą posłuchu.

A teraz parę słów pod adresem posła Klemensiewicza. Wyrażając całe uznanie za stanowisko zajęte wobec amerykańskiego przybłędy, chcemy zwrócić uwagę na dziwny zanik pamięci, jakiego daje dowód w wspomnianym artykule »Prawa Ludu«. Socjalistyczny poseł i redaktor utrzymuje, iż, wychodząc z zasady »religja jest sprawą sumienia każdego człowieka«, partja jego nigdy nie mieszała się do sporów religijnych i nigdy w tego rodzaju sprawach nie brała udziału, dzięki czemu nawet dobrzy praktykujący katolicy mogli należeć i należeli do partji socjalistycznej. Wyrazy »dobrzy katolicy« moglibyśmy opatrzyć pytajnikiem, dobrym bowiem i uświadomionym katolikom nie może być niewiadomem, jak na socjalizm zapatruje się Kościół. Przeciwko rzekomemu niemieszaniu się partji do sporów religijnych mówi właśnie niedawna afera Huszny. Darowując atoli ten lapsus memoriae, stwierdzamy z zadowoleniem, że przecież prowodyrzy naszego socjalizmu umieli z tej afery wyciągnąć odpowiednią dla siebie lekcję. Przekonawszy się dowodnie, że do budowania kościoła narodowego zabierają się u nas, jak zresztą wszędzie, ludzie o awanturniczym charakterze, bez stałych zasad, zdolni nawet w przeciągu paru miesięcy zmieniać kilkakrotnie front, ludzie, którzy krzykliwym patrjotyzmem umieją maskować swój bunt przeciwko prawowitej władzy i swoje niskie namiętności, będą może ciż prowodyrzy socjalistyczni ostrożniejsi na przyszłość i uchylą się naprawdę od popierania wszelkiego warcholstwa w Kościele. Życzyćby jeszcze należało, aby partja socjalistyczna, zgodnie z zapowiedzią posła Klemensiewicza, powstrzymała się od systematycznego zwal-

czania katolickiej religji. Nie można bowiem w taktyce tej partji widzieć tylko »kampanji z księżmi poszczególnymi, którym się wytyka błędy i mieszanie kościoła do polityki«. Same bowiem przezwiska, jakiemi organa prasy socjalistycznej obsypują, nie tego lub owego księdza, ale stan duchowny jako taki, samo takie podrwiwanie z rzeczy dla wierzących świętej, jakiego dopuścił się przy pewnej okazji w sejmie poseł Daszyński, to wszystko świadczy, że mamy tu do czynienia z czemś gorszem, aniżeli ze zwalczaniem poszczególnych księży i jeżeli przeciwko takim wystąpieniom i takiemu tonowi prasy socjalistycznej względem Kościoła nie podnosi się żaden protest z samej partji, jest to chyba tylko dowodem, że »dobrych, praktykujących katolików«, a przedewszystkiem katolików uświadomionych, wbrew twierdzeniu posła Klemensiewicza, w partji jest niewielu, albo nawet niema wcale.

Nowi purpuraci w Polsce, J. E. Kardynałowie Dalbor i Kakowski, przywieźli do Ojczyzny z Rzymu dwa drogie upominki. Jednym z nich jest świeca Piusowa, drugim list Ojca św. do robotników polskich.

Musiał Pius IX żywić w swoim czasie niezłomne przekonanie, że rozćwiartowana Polska powróci prędzej czy później do politycznego życia, kiedy świecę, ofiarowaną mu w dzień kanonizacji św. Józafata, odsyłał na przechowanie do kolegjum polskiego w Rzymie. Zawieziecie, mówił, tę świecę do waszego kraju, kiedy on już wolny będzie. To zlecenie, z którego przebija tak wielka życzliwość ojca chrześcijaństwa dla uciśnionego narodu, jak prorocze prawie natchnienie, dzisiaj mogło być spełnione. Zapalona ręką marszałka polskiego sejmu w warszawskiej katedrze świeca Piusowa to wspaniały symbol zmartwychwstałej Polski, a zarazem niewymowny dowód tej wiekami i wzajemną życzliwością uświęconej spójni, jaka przykuwa naród polski do Stolicy św. Piotra.

Niedawne są czasy, kiedy Cortile di S. Damaso roiło się od robotniczych delegacyj z różnych krajów, a zwłaszcza z Francji, niosących hołd papieżowi robotników, Leonowi XIII, pragnących z jego ust usłyszeć wskazania dla zbożnej, w duchu Chrystusowym, społecznej pracy. Trudności różnorakie nie pozwalają jeszcze na to, aby robotnicy polscy mogli wybrać się do obecnego następcy wielkiego papieża. Atoli ten ich odłam, który się grupuje pod chorągwią demokracji chrześcijańskiej, wraz z posłami swoimi do sejmu przesłał

Ojcu św. przez ks. kardynała Kakowskiego wyrazy hołdu i synowskich uczuć. W odpowiedzi na te uczucia przesyła Benedykt XV polskim chrześcijańskim robotnikom swoje apostolskie błogosławieństwo, zachęcając ich do pracy pod sztandarem katolickim. Z uznaniem podkreśla Ojciec św. w swoim liście postanowienie chrześcijańskich robotników w Polsce i wybranych przez nich posłów, że będą ku złagodzeniu niedoli ludzkiej starali się o takie prawa, jakie wypływają z niewzruszonych zasad sprawiedliwości i zgodne są z prawidłami nauki katolickiej oraz wskazaniami najwyższych pasterzy rzymskich.

Te dwa rzymskie upominki niechaj służą na otuchę i naukę dla narodu polskiego. Blask Piusowej świecy, jak tęczowy łuk na horyzoncie, niech mówi nam, że potopu więcej nie będzie. Socjalne zaś wskazania Stolicy św. niech będą tym słupem ognistym, który ma wyprowadzić nasze społeczeństwo z ciężkich wewnętrznych przesileń ku pogodniejszej przyszłości.

Ks. Jan Urban.

Prawodawstwo kinowe w Pensylwanji.

Nikomu nie jest tajnem, jak niebezpiecznym rozsadnikiem niemoralności są kina, które dla zysku i schlebiania najniższym instynktom mas nie krępują się żadnymi postulatami etyki pod ochroną zbyt liberalnej w kwestjach obyczajności cenzury. Pod pozorem unikania moralizatorstwa i pruderji pozwala się na publiczne znieprawianie obyczajów dla napełnienia kieszeni kapitalistów kinowych. Dziwna niekonsekwencja! Z jednej strony najszlachetniejsi przedstawiciele narodu pracują z wytężeniem wszystkich sił nad problemem wychowania narodowego, które ma dostarczyć zmartwychwstałej Ojczyźnie fizycznie i moralnie zdrowego potomstwa, a z drugiej strony bezkarnie panoszy się niszczycielska zaraza brudu filmowego, która niweczy owoce mozolnej pracy wychowawców. Żywimy pełne uznanie dla zarządzenia Ministerstwa Oświecenia i Wyznań w sprawie uczęszczania młodzieży niepełnoletniej na gorszące przedstawienia kinowe, ale musimy je uważać za niedostateczny środek moralnej reformy kinowej, albowiem brud zostaje brudem bez względu na to, jakiej warstwie społeczeństwa i jakiemu wiekowi się go podaje.

Wymowny przykład, jak władze publiczne dbać powinny o moralne zdrowie narodu, posiadamy w szczegółowych normach, jakie stawia dla wytwórców filmowych i właścicieli kinoteatrów Board of cen-

sors w Pensylwanji w Północnej Ameryce, a jakie powtarzamy za wiedeńskim tygodnikiem »Das neue Reich« z dnia 11 stycznia b. r. W spisie, obejmującym 24 numerów, określa wspomniana państwowa cenzura filmowa, jakie reprokukcje należy uważać za niedopuszczalne. Zabronione mianowicie są wszystkie obrazy filmowe, które w jakikolwiek sposób wyobrażają handel żywym towarem, uwiedzenie, prostytucję, narodzenie, poczęcie, choroby weneryczne. Zakazane jest wszystko, co się odnosi do zażywania opjum, morfiny i innych oszołamiających trucizn. Zakazane są opisy różnorodnych sztuczek, jakiemi posługują się zbrodniarze przeciw życiu, przeciw wolności i własności ludzkiej. Zabronione są przedstawienia dzikich rozbojów, torturowań, widoków tracenia skazańców, chirurgicznych operacyj. Nie wolno przedstawiać warjatów i chorych, dotkniętych szałem w gorączce. Zakazane są wszelkie dłużej trwające obrazy konających lub zwłok ludzkich. Zakazane jest wszelkie przedstawienie, które pokazuje osobę nieprzyzwoicie ubraną lub zajmującą bezwstydną pozę. Zakazane są obrazy filmowe, ośmieszające w sposób obraźliwy jakąkolwiek rasę, warstwę społeczną lub społeczność religijną albo uwłaczające jakkolwiek czci należnej temu, co powszechnie uchodzi za święte. Niedopuszczalne jest przedstawienie par, żyjących w stosunkach pozamałżeńskich. Zabronione są filmy, które reprodukują męczenia zwierząt, dłuższe i niebezpieczne zabawy nożami lub bronią palną, widowiska ludzi pijanych lub złośliwe uszkodzenia własności, pobudzające widzów obciążonych złemi skłonnościami do naśladownictwa. Niedozwolone są wszelkie nieodpowiednie wyrazy w tytułach lub tekście między obrazami. Zakazane są przedstawienia pocałunków lub innych czułostkowości między zakochanymi, również wszelkiego wyuzdania w kąpielach i na balach. Zabronione są obrazy nieumiarkowanie lub ostentacyjnie palących pań. Zakazane są reprodukcje, które mogą powodować u widzów fałszywe sądy moralne i wogóle wszystkie filmy, które w całości mogą zachęcić jakkolwiek do złego. Zakazy te pozostają w pełnej mocy i wtedy, gdy filmy niezgodne z temi normami są reprodukcją publicznie znanych utworów literackich lub dzieł sztuki. Wszystkie plakaty i ogłoszenia i reklamy słowem i ilustracją mają się stosować do tych zasad.

Oto wzór, jak nowoczesne amerykańskie państwo Pensylwanji dba o publiczną wstydliwość i moralność swych obywateli. Nasi postępowi po przeczytaniu powyższego spisu będą skłonni do wyzwisk i szyderstw pod adresem klerykałów, którym chyba przypisać należy tak surowe paragrafy policji obyczajowej. Oszukaliby się jednak srodze. Połowa obywateli Pensylwanji (liczącej ok. 6,500.000 mieszk.) nie przyznaje się do żadnej zgoła religji, druga połowa zaś obejmuje najróżnorodniejsze wyznania. Pensylwanja jest państwem o wysokiej kulturze nowoczesnej. Co do obszaru przewyższa o połowę Galicję; pod względem produkcji żelaza i stali wysuwa się na czoło całego świata, nadto jest jednym z krajów najbogatszych w węgiel. Główne jego miasto, będące zarazem miastem portowem, Filadelfja, liczy dwa miliony mieszkańców, należących do rozmaitych narodowości. O zacofaniu ludności, posiadającej na

stosunkowo niewielkiej przestrzeni 34 uniwersytetów i kolegjów, mowy chyba być nie może.

Normy pensylwańskie na pierwszy rzut oka zdają się być zbyt drobiazgowemi; opierają się wszakże na głębokiej znajomości psychologji mas, których półśrodkami nie można podnieść do wyższego poziomu moralnego. Doświadczenie w państwach europejskich pokazuje, że ogólny tylko zakaz niemoralnych przedstawień w praktyce nie wystarcza. Poglądy cenzorów filmowych są często zbyt rozbieżne, a przeciw sumienniejszym cenzorom mają kapitaliści filmowi jeszcze drogę apelacji do wyższych instancyj, które znosząc lub ganiąc wyroki niższych władz, prowadzą w praktyce dość prędko do szerokiej tolerancji, podobnie jak to się działo i dzieje przy cenzurze prasowej. Dlatego szczegółowy wykaz zabronionych motywów filmowych ma w praktyce słuszne uzasadnienie. Można także przyznać, że nie wszystkie wymienione przedstawienia są równie niebezpieczne dla moralności publicznej, że niektóre z nich mogłyby u nas być tolerowane bez większej szkody, ale z całem uznaniem należy podkreślić to, co stanowi istotę pensylwańskiego prawodawstwa kinowego, że państwo powinno usuwać z publicznych przedstawień wszystko, co dla obywateli jest zgubne pod względem obyczajności. Że u nas daleko do przeprowadzenia tej jedynie zdrowej zasady, tego dowodem są nasze przedstawienia i ogłoszenia kinowe, żeby wymienić choć taki film jak Decameron Boccacia, którym obecnie karmi się w Krakowie publiczność. Słusznie domagamy się, aby ograniczono import cudzoziemskich brudów do naszej ojczyzny, której dziś wobec ciężkich zadań potrzeba w pierwszym rzędzie zdrowia moralnego. Niestety i u nas prawdą jest, co o Wiedniu karci J. Overmans T. J.: »Pozwalamy, aby Ameryka żywiła dzieci nasze i aby kina je psuły«.

E. M.

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. Jan Urban T. J.*

Druk ukończono 5 lutego 1920.

Drożyzna a sumienie obywatelskie.

(Na marginesie książki prof. A. Krzyżanowskiego).

Kiedy mowa o drożyźnie, pierwsze słowo należy — rzecz naturalna — do ekonomistów. Jeden z nich, zaszczytnie w tej dziedzinie znany, prof. Jagiellońskiej wszechnicy A. Krzyżanowski, zebrawszy w całość, wydał w książce p. t. »Drożyzna« [1]) szereg swych artykułów w kwestji przesilenia ekonomicznego, jakie w następstwie wojny światowej przeżywamy. Czytając książkę prof. Krzyżanowskiego, nabywa się przekonania, że drożyzna, zwłaszcza artykułów do życia niezbędnych, jest barometrem całego ekonomicznego życia społeczeństwa, że jest osią, około której obracają się wszystkie zagadnienia socjalnej natury.

Zahamować wzrastanie drożyzny — to znaczy znaleźć lekarstwo na całe przesilenie ekonomiczne. W celu zwalczania drożyzny chwyta się społeczeństwo i rząd wielu środków, w których skuteczność prof. Krzyżanowski nie wierzy, które wprost potępia, może nawet narażając swą popularność, może nawet ryzykując, że twierdzenia jego będą uznane za paradoksy. Weźmy walkę z paskarstwem. Wyrazy nienawiści ku paskarzom słyszy się prawie z każdych ust; opinja domaga się dla nich kary chłosty, owszem śmierci. Prof. Krzyżanowski natomiast uważa walkę z paskarstwem za bezcelową, owszem właśnie za jedną z przyczyn wciąż wzrastającej drożyzny. Paskarz bowiem, któremu grożą takie kary, samo ryzyko narażenia się na nie oceni na pieniądze i swoim odbiorcom każe grubo więcej za towar zapłacić. A paskarstwo będzie dotąd, dopóki znajdą się ludzie, którzy chcą zdobyć więcej towaru, niż go przeciętnie zdobyć można i którzy są gotowi zapłacić za takowy wszelką cenę. Zau-

[1]) Warszawa — Kraków, nakł. J. Czerneckiego, str. 166.

waża prof. K., że paskarze mają nawet pewne zasługi, im bowiem, naprzykład, zawdzięcza część inteligencji rosyjskiej pod rządami sowietów, że z głodu nie zginęła. Bezpośrednią przyczynę drożyzny widzi prof. K. w inflacji pieniędzy papierowych. Każda nowa emisja tych pieniędzy pociąga nowe podskoczenie w górę cen wszystkich towarów, a przedewszystkiem artykułów pierwszej potrzeby.

Stąd koniecznym środkiem zaradczym przeciwko drożyźnie, byłoby zaprzestanie bicia nowych banknotów. Oczywiście wtedy trzeba byłoby szukać innych sposobów zrównoważenia wpływów i wydatków w budżecie państwowym. Najpierw ograniczenie wydatków. Zaprzestanie wojny, czyli usunięcie tego największego konsumenta, a zatem demobilizacja armji będzie jednym z nieodzownych warunków uzdrowienia budżetu. Lecz na tem nie koniec. Rząd winien ograniczyć również liczbę urzędników państwowych; niech ci ludzie pracują ale jaknajmniej dla państwa, a jaknajwięcej w zawodach prywatnych. Biurokracji i gospodarce państwowej prof. K. do tego stopnia niedowierza, że doradza państwu zrzec się własnej administracji państwowych przedsiębiorstw, jak np. kolei, które dziś przynoszą deficyt, a wydzierżawione prywatnym finansistom, choćby zagranicznym, dałyby dochód skarbowi. Dalej, oszczędność jaknajwiększa winna być zastosowana w zapomogach bezrobotnym, subwencjach prywatnym przedsiębiorstwom etc., — niechaj ludzie radzą sobie sami, nie oglądając się na rząd. Zbytnia opieka rządowa demoralizuje. Nawet wydatki rządu na walkę z chorobami epidemicznemi winny być ograniczone; hojność skarbu pod tym względem w pieniądzach papierowych potęguje inflację pieniężną, a zatem pośrednio drożyznę, a ta znowu utrudnia zdrowym należyte odżywianie się, czyli usposabia do nowych chorób.

Obok oszczędności w wydatkach, skarb musi pomyśleć o większych dochodach. Słyszeliśmy już o wydzierżawieniu przedsiębiorstw państwowych. Najważniejszem atoli źródłem byłoby nałożenie wyższych podatków, tak pośrednich, jak i bezpośrednich.

To są środki, których winien się chwycić rząd w celu uzdrowienia stosunków ekonomicznych. A społeczeństwo? To powinno jaknajwięcej pracować, by podnieść produkcję krajową, by możliwością eksportu za granicę poprawić naszą walutę, by wywołać konkurencję i tym sposobem obniżyć drożyznę.

Nie będąc ekonomistą z zawodu, nie czuję się powołanym do szczegółowego rozbioru tak bogatej w treść książki, jaką jest książka

prof. Krzyżanowskiego. Nasunęła mi ona wszakże parę wątpliwości i zachęciła do wypowiedzenia na tem miejscu paru myśli. Wątpliwości moje dotyczą paru założeń prof. Krzyżanowskiego, kilka zaś pozytywnych myśli nasuwa mi stanowisko moralisty, który nie może przechodzić obojętnie wobec ekonomicznych zagadnień. Znaczenie w ekonomji walorów moralnych, mianowicie pewnych cnót społecznych, obywatelskich, uznają zdaje się wszyscy. Otóż, wychodząc z tego założenia, chciałbym uzupełnić nieco wywody prof. Krzyżanowskiego, a może tylko uwypuklić te postulaty, które i on stawia, które jednak giną w nawale cyfr, faktów, wogóle czysto ekonomicznego materjału nagromadzonego w książce.

Pierwszą wątpliwość wzbudza we mnie stosunek drożyzny do ilości papierowych znaków pieniężnych. Mianowicie, czy mnożenie papierowych pieniędzy jest w rzeczy samej przyczyną wzrastającej drożyzny? Mógłby przecież ktoś twierdzić wręcz odwrotnie, że jest jej skutkiem. Wszak dlatego rząd wypuszcza coraz to nowe serje banknotów, by w braku dochodów opłacać niemi coraz to wyższe wydatki; wydatki zaś te zarówno w budżecie wojennym, jak i w innych gałęziach administracji państwa wzrastają ustawicznie dzięki wzrastającej cenie wszystkich artykułów a zwłaszcza artykułów pierwszej potrzeby, dzięki konieczności podnoszenia płac, wywołanej przez drożyznę. Prawda, że po nowej emisji papierowych pieniędzy ceny podskoczą w górę, ale ta emisja będzie może tylko okazją nie zaś właściwą przyczyną nowej fali drożyzny. Zdaje mi się więc, że mnożenie papierowych pieniędzy i drożyzna to nie tyle przyczyna i skutek, jak raczej tylko — przy pustym skarbie — logiczne korrelaty, dwa oblicza jednej i tej samej rzeczy.

Druga wątpliwość jest bardziej zasadniczej natury. Dotyczy ona ekonomicznego systemu prof. Krzyżanowskiego. Z wielu rozsianych po książce uwag, a zwłaszcza z końcowych jej zdań można wnioskować, że autor jest zwolennikiem liberalnej polityki ekonomicznej. Taka właśnie polityka po wojnach napoleońskich dźwignęła zubożałe społeczeństwa i doprowadziła je do niebywałego przedtem ekonomicznego rozkwitu. Więc też od zastosowania zasady: »laissez faire, laissez passer«, przy wycofaniu się państwa z wytwórczości i administracji ekonomicznej, spodziewa się prof. K. i w naszych czasach wzmożenia wytwórczości prywatnej, wzbogacenia kraju, podniesienia naszej waluty, opadnięcia drożyzny. Otóż na bezwzględny powrót do systemu liberalnego zgodzić się trudno. Nie możemy wszak

zapominać, że liberalizm, jakkolwiek ma swoje zasługi, ma i ciemne strony. On uczynił z pracującego człowieka maszynę i niewolnika kapitału, wywołując jako reakcję socjalizm. Wiemy, jak teoretycznie i praktycznie trudną jest rzeczą pogodzić ingerencję państwa z inicjatywą prywatną w dziedzinie wytwórczości i podziału dóbr, jak trudno przeprowadzić trafną granicę między temi dwoma czynnikami, wszakże sądzimy, że trudności te nie mogą odstraszyć państwa od obowiązku walki z nadużyciami kapitalizmu. Skłonni jesteśmy przypuszczać, że i prof. Krzyżanowski podziela potrzebę pewnych zastrzeżeń co do liberalizmu, tylko nie uwidocznił ich w swej książce.

Dalej, wydaje mi się wątpliwą rzeczą, czy drożyzna zmniejszyłaby się, gdyby rząd zaniechał dalszego drukowania pieniędzy, a pustkę w skarbie starał się zapełnić przez »silniejsze naciśnięcie śruby podatkowej«. Zapewne, że w kwestji podatkowej wiele u nas jest do zrobienia — dość wspomnieć o rozmaitej dotąd wysokości podatków w różnych częściach państwa. Ale mówiąc wogóle, zdaje się, że nałożenie wyższych (oczywiście znacznie wyższych) podatków uczyniłoby na razie zbędnem drukowanie nowych pieniędzy, nie usunęłoby jednak drożyzny. Czy nie podniosłoby jej? Wszak producent artykułów potrzebnych, płacąc wyższe podatki, nadwyżkę tę nie chybnie włączyłby do kalkulacji cen wyrobów, co ległoby nowem brzemieniem na konsumencie, czyli drożyznaby wzrosła, razem poszłyby żądania wyższej płacy ze strony robotników i urzędników, i znowu skarb widziałby się zmuszonym albo do emitowania pieniędzy, albo do jeszcze silniejszego naciśnięcia podatkowej śruby. I tak bez końca. Wszak w jednym z organów prasy, stojącym blizko naszych kół ziemiańskich, à propos znacznego podniesienia płacy służby folwarcznej czytałem wyznanie wielkiego producenta rolnego, że cała nadwyżka spada ostatecznie na barki konsumentów, gdyż rolnik musi za zboże wziąć taką cenę, by »wyszedł na swojem«. To samo trzeba powiedzieć o wszelkiem podnoszeniu ceny pracy robotnika: opłaca ją ostatecznie nie przedsiębiorca, nie kapitalista, tylko konsument, czyli, skoro z pracy w tej czy innej formie żyje ogromna większość społeczeństwa, więc opłacają tę nadwyżkę te same klasy, które stawiają coraz to nowe żądania podwyższenia zarobków. Jedną ręką biorą, by z drugiej inny ktoś im wydarł, co wzięli. Takiż skutek mogłoby mieć podniesienie podatków: zapłaciliby je nie producenci, jako tacy, tylko konsumenci, a producenci

o ile są zarazem konsumentami. Temu zjawisku zdaje się tem trudniej byłoby zapobiedz przy liberaliźmie systemu prof. Krzyżanowskiego, który ingerencję państwa każe ograniczyć do minimum. W tym systemie, w którym nawet niema miejsca na walkę z paskarstwem, trudnoby było żądać od państwa ustanawiania np. cen jakichś na zboże, czyli, że rolnikom, a analogicznie i producentom w innych gałęziach wytwórczości pozostawiłoby się swobodną rękę. Nie omieszkaliby oni z tego skorzystać, nakładając takie ceny na swój. poszukiwany przez wszystkich, towar, by opłacić i najwyższą cenę robocizny i najwyższe podatki. I tendencja ta nie dałaby się zwalczyć, dopóki wytwórczość jest mała, dopóki wskutek tego popyt jest większy, niż podaż, dopóki niemożliwa jest konkurencja.

Z ostatnią wątpliwością docieramy wreszcie do istotnej p r z y c z y n y drożyzny i do wskazania zaradczego na nią ś r o d k a. Przyczyną istotną drożyzny jest to — co dobrze widzi i niejednokrotnie wskazuje prof. Krzyżanowski — że wytwórczość zmalała, że poprostu chleba mamy znacznie mniej, niż moglibyśmy zjeść, że płótna mamy daleko mniej, niż potrzeba — nie już na nowe dla wszystkich koszule, ale na załatanie dziur w starych, że jeżeli chcemy tego płótna i tego chleba sprowadzić z zagranicy, nie możemy za to czemś realnie wartościowem zapłacić, gdyż niczego nie posiadamy za wiele. Płacić więc musimy papierkami w tej czy innej formie, czyli brać na kredyt, co się równa znacznemu obciążeniu na przyszłość. Za to płótno, którem się okryjemy, za ten chleb amerykański, który dzisiaj spożyjemy, płacimy właściwie nie my, ale zapłacić ma następne pokolenie. Obcy zaś producent, korzystając z naszej ostatecznej nędzy, każe nam tem większe wystawiać zobowiązania na przyszłość, tem większym długiem obarczać nasze dzieci... W takich warunkach sprowadzanie z zagranicy zboża jest chwilowem ratowaniem się, ale bardzo kosztownem. Ekonomiści łamią sobie głowy nad tem, jakie kredyty, gdzie i na jakich warunkach zaciągnięte, zmniejszyć mogą ten ciężar; niewątpliwą wszakże jest rzeczą, że to ciężar wielki.

Położenie zmieni się dopiero wtedy na lepsze, kiedy dojdziemy do tego, ze jednych artykułów będziemy produkowali przynajmniej tyle ile nam potrzeba, innych zaś tyle, że będziemy mieli ich nadwyżkę na eksport, którą płacić będziemy za niezbędne nam, a na miejscu nieistniejące, towary czy surowce. Słowem, trzeba pomnożyć w y t w ó r c z o ś ć, aż do miary, aż nawet nieco ponad miarę zapotrzebowania; wtedy bowiem dopiero stanie się możliwą konkurencja

i wtedy spadnie drożyzna. By uniknąć nowego wstrząśnienia, spadać winna stopniowo, jak stopniowo wzrastała.

Do pomnożenia wytwórczości potrzeba przedewszystkiem włożenia więcej pracy i odbudowania zniszczonych jej warsztatów. Z pewnej strony słyszy się głosy: zaprzestańmy wojny, niech ludzie pracują! Nie chcemy zabierać tu głosu w toczącej się dyskusji nad propozycjami rozejmu i pokoju z bolszewikami. Jedno tylko ciśnie nam się pytanie: czy w tej chwili wytwórczość nasza kuleje głównie z braku rąk do pracy? Czy nie słyszymy o rzeszach bezrobotnych, utrzymywanych przez rząd, czy gwałtowna demobilizacja pół miljona żołnierzy, przypuściwszy że skądinąd możliwa, nie zasiliłaby znacznie tych bezrobotnych rzesz? Karmienie armji bezwątpienia jest kosztowne; czy atoli zdemobilizowani żołnierze przestaliby jeść, czy nie potrzebowaliby się ubierać? Zapewne zaprzestanie wojny zaoszczędziłoby kolosalnych wydatków, które idą obecnie na amunicję, transporty etc. Wydaje się wszakże przesadną nadzieja tych, co w natychmiastowej demobilizacji widzą panaceum na wszystkie trudności finansowe i ekonomiczne, którzy zwłaszcza uważają ją za konieczną, by dostarczyć rąk do pracy twórczej.

Wciąganie rąk nowych do pracy wytwórczej może się odbywać tylko stopniowo, w miarę jak odbudowują się warsztaty pracy, jak istnieje możność puszczenia w ruch stojących fabryk, zaorania leżących odłogiem pól. Do tego zaś potrzeba maszyn, potrzeba inwentarza, potrzeba surowców, a na to wszystko potrzeba wielkiego kapitału. Nie kapitału zagranicznego, bo ten ostatecznie wyzyskiwałby nas potem; kraj mógłby mieć wygląd kwitnący, ale ludność miejscowa pracowałaby na obcych, poszłaby w ich niewolę. Potrzeba zmobilizować kapitał miejscowy; potrzeba sprowadzać z zagranicy środki produkcji nie za pożyczone pieniądze, z któremiby przyjść mieli ich panowie, ale za swoje, wyciągnięte z najgłębszych skrytek skrzyni. Bodajby na razie wszystko przepłacić, byleby puścić w ruch maszynę, byleby bezrobotnym rękom dać zatrudnienie!

Streszczając powyższe wątpliwości, wyrażam przekonanie, że drożyzna, jakkolwiek daje się nam we znaki, może być zwalczona jak zastarzała choroba tylko stopniowo, a winna być zwalczana organicznie, przy zachowaniu należytego porządku w następstwie zastosowywanych środków zaradczych. Trzeba przedewszystkiem przekonać ludzi, że drożyzny nie zwalczy się jednem cięciem, ani przez żadną uchwałę sejmową, czy dekret rządu, ani przez hojne

subwencjonowanie z kasy rządowej tej czy innej gałęzi pracy, albo tej czy innej kategorji potrzebujących, ani przez samo zaprzestanie wojny, ani przez wyższe opodatkowanie klas posiadających, ani przez rewolucję polityczno-społeczną. Żaden bowiem z tych środków nie przyczyni ludziom ani worka mąki, ani łokcia sukna.

A tego właśnie potrzeba.

Do podniesienia wytwórczości a zatem do usunięcia drożyzny potrzeba dłuższego czasu. A tymczasem potrzeba c i e r p l i w o ś c i. A z cierpliwością potrzeba jeszcze kilku innych ważnych cnót. I tu zdaje się jest miejsce dla paru wskazań moralisty.

Powiedzieliśmy, że istotną przyczyną drożyzny jest to, że artykułów do życia jest mniej, niż się ich potrzebuje. Jest to prawdą ekonomiczną, doświadczalną, nie jest wszakże prawdą bezwzględną, metafizyczną. Gdyby każdy, wobec zmniejszenia się ilości artykułów do życia potrzebnych, zadowolnił się tą częścią zmniejszoną, jakaby na niego przypadła w idealnym podziale i nie dążył do zdobycia porcji większej, drożyzny nie byłoby wcale. Robotnik brałby za swą pracę nie więcej, jak przedtem, ale i wydawałby nie więcej, kupując tylko tę cząstkę i w tej jakości, jaka na niego w idealnym obrachunku przypada. Ta cząstka nie byłaby droższą, niż przed wojną. Drożyzna powstaje stąd, że każdy, o ile mu to się udaje, dąży do tego, aby wcale albo jaknajmniej obniżyć tę stopę życia, do jakiej przywykł i jaką uważa dla siebie za konieczną.

W trzecim roku wojny zamawiałem u szewca trzewiki. Dostarczyłem mu zdobytego z trudem materjału. Za samą robotę pan majstêr policzył taką sumę, za jaką przed wojną można było kupić ośm par trzewików gotowych.

— Panie, powiadam, wszak pan po opłaceniu czeladnika, nici etc. zarabia na czysto dziesięć razy tyle, co przed wojną!

— Bo mnie, księże dobrodzieju, bułeczka kosztuje dziesięć razy tyle co dawniej.

— Ależ, panie szanowny, ja już od dwóch lat nie jadam wcale bułeczek, tylko czarny kontyngensowy chleb!

— A ja, proszę księdza, muszę mieć bułeczki w dodatku do tego chleba.

Po upływie następnych trzech lat wielu musi mieć również bułeczki od paskarzy, pomimo, że ich cena wzrosła nie o 10, ale o 50 razy w stosunku do przedwojennej ceny. Tu dotykamy najgłębszej, ostatecznej, m o r a l n e j przyczyny drożyzny. Zamiast

w poczuciu solidarności z innymi ludźmi ograniczać do minimum swe potrzeby, wydzieramy sobie nawzajem chleb z ust. Czemże bowiem, jak nie wydzieraniem sobie tego chleba, są ustawiczne strejki i podwyższania płac to tej to innej kategorji pracowników? Ludzie ci zdają się rozumować w następujący sposób: »my, nasz zawód, nasz związek, musimy przedewszystkiem dbać o siebie. Inni niech również dbają o siebie, niech się zrzeszają, niech płace podnoszą. Wszystkim będzie dobrze«. Tak, zdaje się, wielu rozumie służenie ogólnemu dobru. Tymczasem przez podwyższanie płac chleba nie przybywa. Ci, co dzisiaj podnieśli swe płace, wysunęli się na czoło i mają możność za wyższą cenę zdobyć nieco większą ilość artykułów, niż przeciętnie na nich wypadałoby przy ogólnym niedostatku. Jutro inni ich wyprzedzą, a za dni kilka szczęśliwi zwycięzcy z przed tygodnia już pozostaną na końcu ogona, by znowu usiłować wysunąć się na czoło przez nowe domagania się. W gruncie rzeczy jest to psia walka o kość niedogryzioną. Przytem strejki, nie zwiększając produkcji, ale ją obniżając nawet na tych warsztatach, które funkcjonować mogą, wprost wpływają na podnoszenie się drożyzny. Strejk krawców opłacają więc szewcy, stolarze, drukarze, i nawzajem, czyli konsumenci ponoszą ciężary, jakie powodują sami w charakterze strejkujących w pracy wytwórców.

To zaklęte koło nie może być inaczej rozerwane, jak przez praktykowanie cnoty s a m o o g r a n i c z a n i a się. I ta cnota jest pierwszym obowiązkiem obywatelskiego sumienia w naszych czasach. Musimy wszyscy zrozumieć, że skoro chleba, sukna, płótna i t. d. jest daleko mniej, niż dawniej, usiłowanie zdobycia sobie dawnej porcji, albo przynajmniej nie dużo mniejszej od niej, jest usiłowaniem odjęcia komuś innemu tego, co mu nie według dawnej, ale według obecnej wojennej miary należy się. Musimy zatem wszyscy zrozumieć, że brak samoograniczania się jest szkodnictwem, jest nieobywatelskim postępkiem, bo jest zapomnieniem o tem, że inni ludzie, bracia nasi, przez to cierpią tem większy niedostatek.

I musimy poprawić się pod tym względem. Tem bardziej musimy uważać za rzecz karygodną życie luksusowe, zbytek w ubiorach, kosztowne zabawy i t. p. wybryki. Nie umiem ich inaczej nazwać, jak życiem i używaniem na koszt innych. A nie odnosi się to tylko do klas majętnych, do zbogaconych paskarzy; niestety, luksusowi w ordynarniejszej postaci ulega i stroiąca się w jedwabie kantorzystka i zakrapiający się alkoholem robotnik.

Drugim narzucającym się obowiązkiem obywatelskiego sumienia jest p r a c o w i t o ś ć. Unikanie pracy, ograniczanie jej coraz większe — to przecież ubożenie społeczeństwa, to wzmaganie drożyzny, a zatem niedostatku, a więc jest to inny sposób życia na cudzy koszt, choćby to życie zbytkownem nie było. Nieobywatelskiem, niemoralnem jest więc lenistwo, życie z subwencyj, synekur, posad dobrze opłacanych, a lekkich. I tu zapewne rada prof. K. bardzo jest na miejscu — usunięcia niepotrzebnych funkcjonarjuszów, uproszczenia biurokracji. Do subwencji rządu tylko ten ma moralne prawo, dla którego rąk niema absolutnie miejsca nigdzie przy wydajnej pracy. Stąd okradaniem społeczeństwa jest uchylanie się od pracy tych, którzyby ją mieć mogli, podszywanie się próżniaków pod miano bezrobotnych. Ograniczenie pracy do ośmiu godzin dziennie można uważać za zupełnie usprawiedliwione w normalnych czasach i w normalnych warunkach. Katolicka socjologja jest pod tym względem w zgodzie z socjalną demokracją. Dowodem tego choćby najświeższe ustawodawstwo holenderskie, wprowadzone głównie staraniem katolików, albo program włoskiego stronnictwa ludowego. Ale są sytuacje w ekonomicznem życiu narodów — a w takiej sytuacji my się znajdujemy obecnie — że trzeba poświęcić dużo ze słusznych wymagań. Stąd wysoce patrjotycznym jest czyn tych górników, co dla ułatwienia ogrzania mieszkań ziębnących biedaków w mieście postanawiają w którejś kopalni pracować jedną godzinę więcej. Zato napiętnowania godnem jest lenistwo innych, co nawet okradają ustawowy czas pracy, redukując ją do minimum wysiłku.

Na ostatniem miejscu, jako obowiązek obywatelski, stawiam obowiązek p u s z c z e n i a w r u c h nagromadzonej w skrzyniach g o t ó w k i. Nagromadzenie papierowych pieniędzy w rękach zwłaszcza zamożniejszego wiejskiego ludu jest pono notorycznym faktem. Wszystkie produkty sprzedaje rolnik po wysokich cenach, za uzyskane pieniądze zaś nie zawsze może kupić to, czego mu potrzeba, podatków wyższych rząd nie wyciska, zresztą jest rzeczą wątpliwą, czyby sejm w obecnym składzie na takie podatki zezwolił. Należałoby więc temu chłopu wytłómaczyć, że zatrzymując nieproduktywnie gotówkę w swych rękach, on na niej traci, on ubocznie opłaca gruby podatek, gdyż ten tysiąc marek, jaki rok temu do skrzyni złożył, dzisiaj nie posiada ani połowy dawnej wartości, skoro za niego nie można kupić nawet połowy tego, co w ze-

szłym roku. Uruchomienie tych pieniędzy w celu nie zakupna nowych gruntów, ale ulepszenia wydajności roli — przyczyniłoby chleba, pośrednio zmniejszyłoby drożyznę. Obniżenie w przyszłości cen zboża może się wydaje mniej pożądanem z ciasnego stanowiska klasowego, bez wątpienia jednak dążenie do tego jest czynem wysoce obywatelskim, patrjotycznym.

Cierpliwość, ograniczanie potrzeb czyli oszczędność, pracowitość i wreszcie umiejętne użycie posiadanych pieniędzy — to cztery kardynalne cnoty prawdziwego patrjotyzmu. Są to znane cnoty, których chrześcijańska etyka nigdy nie przestawała głosić. Obecnie trzeba je przypominać z tem większym naciskiem, ponieważ one obecnie w większej niż kiedykolwiek mierze obok czysto osobistej moralnej wartości stają się nakazami etyki społecznej i środkami uzdrowienia ogólnych niedomagań. Cnót tych atoli nie nauczy się ludzi żadnym nakazem, żadną presją z góry. Nie sądzimy, by można było usunąć w naszych czasach wszelką ingerencję rządu w sprawach czy to wytwórczości, czy konsumpcji. Rządowa ingerencja stanie się przynajmniej w wielkiej mierze zbyteczną dopiero wtedy, kiedy wyrobi się we wszystkich sferach społecznych poczucie owych obywatelskich obowiązków, o których mówimy, i sumienność w ich wykonywaniu. Atoli żadna rządowa presja ani kontrola cnót tych nie wszczepi w dusze. Nawet taka dyktatura bolszewicka, jak w Rosji, zmuszająca już do dwunastogodzinnego dnia pracy, nie podniesie znacznie produkcji, jeżeli nad tym robotnikiem trzeba będzie stawiać zastęp urzędników i oddziały wojska do pilnowania jego pracy.

Cnotę może zaszczepić w duszy tylko religja; tylko na tym gruncie może ona się rozwinąć. Dlatego wielkimi szkodnikami nie tylko w dziedzinie czysto religijnej, ale i ekonomicznej są ci wszyscy, co podkopują w umysłach wiarę, co usypiają w sumieniach poczucie odpowiedzialności wobec Boga za wszystko, co się czyni przeciwko ogólnemu dobru. Natomiast głoszenie o tej odpowiedzialności staje się dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek, koniecznem. Współczesna ambona ma wielkie przed sobą zadanie. Winna tylko stare nakazy przyprawić nowemi pobudkami, pobudkami społecznej natury.

Budzeniu wszakże i wyrabianiu sumienia obywatelskiego nie sprosta już sama kazalnica kościelna, choćby dlatego, że wielu od niej stroni. I tu przychodzi mi na myśl piękne zadanie książki i gazety. Prasa wieleby mogła pod tym względem osiągnąć,

gdyby nie schlebiała upodobaniom swych czytelników, lecz chciała ich obywatelsko wychowywać. Musiałaby zaniechać podjudzania jednych przeciwko drugim, musiałaby zamiast gromić tych przeciwników politycznych i klasowych, których jej gromy nie dosięgną, raczej wykazywać braki cnót obywatelskich swoim własnym czytelnikom; zamiast przypominać prawa, o które i bez tego każdy dba dostatecznie, musiałaby głosić o obowiązkach, o których tak łatwo się zapomina. Mam tu oczywiście na myśli nie tylko prasę stronnictw radykalnych, czy to ludowych, czy też socjalistycznych, lecz prasę wszystkich odcieni, począwszy od góry, kończąc u dołu. Każdy dziennik, zamiast być trybuną dla obrachunków z innymi, niech się stanie przedewszystkiem kazalnicą dla budzenia sumienia obywatelskiego czytelników.

Cnotami nie tylko zdobywa się królestwo niebieskie, ale i pomyślność ziemską. To jest owo »jedyne« ewangeliczne, którego przedewszystkiem potrzeba, bez którego zawiodą najgenjalniejsze pomysły ekonomistów i największe wysiłki mężów stanu. Jeżeli Bóg nie będzie w sumieniach obywateli budował domu, napróżno trudzić się będą, którzy na innym fundamencie wznieść go usiłują.

Ks. Jan Urban.

NOWA METAFIZYKA.

W dobie, poprzedzającej bezpośrednio ostatnią wielką wojnę, ujawnił się głęboki przełom w dziedzinie myśli filozoficznej. Kantyzm i pozytywizm, które przez ostatnie sto lat niepodzielnie prawie panowały w tej dziedzinie, poczęły coraz bardziej tracić swą siłę atrakcyjną. Głoszona przez nie teorja o niepoznawalności świata nadzmysłowego poczęła budzić poważne wątpliwości nawet w umysłach, które wzięły zupełny rozbrat z wszelką religją. Wielu zapragnęło znowu wiedzieć, co się ukrywa pod zmienną pokrywą form przypadkowych, jedynie dostępnych naszemu bezpośredniemu poznaniu.

Poczęto znowu interesować się metafizyką.

Tej dążności wyrazem jest pojawienie się różnych pomysłów metafizycznych, przyobleczonych w szatę nowości. Niestety jednak, nowa metafizyka nie zrywa ze staremi błędami. Pionierowie bowiem nowej wiedzy transcedentalnej szukają oparcia nie w zasadach i faktach oczywistych, lecz w subjektywizmie i relatywizmie dawniejszej błędnej filozofji. Do jakich zaś wyników tego rodzaju metoda prowadzi, postaramy się wykazać w niniejszym szkicu krytycznym, poświęconym metafizycznemu credo profesora uniwersytetu bazylejskiego, Karola Joëla, które uczony ten wyłożył w broszurze: Die philosophische Krisis der Gegenwart, Rektoratsrede (Leipzig 1914) [1].

P. Joël nie należy zdaje się do filozofów, nadających obecnie ton, jak Bergson, Oswald lub Wundt. Jego poglądy nie odznaczają

[1]) Szkic ten został napisany dla jednego z pism perjodycznych zaraz po wyjściu z druku broszury Joëla w r. 1914. Warunki, przez wojnę wytworzone, pozwoliły dopiero obecnie na jego ogłoszenie.

się również ani jasnością, ani ścisłością rozumowania, ani też bezstronnością. Zwyczajem, przyjętym obecnie u filozofów wolnomyślnych, p. Joël pisze stylem barwnym i przesadnym, co do wyjaśnienia prawdy wcale się nie przyczynia, ale zato nieraz zupełnie zaciemnia myśl autora. Leją się u niego potoki słów olśniewających, ale nie... światła.

Pomimo to broszura p. Joëla zasługuje na uwagę ze względu na doniosłość i aktualność omawianego w niej tematu. Zawiera bowiem szereg uwag zarówno retrospektywnych, jak i programowych, stojących w ścisłym związku ze stanem intelektualnym społeczeństwa przed wojną, a który prawdopodobnie i po wojnie nie ulegnie tak prędko radykalnej zmianie.

Broszura p. Joëla rozpada się na dwie o nierównej wartości części: historyczno-krytyczną i pozytywną.

Zacznijmy od części historyczno-krytycznej.

I.

Z rozrzewnieniem, godnem lepszej sprawy, autor wspomina na wstępie czasy idealizmu niemieckiego, kiedy to Kant, Fichte, Schelling i Hegel dzierżyli prym w świecie naukowym, jako filozofowie, a potem ze smutkiem stwierdza zupełny upadek filozofji w XIX wieku. O odrodzeniu filozofji scholastycznej w drugiej połowie tegoż wieku autor, jako prawowierny postępowiec, oczywiście nic nie wie. Zaznaczywszy, następnie, pomówne wzmożenie ruchu filozoficznego w wieku XX oraz powstałą w łonie filozofji specjalizację, autor zadaje sobie następujące pytanie: Czy filozofja ma nadal pozostać królową i przewodniczką nauk, objąć byt myślny i realny, czy też zejść do skromnej roli nauki specjalnej, równorzędnej z innemi specjalnemi naukami, mianowicie nauki, mającej za przedmiot wyłącznie funkcje psychiczne człowieka?

Wbrew mniemaniu, powszechnie prawie przyjętemu w dziedzinie filozofji niekatolickiej, autor odpowiada na powyższe pytanie przecząco. Na jakiej podstawie, pyta, mamy z przedmiotu filozofji wyłączyć świat, a ograniczyć się badaniem naszego ducha i jego funkcji? Wszak, powiada, był czas, kiedy każda dziedzina zjawisk miała swoją filozofję. Dzisiaj jeszcze historycy, prawnicy, przyrodnicy, teologowie są zmuszeni, czy chcą czy nie chcą, wkraczać w dziedzinę filozofji historji, filozofji prawa, filozofji przyrody, filo-

zofji religji. Cała różnica polega na tem, że tą filozofją zajmowali się dawniej filozofowie, a dzisiaj się zajmują specjaliści.

Autor nie znajduje nic w tem zdrożnego, że specjaliści wkraczają w dziedzinę filozofji, że istnieją filozofje specjalnych przedmiotów. Ale zadaje sobie pytanie, czy to jest rzecz słuszna, aby z tego powodu filozofja miała zrezygnować ze swego stanowiska, jako nauki ogólnej, i nie zajmować się światem, a tylko naszą psyche. I powołuje się na świadectwo historji, które mówi, że filozofja była nietylko samopoglądem ducha (Selbstanschauung des Geistes), lecz również światopoglądem (Weltanschauung), nauką uniwersalną. Nie chodzi o to aby filozofja była sumą wszystkich innych nauk. Dzisiaj bowiem, wobec daleko idącej specjalizacji, nie sposób zastąpić wszystkie nauki jedną nauką, streszczającą wyniki wszystkich innych nauk. Ale filozofja może doskonale zastąpić rolę pośredniczki i łącznika pomiędzy wszystkiemi naukami, sprowadzić je do jedności. W ostatecznym bowiem wyniku, ponieważ prawda jest jedna, pomiędzy naukami nie może być sprzeczności. Wszystkie nauki są sobie pokrewne.

Wszelako nie dosyć uznać, że filozofja musi być nauką uniwersalną. Należy odpowiedzieć na pytanie, czy potrzeba tej nauki wypływa z naszej organizacji duchowej. Joël nie waha się i na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Potrzeba jednej uniwersalnej nauki, ogarniającej cały byt, jest wynikiem jedności naszego ducha. Duch nasz potrzebuje takiej syntezy. Dać tej ostatniej nie może jednak żadna nauka specjalna, ponieważ każda z nich patrzy na byt pod jednym ciasnym kątem widzenia. Z tych samych powodów nie mogą tego dać pojedyncze nauki filozoficzne, jak logika, teorja poznania, lub psychologja.

Nasuwa się tedy drugie pytanie, w jaki sposób filozofja może spełnić swoją rolę, jako nauki uniwersalnej.

P. Joël nie waha się wypowiedzieć tego okropnego słowa, które było i jest dotychczas straszakiem dla wielu kolegów p. Joëla po duchu i po piórze. Słowo to: metafizyka. Z pomocą metafizyki filozofja winna i może spełnić swoje posłannictwo jako nauki, obejmującej ducha i świat.

Samą metafizykę p. Joël określa, niby prawowity scholastyk, jako naukę o bycie realnym — die Wissenschaft von der Realität, co przypomina określenie de Bonald'a — la science des réalités.

Niestety, dopiero później czytelnik się dowiaduje, że ta Realität to wcale nie byt rzeczywisty w rozumieniu powszechnem, lecz zupełnie co innego.

Stwierdziwszy niemożliwość osiągnięcia jednolitego światopoglądu inną drogą, jak tylko przy pomocy metafizyki, p. Joël tak dalej powiada: »Dla tej przyczyny każda filozofja prawdziwie wielka uprawiała metafizykę, czyli to, co dzisiejsza filozofja najmniej uprawia i co uchodzi za rzecz najbardziej zdrożną, ale co w rzeczywistości pozostanie zawsze najwyższym wykwitem filozofji. Kto rezygnuje z metafizyki, rezygnuje ze światopoglądu, bo rezygnuje z wymaganej przez nasze poznanie najwyższej jedności, która musi objąć podmiot i przedmiot wszelkiego poznania i szukać wzajemnego przystosowania ducha i świata« (str. 11). Myśleć, że wielcy myśliciele byli specjalistami i nie wdawali się w dociekania metafizyczne, jest to samo, co nie znać historji filozofji. I, przeglądając tę historję à vol d'oiseau, p. Joël wskazuje, że wszyscy przedstawiciele filozofji obejmowali w ten lub inny sposób całość bytu, ducha i świat. Wszystkie czasy miały swój światopogląd, własny czy odziedziczony, który łączył wszystkich ludzi pod jednym dachem duchowym.

A dzisiaj?

Na wspomnienie czasów dzisiejszych autor załamuje ręce: »A dzisiaj, gdzie szukać tej wspólnej atmosfery duchowej, tego światopoglądu, któryby nas przenikał, któryby dokoła nas i nad nami się roztaczał nakształt horyzontu i firmamentu? Czyż nie jesteśmy duchowymi tułaczami bez domowego ogniska i ojczyzny, rozproszonymi członkami bez łączności i przewodnictwa? Czyż nie jesteśmy igraszką fal na morzu poznania, rzuceni tam bez steru i kotwicy? Coprawda żywimy się jeszcze ostatkami wielkich tradycyj, resztkami dawniejszych światopoglądów, lecz jeżeli nie odczuwamy potrzeby ich podtrzymywania, lub jeżeli nie mamy sił czy też odwagi do ich przekształcenia, to gdzież znajdziemy duchową ostoję?«

Tak biada p. Joël. Ale dalej, chwaląc czasy dawniejsze, zapomina o jednej drobnej rzeczy. Mianowicie zapomina odpowiedzieć na pytanie, czy wszystkie metafizyczne poglądy przeszłości, których żałuje, były dobre. Zapewne przysłowie mówi, że »lepszy rydz, niż nic«, ale w filozofji bywają takie rydze, które działają jak muchomory. Byłoby lepiej, gdyby ich wcale nie było! Dowodem tego — stan współczesnej antykatolickiej filozofji, wyrosły w znacznej części na

gruncie błędnej metafizyki, stan, który, jak zaraz zobaczymy, i samemu autorowi mocno się nie podoba. Chwaląc bezkrytycznie przeszłość, Joël stawia dobro i zło, prawdę i fałsz na jednym poziomie, co przecie jest absurdem.

P. Joël zdaje sobie sprawę, że metafizyka nie może zastąpić ani religji, ani moralności, ani sztuki, ale dlatego właśnie, że stoi z niemi w ścisłej łączności, że daje na wszystko jednolity pogląd, brak takiej metafizyki daje się odczuć w dotkliwy sposób. Brak metafizyki rzucił umysły w objęcia materjalizmu.

Wszelako autor i tutaj wpada w przesadę. Jakby dla potwierdzenia słów Napoleona, że du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas, autor, stwierdziwszy zupełnie słusznie potrzebę metafizyki, dalejże składać na brak tej nauki wszystkie współczesne niedomagania: zanik wiary (co to mogłaby być za wiara?!), zanik stałych i niezłomnych przekonań, zanik charakterów, zanik wsniosłej poezji, muzyki, sztuki teatralnej, zanik harmonji i równowagi w życiu. »Tym sposobem przesilenie filozoficzne stało się przesileniem ogólnem (Krisis der Zeit)« powiada, nie zająkając się, autor.

Jak widać z powyższych słów, p. Joël przecenia znaczenie filozofji, a niedocenia znaczenia religji. Będąc racjonalistą, zupełnie nie wspomina o tem, że gdy chodzi o nadanie rozumnego kierunku działalności ludzkiej, to dla ogółu prawdziwa religja daje zadowalającą odpowiedź na wiele zagadnień, które interesują nietylko filozofów, lecz i prostaczków. Zagadnień, których metafizyka bezpośrednio nie rozwiązuje.

Rozpaczliwy stan rzeczy, wywołany przez brak metafizyki, zniewala p. Joëla do zadania sobie nowego pytania: w jaki sposób zjawiła się współczesna anarchja duchowa i czy wśród ogólnego rozprzężenia nie dałoby się znaleźć jakiegoś duchowego łącznika, jakiegoś zarodka światopoglądu, któryby wyratował sytuację.

P. Joël słusznie mniema, że tego zarodka nie należy szukać w materjaliźmie, i rzuca gromy potępienia na jego mechaniczny pogląd na świat, na jego żelazne »prawa natury« i »walkę o byt«, na utożsamianie przezeń ducha z martwą przyrodą. Autor przyłącza się w tym względzie do silnego obecnie w Niemczech ruchu przeciwko filozofji modnego monizmu materjalistycznego, którego głównym przedstawicielem jest Haeckel. Nie zauważa tylko, że główną przyczyną materjalizmu był nie brak bylejakiej metafizyki, lecz rozbrat nauki z tradycyjną metafizyką katolicką i Objawieniem.

Rzuciwszy kamień potępienia na materjalizm, p. Joël widzi, jeżeli nie zbawienie, to pewną ulgę dla umysłów w energetyzmie Ostwalda i w witalizmie współczesnych filozofów życia, jak Bergson, Guyau, Boutroux i Eucken, w pragmatyzmie Schiller'a i James'a, w arystokratyzmie Nietschego, ba, nawet w doświadczeniu religijnem pseudomistyków i mistycyzmie à la Maeterlinck. Filozofji martwoty i pesymizmu, której rzecznikiem jest materjalizm, przeciwstawiają oni, zdaniem p. Joëla, filozofję ruchu i działania, rozwoju i ciągłych przemian, a więc filozofję optymizmu i życia, zasługującą na większe uznanie.

Jednakże i tej filozofji autor nie szczędzi zarzutów. Dlatego właśnie, powiada, że ta filozofja uznaje »tylko nieustanną przemianę, przez to samo odbiera ona wszelkiej prawdzie i samej istocie rzeczy charakter niezmienności. Parafrazując słowa Schillera ze znanego poematu »Der Spaziergang«, autor powiada, z powodu relatywizmu filozofów życia, sentencjonalnie: »Ueber der Erscheinungen Flucht verschwanden die ruhenden Pole der Prinzipien und Wesenheiten«. Taki relatywistyczny pogląd na świat sprowadził, zdaniem autora, u jednych, jak u Macha i Ziehen'a, uznanie świata za wytwór naszego ja, albo, jak u Verworn'a, za treść naszego ja. U drugich znowu, jak np. u James'a, sprowadził uznawanie wszelkich prawd za pożyteczne hipotezy, czasowy walor mające. Relatywizm tedy sprowadził subjektywizm. Jeden i drugi zaś sprowadzili razem pogardę rozumu i oddali pierwszeństwo woli i odruchom zmysłowego pożądania w czynnościach ludzkich, nie wyłączając poznania (woluntaryzm). W nienawiści ku prawdzie rozumowej podają sobie ręce Nietzsche z Bergsonem, pragmatyzm z pozytywizmem, nowy romantyzm z mistyką. Pogarda zaś rozumu musiała podkopać wiarę w możliwość poznania prawdy czyli zrodzić sceptycyzm, który jest cechą charakterystyczną współczesnej umysłowości. Prawdzie zabrakło miejsca w myśleniu i zdaje się, że wróciły czasy sofistów lub raczej, że wskrzeszona została filozofja Heraklita, która uznaje jedyną bezwzględną zasadę — zasadę względności!

Tak krytykuje p. Joël współczesną filozofję relatywizmu.

Czytając te wynurzenia, czytelnik myślałby, że to przemawia jakiś scholastyk »z pod ciemnej gwiazdy«, jakiś zacofany wróg myśli postępowej, wyzwolonej z więzów logiki, metafizyki i etyki. Tymczasem to bankructwo filozofji bezbożnej ogłasza wielbiciel eleatów,

wielbiciel Platona, Kartezjusza, Kanta, Hegla i Goethego, t. j. wielbiciel tej właśnie filozofji, którą zawsze przeciwstawiano filozofji scholastycznej i od której pochodzą w prostej linji subjektywizm i relatywizm, tak wstrętne naszemu krytykowi. Stąd widać, że i u wrogów scholastyki bywają czasem lucida intervalla. Szkoda tylko, że tak rzadko rozpraszają one te egipskie ciemności, które zalegają dokoła umysłów wolnomyślnych, wtenczas gdy trzeba rozwinąć skrzydła do lotu w sferę prawd oderwanych i powszechnych.

Aż dotąd, jak widzimy, można było z pewnemi zastrzeżeniami podpisać się na to, co autor twierdził. Lecz nie napróżno powiedział Boileau: La critique est aisée, l'art est difficile. Istotnie, łatwiej jest krytykować niż tworzyć [1]). Dlatego też i p. Joël, w tworzeniu mniej szczęśliwy, traci prawo do pochwał, gdy przechodzi do wskazania środków zaradczych przeciwko wybrykom współczesnej błędnej filozofji. Przestaje wzbudzać podziw, gdy wkracza w dziedzinę swoich własnych pomysłów filozoficznych, jak to zaraz zobaczymy.

II.

Zaznaczywszy, że w starożytności relatywistyczna filozofja Heraklita znalazła swoją przeciwwagę w filozofji eleatów, p. Joël stwierdza dalej, że i współczesny relatywizm ma swoje antidotum w prądzie przeciwnym. Ten prąd autor widzi w kilku szkołach filozoficznych Niemiec Zachodnich, które się potworzyły w Marburgu, Getyndze i Badenie. Widzi go mianowicie w pismach tak zwanych neokantystów, czyli filozofów, skłaniających się w stronę kantyzmu i heglizmu, jak Riehl, Cohen, Rickert, Natorp, Windelband i inni. Charakterystyczną cechą tych filozofów ma być to, że oni wszyscy »szukają w myśleniu poznania, a w poznaniu przedmiotu«. Jedni przedstawiciele tej grupy zrywają zupełnie z dualizmem Kanta, który uznaje oprócz podmiotu myślącego jeszcze niepoznawalny świat rzeczy samych w sobie, i utożsamiają byt i myślenie. A więc stają na gruncie heglowskiego krańcowego idealizmu. Drudzy uznają co najwyżej jakiś bardzo nieokreślony byt, istniejący poza myśleniem, lub

[1]) Gdyby Boileau żył za czasów Kanta, Hegla lub Bergsona, to, mówiąc o łatwości krytyki, musiałby zrobić zaszczytny wyjątek dla krytyki mglistych produkcji tych filozofów, która wobec tej właśnie mglistości do łatwych nie należy.

dla myślenia niedostępny (unbestimmtes Irrationale). Natomiast wszyscy, za przykładem Kanta, starają się, w przeciwieństwie do relatywizmu wymienionych w poprzednim rozdziale filozofów, zbudować na niezmiennych podstawach logiki »rozumową, aprioryczną i transcedentalną« naukę w postaci syntetycznego systemu poznania. Metafizykę chcą oni zastąpić logiką, a więc zamiast kosmologji dać nam logikę przyrodoznawstwa, zamiast estetyki — logikę estetyki i t. d.

Pomijamy już to, że nauk czysto apriorycznych, rozumowych niema i być nie może, ponieważ wszelkie nasze poznanie intelektualne opiera się pośrednio lub bezpośrednio na poznaniu zmysłowem, a więc na doświadczeniu. Trudno zaiste dopatrzeć, dlaczego te, w rozumieniu autora »aprioryczne«, nauki miałyby być lepsze od relatywistycznej filozofji filozofów życia, ruchu i działania. Wygląda to na żart, gdy autor znajduje »przedmiotowość« (a nawet empiryzm) w aprioryzmie tych filozofów, dlatego, że ci filozofowie, jak się wyraża tajemniczo autor: »objektivieren den Geist zur Erkenntnis des Gegenstandes«. Przedmiotowość chyba nie jest to samo, co aprioryzm stałych i niezmiennych form myślenia lub uznanie ducha za jedyny świat realny — za podmiot i przedmiot poznania.

P. Joël widzi również »objektywizm« w filozofji Platona, Kartezjusza i Kanta i miałby oczywiście rację, gdyby białe można było nazwać czarnem, a czarne białem.

To, że nowokantyści uznają »Das evidente Icherlebnis« (wyrażenie Husserl'a), nie wystarcza również do zwolnienia ich od zarzutu subjektywizmu. W rzeczy samej, czyż będziemy wiedzieli co więcej o istocie rzeczy, a nawet o istocie własnego ja, jeżeli stwierdziwszy realność tego ja, uznamy świat przedmiotowy i swoje własne myśli za wytwór stałych, lecz apriorycznych form naszego intelektu, a nie za sumę następujących po sobie, w naszej i z naszą psyche, zjawisk w szalonych podrygach chimerycznego élan vital p. Bergsona? Ani logika przyrodoznawstwa, ani logika etyki, ani logika estetyki, ani logika historji, ani też nawet logika logiki nie pouczą nas o przedmiotowej istocie rzeczy więcej, niż traktat p. Bergson'a o »ewolucji twórczej«. Tamte ze względu na swój subjektywizm, ten zaś ze względu na swój relatywizm i subjektywizm. Albowiem i przedstawiciele filozofji życia są przeświadczeni, że umysł nasz informuje nas błędnie o istotnej naturze rzeczy, rzekomo

dzięki swej przyrodzonej skłonności do przedstawiania niematerjalnej z natury rzeczywistości w sposób materjalny.

Pod względem swej wartości szkoła współczesnych idealistów zbliża się i z tego względu do szkoły filozofów »życia«, że znosi indywidualność naszej psyche i wyprowadza nasze poznanie z jakiejś wyższej »nadindywidualnej« (ueberindividuelles) »bezwzględnej, czystej, normalnej świadomości« (Normalbewusstsein). Taka genealogja poznania przyczynia się również do obalenia wszelkiej prawdy logicznej, metafizycznej i moralnej. Albowiem i z tego punktu widzenia nigdy nie możemy być pewni, czy to, co dochodzi do naszej świadomości, jest prawdą objektywną czy fałszywą sugestją.

Jak widzimy, realizmu trudno i ze świecą dopatrzeć się u współczesnych idealistów, zupełnie tak samo jak i u filozofów życia.

Natomiast daleko słuszniejszą jest uwaga autora o pozytywistach, którzy, porzuciwszy swoje dawniejsze pozycje rzekomego »czystego« doświadczenia — a raczej wobec niemożności ich utrzymania — bawią się w metafizykę [1]). Tak np. Ostwald ze swoim energetyzmem, a Mach ze swoim monizmem dziejów kosmicznych. Jest to dowodem, że nie sposób walczyć przeciwko przyrodzonej dążności naszego umysłu do poznania istoty rzeczy, t. j. do poznania tego, co się kryje pod zmienną pokrywą form przypadkowych, zwanych od czasów Kanta zjawiskami (phaenomena). Przyznają to nawet sami koryfeusze wolnej myśli. Znane są słowa Alfreda Fouillée: «l'homme est un animal métaphysique«. Cały błąd pozytywistów polega na tem, że szukają oni istoty rzeczy tam, gdzie jej niema.

Ale wracajmy do idealizmu.

Otóż należy oddać sprawiedliwość Joëlowi, że zdaje on sobie bardzo dobrze sprawę z tego, iż idealizm nowokantystów nie może zadowolić współczesnych umysłów. Ale przyczynę tej niemocy widzi on nie tak w błędnych podstawach tej doktryny, nie tak w jej subjektywizmie, jak w nastroju współczesnych umysłów, w ich skłonności do realizmu. A więc o tem, co ma być prawdą, decyduje nie zgodność danej teorji z naturą rzeczy, z danemi przedmiotowemi, lecz z duchem czasu, który u Joëla gra wielką rolę. Ze zmianą tego ducha, zmieni się więc prawda. Gdy przypomnimy

[1]) To samo zarzucał w swoim czasie Bako empirykom, którzy odrzuciwszy metafizykę, pomimo to rozprawiali o prawach przyrody, nie dających się przecież dowieść wyłącznie na podstawie doświadczenia.

sobie, że przed chwilą Joël piorunował przeciw relatywizmowi i subjektywizmowi Bergsonów i Jamesów, to mimowolnie przychodzi na myśl ewangeliczna przypowieść o źdźble w oku bliźniego a belce we własnem. Paląc kadzidło przed ołtarzem bożka wszystkich relatywistów, zwanego po niemiecku »der Zeitgeist«, Joël stwierdza, że nie wyrósł ponad miarę pospolitą filozofa wolnomyślnego i że wcale niepotrzebnie szuka środków zaradczych przeciw relatywizmowi w nowej jakiejś metafizyce.

Chociaż tedy Joël, jak widzieliśmy, nie zupełnie jest zadowolony z idealizmu, ze względu na wymagania »Zeitgeist'u«, pomimo to ma niepłonną nadzieję, że od idealizmu wyjdzie inicjatywa do wytworzenia nowej metafizyki. Metafizyka ta uzna istnienie stałych prawd, w przeciwieństwie do relatywizmu filozofów życia. Stwierdzi przedmiotowość bytu, w przeciwieństwie do zabarwionego bądź co bądź mocno subjektywistycznie idealizmu.

Zobaczymy wkrótce, jak dalece autor się myli, szukając w idealizmie owego szyllerowskiego »ruhenden Pol in der Erscheinungen Flucht«. Tymczasem zaś stwierdźmy, że oznaki zbawiennej reakcji na rzecz metafizyki absolutnej i realistycznej autor widzi w różnych naukach doby obecnej.

Widzi je w teologji protestanckiej, która chce »poznać Absolut nietylko mistycznie, jako doświadczenie, lecz szuka również oparcia w racjonalnej teorji poznania albo w metafizyce«. Ciekawa tylko rzecz, coby na to powiedział nieboszczyk Luter, który nazywał rozum, kuszący się wniknąć w istotę prawd wiary, nałożnicą djabła.

P. Joël widzi również reakcję w prawodawstwie, które się wyrzeka historycznego pojmowania prawa i chce je oprzeć na apriorycznych, rozumowych podstawach. Ale i tutaj zapomina wyjaśnić, czy ten aprioryzm wyjdzie prawoznawstwu na zdrowie i dlaczego ma on być lepszy od relatywizmu dawniejszej szkoły historycznej.

Biologja, zdaniem autora, chce się również pozbyć ewolucjonistycznego fanatyzmu (w tym wypadku bardzo chwalebna tendencja!) i szuka nietylko tego, co jest zmienne, lecz i tego, co jest stałe.

Pozatem dążność do norm i zasad stałych, niezmiennych, autor spotyka w fizyce, w literaturze, w architekturze i malarstwie, nie mówiąc o innych dziedzinach, co mu tem łatwiej przychodzi, iż takie normy i zasady już oddawna były uznawane, tylko że p. Joël i jego koledzy o tem dotychczas nie wiedzieli.

Ale te wszystkie prądy nie mogą oczywiście zastąpić metafizyki, więc też autor przystępuje do pozytywnej części swego programu, która ma na celu wykazać, w jaki sposób możemy zdobyć się na taką metafizykę.

Po tem wszystkiem, co autor powiedział o idealiźmie, a zwłaszcza o filozofji życia, należałoby się spodziewać, że jedynem wyjściem z kiepskiego położenia, w którem się znalazła współczesna filozofja dzięki błędnej metafizyce, byłoby zrzeczenie się idealizmu i filozofji życia i powrót do starej, scholastycznej metafizyki, albo przynajmniej jakiejś metafizyki nowej, od tamtych dwóch prądów niezależnej.

Lecz nie. P. Joël, by zdobyć się na dobrą metafizykę, postanawia idealizm ożenić z filozofią życia, stałe formy myślenia ze zmiennością form bytu. I nawołuje idealistów, aby dali do tego inicjatywę, pomni swojej odpowiedzialności »vor dem Zeitgeist« (dzięki cudownej metamorfozie der Zeitgeist występuje tutaj, jak widzimy, już nie w roli kryterjum prawdy, lecz w roli trybunału, karzącego i nagradzającego). Od »analizy ducha« powinni oni przejść do »syntezy świata«. W ten tylko sposób da się usunąć przesilenie, które skutkiem ekscesów filozofji ogarnęło wszystkie dziedziny ducha.

Ale, jak wiadomo, nie ze wszystkich małżeństw dzieci bywają udatne. Tak się też rzecz ma z metafizyką, którą p. Joël chce otrzymać ze skojarzenia idealizmu z filozofją ruchu, apriorycznych form myślenia ze zmiennemi formami życia.

Żeby się o tem przekonać, należy odpowiedzieć na dwa pytania: jaka jest przydatność idealizmu i filozofji życia dla wytworzenia prawdziwej metafizyki i jaka jest przedmiotowa wartość metafizyki, otrzymanej przez p. Joëla ze skojarzenia tych dwóch teoryj filozoficznych.

Co do pierwszego pytania, to musimy odpowiedzieć, że ani filozofja idealistyczna, ani filozofja życia nie są zdolne do wytworzenia metafizyki. Pod tym względem jedna warta drugiej.

Niezdolność filozofji życia do stworzenia metafizyki wynika stąd, że filozofja ta nietylko odmawia naszemu umysłowi wszelkiej zdolności poznania świata niematerjalnego, lecz nie uznaje nic stałego i koniecznego, żadnych bezwzględnych form bytu i myślenia. »Wszystko płynie«, oto w dwóch słowach cała treść tej filozofji. »Rzeczywistość podlega nieustannym przemianom« powiada Paulsen, »jej śladem

idzie poznanie... Jak wszystkie formy życia i bytu, tak i wszystkie formy myślenia nie są kategorjami absolutnemi, lecz historycznemi«. Tak samo myślą Edward Le Roy, Maurycy Blondel, Wilbois, Eucken, Guyau, Boutroux, Bergson, oraz inni zwolennicy filozofji życia.

Jeżeli zaś wszystko płynie, wszystko nieustannie się odmienia, więc faktycznie nic nie może być poznanem jako coś, co jest. Prawdy objektywnej, dającej się w ten lub inny sposób uchwycić, niema, a więc niema i metafizyki, która jak wszelka inna nauka, ma do czynienia z tem, co jest przedmiotowe, trwałe i powszechne. Metafizyka z punktu widzenia relatywizmu jest faktycznie niedopuszczalna.

Tak samo rzecz się ma ze zdolnością idealizmu do wytworzenia metafizyki. Filozofja ta wówczas tylko byłaby zdolną do wytworzenia metafizyki, gdyby zaprzestała być idealizmem, t. j. gdyby uznała realność świata przedmiotowego i możliwość poznania jego istoty.

Otóż taką możliwość wyklucza idealizm nawet najłagodniejszy, t. j. kantyzm. Kant nie odrzucał, coprawda, jak Hegel, Fichte lub Schelling, istnienia świata zmysłowego. Owszem, przyznaje w swojej »Krytyce czystego rozumu«, że ten świat jest przyczyną naszych wyobrażeń. Ale odrzucił stanowczo poznawalność jego istoty, t. j. jakim jest sam w sobie. Racje moralne, dla których Kant odbudował w etyce to, co zburzył w metafizyce, nie mogą zastąpić dowodów metafizycznych. Według podstawowej teorji poznania Kanta, świat dochodzi do naszej świadomości przez filtr naszych apriorycznych, subjektywnych form poznania. Innemi słowy, według Kanta poznajemy świat nie takim, jakim jest w sobie, lecz takim jakim nam się przedstawia, wtłoczony w subjektywne formy poznania zmysłów i umysłu, nic wspólnego ze światem przedmiotowym nie mające. To, co nazywamy istotą rzeczy, nie ma realnej podstawy w świecie przedmiotowym, lecz jest poprostu wytworem naszego subjektywnego myślenia. To, co poznajemy, to nie rzeczywistość, lecz jej złudne zjawiska. Stąd wynika, że co jest prawdą dla naszego umysłu, mogłoby być fałszem dla umysłu mającego inny ustrój [1]).

[1]) De ce que ce monde est, nous ne pouvons riens dire, ni rien penser, mais seulement de ce qu'il paraît ou pourrait paraître à des intelligences qui ne différeraient pas trop de la nôtre — powtarza również za Kantem niedawno zmarły głośny matematyk francuski, Henryk Poincaré (Dernières pensées 1913, str. 29 i 30). Tak samo myśli wielu innych uczonych.

Takiego subjektywizmu i aprioryzmu nie może wyzbyć się nawet poznanie natury naszego własnego ja, ponieważ poznajemy je nie bezpośrednio, lecz za pośrednictwem jego aktów, które w myśl teorji kantowskiej mogą dojść do naszej świadomości również tylko za pośrednictwem subjektywnych form poznania.

A cóż dopiero mówić o poznaniu Boga i świata, leżących poza sferą naszego wewnętrznego doświadczenia? Zdaniem Kanta, gdy rozum sili się poznać transcendentalne, najogólniejsze własności wszechrzeczy, gdy stara się wniknąć w ich przyczyny, poznać naturę Boga, duszy lub świata, to wikła się w antynomje czyli sprzeczności, z których każda ma tyle cech prawdopodobieństwa, co jej antyteza.

Faktycznie tedy niema sposobu, opierając się na teorji poznania Kanta, zbudować mostu pomiędzy istotą rzeczy a subjektywizmem form poznania. Sama realność niepoznawalnego świata staje się wobec tego subjektywizmu fikcją. A więc metafizyka jako nauka o bycie przedmiotowym, o jego realnych własnościach, jest z punktu widzenia kantyzmu niemożliwa.

Bez obalenia tedy podstawowej teorji poznawczej Kanta nie sposób nawrócić kantyzmu na realizm. Ale takie obalenie równałoby się obaleniu całego kantyzmu, bo ten ostatni opiera się cały na swej teorji o niepoznawalności prawdziwej istoty świata realnego.

Otóż Joël nie myśli wcale zrywać z Kantem. Nie staje on, jakby tego należało się spodziewać, na gruncie przedmiotowości naszych spostrzeżeń i pojęć, lecz, przeciwnie, zawraca w stronę skrajnego idealizmu, posuwając sceptycyzm Kanta do ostateczności. Powiada bowiem: »Kanta dobrze zrozumieć, znaczy to samo, co pójść dalej niż on«, czyli, jak zobaczymy później, odrzucić zupełnie realność świata przedmiotowego. I dla potwierdzenia tych słów, zresztą nie jego własnego pomysłu, powołuje się na rzekomo syntetyczny charakter filozofji Kanta. »Kant, powiada, był Newtonem ducha, ale potrzebował dopełnienia i to dopełnienie uskutecznili jego następcy..., podnosząc poznany przezeń porządek (logiczny) do znaczenia rzeczywistości. Kant to był właśnie, który w syntetycznej funkcji rozumu uchwycił myślenie jako siłę twórczą, a naukę pojął jako organizację doświadczenia« (dodaj: wewnętrznego) (str. 49). Kładzie Joël również nacisk na tę okoliczność, że wszystkie kategorje Kanta można odnaleźć urzeczywistnione w świecie przedmiotowym, np. w żyjącym organiźmie.

Co do syntetycznego charakteru filozofji kantowskiej, to być może, że może on przydać się Joëlowi do zbudowania metafizyki jego własnego pomysłu, ale nie metafizyki prawdziwej, pojętej jako nauki o bycie realnym, przedmiotowym. Podstawą i podstawową wadą syntezy kantowskiej jest jej subjektywizm, względnie apriorjzm, który sprawia, że synteza ta nietylko nie jest »twórczą«, jak myśli Joël, lecz jest przeciwnie obaleniem, zniszczeniem wszelkiej wiedzy przedmiotowej, a więc i wszelkiej metafizyki. Synteza kantowska sprowadza świat przedmiotowy do systemu fikcyj, wytworzonych przez nasze formy poznawcze, a stąd posiadających mniejszą wartość, niż przysłowiowe zamki, zbudowane na lodzie. W rzeczywistości zaś, żeby człowiek mógł poznać świat przedmiotowy i żeby to poznanie miało walor przedmiotowy, rozum człowieka winien przystosować się do świata, a nie świat do jego rozumu. Zapewne rozum poznaje świat wedle praw swej natury, ale to, co on poznaje, nie powinno, przechodząc przez filtr rozumu, zatracić swoich cech rzeczywistych, aby mogło być nazwane prawdą przedmiotową a nie bezwartościową fikcją naszych władz poznawczych.

Nie w syntezie tedy leży całe, niestety, tak szkodliwe dla naszej wiedzy znaczenie Kanta, lecz, przeciwnie, w jego analizie i krytyce, które święcą swój triumf w »Krytyce czystego rozumu«. Kant wszystko zburzył, ale nic nie zbudował, bo raz odmówiwszy człowiekowi możliwości poznania istoty rzeczy, tem samem zamknął mu drogę do wszelkiej pozytywnej syntezy, mającej walor przedmiotowy. Przeto wygląda to zupełnie na drwiny, gdy p. Joël powiada: »Tak, w potędze syntezy leży jądro nauki kantowskiej«.

Co zaś do kategoryj Kanta, to Joël, podziwiając ich zgodność z rzeczywistością, w swej iście transcedentalnej naiwności myśli, że Kant wymyślił te kategorje, — zresztą wadliwie ułożone, — nie opierając się o świat przedmiotowy, lecz jedynie o swój własny rozum. Mówią, że wolna myśl nie wierzy w cuda. A czyż to nie prawdziwy cud taka dziwna zgodność apriorycznych form myślenia ze światem przedmiotowym? takie przypadkowę przystosowanie się dwóch światów zupełnie odmiennych?

Z drugiej strony podziwianie tej zgodności i dlatego jeszcze nie ma sensu, że w teorji Joëla i rzczywistość i jej podział na kategorje, będące koniecznemi tworami jednego i tegoż umysłu, nie mogą być sprzeczne.

Wreszcie kantyzmu i dlatego już nie można nawrócić na realizm, że to właśnie kantyzm sprowadził ten subjektywizm i relatywizm, który znajdujemy i w filozofji życia i w innych współczesnych surogatach lub raczej falsyfikatach prawdziwej filozofji i jej młodszych sióstr — nauk poszczególnych.

Jeżeli tedy taką jest wartość kantyzmu, reprezentującego umiarkowany kierunek we współczesnej filozofji idealistycznej, dla zbudowania metafizyki, to jakąż wartość może mieć idealizm krańcowy, odrzucający nawet samo istnienie świata przedmiotowego, znoszący nawet indywidualność naszej psyche?

Z tego więc, cośmy dotąd powiedzieli, wynika, że filozofja idealistyczna i filozofja życia nie mogą wprowadzić filozofji na drogę prawdziwej metafizyki, ani każda z osobna, ani też razem wzięte. Powiadamy: »ani też razem wzięte«, albowiem błąd, dodany do błędu, mógłby dać tylko błąd, jak minus dodany do minusa mógłby dać tylko minus. Idealizm i relatywistyczna filozofja, gdyby zechciały prowadzić nas do prawdy metafizycznej, znalazłyby się w roli głupca, któryby zechciał wykładać teorję poznania. Rozum zaś, któryby zechciał mieć takich przewodników w dążności do tej prawdy, zamiast trafić do niej, trafiłby znowu do kałuży błędu, z której chciał się wydostać.

Ale, powtarzam, któż jest w stanie poznać »nadlogiczne głębie« — les profondeurs supralogiques[1]) — psychiki wolnomyślnej? Zawierają one takie niespodzianki, że przed niemi wszystkie cuda świata — furda!

Otóż zamiast uznać, że idealizm i relatywistyczna filozofja są systematami z istoty swej błędnemi, że, aby dojść do prawdziwej metafizyki, należy je odrzucić i wrócić do starej scholastycznej metafizyki lub, conajmniej, szukać innych jakichś dróg, — Joël, jak rzeklismy, postanawia te dwie filozofje połączyć węzłem nierozerwalnym i w ten sposób otrzymać nową wyższą metafizykę.

Jak mu to się udaje, zobaczymy w dalszym ciągu naszego szkicu.

Henryk Romanowski.

(D. c. n.)

---

[1]) Wyrażenie modernisty Le Roy, który tak samo, jak Hegel, James, Fechner i inni filozofowie tegoż pokroju, drwią sobie z przepisów logiki. Sie sind jenseits von wahr und falsch, powiedziałby Nietzsche, znany specjalista od wszelkiego rodzaju absurdów.

Wyprawy zagraniczne możnych za Zygmunta III.

(Dokończenie).

III.

W łonie rodziny Mohyłów, którzy po klęsce na Sasowym rogu znowu znaleźli się w Polsce, wybuchły niesnaski, a to z powodu skarbu po Jeremim hospodarze, deponowanego w zamku Podhajeckim, wynoszącego 200.000 dukatów, tudzież skarbów deponowanych w Rohatynie po hetmanie wołoskim Izaaku Bałyce. Dumna Elżbieta, wdowa po Jeremim, z synami Aleksandrem i Bohdanem wytoczyli procesy przeciwko dumnie Margicie, Gabrjelowi Pietraszkowi, Moiszemu, Iwanowi, jej synom, dalej przeciwko dwornikowi mołdawskiemu Nestorowi Urekiemu, który dzierżawiąc od hetmana Żółkiewskiego Rohatyn, przechowywał tamże skarb Bałyki, a twierdził, że do skarbu ma prawo dumna stara Marja Mohilina. Wdano też pozwy przeciwko Nikorze Pereskułowi wisternikowi tudzież przeciw Konstantemu Byczkowi, dawniejszemu paharnikowi, o uczynienie rachunku z lat czterech administracji Mołdawskiej ziemi. Słowem, sprawa mołdawska zaprzątała sądy, umysły polityków, wodzów, a niektóre rody, jak Golskich, Lanckorońskich, Potockich, Wiśniowieckich itp. wprost były w tej sprawie interesowane. Na Mołdawję zaś sąsiednią tracono coraz bardziej wpływ, o ile że Tomsza, w zupełnej zawisłości będący od Turków, wspierał ich plany ufortyfikowania się nad dolnym biegiem Dniestru, żądał od króla Chocimia, nie wydał jeńców, nawet Stefana Potockiego, słowem stawił się tak wrogo, że król zażądał od Porty usunięcia niewygodnego i niemiłego Polsce wojewody. Porta odpowiadała na to życzenie żądaniem wstrzymania napadów kozackich na terytorja osmańskie. Tatarzy najazdami

trapią Rzptę, a wewnątrz Rzptej zawiązana konfederacja wojskowa ubezwładniała do reszty i tak skromne siły wojenne Rzptej. Z powodu nie odpartych najazdów tatarskich, wyzywającego listu Kazigireja do króla, żeby się odeń uczuno sztuki wojennej, że zabrał car tyle jeńców, iż na jednego Tatara siedm jeńców przypadło, objęło niezadowolenie część senatu [1]) i dały się słyszeć głosy potępiające nieczynność panów hetmanów i rzekome ich niedbalstwo.

Wśród takich stosunków inicjatywie prywatnych otwierano wrota do akcji, dając niejako z góry rozgrzeszenie za działalność wbrew prawu wymierzoną. Na sejmikach podnoszono głosy za zbrojną akcją w interesie Mohyłów na Mołdawji. »Więc rozrzewnili się możni panięta Wiśniowiecki i Korecki«, mówi o tej akcji jeden z senatorów współczesnych, wojewoda sandomierski Zbigniew Ossoliński, usprawiedliwiając tem ową drugą wycieczkę zbrojną do Mołdawji w interesie Mohyłów podjętą.

Uście nad Dniestrem, rezydencja Dumny Elżbiety była ogniskiem tej działalności. W pierwszej połowie czerwca rozesłała ona do senatorów listy, w których opisywała smutne swe położenie, wyzucie z państwa, stratę syna Konstantego. »O tej ostatniej pisze mi car tatarski i drudzy murzowie, ciesząc bolesną po synu matkę i ofiarowując, że na ojca stolicę z pozostałych potomków starszego chcą prowadzić i na państwo posadzić, a Tomszę tyrana, o którego mają z cesarzem tureckim porozumienie, zrzucić«. Dumna posyła przeto zięcia swego księcia Wiśniowieckiego do króla, a senatorów [2]) prosi o poparcie syna Aleksandra, celem posadzenia go na hospodarskim tronie. W listach tych, zręcznie ułożonych celem zapewnienia senatu, że akcja nie spotka na ataki ze strony Tatarów ani też Turcji, odbiło się także echo walki w łonie Mohyłów zaszłej. Bo oto co donosi Elżbieta o swej przeciwniczce Dumnie Margicie, że ta porozumiawszy się z Urekiem, który jej skarby zabrał, chce promować syna swego Gawryłaszka na tron hospodarski, udając, że to się dzieje z wolą króla.

Wprawdzie osnowa listów stała w sprzeczności z faktami, albowiem w sierpniu sułtan oburzony tem, że szajki kozackie zjawiły się pod samym Konstantynopolem, wysłał cara tatarskiego na Podole i Wołyń, które spustoszono, atoli wypadki owe nie prze-

[1]) Wypływa to z ustępu na str. 49 Pamiętnika Zbigniewa Ossolińskiego.

[2]) Jak np. Lwa Sapiehę, Kognoicki, Życie Sapiehów I, 270.

szkodziły Michałowi Wiśniowieckiemu i Samuelowi Koreckiemu czynić w Polsce zaciągi na rzecz Aleksandra Mohyły. Na początek września naznaczono tę drugą wyprawę mołdawską. Zbierano zewsząd wojska, dawnych konfederatów, Lisowczyków, nad wolą Rzptej i króla, jak się skarżył starosta chmielnicki Mikołaj Struś. Gromadziły się roty pod Ranachowskim, Wrzoskiem, Linowskim, Kłembowskim, Świderskim, Palczowskim, Burakowskim, Słabkowskim, Kozanowskim, Kozaków, Wołochów, Tatarów, a w drodze ku Uściu, skąd miała wyruszyć wyprawa, niszczyli dobra szlachty odbijali komory, skrzynie, zabierali złoto i srebro i na skargi szlachty Korecki zelżywościami odpowiadał. Gdy wchodzili w ziemię wołoską — mówi wojewoda ruski Jan Daniłowicz — ziemia halicka wszelkiego od nich spustoszenia doznała, tylko w tem różni od Tatar byli, że ludzi nie brali a wsi nie palili. Kupy przeciągały ziemię i podówczas jeszcze, gdy pierwsze zaciągi już z Aleksandrem wyruszyły do Mołdawji. Na skargi Haliczan król kazał starostom pogranicznym znosić te swawolne gromady, czyniące krzywdy ludziom z przedsięwzięciem wtargnięcia w państwa przyległe, aby pokój pospolity wzruszać [1]). Nie miejcie ich za żołnierzy, lecz za ludzi swawolnych przeciwko prawu pospolitemu wykraczających — pisał król do znękanych Haliczan, gdy tymczasem wszystkie kupy swawolne były już w Mołdawji.

Początek wyprawy za wkroczeniem do Mołdawji zapowiadał się dobrze. Wiśniowiecki i Korecki porazili Turków, wyparli Tomszę z hospodarstwa i osadzili piętnastoletniego Aleksandra Mohyłę na hospodarstwie w Jassach. Wołosi — jak mówi Pszonka — nie byli zbyt radzi nowemu hospodarczykowi, byliby woleli mieć na tronie Symonowego syna Gabrjela, gdyż był starszym; toż wojska polskie źle obchodziły się z Wołoszynami, co ci równą monetą odpłacali [2]). Widocznie pierwsi shardzieli po piętnastu bitwach wygranych, w których rozgromili Turków i Tomszę [3]). Atoli duma była przedwczesną. Odwet turecki wisiał już nad chwilowymi zwycięzcami, tem straszniejszy, że miał dosięgnąć nietylko ich samych ale i Polskę, ojczyznę wojaków zwycięzców.

Skoro w Carogrodzie odebrano wieści o wtargnięciu wojsk z Polski do Mołdawji, zebrano się na naradę. Radzono, żeby Wołо-

[1]) C. Tremb. 112, p. 692.
[2]) A nostris male tractati Valachi .. male nostri tractati...
[3]) Piasecki 356.

szczyznę Turkami obsadzić, Kamieniec, całe Podole i Poniże po Kijów zająć. Tym celem przygotowano na rok następny dwie wyprawy, morską i lądową; pierwszą dowodzić miał Ali-basza i miał zadanie wyszukać kryjówki Kozaków i znieść ich, podczas gdy Iskinder basza miał uderzyć na Mołdawję. Tatarów puszczono powtórnie na Polskę. Nie pomogło, że król Zygmunt zaraz po wkroczeniu wojsk Aleksandra do Mołdawji dał znać do Carogrodu, że wyprawa dzieje się bez wiedzy króla. Burza, oddawna przez hetmana Żółkiewskiego zapowiadana, mająca znieść Aleksandra z Mołdawji, zbliżała się do Polski i trwogą przejmowała graniczne ziemie.

Nie szło pomyślnie Aleksandrowi w Jassach i jego pomocnikom. Szwagra Wiśniowieckiego otruto, jak mówi Pszonka, samemu Aleksandrowi brakło pieniędzy do zapłacenia wojsk, ratował się jak mógł, nawet Ormianom lwowskim zabierał ich gotówki, towary jak sobole w Jassach, aby tem wypłacać żołnierza. Niepłatny wreszcie żołnierz rozszedł się, a Korecki w 500 ludzi stoczył bitwę i dostał się do niewoli Iskindra baszy, który jeńca wysłał do Carogrodu wraz z Aleksandrem, z matką i innymi synami... Zbliżają się Turcy do Dniestru, podczas gdy Tatarzy wpadli na Pokucie. W czasie gdy te zajścia odbywały się w Mołdawji, drżała ze strachu pograniczna ziemia halicka, ciężko dotknięta i przez zbierające się w niej do Mołdawji wojska i przez Tatarów. Jeszcze w czasie pierwszych zwycięstw Wiśniowieckiego i Koreckiego postanowiono za zjeździe, aby na pierwszy manifest wojewody lub kasztelana halickiego spieszyć pod chorągwie dla obrony kraju i być ciągle w pogotowiu. Skoro niebezpieczeństwo poczęło się zbliżać ku granicom, zebrana pod Haliczem szlachta (1 grudnia 1615 r.) obrała rotmistrzów powiatowych, nakazując im oddawać posłuszeństwo, jakie żołnierza obowiązuje względem oficera. Równocześnie i szlachta kołomyjska pod Kołomyją zebrana obrała rotmistrzów, a nadto uchwaliła pobór na zaciąg służebnych dla zahamowania spodziewanego napadu.

Gdy niebezpieczeństwo zawisło tuż na granicy, poczęli ziemianie haliccy wołać o ratunek do wojewody, do hetmana. Na skutek rozesłanych przez wojewodę Daniłowicza uniwersałów zjechała się szlachta dwukrotnie do Lwowa i tutaj postanowiła za pierwszem obwieszczeniem stanąć do ratunku panom haliczanom. Poczuła się do tej solidarności i szlachta przemyska, wreszcie i sanocka, która to na zjeździe pod koniec grudnia 1615 r. tosamo co i lwowska postanowiła. Wojsku Żółkiewskiego, stojącemu na granicach, przybyło

ducha. Nie posunął się dalej Iskinder basza, bo była gotowość u naszych, bo stał hetman z wojskiem i Tatarzy tylko wpadli na Pokucie, ale ich stąd wygnał Wrzeszcz, wysłany tam przez hetmana. W pół lata 1616 stanął hetman nad Uszycą, zatoczył obóz i umawiał się ze starszyzną turecką, że z Polakami wojny toczyć nie będą, jeśli Kozacy przestaną wpadać do państwa tureckiego. Niemniej jednak niebezpieczeństwo znowu zawisło, gdyż warunków ze strony polskiej wobec swawoli kozackiej nie było podobna dotrzymać.

Historyk Piasecki podaje jako przyczynę nieudania się tej drugiej wyprawy mołdawskiej i tę, że hetman Żółkiewski groźbami i mandatami odwołał polskiego żołnierza z Mołdawji. W źródłach niema potwierdzenia tej wiadomości, natomiast i Piasecki podaje [1]) zgodnie z innemi współczesnemi źródłami, że żołnierz polski opuścił Aleksandra z powodu niewypłacanego żołdu.

Sytuacja ówczesna była taka, że prywatne owe wyprawy, które uważać należy za wybujały owoc indywidualizmu szlacheckiego, nie mogły się udać. Posłuchajmy, co o nich mówi hetman Żółkiewski w orędziu swem, datowanem z Żółkwi 14 lipca 1616 r. [2]).

Wiadomo całej Koronie — pisał hetman — jakom się oponował swawolnym postępkom, które za sobą zaciągały łamanie paktów od dawnych czasów przez przodków króla postanowionych i przez J. Kr. Mć z teraźniejszym cesarzem tureckim potwierdzonych. Żem temu rady nie mógł dać, nikomu niema być dziwno, ponieważ tych nieszczęsnych czasów nietylko powaga urzędników poniżona, ale i prawa, instytucje chwalebne Rzptej, władza i zwierzchność J. Kr. Mci, który tych swawolnych postępków surowie raczył zakazywać, lekce poważona.

Podawały się na sejmiki przez J. Kr. Mć, a potem i na sejm przestrogi, z różnych miejsc od różnych osób przynoszone — mówi dalej hetman. Sam nawet rozum ukazował, żeby to była niepodobna rzecz, aby ten poganin odjęciem i złupieniem dwóch prowincyj, tylem krzywd i kozackimi też inkursjami irytowany, miał tego zaniechać ścierpieć. Ciż, którzy byli autorami tego swawolnego do Wołoch najazdu, przez swe fautory tak na sejmikach jako i na sejmach tym przestrogom prawdziwym wiarę ujmowali, udając, że cesarz turecki perską wojną zabawiony nie może się za to brać; że car tatarski

[1]) p. 356. ob non numerata stipendia.
[2]) C. Prem. 322, p. 944.

do Persji na wojnę idzie, że już Aleksandrzykowi od Porty chorągiew niosą. A łacno to było ludziom do wierzenia podać, bo jako ono powiedziano: facile creditur quod desideratur...

Zatem stało się, że te placentia, pocieszne rzeczy udające prawdziwe, Rzptej ochronie i bezpieczeństwu służące przestrogi zatłumiły i nic solide na tym sejmie nie postanowiło się, coby służyło do zabiegania i dania odporu gwałtowi, który już teraz na Rzptą następuje. Nawet co do żołnierza kwarcianego, za uporną kontradykcją kilku osób, nic nie jest postanowiono... i przez pieniactwa i kalumnje żołnierz jest od służby Rzptej odrażon. Teraz te niebezpieczeństwa widne wszystkim, o których jam dosyć głośno, nie mogąc i łez zatrzymać, opowiadał...

Charakterystykę tę wypraw, ilustrowaną smutnemi dla Rzptej następstwami, uzupełnia jeszcze wyraźniej hetman w liście do Tomasza Zamojskiego z 16 sierpnia 1617 r. [1]). Tutaj wyraźnie wskazuje: Potocki Stefan obalił na nas molem immensam. Bo mimo że tak wiele braci naszych zginęło we Wołoszech, zawojowali Tatarzy województwo podolskie, teraz Pokucie... Z Tomszą nadzieja była pokoju, bo i komisarzów spodziewałem się od niego... i onby był rad (pokojowi), ale od Tatar mieć go nie będziem... Skoro sobie odpoczną we Wołoszech, będą zaraz u nas...

Tak pisał opiekun Mohyłów, sprzyjający im i broniący ich interesów ale też kochający ponad wszelką prywatę ojczyznę i miarę jej interesów przykładający do wszelkich spraw, pozostających z ojczystemi w styczności. Sąd jego jest ostrym, zauważyć jednak należy, że sejm je potępił i pod karą banicji najazdów takich zabronił [2]) że niema historyka, któryby te wyprawy prywatnych pochwalał i że już temsamem, że były wbrew prawu podjęte, musiały ujemne skutki przynieść Rzptej, gdyby nawet cel został pomyślnie osiągnięty. Podobnie jak wyprawa Jerzego Mniszka na pomoc Samozwańcowi, Piotra Sapiehy, na pomoc drugiemu Dymitrowi ściągnęły same klęski i myśli odwetu u narodu Moskiewskiego, tak też i wyprawy Potockiego, Wiśniowieckiego i Koreckiego naraziły pozostającą w wojnie z Moskwą i ze Szwecją Polskę na straszny odwet Turcji. Szczęście, że Polska miała takich Żółkiewskich i Chodkiewiczów, którzy ofiarą życia zasłonić zdołali ojczyznę od śmiertelnego prawie ciosu...

---

[1]) Lubomirski, Listy Żółkiewskiego Nr. 110.
[2]) Vol. l. III, 323.

IV.

Wspomniano, że sejmiki, wógóle szlachta we wschodnich stronach Rzptej niechętnie patrzała na wyprawy prywatnych. Wysyłała skargi do króla, do hetmanów, do wojewody, zbierała się na zjazdy, uchwalała ratunek swej ziemi zagrożonej, rujnowanej przez zaciągi, wyniszczające jej dobra. Na granicach gospodarząca i tutaj stróżująca od pogan, była ona w pierwszej zaraz linji narażona na odwet, a mając i tak już ustawicznie prawie na karku Tatarzyna, Kozaka, niedziwna że sprzeciwiała się zakusom, mogącym sprowadzić znowu nowego na nią nieprzyjaciela. Z czasów owego indywidualizmu rycerskiego poznajemy też stanowisko sejmiku wobec zakusów o dość zagadkowym charakterze ze strony Gabrjela Batorego księcia Siedmiogrodu, który najazdem dał się we znaki szlachcie ziemi przemyskiej.

Gabrjel Batory, po abdykacji Zygmunta Rakoczego był obrany 1608 r. wojewodą Siedmiogrodu, w czasie kiedy w Polsce kończył się już ruch rokoszowy wszczęty przez Zebrzydowskiego. Był to mąż nadzwyczaj surowego, prawie okrutnego usposobienia, ale bystro patrzał na to, co się tak w Siedmiogrodzie jak i w sąsiedztwie działo. Pilnie baczy on — pisał w instrukcji dla hetmana o Batorym król Zygmunt — na nasze rozruchy i o życzliwość niektórych, z nieważnem wspominaniem króla IMci sobie pochutnywa. Hetman wprost przestrzegał senatorów [1]) przed zamysłami Batorego, mającego — jak donosił — niektóre porozumienia z rokoszany i chcącego najechać Koronę... Tym, który głównie porozumiewał się z Gabrjelem Batorym miał być Stanisław Stadnicki, Djabłem zwany [2]). Wnioski

[1]) Żółkiewski, Pisma s. 185, por. s. 485.

[2]) Zabójstwo Djabła Stadnickiego nie jest morderstwem, jakby to z przedstawień kilku historyków się wydawało. Było to zabójstwo polityczne za przewinienie względem społeczeństwa i ojczyzny. Zabójca Łukasz Opaliński w zeznaniu swem w sądzie grodzkim przemyskiem uczynionem wyraźnie podnosi, że banitę, który wzgardziwszy prawem pospolitem i zwierzchnością J. Kr. Mci, który... kościoły desertował, wiele ludzi dziwnem tyraństwem pobił, trybunał znieważył z ludźmi cudzoziemskimi zgwałcił... i uczyniwszy zmowę z cudzoziemcy na wiele ludzi i na ojczyznę zgubę nastąpić umyślił. Castr. Prem. 326, p. 1242. Słusznie chwalił się Opaliński, że pokonaniem Stadnickiego odwrócił wielkie niebezpieczeństwo publiczne. Także i Łoziński (Prawem i lewem II, 433) mówi, że twierdzenie to Opalińskiego nie było pozbawione słuszności. Z całego planu Opalińskiego co do zaskoczenia

króla oparte były coprawda na wiadomościach płynących z Rzymu, Wiednia i Konstantynopola, jakoby miał od kogoś z Polski wokowany celem opanowania królestwa — były atoli i z województw pogranicznych wiadomości od wojewodów i kasztelanów, że sam Batory pozyskał już stronników w Polsce, że Stadnicki wbrew konstytucji Sabatów z Węgier najął, przysięgi od ludu wyciąga, podatki wybiera w Leżajskiem (w dobrach królowej), że Szczęsny Herburt nad prawo i skrypt na się dany posłów do Węgier i do Turek posyła. Toż prymas Wojciech Baranowski uniwersałem z dnia 25 stycznia 1610 r. przestrzega szlachtę województwa Ruskiego, że Batory Gabor wokowany jest od niektórych osób, aby na dostojeństwo i na panowanie króla i na wolności nasze nastąpił. Król pod Smoleńskiem będący przez biskupa krakowskiego polecał zabiegać tym usiłowaniom, nakazał, by starosta przemyski, u którego to wszystko się dzieje, porozumiał się z sąsiednimi starostami i wojewodą, zastępującym miejsce hetmana i niechaj zapobiegną złemu, a jeśli jakiemu potężnemu przedsięwzięciu ich nie będą mogli wydołać i przełamać szkodliwych usiłowań, przyjdzie senatorom z prymasem na czele obmyślać o siłę zbrojną i dawać znać królowi [1]).

Wnet już nadeszły poważniejsze wiadomości pod Smoleńsk. Gabriel Batory wpadł do Multan, wygnał stąd wojewodę Radutę. Do Porty wysłał zwycięzca zapewnionie opłaty trybutu z Wołoszczyzny i upraszał o firman. Radut prosi króla o pomoc, a kresowi dostojnicy pisali do króla z obawą, by Batory ośmielony powodzeniem, czego nie począł.

Wtedy to Łukaszowi Opalińskiemu udało się pobić Djabła Stadnickiego, a wnet potem zgładzić w Tarnowie głośnego alianta Gaborowego w Polsce. Wnet już Sabaci Betlen Gabora w kilka tysięcy ludzi przekroczyli Beskid i wpadli w przemyskie. Splądrowali ziemię samborską, pobili ludzi, porabowali kościoły i dwory szlacheckie, sromocili niewiasty. Napad odbywał się oddziałami. Pierwszy oddział Sabatów przekroczył granicę 28 sierpnia, drugi dnia następnego, trzeci wreszcie dnia 30 sierpnia. Dnia 1 września byli

---

Stadnickiego, zanim połączyłby się z Sabatami, z kierownictwa wojskowego zastępów pierwszego, jak znowu z wycieczek Stadnickiego do Sabatów, ze składów jego broni i żywności, które dla Sabatów przygotowywał, widoczne było, że w bojach tych polityczna strona większą odgrywa rolę, aniżeli prywatne porachunki.

[1]) List do biskupa krak. Tylickiego, rękp. bibl. Cieszyn 2, p. 235.

już pod Starem Miastem, złupili klasztor Spaski; tu podzieliwszy się na partje, jedni poszli na Sambor (Nowy), drudzy na Kobło, Straszowice, szerząc postrach i łupiąc dwory szlachty i rozciągając najazd na Drohobyckie i Stryjeckie. Którędy przeszli tylko, pozostawiali za sobą spustoszone dwory, lament i płacz złupionych i posromoconych mężów i niewiast. O wielu pomordowanych braciach, w niwecz obróconych domach głośno mówiono na sejmiku [1]). O zabiciu Andrzeja Błażowskiego w Błażowej, o sprofanowaniu pogrzebu w Torchanowicach, na którym szlachtę pozabijali, poobdzierali, a panny i mężatki pogwałcili, mamy świadectwo zeznane w grodzie przemyskim. Tak Stanisław Wapowski, kasztelan przemyski, jak i starosta przemyski Adam Stadnicki przestrzegali szlachtę kilkakrotnie przed spodziewanym najazdem. Ten drugi, wzywając szlachtę zbrojno pod Przemyśl, 3 września takie rozesłał orędzie: Iż następ ludzi węgierskich, który na nas spadł, nie możem mówić nie wiadomie, bom ja i przed tem uniwersałami swemi przestrzegał niedawno, abyście WMć gotowymi byli, już nie mało głów pomordowanych, majętności szlacheckich połupionych, poplądrowanych zostawił, więźniów pobrał, który się ku Stryjowi udał wielkie mordy czyniąc. Ale jeszcze daleko większy następuje stamtądże, którego kładą na 20.000, jako mi dano znać dziś o czwartej godzinie w noc i niemałe wojsko już tu przez granicę przeszło... A jeszcze mam tę wiadomość, że ci ludzie co następują, nie pójdą tym krajem, którym drudzy przeszli, ale innym się będą chcieli udawać nieruszonym. Tymczasem Sabatowie, widocznie nie znalazłszy adherentów i poparcia ani w ludzie ani wśród szlachty, zaprzestali dzieła zniszczenia i mordów, których widownią było Przemyskie i Sanockie, podzieliwszy się łupem, powrócili do Husztu na Węgry. Obawy kasztelana nie spełniły się.

Na sejmiku wiszeńskim zebrana szlachta we wrześniu tegoż 1610 roku jednozgodnie poczytała ten niesłychany fakt za publiczną obrazę narodu. Postanowiono wysłać skargę do króla. Gdyby zaś skarga nie odniosła skutku, ślubowali sobie wszyscy ziemianie życie i mienie poświęcić, by bracia pokrzywdzeni sprawiedliwość odnieśli a Korona satysfakcję. Co gdyby nie nastąpiło, ślubowali wszyscy zemstę. Nawet do kasztelana krakowskiego wysłał sejmik swego

[1]) Ob. protestacja przeciw Sabatom w Castr. Prem. 327 p. 1387, tudzież Lauda sejmikowe I. Nr. 90, 91.

posła. Nadano władzę staroście przemyskiemu zwołania szlachty przemyskiej, a ktoby się nie stawił na zawołanie, takiego za wroga ojczyzny uważać postanowiono.

Groźba szlachty, a wnet potem i przysłanie przez króla hetmana Żółkiewskiego przecięło pasmo zakusów Gabrjela Batorego, niemniej jak i usiłowania jego polskich pomocników. Do tych ostatnich miał należeć i protektor pierwszego Samozwańca, Jerzy Mniszek. To pewna, że podejrzywany o te związki z Batorym, na sejmie 1611 roku musiał się bronić, a jakkolwiek sejm przeszedł nad tą sprawą siedmiogrodzką do porządku dziennego, hetman Żółkiewski jeszcze i w następnym roku na sejmie wspominał z obawą, aby duchy naszych Batorego nie podżegały [1]).

Jest to charakterystyczne, że na skutek jednej konfederacji jednej ziemi napady zewnętrzne ustępują, a co ważniejsza, potężni magnaci, szukający oparcia o wrogów Rzptej, jak Djabeł Stadnicki, Jerzy Mniszek upadają. Batory nie uzyskał niczego od Turcji, a dla Polski pozostał dalej wrogiem. Starosta przemyski, Adam Stadnicki, wysłany 1612 roku do Węgier, przestrzegał stąd hetmana Żółkiewskiego przed możliwym napadem Sabatów Batorego [2]), a i kasztelan krakowski potwierdzał te obawy. Toczył Batory rokowania z Portą, zwłaszcza gdy Porta posadziła Stefana na Mołdawskim hospodarstwie i ofiarowywał Siedmiogród, by otrzymać Wołoskie kraje a potem i Polskę. Z takiemi dumnemi planami nosił się tyran jeszcze krótko przed swym upadkiem 1613 r., kiedyto odstąpiony przez Sabatów zginął [3]). Sejmik wiszeński jeszcze 1615 r. upominał się

---

[1]) Kozłowski, Elekcja królewicza Władysława na tron mosk. Przegląd Powszechny, t. 23, p. 529 z rękop. Czart.

[2]) Stadnicki Adam przestrzegał też i szlachtę 6 marca 1611 r. Castr. Prem. 327, p. 568, 734.

[3]) Gabrjel Batory do ostatniej chwili otoczony był wojskiem polskiem; mianowicie miał rotmistrzów z ich rotami następujących: Kozłowski, Lachowski, Kustecki, Sylański, Oporowski, Misiowski, Mianowski, Gostkowski, Gołowski, Ścibor, Zembel, Marcinkowski, Rzeczki, Kuczicki, Galczowski, Zdrojewski. Niektóre imiona zdają się być przekręcone i nie dziwno, gdyż wypisuje je Jerzy Drugieth z Homony, skarżąc się w grodzie Sanockim, że mu w przejściu z Węgier do Polski majątek Homonę Niemcy spustoszyli. C. San. 143, p. 1167. Szlachta służy wiernie latami obcym książętom jak n. p. Samozwańcowi p. Walenty Walawski. Ob. jego testament z 4/I 1610 r. w Castr. Prem. 329, p. 530.

u następcy Gabrjela Batorego o odszkodowanie ziemian, przez najazd na Przemyskie w roku 1610 zrujnowanych.

Takim jest krótki rys wypadków, w których inicjatywa prywatnych osób, możnych Polaków, odgrywała wybitną rolę, wprowadzając ojczyznę w kolizje coraz ostrzejsze z sąsiadami, a głównie z Turcją. Nie dotykamy tutaj najgłówniejszego wypadku z tą inicjatywą w związku stojącego, mianowicie zbrojnego poparcia polskiego owych dwóch Dymitrów Samozwańców. Jedno tylko podnieść należy, co jest wspólne wszystkim owym wyprawom, że mianowicie bodźcem do akcji jest ambicja lub prywata; interes ojczyzny odgrywa też rolę, ale jest na drugim planie. Podnoszący akcję magnaci nie liczą się z rzeczywistością, nie obliczają sił ani też następstw, jakie pociągnąć za sobą musiało wniesienie wojny w sąsiedzkie kraje. Przesadnem przedstawieniem łatwości zadania pociągają na zjazdach, sejmikach, a nawet na sejmach mniej rozumniejszych, mniej samoistnie myślących ziemian; zebrawszy kupy rycerstwa i żołnierstwa, obietnic nie spełniają, żołnierza nie płacą, sami dzieło własne podkopują lekkomyślnym kierunkiem, nieoględnością, ślepotą tak często w parze idącą z namiętnemi pragnieniami ambicji. Zatem idą wręcz przeciwne skutki od zamierzonych. Akcją niejednolicie prowadzoną, drażnieniem pobudzają nieprzyjaciela do tak potężnych wysiłków, że jak to w Moskwie się działo, naród nakłaniający się do niewolnictwa podźwignięto i zamiast włączyć go do unji państw Rzpltej lub też mieć go szczerym sprzymierzeńcem, uczyniono zeń ojczyźnie śmiertelnego wroga. Mołdawję i Wołoszczyznę zamiast, jak to zamierzano, oswobodzić z pętów niewoli osmańskiej, poddano jeszcze ściślej pod potężny ucisk Porty. Podrażniono też Tatarów, Siedmiogrodzian i uczyniono z nich wrogów Polski. Co jednak najbardziej niebezpiecznem było dla Polski żołnierzom niepłatnym, szlachcie zawiedzionej obietnicami, Kozakom ściąganym z Niża dawano patent bezkarności, dawano tem zachętę do łamania praw Rzpltej.

W sprawach tych bujny indywidualizm szlachecki, stanowiący czasami niebezpieczeństwo dla Rzptej, znalazł co prawda upust. Możnaby nawet powiedzieć, że upust ten od niejednej wewnętrznej zamieszki uwolnił Polskę, natomiast pewnem jest, że wielu zamieszek i to bardzo poważnych, jak owych konfederacyj żołnierskich, był przyczyną. Także upust krwi był jej marnotrawstwem; przedstawiwszy bowiem sobie te wszystkie niemałe nieraz hufce, jakie rozlewały krew czy to na Sasowym rogu czy pod Trajcą — lub

na wszystkich polach Niemiec hojnie rozlewaną krew Lisowczyków, tych szalonych hufców mieczem zarabiających na sławę obcych narodowości — wyobraźmy sobie te hufce zebrane w jedną falangę pod dowództwem takich Żółkiewskich, Chodkiewiczów do jednolitej akcji, czy to celem posadzenia Władysława królewicza na tronie moskiewskim lub też celem zadania Turczynowi stanowczej nad Dunajem klęski — natenczas przedstawi się nam ów upust sił narodowych, zużytych na prywatne wyprawy, tem, czem był w istocie, marnotrawstwem człowieka... ludzi, których w stosunku do olbrzymiego terytorjum Rzptej, do wydłużonych granic, jakich ze wszystkich stron bronić należało, tak było mało.

Tak oceniał wypadki owe hetman Żółkiewski, ów hamulec swawoli wybujałego indywidualizm szlachty, mimo, że sam król, jak to wyżej dostrzeżono, dawał cichy konsens na wyprawę Stefana Potockiego w 1612 r. Drugim hamulcem indywidualizmu szlacheckiego była szlachta na sejmikach. I ona, lubo bałamucona przez sprawców owych wypraw na zjazdach, sejmikach, sejmach, z ducha równości, żądnej wolności szlacheckiej, czerpała tyle zdrowego trzeźwego sądu, że potępiała swawolę. Bolała nad losem rycerzy, a nawet sprawców wypraw, ale widząc ujemne ich skutki, niebezpieczeństwo, w jakie wtrącano Rzptę, starała się przez wspólną akcję wojenną, przez poparcie siłami swemi hetmańskich szczupłych rot zapobiegać ruinie. Że niejedną taką akcję na skutek zbiorowego oświadczenia się, na skutek konfederacji sił powiatu lub ziemi całej stłumiono w zarodku tego dowodem przemyski związek przeciwko Gabrjelowi Batoremu, który bądź co bądź, lubo zapraszany przez przyjaciół z Polski, ze swymi Sabatami nie powtórzył najazdu granic polskich. W sejmiku tkwił przeto widoczny zbiorowy hamulec przeciw indywidualizmowi ziemiańskiemu; w nim spoczywała siła, dzięki której indywidualizmów nie wybujał tak wielce, by mógł podkopać ojczyznę, zagrozić jej bytowi.

Wszędzie gdzieindziej na zachodzie i na południu ambitny możny, czy wódz, czy polityk, porywał rządy kraju w swoje ręce. Tutaj wobec sejmiku, wobec braci szlachty, przywiązanej do swej wolności, do swego samorządu, do praw i przywilejów, na widok że prywatna zachcianka stoi w sprzeczności z prawami Rzptej, że może przynieść braci zniewolenie, niewolę, powstaje zaraz opozycja. Zachęcą ona do zbiorowej akcji na rzecz obrony legalnego rządu, jest jego poparciem, Anj Kromwelom ani Betlen Gaborom sejmy

i sejmiki nie pozwoliły w Polsce urosnąć, jakkolwiek wielu było w Polsce podobnych co do dążeń z pierwszymi. Zebrzydowski musiał się ugiąć przed sejmem tak dobrze, jak przed królem. Stadnicki Djabeł nie znalazł poparcia u ziemian, opierał się na obcych siłach, na Sabatach; szlachta odeń stroniła jako od buntownika, jak stroniła i od Szczęsnego Herburta i innych rokoszan. W zdrowem społeczeństwie ziemiańskiem, mimo zakazów wszelkich, umiano rozróżniać korzystne od szkodliwego, dobre od złego, gdyż, lubo nie brakło nęcących zachęt ze strony ambitnych, ziemiaństwo oceniało zamiary nie korzyścią prywatną, lecz korzyścią wspólną wszystkich, całej Rzeczypospolitej.

W końcu jeszcze jedna uwaga. Wszystkie te wyprawy, nie wyłączając i podjętych w interesie Samozwańców, biorą początek na kresach Polski Nie dziwne to zjawisko. Na kresach miano największą styczność z sąsiedniemi narodami, najlepszą znajomość stosunków, liczne z sąsiadami związki przyjaźni. W kresowe ziemie zbiegali kandydaci do koron i berel, a tutaj też było najwięcej rycerstwa zajmującego się wojną, znającego jej sposoby, chętnego do wszelkiej choćby najbardziej awanturniczej przygody. Banici, uciekający przed mieczem sprawiedliwości, wykolejeńci, szukający pod chorągwiami możnych karjery, utracjusze, znajdujący na kresach chleb wojskowy, ci wszyscy, jak umieli przewodzić rotom kozackim, taksamo chętnie kupili się pod chorągwie możnych, wnoszących wojny w sąsiednie kraje, szukając przygód krwawych, wśród których możnaby było zapomnieć o dawniejszej, nieraz tak pięknej w ojczyźnie przeszłości. Ale dodajmy, że i tutaj na kresach, wśród tego nieraz steku żołnierstwa, skłonnego do najbardziej hazardownych awantur i wypraw, miejscowa szlachta, wiedziona duchem rządności i prawa, zakłada veto przeciwko czynom samowolnym, ściągającym klęski na ojczyznę.

Dr. A. Prochaska.

Prawo rozwodowe a szczęście małżeńskie.

(Dokończenie).

Dla uzupełnienia obrazu wspomnijmy jeszcze nieco o owocach, jakie stąd wynikły dla społeczeństwa

Rzecz ta nie należy wprawdzie ściśle do naszego tematu, pozostaje jednak w bardzo bliskim z nim związku. W społeczności ludzkiej wszystkie czynniki oddziaływują na siebie nieustannie, od jednostki zależy los ogółu, a stan tegoż odbija się na poszczególnych osobnikach. Pomiędzy małżeństwem zaś a społeczeństwem związek ów zacieśnia się jeszcze bardziej, ponieważ społeczeństwo stoi i upada z rodziną.

Jakie skutki przyniosło prawo rozwodowe społeczeństwu?

Nietrudno to przewidzieć, jeżeli uwzględnimy wyłuszczone poprzednio ujemne następstwa rozwodu. Hedonistyczna moralność rozwodowa, sprzyjająca tylko rozpętaniu najniższych instynktów i oddająca lepszą część na pastwę hańby i nieszczęścia, może tylko podkopać byt społeczeństwa.

Jednym z najpospolitszych tego objawów jest wzmaganie się liczby urodzin nieprawych, zauważone w państwach, które zaprowadziły prawo rozwodowe.

»W tych prowincjach niemieckich, w których ilość rozwodów jest znaczna, jak np. na Śląsku i Brandenburgji, zachodzi również wielka ilość urodzin nieprawych, które pozostają do prawych w stosunku 1 : 7 lub 8; natomiast w krajach, w których rozwodów

jest mniej, np. w Westfalji lub prowincjach nadreńskich, liczba nieprawych urodzin jest trzy razy mniejsza [1])«.

We Francji, która zawsze stanowi pole doświadczalne par excellence, jest fakt ten szczególnie widoczny. Na sto urodzin (razem z nieżywemi) przypadało [2]):

w latach	nieprawych urodzin przeciętnie
1871—1880	7·5
1881—1890	8·4
1891—1900	9·0

Dla lepszego uwidocznienia rzeczy przypomnijmy, że powtórne wprowadzenie prawa rozwodowego we Francji odbyło się w r. 1884. I oto podczas gdy w latach 1821—1880 ilość urodzin nieprawych waha się stale pomiędzy 7·1—7·5 na sto dzieci, to po wejściu w życie nowej ustawy, podskoczyła ona w 20-tu latach do 9-ciu.

Przytaczając powyższą statystykę, nie chcemy twierdzić, jakoby przyczyną złego było prawo rozwodowe; obok niego działają bowiem inne czynniki, na pierwszem miejscu upadek moralności. W każdym jednak razie owa równoległość rozwodów i nieprawych urodzin jest faktem, który zwraca ogólną uwagę i każe domyślać się związku przyczynowego.

Z tem samem zastrzeżeniem wskazać musimy na spadek urodzin wogóle, t. j. tę smutną prawdę, że ilość ich zmniejsza się w pewnych państwach ciągle i nawet wzrastająca liczba dzieci nieprawego pochodzenia nie jest w stanie wyrównać powstającego stąd niedoboru. Na mniejszą skalę zaczyna się tam powtarzać to samo, co działo się w Rzymie za czasów cesarstwa.

Tak np. mamy we Francji [3]):

w r. 1883	urodzin 937.944
» 1890	» 838.059
» 1900	» 828.297

a zatem w niecałych 20-tu latach ubytek przeszło stutysięczny. Znamienną zaś jest rzeczą, że pomimo tego, iż w grę wchodziły tu również czynniki natury ekonomicznej, prawodawczej i inne, jak

[1]) Rivista internazionale, 1903, str. 201.

[2]) H. A. Krose: »Der Niedergang einer grossen Nation«; Stimmen aus Maria-Laach, t. 71, str. 290.

[3]) Stimmen aus Maria-Laach, t. 64, str. 120.

pijaństwo, najostrożniejsi nawet statystycy nie wahają się przypisać znacznej części winy rozluźnieniu węzłów małżeńskich.

Jest to bowiem rzeczą zupełnie naturalną. — W związku, którego ideą przewodnią jest tylko własne użycie i bezgraniczna swoboda rozporządzania sobą, dziecko jest wrogiem, gdyż burzy tę złotą wolność, krępuje, nakłada ograniczenia i zobowiązania. W najlepszym wypadku ludzie tacy zgodzą się na dzieci nieprawe, chociaż i te są dla nich, podobnie jak prawe, »un accident du mariage«, którego wygodniejsi starają się pozbyć za pomocą grzesznych praktyk »pour ne pas se surcharger de bagage«. Biedne dziecko — pisze Cl. Besse — »jest w jednym i drugim wypadku tak wzgardzonem, tak poniżonem, że trudno rozstrzygnąć, przez co staje się bardziej pożałowania godnem, czy przez przyjęcie, jakiego doznaje, czy też przez to, że się go pozbywa«.

Lecz czy, zmniejszywszy ilość, będziemy mieli przynajmniej lepszą jakość? Wszak mniej obywateli, ale dobrych, przedstawia większą wartość, niż wielu lichych.

Niestety nie! — I jest to rzeczą tak pewną, że jeżeli nawet kto żywił pewne wątpliwości co do wpływu rozwodów na ilość urodzin, pozbyć się ich musi całkowicie w obecnym wypadku.

Poprawa bowiem generacji zawisła w pierwszym rzędzie od wychowania, a tymczasem prawo rozwodowe tak utrudnia dobre wychowanie, że czyni je prawie niemożliwem.

Należyta opieka nad dziećmi wymaga bowiem poświęcenia, ofiary i wyrzeczenia się siebie, a przytem długiego czasu i wielkiej wytrwałości. Tymczasem przy zbytniem zamiłowaniu swobody, jakie za sobą pociąga u ogółu prawo rozwodowe i wybujałym egoizmie, będącym równocześnie przyczyną i skutkiem tegoż, odpaść muszą lub zredukować się do minimum powyżej wymienione warunki. Chęć używania, póki można, oraz trapiąca myśl, co może być w przyszłości, zbyt absorbują uwagę, by pozostawić miejsce i czas do zajęcia się dziećmi. Dodajmy do tego zmianę warunków i osób, wynikłą z kolejnego następstwa nowych związków, a będziemy mieli wszystko, co potrzebnem jest do zniweczenia pomyślnego wyniku dzieła wychowania.

Wprawdzie Ellen Key, przewróciwszy swoim zwyczajem do góry nogami wszelką konsekwencję, woła, że »jeśli się kobieta chce wywinąć od osobistej pracy około dziecka, zawsze na nią za to

spadnie hańba, jaka plamić zwykła dezerterów« — lecz zdaje się, że wielbiciele jej niewiele sobią robią z tej groźby.

Przypatrzmy się zresztą, co mówią fakta?

We Francji znajduje się bardzo wiele młodzieży opuszczonej i zdanej na dobroczynność publiczną, ponieważ przeważającą część wyroków, pozwalających na rozwód, wydaje się tym, którzy mają dzieci [1]). Że dzieci tak zostawione nie znają często swych własnych rodziców, a w każdym razie nie mogły otrzymać od nich dostatecznego wychowania, wynika jasno z krótkości pożycia małżeńskiego. A. Castelein [2]) przytacza n. p. statystykę, na podstawie której na sto rozwodów udzielonych we Francji:

w	3	wypadkach	małżonkowie	żyli razem	1 rok albo krócej
„	22	„	„	„	1—5 lat
„	38	„	„	„	5—10 „
„	28	„	„	„	10—20 „
„	7	„	„	„	20—30 „
„	2	„	„	„	ponad 30 lat

Czyli że najwięcej w 10-ciu rodzinach można było dać jakie takie wychowanie przynajmniej najstarszym dzieciom. A w 90-ciu co?

To samo zastajemy w Stanach Zjednoczonych. Los dzieci, pochodzących ze związków rozwiedzionych, »zasługuje zewszechmiar na współczucie« — powiada C. Wright. »W liczbie wspomnianych 328.716 rozwodów (zaszłych w latach: 1867—1886)... w 141.810 wypadkach nie uwzględniono zupełnie dzieci przy rozprawie, wytoczonej z powodu wniesienia prośby o rozwiązanie małżeństwa« [3]). Liczba zaś dzieci, wskutek tego opuszczonych, wyniosła według sprawozdania urzędowego: 267.739 [4]).

Czy to nie są cyfry wołające o pomstę do nieba? Owe dzieci, to przyszli obywatele państwa, przyszli mężowie i żony! Lecz poniewierane, a nieraz wyrzucane z domu, pozbawione serca macierzyńskiego, czy potrafią kiedyś kochać drugich prawdziwie — one, które same nie zaznały miłości?

Za czasów cesarstwa rzymskiego, kiedy orgja rozwodów szalała w całej pełni, synowie nie chcieli słuchać ojca i pragnęli jak naj-

[1]) Rivista internazionale, 1903, str. 198.
[2]) Droit naturel, str. 555.
[3]) C. Wright: Outline of pract. Sociology, 1902, str. 167.
[4]) Zeitschr. für Socialwiss., 1908, str. 230

rychlejszej jego śmierci, aby módz zagarnąć po nim majątek. Syn, któryby żałował przedwczesnej śmierci ojca, był tak rzadkiem zjawiskiem, że Statius nie miał słów pochwały, gdy znalazł jednego takiego. Wielki Cicero nie objawiał prawie żadnego żalu wobec skonu własnego rodzica, okazał go zaś przy śmierci młodego niewolnika, który był jego lektorem. Dzieci były wtedy tak niewdzięczne, niewierne i fałszywe, że rodzice starali się raczej kogoś obcego uczynić spadkobiercą, byle mieć w nim za życia osobę życzliwą i przywiązaną [1]).

Tak było w Rzymie. A dziś? — Dziś wypadki podobne należą do wyjątkowych, ponieważ rodzina stoi jeszcze silnie. Lecz jeżeli ona upadnie, któż będzie śmiał zaprzeczyć, że wobec wzmożonego niezdrowego indywidualizmu jeszcze łatwiej dojdziemy do stanu, jaki panował za Cezarów?

I biedni będą ci niby — rodzice, lecz stokroć biedniejsze ich dzieci, które w takich warunkach znajdą się na świecie. Sprawdzi się wtedy, że ojcowie grzeszyli, a synowie ich pożywać muszą gorzkie owoce i przeklinać będą tych, którzy im życie dali!

Jedno jeszcze więcej rozczarowanie przynieść miało doświadczenie zwolennikom rozwodu.

Zdawało się zrazu rzeczą naturalną, że jeżeli nawet ustawa rozwodowa pociągnie za sobą ujemne następstwa, te z konieczności ograniczą się do sfer wyższych, zamożniejszych. Warstwy pracujące, uboższe nie będą mogły sobie pozwolić na tak kosztowną zabawkę i dzięki temu korzystać będą z przysługującego im prawa tylko w prawdziwej potrzebie i rzadko.

Tymczasem stało się inaczej, co widzimy najlepiej znowu we Francji, kiedy porównujemy ilość i wzrost rozwodów w różnych klasach ludności [2]).

liczba rozwodów	w r. 1885	w r. 1899
wśród kapitalistów i właścicieli	771	864
„ kupców	930	1258
„ robotników	1666	4890
„ ludności wiejskiej	397	837

[1]) Sociale Revue, 1903, str. 576-7.
[2]) Stimmen a. Maria-Laach, t. 64, str. 119.

Zestawienie to pokazuję aż nadto wyraźnie, że w stanie robotniczym i wiejskim ilość rozwodów wzrasta rażąco szybko w porównaniu do warstw pozostałych. Miał więc słuszność Louis Legrand, kiedy w Questions actuelles (25. X. 1902) pisał: »Można rzec bez przesady, że zbliżamy się do zupełnego upadku rodziny wśród klas pracujących«.

Oto parę tylko szczegółów. rzucających jasno światło na smutne następstwa, jakie rozwód sprowadza na całe społeczeństwo przez podcięcie żywotnych soków, utrzymujących jego istnienie i wzrost. Będą nimi upadek ilościowy i jakościowy, przygotowujące powolną ruinę całości, tem tragiczniejszą, że samowolną.

* * *

Lecz jeszcze ostatni promyk nadziei zabłysnął przed oczyma zwolenników rozwodu.

Wszak mamy prawa! A prawodawstwo nie jest przecież instytucją martwą, skostniałą, lecz życiem, które rozwija się i stosuje ciągle do nowych warunków i wymagań! Czegoż więc się obawiać? Z tego, że było źle, nie wynika, iż tak ma zostać. Owszem im więcej się złego stało, tem lepiej, bo poznawszy je — będziemy mogli zabezpieczyć przyszłość przez taką kodyfikację prawa, któraby zapobiegła wszelkim nadużyciom, a umożliwiła osiągnięcie żądanych korzyści.

Stara to jednak piosnka i tyle razy już wypróbowana, że odpowiedź na nią nie przedstawia poważniejszej trudności.

A odpowiedź ta brzmi krótko: chcieć ratować sytuację zapomocą samych praw jest mrzonką, pozbawioną wszelkich widoków powodzenia. Pozytywizm prawny, odgraniczając cały ten zakres od porządku moralnego, pozbawił go bowiem soków żywotnych i skazał na uschnięcie. Spodziewać się od samych praw polepszenia losu znaczyłoby to samo, co żądać, by drzewo, któremu podcięto wszystkie korzenie, puszczało dalej liście i rodziło owoce. Daremna to nadzieja!

Choćby się zresztą pragnęło utrzymać łączność obu tych porządków, nic to nie pomoże, jeżeli się uznaje tylko moralność niezależną. Bo gdy Boga niema — i prawa niema! A jeśli jest, to cała jego siła polega tylko na zewnętrznej sankcji: policji, sądów i więzienia. Owo z emfazą powtarzane »poszanowanie prawa« staje się wtedy tylko pustym frazesem, który jeszcze mniej odpowiada rze-

czywistości, niż dramat rozgrywający się na deskach sceny teatralnej. W gruncie rzeczy cała ta deklamacja znaczy tyle: rób co chcesz, byle cię nie złapano — i nic więcej.

I jeżeli prawdziwość tych słów okazuje się aż nadto często tam, gdzie chodzi o sprawy zewnętrzne, przy których obawa kary powinna być hamulcem wystarczającym, cóż dopiero dziać się będzie na terenie tak wewnętrznym i ukrytym, tak ściśle związanym z duchową stroną człowieka, jakim jest małżeństwo. Trzeba zaiste całkowitego zapoznania natury ludzkiej i niezrozumienia najelementarniejszych zasad życia, by w samem tylko prawodawstwie upatrywać ocalenie.

Pod pokrywką bowiem powierzchownych zmian, poczynionych przez prawo — powiada słusznie Roguenant — działają namiętności w dalszym ciągu, nie zważając wcale na reguły, jakie im chciano nałożyć. Jeżeli obyczaje sprzyjają grze namiętności antyspołecznych i nie dopuszczających do wzniesienia się duszy ku wyższej moralności, żadne prawo nie zdoła zapobiedz szerzeniu się przestępstw, skandalów i zbrodni wynikających ze złych obyczajów« [1]).

Słowa te opierają się na wieloletniem i rozległem doświadczeniu i są wyrazem przekonania samych prawników i socjologów.

Rozpatrując np! smutny stan stosunków małżeńskich w Stanach Zjednoczonych oraz jego przyczyny, zastanawia się C. Wright nad środkami prawnemi, któreby mogły zaradzić złemu. Wniosek, do którego ostatecznie dochodzi, jest ten, że samo prawo tu nie pomoże, ponieważ dotyka tylko zewnętrznej strony związku; jedynem wyjściem jest podniesienie kultury moralnej społeczeństwa, aby ono przestało żądać łatwego rozwodu [2]). Inny Amerykanin, W. G. Smith z Fjladelfji, zamyka swe badania przyczyn rozwodu oświadczeniem, że »niema nadziei zapobieżenia demoralizacji, dopóki większość narodu nie powróci do wiary w nadprzyrodzoną sankcję małżeństwa» [3]).

Prawda ta jest tak jasną, że nawet między zwolennikami socjalnej demokracji ci, którzy patrzą więcej objektywnie na całą sprawę, przyznają razem z L. Braunem, że »żadne prawo, które nie zwraca się do źródła złego, tylko zajmuje jego zewnętrznemi sym-

[1]) Natalité et les moeurs, str. 161.
[2]) Outl. of pract. Sociol., str. 175.
[3]) Catholic Encyclopedia, New-York, t. V, str. 69.

ptomami, nie potrafi naprawić obyczajów« [1]). Szkoda tylko, że uprzedzenia i sofizmaty nie pozwalają im na wyciągnięcie odpowiednich konsekwencji.

Że wszelkie próby ograniczenia ujemnych następstw prawa rozwodowego zapomocą samych tylko środków prawnych, musiały być z góry skazane na niepowodzenie, wykazało najlepiej długoletnie doświadczenie.

»W r. 1884 — pisze Clément Besse — żądano, aby rozwodu udzielano rzadko i z trudnością, jedynie małżonkom najbardziej nieszczęśliwym i przy ściśle określonych warunkach. Tymczasem co zrobiono z tych zastrzeżeń? Co robili sobie z nich ci nawet, którzy je doradzali i uchwalili? Niektórzy z pośród nich już wtedy mówili prywatnie między sobą, że tego nikt nie będzie się trzymał. I rzeczywiście wyłom raz uczyniony powiększał się nieustannie. A jakże temu zapobiedz teraz, kiedy tylu prawników i parlamentarzystów, rozprawiaczy, konferencjonistów, wierszokletów, gazeciarzy, amatorów sceny, adwokatów stara się wszelkiemi siłami, aby to prawo rozszerzyć« [2]).

Jakże bowiem postępowały sądy we Francji?

Nie starały się wcale, lub przynajmniej bardzo rzadko, o pojednanie zwaśnionych małżonków, owszem udzielały łatwiej rozwodu niż separacji. Coraz liczniej napływające podania o rozwód przyjmowano z tą samą łatwością, nie zważając przytem na dzieci. Co więcej, zaczęto coraz swobodniej tłumaczyć ustawy, przekraczając w tym względzie dopuszczalną miarę i zmieniając nawet treść samą. Prawo z r. 1884 pozwalało np. na udzielenie rozwodu po upływie trzyletniego pożycia w separacji, na żądanie jednego z małżonków, owszem nawet w tym wypadku pozostawiało sądowi wolną rękę, licząc na jego surowość. Tymczasem powoli ustalił się zwyczaj, iż po trzech latach rozwód stawał się prawnym bez względu na racje i chociaż go żądała strona winna.

A czy w Stanach Zjednoczonych dzieje się lepiej? — Niestety w państwie tem, które ma pretensje do kroczenia na czele dobrobytu materjalnego i kultury, popełnia się na polu prawno-małżeńskiem rzeczy, jakich w Europie nie spotykamy. Rozwodów udziela się tam

---

[1]) »Die Frauenfrage« 1901, str. 20.
[2]) Revue prat. d'Apologétique, t. 11, str. 341.

dla przyczyn tak błahych, że wprost trudnych do uwierzenia. W jednym np. ze zachodnich stanów udzielono pewnej mężatce pozwolenia na rozejście się »z powodu srogiego i nieludzkiego obchodzenia się« z nią. Na czem zaś ono polegało? Oto na tem, że mąż nie chciał nigdy wyjeżdżać razem z żoną na spacer [1]). Toteż sami Amerykanie drwią z takich ustaw i powiadają żartobliwie, że u nich »można otrzymać rozwód dla jakiejkolwiek przyczyny, począwszy od łysiny, a skończywszy na brzydkiej pogodzie«.

Lecz — powie niejeden — czy najwyższa władza nie może przeszkodzić złemu przez obostrzenie ustawy?

Może pomódz trochę, ale wykorzenić złego nie zdoła, ponieważ nie potrafi zapobiedz różnym nadużyciom.

Zresztą jak można żądać tu obostrzenia? — Przecież ustawa rozwodowa została wprowadzoną »w imię wolności«, ta zaś wyklucza jakiekolwiek ograniczenia i domaga się tylko coraz szerszej swobody!

Na to ostatnie zanosi się też wszędzie. Jeżeli mamy się liczyć z opinją i tendencjami, objawiającemi się w szerokich kołach, możemy śmiało powiedzieć, że w państwach, w których istnieje prawo rozwodowe, zapowiada się tylko coraz większe jego rozluźnienie.

Jeżeli w jakim kraju powinna np. nastać chwila otrzeźwienia, to we Francji. Tymczasem u ogółu nie spotykamy go wcale, owszem dają się od dość dawna słyszeć liczne głosy z żądaniem, by sama tylko obopólna zgoda małżonków wystarczyła do prawnego otrzymania rozwodu. Zapatrywanie to szerzy się, urabia powoli opinję publiczną i może przejść z czasem w formę ustawy, zwłaszcza że nie można mu odmówić pewnej słuszności. Chcąc bowiem obecnie otrzymać rozwód, trzeba faktycznie lub fikcyjnie uczynić coś takiego, co według kodeksu wystarcza do osiągnięcia tego celu, a zatem cudzołostwo lub ciężkie skrzywdzenie itp. Wtedy zaś osiągnęłoby się ten sam skutek prostszą drogą, bez farsy lub zbrodni. Już kilkanaście lat temu słyszało się też we Francji, że z czasem rola sędziego stanie się zupełnie zbyteczną, gdyż kwestja zawarcia lub zerwania związku przejdzie w całości do rąk interesowanych, jako ich sprawa prywatna.

Przewidywania te nabierają tem większego prawdopodobieństwa, że program przedstawicieli socjalnej demokracji, której ro-

[1]) Zeitschr. für Socialwiss. 1908, str. 221.

snącego wpływu nikt nie może zaprzeczyć, posuwa się właśnie po tej linji, jak o tem świadczą ich wyznania.

Tak np. według Fr. Engels'a będą mogli małżonkowie rozejść się, i to bez procesu sądowego, skoro tylko miłość między nimi ustanie lub zwróci się ku trzeciej osobie. W podobnym duchu przemawiają Stern, A. Hoffmann, Kautsky, a kobiety przewyższają ich jeszcze w zapale reformatorskim. Wystarczy zresztą, by przeparto np. zdanie A. Bebel'a, a rozwód musiałby być przyznawanym dla najdrobniejszej nawet przyczyny. Według niego bowiem »z chwilą, gdy między dwojgiem ludzi, którzy zawarli związek małżeński, nastaje nieporozumienie, rozczarowanie lub nawet wstręt — moralność nakazuje rozerwać ten związek, który stał się nienaturalnym, a zatem niemoralnym« [1]).

O skutecznem obostrzeniu prawa rozwodowego niema zatem mowy.

Powiedzmy więcej: nawet gdyby ono dało się przeprowadzić, nic lub przynajmniej nie na długo by to pomogło! Ludzie na wszystko znajdą wybieg.

Przymusowe prawa, wydane przez Augusta w dawnym Rzymie, miały tylko ten skutek, że zawierano ponowne związki, a małżeństwo stało się przedsiębiorstwem handlowem. W nowszych zaś czasach powtórzyło się to samo, tylko w zmienionej szacie. Gdziekolwiek próbowano chwycić się ostrzejszych środków w kwestji rozwodowej, tam zaraz powstawała nowa, nieznana przedtem gałąź przemysłu. We Francji i Ameryce powstały osobne biura, nie obawiające się nawet anonsować po dziennikach, które za stosowną opłatą ułatwiają rozwód niezadowolonym małżonkom. Uczą one, jak odegrać niezbędną komedję, czy dramat, dostarczają fałszywych świadków i przeprowadzają całą rzecz aż do skutku. W kraju dolara funkcję tę spełniają często sami urzędnicy lub pastorzy — potrzeba tylko kilka sztuk srebrnej monety.

Sądzimy, że to wystarczy. — Wyczerpaliśmy najgłówniejsze możliwe sposoby wyjścia, wszelkie inne próby dadzą się sprowadzić do którejkolwiek z powyżej wymienionych.

Możemy zatem z całą pewnością postawić twierdzenie: że żadne prawo państwowe nie będzie miało samo z siebie mocy do takiego ograniczenia

[1]) »Kobieta i socjalizm«, Kraków 1907, str. 299.

ujemnych następstw ustawy rozwodowej, któreby usunęło dotychczasowe braki, a podniosło znaczenie i poziom małżeństwa. Przy wyłącznem zastosowaniu tego środka, zło nie tylko nie zmniejszy się, ale urośnie jeszcze.

* * *

Doszliśmy zatem do ostatecznego wyniku.

Zagadnienie rozwodu, samego w sobie, nie wkraczało bynajmniej w zakres tej pracy. Nas obchodziło jedynie pytanie, o które głównie rozgrywa się walka w świecie: czy prawo rozwodowe, wprowadzone przez państwo, jest zbawiennem czy zgubnem?

W rozważaniu tem wstrzymywaliśmy się od wszelkich czysto spekulatywnych dociekań, ograniczając się możliwie do pozytywnych danych, chociaż i tych przytoczyliśmy małą tylko cząstkę. Umyślnie nie wciągnęliśmy również w rachubę stanowiska, jakie zajmuje Kościół katolicki w tej kwestji, ażeby tem bezstronniej, w świetle samych faktów przedstawić całą rzecz.

I jakże ona wypadła? Zestawmy w streszczeniu cały bilans prawa rozwodowego.

Po stronie ujemnej znaleźliśmy: ogólny upadek obowiązkowości, lekkomyślność w zawieraniu związków i wzajemną nieufność małżonków, płynącą z ciągłej obawy złamania danego słowa; widzieliśmy częste tragedje, kończące się nieraz samobójstwem i zabójstwem, nie mówiąc już o znęcaniu się, porzucaniu i sprzeniewierzaniu wierności małżeńskiej; ujrzeliśmy wreszcie szkody, wynikłe dla całego społeczeństwa z powodu obniżenia się poziomu moralności, wzmożenia liczby dzieci nieprawych i spadku urodzin wogóle.

A co zastaliśmy po stronie dodatniej? — Nic. Trochę szumnych frazesów i zawiedzionych obietnic, a pozatem nic. Pewna bowiem ulga czy korzyść, odniesiona przez niektóre jednostki, nie zdoła nigdy zrównoważyć szkody, wyrządzonej ogółowi.

Na którą więc stronę paść mają głosy, czy mamy żądać wprowadzenia ustawy rozwodowej, czy też przeciwdziałać jej wszystkiemi siłami w imię dobra jednostki, rodziny i społeczeństwa, w imię samego szczęścia małżeńskiego, widzieliśmy jasno.

Lecz na tem poprzestać nie możemy. Praca nasza postąpić musi jeszcze dalej.

Nie pomoże bowiem sama nierozerwalność małżeństwa, jeżeli równocześnie nie podniesie się cały poziom moralny, jeżeli poszczególne jednostki nie staną na tej wyżynie, z której będą mogły spoglądać bezpiecznie na rozhukane morze namiętności, szalejących dokoła, na bagno złego, kryjące się zdradziecko pod ich stopami. Do tego potrzeba im jednak siły moralnej, charakteru niezłomnego i środków skutecznych do ich zdobycia. Wtedy dopiero prawo trwałości związku małżeńskiego stanie się wyrazem ich własnych myśli, ziszczeniem najgorętszych pragnień, urzeczywistnieniem wymarzonych ideałów.

A kto ma te środki? Kto je poda?

Wśród zawieruchy dziejowej, w której instytucje i hasła powstają i giną, błyszczą świetnie czas jakiś, by potem znowu zanurzyć się w odmętach, skąd niekiedy wyrwie je przypadkiem powrotna fala, by za chwilę znowu pogrążyć w głębi — jedna tylko organizacja potrafiła przetrwać wszystko i stoi piękna, świetna, wspaniała, niewzruszona jak skała.

To Kościół katolicki.

On jeden posiada nietylko najwznioślejsze prawdy i zasady, ale zarazem środki do ich przeprowadzenia, a dowiódł tego przez wieki.

Powiecie może, że tylu katolików żyje źle w małżeństwie. Prawda — lecz nie dlatego, że są katolikami, tylko ponieważ są złymi katolikami. Pokażcie jeden przykład zawinionego nieszczęścia małżeńskiego, o którem możnaby powiedzieć, że wynikło z powodu zachowania zasad religji katolickiej! — Nie znajdziecie go.

Gdzie wiara żyje w sercu i w czynie, tam kwitnie tylko szczęście, tam nie istnieje problem rozwodowy.

Ks. Stanisław Podoleński.

O pomoc polskiej nauce.

Znaczenie niezmienne nauki dla życia narodu i to życia nie tylko umysłowego, ale i politycznego, lata ostatnie wykazały w sposób niewzruszalny. W straszliwych zmaganiach się ententy z Niemcami nietylko że zastosowano wszystkie najnowsze metody i wynalazki nauk ścisłych, ale nadto w obu walczących obozach wezwano i nakłoniono wszystkich wybitniejszych mężów nauki, by zawiesiwszy na czas wojny badania teoretyczno-naukowe, wszystkie swe siły umysłu, naukę swą i cały doświadczalny aparat, nagromadzony tak obficie w ciągu stulecia, oddali na usługi wojny.

Przyznać trzeba, że to zarekwirowanie nauki dla celów wojennych, chociaż ze stanowiska militarnego konieczne, dla nauki samej a nawet i dla cywilizacji było bardzo niekorzystne. Bo nietylko że powstrzymało same badania naukowe na lat kilka, lecz nadto wprowadziło w obóz ludzi uczonych świata, dotychczas pracujących zgodnie i bez narodowych zawiści dla prawdy i nauki, rozdział tak ostry, że obawiać się słusznie można, iż powstrzyma on tak korzystne, a nawet konieczne współpracownictwo między-narodowe, powszechno-ludzkie, badaczy. To jeden z stosunkowo drobnych, lecz bardzo jaskrawych i w skutkach swych dla nauki wcale doniosłych przykładów. Jak wiadomo oznaczenie dokładne ciężarów atomowych pierwiastków, teoretycznie proste, w praktyce przedstawia trudności tak znaczne, że dotychczas, mimo tylu pomiarów i usiłowań, jakie poświęcono we wszystkich krajach świata cywilizowanego tej kwestji, nie można było dojść do jednolitych wyników. Celem pracy dalszej nad tym przedmiotem utworzyła się więc komisja międzynarodowa, która poddawała dokładnym badaniom najnowsze pomiary uczonych na tem polu i rok rocznie ogłaszała tablice ciężarów atomowych, oparte na osiągniętych w ten sposób, najświeższych rezultatach.

Rzecz oczywista, że podczas wojny cała ta praca o pierwszorzędnem dla chemji tak praktycznej jak i teoretycznej znaczeniu uległa przerwie, ale ta przerwa, z powodów wyżej wyłuszczonych, ma na razie przynajmniej trwać i dalej. Gdy bowiem jeden z niemieckich członków tej międzynarodowej komisji do oznaczania ciężarów atomowych (w najnowszym żargonie nazwaćby ją trzeba IAK) znany chemik niemiecki Wilhelm Ostwald zwrócił się już po zawieszeniu broni do prezesa tejże komisji, którym jest profesor F. W. Clarke w Waszyngtonie, z wnioskiem, by na rok 1920 zatrzymać niezmienną tablicę ciężarów atomowych, a dopiero na rok przyszły, 1921-szy, poddać ją gruntownej rewizji, otrzymał, jak donosi Chemiker Zeitung, znaczącą odpowiedź od prof. Clarke'a, że międzynarodowa komisja wyda tabelę ciężarów atomowych na rok 1920-ty bez współudziału chemików niemieckich. Gdy do takich przykładów cząstkowych dodamy ten ruch żywiołowy separatystyczny, jaki zapanował na akademiach ententy i przypomnimy sobie owo masowe wykreślanie niemieckich uczonych z poczту członków zagranicznych akademij, jakiego dokonano jeszcze na początku wojny, gdy uwzględnimy animozję naukową, jaka panować musi między uczonymi, walczącymi niedawno z całym wysiłkiem umysłu w usługach ojczystych armij i starających się wydrzeć sobie wzajemnie zdobycze naukowe, by wyzyskać je praktycznie do potrzeb wojny, gdy uwzględnimy nieobliczone szkody, jakie nietylko w technice, lecz niejednokrotnie w nauce wyrządziło zniesienie praktyczne ochronnego prawa patentów, to łatwo przejąć się obawą, że nie tylko na polu politycznem i ekonomicznem, lecz i naukowem, rozdarcie świata cywilizowanego i walka niekrwawa, lecz wyniszczająca, potrwa czas jeszcze niemały.

Czy i jaki wpływ będzie ona miała na naukę polską? Bezpośredniego może mieć nie będzie, gdyż jakkolwiek politycznie i uczuciowo należymy wszyscy do ententy, to jednak z drugiej strony znaczna część naszych uczonych odbywała swe nauki na uniwersytetach niemieckich, zna dobrzo język niemiecki, i przed wojną miała stosunki z niemieckim światem uczonym, więc niema wątpliwości, że tak z tych względów, jaki i z powodów geograficznego położenia naszego państwa także i z niemieckiemi źródłami naukowemi będziemy w styczności. O ile więc teoretycznie jesteśmy w wyjątkowo prawie korzystnem położeniu, zwłaszcza przy tak rozpowszechnionej u nas znajomości języków obcych, to trzeba sobie uprzytomnić z całą

świadomością, że z innych, całkiem niespodziewanych powodów nauce polskiej grozi jeszcze niebezpieczeństwo i prawie śmierć — śmierć przez uduszenie. Niespodzianka ta straszna pochodzi ze sfer nauce najzupełniej obcych, bo ze sfer giełdziarskich; naukę naszą ścisłą i nawet całe nasze życie umysłowe dławi kurs naszej waluty. Frank francuski 18 koron, frank szwajcarski 40 koron, funt szterling przeszło 700 koron, dolar blisko 250 koron — któż wobec takich cen pieniądza zdoła kupić zagraniczną książkę naukową, a tembardziej zaprenumerować pismo naukowe, zwłaszcza wobec specjalnych trudności transportowego ruchu!? Pomijając takie pisma pozanaukowe, jak Times, który w Londynie kosztuje 3 pensy (dawnych 30 halerzy), a za który ostatniemi czasy trzeba było w Krakowie płacić 11 i pół korony za numer, albo taką paryską Illustration, której numer gwiazdkowy, w Paryżu kosztujący 6 franków, w księgarni krakowskiej kosztował 100 koron, dość powiedzieć, że takie pismo przyrodniczo naukowe, jak londyńska Nature, kosztowałoby rocznie w Krakowie około 1800 koron, zamiast przedwojennych 52 koron — i w tym samym stosunku pisma inne.

Sejm nasz i ogół publiczności zajęty jest tylu sprawami pierwszorzędnego znaczenia, że na tę sprawę, cicho lecz gruntownie podmywającą życie narodu, jaką jest zupełne odcięcie polskiej nauki i polskiej umysłowości od ich źródeł zachodnich i amerykańskich, nie zwraca się zupełnie uwagi. Czas już ostatni, ażeby zaradzić coś na tę klęskę duchowego głodu, wcale nie mniej groźną, jak głód materjalny. We Francji rząd, ażeby dostarczyć ludności taniego chleba, dopłaca rocznie miljardy do cen zboża, nabywanego zagranicą. Czyżby nie było wskazanem, ażeby rząd nasz poświęcił rocznie kilka miljonów na dopłacanie do cen kupna naukowych czasopism i książek zagranicznych, bez których ruch naukowy i umysłowy zmarnieć musi? W ministerstwie oświaty mógłby powstać rodzaj bióra aprowizacji umysłowej, któreby przynajmniej dla bibliotek, redakcyj pism, profesorów i pracowników pióra sprowadzało czasopisma i książki, lecz tylko naukowe, i odstępowało je tym osobom i instytucjom po cenach możliwych, przedwojennych, a chociażby nieco wyższych, licząc w walucie koronowej czy markowej, a nadwyżkę kosztów pokrywałaby subwencja »głodowa« rządu. Zdaje się, że byłby to jedyny sposób wyjścia z położenia nie tylko przykrego, ale wprost przerażającego i zapobieżenia zupełnemu upadkowi nauki, jakim nam grozi izolacja umysłowa od zagranicy, zwłaszcza wobec zupełnego

zaniku wydawniczego krajowego, spowodowanego żądaniami naszych giełd drukarskich.

Gdy przed paru tygodniami sprawę powyższą poruszyłem w krakowskim Czasie, przekonałem się z licznych uwag, tak ustnych, jak pisemnych, że potrzebę ry hłego zaradzenia złemu odczuwają wszyscy, mający styczność bezpośrednią z nauką. Obawiam się jednak, że może niedosyć jasno zdajemy sobie wszyscy sprawę z trudności, o jakie tu chodzi. Są one mianowicie dwojakie. Jedne czysto finansowej natury, pochodzące częściowo z podwyższenia cen publikacyj zagranicznych, a głównie z powodu niesłychanego spadu kursu monet, które u nas w kraju są w obiegu, więc koron i marek. Drugiego zaś rodzaju trudności, niemniej od pierwszych ważne, a może jeszcze ważniejsze, to zupełna dezorganizacja ruchu pocztowego i wogóle transportowego z zagranicą. O ile trudności finansowe mogłaby poniekąd złagodzić prosta subwencja rządowa, udzielana naukowym zrzeszeniom, jak to projektuje dr. Włodek, o tyle nad trudnościami przesyłkowemi może zapanować wyłącznie rząd, zapomocą dobrze zorganizowanych ajencyj dyplomatycznych, jakie we wszystkich większych ośrodkach cywilizowanego świata posiada. Przy każdej większej dyplomatycznej ajencji istnieje lub istnieć winien referent spraw handlowo-przymysłowych. Ten więc albo lepiej jeszcze, projektowany przez prof. Kętrzyńskiego attaché naukowy mógłby zapomocą większej miejscowej księgarni bez trudu zamawiać wydawane w danym kraju a żądane przez polskich uczonych dzieła i pisma i przesyłać je do kraju pod opieką specjalną, jako przesyłkę rządową, którąby w ten sposób dochodziła do Warszawy szybko i pewnie. Bióro zaś odpowiednie ministerstwa oswiaty rozsyłałoby je już wprost do poszczególnych prenumeratorów. Subwencja rządowa, udzielana jedynie towarzystwom naukowym, przedstawiałaby może i tę niekorzyść, że krępowałaby swobodę jednostek pracujących naukowo w doborze potrzebnych pism i książek, hamowałaby w sposób nienaturalny rozwój poszczególnych działów nauki, któreby w danej chwili potrzebowały nabywać stosunkowo więcej, niż inne. Oznaczenie normy rozdziału takiej subwencji byłoby z tego powodu niezmiernie trudne, gdy tymczasem pozostawienie swobody indywidualnej, o zmuszanie petentów do pokrycia części wydatków usunie nieznośny pozór jałmużny rządowej i sprawi, że pomoc rządu będzie szła zawsze równolegle z istotnemi potrzebami nauki i przedsiębiorczością jednostek.

Jakąkolwiek jednak formę się obierze, koniecznem jest działanie bezzwłoczne, do którego także powinna się we własnym interesie przyczynić bardzo wydatnie sama entente, jak to słusznie zaznacza p. St. Wędkiewicz. Obecnie bowiem stosunki tak się ułożyły, że skazani jesteśmy wyłącznie na pokarm naukowy niemiecki, gdyż książki i pisma niemieckie są stosunkowo tanie, i jako takie dużo dostępniejsze niż z krajów ententy. A nad światem skuteczniej i piękniej panuje się ideą, więc czasopismem i książką, niż dyplomacją, grozą i ekonomicznym wyzyskiem, jak to entente słusznie zaznaczała zawsze w ciągu wojny światowej.

Ks. Feliks Hortyński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Książki o wojnie i jej skutkach.

Dr. Tadeusz Szydłowski: Ruiny Polski. Kraków, 1919, VII, str. i 214, 227 rycin i mapka orjentacyjna.

Piękny i cenny nabytek zyskała literatura polska naukowa i naukowo-popularna w postaci książki, która pod powyższym tytułem zeszłego roku w czerwcu się ukazała. Autor jej, długoletni i zasłużony konserwator krajowy dla b. Galicji zachodniej, a w czasie wojny kierownik Urzędu Konserwatowskiego dla całej okupacji austrjackiej, przedstawił w niej obraz zniszczeń i strat, jakie poniosły nasze zabytki kulturalno-artystyczne w dziedzinie głównie architektury tak kościelnej jak świeckiej, murowanej i drewnianej, wraz z ornamentyką, dotykając tu i ówdzie także pomników rzeźby i malarstwa. Mając dostęp tylko do terenów okupacji austrjackiej, zregestrował autor w dziele swojem szkody tylko w tej części Polski, t. j. we właściwej Małopolsce i na Rusi Czerwonej, omawiając je wedle dawnego podziału na województwa (krakowskie, sandomierskie, lubelskie, bełzkie i ruskie), zacząwszy od najstarszych romańskich zabytków, a skończywszy na pomnikach XIX w.

Nie jest to jednakże, jakby się zdawać mogło, sucha regestracja szkód i wyliczenie zniszczeń, topograficzne według podziału miejscowego, lecz obraz umniejszonego naszego stanu posiadania w dziedzinie zabytkowej na tle ogólniejszem, mianowicie na tle historycznego rozwoju architektury w Polsce południowej, wedle stylów i epok. Wpadł więc autor na szczęśliwy pomysł połączenia dwóch rzeczy ze sobą: obrazu ruin z obrazem historycznego rozwoju sztuki, przez co uniknął monotonności pewnej i powtarzań. Powtóre, rzecz cała się ożywiła, a na tle ogólnej historji sztuki obraz strat jeszcze bardziej się uwypuklił i nabrał tem większego znaczenia zwłaszcza, że autor nie tylko podaje zniszczone zabytki, ale obok nich tu i ówdzie także niedotknięte przez wojnę, ale pokrewne zniszczonym, w świetle których te ostatnie tem jaśniej występują.

Tak tedy pod piórem autora z »Ruin Polski« powstała »Historja sztuki w Polsce«, napisana wprawdzie tylko ubocznie i dorywczo, ale posiadająca wielkie i doniosłe znaczenie, jako pierwsza próba tego ro-

dzaju, jako pierwsze usiłowanie skreślenia w najogólniejszych zarysach pragmatycznej, o naukowe postulaty opartej, historji sztuki — ściśle się wyrażając historji architektury — w pewnej przynajmniej części Polski.

Wprawdzie żałować należy, że autor pracą swoją nie objął całej Polski, ale te zabytki, które zawarł w swoim opisie to zabytki najstarsze i najcharakterystyczniejsze dla polskiego budownictwa i najliczniejsze i zarazem niestety najbardziej zniszczone.

Dziś, kiedy jeszcze architektura w Polsce czeka na swego historyka, dzieło tego rodzaju jak »Ruiny Polski«, stanowi podręcznik do tej historji i tymczasowy i przyszły historyk będzie niezawodnie z niego korzystał.

A więc zaczyna autor od najstarszych zabytków kościelnych romańskich i gotyckich, potem omawia przejściowe gotycko-renesansowe, następnie czysto renesansowe zamki i kaplice, wreszcie przechodzi do barokowej i rokokowej epoki, a kończy cały rozwój zabytkami z epoki klasycyzmu. Architekturze drewnianej, jako odrębnej, osobny jest poświęcony ustęp.

Wprawdzie nie miał autor pretensji stworzenia dzieła naukowego pod tym względem w ścisłem tego słowa znaczeniu, t. j. takiego, któreby zawierało samodzielne jego badania nad genezą i charakterem omawianych zabytków w związku pragmatycznym; celem bowiem głównym autora jest regestracja szkód i otworzenie oczu szerokiego inteligentnego ogółu na zniszczenie, jakie wojna ze sobą przyniosła. Jednak autor tło swoje historyczno-artystyczne opiera na podstawach naukowych, zawartych w licznych monografjach, traktujących naukowo o pojedynczych zabytkach. Natomiast wielką zasługą autora jest, że umiał luźne owe zabytki ze sobą powiązać i przedstawić je poglądowo w świetle ewolucji stylistycznej. Tym sposobem rozstrzelone zabytki nabierają życia, łączą się w jeden wielki organizm żywy, rozwijający się ciągle aż do najnowszych czasów.

Charakter książki jest więcej naukowo-popularny. Książka nie jest pisana tylko dla uczonych historyków sztuki czy kultury w Polsce, ale uogólnia się dla całego szerokiego ogółu inteligencji polskiej, tak duchownej jak świeckiej.

Książka otwiera oczy na skarby bezcenne, jakie mamy, a jakich niestety nie doceniano nawet w kołach t. zw. inteligencji, t. j. ludzi o wyższem wykształceniu. Poprzez karty tragicznych opisów ruin prześwieca szlachetny i obywatelski cel autora obudzenia żywego zamiłowania do zabytków i zaopiekowania się niemi.

Do tego celu zmierzają końcowe ustępy książki. Wylicza tu autor prace, jakie podjęto celem uchronienia tego z ruin Polski, co zostało, od zupełnego zniszczenia. Przy tej sposobności podaje cały szereg praktycznych wskazówek, jakie mu podyktował stan najnowszy nauki o ochronie zabytków, a które mają w intencji autora oddziałać na szerokie masy naszej inteligencji. Po raz pierwszy ze strony urzędowej konserwatorskiej czytamy tego rodzaju zasady i wskazówki jako sądy fachowego znawcy i długoletniego konserwatora. Dla historji tych za-

bytków wielce ważną jest rzeczą, że autor utrwalił zapomocą dobrych fotografij wygląd ich przed wojną, jakoteż w czasie wojny. Po wojnie bowiem nabiorą zapewne innego wyglądu.

Strona wewnętrzna książki, papier kredowy, piękne i liczne ilustracje, artystyczny i nowy krój czcionek, wydanie wprost wytworne książki w czasach, kiedy drukowanie jest niesłychanie trudne i jest wprost luksusową rzeczą, stanowią niepoślednią wartość dzieła. A gdy dodasz do tego styl autora barwny, jasny, potoczysty i żywy i przebijające poprzez karty wszędzie niezwykłe umiłowanie zabytków naszej kultury, to nic innego nie zostaje, jak powiedzieć, że książka ta winna się znaleźć w ręku całej naszej inteligencji, przedewszystkiem duchownej, a potem świeckiej.

Ks. prof. Wł. Żyła.

Frédéric Rouvier. En Ligne. L'Église de France pendant la grande guerre. (1914—1918), 5 édit. Paris, Perrin et Cie, 1919. Str. 552.

Przeżyliśmy jedno z najpotworniejszych zmagań, jakie ludzkość zapisała w swoich dziejach. Wielu nawet w przybliżeniu nie zdaje sobie sprawy z jego ogromu. Toteż napisać historję tych zapasów, historję o ile można wierną i bezstronną, będzie to zadanie, którego się podejmą chyba korporacje naukowe, bo mózg jednego człowieka staje bezsilny wobec tej masy dokumentów, jakie kryją w sobie choćby tylko archiwa państwowe. Można jednak już dzisiaj szkicować poszczególne epizody tej wojny, prądy, jakie obudziła i t. d. Otóż jeden z takich prądów, który wstrząsnął wraz z powołaniem pod broń jeśli nie całą Francją, to olbrzymią ilością jej synów, to odnowienie ducha religijnego, konkretnie mówiąc, praktycznego życia katolickiego. I właśnie to odrodzenie religijne, działalność episkopatu francuskiego, rolę kleru, który się tak chlubnie zasłużył około wielkości Francji jako żołnierz, sanitarjusz czy kapelan, matczyną troskliwość sióstr zakonnych, o których żołnierze wszędzie świadczyli, że nikt nie umie z taką dobrocią ich pielęgnować — maluje w szeregu barwnych, żywych obrazów Rouvier. Z opowiadania bije wielka bezpośredniość, bo przeplatane często zapiskami, wyimkami z pamiętników, listów uczestników i świadków. Czuje się, że duch religijny Francji nie wygasł, ale był tylko przygłuszony nienawistną robotą masonerji i rządu — wojna rozbudziła go z wielką siłą.

Jednejby się rzeczy pragnęło w tej książce: więcej jeszcze danych statystycznych, a może trochę mniej uniesień.

Rouvier, szeregując bohaterskie wysiłki kleru świeckiego i zakonnego i wierzących katolików, podjęte dla wielkości Francji, chce im złożyć akt hołdu i wdzięczności. Chce powtóre przypomnieć swoją książką, że Francja przy swej odbudowie wewnętrznej ma obowiązek i wdzięczności i sprawiedliwości dać katolikom: »tym parjasom dnia dzisiejszego, należną im część szacunku, spokoju i swobody«.

J. A.

Ks. R. Gaëll: Księża na polach walk we Francji. Przekład Z. Jachimeckiej. Nakład Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Książka niezmiernie ciekawa, tętniąca życiem. Nie jest wprawdzie ks. Gaëll poetą, ani nawet wybitnie utalentowanym pisarzem, brak mu siły pióra, jest zato dobrym obserwatorem; z jego pracy przebija życiowa prawda i tworzy doskonały przyczynek do historji wojny światowej. Przedewszystkiem, przeczytawszy dzieło ks. Gaëlla, rozumiemy zwrot od niewiary do wiary, jaki się dokonał w duszy narodu francuskiego. Jedyny to kraj, który w szeregi walczące powołał księży na równi z innymi obywatelami państwa, i cóż się stało? Żołnierz francuski zdobywał rowy strzeleckie, a ksiądz-koledzy zdobywali dusze tego żołnierza. Bohaterstwo księdza-żołnierza porywało, jego wiara i jego spokój w obliczu śmierci działały potężniej, niżeli wszystkie z kazalnic głoszone słowa, uczyła jego pokora. Ksiądz francuski zdobył duszę swojego ludu, zwalczył niechęć, mocą poświęcenia zyskał szacunek i umiłowanie współbraci. Szkice ks. Gaëlla to albo własne przeżycia z obserwacji szpitalnej albo obrazki, osnute na tle listów przyjaciela, który mu przesyłał wrażenia z frontu, z sali szpitalnej później, a o którego bohaterskim końcu zdał sprawozdanie jeden z pielęgnujących go sanitarjuszy. »Kochać ojczyznę dla miłości Boga — aż poza wrota śmierci« stało się hasłem księży żołnierzy i ta ich ofiarna, płomienna, pozbawiona wszelkiego samolubstwa miłość musiała porwać naród siłą przykładu. Bo słowo tylko wtedy działa, gdy poza niem stanie czyn.

M. Czeska-Mączyńska.

Stan. Kutrzeba: Kongres, traktat i Polska. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa, str. 198.

Jako członek biura prac kongresowych, miał prof. Kutrzeba możność wglądnięcia w tok prac konferencji pokojowej w Paryżu, a zwłaszcza niektórych jej komisyj, o ile zajmowały się kwestją Polski. Przytem, nie reprezentując żadnej politycznej partji, mógł ocenić bezstronnie działalność naszych zagranicznych reprezentacyj, jak n. p. Komitetu Narodowego w Paryżu. Rzeczywiście w broszurze swej szkicuje zwięźle, ale dość wypukło ten dział prac przygotowawczych do traktatu pokojowego, które nas dotyczą, prostując w niejednym szczególe niedokładne pojęcia szerszego ogółu, który urabiał swe sądy pod wpływem dzienników i plotek. Zwłaszcza wprowadza nas w psychologję przedstawicieli różnych państw koalicji i pomaga nam zrozumieć pobudki nawet tych ich wystąpień, które dla nas nie są korzystne, n. p. stanowiska Anglji wobec Gdańska i t. p. Autor jest też, na równi z prof. Haleckim, gorącym rzecznikiem Związku Narodów. — Broszurę czyta się do końca z wielkiem zaciekawieniem i pożytkiem.

J. B.

Z wydawnictw zbiorowych.

Noworocznik Chyrowski. 1920. Dla Ciebie, Polsko, i dla Twej chwały. Chyrów 1920. Wydany staraniem i nakładem Związku b. Chyrowiaków i Chyrowskiego Koła Tow. im. Piotra Skargi. Z drukarni Józefa Styfiego w Przemyślu. Str. IV+64.

W mowie swej na uroczystościach poznańskich dnia 28 grudnia 1919 r. p. marszałek Trąmpczyński, złożywszy życzenia w imieniu Sejmu wyzwolonej już od roku Wielkopolsce, przechodzi do »rachunku sumienia«, zadając sobie pytanie: »Czy staliśmy się godnymi wolności, którą nam Opatrzność zesłała?« Odpowiada na nie szczerze i otwarcie, że »kilku błędów wyprzeć się nie możemy«, popełnionych w pierwszym roku odzyskanej wolności. Wymienia naprzód »falę lenistwa«, która po zakończeniu wojny rozlała się po całej Europie, a której i my nie umieliśmy zatrzymać przed granicami naszemi... »Rezultat był ten, że dziś jeszcze nie możemy prawie nic z kraju wywozić, a nasze konieczne potrzeby życiowe pokrywać musi zagranica!...« Następnie tak mówi: »Fakt ten wywołał drugi błąd: rozlał fale pesymizmu..., który paraliżuje wszelkie wysiłki, okrzykując je z góry jako daremne. Bądźmy optymistami, nie bezmyślnymi i bezczynnymi optymistami według starego przysłowia »jakoś to będzie«, ale tym optymizmem, który budzi niezłomną energję pod hasłem: »na wszystko jest rada, na wszystko jest sposób«. Kraj, który ma tyle bogactw w ziemi, jak żaden inny, który ma niewyczerpany zasób sił roboczych, poszukiwanych w całej Europie, który ma niezrównanego żołnierza, gotowego bronić kraju od zewnętrznej napaści — musi stanąć w rzędzie pierwszych narodów na świecie! Ale budźmy wiarę w te niespożyte siły kraju i narodu naszego. Pamiętajmy o tem, że państwa stoją temi samemi środkami, któremi powstawały, a czem powstało nasze nowe państwo? Wiarą nieugiętą w nasze odrodzenie, w naszą jasną przyszłość, — wiarą, którą przekazywały pokolenia, jedno drugiemu, aż nareszcie Opatrzność do Polski zawołała: »Wstań i idź — wiara Cię uzdrowiła!«

Dziwnie zdrowy duch odzywa się do skołatanego długą wojną społeczeństwa polskiego z tej jędrnej mowy marszałka Sejmu. Bije ona przeczystą falą rozumnego optymizmu i gorącej wiary, która powinna pokrzepić słabe serca wielu, rozprószyć czeredy nocnych puszczyków, ustalić chwiejną wolę i do wielkich, wiekopomnych czynów porwać cały naród, zjednoczony w krwawym trudzie odbudowy Ojczyzny.

Przeczytawszy świeżo wydany Noworocznik Chyrowski na r. 1920, doznałem uczuć i wrażeń podobnie krzepiących ducha, jak przywiedziona tu mowa p. marszałka. Niech sprawozdanie niniejsze będzie ich uzasadnieniem.

Wspomniany »Noworocznik« jest pięknem świadectwem, wydanem przez wychowanków Zakładu chyrowskiego jego duchowi i narodowej żywotności, jego wysiłkom i trudom, trwającym już lat 34, pomimo najsroższych ciosów, zadawanych tej polskiej na kresach placówce przez

potrójną falę zniszczenia, jaką po kolei Zakład ten zalewali Rosjanie, Austrjacy i Ukraińcy. Tym razem naprawdę »jak feniks z popiołów« przetrwał on wszystkie burze pięcioletniej wojny, a wdzięczni wychowankowie jego, jako dowód swego życia, swych myśli, uczuć i ideałów i czynów, ogłaszają na r. 1920 swój »Noworocznik« pod hasłem: »Dla Ciebie, Polsko, i dla Twej chwały«. I rzeczywiście podany w tym noworoczniku materjał stwierdza prawdziwość tego hasła.

Wydany nakładem »Związku byłych Chyrowiaków« i »Chyrowskiego Koła Tow. im. Piotra Skargi«, t. j. dwu różnych organizacyj, z których pierwsza obejmuje dawnych wychowanków prywatnego gimnazjum OO. Jezuitów w Bąkowicach pod Chyrowem, a druga obecnych — obie zaś powstały na parę lat przed wojną — zawiera ten noworocznik przedewszystkiem szereg artykułów ogólniejszych, na których czele jest piękna parafraza hymnu ambrozjańskiego »Ciebie Boże chwalimy«, wyrażająca w podniosłej formie, tchnącej powagą i namaszczeniem, uczucia podzięki i miłości dla Boga i Królowej Korony Polskiej za wskrzeszenie Ojczyzny. W pierwszym artykule Dr Witold Bełza składa »Żołnierzowi polskiemu« hołd za to, że »w ogniu zaciętego boju czyścił duszę polską z pleśni zgnuśnienia i niewiary, a w płynącej strugami krwi zmywał błędy i winy przeszłości« (str. 3); że »dobył z ducha tę wiecznie żywą świadomość wolności, której nie przygasiły twarde lata klęsk i niedoli ojczystej« (str. 4). Następuje oświadczenie »Do p. Prezydenta J. Paderewskiego«, jako ówczesnego szefa rządu, skierowane przez Z. b. Ch., »stowarzyszenie — jak czytamy w tem piśmie — liczące 500 członków ze wszystkich stanów i zawodów, tudzież dzielnic polskich, którego więcej niż połowa broni obecnie Ojczyzny orężnie, a 16 na polu walk poległo« (str. 5). Zawiera ono postulaty Związku, powzięte na posiedzeniu jego prezydjum w dniu 21 września 1919 r., podpisane przez prezesa jego, mecenasa Dra Jerzego Rosinkiewicza ze Lwowa. Chcemy tu zwrócić uwagę czytelników na niektóre bodaj punkty tego memorjału, w których duch patrjotyczny Związku najjędrniej się wypowiedział: Tak np. w § 3 Związek stwierdza, że »pierwszą i najważniejszą sprawą w rozbudowie naszej drogiej Ojczyzny jest uchwalenie konstytucji, dla której jednym z drogowskazów byłaby Konstytucja 3-go maja, która postanawia, że religją narodową panującą jest i będzie wiara święta rzymsko-katolicka ze wszystkiemi jej »prawami«; w § 5 wypowiada zasadę, że »współuprawnioną we funkcji ustawodawczej powinna być izba wyższa zgodnie z dawną tradycją polską i przykładem Anglji. Stanowiska kierownicze winny być oddawane jednostkom umiejętnym, doświadczonym i gorąco miłującym sprawiedliwość, w obronie i wykonaniu praw nieugiętym i nieustraszonym. Rząd powinien energicznie wystąpić do walki z anarchją, próżniactwem i bezładem społecznym... i w tym celu więc należy popierać zrzeszenia, które dążą do zjednoczenia całego narodu przez skupienie wszystkich związków zawodowych, kulturalnych i społecznych dla wspólnej pracy narodowej, dla wytworzenia jednej opinji i pomocy państwu i narodowi«. »Aby

powyższe ideały stały się rzeczywistością — zauważa Związek w p. 6 — niezbędną jest rzeczą przywrócić Kościołowi większy wpływ na publiczne wychowanie i szkolnictwo, które całe społeczeństwo winno otoczyć jak największą opieką i troskliwością«. W p. 7 oświadczają: »Pragniemy pracować nad podniesieniem oświaty w duchu religijno-moralnym, nad podniesieniem... dobrobytu wszystkich warstw i klas społecznych bez niesprawiedliwego pokrzywdzenia którejkolwiek; ale zarazem prosimy, aby w tej sprawie przodował nam zawsze rząd i sejm w Warszawie«. — »Z Rusinami i z żydami — jak głosi p. 8 — pragniemy żyć w zgodzie i odnosić się do nich sprawiedliwie, bez zemsty i prześladowania; ale musimy bronić naszej kultury oraz naszego stanu posiadania, a również dążyć do tego, aby nasz handel i przemysł opierał się na zdrowszych i sprawiedliwszych niż dotąd podstawach«. W końcu domagają się od rządu, aby energicznie przyczynił się do powrotu naszych jeńców z Syberji, wśród których jest też wielu członków Związku byłych Chyrowiaków (str. 5—7). — W następnym artykule rozwija p. Eugenjusz Korecki, na tle wywiadów dziennikarskich z Hooverem, głęboką myśl tego »żywiciela Europy« o potrzebie pracy całego narodu »ku wielkiej odbudowie«, jako »najprostszej drodze do inkarnacji pięknego snu o potędze« (str. 7). — Ks. Tadeusz Marekowski, znany już dobrze pracownik nad wychowaniem młodzieży i autor cennych dzieł religijnych, w gorących słowach wzywa do pogłębienia życia katolickiego w Polsce. — Dr. Stanisław Salkowski, prezes Koła Lwowskiego Z. b. Ch., wskazuje w swym artykule p. n. »Zjednoczenie narodu obowiązkiem każdego Polaka« na obywatelską powinność współpracy i poparcia, t. z. Konfederacji narodowej, do której powstania dał inicjatywę ks. Czesław Oraczewski w Warszawie, a która już skupiła pod swym sztandarem do miljona Polaków dobrej woli i kilkaset towarzystw w celu doprowadzenia do skutku prawdziwego spojenia w jedność rozbitych przez rozbiory dzielnic. — W artykule p. t. »Czuwajmy« wzywa p. Wiesław Skarżyński, prezes Koła warszawskiego Z. b. Ch., w gorących, żarem miłości przodków nasyconych słowach wszystkich Chyrowiaków-Sodalisów w imię haseł prawdziwego kultu Bogarodzicy do silnych organizacyj celem odpierania wrażych ataków na najcenniejsze skarby duszy polskiej — »aby w naszym kraju panowały: prawo, porządek i sprawiedliwość« (str. 49). — A jeden z ósmaków tegorocznych, Jerzy Chróbski, prefekt Sodalicji Marjańskiej w konwikcie, z młodzieńczym zapałem w swych »Rozmyślaniach o Polsce« wskazuje swym kolegom drogę do wyrobienia w sobie hartu woli, by pomnożyć w Ojczyźnie zastępy wielkich charakterów, któreby zmiotły nalot zła, co »zamuliło powierzchnię naszego życia porozbiorowego«, jako wstrętny skutek rządów obcych na naszej ziemi. Jakiś »Chyrowiak« — co nie chce być między pisarzy policzon, bo, jak zapewnia, rzadko miewał dobrą notę od profesora języka polskiego, i dlatego nazwiska swego nie wymienił — podaje w artykule »Co robić?« szereg bardzo praktycznych wskazań dla podniesienia etycznego poziomu w społeczeństwie, jak n. p., by wszystkich, co się bogacą

z krzywdą bliźnich przez naruszenie VII przykazania, nazywać bez ogródek i eufemizmów jedynie złodziejami; by nie psuć polskich urzędników przez pomaganie do łapownictwa; by płacić państwu sumiennie wszelkie daniny i podatki; by śmiele i publicznie przyznawać się do swej wiary katolickiej; by żyć oszczędnie obchodząc się bez zbytkownych zagranicznych towarów, a zdolne z pośród polskiej młodzieży jednostki jak najliczniej skierować do szkół technicznych i uczelni zawodowych dla rozwinięcia własnego przemysłu i handlu, bo »wtedy będziemy mieli wiele na zbyt i wywóz poza granicę, a od obcych mniej będziem potrzebować« (str. 55).

Ten długi szereg poważnych prac samych wychowanków Zakładu Chyrowskiego przeplatają i urozmaicają inne wierszem lub prozą, już to głoszące wzniosłe ideały w szacie rymowej, jak n. p. »Pobudka« Jastrzębca, »Liberae Reipublicae vox« p. Janusza Kozłowskiego, »Dwa chóry« S. M., »Błękitne rozwińmy sztandary« Jana Art. — już to w prozie pełne świeżości wspomnienia z wojny, jak n. p. p. Zbigniewa Surówki »Ciężka noc« — tętniący prawdą epizod z walk pod Sądową Wisznią z Ukraińcami; p. Tadeusza Bandrowskiego »Jak zostałem żołnierzem polskim?« — pamiętnik chwytający za serce szczerością reprodukcyj doznań wojennych młodego ucznia chyrowskiego, który od r. 1914 — był wtedy w kl. IV — przeżył wszystkie nadzieje i wszystkie zawody polskiego legjonisty; p. Józefa Birkenmayera »Z Syberji« — urywek z listu, budzący cześć dla tego hartownego i przez cierpienia zahartowanego syna profesora wszechnicy Jagiellońskiej, co tam na dalekiej północy służy wiernie polskiemu sztandarowi, a nawet redaguje »Żołnierza polskiego« dla swych stęsknionych za Ojczyzną towarzyszów broni!

Wobec nawały prac samych byłych lub obecnych wychowanków Zakładu członkowie grona chyrowskiego słusznie usunęli się na plan drugi i wzięli w »Noworoczniku« udział skromniejszy; słuszna bowiem, by za nich przemawiali ci, których wychowaniu poświęcili od ćwierćwiecza wszystkie swe siły i chwile. Nie brak ich jednak. Długoletni profesor nauk przyrodniczych i propedeutyki, ks. Jan Nuckowski, dawniejszy rektor Zakładu, dał w formie psychologicznej nowelki pt. »Z refleksyj przygodnych« szereg głębokich spostrzeżeń nad współczesnym pesymizmem polskim.

Redaktor »Kwartalnika Chyrowskiego«, ks. Teofil Bzowski, pośpieszył do swych umiłowanych, rozprószonysh po szerokim świecie, z serdecznemi jak zawsze życzeniami — »Z opłatkiem« — a wplótł w nie garść aktualnych uwag z pism Gomulickiego i Skargi, przeznaczonych jakby właśnie na chwilę zamętu, którą przeżywamy. — To znów Ks. Jakób Krysa, znany dobrze wszystkim Chyrowiakom, profesor historji i duchowny konwiktu, w krasomówczym wianuszku, osnutym na pieśniach Marjańskich, zwraca się do Sodalisów, by w nich rozniecić na nowo żywą wiarę i ufność w opiekę Niepokalanej. — A Ks. Kazimierz Konopka, b. kapelan wojsk gen. Hallera, w zwartym szkicu kreśli krwią i łzami malowany obraz przejmującej do szpiku kości epopei tych —

jak niektórzy mniemali — «zatraceńców», co po brzeskim pokoju poszli w świat daleki, by wywalczyć Polskę prawdziwą. Dzieje tych walk, o ile autor brał w nich udział, i późniejsza, nad wyraz ciężka odyseja Ks. Konopki wśród tych niezliczonych przewrotów, na jakie Ukraina i Wołyń były wystawione aż do 15 września 1919 r., czyta się z zapartym oddechem, bo to świadectwo bezpośrednie naocznego świadka i do tego historyka z zawodu. — Ks. Leon Kapaun zaś, profesor filologji klasycznej, jako pracownik apostolski na Polesiu w swych wakacyjnych »wczasach« po wyjściu z półrocznej niewoli ukraińskiej, zdaje sprawę ze stosunków religijnych w »Pińsku i okolicy», dokąd nas same dzieje zdają się wzywać dla podjęcia na nowo zerwanych przez Rosję nici katolickiej i kulturalnej pracy, którą w XVII w. swą krwią męczeńską przypieczętował Patron naszych kresów, Bł. Andrzej Bobola. — Ks. Józef Bury, jako zarządca dóbr Zakładu Ch. w czasie najokrutniejszych zapasów, które konwikt zniósł skutkiem półrocznego oblężenia przez Ukraińców, dał bardzo dokładny, wierny i ścisły, a grozą przejmujący pamiętnik historycznych dla Chyrowa dni 14 i 15 maja z. r., co przyniosły ukochanej uczelni wyzwolenie z najsroższego ucisku skutkiem bohaterskiej ofenzywy naszej armji pod kierunkiem nieustraszonego jej wodza na tym odcinku, o gołębiej prostocie serca i gorącej wierze generała Zielińskiego.— Na zakończenie podano nekrolog ś. p. Antoniego Wiwulskiego, chluby Chyrowa, zmarłego tak przedwcześnie i tak świątobliwie w obronie ojczystego dlań Wilna przed dziczą bolszewicką!

Dwa pięknie odbite portrety, J. E. ks. Arcybiskupa i prymasa Dalbora i śp. Wiwulskiego, jako też wiele ilustracyj, zdobią to piękne i krzepiące ducha wydawnictwo. Zespół myśli, uczuć, ideałów, rad, postulatów i programów narodowych i religijnych jest w nim tak cudownie jednolity, że porywa, wzrusza i zapala do najszlachetniejszych postanowień i czynów.

»Dla Ciebie, Polsko, i dla Twej chwały!«

Ks. Romuald Koppens.

Nieco z belletrystyki.

Wiktor Gomulicki: Krzyż. Poznań, 1919, nakł. księg. św. Wojciecha.
Tenże: Pieśń o Gdańsku. Poznań, 1919, nakł. jak wyżej.
Aleksandra Leśniewska: Życie: Poznań, 1919, nakł. jak wyżej.

1. »Krzyż« Wiktora Gomulickiego jest to rzecz ciekawa w założeniu, nieco ciężka w formie, ale wyróżniająca się korzystnie pośród literatury doby ostatniej. Autor przedstawia nam ścieranie się prądów partyjnych w Warszawie w epoce powstawania Polski współczesnej; kreśli krecią robotę żydów, zdążających do obalenia porządku, by osiągnąć ową talmudyczną potęgę... przyobiecaną przez proroków wybranemu narodowi. Na tem szeroko podmalowanem podłożu, rozwija autor przeżycie duchowe Rajnolda Beer-Bierskiego, syna miljonera, który

dla interesu zmienił ongiś wiarę i nazwisko, jednak duchowo przynależnym pozostał do środowiska, z którego wyrósł. Rajnold odziedziczył sentymentalizm, jaki w rasie żydowskiej w tak dziwny sposób miesza się ze skrajną zmysłowością i materjalizmem i on to popycha go do szukania przygód, omotuje go w sieć rewolucyjnego związku, którego kierownictwo spoczywa w rękach żyda-miljonera, brata przeznaczonej Rajnoldowi za żonę pięknej, zmysłowej, kończącej w zakładzie dla obłąkanych Lili Berlińskiej. Na drodze życia nudzącego się złotego młodzieńca, jakim był Rajnold, staje prosta, silna, polska dzieweczka i jej przeidealizowana matka i pod wpływem tych dwóch kobiet głównie w duszy młodego człowieka dokonuje się przełom. A tymczasem związek rewolucyjny wzrasta, Rajnold pragnąłby się cofnąć, jak cofnął się z małżeństwa z Lili Berlińską, ale tu kroku wstecz nie uznają. Los, a raczej mściwa ręka biała dawnej narzeczonej sprawia, iż partja doręcza mu do spełnienia wyrok... na własnego ojca. To przepełnia miarę! Stary Beer-Bierski umiera nagle w drodze do kąpiel, a Rajnold oddaje społeczeństwu, co z męki społeczeństwa chciwą dłonią jego przodków zostało zabrane.

2. »Pieśń o Gdańsku« jest to powtórne wydanie pracy dawniejszej, opatrzone wstępem i objaśnieniami historycznemi — rzecz na czasie, gdy walka o Gdańsk zajmuje tak żywo każdego Polaka, ale... jedna ze słabszych prac cenionego pisarza. Ogromnie ciekawe natomiast i uwagi godne są objaśnienia historyczne, uzupełniające wydanie nowe.

3. Bywają książki o sympatycznej treści, z których jednak przebija się jakiś ton bardzo znany... nie niosą nic nowego. Takiem jest i »Życie«, dla dorastającej młodzieży rzecz doskonała, same dodatnie charaktery, prześcigające się w szlachetności, poprawna forma, myśli piękne — dla dorosłych, dla których właśnie rzecz zdaje się być przeznaczona — mniej zajmująca. Jest bowiem wiele chwil, których przejawów nie zdołała wykorzystać autorka. W duszach ludzkich żadna prawie ofiara nie dokonuje się bez walki i takie np. wyrzeczenie się przyznanej nagrody konkursowej przez architektę Pelczara, na rzecz bardziej utalentowanego, chorego kolegi, powinno było wypaść o wiele silniej, mogło wzruszyć i porwać, a stało się tylko przemijającym epizodem, nie uwypuklającym się z tła. Równie bezbarwnie Lena spotyka się z życiem, z miłością może, że wobec epoki, którą przeżywamy, wydają się nam takie małe miłości i ofiary czemś bezmiernie dalekiem, szarem, echowem, ale w »Życiu« życie nie tętni i odkłada się książkę p. Leśniewskiej z zawodem.

Marja Czeska - Mączyńska.

Ascetyka.

Dr. Jakob Schmitt: Des Priesters Heiligung. Erwägungen für Seelsorger, str. 12 i 348.

Szczęśliwą była myśl, aby skarby kapłańskiej ascezy, zawartej w licznych artykułach ks. prałata Schmitta w »Linzer Theologisch-pra-

ktische Quartalschrift« od 1881—1902 r., zebrać i wydać w formie książki. Podjął się tej pracy Dr. W. Burger, wybierając z nich najcenniejsze i zestawiając je systematycznie pod tytułem wyżej wymienionym. Odznaczają się te duchowne rozprawki głęboką pobożnością, gruntowną wiedzą a przedewszystkiem niezwykłą praktycznością, płynącą z własnego doświadczenia autora i jego znajomości życia kapłańskiego w naszych czasach. Po wstępnej konferencji o świętości kapłana wogóle omawia oziębłość i sposób jej leczenia, następnie przechodzi najgłówniejsze funkcje kapłańskie, a więc Mszę św., brewjarz, rozmyślanie, odwiedzanie Przenajśw. Sakramentu, nabożeństwa prywatne kapłana, cześć jego dla Matki Najśw., wreszcie konieczność porządku dziennego, pożycie wzajemne kapłanów i apostolską gorliwość o zbawienie dusz.

Wartość dzieła stwierdzają wymownie wysokie pochwały, jakie oddawano ze sfer kompetentnych artykułom ks. prałata w przeciągu lat kilkunastu. Możemy ją bez zastrzeżeń polecić Wiel. Duchowieństwu i kandydatom do stanu duchownego.

E. M.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

L. Jeleńska: La construction du Systeme philosophique d' après s. Thomas d' Aquin. Teza doktorska. Fryburg Szwajcarski, 1915, str. 110.

Ks. R. Konecki: Znaczenie i potrzeby patrologji u nas. Włocławek, 1919, str. 16.

Ks. Dr. L. Wrzoł: O Opatrzności Boskiej. Wyd. 2. Cieszyn, nakł. Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra, 1919, str. 245.

O. Wład. Szołdrski C. SS. R.: Historja kościoła i cudownego obrazu N. Panny w Tuchowie. Cieszyn, 1920, nakł. OO. Redemptorystów, str. 262 z ilustr.

Spis wykładów i wykaz instytucyj uniwersyteckich. Uniwersytet lubelski. Półrocze zimowe 1919/1920. Lublin, 1920.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Watykan a republika portugalska. — Potępienie odszczepieńców czeskich. — Dar Ojca św. dla dzieci polskich.

Ilu z nas, Polaków, wie coś dokładnego o stosunkach, panujących w Portugalji? Wiemy, że rewolucja w październiku 1910 r. wywróciła tam monarchję, że ostatni król z dynastji Braganza, Manuel II, przebywa gdzieś w Anglji, że od czasu do czasu podnosi głowę ruch monarchistyczny, że sama republika doznaje częstych wstrząśnień. Na czem atoli te wstrząśnienia polegają, w jakim kierunku rozwija się polityka młodej republiki, o tem mało wiemy i mało się tem interesujemy. Nazwiska zmieniających się tam szybko, jeden po drugim, kierowników tego kraju, różnych Costów, Machadów, Paesów, pstrzą czasem nasze dzienniki, nie mówią nic atoli naszej wyobraźni, nie utrwalają się w naszej pamięci. Nic dziwnego: tak odległą jest Lizbona od naszej Warszawy, tak mało mamy wspólnych interesów, raczej żadnych nie mamy, tak wreszcie uwagę naszą pochłaniają nasze własne sprawy!

A jednak Polak-katolik nie może być całkiem obojętny na to, co się dzieje w owym najdalszym zakątku Europy, jest to bowiem zakątek całkowicie katolicki. Radzibyśmy wiedzieć coś dokładniejszego o położeniu tam Kościoła — niestety i z tej dziedziny wiadomości skąpo do nas dochodzą.

Ostatni raz Przegląd Powszechny pisał o stosunkach kościelnych w Portugalji we wrześniu 1913 r. Był to czas otwartego prześladowania Kościoła przez masoński rząd republiki. Przeprowadzono jeszcze w r. 1911 prawo o rozdziale Kościoła od pań-

stwa, wypędzono z kraju zakony z brutalnością godną Pombala, zlaicyzowano całe życie publiczne, małżeństwo, nauczanie, skasowano kościelne święta, dla potrzeb kultu kazano tworzyć związki, rozsadzające zupełnie karność kościelną. A kiedy papież wszystkie te reformy potępił, kiedy cały kler wraz z episkopatem stanął murem w obronie praw Kościoła, wtedy biskupów wypędzono, księżmi napełniono więzienia. Ustawę separacyjną przeprowadzono daleko bezwzględniej, niż we Francji, z której pożyczono wzorów do antykościelnych ustaw. Chcąc znaleźć analogję do prześladowania katolicyzmu w Portugalji, trzebaby było cofnąć się aż do terroru wielkiej rewolucji.

Prześladowania Kościoła zwykle wybuchają tam i wtedy, gdzie i kiedy obojętność religijna szerszych mas zdaje się obiecywać wrogom wiary łatwe zwycięstwo. Ale zwykle prześladowania wywołują wręcz przeciwny zamierzeniom prześladowców skutek: drzemiąca religijność ludu budzi się, Kościół w ogniu doświadczeń oczyszcza się od nalotów ziemskich rachub i przywiązań, wiara triumfuje i zmusza nieprzyjaciół do kapitulacji. Tak się stało i w Portugalji, gdzie stan religijny ludu wiele pozostawiał do życzenia, gdzie jednak prześladowanie poruszyło sumienia śpiących i skupiło ich przy boku gnębionego kleru. Kościół przetrwał burzę, patrząc na kolejny upadek kilku prezydentów prześladowczej republiki i wielu masońskich i radykalnych ministrów.

I doczekał się spokoju. Wrócili pasterze do swoich owczarń, zapełniają się na nowo gwałtem opróżnione klasztory. Republikański rząd, po daremnem 10-letniem borykaniu się z Kościołem, poszedł do Canossy, nawiązując z Watykanem rokowania, które doprowadziły do zgody; Lizbona znowu przyjęła w swoje mury papieskiego nuncjusza. Nie znamy w szczegółach treści zawartej ugody rządu portugalskiego ze Stolicą Świętą, możemy atoli być pewni, że porozumienie nie mogłoby dojść do skutku, gdyby rząd nie odwołał potępionych przez Kościół ustaw.

Przekonaniu, że rząd rzeczypospolitej uszanuje całkowitą wolność Kościoła i jego prawa, daje wyraz orędzie Ojca św. »Celeberrima evenisse«, datowane 18 grudnia 1919 r., do patrjarchy Lizbony, kardynała Mendes Bello i wszystkich biskupów Portugalji. Zebrali się oni krótko przedtem na wspólną konferencję i radzili nad stosunkiem swoim i swoich wiernych do republiki w nowych, zmienionych przez porozumienie się rządu z Rzymem warunkach. Orędzie

Benedykta XV aprobuje powzięte uchwały, a zarazem zachęca portugalskich katolików, jak w r. 1892 Leon XIII zachęcał francuskich, aby, uznawszy utrwaloną w kraju republikańską formę rządów, pracowali dla publicznego dobra, a zaniechawszy partyjnych rozterek, zjednoczyli się w miłości ku Kościołowi i ojczyźnie wspólnej, stojąc na straży praw Kościoła, ojczyźnie przymnażając chwały i pomyślności. Jako cel wyższy, winno przyświecać im powołanie narodu portugalskiego do szerzenia prawdziwej wiary i cywilizacji w rozległych zamorskich kolonjach.

List papieża usuwa ostatni powód możliwych niechęci do katolików. Benedykt XV stwierdza już nie wiadomo poraz który, że Kościół godzi się z każdą formą rządów, byle te rządy uznały jego święte prawa. Jeżeli dla usprawiedliwienia kroków prześladowczych powoływano się w Portugalji na rzekomą zasadniczą niechęć przedstawicieli Kościoła do republikańskiego ustroju państwa, to był to tylko pretekst, maskujący co innego, mianowicie zasadniczą sekciarską nienawiść do religji i Kościoła ze strony tych, co się po obaleniu tronu do steru rządów dorwali. Gdyby nie ta nienawiść, oszczędzonoby narodowi portugalskiemu wielu ciężkich wewnętrznych prób i przejść, nie zmarnowanoby napróżno tylu sił i zasobów, kraj nie odczuwałby tylu konwulsyjnych drgawek, pokój wewnętrzny dużo wcześniej byłby osiągnięty. Może jednak ta walka z Kościołem była potrzebną, by dostarczyć światu jednego dowodu więcej na skuteczność słów Chrystusa: non praevalebunt!

Jeszcze raz wracamy do odszczepieństwa czeskich księży. Tą razą tylko, by zanotować te prawne następstwa buntu, które były przewidziane, które nastąpić musiały. Równo w tydzień po założeniu przez zbuntowanych kapłanów »czesko-słowackiego narodowego Kościoła«, 15 stycznia, wydany został w Rzymie dekret najwyższej Kongregacji Św. Oficjum, którym rzeczony narodowy Kościół został potępiony jako schizmatycki, a wzmiankowani księża ogłoszeni jako ekskomunikowani ekskomuniką zastrzeżoną w sposób szczególny Stolicy Apostolskiej. Biskupom zostało poleconem, aby treść dekretu ogłosili wszystkim wiernym.

Ciekawa rzecz, jak się rząd praski zachowa wobec schizmatyków. Że popierał i moralnie i finansowo skrajne reformistyczne zapędy dzisiejszych odszczepieńców, to rzecz wiadoma. Atoli zachowuje dotąd moc prawną ustawa, według której świątynie i majątek

do nich należący pozostają własnością Kościoła katolickiego nawet w tym wypadku, gdyby odnośny duchowny lub parafja oderwała się od niego. Wobec ekskomuniki czeskiego narodowego Kościoła rząd obowiązany usunąć z katolickich świątyń obcych już im odszczepieńców. Najbliższa przyszłość nam powie, jaki kształt przybierze oficjalnie stosunek czeskiej republiki do katolickiego Kościoła.

Z potępienia odszczepieńców przez papieża wyciągnęła już konsekwencje »Jednota«, owo stowarzyszenie księży, którego lewica właśnie odważyła się na odstępstwo od wiary. Ponieważ członkiem »Jednoty« może być tylko katolicki kapłan, przeto zarząd stowarzyszenia ogłosił założycieli Kościoła narodowego za skreślonych z listy członków. Postąpienie to słuszne, ale spóźnione; zdrowsza część kleru, zrzeszonego w »Jednocie«, winna była dawno zerwać z radykalnemi żywiołami, albo stłumić ich zapędy. Pobłażliwość, długo okazywana w »Jednocie« przesadnym żądaniom reformistów, sprowadziła na nią obecnie energiczne wystąpienie episkopatu. Na styczniowej konferencji biskupów czeskich i morawskich postanowiono rozwiązać »Jednotę«, jako zrzeszenie wszechczeskie, zezwalając na zakładanie tylko diecezjalnych stowarzyszeń kapłanów, stojących pod ścisłą kontrolą odnośnych ordynarjatów, przyczem stowarzyszenia te mają charakter jedynie zrzeszeń dla samopomocy księży; podczas gdy rzeczy wiary, moralności i karności kościelnej wyjętemi zostają z ich kompetencji.

Z funduszu, jaki został zebrany na skutek wezwania papieskiego do ratowania ginących z głodu dzieci, przeznaczył Ojciec św. jak donoszą telegramy, 300 tysięcy lirów na dzieci polskie. Przy zamianie na naszą walutę uczyni tą parę miljonów marek. Ta hojna ofiara ułatwi w znacznej mierze akcję ratowniczą zwłaszcza co do chorych i wycieńczonych niedostatkiem maleństw. Przedewszystkiem sieroty, rodziców pozbawione, winny z niej skorzystać. Będą wiedziały, że mają po Bogu wspólnego Ojca w Rzymie. A kraj nasz został obarczony nowym miłym obowiązkiem tem większej wdzięczności i przywiązania do tego, co nie tylko błogosławi mu w jego trudzie budowania przyszłości, ale również karmi przyszłych jego obywateli.

Ks. J. Urban.

Demokracja przyszłości.

Nadzwyczaj ciekawy, chciałoby się rzec, sensacyjny artykuł ogłosiło katolickie naukowe czasopismo »Hochland« p. t. »Die neue Demokratie«, pióra R. Groscha. Nie w tem tkwiła senzacja, że autor bez osłonek wypowiada gorzką prawdę podziwianym przedtem partjom politycznym Niemiec, że konserwatystom zarzuca poprostu hołdowanie junkierstwu, nietykalne do ostatniej chwili centrum, na które bodaj nawet Polacy z pewnem nabożeństwem patrzyli, pomawia o brak swoistej, jasnej a silnej idei, a chrześcijańska partja robotnicza, według Groscha, w walce z socjalistami zapomniała o swem celu. Pewnie, że i ta autokrytyka dumnych przedtem ze wszystkiego Niemców świadczy o wielkiej przemianie psychy germańskiej. To atoli, co autor chciał w swym artykule powiedzieć, można ująć w proste zdanie: demokracja najbliższej przyszłości będzie polegała na przyjęciu w poszczególnych państwach systemu rad.

Lęk obejmuje na razie czytelnika wobec takiej perspektywy. Stają mu bowiem zaraz w wyobraźni bolszewickie rady robotnicze, czy chłopskie, debatujące nad tem, w jaki najdotkliwszy sposób zemścić się na burżuju. Lecz system rad nie koniecznie musi znaczyć to samo, co dyktatura proletarjatu. Okrutne rządy sowietów bolszewickich w Rosji są wypaczeniem idei rad i nadużyciem władzy, nadużyciem, które się przecież zdarzało i w monarchjach absolutnych lub konstytucyjnych i w całym dotychczasowym ustroju demokratycznym. Wogóle można zapytać się: czy dzisiejszy parlamentaryzm odpowiada tym marzeniom o demokracji, jakie rozbudziła rewolucja francuska i jakie coraz głębiej i coraz szerzej obejmują wszystkie społeczeństwa? I odpowiedź na to pytanie wypadnie przecząca.

Dzisiejsza demokracja bardzo często, począwszy od powszechnego głosowania a skończywszy na obsadzeniu foteli ministerskich, jest karykaturą tego, co istota demokracji oznacza: udział wszystkich, udział najlepszych w budowaniu i potęgowaniu państwowości, nie kosztem, ale na korzyść ogółu. Przecież mandaty poselskie zyskują nie wyłącznie ludzie pełni poświęcenia dla sprawy ogółu, ale częstokroć ci, których natura obdarzyła demagogicznemi instynktami, choć poza tem brakowało im i dość rozumu i dobrej woli. Najbliższym celem tego rodzaju przedstawicieli społeczeństwa bywało zdobycie dla siebie, względnie dla ludzi swej partji tek ministerjalnych, poczem już rozpoczynały się rządy maskowanej monarchji, maskowanej tem, że zamiast jednego rządziło kilku, ale bynajmniej nie wszyscy, a w tem jeszcze kwestja, czy przynajmniej większość. Kiedy zaś prawdziwa numeryczna większość decydowała w tworzeniu praw i kierowała nawą państwa można się było zapytać, czy ta większość przyczynia się do postępu i dobra ogółu, czy z drugiej strony pokonana mniejszość nie ma za sobą większej słuszności i czy nie jest przedstawicielką zdrowszych idei państwowych i społecznych. Zresztą wszystko jedno, czy było tak, czy nie, jeszcze mimo to ciąży

na dotychczasowym parlamentaryzmie zarzut, że w opozycyjnych mniejszościach pozbawiał w pewnym sensie równości wszystkich, którzy stali za temi mniejszościami. Ratowanie się parlamentaryzmu takiemi środkami jak wybory proporcjonalne, referenda, odsuwały raczej kwestję, ale jej nie rozwiązywały.

Lecz nie mogło być inaczej, gdyż błąd tkwił w samem założeniu. Rewolucja, zburzywszy dawny ustrój społeczny, zwolniwszy jednostkę z więzów, jakie ją krępowały z racyj stanowych, postawiła ją bezpośrednio wobec państwa, wobec którego jednostka choć nie krępowana, wolna, faktycznie była bezsilna. Dlatego te pragnienia zdobycia przedewszystkiem praw wyborczych, z któremi reszta miała być dodana, okazały się tak ułudne i raczej sztucznie wywołane przykładem parlamentaryzmu amerykańskiego, czy angielskiego, który dużo dawał na swej rodzimej ziemi, ale i tak wszystkiego, czego się po demokracji, spodziewano, dać nie mógł.

Dlatego to ponad temi nadziejami pokładanemi w demokracji a często przeciw nim, poszło życie, które przedewszystkiem skupiło jednostki tego samego zawodu, mające wspólny interes. I dzisiejsze życie społeczne całą siłą opiera się na organizacjach, które bynajmniej nie są tworem prawnopaństwowym, ale wynikiem potrzeb życia, koniecznością dziejową. Dziś już niemal każda jednostka, jakiegokolwiek zawodu, czy stanu może — a niebawem trzeba będzie powiedzieć — musi wejść do organizmu tego lub innego stowarzyszenia czy związku, bo tam ją zaprowadzi bezpośredni interes. W ten sposób między państwo a jednostkę siłą faktu wcisnął się element pośredni, organizacje społeczne i dlatego nie sposób, by dziś państwo znów po dawnemu zwracało się tylko do jednostki, która tworzy cząstkę jakiejś organizacji, a ignorowało organizacje, decydujące o rozwoju i jednostek i społeczeństw. Najprostszy sposób zetknięcia się państwa z organizacjami i stanami będzie przez dopuszczenie do głosu delegatów rad. Oczywista nie może tu być mowy o radach wyłącznie robotniczych i włościańskich, gdyż wogóle do udziału w rządzie i prawodawstwie muszą być dopuszczone zorganizowane stany i zawody, a więc równie dobrze organizacje robotników niekwalifikowanych, jak przedsiębiorców przemysłowych, służby folwarcznej jak i właścicieli większej posiadłości ziemskiej, nauczycielstwa, duchowieństwa i innych wolnych zawodów. Konsekwencją tego postulatu będzie dwuizbowość parlamentów. Będzie ona miała nieco odmienną fizjonomię niż dzisiejsza, bo senat nie po to będzie, by ze spokojem weteranów parlamentarnych obradował nad tą samą kwestją, nad którą przed paru dniami radzono w izbie deputowanych wśród nastroju silnie demagogicznego i burz przelewających się to z lewa to z prawa, gdyż izby na podstawie swego składu będą miały swoisty charakter, odrębne zadania. Jedna izba będzie miała charakter więcej polityczny. Jej członkowie, pochodzący z powszechnych wyborów, będą mieli do załatwienia sprawy dotyczące całego społeczeństwa i państwa, jak polityka zagraniczna, zasady wychowania narodowego, sprawa waluty. Senat natomiast tworzyć będą reprezentanci różnego rodzaju organizacyj zawodowych

i stanowych i to zarówno miejscowych jak i ogólno krajowych. Do niego na pierwszem miejscu należeć będą zagadnienia społecznej i ekonomicznej natury i choć wszystkie postanowienia prawne będą przechodziły przez obydwie izby, w każdej z nich będą miały osobne ujęcie i oświetlenie, decydujący zaś głos nie będzie zależał stale od tej lub owej izby, lecz zależnie od zagadnienia decydować będzie izba poselska, lub reprezentanci rad.

Mniejsza o to, że w tem ujęciu całej kwestji przerodzenia się dotychczasowego parlamentaryzmu i całej demokracji brak jeszcze tej ścisłości prawniczej, że się mimowoli nasuwa cały szereg wątpliwości, w jaki to sposób ten system rad zadowoli wszystkich a nie tylko tę lub ową partję, sprawa zmiany, reorganizacji ciał prawodawczych i rządzących i dostosowania ich do zmienionych warunków społecznych stała się punktem porządku dziennego całego cywilizowanego świata i trudno przypuścić, by się ją dało zbyć milczeniem. Pierwsi wprowadzili w życie rady bolszewicy, ale ich nadużyciem zniechęcili do nich prawie wszystkich. Mimo to całkiem na serjo myśli się o zmianie ustroju parlamentarnego i we Francji i we Włoszech, a w Niemczech sprawa ta jest tematem częstych artykułów i broszur. I ostatnie wybory do sejmu Rzeszy wykazały, że kwestje polityczne, choć dziś tak piekące, stanowczo miały mniejsze wzięcie niż zagadnienia społeczne i ekonomiczne i do ich miary stosowano głównie kandydatów poselskich.

Czy zresztą partje naszego sejmu nie odgraniczają linje raczej natury czysto społecznej i ekonomicznej, a nie politycznej? i czy wskutek tego obciążenia jednej i tejsamej izby sprawami partyjno-politycznemi i zawodowo-stanowemi nie utrudnia się całego postępu i rozwoju naszej państwowości?

Zresztą ta myśl reorganizacji ustroju demokratycznego i parlamentarnego nie jest całkiem nowa. Prawie od początku XIX stulecia głębsi obserwatorowie życia parlamentarnego dostrzegali wyraźne niedomagania i zwracali na nie uwagę. Jednakowoż ich twierdzenia nie mogły znaleźć zrozumienia, a tem mniej zastosowania, dopóki właśnie społeczeństwa nie przetworzyły się wewnętrznie drogą organizacyj. Kiedy atoli organizacje ukonstytuowały się silnie i swą liczebną i ideową powagą zyskały na znaczeniu w społeczeństwie, dążyły do tego, albo raczej myślały o tem, by wpływ swój rozciągnąć w sferę ustawodawstwa i rządu Stąd ta idea miała wyraz w programach organizacyj chrześcijańskich. To też żądania dzisiejszych socjalistów niemieckich nazwał jakiś organ chrześcijańskich związków zawodowych kopją nieudolną programu chrześcijańskiego. Nie wielka to pociecha dla związków chrześcijańskich, bo choć ideje wielkie i prawdziwie twórcze powstawały i powinny powstawać w ich łonie, jako organizacjach opartych na wiecznych i wszechludzkich zasadach Chrystusowych, to mimo tego albo rychło zamierały, albo żyły i stawały się silnemi pod kuratelą ludzi, którzy zrozumieli ich doniosłość i nie krępowali się niczem w walce o prawa ich bytu. Tak jest i w sprawie przyjęcia systemu rad, za któremi głośno i bez żadnej niepotrzebnej żenady, cechującej aż nazbyt

często działalność katolicką, oświadczają się w Niemczech przedewszystkiem niezawiśli socjaliści.

Od zmysłu zatem politycznego przewódców katolickiego ruchu społecznego i politycznego zależy propagowanie i ożywienie myśli nowej i wielkiej, kryjącej się w systemie rad i obrona jej przed zradykalizowaniem w ręku pierwszych jej propagatorów — socjalistów.

R. M.

Szkolnictwo katolickie w Anglji.

Wiadomo z historji, jak ciężkie chwile przechodzili katolicy w Anglji. Teraz stanowisko ich poprawiło się znacznie, lecz owoc to wiekowego męczeństwa i niestrudzonej pracy, trwającej bez przerwy dotychczas na wszystkich polach, a między niemi szczególnie w dziedzinie szkolnictwa. Sukcesy tu osiągnięte dadzą się jednak należycie ocenić dopiero w świetle dziejów. Przebieg walki o wolność katolickiego nauczania w Anglji od pierwszych początków aż do dzisiejszych czasów jest pouczający. Przedstawiamy go za pismem francuskiem »Les Nouvelles religieuses« (z 1 i 15 stycznia r. b.).

Liczne niegdyś szkoły katolickie w Anglji podkopała dopiero reformacja. Skonfiskowano dobra kościelne, a pieniądze uzyskane tą drogą znikły przeważnie w kieszeniach zwolenników nowej wiary. Przytem ucisk prawny wzmagał się ciągle. Za panowania Elżbiety musieli katolicy posyłać dzieci do szkół protestanckich. Nauczanie domowe wzięto pod ścisłą kontrolę, a w r. 1699 wydano nawet dekret, mocą którego każdy nauczyciel katolicki, któryby kierował nauką w szkole, albo trzymał u siebie choćby jednego chłopca dla edukacji, miał być karany więzieniem, donosiciel zaś otrzymywał w nagrodę sto funtów.

Lecz mężni wyznawcy stawili nieustraszenie czoło wszystkim trudnościom. Skoro tylko uspokoiło się nieco, zabrali się do zakładania szkół w miejscach położonych na uboczu, gdzie nadzór był mniej ścisły. Trwały one dłużej lub krócej zależnie od okoliczności, a nieraz musiano je przenosić z miejsca na miejsce. Tak przetrwano mniejwięcej do połowy XVIII wieku. Przedłożony przez niektórych plan kompromisu, na podstawie którego dzieci katolickie uczęszczałyby do szkół protestanckich, a tylko naukę religji pobierały osobno, odrzucono zgodnie, a jednolite to stanowisko katolików rokowało widoki lepszej przyszłości.

Tymczasem trudności finansowe dawały się odczuwać coraz dotkliwiej. Bogaci posyłali dzieci za granicę, narażając się nieraz na grube kary pieniężne; dla wspierania uboższych powstało w r. 1764 w Londynie osobne stowarzyszenie. Ze zasiłku rządowego, uchwalonego w r. 1833, nie skorzystali bowiem katolicy nic, ponieważ nie mogli się zgodzić na postawione warunki. Byli więc skazani na własne siły, lecz nie cofnęli się przed trudnościami, owszem działalność ich wzmagała się szybko,

bo kiedy w r. 1829 mieli 60 czy 70 szkół, to w r. 1851 liczba ich wzrosła do 311.

Dotychczas wszystkie szkoły były w rękach prywatnych. Wmieszanie się rządu nastąpiło po raz pierwszy w r. 1870. Kiedy przekonano się, że niektóre szkoły prywatne nie odpowiadają należycie zadaniu, postanowiono nie znosić ich, lecz uzupełnić przez państwo. We wszystkich miejscach, gdzie takie braki miały miejsce, miano założyć osobne koła, t. z. school-boards, które upoważniono do ściągania podatków na wybudowanie i utrzymanie szkół publicznych (board-schools). W tych nie uczono żadnej religji, wolno jednak było czytać biblję bez komentarza, albo też z objaśnieniami tak ogólnemi, że mogły się zastosować do wszelkich wyznań.

Ustawa ta, wystarczająca dla licznych w Anglji dyssydentów, nie zadawalała jednak ani anglikanów ani katolików.

Na szczęście prawo już pozwalało również na zakładanie szkół wyznaniowych, z tem tylko zastrzeżeniem, by lekcja religji odbywała się na pierwszej lub ostatniej godzinie danego dnia. Była to sławna »klauzula sumienia«, istniejąca do dziś dnia, która miała na celu pozostawienie swobody tym rodzicom, którzy nie chcieli, by ich dzieci uczęszczały na tę naukę. Ta sama klauzula zabraniała zmuszać dzieci do uczęszczania do szkoły w dni, które według ich wyznania były świąteczne. Nadzór władz państwowych ograniczono do samych tylko świeckich przedmiotów nauki.

Na tak postawione warunki mogli się zgodzić katolicy i dzięki temu zostali po raz pierwszy dopuszczeni do korzystania z zapomóg rządowych.

Zabrano się zaraz gorączkowo do budowania szkół, lecz w większych miastach katolicy nie zdołali wytrzymać konkurencji rządu. Szkoły bowiem prywatne musiały się zadawalniać wsparciem, które nie mogło nigdy przenosić połowy ogólnej sumy wydatków, podczas gdy school-boards rozporządzały znacznemi sumami, a nadto miały prawo kontroli nad zakładami prywatnemi i przyprawiały je nieraz o grube koszta.

Lecz trudności te, zamiast złamać katolików, wzmogły tylko ich energję i wysiłki, o czem najlepiej świadczy statystyka. Podczas gdy w r. 1870 mieli 863 szkół, a w nich niecałe 200.000 dzieci, w r. 1901 liczba ich wzrosła do 1056 z prawie 400.000 uczniów. Wydatki poniesione w tym celu wyniosły przeszło dziesięć miljonów funtów.

W r. 1880 ogłoszono przymus szkolny. School-boards skorzystały z tego, by pozakładać swe szkoły wszędzie, gdziekolwiek nie zdołano odrazu rozszerzyć zakładów prywatnych. Lecz zbytnia gorliwość, połączona ze samowolą i obciążeniem finansowem ludności, oburzyła wszystkich i przygotowała podatny grunt do nowej ery szkolnictwa.

Było nią prawo z r. 1902, które z małemi zmianami trwa po dziś dzień. Ograniczymy się tu do podania tych jedynie szczegółów, które dotyczą katolików.

Centralna instytucja państwowa, Board of Education, odpowiadająca naszemu ministerstwu oświaty, odgrywa jedynie rolę najwyższego

organu kontrolnego, który zarazem rozstrzyga w ostatniej instancji wszelkie trudności i spory. Poza tem pozostawiono jaknajszerszą autonomję władzom lokalnym, któremi — po zniesieniu dawnych schoolboards — są teraz rady miejscowe. Organem wykonawczem tychże jest mianowany przez nie komitet wychowawczy, którego członkami mogą być również katolicy.

Szkołom prywatnym przyznano pod pewnemi warunkami te same prawa, co zakładom rządowym. Właściciele ich byli obowiązani postarać się o plac, budynki i utrzymać je w dobrym stanie, ale rady miejscowe brały na siebie koszta, wynikłe z codziennego użycia. Szkoły, założone przez katolików, pozostawały ich własnością, administracja zaś miała spoczywać w ręku komitetu, złożonego z sześciu członków. Dwóch mianowały władze cywilne, a czterech pozostałych właściciele; do liczby ich wchodził zawsze proboszcz parafji i trzech najbardziej wpływowych z pośród katolików miejscowych. Poza tem szkoły prywatne stały na tej samej stopie, co rządowe, miały ten sam plan nauk, tych samych inspektorów i takie same subwencje, t. j. państwo płaciło $^3/_4$ wydatków, a $^1/_4$ pokrywała władza miejscowa. Ta ostatnia mogła wprawdzie zakładać veta w sprawie nominacji lub oddalania nauczycieli, lecz tylko wtedy, kiedy w grę nie wchodziły racje natury wyznaniowej.

Korzyści były więc niemałe. Prawda, że zła wola władz lokalnych mogła nieraz stać się przyczyną różnych przykrości i wypadków takich nie brakło od czasu do czasu. Lecz na ogół szkoły katolickie znajdowały się przez cały ten prawie dwudziestoletni okres w stanie kwitnącym, w czem wspierała je skutecznie »katolicka rada wychowawcza«, złożona z 95 członków, reprezentujących zarazem episkopat i całe społeczeństwo katolickie. Rada ta została uznaną przez rząd i upoważnioną do pośredniczenia w sporach pomiędzy władzami szkolnemi a miejscowemi. W jej ręku spoczywa też zarząd seminarjów nauczycielskich; jedno z nich, męskie, jest własnością samej rady, siedem innych, żeńskich, znajduje się pod kierownictwem zakonnic.

Oczywiście prawa te, przyznane szkołom wyznaniowym, nie podobały się dyssydentom, którzy bezzwłocznie rozpoczęli kampanję przeciw nim, skoro w r. 1906 nastał sprzyjający im rząd liberalny; trzykrotnie ponawiane usiłowania spełzły jednak na niczem.

Prawo z r. 1902 pozostało więc w swej mocy, owszem rozszerzyło się nawet w niektórych punktach przy nowej reformie szkolnictwa, zainicjowanej przez ministra oświaty M. Fisher'a Po odrzuceniu pierwszego projektu wygotował on drugi i przedłożył go izbie deputowanych w styczniu r. 1918. Odsuwając na bok wszelkie tendencje religijne, wziął sobie za cel podniesienie dobra ogólnego przez przedłużenie obowiązkowej nauki do piętnastego roku życia i rozszerzenie studjów, zwłaszcza zawodowych. Manifest biskupów katolickich, ułożony w porozumieniu z centralnym komitetem wychowawczym, wyraził rządowi uznanie za uwzględnienie ich potrzeb, zażądano jednak jeszcze kilku poprawek. Chodziło mianowicie o większe uwzględnienie praw rodziców i o przyznanie katolikom wyraźnego prawa zakładania szkół zawodowych

i uzupełniających, które pobierałyby również wsparcie z funduszów publicznych.

Pomimo przychylnego stanowiska M. Fisher'a osiągnięto jednak w obu punktach tylko częściowe rezultaty. Co do reszty musiano się zadowolnić ustnemi obietnicami, które wystarczą wprawdzie na razie, jak długo pozostaje na stanowisku rząd obecny, ale nie zabezpieczają na wypadek, gdyby do steru przyszedł inny, katolikom nieprzychylny.

Tak przedstawia się dzisiejsze położenie katolików na polu szkolnictwa. Porównując je z tem, co było jeszcze niedawno temu, widzimy, że zdobycze katolików w Anglji są rzeczywiście wielkie. Wprawdzie nie osiągnęli jeszcze wszystkiego, lecz nie ustają też w pracy i pełni otuchy walczyć będą dalej, aż zdobędą w pełni należne im prawa.

Ks. St. P.

Posłowi Klemensiewiczowi małe wyjaśnienie.

Przed miesiącem z uznaniem zanotowałem wystąpienie redaktora »Prawa Ludu«, pos. Klemensiewicza, przeciwko wichrzeniom wysłańca amerykańskich niezależnych Krupskiego. Przytem przypomniałem niedawną opiekę i poparcie, udzielane przez p. Klemensiewicza innemu wichrzycielowi, ks. Husznie. »Prawo Ludu« (nr. 3) sądzi, że ks. Huszno i Kościół narodowy amerykański to dwie zasadniczo różne rzeczy. Ten walczy z dogmatami Kościoła katolickiego, i takiej walki socjaliści nie popierają, ks. Huszno zaś nie dotykał zupełnie dogmatów Kościoła, lecz tylko administracji parafialnej i reformy wychowania kleru i dlatego przez partję mógł być popierany.

Otóż śpieszę wyjaśnić, że program ks. Huszny, nie mniej, jak schizma niezależnych amerykańskich, godzi w dogmat kościelny. P. Klemensiewicz, jakby chlubiąc się z tego, powtarza, że go dogmatyczne zagadnienia nie obchodzą. Właśnie ta obojętność dla dogmatu prawdopodobnie jest przyczyną niedostatecznej jego znajomości, a ten ostatni brak nie pozwolił p. K. dostrzec w broszurze Huszny tego, co teolog w niej dostrzega odrazu. Projektowana przez Husznę demokratyzacja Kościoła, z obieralnymi przez parafjan księżmi, nawet wbrew woli biskupa, a biskupami wbrew woli papieża, godziła w zasadniczy dogmat o ustroju hierarchicznym Kościoła i musiałaby skończyć się zerwaniem z Rzymem, czyli tem, czem skończyli wyznawcy narodowego kościoła w Ameryce.

Co się tyczy możliwości reform w Kościele, to Kościół katolicki, jako żywy organizm, reformuje się sam ustawicznie, przystosowując się do nowych potrzeb życiowych, ale te reformy muszą liczyć się z zasadniczym ustrojem katolicyzmu i wychodzić od kompetentnych czynników. Takimi nie są ani zbuntowani księża, ani redakcje niechętnych Kościołowi dzienników, ale Stolica Św., biskupi, sobory. Prawda, że

i z dołu, od kleru i nawet świeckich, mogą wychodzić pewne projekty, życzenia, ale wtedy tylko będą one coś warte i będą mogły być uwzględnione przez miarodajne czynniki, jeżeli ci, co je podają, znają dogmaty Kościoła, wierzą w boskie jego ustanowienie, kochają ten Kościół i pragną szczerze jego rozkwitu.

Sądzę, że po niniejszem wyjaśnieniu pod adresem redaktora »Prawa Ludu«, nie będziemy już mieli sobie nic do powiedzenia w tej kwestji.

Ks. J. U.

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. Jan Urban T. J.*

Druk ukończono 3 marca 1920.

KONKURS NAUKOWY
DEPARTAMENTU SZTUKI I KULTURY
PRZY MINISTERSTWIE B. DZIELNICY PRUSKIEJ.

Jako konkurs dla dorocznego konkursu naukowego wyznacza Departament Sztuki i Kultury na rok 1920/21 pracę pod tytułem:

OD KALOKAGATJI DO KRÓLESTWA DUCHA

W pracy mają być uwzględnione pojęcia greckiej kalokagatji, chrześcijańskiego synostwa Bożego, średniowiecznych rycerskości, szlachectwa, kawalerskości, wreszcie Królestwa Ducha u Słowackiego.

Prace opatrzone godłem należy nadsyłać do dnia 1-go stycznia 1921 r. do Departamentu Sztuki i Kultury przy Ministerstwie b. dzielnicy pruskiej. Imię, nazwisko i adres należy podać w zamkniętej kopercie, opatrzonej również godłem. Pierwsza nagroda wynosi 6000·— marek, druga 4000·— marek. W razie nadesłania pracy, któraby swym poziomem stała wysoko nad innemi, Departament zastrzega sobie przyznanie obu nagród jednemu pracownikowi.

Sąd konkursowy tworzą: prof. St. Dobrzycki, prof. Tad. Grabowski i Kazimierz Wize.

Poznań, dnia 31 stycznia 1920 r.

Podsekretarz Stanu:
Bernard Chrzanowski.

Szef Departamentu:
Kazimierz Wize.

Uczłonkowanie i rozwój hierarchji kościelnej.

By dobrze zrozumieć wewnętrzny ustrój hierarchji [1]) kościelnej, niezbędną jest rzeczą rozróżnić różne rodzaje funkcyj, czyli zadań, właściwych ustanowionemu przez Chrystusa stanowi duchownemu. Takie zaś rozróżnienie wypływa ze szczegółowego poznania celu Kościoła.

Jakim jest ten cel?

Jeżeli Kościół, to nic innego, jak w konkretne kształty ujęta i w społeczeństwo zorganizowana religja, którą Chrystus ludziom ogłosił, łatwo będzie określić cel Kościoła. Jest nim prowadzenie poprzez wszystkie czasy istnienia świata dzieła Jezusowego, urzeczywistnienie w ludzkości myśli i planów Jezusa. A jakie były myśl

[1]) Hierarchja pochodzi od greckich wyrazów hierós — święty i arché — początek, przewodnictwo. Razem więc oznacza »władzę świętą«, to jest władzę, odnoszącą się do rzeczy religijnych. W tem też znaczeniu wyraz ten został wprowadzony do słownictwa teologicznego przez Pseudo-Areopagitę, pisarza 5 stulecia, oddając pojęcie udziału pewnych istot, zarówno w niebie jak i na ziemi, w rządach Bożych, pewne zjednoczenie się w nich z Bogiem i uświęcenie. Ponieważ w Kościele ów stan szczególnie Bogu poświęcony rozkłada się na wiele stopni, wyższych i niższych, tworzących jakoby drabinę, przeto z czasem nazwę »hierarchji« przeniesiono na samo pojęcie uczłonkowania i podporządkowania jednych stopni pod drugie. Wreszcie tak zmienione znaczenie wyrazu »hierarchja« uległo laicyzacji i dziś mówimy o »hierarchji« urzędów państwowych, o »hierarchji« stanów społecznych, nawet o »hierarchji« pojęć w logice, i t. d. Mamy więc tu do czynienia z jednym z wielu przykładów wynaturzenia pierwotnego znaczenia wyrazów. W niniejszym artykule wyrazu »hierarchja« używamy na oznaczenie zespołu różnych urzędów, istniejących w Kościele Chrystusowym.

i plan Jezusa? Było nim: ludzkość, wypadłą przez grzech z pierworodnego nadprzyrodzonego sojuszu z Bogiem, napowrót do tegoż nadprzyrodzonego stanu podnieść. Stanąwszy na czele ludzkości, jako jej głowa, Bóg-Człowiek w jednej osobie, Jezus Chrystus, przez swe posłuszeństwo aż do śmierci krzyżowej przyniósł Bożemu prawu i sprawiedliwości najzupełniejszą za nieposłuszeństwo ludzi satysfakcję i tym sposobem wysłużył im tę łaskę, by w zjednoczeniu z Nim i przez Niego mogli się znowu podnieść do nadprzyrodzonej godności synów Bożych. To, osobiście przez Jezusa dokonane, dzieło nazywamy odkupieniem rzeczowem, objektywnem. Lecz odkupienie owo, raz na zawsze dokonane, musi się faktycznie rozlewać na poszczególne jednostki wszystkich pokoleń; one muszą przyswoić je sobie, jakby wchłonąć w siebie, — i to właśnie przyswojenie sobie owoców dzieła Chrystusowego, to faktyczne z nich skorzystanie nazywa się w teologicznym języku odkupieniem subjektywnem. Otóż Kościół ma nie inne zadanie, jak właśnie umożliwić ludziom to subjektywne odkupienie, a cel ten się osiąga, gdy indywidua ludzkie, wszczepione, jak latorośle w pień, w ów mistyczny Chrystusowy organizm, czerpią zeń życiodajne soki, żyją jednem ze swoją Głową nadprzyrodzonem życiem łaski. Stan kapłański przedstawia nam w tym organiźmie jakby system arteryj, doprowadzających życie do poszczególnych komórek organizmu. Zadanie zatem stanu kapłańskiego to dalszy ciąg zadania Chrystusa względem odkupionej ludzkości [1]).

Jak ze względu na to zadanie ułożą się poszczególne funkcje wybranego w Kościele stanu? Rozpatrując rozliczne funkcje ze względu na ich przedmiot, możemy je sprowadzić do następującego troistego schematu: kapłaństwo w ścisłem znaczeniu tego słowa, nauczycielstwo w rzeczach wiary i rządy w Kościele (ministerium, magisterium et imperium).

Jeżeli się ma wciąż na oku ogólne zadanie Kościoła, to łatwo zauważyć, że między owemi trzema funkcjami wybranego w Kościele stanu pierwsze najpocześniejsze miejsce zajmuje kapłaństwo w ścisłem znaczeniu tego słowa — ministerium sacrum. Przez posługiwania swe, przez chrzest i następne sakramenta łączy ono człowieka z Chrystusem i doprowadza do jego duszy zdroje łask Bożych, czyli sprawia to odkupienie subjektywne, czyli uświę-

[1]) Zob. Sodalis Marianus, rok 1918, zeszyty 7—10.

cenie wewnętrzne ludzi, które jest, jak wiemy, właściwym celem Kościoła. Obok tego przez przewodniczenie w publicznym kulcie, a zwłaszcza przez ofiarę Mszy św., co jest ścisłym przywilejem kapłaństwa, osiąga się i drugi zasadniczy cel religji, mianowicie oddawanie czci Bogu.

Temu zadaniu, będącemu przedmiotem kapłaństwa w ścisłem znaczeniu tego słowa, to jest przewodniczeniu w kulcie publicznym Kościoła i uświęcaniu dusz przez sakramenta, służą jako funkcje pomocnicze inne zadania stanu wybranego w Kościele, czyli kleru. Służy mu najpierw nauczycielstwo kościelne w ten sposób, że strzegąc skarbu nauki objawionej, rozszerzając ją po świecie, zaszczepiając prawdy wiary w duszach ludzkich, rozwiązując wszystkie dotyczące tychże prawd wątpliwości, przygotowuje ono ludzi ze strony umysłowej do wejścia w właściwy stosunek z Bóstwem przez Chrystusa, uczy właściwych form czci Bożej, wznieca pragnienie uświęcania się i wskazuje prowadzące doń środki. W porządku czasu nauczycielstwo idzie przed właściwem kapłaństwem, rzeczowo jednak jest mu podporządkowane, jako środek celowi.

Służą również kapłaństwu i rządy w Kościele. I te nie mają celu same w sobie, tylko muszą być uznane za funkcję pomocniczą kapłaństwa. Skoro Kościół, z natury swej instytucja społeczna, składa się z takiego mnóstwa indywiduów, skoro cały proces oddawania czci publicznej Bogu, jak również oświecania i uświęcania poszczególnych członków Kościoła, zawiera w sobie tyle różnorodnych czynności, musi w tej ilości osób i funkcyj być zaprowadzony jakiś ład, a do tego musi ustawicznie istnieć w Kościele wola, któraby ten ład ukazywała, czyli musi istnieć władza, rząd we właściwem tego słowa znaczeniu, regimen, imperium. Wszak trzeba określić czasy i miejsce publicznego kultu i zobowiązać wiernych do udziału w nim; trzeba w szczegółach ustanowić i określić te praktyki życia religijnego, które prawo naturalne lub objawione narzucają tylko w rysach najogólniejszych, np. chrześcijańskiej zasadzie umartwienia nadać kształty określonych i do pewnych czasów przywiązanych postów; trzeba w samym stanie duchownym porozdzielać między poszczególnych pracowników rozmaite prace, wskazując każdemu placówkę, na której ma działać, zakres pracy, którą ma wykonać, ustanowić szczegółowe reguły życia dla nich, by ich praca dla dobra ogólnego była wydatniejszą.

Oto właściwa kompetencja władzy kościelnej. Widzimy z rozbioru tych jej zadań, że musi ona być prawdziwą władzą, mającą zgóry prawo zobowiązywania jednostek do prawdziwego posłuszeństwa, a zatem władzą prawodawczą, mogącą swe nakazy opatrywać skuteczną sankcją, stanowiąc np. kary duchowne a w razie potrzeby i według roztropności i pewne kary doczesne na tych członków Kościoła, którzyby z pod woli prawodawczej wyłamywać się chcieli. Z instytucjami prawodawczemi musi być połączony pewien aparat administracyjny, któryby nad zachowaniem praw kościelnych czuwał, w czyn je wprowadzał, słowem rządził i zarządzał, a wreszcie i aparat sądowniczy, któryby nieposłusznych do odpowiedzialności pociągał i karał, wszystkie możliwe zatargi między wiernymi, albo w łonie samego kleru, w zakresie życia religijnego i kościelnego, rozpatrywał i ostatecznie rozstrzygał. Słowem w Kościele, z natury rzeczy, muszą istnieć i działać wszystkie pierwiastki prawne, tworzące prawdziwy rząd, jako element formalny społeczności. Sądzę, że tylko ten, komu brak wszelkiego zmysłu prawniczego, może się dziwić istnieniu w Kościele całej machiny prawodawczej, administracyjnej, sądownej i karnej; kto choć trochę bierze pod uwagę właściwości natury ludzkiej, ten dopuści wniosek nieunikniony, że bez całej tej machiny nie dałoby się wcale pomyśleć istnienie Kościoła, jako złożonej z ludzi społeczności. Gorszenie się więc zwolenników »religji ducha i wolności«, za jakich siebie podają protestanci liberalni ustami np. Sabatier'a, że istnieje w Kościele autorytet, można uważać za szermierkę frazesami, które wcale nie liczą się z rzeczywistemi warunkami egzystencji ziemskiej.

Posiada zatem Kościół ową trójcę władz, jaką stanowią posługiwanie kapłańskie, nauczycielstwo w rzeczach wiary i moralności i rząd. Pierwsza z tej trójcy władz — posługiwanie kapłańskie dosięga samej substancji dusz, oczyszczając je z grzechów i uświęcając, druga i trzecia — nauczycielstwo i rząd, zwracają się do najszlachetniejszych władz ducha ludzkiego, rozumu i woli, rozum wzbogacając światłem objawionej nauki, wolę wiążąc prawami i zniewalając do porządnego i zgodnego społeczno-religijnego życia i działania.

Kiedy już znamy naturę tych różnych zadań, jakie się składają na ogólny cel, zakreślony Kościołowi, nasuwają się dalsze pytania: komu powierzonem zostało każde z owych zadań i czy jest i jaki jest historyczny rozwój piastowania owych uprawnień.

Najpierw, czy wyliczone powyżej trzy władze: kapłaństwa, nauczycielstwa i rządzenia dzierżą ci sami ludzie, czy też rozdzielone są one pomiędzy różnych urzędników Kościoła?

Biorąc rzecz według tego, co jest absolutnie możliwe, możnaby było pojąć taki podział owych trzech zadań w Kościele, iż każde z nich byłoby powierzone innej klasie urzędników kościelnych. Taki podział, choć nie zupełnie i nie ściśle przeprowadzony, widzimy w historji Izraela, zwłaszcza w epoce królewskiej. Kapłan, król i prorok — oto trzej namaszczeńcy, którzy razem reprezentowali wybranemu ludowi całkowitą powagę i rządy Jehowy. Kapłan — rytualny ofiarnik i pośrednik w dziele oczyszczenia ludu od zmaz legalnych, król — stróż porządku publicznego, opiekun i promotor religijnego kultu, natchniony wreszcie prorok — organ nowych objawień Bożych, kaznodzieja moralności publicznej i karciciel występków ludu, kapłanów i królów — oto system posłannictw, które w teokracji żydowskiej, czyli rządach Bożych wśród swego ludu, wzajemnie się uzupełniały, wspierały i kontrolowały.

W Jezusie Chrystusie, owym najwyższym i istotnym, bo z natury swojej, pośredniku między Bogiem a ludzkością, musiały te wszystkie posłannictwa znaleźć się zespolonemi. Kiedy wyrzekł do apostołów owe majestatyczne słowa: »Dana mi jest wszystka władza na niebie i na ziemi« (Mt. 28, 18), to streścił w nich wszystko, czem był i co posiadał: był On i kapłanem jedynym, krwią swoją przynoszącym najwyższy akt czci Bożej i uświęcenie dusz, i prorokiem, On, odwieczne Słowo Ojca i wierne odbicie jego mądrości, i królem królów i narodów, tak drogim okupem na własność nabytych.

Raz zogniskowane w Chrystusie kapłaństwo, nauczycielstwo i rządy w rzeczach religji nigdy już nie miały się oddzielić jedno od drugiego. I rzeczywiście widzimy w Ewangelji, że Jezus wszystkie te władze przekazuje jednym i tym samym wybrańcom — rybakom galilejskim: »Jako mnie Ojciec posłał, tak i Ja was posyłam«; do tych samych wyrzekł: »chrzcijcie«, »odpuszczajcie grzechy«, »sprawujcie pamiątkę mej śmierci« w bezkrwawej ofierze, jak i »uczcie wszystkie narody«, jak i »wiążcie i rozwiązujcie«, »paście owce moje«. Apostołowie stali się w religji Nowego Przymierza, jako uczestnicy władz Jezusowych, i prawdziwymi kapłanami, i nieomylnymi nauczycielami, i rządcami, prawodawcami i sędziami w Królestwie Chrystusowem.

Na kogo i w jaki sposób przeszła z apostołów każda z pomienionych władz kościelnych, to wymaga bardziej szczegółowego

omówienia. Obfitego materjału dostarczają nam co do tego najstarsze zabytki chrześcijaństwa, jak księgi Nowego Testamentu i inne pisma, pochodzące z pierwszych dwóch stuleci naszej ery. Przedtem jednak musimy zapoznać się z teorjami, jakie nowsza szkoła historyczna w łonie liberalnego protestantyzmu stawia co do pochodzenia i rozwoju hierarchji kościelnej. Nasze bowiem wywody będą zarazem odparciem tych teoryj.

Otóż nowsza szkoła historyczna w łonie liberalnego protestantyzmu i modernizmu tak mniej więcej konstruuje powstanie i rozwój hierarchji kościelnej. Chrystus żadnej prawdziwej władzy, a zatem i żadnej hierarchji nie ustanowił. Apostołom co najwięcej zlecił głoszenie zbliżającego się końca świata i założenia królestwa Bożego na ziemi. Kiedy koniec świata się nie zbliżał, a liczba zwolenników nauki Jezusowej rosła, musiała się sama przez się wyłonić wśród nich pewna organizacja. Do ujęcia jej w swe ręce najbardziej byli odpowiednimi bezpośredni uczniowie Jezusa, apostołowie, otoczeni pewnym nimbem ojcowskiej powagi. W takich warunkach ta czysto moralna ojcowska powaga łatwo przedzierzgnęła się we władzę i przybrała kształty prawne. Kiedy protestancki historyk Sohm przed paru dziesiątkami lat upatrywał zarodki prawa kościelnego dopiero w liście św. Klemensa z końca I wieku, to dzisiejsi uczeni tegoż obozu, np. Harnack, już przyznają, że prawdziwa prawna organizacja Kościoła dokonaną została zaraz po odejściu Jezusa. Nie chcą tylko zgodzić się na to, by samego Jezusa uważać za jej twórcę. Widzimy już więc pewną orjentację liberalnej krytyki w stronę katolicyzmu, ale jeszcze między nią a nim jest ogromna przepaść.

Jak dalej, według tejże liberalnej teorji, ukształtowały się stosunki prawno-organizacyjne w Kościele? Oto mniej więcej tak: Nowo zakładane gminy chrześcijańskie rządziły się na zasadach po części demokratycznych, po części patrjarchalnych. Pewne moralne przodownictwo w łonie gminy siłą rzeczy ujmowali w swe ręce czyto starsi wiekiem, czy też wybitniejsi rozumem i pozycją socjalną, tworząc pewnego rodzaju kolegja starszych, »presbyteroi«. Do nich należało i przewodniczenie we wspólnych modlitwach, a mianowicie w obrzędzie łamania chleba, czyli sprawowania Eucharystji. Oni też naradzali się nad sprawami, dotyczącemi całej gminy. Gmina, zwłaszcza przy pierwotnym entuzjaźmie, odznaczała się wielką dobroczynnością: chętnie składano jałmużny na utrzymanie wdów i sierot, jak również na cele kultu i propagandy; tworzył się więc majątek

wspólny i potrzebną się stawała administracja tegoż. Do tej administracji wybierała gmina osobnych urzędników, ekonomów, którzy powoli przybierali nazwę »episkopoi«, nadzorców. Ich pomocnikami w faktycznem zwłaszcza rozdawaniu jałmużn byli djakoni. Nauczycielstwo nie należało ani do presbyterów, t. j. owego grona starszych, ani do episkopów, owych administratorów majątku, jako takich, lecz brali się do niego ci, którzy czuli do tego szczególne powołanie, uważane za rodzaj natchnienia zgóry. Obok samych apostołów i innych wędrownych nauczycieli, którzy obchodząc poszczególne gminy, krzepili je słowami pociechy i rozwijali naukę religijną, byli i inni doktorowie, np. rodzaj proroków, którzy gdy na zebraniu religijnem poczuli natchnienie do mówienia, wstawali i pouczali zebranych, lub nawet ujmowali w swe ręce przewodnictwo w modłach wspólnych. Działy się przytem nadzwyczajne rzeczy. Często tacy natchnieni mowcy wpadali w jakieś podniecenie i wymawiali słowa, których ani słuchacze, ani oni sami nie rozumieli. Brane to było za »dar języków«. Z grona obecnych powstawali inni, którym rzekomo danem było rozumienie tajemniczych słów i ci je wykładali. Słowem cała strona nauczycielska życia pierwotnych chrześcijan, wzajemnego budowania się i zachęty, miała mieć cechę samorzutnego powołania, entuzjazmu, który uważano za szczególną łaskę niebios, »charisma«, stąd i cała teorja nazywa się teorją »charyzmatycznego« pochodzenia nauczycielstwa w Kościele.

Łatwo zrozumieć, — mówią dalej zwolennicy liberalnej krytyki, że takie wolne i natchnione nauczycielstwo spowodowywało tylko zamęt w pojęciach i rozkład gmin na rozmaite kierunki i sekty. Przeto poczęto ujmować je w pewne karby i poddawać kontroli. Stąd »starsi« gminy wystąpili w charakterze pewnych nadzorców nauki. Powoli i pierwotny entuzjazm osłabł i gatunek natchnionych proroków wygasał, a nauka, pierwotnie chaotyczna, musiała się krystalizować i oto występuje coraz bardziej na scenę nauczycielstwo regularne. Jednocześnie pod względem zarządu Kościoła dokonywa się również ewolucja: pierwotni ekonomowie, episkopi, dzięki potędze, jaką daje trzymanie w swych rękach publicznego skarbu, zyskują coraz bardziej na powadze, w samem gronie starszych uzyskują przewagę i wysuwają się na czoło całego życia religijnego. W swoich rękach coraz bardziej skupiają nie tylko administrację i rządy, ale i przewodnictwo w kulcie, a w miarę wygasania charyzmatyków, czy też i w walce z nimi, zagarniają i nauczycielstwo,

występując odtąd jako stróże i wykładacze pozostawionej przez apostołów nauki. Takim ma być początek episkopatu. Starsi, presbyteroi, stali się podwładnymi biskupów; są to dzisiejsi prości kapłani. Instytucja wolnych nauczycieli znika, dopóki jej protestantyzm nie wskrzesi. Z demokracji, z wolności ducha, nic nie pozostało. Kościół przybrał dzięki biskupstwu monarchiczne formy i zakrzepł w okowach autorytetu i niewoli.

Taką w grubszych, ogólnych rysach jest teorja liberalnych protestantów o pochodzeniu hierarchji kościelnej.

Cała ta teorja, jakkolwiek wydaje się tak naturalną, jakkolwiek drapuje się w togę jedynie godnej miana nauki historycznej, skoro ją zestawimy z najstarszemi zabytkami piśmiennemi chrześcijaństwa, okazuje się czystym wytworem fantazji. Już wyżej przytoczyliśmy dowody tego, że Chrystus, założyciel Kościoła jako uorganizowanej społeczności, pełnię swej kapłańskiej, nauczycielskiej i królewskiej władzy przelał na apostołów. Tutaj więc dość wyśledzić te sposoby i drogi, jakiemi pełnomocnictwa apostołów przeszły na ich dzisiejszych dzierżycieli. Dokonamy tego według wyżej ustanowionego podziału władz kościelnych.

Zacznijmy od kapłaństwa w ścisłem znaczeniu tego słowa.

W kapłaństwie widzimy dzisiaj dwa główne stopnie: biskupstwo i proste kapłaństwo. W zakresie funkcyj sakramentalnych różnią się one zasadniczo tem, że biskup otrzymanej władzy, tak biskupiej jak prostego kapłaństwa, może udzielać dalej, święcąc nowych kapłanów i konsekrując nowych biskupów, czego nie może czynić prosty kapłan, ograniczony do udzielania tylko innych sakramentów. Teologja wyraża tę różnicę w tej formule, że prosty kapłan przez chrzest i inne sakramenta oprócz kapłaństwa rodzi duchowo prostych synów Kościoła, podczas gdy biskup przez sakrament kapłaństwa rodzi dla Kościoła tych, co mają być duchownymi ojcami innych. Do tej zasadniczej różnicy przybywa inna, nie w całym Kościele praktycznie przeprowadzona, mianowicie, że do biskupa należy z prawa udzielanie sakramentu bierzmowania, podczas gdy prosty kapłan może to czynić jedynie na mocy szczególnego upoważnienia.

Otóż zaraz w Dziejach Apostolskich i listach św. Pawła znajdujemy, że już apostołowie przekazywali władzę kapłańską już to w całej pełni, czyli w stopniu biskupstwa, już to w mierze ograniczonej, czyli w stopniu prostego kapłaństwa, w obydwóch razach

przez osobny rytuał wkładania rąk, czyli sakramentu święceń. Zakładając nowe gminy chrześcijańskie, zwykle ustanawiali przez wkładanie rąk »starszych«, presbyterów, których główną czynnością miało być przyjmowanie nowych członków do społeczności wiernych, sprawowanie Eucharystji i rozdawanie wiernym Ciała Pańskiego. Byli to więc prości kapłani. Przy nieustalonej jeszcze terminologji, nazywano ich już to starszymi, już to »episkopami« czyli nadzorcami, dla innej funkcji jaką im w zakresie rządów polecano. Nie byli oni atoli biskupami w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, gdyż nie przysługiwało im prawo dawania święceń kapłańskich innym. W księgach Now. Test. ten wyraz »episkopos«, biskup, trafia się cztery razy (Dz. Ap. 20, 28; Filipen. 1, 1; 1 Tym. 3, 2; Tyt. 1, 7), w żadnym jednak razie, jak dobrze wykazali niektórzy katoliccy historycy, np. Bruders, Michiels, Batiffol, Borkowski i Prat, nie oznaczał biskupa w dzisiejszem słowa znaczeniu, t. j. posiadającego kapłaństwo w całej pełni. Wogóle nowsi historycy skłaniają się do twierdzenia, że za życia apostołów nie było po gminach chrześcijańskich biskupów stałych, jak chyba tylko wyjątkowo. Gminy były jeszcze zbyt młode i wątłe, by w zupełności sobie wystarczały; wymagały ciągłej czujności swych założycieli, apostołów, stąd też ci nie przekazywali wybranym starszym pełni kapłańskiej władzy, zatrzymując ją przy sobie. Udzielali jej zato swoim najbliższym pomocnikom, których wysyłali w swojem imieniu do poszczególnych Kościołów, aby tam urządzali stosunki kościelne. Takich delegatów i pracowników posiadał wielu np. św. Paweł Apostoł; najbardziej znanymi z nich są św. Tymoteusz i Tytus. Ci niewątpliwie otrzymali również władzę święcenia kapłanów, czyli starszych, a zatem byli prawdziwymi biskupami, jakkolwiek nie w znaczeniu naszem biskupów stałych, diecezjalnych.

W miarę, jak życie apostołów chyliło się ku zachodowi, a gminy chrześcijańskie rosły w liczbę wiernych i wzmacniały się wewnętrznie, trzeba było ustanawiać w nich prawdziwych biskupów stałych przez przekazanie im pełni kapłańskiej władzy, co też czyniono już począwszy od drugiej połowy pierwszego wieku, tak, że w końcu tegoż stulecia, np. w Apokalipsie św. Jana widzimy już rozwiniętą monarchiczną instytucję biskupów (w Apok. noszą nazwę »aniołów«), a na początku II wieku, w listach św. Ignacego męczennika, już występuje jako fakt powszechny, znany, na Boskiem ustanowieniu oparty, hierarchja kapłańska, składająca się z trzech stopni: biskupa, pre-

sbytera (kapłana) i djakona. Bo, dodamy mimochodem, już apostołowie do pomocy presbyterom w służbie Bożej i zaopatrywaniu potrzeb wiernych dodawali pomocników w osobie tak zw. djakonów, to znaczy sług, jakkolwiek nie byli to prości słudzy, ale wybrani i poświęceni przez wkładanie rąk członkowie hierarchji kościelnej.

Z rozpatrzonych rzeczowo zabytków piśmiennych I i II wieku wypływają odnośnie do kapłaństwa następujące pewniki, wprost niezgodne z konstrukcją liberalnych historyków. Pierwszy pewnik ten, że stan kapłański nie utworzył się w Kościele pierwotnym drogą przywłaszczenia przez jakichś uzurpatorów, choćby nawet starszych wiekiem, ale był dalszym ciągiem kapłaństwa apostołów. Kapłańską godność tych ostatnich tylko ci piastować mogli, którzy ją przez osobne poświęcenie rytualne otrzymywali. »Nikt bowiem nie bierze sobie czci sam — tak stwierdzał ogólną zasadę autor listu do Żydów (5, 4) — jeno kto powołany został jako Aaron«. Stąd też, kiedy pod koniec pierwszego stulecia zapanowały w kościele Koryntu anarchiczne prądy i zbuntowani »młodsi« usunęli samowolnie dotychczasowych »starszych«, czyli kapłanów, św. Klemens, biskup Rzymski, surowo skarcił w swym liście ten postępek, wychodząc nie z tego założenia, że ośmielono się znieważyć siwiznę starszych, ale dowodząc, że nikt nie może pozbawiać godności tych, którzy ją w sposób prawidłowy otrzymali od apostołów lub ich pomocników albo wysłańców. Już więc w zaraniu chrześcijaństwa istniała świadomość, że kapłaństwo płynie zgóry mocą ustanowienia i poświęcenia przez tych, którzy je już posiadali. Że przytem, w czasie kiedy jeszcze nie było mowy o jakiemś fachowem kształceniu kandydatów do kapłaństwa, przy wyborze przyszłych kapłanów miano przedewszystkiem wzgląd na ich wiek i doświadczenie, co zapewniało im pewną moralną powagę wśród współwyznawców, to było rzeczą naturalną. Czynili tak zapewne już apostołowie i to mogło być powodem, że przy nieustalonej jeszcze terminologji i unikaniu nazwy »kapłan«, która dawałaby okazję do utożsamienia sług ołtarza chrześcijańskiego z kapłanami pogańskimi lub żydowskimi, nazywano nowo poświęconych wprost »starszymi«. Mylnym atoli byłby wniosek, jakoby władza sakramentalna, jaka im w gminie chrześcijańskiej przysługiwała, wypływała z ich wieku lub naturalnej powagi wśród współwyznawców.

Drugi pewnik to zróżniczkowanie już w zaraniu chrześcijaństwa stopni w kapłaństwie. Obok apostołów, a względnie i ich naj-

bliższych pomocników, posiadających całą pełnię kapłaństwa, występują owi powyżej opisani »starsi«, czyli prości kapłani z pewnym tylko zakresem kapłańskiej władzy. Potem atoli i ową pełność, jaką posiadali sami, przelewają apostołowie na innych, czyli tworzą właściwych biskupów. Do pomocy zaś jednym i drugim dodają djakonów. Ten więc nadmiar władzy kapłańskiej, jaką biskupi górują nad prostymi kapłanami, nie jest bynajmniej rezultatem przywłaszczenia jednych a niesłusznego poniżenia drugich — jak twierdzili »presbyterjanie« — lecz pochodzi z czasów apostolskich. Jak zaś już wtedy musiał każdy stopień przestrzegać zakresu swej władzy, to widzimy na przykładzie, opowiedzianym w Dziejach Apostolskich. Kiedy Samarja przyjęła słowo ewangelji i wielu zostało ochrzczonych, musieli apostołowie Piotr i Jan udać się do nich, by przez »włożenie rąk« na nowo ochrzczonych udzielić im Ducha św. (Dz. Ap. 8, 14—18). Widocznie, że ci, co mogli chrzcić i zapewne Eucharystję sprawować, nie mogli udzielać sakramentu bierzmowania.

W drugi wiek naszej ery weszła hierarchja kapłańska w potrójnym stopniu: biskupstwa, kapłaństwa prostego i djakonatu. Potem, kiedy kult się rozszerzał i otaczał coraz większą pompą, Kościół stworzył swoją powagą rozmaite inne stopnie posługiwania kościelnego, jakby rozdrabniając funkcje djakońskie na różne stopnie podrzędne. Stąd powstały tak zwane stopnie niższe hierarchji, które w różnych krajach rozmaicie liczono i nazywano. W Rzymie już w połowie III wieku spotykamy się ze stopniami poddjakona, akolity, egzorcysty, czyli zaklinacza duchów, lektora i oddźwiernego (ostiarjusza). Te stopnie przechowały się w naszym Kościele dotychczas, choć już ogołocone z właściwych pierwotnych funkcyj. Przez nie przechodzi kleryk, zanim otrzyma święcenia dalsze, djakonatu i kapłaństwa. Według powszechnej nauki teologów, stopnie te, jakkolwiek otrzymuje się je przez pewnego rodzaju poświęcenie, nie są sakramentalne, t. j. charakteru niezmazalnego na duszy nie wyciskają. Ci, co je otrzymali, stoją jakby na pograniczu między stanem kapłańskim, a stanem świeckim. Ponieważ im brak charakteru kapłańskiego, więc należą w mistycznej budowie ciała Chrystusowego Kościoła do świeckiego stanu, dopuszczani są atoli do większej bliskości i poufałości z rzeczami kultu, z ołtarzem i tym sposobem w stopniu wyższym, niż prości wierni, biorą udział w sprawowaniu świętych tajemnic, w bliższy kontakt wchodzą z kapłaństwem i dzięki temu w zewnętrznym ustroju Kościoła już się zaliczają do kleru. Dodajmy,

że niegdyś i z pomiędzy niewiast wybierano i poświęcano tak zwane djakonisy, które w kościele pełniły pewne pomocnicze funkcje przy udzielaniu niewiastom chrztu, eucharystji i innych sakramentów. Była więc ta instytucja podobną do owych niższych święceń kleryckich. Nie zapominajmy, że pewien dalszy udział w kapłaństwie mają wszyscy prości wierni przez to, iż przynoszą razem z kapłanem ofiarę mszy świętej, że ważnie, a w pewnych razach zupełnie godziwie mogą udzielać chrztu świętego, że wreszcie są również sami szafarzami sakramentu małżeństwa.

Przejdźmy do nauczycielstwa kościelnego. Słyszeliśmy z ust historyków liberalnych, że do nauczycielstwa w pierwotnym Kościele zabierał się każdy, kto czuł do tego natchnienie, nie szukając do tego ani osobnych święceń, ani żadnej delegacji, i że jeśli biskupi dziś uważają się za jedynych następców apostołów w dziele nauczania, to jest to z ich strony uzurpacją.

To twierdzenie wychodzi przedewszystkiem z mylnego rozumienia nauki katolickiej o biskupach, jako następcach apostołów w urzędzie nauczycielskim. Co katolicy przez to rozumieją? Czy to, że oprócz biskupów nikt w Kościele niema prawa nauczania? Bynajmniej. Jeżeli pod mianem »Kościoła« nie rozumiemy ścian domu Bożego, ani samej tylko chwili publicznego nabożeństwa, lecz całą społeczność chrześcijańską we wszystkich jej funkcjach i członkach, to najpierw prawo nauczania religji przysługuje i ciąży jako obowiązek na rodzicach chrześcijańskich względem swych dzieci: ojcowie i matki są pierwszymi apostołami nowiny o dobrym Bogu. Dalej, wszak każdy chrześcijanin, bez względu na płeć i stanowisko, może pouczać swego bliźniego prawd wiary, jeśli je sam rozumie; często okoliczności nawet go do tego zmuszają. Owszem można być misjonarzem bez osobnego poświęcenia czy posłannictwa. Weźmy dobrego katolika, którego losy życia zapędziły gdzieś w pogańskie czy heretyckie otoczenie: dlaczegóżby nie miał prawa głosić ewangelji i prawdziwej kościelnej nauki i pozyskiwać dusz dla prawdy? W pewnym więc zakresie i w pewnych okolicznościach nauczycielem i misjonarzem może być każdy i każda. Co się tyczy kleru i nauczania w świątyni, to i tu przywilej nauczania nie jest wyłącznym przywilejem biskupów. Owszem już w święceniach djakonatu obowiązek nauczania prawd wiary poleca się djakonom, tem bardziej jest on właściwy kapłanom. Dalej jeszcze, kiedy mówi się o biskupach, jako następcach apostołów w nauczycielstwie, nie znaczy to również,

że jedynie biskupi, dzięki swemu charakterowi, otrzymują głębszą znajomość i rozumienie tajemnic Bożych. Same bowiem święcenia nie zmieniają w nich tego stopnia wykształcenia teologicznego, jakie otrzymali w szkołach i to przecież najczęściej od nauczycieli, którzy biskupami nie byli, ani może nigdy nie zostaną. Głębsze poznanie prawd objawionych może mieć właśnie teolog nie biskup, owszem świecki człowiek. Niema żadnego zakazu, by np. świeccy ludzie nie studjowali ex professo teologji; mogą to czynić i pisać najgłębsze teologiczne dzieła.

Cóż więc chcemy powiedzieć, kiedy biskupów uważamy za następców apostołów w naucielstwie kościelnem? Otóż jedynie to, że oni, a nie kto inny, są szczególnymi stróżami skarbu nauki objawionej, a zatem nadzorcami ze swego urzędu nad wszelkiem nauczaniem i kaznodziejstwem w Kościele; że wrazie potrzeby są sędziami sporów w rzeczach wiary i dobrych obyczajów, czyli że im pozostawioną została najprzedniejsza cząstka urzędu nauczycielskiego, którego podrzędne zadania wykonują i inne czynniki w Kościele pod kontrolą i w zależności od nich.

Po takiem wyjaśnieniu przywileju biskupów w zakresie nauczycielstwa, upada całe rozumowanie liberalnych historyków. Najpierw zauważmy, że jakkolwiek nie wszyscy, to może znaczna liczba owych »charyzmatycznych«, pierwotnych, według zwalczanego przez nas zdania, nauczycieli mogła należeć mocą święceń do liczby »starszych« czyli kapłanów. W zabytkach historycznych niema nic, coby tę hypotezę wykluczało. Z drugiej strony wydaje się naturalną rzeczą, że przy wyborze »starszych«, obok wieku i naturalnego rozumu brano pod uwagę i nadprzyrodzone dary, np. dar proroczy, tak często w zaraniu chrześcijaństwa spotykany. W takim zaś razie, cóż można wywnioskować z tego, że tacy charyzmatycy i kapłani zarazem oddawali się nauczycielstwu? Nic. Lecz chętnie przypuszczamy, że było wielu charyzmatycznych nauczycieli, którzy do kolegjum kapłańskiego nie należeli. Z tego atoli teorja liberalnych profesorów nie ma żadnego poparcia. Cóż z tego bowiem, że w pierwotnych gminach chrześcijańskich do nauczania zabierali się ludzie, nie należący nawet do hierarchji, że uważano ich często za szczególnie natchnionych od Boga i słowom ich pilnie się przysłuchiwano? Czyż nie to samo co do istoty widzimy w Kościele katolickim późniejszych wieków aż dotąd? Przemawianie, pouczanie, nie jest funkcją sakramentalną, jak np. msza święta, zatem może osiągnąć swój skutek

i wtedy, kiedy wychodzi z ust człowieka, nie posiadającego charakteru kapłańskiego; a zatem może tu być dopuszczony znaczniejszy udział elementu świeckiego, niż w funkcjach liturgicznych. I nie sięgając aż do pierwszych charyzmatyków, widzimy w ciągu wieków wielu uczonych i nauczycieli, którzy nie będąc biskupami, ani nawet kapłanami, jaśnieli światłem nauki w rzeczach wiary i innym jéj udzielali. Widzimy zastępy katechistów i katechistek, uczących prawd wiary pogan. Widzimy wyższem światłem oświecone umysły tych, co zgłębiają tajemnice bytu Bożego i życia Boga w duszy i których pisma ze czcią przechowujemy, owszem za objawione po części przyznajemy. Dość wspomnieć nawet z niewiast taką św. Teresę, czy Gertrudę, a takich świateł w Kościele — legjon.

Tylko, oto co w Kościele było od początku i co jest do dziś, a co liberalna krytyka przeocza: całe to pozabiskupie, że tak powiem, nauczycielstwo, owoc własnych studjów nad rzeczami wiary, czy analizy życia Bożego we własnych duszach, owoc niejednokrotnie prawdziwego nowego natchnienia Bożego, całe to prywatne nauczycielstwo, jak i nauczycielstwo niższych stopni hierarchicznych, stało zawsze, od początku aż do dziś, pod inspekcją i kontrolą wyższej duchownej władzy. Prawda, że w czasach apostolskich częściej do głosu w Kościele dochodzili nauczyciele charyzmatyczni, prorocy, ale i wtedy nad ich nauczaniem czuwano pilnie, by pod pozorem natchnienia Bożego nie rozsiewali niezdrowych nauk. Najpierw stali na straży czystości objawionej prawdy sami apostołowie. W każdej założonej przez siebie gminie pozostawiali, jako drogi skarb, pewien zarys nauki, jakby krótki katechizm, i ten był normą, do której musiało się stosować wszelkie nauczanie. Św. Paweł w liście do Galatów, mając na względzie pewne bałamutne nauki, tak kategorycznie się wyraża: »Choćby anioł z nieba przepowiadał wam mimo to, cośmy wam przepowiadali, niech będzie przeklęctwem« (1, 8). Żadne prorokowanie, choćby powoływało się na Boże posłannictwo, nie mogło być cierpianem, jeśli się sprzeciwiało normie wiary raz podanej. W liście do Koryntjan cały 14 rozdział poświęcony jest przepisom, które właśnie miały normować występy w Kościele charyzmatycznych nauczycieli. Do Tymoteusza (2 Tym. 1, 13) pisze Apostoł, aby miał »wzór żywych słów, które od niego słyszał i strzegł dobrej rzeczy, zwierzonej mu przez Ducha św.« Ten wzór żywych słów, to depozyt wiary, dany raz na zawsze, to owa norma, do której wszelkie nauczanie i wykład ma się stosować. Stąd on, Ty-

moteusz, biskup Efezu i innych kościołów, ma strzedz tego skarbu od »głupich gadek« i strofować tych, którzy się prawdzie sprzeciwiają (2 Tym. 2, 23—25). Św. Jan każe doświadczać duchów, azali od Boga są (I list, 4, 1), a w Apokalipsie swojej (rozdz. 2 i 3), wkłada na biskupów obowiązek, by czuwali nad czystością wiary i chwali tych, co poskramiają rozsiewaczy błędów. Pewne wskazówki co do takiej kontroli podaje i »Nauka 12 Apostołów«, zabytek piśmienny z końca I wieku.

Oto główne prerogatywy biskupów, odziedziczone przez nich od apostołów. Zmieniają się czasy, zmieniają się kształty, istota rzeczy zawsze trwa ta sama. I dziś biskupi stoją i stać powinni na straży czystości nauki wiary i obyczajów. Stąd do nich z prawa należy inspekcja wszelkiego nauczania religji po szkołach, chociażby państwowych; oni upoważniają do tego nauczycieli i kontrolują ich. Bez ich posłannictwa, upoważnienia i kontroli nikt nie może uprawiać kaznodziejstwa kościelnego. Ich cenzurze podlegają wszystkie książki i pisma, traktujące o rzeczach religji. Oni piętnują każdy błąd, przestrzegają przed nim, zabraniają wiernym czytania złych książek. Oto, co znaczy nauczycielstwo biskupie w Kościele. Dalej, kiedy wynikną jakie subtelniejsze spory teologiczne, episkopat ma prawo sporną kwestję rozstrzygnąć. Wprawdzie żaden biskup, oddzielnie wzięty, nie jest zabezpieczony od możności pomylenia się, oprócz najwyższego nauczyciela wiernych, biskupa Rzymskiego; cały atoli episkopat, kiedy występuje solidarnie z papieżem na czele w jakiejś kwestji religijnej, czy to na soborze, czy w zwykłem nauczaniu, nie może się pomylić.

Takiem jest rozumienie nauczycielstwa w Kościele, ale też takiem było od samego początku. W tem królestwie prawdy niema miejsca tylko na wybujały indywidualizm umysłowy, na anarchję ducha, jakich smutny przykład daje nam współczesny protestantyzm. Niema miejsca na samozwaństwo takich, co rzekomo przychodzą w imię Pańskie, ale sprzeciwiają się raz uznanej prawdzie, lub buntują się przeciw legalnej powadze, jak to uczynili nieszczęśni założyciele naszych Marjawitów, — bo Duch św. sam ze sobą w sprzeczności być nie może. Do takich można zastosować przytoczoną wyżej maksymę apostolską: Choćby anioł z nieba zstąpił... Duch święty może kierować i dziś umysłami, językiem i piórem tych, których za narzędzia swe upatrzy, ale rękojmią, że rzeczywiście Duch święty nimi kieruje, będzie pokorne poddanie przez nich nauki

swojej pod kierownictwo, kontrolę i aprobatę tych, których tenże Duch św. postawił autentycznymi nauczycielami w Kościele swoim, następców apostołów — biskupów.

Pozostaje trzecia funkcja naszego schematu — rządy kościelne. Po tem, co się o nauczycielstwie powiedziało, nie potrzeba już wiele się rozwodzić. I pod tym względem biskupi są następcami apostołów. A priori już jest widoczną słuszność takiego dziedzictwa. Na kogóż bowiem miała przejść władza rządzenia, władza prawodawcza, władzą zarządu i sądzenia w Kościele, jak nie na tych, którym przekazaną została pełnia kapłaństwa? Któż bardziej był wskazany na rządcę owiec i baranków Chrystusowych, jak nie ten, kto mocą biskupiego charakteru miał możność uświęcania nietylko prostych wiernych, ale i stanowienia dla nich pasterzy-kapłanów? Dlatego w dokumentach historycznych widzimy, że pełnia kapłaństwa, nauczycielstwa i rządów w Kościele ciągle jest przypisywaną tym samym pomazańcom Bożym — biskupom. Im np. Ignacy męczennik w II wieku przypisuje prawo nietylko sprawowania Eucharystji, lub wkładania rąk, ale i takie prerogatywy, które wprost do zewnętrznych rządów Kościoła należą, a wiernych i kler niższy zobowiązuje do zupełnego względem nich posłuszeństwa, jakby względem samego Chrystusa.

Tu znowu chybiają celu krytycy liberalni, kiedy twierdzą, że w pierwotnych gminach chrześcijańskich, nie znano rządów biskupich. Tak, ale też wtedy nie było ich potrzeba, skoro młodociane Kościoły zostawały pod ciągłemi jeszcze rządami swoich założycieli, apostołów, prawdziwych ówczesnych biskupów. Kiedy atoli ci ustępowali ze sceny, władza ich zwierzchnicza musiała przejść na tych, na których przeszła i pełnia kapłaństwa. Stąd w najstarożytniejszych zabytkach piśmiennych biskupi są wyraźnie nazywani »następcami«, successores apostołów. Te biskupie katedry, trony, które sami apostołowie założyli, nazywały się katedrami apostolskiemi, na stwierdzenie ciągłości władzy, która z apostołów na biskupów przeszła. Fantazją zatem jest twierdzenie, że biskupi dzisiejsi to tylko następcy jakichś pierwotnych ekonomów w Kościołach, jakichś skarbników, którzy siłą faktu mieli zawojować sobie supremację nad innemi czynnikami w Kościele. O istnieniu bowiem takich ekonomów, którzyby nosili miano biskupów, episkopoi, Dzieje Apostolskie nic nie wiedzą. Mówiliśmy, że ilekroć ta nazwa przychodzi zawsze oznacza nie jakichś ekonomów, ale ogół »starszych«, czyli dzisiej-

szych kapłanów. Zatem i dzisiejsi biskupi nie są spadkobiercami tylko owych mężów, którzy niegdyś podobną nazwę nosili, ani jakichś urojonych skarbników, lecz tych, którzy piastowali pełnię posłannictwa od Jezusa — to jest apostołów.

Dodajmy do tych wyjaśnień jeszcze jedną rzecz. Jak funkcja nauczania, tak i funkcja rządzenia, stanowienia praw, sądzenia nie jest funkcją sakramentalną, a zatem wyjątkowo może spoczywać w rękach tych, co pełni kapłaństwa nie mają. Już w Dz. Apost. »starszym«, czyli kapłanom prostym w naszem znaczeniu, apostołowie część władzy rządzenia przekazywali w zależności od siebie, jak to widzimy ze słów Pawła św., wypowiedzianych do »starszych« z Efezu: »Pilnujcie siebie samych i wszystkiej trzody, nad którą was Duch św. postanowił biskupami, abyście rządzili Kościół Boży« (20, 28). I dziś do pewnego udziału w rządach kościelnych powoływani są duchowni niższych stopni, jak kapłani, a nawet niżsi od nich; owszem niekiedy pewne atrybucje zarządu kościelnego mogą być przeniesione nawet na świeckich. Po śmierci biskupa, rządy diecezji tymczasowo sprawuje kapituła przez swego wikarjusza, którym może być kapłan, nie biskup. Owszem kanonicznie obrany i zatwierdzony biskup obejmuje niekiedy rządy diecezji i sprawuje je czas jakiś, zanim otrzymał konsekrację biskupią, nie mając atoli prawa ani święcić kapłanów, ani bierzmować. Z drugiej strony prawdziwy biskup, z pełnią zatem kapłaństwa, której mu odjąć nie można, może utracić swoją diecezję, albo wcale jej w zarząd nie objąć; będzie to biskup tytularny, fungujący zwykle jako pomocnik biskupa diecezjalnego. Widzimy tedy, że w niektórych razach pełnia kapłaństwa nie schodzi się z władzą kościelną, z reguły atoli jedna i druga zdobi tych samych, prawdziwych kapłanów, nauczycieli autentycznych i pasterzy trzody Chrystusowej.

Tak się przedstawia wewnętrzna budowa tego stanu, który Kościołowi całemu przewodniczy, ze względu na potrójne jego zadanie: uświęcenia, oświecania i rządzenia. Przekonaliśmy się, że to, co dziś w Kościele posiadamy, wiąże się prostą nicią następstwa z tem, co Chrystus apostołom pozostawił. Z tego względu nasz Kościół słusznie nazywamy »apostolskim«.

Ostatnia jeszcze mgła do rozwiania... Kiedy na wiosnę spojrzy się na zielony łan, nie każde oko odróżni pióra pszenicy od liści rosnących wśród niej chwastów: tak to jedno do drugiego podobne. A zarazem jakim na oko niepodobnym jest ten pszeniczny badyl do

do późniejszego kłosa! I w świecie zjawisk społecznych może zajść coś podobnego. Gdy się patrzy na pierwotne gminy chrześcijańskie z ich prostotą, naiwnością wierzących, ich entuzjazmem świętym i dziecinnym, ich charyzmatycznymi nauczycielami, ich prostym kultem, — zapewne na oko dzisiejszy Kościół przedstawia się dużo inaczej. Za to wiele z dzisiejszych sekt, jacyś adwentyści, jacyś spirytyści z pod naszego Chrzanowa, czy kwakrzy z Ameryki z ich chorobliwą, nastrojową pobożnością, prorokowaniem i t. d. mogą być na oko podobniejsze do pierwotnych gmin chrześcijańskich, niż katolicyzm. Otóż jest to podobieństwo trawy do niedojrzałej pszenicy. Zato między Kościołem pierwotnym i Kościołem katolickim dzisiejszym, pomimo różności zewnętrznej, zachodzi nie tylko podobieństwo, ale tożsamość wewnętrzna. Jestto tożsamość dojrzałego kłosa z zieloną niegdyś łodygą. Królestwa swego nie zorganizował Chrystus w wykończonych formach; nie zostawił gotowego kodeksu drobiazgowego, nie pozakładał kancelaryj konsystorskich, ani katedr teologicznych, — to prawda. Ale i to prawda, że rzucił parę słów Boskich na rolę serc ludzkich, parę słów, w których, jak w ziarnie roślina, wszystko to potencjalnie zawierało się. I tchnieniem swego Ducha ożywił to ziarno i przez wieki daje mu wzrost i rozwój. I wszystkie prawa tego rozwoju zostały zgóry w tem ziarnie zamknięte i dziś je z faktów historycznych wyczytujemy. I jeżeli dzisiaj ktoś przychodzi do nas i mówi: pierwotny Kościół był tylko ziarnem i trawą, a więc i teraz takim być powinien, jeżeli trawę wśród nas sieje, to my, katolicy, spokojnie oczekiwać będziemy czasu żniw, kiedy ocenioną zostanie wartość pszenicy Bożej, a trawę spotka zwykły los zielska i kąkolu.

Ks. Jan Urban.

NOWĄ METAFIZYKA.

(Ciąg dalszy).

III.

Pomimo wszystkie zarzuty, które Joël czyni idealizmowi i filozofji życia, z dalszego toku rozprawy autora wynika, że odczuwa on w gruncie rzeczy wielką sympatję i dla jednego i dla drugiego kierunku, zarówno dla Platona, Kartezjusza, Kanta, Hegla i neokantystów, jak i dla Guyau, Boutroux, Bergsona i Euckena. Zwłaszcza podoba mu się filozofja Euckena, który, wedle słów autora, »chce życie przenieść ze skutku do przyczyny (coby to mogła być za operacja?), spotęgować je do samoistnego działania (zbyteczny trud, bo życie i tak już polega na samoistnem działaniu!) i widzi w historji szukanie przez życie samego siebie, a w filozofji przemianę życia, podwyższenie życia, w metafizyce życia zaś wzniesienie się do nadludzkiego charakteru życia, do pełni życia, do wszechstronnego życia ducha«.

Od takiej ilości życia moglibyśmy się udławić, gdyby nie ta szczęśliwa okoliczność, że sympatyk p. Euckena taką porcją uracza nas tylko na papierze. Gdzieś w przypisku Joël zaznacza nawet skromnie, że jego filozofja jest spokrewniona z filozofją Euckena (str. 52), co pomimo woli nasuwa czytelnikowi myśl, że pomysł nowej metafizyki Joëla nie jest znowu tak nowy, jakby się zdawało.

Ale o tem później.

Tymczasem zaś stwierdźmy, że autor, aby dowieść możliwości zlania się filozofji życia z idealizmem, wyszukuje pomiędzy niemi cech pokrewnych. Więc u idealistów Joël znajduje realizm i relatywizm (co do relatywizmu — zgoda, ale co do realizmu, jak widzimy, nie!). U realistów zaś widzi pewną niezmienność, chociażby

w ciągłości następujących po sobie zmian (istotnie, w braku laku, dobry i opłatek!). Pomimo to wszystko sądzi, że dla wytworzenia nowej metafizyki jeden i drugi kierunek powinny porobić wzajemne ustępstwa. Idealiści — względnie neokantyści — nie powinni, zdaniem Joëla, pozostać przy transcendentalizmie Kanta, który uczył, że poza światem zjawisk istnieje niepoznawalny świat rzeczy samych w sobie. Namawia ich, aby odrzuciwszy kantowski świat sam w sobie, uznali świat poznania za taki świat (str. 33). A to dlatego, iż świat ten jest w ostatecznym wyniku treścią (czytaj: rzeczywistym bytem) i że współczesny »głód świata« nie może zadowolić się formami (pojętemi à la Kant)«.

W pojęciu pomysłowego autora nowej metafizyki, »Welthunger«, ma tu oznaczać przeświadczenie ludzi o przedmiotowości otaczającego nas świata. Tylko że przedmiotowość tę nie należy pojmować tak, jak ją pojmuje Joël, lecz tak, jak ją pojmują wszyscy trzeźwo myślący ludzie.

Żeby się pochwalić swoją spostrzegawczością, to przeświadczenie autor podaje za współczesne, gdy w rzeczywistości istniało ono zawsze, odkąd istnieje ród ludzki. Przytem p. Joël żartuje chyba z czytelnika, gdy zapewnia, że po odrzuceniu świata kantowski »głód świata« da się zaspokoić takim bytem logicznym, któremu przedmiotowo absolutnie nic nie odpowiada. Żeby zmusić neokantystów do uznania świata myśli za świat rzeczywisty, autor wskazuje, że zarówno same rzeczy, jak i duch czasu domagają się takiej rzeczywistości.

Zapewne, skoro już same rzeczy i wszechpotężny »duch czasu« domagają się takiej »rzeczywistości«, czyli przedmiotowości świata, to już oczywiście idealistom nie pozostaje nic innego, jak zwinąć chorągiewkę i odrzuciwszy swoje unbestimmtes Irrationale, t. j. byt nieokreślony, istniejący poza myśleniem, względnie dla myślenia niedostępny, uznać świat poznania za świat rzeczywisty. »Oddzielając bowiem... to, co jest poza myśleniem, od samego myślenia, odbierają oni temu, co jest myślne, wszelką rzeczywistość, rzeczywistości zaś wszelką wartość« (str. 40) powiada Joël, w gruncie rzeczy powtarzając starą idealistyczną bajkę.

Pytanie tylko, czy idealiści zechcą swoją starą teorję poznania zamienić na nową, niewypróbowaną jeszcze metafizykę Joëla, pomimo, iż metafizyka ta, jak można wnioskować z powyższych słów, jest zaprawna subjektywizmem, niegorszym od subjektywizmu idealistów.

Nie wiem, czy przekona ich również inny argument Joëla o potrzebie uznania przedmiotowości świata, pojętej w duchu absolutnego idealizmu, mianowicie, że w razie odrzucenia takiej przedmiotowości należałoby odrzucić współczesną filozofję życia z jej mistycyzmem i romantyzmem, z jej odczuwaniem Boga, (którego notabene według teorji Joëla niema) i świata, t. j. filozofję, która wyrosła z ducha czasu i dla tej przyczyny według zdania autora ma rację bytu. Tak myśląc, Joël przychyla się widocznie do zdania pewnego niemieckiego filozofa: Alles was ist, ist vernünftig — selbst die Dummheit, czyli, że wszystko, co jest, jest rozumne — nawet głupota, że więc byłoby nierozsądnie nie przyznać temu, co istnieje, racji bytu.

Że taki pogląd nie grzeszy objektywnością, może ten tylko nie widzieć, kto wziął zupełny rozbrat ze zdrową logiką. Dlatego też nie będziemy się nad nim bliżej zastanawiali.

W taki sam nie bardzo przekonywujący sposób skłania Joël również relatywistów do poczynienia ustępstw na rzecz stałości i niezmienności. »Przesilenie filozoficzne«, powiada pod ich adresem, »dlatego nastąpiło, że dotychczas uznawano, iż myślenie jest obce życiu (przez życie Joël rozumie tutaj świat przedmiotowy), a życie obce myśleniu«. Winni są temu obrońcy życia, którzy przeciwstawiali je myśleniu jako chaotyczną pełnię i różnorodność, w porównaniu z harmonją powszechności i widzą w nich nieokiełznane, nieskończone stawanie się w przeciwieństwie do stałych zasad, posiadających moc łączenia; lecz życie jest czemś więcej niż nieskończoną rzeką, niż rozmaitością i przemianą, niż różnorodnością i pełnią, więcej niż potęgą, rozpędem i kotłowaniem, życie jest porządkiem, życie jest czemś organicznem. Porządek zaś jest właśnie treścią rozumu. Dlatego tylko, że zapoznano organiczny charakter życia, rozłączono również myślenie i życie jako dwa przeciwieństwa« (str. 35, 36). »Nasi neokantyści«, powiada na innem miejscu autor, »zrozumieli porządek, lecz tylko w umyśle, a nie w życiu; nasi filozofowie życia zrozumieli życie, lecz nie w jego najwyższej wartości, t. j. nie jako porządek« (str. 42). I żeby dowieść, że jedni i drudzy się mylili, przypomina im, że »już samo życie jest porządkiem, a myślenie rozwojem. Już samo życie nosi w sobie ślady myślenia, a w myśleniu jest ukształtowane życie. Życie myśli, a myślenie żyje. W życiu kształtuje się, urzeczywistnia się myślenie, w myśleniu zaś idealizuje i oczyszcza się życie... Przeto myślenie nie powinno unosić się niby oderwana forma bez treści ponad życiem, a życie nie powinno li

tylko nakształt jakiejś nieokreślonej i niemej treści czekać na myślenie, lecz jedno i drugie winny do siebie się zbliżyć, przeniknąć się nawzajem... W przeciwnym razie ich wzajemny stosunek pozostanie nierozwiązalną zagadką, jak niegdyś dla okazjonalistów stosunek duszy do ciała« (str. 43).

Przeczytawszy te pełne filozoficznego namaszczenia, ale ubogie w prawdę przedmiotową, słowa, czytelnik chciałby wreszcie się dowiedzieć, czem w gruncie rzeczy jest ta rzeczywistość, ten b y t r e a l n y, o którym ma traktować metafizyka Joëla, czem jest ta m e t a f i z y k a, otrzymana ze skojarzenia idealizmu z filozofją życia i mająca wyratować ród ludzki z toni błędu i upadku moralnego.

Ciekawość czytelnika Joël zaspokaja w następujący sposób: »W tem, co żyje, znajdujemy rozdział i wyrównanie przeciwieństw. Jedynie ż y c i e jest jednocześnie bytem i wartością, j e s t j e d y n ą r z e c z y w i s t o ś c i ą, która nosi w sobie idealność [1]), jak zarodek organiczny zdolność do wytworzenia rośliny; dlatego też ż y c i e n a d a j e s i ę d o r o l i p o w s z e c h n e g o p i e r w i a s t k a, Weltprinzip, w dzisiejszych czasach najsilniejszego poczucia rzeczywistości i zbudzonego na nowo popędu do idealności. Mam tu na myśli życie pojęte w całej pełni, a nie z natury dane życie pozytywizmu albo biologizmu, któremu Eucken słusznie wyrzuca: »Życie nie jest czemś danem, lecz problemem« i jego »ograniczenie do bytu danego« byłoby »zamknięciem jego w klatce«. Istotnie, życie nieustannie się rozwija i potęguje, przezwycięża samo siebie (coby to mogło być za zwycięstwo?!) i dopełnia się [2]). W poznaniu życie samo siebie przezwycięża (znowu zwycięstwo!), s t a j e s i ę w ł a s n y m p r z e d m i o t e m i w swojem organicznem dążeniu do całości ż y c i e t o j a k o p o z n a n i e d ą ż y d o o s t a t e c z n e g o u z u p e ł n i e n i a, d o o g a r n i ę c i a w s z y s t k i e g o, d o m e t a f i z y k i. Inaczej też być nie może, świat musi zawierać jakiś żyjący i porządkujący pierwiastek, który wyzwolił go z martwej równowagi i próżnego rozstrzelenia, albowiem dążność syntetyczna, po-

[1]) W języku p. Joëla ta »idealność« oznacza »zdolność do przeciwstawiania siebie samego w myśleniu«.

[2]) P. Joël ma tutaj na myśli możliwość wytwarzania z jednego pierwiastka coraz to nowych, doskonalszych i »nieprzewidzialnych« form w stylu p. Bergsona — wbrew najoczywistszej zasadzie przyczynowości, która poucza nas, że w skutku nie może być tego, czego niema w przyczynie.

trzeba kształtowania, systematyzowania i rozwoju przenika świat od najgłębszych głębin przyrody aż do najwyższych szczytów ducha« (str. 44 i 45).

Z powyższych słów Joëla czytelnik z rozczarowaniem dowiaduje się nareszcie, że ta Realität, ta rzeczywistość, ten byt realny, o którym ma traktować metafizyka Joëla, — to wyłącznie życie. Przytem zupełnie błędnie pojęte, bo nie jako coś przedmiotowego, od naszego myślenia niezależnego, lecz jako coś wyłącznie myślnego Takie życie jest według p. Joëla jedynym materjałem, jedynym pierwiastkiem, z którego utworzone jest wszystko. Dowiaduje się wreszcie, że ta wspaniała i nowa metafizyka, którą nam autor obiecywał jako »die eigentliche Wissenschaft von der Realität«, z nieznacznemi modyfikacjami, niczem innem nie jest, jak modną dzisiaj filozofją życia.

Jako filozofja życia, metafizyka p. Joëla podlega tym wszystkim zarzutom, które objektywna krytyka stawia filozofji życia bądź jako teorji szczególnego rodzaju, bądź jako modyfikacji innych teoryj. Zarzuty te postaramy się przedstawić tutaj w głównych zarysach, by uplastycznić fantastyczność metafizyki Joëla.

Joël twierdzi tedy, że jedyną rzeczywistością jest życie. Ale spytajmy, skąd mu o tem wiadomo? Jak wszyscy śmiertelnicy, tak i on musi w swojem twierdzeniu oprzeć się na doświadczeniu. Cóż jednak mówi doświadczenie? Czy wszystko, co dokoła siebie widzimy, przedstawia się nam jako życie? Zarówno prostak jak i uczony, który nie postradał zdrowego rozsądku, a stąd i nie marnował czasu na szukanie przyczyn wszechrzeczy tam, gdzie ich niema, odpowiedzą nam bez ogródek, że życie nie jest jedyną rzeczywistością, że w świecie nas otaczającym istnieją substancje, nie obdarzone nawet najmniejszym śladem życia. Do takich substancyj należą substancje mineralne. Najbystrzejsze oko, najdokładniejszy mikroskop nie dojrzą w nich tego samoistnego i imanentnego ruchu[1]), który jest właściwością nawet najniższych istot żyjących. Gdyby substancje mineralne żyły, to życie to objawiałoby się nam w jakikolwiekbądź sposób, gdyż działanie odpowiada naturze działającego przedmiotu. Tego zaś substancje mineralne nie czynią, więc ze skutku możemy wnosić o przyczynie, czyli że nie posiadają one pierwiastka życiowego.

[1]) t. j. ruchu, którego początkiem i celem jest sam podmiot.

Przypisując im życie, p. Joël wskrzesza hylozoizm ze wszystkiemi jego niedorzecznościami.

Tak samo myli się, gdy twierdzi bez zastrzeżeń, że życie myśli, a myślenie żyje. Zapewne myślenie jest objawem życia, ale tylko życia wyższego, rozumnego, duchowego, jakiem jest tu na ziemi obdarzony wyłącznie człowiek. Natomiast rośliny i zwierzęta, chociaż są obdarzone życiem, nie myślą. Przekonywa nas o tem również najprostsza obserwacja. Gdyby rośliny i zwierzęta myślały, toby nam objawiały swoje myśli w jakikolwiekbądź sposób; ale tego właśnie nie czynią. Stąd prosty wniosek, że nie posiadają w sobie pierwiastka myślącego. Czego niema w przyczynie, nie może być w skutku.

Autor tedy, obdarzając wspaniałomyślnie wszystko życiem i myśleniem oraz redukując wszystko do jednego pierwiastka życiowego, drwi sobie nietylko ze zdrowego rozsądku, lecz z najprostszego doświadczenia, z tej rzeczywistości, w której obronie tak rycersko stawał.

Stając na gruncie filozofji życia, Joël staje również przez to samo na gruncie jednej z najniedorzeczniejszych teoryj, teorji monizmu. Monizm ten zaprawia coprawda na sposób nowoczesny intuicjonizmem Bergsona, idealizmem Hegla i spirytualizmem Euckena. To jednak istoty rzeczy nie zmienia, monizm ten pozostaje monizmem.

Wszelako sprawiedliwość każe przyznać, że Joël broni się rękami i nogami przeciwko zarzutowi monizmu, a przyznaje się do względnego dualizmu. Niestety jednak, dualizm ten jest taki, że w gruncie rzeczy mógłby być i jest monizmem. Albowiem nie uznaje realnej różnicy pomiędzy podmiotem poznającym, a światem przedmiotowym, lecz uznaje jedynie względną różnicę pomiędzy umysłem a jego aktami, do których w teorji Joëla redukuje się cały świat naszego poznania. Przytem dualizm ten uzasadnia on w następujący błędny sposób: »Jeżeli bowiem ten dualizm (istniejący pomiędzy myśleniem a jego treścią) jest realny i bezwzględny, powiada, to nie prowadzi do niczego, ponieważ jest nieruchomy i ponieważ przeciwieństwa pozostają sobie obce. Jeżeli zaś ten dualizm pozostaje jedynie w oderwaniu, to również do niczego nie prowadzi, gdyż istnieje tylko w myśleniu, dla rzeczywistości zaś, jako nieodpowiedni i bez treści, utożsamia się z monizmem« (str. 44). Na postawione w innem miejscu pytanie, czy myślenie należy uważać za wytwór przyrody (Naturprodukt), jak myślą filozofowie życia, czy też za wyraz

myślenia, jak sądzi Hegel, autor nowej metafizyki odpowiada wymijająco, ale dosyć wyraźnie, aby go posądzić o monizm: »Nie należy wyprowadzać jedno z drugiego jednostronnie i jako coś obcego, ale poznać to, co jest wspólne życiu i myśleniu (str. 43).

Ale taki względny dualizm p. Joëla jest logicznym i metafizycznym absurdem. Jest jawnem naruszeniem zasady sprzeczności, która mówi, że nic nie może jednocześnie i pod tym samym względem być i nie być, być prawdziwem i fałszywem. Jeżeli bowiem umysł nasz utożsamia się z aktami poznania, to w takim razie umysł i jego akty nie stanowią coś przedmiotowo różnego od siebie i mogą być co najwyżej w myśli rozłączone, jako dwa różne sposoby pojmowania tej samej rzeczy, nie mające realnej podstawy w świecie przedmiotowym. Jeżeli zaś stanowią coś realnie różnego, w takim razie nie mogą być jednocześnie uważane za coś logicznie tylko różnego. Takiego dualizmu, któryby jednocześnie był i nie był rzeczywisty, był i nie był wyłącznie myślny, być nie może. Dualizm pośredni między myślnym a rzeczywistym — powtarzamy — jest nonsensem.

Wobec tego nie pozostaje nic innego jak uznać umysł i jego akty za coś realnie, a stąd i logicznie różnego, albo za coś logicznie tylko różnego. Tertium non datur.

Faktycznie, widzieliśmy na innem miejscu, że autor uznaje jedną tylko rzeczywistość, jeden byt. Tym bytem zaś jest życie i to zupełnie błędnie pojęte. A więc w systemie Joëla akty myślne należy uważać za coś logicznie tylko różnego od umysłu, względnie życia, które ma być jedyną rzeczywistością.

A to jest monizmem czyli tem, co Joël niby odrzuca.

Lecz gdyby nawet Joël uznał, że pomiędzy intelektem a jego aktami istnieje realna różnica, to i takie ustępstwo na rzecz zdrowego rozsądku nie miałoby poważnych następstw dla sprawy, której broni. Jakkolwiek bowiem różnica ta istotnie jest realną, pomimo to akty myślne, jako akty życiowe, nie mogą istnieć w oderwaniu od samego intelektu. Nie mogą mieć charakteru bytu, posiadającego istnienie niezależne od intelektu, t. j. bytu, stanowiącego właściwy przedmiot metafizyki. Metafizyka Joëla, przeciwstawiając myśleniu tylko byt myślny, nie może wybrnąć z zaklętego koła logiki i teorji poznania, t. j, nauk, które uprawiają zarówno neokantyści, jak i metafizycy z obozu Bergsona, Euckena i Spółki, ale którym do prawdziwej metafizyki jeszcze bardzo daleko. Skutkiem tego metafizyka Joëla przestaje być metafizyką, a przekształca się w logikę i teorję

poznania. Jest tylko nauką o powstawaniu pojęć oraz ich łączeniu i porządkowaniu.

Ale, jak widzieliśmy, Joël nie odróżnia nawet naszych aktów myślnych realnie od intelektu. Stąd zaś możemy wyciągnąć wniosek, że nie stanął nawet na gruncie idealistycznego dualizmu, ale, jak wielu innych filozofów, uległ powszechnej dziś manji sprowadzania wszystkiego do jedności, do jednego pierwiastka. Hegel szukał tego pierwiastka w idei, Haeckel szuka w materji, Ostwald w energji, p. Joël zaś, naśladując filozofów życia, w życiu, a faktycznie w akcie myślnym. Jak tamci, tak i p. Joël nie liczy się ani z doświadczeniem, ani ze zdrowym rozsądkiem, które nam mówią, że istnieje nie jeden, lecz wiele różniących się pomiędzy sobą przedmiotów i pierwiastków. Jest to więc subjektywizm równy aprioryzmowi idealistów, który sprawia, że z opiewanej przez p. Joëla rzeczywistości pozostaje tylko cień, tembardziej, że Joël stoi na stanowisku filozofji »stawania się«.

Przytem wymyślony przez p. Joëla dualizm pośredni pomiędzy realnym a logicznym, a właściwie monizm, opiera się na niczem niepopartej idealistycznej hipotezie, że gdyby duch nasz i świat przedmiotowy stanowiły dwie rzeczy realnie odrębne, to duch nigdy nie mógłby dojść do poznania świata i ten pozostałby mu na zawsze obcy. Akt bowiem poznania jest niemożliwy, jeżeli niema identyczności podmiotu poznającego z przedmiotem poznania.

Zaprowadziłoby to nas za daleko, gdybyśmy chcieli tutaj wykazywać, w jak genialny sposób kwestję poznania względnie asymilacji przedmiotu przez podmiot poznający rozwiązuje filozofja scholastyczna. Stwierdźmy jedynie, że do aktu poznania nie jest wcale wymaganem, aby podmiot i przedmiot stanowiły jedno, względnie aby w podmiocie przedmiot był obecny realnie ze wszystkiemi swojemi materjalnemi i niematerjalnemi cechami. Wystarcza, aby przedmiot znajdował się w podmiocie za pośrednictwem swego odbicia czyli obrazu, którego natura winna być przystosowana do natury danej władzy poznawczej. A więc winna być w pewnej przynajmniej mierze materjalną, gdy chodzi o zmysłowe władze poznawcze, lub niematerjalną, gdy chodzi o sam umysł poznający: nam receptum est in recipiente per modum recipientis[1]). Umysł ludzki

[1]) S. Thomas: Summa theol. Ia. qu. LXXXIV, art. 1: zawarte znajduje się w zawierającem na sposób zawierającego.

i zmysłowe władze poznawcze człowieka w akcie poznania można przyrównać do zwierciadła, w którem odbijają się różne przedmioty mniej lub więcej dokładnie, w zależności od dobroci samego zwierciadła, jednakże ani utożsamiając się z tem zwierciadłem, ani też nie będąc w niem realnie obecne ze wszystkiemi swojemi cechami. Coprawda filozofja scholastyczna twierdzi, że w akcie poznania władza poznawcza przeobraża się poniekąd w przedmiot poznany; stąd wyrażenia: sensatum in actu et sensus in actu sunt idem [1]), jak również intellectum in actu est intellectus in actu [2]). Ale filozofja ta dodaje, że to przeobrażenie nie jest utożsamieniem, lecz tylko przystosowaniem się do przedmiotu, połączonem z całkowitem zachowaniem natury władzy poznawczej.

Przytem filozofja ta wykazuje, że obrazy, względnie pojęcia, wytworzone w naszych władzach poznawczych przez przedmioty poznane, nie stanowią samego przedmiotu naszego poznania, lecz są tylko narzędziami, za pomocą których poznajemy same realne przedmioty. Potwierdza to najprostsze doświadczenie. Mówi ono nam wyraźnie, że to, co w akcie poznania widzimy, słyszymy, smakujemy, nie jest li tylko odbiciem w nas rzeczywistości, lecz samą rzeczywistością. Widzimy tedy rzeczywiste domy, pola, łąki i t. p. przedmioty, a nie ich odbicie w naszym wzroku. Słyszymy rzeczywistą rozmowę lub muzykę, a nie ich odbicie w naszym słuchu, i t. d. Tak samo umysł ludzki poznaje byt niematerjalny nie w samych pojęciach, które są jego intelektualnem odbiciem, lecz za pomocą tych pojęć. Gdy poznajemy np. piękno moralne, poznajemy nie pojęcie piękna moralnego, lecz samo piękno moralne. Gdy myślimy o duszy, to przedmiotem myśli jest sama dusza, a nie jej pojęcie i t. d.

Z tego wszystkiego wynika, że nie tylko względny dualizm Joëla jest metafizycznym absurdem, lecz że również i teorja poznania, na której Joël chce go ufundować, nie da się ani rozumowo, ani w drodze doświadczenia dowieść. Słowem, metafizyczne credo Joëla prowadzi prostą drogą do monizmu.

Monizm Joëla nie jest coprawda monizmem materjalistycznym, jak np. monizm Haeckla. Ale jest zato czystej wody monizmem ide-

[1]) Przedmiot aktualnie spostrzeżony oraz zmysł w akcie spostrzeżenia są jedno i to samo (mowa tu o percepcji zmysłowej).

[2]) Przedmiot aktualnie poznany jest umysłem w akcie poznania (mowa tu o poznaniu intelektualnem).

alistycznym, który uważa cały świat za wytwór naszego ja. To, że Joël za uniwersalny pierwiastek uważa nie ideę, lecz życie, sytuacji nie zmienia. Jeżeli bowiem myślenie i życie nie różnią się realnie, jak to z teorji jego wynika, to czy myślenie będziemy uważali za pewnego rodzaju modyfikację życia, jak myślą filozofowie życia z Joëlem, czy też życie za pewnego rodzaju modyfikację myślenia, jak wierzą typowi idealiści, to, powiadamy, istoty rzeczy nie zmienia. W jednym i drugim systemie myślenie i życie są jednym i tym samym kijem, oglądanym z jednego lub z drugiego końca, stosownie do gustu. Ponieważ zaś w teorji Joëla życie nie różni się niczem od myślenia, więc słusznie teorję tę możemy nazwać idealizmem [1]).

Jako filozofja idealistyczna, filozofja Joëla podlega tym wszystkim zarzutom, które są czynione idealizmowi, a przedewszystkiem, że stoi on w sprzeczności z najoczywistszemi zasadami i faktami, z naszem wewnętrznem i zewnętrznem doświadczeniem. Te mówią nam, że otaczający nas świat nie jest wytworem naszej myśli, że myśl i świat stanowią dwie rzeczy nie dające się utożsamić, ponieważ różnią się często pomiędzy sobą zasadniczo, a nie jedynie pod względem swych cech drugorzędnych lub przypadkowych, i t. d. Stając na gruncie idealizmu, Joël wpada w różne błędy i niekonsekwencje, jak np. następujące:

Idealizm jego prowadzi konsekwentnie do przyznania naszemu umysłowi zdolności stwarzania rzeczy bezwzględnie nowych. Jeżeli bowiem pojęcia, które w teorji Joëla stanowią jedyny przedmiot naszego poznania, są jedynie wytworem naszego umysłu, a nie intelektualnem odbiciem i wynikiem reakcji świata przedmiotowego, od naszej jaźni niezależnego, to ich wyłącznym twórcą jest nasz umysł. Umysł więc nasz posiada boską moc powoływania nowych zjawisk do bytu o własnej sile. Taki zaś pogląd jest błędem, gdyż wiemy na podstawie doświadczenia, że świata pojęć nie czerpiemy wyłącznie z samych siebie, lecz że wytwarzamy go sobie, opierając się na obserwacji, że rodzimy się z umysłem, który, jak powiada Arystoteles, est sicut tabula rasa, in qua nihil est scriptum.

---

[1]) Że tak samo myśli i sam Joël, możemy wnosić chociażby z tego, że w r. 1914 przystąpił wespół z innymi przedstawicielami klasycznej filozofji w Niemczech do wydawnictwa filozoficznego na idealistycznej podstawie pod nazwą: Grundriss der philosophishen Wissenschaften, herausgegeben von Fritz Medicus.

Inaczej też być nie może. Nasza twórczość, jako istot z natury pod względem swego działania ograniczonych, nie może polegać na tworzeniu rzeczy bezwzględnie nowych, lecz sprowadza się w rzeczywistości do przetwarzania tego, co istnieje, do posługiwania się dla naszych potrzeb materjalnych i duchowych siłami i materjałami, znajdującemi się bądź aktualnie, bądź potencjalnie w przyrodzie. Przytem twórczość ta jest możliwą jedynie przy współdziałaniu Boga, jako przyczyny pierwszej wszelkiego ruchu i wszelkiego działania, gdyż nawet ruch i działanie, będąc czemś nowem, nie mogą obejść się bez interwencji aktu twórczego. To zaś, że jesteśmy istotami pod względem swego działania ograniczonemi, poświadcza nam również nasze własne codzienne doświadczenie. Ono nam bowiem mówi, że niejedno możemy wykonać, ale że daleko więcej jest rzeczy, których absolutnie wykonać nie możemy. Wiemy, że nawet jednego atomu stworzyć nie możemy, a cóż dopiero mówić o takich skomplikowanych i doskonałych organizmach, jakiemi są zjawiska świata żyjącego. Przypisując nam siłę twórczą, nieograniczoną w działaniu, mogącą wytworzyć samoistnie świat poznania ze wszelkiemi jego możliwościami, Joël popełnia absurd metafizyczny. Przypuszcza bowiem, że w skutku może znajdować się więcej niż w przyczynie. Idealizm p. Joëla narusza więc jedną z najoczywistszych zasad, zasadę przyczynowości.

Gdyby jednak prawdą było, że świat poznania, który p. Joël utożsamia błędnie z aktami naszego umysłu, był istotnie tworem tego umysłu, to i tak pozostałoby jeszcze wiele zagadek, z punktu widzenia teorji idealistycznej nierozwiązalnych.

Jeżeli otaczający nas świat jest wytworem naszego umysłu i z nim się utożsamia, to, możemy spytać, dlaczego nasza świadomość odróżnia dwie kategorje zjawisk, z których jednym przypisuje egzystencję w nas samych, drugim zaś poza nami? Do pierwszych należą akty myślne, wszelkie rodzaje percepcji, jak np. percepcja bólu lub przyjemności, wszelkiego rodzaju uczucia, jak np. uczucie miłości lub nienawiści, i t. d. Do drugich należą wszelkie zjawiska świata mineralnego, roślinnego i zwierzęcego. Możemy spytać, dlaczego nie odczuwamy raczej wszystkich zjawisk w sobie, ponieważ według hipotezy idealistycznej nic niema i być nie może poza podmiotem myślącym? Dlaczego podmiot myślący, który przecie według tej hipotezy jest prosty, a więc niematerjalny, nierozciągły, przedstawia sobie świat zewnętrzny jako coś materjalnego, rozciągłego?

Dlaczego nawet w nas samych odróżniamy pierwiastek niematerjalny od pierwiastków materjalnych? Dlaczego mamy przeświadczenie, że wiele rzeczy dzieje się w otaczającym nas świecie bez naszego udziału, gdy przecie w myśl teorji idealistycznej wszystko jest wytworem naszego umysłu i od nas zależy? Dlaczego w szczególności stają się rzeczy, których nie chcemy, albo dlaczego zdarzają się takie, o których nigdyśmy nawet nie pomyśleli? I naodwrót, dlaczego często nie stają się takie rzeczy, które odpowiadają naszym najgorętszym pragnieniom? Wreszcie, dlaczego w ogólności mamy przeświadczenie, że otaczające nas zjawiska nie są dziełem naszem, że narzucają się one nam, jako coś objektywnego, od naszej woli niezależnego?

Na te i inne pytania metafizyka idealistyczna odpowiedzi dać nie może, bo przytoczone powyżej fakty stoją w jawnej sprzeczności z jej idealistyczną hipotezą lub raczej chimerą. Te fakty świadczą dowodnie, że poza podmiotem myślącym istnieje jeszcze świat sam w sobie, który stanowi przedmiot poznania.

Jeżeli zaś razem z idealizmem uznać, że te wszystkie fakty są fikcjami naszego umysłu, to skąd możemy mieć pewność, że nasz umysł się nie myli i co do prawdziwości samego idealizmu, że nie jest on taką samą fikcją, jak narzucający się nam dualizm pomiędzy podmiotem poznającym a przedmiotem poznania? Czyż nie nasuwa się w tym wypadku sam przez się wniosek ogólny, że sceptycyzm jest w gruncie rzeczy najrozumniejszą filozofją, jeżeli wogóle głupstwo nazwać można filozofją?

Na taką jednak tezę nie chce pisać się idealizm Joëla. Widzieliśmy bowiem w rozdziale pierwszym niniejszego szkicu, że wzdryga się przed takiem ukoronowaniem swojej filozofji. Kto jednak stawia błędne przesłanki, ten musi, chce czy nie chce, godzić się na wniosek, który jest ich logicznym wynikiem. Idealizm zaś prowadzi logicznie do sceptycyzmu uniwersalnego.

(Dok. nast.).

Henryk Romanowski.

Cecylja Plater-Zyberkówna.

(* 8. V. 1853 † 6. I. 1920)

Prawie niespostrzeżenie przeszedł — szczególniej w naszej dzielnicy — zgon jednej z najzasłużeńszych córek Kościoła i obywatelek kraju, jakie działały w naszych czasach, zgon niestrudzonej bojowniczki odrodzenia narodu na gruncie zasad katolickich, kobiety prawdziwie niepospolitej, bo posiadającej tak rzadką umiejętność łączenia teorji z praktyką; czego bowiem uczyła pismami, to wcielała równocześnie w czyn, a każdą piękną myśl, która jej dyktowała praktyczną działalność, popularyzowała natychmiast w licznych i nader cennych dziełach literackich.

Całą twórczość literacką Cecylji Plater-Zyberkówny możnaby scharakteryzować starożytną dewizą: »Pro aris et focis«. Bo to nietylko żarliwa miłośniczka Boga, ale i gorąca apostołka świętości życia rodzinnego. Płynęło to zresztą konsekwentnie jedno z drugiego. Głęboko uświadomiona katoliczka, uznawała prawdziwie po chrześcijańsku ważność rodziny jako czynnika społecznego, przy ognisku rodzinnem więc chciała przedewszystkiem widzieć kobietę kapłanką. A dla kobiet i o kobietach głównie pisze, bo wie, że w ich rękach odrodzenie społeczeństwa. Źle się z niem dzieje, spoganiało ono, trzeba je poprawić, ale zaczynać od dorosłych naprawy niepodobna; trzeba się zwrócić do dzieci i młodzieży, do nich zaś droga przez wychowawczynię-kobietę. Więc chociaż gorliwie pracuje piórem i czynem dla młodzieży męskiej, czego dowodem dzieła: »Na przełomie« i »Ideał a młodzież«, na polu zaś praktycznem założone przy jej współudziale »Towarzystwo Przyjaciół młodzieży« i jej bardzo znaczny i zbawienny wpływ na całą grupę młodych ludzi, skupiających się koło czasopisma »Prąd« i w stowarzyszeniu

»Odrodzenie«, ale przedewszystkiem ma na oku kobiety. Jakie kobiety — takie rodziny, jakie rodziny — takie społeczeństwo: oto zdanie, które z naciskiem ciągle powtarza.

Zdawałoby się, iż to komunał, nad którym nie warto się rozwodzić. Ale Platerówna widziała potrzebę przypominania społeczeństwu chrześcijańskiego pojęcia rodziny i jej wychowawczego celu. W ostatnich czasach słyszy się i czyta w czasopismach i dziełach podagogicznych prawie wyłącznie o wychowawczem zadaniu szkoły, a kto się ośmieli o tem sceptyczniej wyrazić, uchodzi za wstecznika. Czy jednak ta ogólnie odczuwana potrzeba wychowania w szkole pochodzi jedynie stąd, że szkoła dotąd nie dość o wychowawczych zadaniach myślała? Czy raczej nie ponosi winy dom, że wychowanie szkolne stało się sprawą tak piekącą? Czy to nie lenistwo niektórych rodziców nie sprzyja temu przesuwaniu centrum wychowania z domu do szkoły? Każdy, kto ma odwagę wyłamać się z pod sugestji panujących prądów, musi przyznać, że wychowanie szkolne szablonowe i niejednolite najczęściej w kierunku, bo dokonywane przez cały szereg osób, które z młodzieżą stykając się tylko przelotnie, nie mogą jednostek poznać dokładnie i zastosować środków wychowawczych do ich indywidualności, ma się tak do dobrego wychowania w rodzinie, jak wojenna namiastka do autentycznego towaru. Szkoła z konieczności musi przedewszystkiem kształcić, a wychowywać raczej pośrednio, jeśli wychowanie postawi na pierwszym planie, to albo postawi sobie ideał niemożliwy do osiągnięcia, a przez to wypaczy właściwy sobie kierunek, albo musi młodzież jeszcze poza lekcjami na całe godziny odrywać od domu i przez to rozbijać rodzinę, co jest sprzeczne z duchem nauki Chrystusa. Platerówna rozumiała to i chociaż uznawała wychowawcze zadanie szkoły we właściwem jej zakresie, głosiła przedewszystkiem świętość wychowawczej pracy rodziny i w tem jej wielka zasługa. W kobiecie widzi też słusznie wychowawczynię na każdym posterunku, nawet i poza rodziną i dlatego wierzy i ufa niezłomnie, że ona potrafi odrodzić społeczeństwo, jeśli tylko zechce.

Co zaś i jak w niem poprawić należy? W ostatnim dziesiątku lat ubiegłego stulecia ogłosił warszawski »Kurjer Polski« konkurs na temat: »Jaka jest nasza główna narodowa wada«. Stanęła do niego i Platerówna, zyskując drugą nagrodę. Ujęła ona rzecz szerzej nawet, niż się spodziewali zapewne inicjatorowie konkursu, bo wyliczyła i scharakteryzowała cały szereg wad narodowych, spro-

wadzając je jednak do wspólnego mianownika, do wspólnego źródła i przyczyny. Nie jest naszą główną wadą słabość woli, jak to wielu twierdzi, a między innymi i autor pracy, która otrzymała pierwszą nagrodę; Platerówna bystro spostrzega, że słabość woli suponuje jednak istnienie jakiejś woli i to skierowanej ku dobremu, a myśmy właśnie absolutnym jej brakiem grzeszyli, bośmy jej w sobie wyrobić nie mogli dla braku pierwiastku rozumowego czyli dla braku zasad. I ten brak zasad to nasz kardynalny błąd, który należy zwalczać przedewszystkiem. Rozwijają się tylko narody, które mają jakąś stałą zasadę, choćby nawet złą i przewrotną. Wstrętny jest militaryzm pruski lub materjalizm angielski, ale stanowi przecież jakąś zasadę, która zapewnia przynajmniej do czasu powodzenie, równe naturalnie swej wartości, czyli w tym wypadku brutalne lub materjalne. Myśmy zasady utracili, naruszając ciągle prawo Boże, tę zasadę zasad. Zagranicą grzeszono bardziej, niż u nas, ale najgorszy obyczaj nie nadwerężał tam prawa, zło nazywano zawsze złem, — a my prawo naginaliśmy do zachcianek, kierując się chwilowem uczuciem, chceniem lub niechceniem, a nie rozumem. Nie rozpacza jednak autorka o społeczeństwie, owszem prześlicznie maluje ona charakter Polaka, stawiając go wyżej od innych narodów; ten ustęp, będący jakby parafrazą słów Krasińskiego: »Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!« jest jednym z najwymowniejszych, jakie wyszły z pod jej pióra. Te Boże dary Polak należycie zużytkuje, jeśli wróci do zasady zasad, zatem do ducha Chrystusowego.

Tym zaś duchem to przedewszystkiem duch miłości. W jednem z dzieł przytacza Platerówna charakterystyczną anegdotę, że na pewnym kongresie pastorów protestanckich debatowano nad definicją Boga. Jedni proponowali nazwać go wszechpotęgą, inni wszechwiedzą i t. p., a ktoś zaproponował określenie: »Bóg jest miłością«. »Ostrożnie«, zawołali inni, »bo toby nas zaprowadziło prostą drogą do katolicyzmu!« Otóż ona ma takie katolickie pojęcie Boga. Dla niej Bóg to miłość przedewszystkiem. Jest więc i ona apostołką miłości, której wielki brak widzi w naszem społeczeństwie tak niezgodnem i tak łacno szkalującem się i spotwarzającem między sobą. Ale miłość to nie jakieś bezkrytyczne uniesienie; żąda ona, by nią kierował rozum. Jak już wiadomo, za główny powód naszego upadku dziejowego uważała brak tego steru rozumowego. Stąd też jest zdecydowaną przeciwniczką wszelkiego sentymentalizmu, rozmarze-

nia, egzaltacji. Dobroć nie kierowaną rozumem potępia w ostrych słowach jako ślamazarność. Dobroć prawdziwa — to miłość, kierowana roztropnością. Chce więc wyrobić w kobietach charaktery pełne miłości, ale silne i hartowne, ustępliwe dla miłości bliźniego i spokoju domowego w drobiazgach, ale stojące twardo przy zasadzie. Każe ten hart wyrabiać już w dzieciach, więc nie roztkliwiać się nad niemi, gdy muszą się przezwyciężyć lub zapanować nad sobą (np. w razie czyjejś choroby w domu), nie wynagradzać każdej ofiary dla dobra bliźniego, ale przyzwyczajać je, aby w tem widziały naturalne spełnienie obowiązku miłości i wyrabiały w sobie panowanie nad skłonnościami czyli silną wolę.

Nawet w rzeczach wiary nie należy dawać się unieść uczuciu bez hamulca. W doskonałej broszurze p. t.: »Pobożność w duchu Chrystusowym« ostrym rylcem kreśli wyraźną linję demarkacyjną między prawdziwą i fałszywą pobożnością, a właśnie główną różnicę między niemi stanowi, że ta ostatnia opiera się na chwiejnem i zmiennem uczuciu, prowadząc do śmiesznej i szkodliwej, bo uciążliwej dla drugich i gorszącej ich dewocji, podczas kiedy prawdziwa pobożność kroczy konsekwentnie i logicznie prostą i wyraźną drogą zasad, nie ulegając chwilowym nastrojom. Rozprawka ta jest jednem z najlepszych dzieł naszej autorki.

Obok religji drugim walnym środkiem odrodzenia społeczeństwa jest praca. Każde z dzieł Platerówny to jej gloryfikacja, to przypomnienie jej wartości jako środka do osiągnięcia celu naszego przeznaczenia, to jakby homilja na temat słów Pisma św.: »W pocie czoła swego pożywać chleb będziesz«.

Traktuje specjalnie o niej dziełko: »O pracy«, będące wraz z »Regulaminem życia« drugą częścią »Życia katolickiego«[1]). Pracę rozróżnia autorka trojaką: duchową, umysłową i fizyczną. Najlepiej opracowany jest dział pierwszy: daje przystępne i łatwo wykonalne wskazówki dla postępu w życiu duchowem; bez wymagania zbytniego ascetyzmu są one przystępne nawet dla kobiet, uprawiających życie towarzyskie. Szczególny nacisk położony na pracę fizyczną, jest to jakby jej rehabilitacja wobec sfer, które jej nie znają i uważają za odpowiednią jedynie dla najemników. Platerówna ze zwykłą jasnością wykazuje tu ważność tej pracy nietylko samej

[1]) Pierwszą stanowi książka do nabożeństwa, jedna z najlepszych, jeśli nie najlepsza, jaką posiadamy.

w sobie, ale i dla wyrobienia charakteru, więc dla życia wewnętrznego. Była ona też jedną z pionierek postępu u nas pod tym względem. Obok szkoły gospodarczej w Chyliczkach, która miała początkowo kształcić fachowe gospodynie, a później przekształconą została na takąż szkołę dla panien z inteligencji, założyła ona w Warszawie szkołę rzemiosł dla kobiet, która zresztą, jak to było zwyczajnem za rosyjskich czasów, pod tą firmą udzielała także ogólnego wykształcenia. Do prowadzenia jej przygotowywała się sumiennie studjami fachowemi w Paryżu. Znać więc na każdym kroku, że pisze to kobieta, która wartość tej pracy zna z doświadczenia i która ją szczerze umiłowała. Stawiając tak pracę fizyczną na wysokim piedestale, uczy, że nie należy wznosić się ponad swój stan, jeśli pobudką byłoby tylko wstydzenie się pracy. Każda praca bowiem uszlachetnia, o ile jest uczciwa i nie nadmierna. Wysoko przytem stawia Platerówna stan służebny, zręcznie dowodząc, że ten, kto służy, więcej daje, niż ten, który za to płaci, bo płacący daje tylko gotówkę, a tamten robi ofiarę z własnej osoby, jego rola zatem zaszczytniejsza.

Najsłabiej wypadły rozdziały, poświęcone pracy umysłowej, a ponieważ nie piszę panegiryku, lecz szczerą prawdę, jak mi się przedstawia, więc otwarcie powiem, iż całkiem słabo. Pod niejednym względem wygłasza wprawdzie autorka zdania postępowe, jak np. żąda wprowadzenia nauki prawa do wykształcenia kobiet, ale na ogół jest ta praca traktowana nieco po macoszemu. Znać z jednej strony reakcję przeciw zbytecznemu uwielbianiu wiedzy przez nurtujący jeszcze wtedy pozytywizm i pewien przestrach przed krańcowościami pierwszych feministek, a z drugiej strony mimowolne przejęcie się temi współczesnemi prądami, które technikę i pracę korzystną ekonomicznie aż przeceniały. Przytem miała wprawdzie Platerówna niepospolicie rozległe wiadomości i imponujące oczytanie, ale epoka, w której wzrosła, nie sprzyjała naukowej pracy kobiet. Odebrała zwykłe w owych czasach wykształcenie, najpierw w domu od guwernantek, później na pensji klasztornej w Poznaniu, potem kształciła się ciągle sama; nawet już jako przełożona zakładów naukowych uczęszczała na kursa pedagogiczne w Fryburgu szwajcarskim, ale było to bądź co bądź tylko samokształcenie bardzo zdolnej dyletantki. Stąd pochodzą różne — drobne zresztą w zestawieniu z ogromnemi zaletami — usterki jej dzieł, jak zadziwiająco naiwne nieraz wyobrażenia o metodzie pracy nau-

kowej, pewna bezceremonialność w traktowaniu nazwisk, tytułów i licznych cytat, co nie zawsze iść może na karb omyłki druku, niezupełnie zadowalający pod względem artystycznym wybór ustępów przytaczanych, dalej niekiedy dziwny i nieumotywowany, czysto przypadkowy dobór dzieł z literatury pięknej, zaleconych do czytania. Stąd pochodzi wreszcie niedocenianie wartości nauk ścisłych dla wykształcenia kobiet. Stoi ona tu do ostatka na stanowisku czysto utylitarnem, uważa je, specjalnie matematykę, za niepotrzebne w dalszem życiu, więc za balast i przeciążenie dla umysłu kobiet, który więcej jest zdolny do nauk humanistycznych. Ten wzgląd może jednak uledz dyskusji, ale ważniejszem jeszcze jest to, że Platerówna nie uwzględnia wartości tych nauk ścisłych dla wykształcenia logicznego myślenia, ona, która tak gorąco i przekonywująco przemawia za rozwijaniem go u kobiet, która tak słusznie radzi, aby np. uczenicom kazać uzasadniać gramatycznie każdą poprawę ich sposobu mówienia, by przywykały, że wszędzie panują jakieś zasady i nabierały przez to dla nich szacunku. I na każe uczyć myślenia przy pomocy nauki logiki, nie uznając, że wartość matematyki jest pod tym względem nieskończenie większa. Odnośne rozdziały z dziełka »O pracy« wymagałyby gruntownej rewizji przy nowym nakładzie tej nader pożytecznej książki, a poprawki w duchu samej autorki nie byłyby trudne do uskutecznienia na podstawie późniejszych dzieł, w których pojęcia jej o umysłowem wykształceniu kobiet uległy znacznej zmianie.

Praca dla Platerówny to nietylko twardy obowiązek, to także źródło szczęścia, jak głosi tytuł jednej z broszurek. Ona to budzi w człowieku radość z życia. Ta bystra obserwatorka wad narodowych jest bowiem zarazem nieuleczalną optymistką i wypowiada zawziętą wojnę pesymizmowi jako pierwiastkowi negatywnemu i wprost destrukcyjnemu. Pamiętamy wszyscy niedawne czasy, gdy zewsząd wiało na nas bezbrzeżnym smutkiem: ze sceny, z poezji, sztuki. Kazano nam niemal wstydzić się każdego radośniejszego uczucia i wszędzie widzieć tylko beznadziejną szarzyznę życia, w której, broń Boże! nie wolno było dopatrzeć się czegoś jaśniejszego. Młodzi poddawaliśmy się temu obezwładniającemu prądowi, wiejącemu ze wschodu, bądź przez pozę, bądź przez zbytnią wrażliwość. Nieocenioną wartość miała zatem kampanja przeciw pesymizmowi w dziełkach: »Na przełomie« i »Kilka myśli o pesymiźmie«. Ta rękawica rzucona mu, ta krucjata w imię po chrześci-

jańsku pojętej radości z życia to wielki obywatelski czyn Platerówny. Ale nie dość kazać się komuś życiem cieszyć, trzeba mu dać sposób, jak to w sobie rozwinąć. Zasługują tu na szczególną uwagę stronice w książce: »Kobieta ogniskiem« i w »Regulaminie życia«, poświęcone sprawie wyrobienia w sobie wesela wewnętrznego

Uczy też Platerówna, jak odpoczywać po pracy, przedewszystkiem w broszurce: »O święceniu niedzieli«. Książeczka ważna dla naszego społeczeństwa, wśród którego panują bardzo bałamutne pojęcia pod tym względem nawet między wierzącymi i praktykującymi katolikami.

Widzieliśmy dotąd, czego kobieta może i powinna nauczyć społeczeństwo. Zagadnieniu, jak to uczynić, poświęcony jest rodzaj trylogji: »Na progu małżeństwa«, »Kobieta ogniskiem« i »Kilka myśli o wychowaniu w rodzinie«. Stanowi ona jakby syntezę jej prac i zasługuje, podobnie jak i inne dzieła tej autorki, aby się jak najszerzej rozpowszechniały. Czy tak jest? Nie śmiem twierdzić, chociaż zdawałyby się świadczyć o tem powtarzane wydania niektórych z nich. Trudno też dziś określić, jak rozległy i głęboki wpływ wywarły na społeczeństwo. Praca pedagogiczna ma to do siebie, że jej działanie jest nader trudno stwierdzić. Jakiś nowy kierunek artystyczny i literacki ujawnia się zwykle natychmiast naocznie, wpływ wychowawczy jest zwykle początkowo nieuchwytny i daje się stwierdzić po latach. Wiemy, że Platerówna miała duży wpływ na liczne jednostki, które stykały się z nią bezpośrednio, ale jeszcze zawcześnie mówić o sumie i trwałości jej wpływu na społeczeństwo. Prawdopodobnie chociaż wiele dokonała, nie stworzy, niestety, na polu wychowania Polek epoki, jak jej poprzedniczka, Hofmanowa, ale to nic dziwnego. Autorka »Pamiątki po dobrej matce« nie przerastała jej zdolnościami, lecz przyszła w odpowiedniejszej porze: na polu wychowania zastała tabulam rasam. Nie miała współrywalek, miała tylko uczenice i naśladowczynie. Platerówna była już jedną wśród wielu, ale przeważnie działających w innym duchu. Mało mając popleczniczek, musiała rywalizować z przeciwnikami, głoszącymi popularniejsze hasła, bo nęcące urokiem nowości i postępu. A ona nie schlebia popularności, najpiękniejsze pozornie i najszumniejsze doktryny rozbiera krytycznie, a jeśli przeciwstawiają się temu, co nazywa zasadą zasad lub rozsądkowi, potępia bez wahania, chociażby cieszyły się rozgłosem. Czyni zaś to ze zwykłą sobie cywilną odwagą, której i na innem polu dawała

także zawsze dowody i która imponowała nawet wrogom, np. gdy się musiała ścierać z Moskalami jako przełożona pensji za czasów systemu Apuchtina. I tak n. p. ostro występuje przeciw modnemu obecnie rozluźnieniu karności u dzieci pod pozorem niekrępowania ich swobody, wskazując, że to rzecz dobra n. p. we Francji, gdzie przeważa system koszarowy w wychowaniu, a nie u nas, gdzie indywidualizmy są aż nadto wybujałe.

Ale wracając do paraleli z Hofmanową, to ma z nią Platerówna dużo wspólnego i ciągnie dalej jej tradycje oparcia wychowania kobiet na gruncie religijnym i narodowym, skierowania go przedewszystkiem na pole praktyczne, zastosowania go do życia domowego, rodzinnego jako normalnego i dla nich najodpowiedniejszego. Są jednak między obiema autorkami znaczne różnice. Jeśli Słowacki oskarżał Hofmanową, że zamknęła dusze kobiet na kluczyk od spiżarni, to tego nie dałoby się powiedzieć o Platerównie, tyle ma ona uczucia, zapału, polotu i liryzmu nawet. To uczucie i zapał tryska z każdej karty i ma dziwnie suggestywny urok. Żmichowska świadczy, że Hofmanowa jako nauczycielka była zimna i nie przyciągała serc uczenic, Platerówna robi w pismach wrażenie, że potrafi to uczynić wstępnym bojem. Na czele książki o młodzieży i dla młodzieży p. t.: »Na przełomie« umieszcza charakterystyczne motto ze Spinozy: »Non mirare, non indignari, sed intelligere«. Ona to właśnie rozumie młodych, bo sama wiecznie młoda i zdolna do rozwoju. W jednem z dziełek daje charakterystykę takiej zawsze młodej duszy i ma się wrażenie, że sportretowała bezwiednie samą siebie. Ta młodzieńczość stanowi wielki wdzięk jej utworów, ale pomimo niej, podobnie jak Tańska, karci egzaltację i apostołuje, jak już wspomniałam, okiełzanie uczucia wędzidłem rozumu. Jednak u Hofmanowej zdaje się to być wypływem wrodzonego temperamentu i wychowania wśród pseudoklasycznych wpływów okresu Księstwa Warszawskiego, spadkobiercy trzeźwości i racjonalizmu wieku oświecenia; Platerównę wydało pokolenie epigonów romantyzmu, naturę ma żywą i bujną wyobraźnię, więc doszła widocznie do apoteozy rozumu drogą wyrobienia wewnętrznego i pracy nad sobą. Pracę i ewolucję duchową znać u niej wogóle wyraźnie i to znowu różnica między nią a Tańską. Podobno jako podlotek marzyła o laurach wojennych swej imienniczki Emilji, — Hofmanowa mimo całego patrjotyzmu do tak romantycznych porywów nigdy zapewne nie była zdolna. Jest ona od pierwszej chwili swej twór-

czości zrównoważona. Jako zaledwie dwudziestoletnia, wystąpiła z najważniejszem swem dziełem: »Pamiątką po dobrej matce«, dziełem już zupełnie dojrzałem; myśli w niem zawarte nie ulegną przeobrażeniu w dalszej jej działalności. Platerówna rozwija się ciągle: zasady jej zostają naturalnie zawsze jednakie, ale sposób zastosowania ich w życiu zmienia się zgodnie z duchem czasu; nie żeby mu ulegała na ślepo, lecz raczej nagina go i zmusza, by się kierował według busoli wiary Chrystusowej. Dość porównać wspomniane wyżej dziełko: »O pracy«, jedno z jej najdawniejszych, z bardzo rozumnym odczytem, wygłoszonym już w czasie wojny w Warszawie w Związku kobiet katolickich: »O potrzebie reformy szkoły średniej dla dziewcząt«. W pierwszem przeraża ją jeszcze myśl o studjach uniwersyteckich dla kobiet, uważa je za niebezpieczne, za zbyteczne nawet dla nauczycielek, a w swym odczycie i innych współczesnych utworach stawia już kobiecie duże wymagania pod względem nauki, uważając, że ona jej w niczem nie przeszkodzi, a ułatwi wpływ na męża i dzieci. Nawet szkołę rzemiosł przerobiła z czasem na średnią. Podobną zmianę widzimy w poglądach na równouprawnienie kobiet. Każdy nowy nakład jej dzieł przynosi zmiany i ulepszenia niekiedy tak daleko idące, że aż zachodzi potrzeba zmiany tytułu. Śmiało też twierdzę, że im późniejsze jej dzieło, tem lepsze, a najlepszem, najgruntowniejszem, najbardziej przemyślanem, jest ostatnie: »Na progu małżeństwa«, które każda matka i wychowawczyni znać powinna i każda panna, wstępująca w świat, mieć w ręce.

Platerówna rozwinęła w praktyce od najwcześniejszej młodości, gdy zakładała szkółki i ochronki w rodzinnym Schlossbergu, nader ożywioną działalność pedagogiczną i społeczną, a jej praca, jako przełożonej szkół oraz założycielki lub współpracowniczki całego szeregu instytucyj społecznych na gruncie katolickim wymagałaby osobnego studjum. Hofmanowa natomiast jest wszechstronniejsza w pracy literackiej; działa nietylko teoretycznemi dziełami, ale i popularno-naukowemi i belletrystyką. Przytem objęła sferą swego wpływu ogół inteligentnych kobiet polskich: pisywała zarówno dla dzieci, jak dla młodych panien, jak wreszcie i dla dojrzałych niewiast, nawet uwzględniła staropanieństwo, a jej »Krystyna« zajmuje pod tym względem dotąd odosobnione miejsce w literaturze. Prawda, że ma na oku tylko kobietę w rodzinie, bo nawet Krystyna nie wychyla się poza cztery ściany domu, chyba dla uczynków

dobroczynnych, ale też nikt nie zajmował się jeszcze wówczas kwestją, a więc i pracą społeczną. Ogół kobiet żył zresztą wówczas rzeczywiście tylko przy ognisku rodzinnem, praca zawodowa wśród tych, dla których literackie dzieła są przystępne, była udziałem tylko niewielkiej garstki guwernantek prywatnych. Można więc powiedzieć, że ogół kobiet korzystał z pism Hofmanowej i w tem jej wiekopomna zasługa. Dziś życie ich się zróżniczkowało. Liczba zawodów, zakres obowiązków wzrósł niepomiernie. Otóż słabą stroną pism Platerówny jest to, że chociaż każda kobieta w nich coś dla siebie znajdzie, to jednak zna ona i ma na oku w głównych dziełach przedewszystkiem jedną warstwę, w dodatku dziś niemal wygasającą, mianowicie warstwę kobiet zamożnych, nie zmuszonych do pracy zawodowej i to przeważnie żyjących na wsi (bo z nich rekrutowały się głównie uczenice Chyliczek, a dzieła te powstały z pogadanek z niemi); zaś życie miejskie mniej uwzględnia, chociaż do miast przeniósł się oddawna punkt ciężkości życia społecznego. Dla tej sfery pisze najlepiej; gdy zwraca się do warstw niższych, nie zawsze utrafia w ton właściwy: częste powtarzanie zwrotu: »Miły bracie!« nie nada jeszcze broszurze charakteru prawdziwie popularnego.

Dalej słuszne zresztą przekonanie, że jedynie życie w rodzinie jest dla kobiety normalnem, sprawia, że mało stosunkowo daje wskazówek dla kobiet, które z konieczności są tego życia pozbawione, a których imię dziś legjon. Nie żeby była tu jednostronną; całem życiem dała dowód, że tak nie było. Owszem, obok stanu małżeńskiego i zakonnego uznaje stan trzeci kobiet samotnych, żyjących na świecie (między innemi poświęca tym trzem stanom osobną broszurę). Słusznie przestrzega młode panny, aby nie uważały życia w rodzicielskim domu za jakiś stan przejściowy, prowizoryczny, nim się im trafi mąż, ale aby życie uregulowały zawczasu, by było zapełnione, nawet jeśli zostaną staremi pannami, bo takie uregulowanie nie przeszkodzi im do zamążpójścia, a uchroni od niejednego zawodu. Piorunuje też ta fanatyczka życia rodzinnego na zasklepianie się w niem tylko jako na egoizm, oręduje gorąco za pracą społeczną (n. p. w broszurach: »O pracy społecznej«, »Cel i istota związków«, »Czy jest co do zrobienia?«), ale żałować należy, że uwag rozproszonych nie zebrała w całość i nie napisała dziełka analogicznego do trylogji życia rodzinnego, a obejmującego całokształt obowiązków kobiety samotnej. Jeśli kto, to ona była

powołaną do tego, jako wzór kobiety, która potrafi być ogniskiem, chociaż własnego nie posiada. Bo w całej pełni da się zastosować do niej to jej ulubione porównanie: jak ognisko oświeca dziełami ciemności, otaczające nas, jak ono ogrzewa ogniem zapału i uczucia, zaradza potrzebom społecznym, skupia podatne serca, by z nich wytworzyć bojowników odrodzenia duszy narodu i rozwesela, ucząc prawdziwej radości z życia. A iskry od ogniska tego padają na dalekie przestrzenie i zapalają nowe ognie; niejeden z nich zostanie zdmuchnięty przez wiatr przeciwny, inny się wypali, nim dopełnił przeznaczenia, inny jeszcze zgaśnie, bo nie miał dość siły żywotnej sam w sobie, ale wiele z nich zostanie, a grzejąc silniej lub słabiej, staną się jednak w znacznej części zarzewiem nowych świateł, które przy pomocy pokrewnych, rozniecanych może inną ręką, zwyciężą z czasem panujące mroki. Cześć zatem pamięci tej, która niosła ogień święty przed narodem i o której powiedzieć można z mędrcem Pańskim: »Nie zgaśnie w nocy pochodnia jej«.

Dr. Marja Estreicherówna.

Kazania o Konstytucji 3 Maja przed 128 laty.

Naród polski przez cały ciąg dziejów swoich był jak najściślej złączony z Kościołem, tak ściśle, iż wielkie wypadki historyczne i chwile uroczyste, czy to triumfu czy żałoby, rozgłośny odzew budziły w świątyniach katolickich. Dziękowania za świetne zwycięstwa, błagania o odwrócenie klęsk od znękanego narodu, prośby o oświecenie senatorów i posłów zjeżdżających na sejmy, imieniny królów i żalne pogłosy za zgasłymi monarchami, hetmanami i bohaterami narodowymi łączono zazwyczaj z uroczystem nabożeństwem, wśród którego rozbrzmiewały dostojne słowa kaznodziejów najwymowniejszych. Nawet w okresie upadku religijnego, w czasach, kiedy panoszył się w umysłach wielu i wolterjanizm i rusoizm i wogóle indyferentyzm, nie zapominano wielkich chwil historycznych uświetnić nabożeństwami i mowami uroczystemi. Tak pozostały aż do naszych czasów jako nieme a wymowne świadki onych wzniosłych godzin maleńkie zazwyczaj książeczki z drukowanemi kazaniami, rzadkie już, ukryte w zaciszu bibljotek, a trudne nieraz do odnalezienia.

Tak mamy jeszcze dziś kazania, wygłoszone w czasie insurekcji kościuszkowskiej, cały szereg mów, wypowiedzianych na żałobnych obrzędach za Józefa Poniatowskiego, Henryka Dąbrowskiego [1]), a osobliwie Tadeusza Kościuszkę [2]).

Podobnie znachodzimy i niektóre mowy, wypowiedziane ku czci Konstytucji 3 maja, wprawdzie nie z roku 1791, ale dopiero z na-

[1]) Por. moją rozprawę we lwowskiej »Gaz. kościelnej« 1918 r.

[2]) Por. moją rozprawę w »Przeglądzie Powszechnym« r. 1918 t. 138—140.

stępnego. Prof. Wilhelm Bruchnalski podaje, że Ks. Michał Karpowicz już w roku wydania Konstytucji uczcił w Grodnie jej wielkość, wydając »Kazanie w uroczystość imienin J. K. M. w dzień doszłej wiadomości do Grodna o Konstytucji rządowej 3 maja 1791« [1]). Niestety, kazanie to nie było nam przystępne, zresztą niewiele w nim pewnie materjału o Konstytucji, a jeśli coś ważniejszego tam jest, to zapewne kaznodzieja powtarza to w swojem jubileuszowem sławnem kazaniu, wygłoszonem w Wilnie.

Za to udało się nam odnaleść cztery znamienne kazania właśnie z r. 1792 [2]) poświęcone pamięci Konstytucji, ciekawe podziś dzień o tyle, że pozwalają nam wglądnąć w nastrój onych wielkich chwil, jakie naród przeżywał, odczuwać tętno radosnego uczucia, jakie przelewało się przez piersi synów jego szlachetnych i słuchać niejako żywych a wymownych głosów, malujących nam obraz ogromnej radości i promiennej nadziei. Kazania te wystarczą, by nam taki dostateczny obraz wystawić.

Już 2 lutego 1792 jakoby przygrywką do pierwszej rocznicy jest »Głos do narodu«, kazanie X. Jędrzeja Grabowskiego [3]). Wygłosił je ten kapelan X regimentu w kościele parafialnym na Nowem Mieście w Warszawie, w czasie uroczystości Oczyszczenia N. Maryi Panny.

We wstępie zwraca się X. Grabowski najpierw do króla »Pana miłościwego« i oddaje mu hołd, poczem wypowiada cel swego kazania, gdyż je głosi, aby »zachęcił Serca Współobywateli nie tylko do posłuszeństwa zbawiennym przepisom, ale też do oddawania należnej wdzięczności Łaskawemu Królowi«.

---

[1]) Rozwój wymowy w Polsce, Encyklopedja polska tom 22, str. 372.

[2]) Nie udało nam się odkryć kazania X. Kapucyna de Oxa Lucjana, o którego wydrukowaniu wspomina książka »Trzeci Maj«, Poznań 1891. Spodziewamy się, że z owego czasu pozostało jeszcze więcej kazań; tak wygłosił przecież w Farze poznańskiej X. Gierszewski kazanie w rocznicę, w Kałuszynie X. Lisiecki, lecz nie wiemy, czy je drukowano; może niniejszy szkic spowoduje wydobycie i opisanie innych jeszcze kazań. Pomijamy tu rozumie się mowy świeckie, jakie np. wydali Chwalibóg, Dobiecki, Kossowski.

[3]) Jędrzej Grabowski, Głos do narodu od ustawy stałego rządu w roku 1791 dnia 3 maja . . . . w kościele parafialnym na Nowem mieście w Warszawie z Katedry kaznodziejskiej oświadczonej. Roku Pańskiego 1792, dnia 2 lutego.

Ówczesnym sposobem dzieli kaznodzieja mowy na dwie części. Poprosiwszy obecnego biskupa o błogosławieństwo, przedstawia w obuch Marję jako pobożną poddaną prawa, które ochoczo pełni, acz to prawo jej nie dotyczy. Nawiązując do tego przykładu posłuszeństwa, nawołuje »pobożnych obywateli«, by i oni uszanowali prawa nadane ustawami stałego rządu. Mało dotychczas słyszymy o Konstytucji, zato w długiej »Konkluzji« kaznodzieja wiele się o niej rozwodzi, wskazuje tu na łączność roku zeszłego z rokiem obecnym:

»Wszakże z tych powodów Tej opiekunki N. Panny rok teraźniejszy od dnia 3 Maja w roku przeszłym aż do 3 Maja w tym roku nadała i na zawsze przez uchwały stałego rządu, oczyściła najświętsza Boga miłosiernego Opatrzność z nierządu i hańby Ojczyznę naszą, dając poznać, co jadem szkodliwym trując powszechne społeczeństwo już do upadku i zniszczenia nieledwie cały prowadziło naród«.

Tej Opatrzności narzędzie widzi kaznodzieja w królu, którego wychwala i nazywa »szczególnym ramienia mocy nieokreślonej Instrumentem«, i kończąc błaga Boga, by dał łaskę Stanom sejmującym »szczerze dla uszczęśliwienia narodu krzątającym się«.

Mimo wielkich wysiłków, albo, jakby powiedział kaznodzieja »starunków«, mało zawarł on w tem kazaniu siły i treści: wielki szum, długie i zawiłe okresy, napuszone tyrady, nic żołnierskiej zwięzłości, nic wojskowego życia. Nie dziw więc, że mało można stąd wyłuskać kaznodziejskiego ziarna.

Od najsłabszego kazania, od nieznanego kaznodziei przechodzimy odrazu, trzymając się chronologji, do głośnego mowcy XVIII wieku, do »księcia kaznodziejów« polskich. Imię Michała Franciszka Karpowicza (1744—1805) [1]) związane było z rozmaitemi narodowemi uroczystościami na Litwie. Już wiemy, że ledwie dotarła nad Niemen wieść o uchwaleniu Konstytucji, a już jej Karpowicz wśród kazania cześć oddaje. Dopieroż to musi być dla niego piękna sposobność, kiedy może szeroko o Konstytucji rozwieść się w dniu jej zaprzysiężenia 15 marca 1792. Wtedy wygłasza pisma św. i teologji profesor wspaniałe kazanie »na zaprzysiężeniu uroczystym ustawy rządowej« w kościele akademickim w Wilnie [2]).

[1]) Bruchnalski podaje jako rok śmierci 1803, Pelczar 1805. Komu tu wierzyć?

[2]) X. Karpowicz, »Na zaprzysiężeniu uroczystem ustawy rządowej 3 i 5 Maja od trybunału G. W. X. L. jego Palestry, Kancellarji i Chorągwi Trybunalskiej«... Kazanie. Wilno.

Przyznać trzeba, że nauczyciel Pisma św. z tej krynicy kaznodziejstwa rzeczywiście piękną i dostojną zaczerpnął myśl przewodnią, mianowicie z V Księgi Mojżesza z rozdz. 29 one słowa: »Stoicie oto dziś wszyscy, przed Panem Bogiem Waszym, Książęta Ludu, Wodzowie Pokoleń, Starszyzna, uczeni Mężowie i Lud wszystek... zachowajcież więc słowa zaprzysiężenia tego... W przysiędze i Przymierzu, które dziś Bóg z wami czyni«.

Kazanie całe zwraca się do urzędników i dlatego też na czele allokucja »Najjaśniejszy Trybunale«. Wnet przechodzi kaznodzieja od przysięgi narodu żydowskiego do ustawy narodu polskiego, której ogromne znaczenie dla Ojczyzny i wogóle dziejów Europy umiejętnie opowiada.

»Ustawa Rządowa z 3 i 5 Maja dobrze zrozumiana, rozumnie roztrząśniona, rozsądnie i z najroztropniejszą uwagą wytłumaczona, skłoniła Naród cały światły na rzetelną swą szczęśliwość do uwielbienia i zakochania siebie (?). A gdy świat prawie cały oświecony tę Ustawę i Konstytucją polskiego Narodu z podziwieniem wychwala, Kraj cały i Lud wszystek w Ojczyźnie zaprzysięga przed Bogiem tej Ustawy obronę i utrzymanie, dając sobie nawzajem słowo Honoru i Religji w obecności całego Nieba i ziemi, iż w tej Ustawie znajdując prawdziwe uszczęśliwienie nie dopuszczą nigdy, aby ktokolwiek bezkarnie miał tę Konstytucją naruszyć lub jej powagę świętokradzką przeciw Narodowi zuchwałością znieważać, łżyć, lub hańbić i na to swą całą siłę, moc, sposobność, majątek, a w potrzebie życie nawet i Krew ofiarują, a ofiarę tę najuroczystszym Imienia Boskiego wezwaniem utwierdzają; przymierze to jest prawdziwe między Bogiem i Narodem (2).

Nazwawszy przysięgę »położeniem korony niejakiej najszlachetniejszym pracom«, wskazuje na temat kazania, mianowicie ważność przysięgi i wielkość rzeczy zaprzysiężonej.

W »części pierwszej» rozwodzi się, czerpiąc z teologji moralnej, nad istotą przysięgi, okazując przytem niemało znajomości historji i prawa. A kiedy nasamprzód opowiada, że »pierwiastkowe narody otwarte i szczere« nie znały oszustwa, zaklinania się i przysięgi, to brzmi w tem nieco pewnie zbyt idealnem przedstawieniu echo filozofji ówczesnej, a mianowicie Russowego hasła »retournons à la nature«. Podobnie przypominają się ówczesne badania nad starożytnemi ludami, gdy czytamy o rozmaitych sposobach przysięgania u Persów na słońce, u Scytów na powietrze i szable, u Rzymian i Greków na bogów i boginie, u królów przez podnoszenie berła w górę, u rycerzy przez unoszenie dzid, u żołnierzy przez przykła-

danie sobie ostrych szabel do gardła, u Tatarów przez pożywanie krwi z palców wytoczonej.

Przechodząc do rozpatrywania przysięgi ze stanowiska religji objawionej, daje ścisłe i piękne określenie mówiąc:

»Przysięga w Religji jest to wezwanie na świadectwo Imienia Boskiego na dowód rzetelności, iż usta zgadzają się z sercem i że uczynek być mający ma się zgadzać z obietnicą usty uczynioną« (9).

Poczem uzasadnia, opierając się na Piśmie św., pierwiastki przysięgi po chrześcijańsku pojętej. Już teraz po tem ogólnem rozważaniu przechodzi do samej Ustawy rządowej 3 maja i co ważne dla nas pod względem historycznym do błogosławieństw, jakie ona sprowadziła w ciągu jednego roku.

»Idzie za tym, że się umysły szczęśliwie uspokajają, że duchy oburzone za dotkniętą ich miłość właśną ku spokojności na koniec za roztropnym rzeczy rozbiorem przybliżają się. Zjazdy Województw i Powiatów z najpiękniejszą spokojnością rządzić się już tą ustawą zaczęły, a smakując w jej doskonałości czterdzieście kilka Województw i Powiatów gorliwie utrzymane całości i powagi tej Konstytucji zaprzysięgli (?), inne wszystkie prawie wprzód już przez swe Kommissye Cywilno-Wojskowe i różne Magistratury to zaprzysięgłszy, teraz Delegacje z dziękczynieniem Stanom Sejmującym za obmyśloną szczęśliwość Narodu i Ojczyzny Sejmików swych powysyłali« (13).

Wysławiwszy imiona twórców Konstytucji, mianowicie »Ojca Ojczyzny Stanisława Augusta« i niespracowanego Rządcy obrad sejmowych, nieśmiertelnej sławy Małachowskiego Marszałka, uważa widocznie za ważki obowiązek wystąpienie przeciw nieprzyjaciołom Konstytucji, którzy jeszcze nie przycichli, bo oto z jakiem wzburzeniem woła:

»Któż bowiem teraz będzie tak płocho zuchwały, aby śmiał zarażać umysły Obywatelów w kampaniach i posiedzeniach, hańbiąc i przyganiając tej Ustawie Rządowej, której powagę zaprzysięgał utrzymywać. Magistratura majątki i życie Obywatelow w ręku Sądu swego mająca.

Pókiż czynić się będzie takie Igrzysko w wieku oświecenia i rozumu! że tu prawie cały już Naród zaprzysięga utrzymanie całości i powagi Ustawy Rządowej 3 Maja, a tu w pośród tychże osób przysięgłych owi mniemani Statystowie z zimną krwią i pełnym żółci przekąsem lżą i hańbią tęż ustawę, umysły spokojne i cnotliwe burzą i zapalają, a grając rolę Katonów surowych i Brutów, gotować się zdają pożogi Katylinów, roznosząc trwożliwe nowiny w duchu nastających na własną Ojczyznę Koryolanów« (14 i 15).

Wzywa więc Najjaśniejszy Trybunał do obrony tej ustawy i wskazuję w drugiej części ważność i wspaniałość i mądrość Konstytucji. Nasamprzód umiejętnie broni Konstytucji przeciwko rozmaitym zarzutom i ażeby je tem pewniej odeprzeć, powołuje się na pisma nieśmiertelne Kołłątaja, Trębickiego, Strojnowskiego, Potockiego [1]). Ale mimo wszystko nie wierzy, żeby współcześni należycie umieli ocenić dobrodziejstwa ustawy:

»Potomność zaś dopiero, Potomność to oświecona najzupełniejszą sprawiedliwość tej zbawiennej Konstytucji pewnie uczyni, jeżeli dobroczynne i litościwe nad losem Polski Nieba, życia Ojcu Ojczyzny Stanisławowi Augustowi tyle przynajmniej przedłużą, ile do zupełnego umysłów przekonania na danie biegu szczęśliwego wykonaniu zupełnemu tej Ustawy w całym Narodzie i Rządu składzie potrzeba« (18).

Bardzo pięknie i gruntownie rozwodzi się teraz, malując barwny obraz przyszłości, o błogosławionym przewrocie, jaki spowoduje Konstytucja i rozbiera rozmaite jej punkty, dowodząc, że »z pomiędzy wszystkich Praw innych, co są w Narodach i co są u nas, ta Ustawa Rządowa 3 Maja jest najlepsza zdaniem całej oświeconej Europy« (21) i dlatego należy jej bronić, choćby orężem przeciwko postronnym potencjom, ba

»jeżeli obca przemoc z żelazem i ogniem w ręku odmienić Ustawę Naszą ważyłaby się, otóż na to jest Narodu całego sprzysiężenie się, aby wprzód życie i krew swą położyć na ofiarę Ojczyźnie, niżeli przyjąć kajdany despotyzmu i okropnej nieprzyjaciela niewoli« (22).

Wskazuje tu nawet bardzo wymownie na potrzebę orężnego powstania w obronie Ojczyzny, gdyby była politycznie już rozbitą,

---

[1]) »Pisma nieśmiertelne«, jakie kaznodzieja ma myśli, mogą być: Kołłątaja: »Uwagi nad pismem... Sew. Rzewuskiego... o sukcesji tronu w Polsce«. Warszawa 1790 — »Mowy... K. podkancl. kor. na sejmie teraźniejszym r. 1791«. Warszawa 1791. — Wraz z Stan. Potockim i Fr. Dmochowskim: »O ustanowieniu i upadku Konstytucji 3 Maja«. Lipsk 1791.

Trębickiego Antoniego: »Odpowiedź autorowi prawdziwemu uwag Dyzmy Bonczy Tomaszewskiego nad Konstytucją i rewolucją 3 Maja« (1791). Według Smoleńskiego: »Jędrna i pełna zapału odpowiedź« należy do najlepszych pism stronnictwa reformy.

Stroynowskiego Hier. X.: »Nauka prawa przyrodzonego, politycznego, ekonomji politycznej i prawa narodów«. Wilno 1785, 2. w. 1791.

Potockiego Stan. prócz wyżej wymienionego: »Na pismo, któremu napis O Konstytucji 3 Maja 1791 do Zaleskiego i Matuszewicza«.

by potem dla poparcia wywodów swoich powołać się jeszcze na przykład Szwajcarji, Holendrów i Ameryki. Znamienne to na ów wiek wywody:

»Gdybyśmy już w prawdziwej byli niewoli i hołdownictwie jakiego mocarstwa, a duchem świętej i cnotliwej wolności zapaleni wybić się z mocy postanowili i zaprzysięgli, któżby cnotliwy zaprzysiąc taki związek unikał pod pretekstem obawiania się jakiej odmiany? Dopieroż teraz, gdyśmy tylko nad przepaścią już bliską niewoli przez nas nierząd stojeli, a dziwną mocą Boską ocuceni z swego letargu rząd w domu jednomyślnie ustanawiamy i utrzymanie jego zaprzysięgamy, możemyż bojaźń mogącej odstąpić odmiany brać na słuszną wymówkę tegoż zaprzysiężenia?« (23 i 24).

Ztąd też jaknajgoręcej zachęca trybunał do przysięgi; winszując mu tej wzniosłej, epokowej chwili woła:

»Idźcież już przed ołtarz przedwiecznej Wszechmocności, a złóżcie śluby swe Bogu! wielkość tej rzeczy, którą zaprzysięgacie, zapewnić umysły wasze gruntownie może, iż żałować tego nie będziecie« (27).

I nie waha się powtórzyć dawniej już przytoczonych argumentów, wskazując, że ustawę monarchowie sąsiedni pochwalili. Raz jeszcze ku końcowi nawołuje do jej zaprzysiężenia: przyobiecuje za to opiekę Boską, mówiąc:

»Wszechmocność Boska, błogosławiąc nasze zamiary i chęci, przy jedności Narodu sprzysiężonej z sobą i z swoim Królem, okazać pewnie litościwie raczy, iż was za szczególnie miły i ukochany sobie Naród obieca — Et Dominus elegit Vos, ut faciat Vos excelsiores cunctis gentibus quas creavit in Laudem, et Nomen, et Gloriam suam, Amen« (29).

Poglądając na całość, przyznać trzeba, że w kazaniu dużo mądrości i taktu politycznego, że głośno drga tam nuta patrjotyczna, że wiele znajomości stosunków krajowych objawia kaznodzieja bystro patrzący w bieg wypadków i przemian, obeznany z prądami umysłowemi we współczesnem piśmiennictwie politycznem, obeznany z historją i umiejący z niej czerpać. Prawdziwie kazanie to godne »księcia kaznodziejów!« Wprawdzie pewien brak może niewiele znaczny ciepła ewangelijnego i kościelnego, jakkolwiek jest dość dużo w kazaniu cytatów z Starego Testamentu, pewien chłód klasycznej retoryki i język nieco przestarzały składają się na to, że dziś już to kazanie nie wywarłoby takiego wrażenia jak wówczas, w każdym razie jest to ciekawy dokument współczesnej wielkiej chwili.

Jakim jednak zgrzytem wobec onych pięknych słów o potrzebie powstania jest Karpowicza kazanie, wygłoszone cztery lata później, przed zaprzysiężeniem homagii od prowincji dotąd polskich Najjaśn. Panu Fryderykowi Wilhelmowi królowi pruskiemu! W kazaniu o Konstytucji poleca życie i krew swą położyć na ofiarę ojczyźnie, by nie przyjąć kajdan despotyzmu, a w homagjalnem w Warszawie wobec świeżej mogiły ojczystej wychwala Prusaków! Takie to już były dzieci 18-go wieku, niestałe i zmienne!

Ciekawszem jeszcze dla nas od kazania Karpowicza będzie kazanie Naruszewicza, nie jakoby stało wyżej od tamtego, lecz że należy do rzadkich zabytków homiletycznych, jakie się nam ostały po wielkim historyku i że wygłoszone było w ważnej chwili historycznej. Otóż na pamiątkę Konstytucji majowej postanowiono wybudować w Warszawie kościół Opatrzności Boskiej. Przy założeniu kamienia węgielnego pod ten kościół wypowiedział Adam Naruszewicz dnia 3 maja 1792 na placu Ujazdowskim mowę, którą zaliczyć można raczej do kościelnych niż świeckich [1]).

Kamień, jak opisuje naoczny świadek Niemcewicz, kładziono w obecności króla, senatorów, rycerstwa i licznie zgromadzonego ludu. To też kaznodzieja zwraca się nasamprzód do króla słowy: »Najjaśniejszy Miłościwy Panie« i jemu hołd, może zbyt przesadny hołd oddaje, ale zaznacza po chrześcijańsku, iż jeżeli jest jakiś skutek czynów i prac podjętych, to a Domino factum est istud et est mirabile in oculis nostris. Potem odrazu kreśli przed słuchaczami potężny i wstrząsający obraz anarchji polskiej w 18 wieku.

»Czymże był ten niegdyś sławny i potężny Naród przed tą rozpoczęcia Sejmowego chwilą? Radość ta powszechna, widok ten najokazalszy, który dziś napełnia serce twoje ojcowskie, który podnosi myśli i serca obywatelskie, rzuca już niejaką zasłonę na tę smutną lat zeszłych perspektywę i grzebie klęski nasze pod tym samym kamieniem, na którym stać ma przybytek chwały dla Boga, a pamięci wiekopomnej dla Króla i Narodu w jego następnych pokoleniach.

»Królowałeś Panie, a kto inny władał: pełnił znękany obywatel prawa, a kto inny je pisał; rady nasze były bez skutku; przedsięwzięcia bez zamiaru; usiłowania bez siły; nadzieje bez pewności; los Ojczyzny

[1]) »Głos Adama Naruszewicza, Biskupa Łuckiego i Brzeskiego, przy założeniu pierwszego kamienia na Kościół Opatrzności Boskiej R. 1792 dnia 3 Maja na placu Ujazdowskim miany«.

zawsze wątpliwy i obojętny; pewność zguby nieuchronna i co dzień za lada wzruszeniem wiatru upadek zbutwiałego gmachu niepochybny.

»Zbliżała nas powoli do tego kresu dwuwieczna blisko Anarchja; miła zawsze i wspierana od tych, co zysków swoich w naszym szukali odmęcie; co przez ustawiczną głów panujących odmianę, przez zaszczepioną chytrze między stanami nieufność, przez osłabione i rozprzęgłe rządu wnętrznego sprężyny, senną nieczynność obrad, dorywcze w nich, lub tłómaczeniu podległe, a samolubstwu najczęściej dogodne prawa wystawili, nakoniec najżałośniejszą w Europię Królestwa tego postać i stos rozwalin niezgrabny, a pamięcią tylko sędziwej przeszłości, że to był gmach od Piastów i Jagiełłów zbudowany, sławny i do rozbioru tylko na obce budowiska zdatny jeszcze i użyteczny.

»Tak to i najpotężniejsze Narody upadają! od których Bóg czasem dla niezbadanych sądów swoich odwraca oblicze swoje, podając ich losy na zupełną zatratę! Lecz tak się też same Narody dźwigają i krzepią, które on dla większego uwielbienia swego, dopuściwszy im być już u przepaści, cofa nazad i na świetniejszym jeszcze stanowi szczeblu«.

Potem wskazuje potężnemi słowy, jakto naród polski już blizko upadku mimo naporu ościennych mocarstw zdołał się jednak dźwignąć z »obalisk« swoich, a do tego przyczynił się niemało roztropnemi rządami swojemi król i ojciec tego narodu, a w tym dźwiganiu dopomagali mu jedni, chociaż nie brak było i innych szkodzących dobrej sprawie.

»Wiadome, woła mówca, są tobie Narodzie najskrytsze ich usiłowania, wiadome podłe wysług niewolniczych narzędzia w każdej okoliczności dumy lub zysków błyskotkami chwytane, gdzie tylko promień jaki lepszych dla kraju nadziei mógł zaświtać«.

Jako historyk, przypomina teraz, jak to już dawno »baczni narodu sternicy« ostrzegali przed niebezpieczeństwami i przepowiadali rozbiór kraju. Myli się jednak, kiedy mówi, że ich ostrzeżenia poczynały się od Jana Kazimierza. Toć cały tom możnaby napisać o proroctwach wieszczących upadek Polski już w w. XVI. Wołali przecież wtedy i przepowiadali narodowi niewolę taki Skarga w »Kazaniach sejmowych« i we »Wzywaniu do pokuty«, taki Modrzewski, taki Orzechowski wypowiadający w »Quincunksie« tragiczne słowa: »Byś serce moje rozkroił, nie znajdziesz w nim nic, jedno to słowo »zginiemy«.

I otóż na te słowa kaznodziejów i wielkich polityków głucha epoka Stanisława Augusta:

»On (Bóg) widział, że teraz dopiero schylone przeciwnościami berło twoje (wielki królu), jak u Józefa snopek wynieść miał nad snopki

braci swoich, Królów poprzedników i postawić go na Ołtarzu Świętym z pełnymi ziarna kłosami. On przeznaczył rok i dzień, kiedy ty, zacny Narodzie, w mężnych reprezentantach, a w cnotliwych Delegatach twoich i prawa zbawienne dla siebie napisać i one przyjąć wiernie i pochwalić uprzejmie miałeś«.

Tak to rozprowadza tę myśl, że wielkie dzieło odrodzenia narodowego należy przypisać Opatrzności Bożej. Stąd nawołuje do wdzięczności wobec Niej i taką oto śliczną wypowiada modlitwę:

»Twórco przedwieczny! w oczach twoich Boskich tysiączne wieki są dniem jednym; a obręb cały czasów przeszłych i przyszłych jednego rzutu wzroku twojego celem. Tyś widział i masz przytomne lata, kiedy sługa twój Mieczysław zaszczepiając religję, kiedy sługa twój Jagiełło wprowadzając ją do narodu swego, budowali ku czci twojej świątynię za dar oświecenia; Ty patrzysz z góry i na zakład przybytku tego, który sługa Twój Stanisław August tobie budować poczyna, za dar miłosierdzia. Stoją i stać będą te święte gmachy, choć już przeszłość z ich budowców i świadków nieme tylko utworzyła mogiły; choć już potomność wszystkich nas tu stworzeń twoich martwe popioły i lichą ziemię deptać będzie. Pół wieku może upłynie, a wieleż nas tu zostanie w życiu? Lecz taż potomność poglądając na ten gmach chwały twojej, a sławy narodu, wspominać będzie dzieła i przewagi wasze, wielcy Mężowie i wystawiać imiona śmierci niepodległe«.

Potem raz jeszcze zwraca się do »Najjaśniejszego Pana«, obejmując wspaniałym rzutem myśli jego całe dotychczasowe panowanie, które porównywa do strumyka, co z jasnego źródła toczy wody żywe po ubarwionych życiem przestrzeniach, potem na dzikie piaskowe zagnany wydmuchy, drze się dalej przez okropne głazów zapory, wskazuje na szczęśliwą chwilę bieżącą i szczęśliwszą jeszcze przyszłość. Zdumiewać się wprost trzeba, z jaką wykwintną retoryczną zręcznością umie kaznodzieja drażliwy temat przełożyć na obraz pełen wdzięku i potęgi:

»Poglądasz, Panie, na ten tu wzrastać mający dom chwały i opieki tego, który ciebie i twój naród wyratował. Może ci miło będzie w sytości lat i sławy spocząć w nim kiedy jako człowiekowi; bo życząc ci jak najuprzejmiej, abyś nas tu wszystkich i nasze prawnuki latami prześcignął, dać ci nie możemy nieśmiertelności, chyba w pamięci wdzięcznej szczęśliwszych przez ciebie potomków naszych.«

»Lecz Królu, kiedy dostojne zwłoki twoje grobowy nakryje kamień, sąsiedni tego, co go na ołtarz wiecznej poświęcasz Opatrzności; ujrzy zapewne duch twój z Niebios z pociechą, składane na nim od późnych pokoleń ofiary Bogu; usłyszy liczne w błogosławieństwach pienia i dzięki, żeś przez niego ojczyznę twoją uszczęśliwił. Że staraniem twojem, modłami

kapłanów, radą Senatu, posługą wiernych ministrów, wielkim cnotliwych marszałków Stanisława i Kazimierza przewodnictwem, dzielnością rycerstwa, zgodą narodu, kmiotek usłyszał głos dziedzica dobroczynny, mieszczanin odzyskał wolność, żołnierz siłę, wzrost i użyteczność, skarb zasiłek, sądy sprawiedliwość, magistraty czynność, obywatele równość, a prawom tylko, które sami sobie utworzyli, powinne posłuszeństwo«.

Całość kończy znaną modlitwą Kościoła powszechnego: »Boże który niewidzialną mocą wszystko ogarniasz«.

Kazanie to świadczy o tem, że wybitny historyk miał także niepośledni talent retoryczny. Napisane stylem zwięzłym, lapidarnym, Tacytowym stylem, który jednak nie jest wolnym od form i zwrotów ówczesnych, jak »budowiska«, »obaliska«, »zadawnione«, »klęsek«, »skalisków« »przedsięwzięciów« ma w sobie dużo siły i treści i myśli oryginalnych i głębokich. Najpiękniejszą jego ozdobą to wyraziste i wierne obrazy historyczne. Szkoda tylko, że kazanie to nie dłuższe.

Godnie obok tych dwóch cennych kazań staje a nawet je przewyższa wartością homiletyczną kazanie ks. biskupa Antonina Malinowskego, wygłoszone 3 maja 1792 w Warszawie w kościele św. Krzyża [1]).

Odrazu chwyta kaznodzieja za serce szczęśliwie dobranemi myślami przewodniemi: »Będzie jedna owczarnia i jeden Pasterz« (Jan r. 10). »A ten dzień będziecie mieli na pamiątkę i będziecie go obchodzić za święto uroczyste w rodzajach waszych czcią wieczną« (2 Księgi Mojż. rozdz. 12) i alokucją »Najjaśniejszy Królu, Przezacny Narodzie polski«. Nawiązawszy do ewangielji o jednej owczarni i jednym Pasterzu i do Izraelitów, wyzwalających się z pod jarzma Faraonów, wskazuje na doniosłe błogosławieństwa, jakie sprowadziła na kraj nieznana ongiś zgoda i jedność w narodzie Jak żywo i barwnie umie to przedstawić:

»Wstrzęsły się ościenne granice hasłem, że Król z Narodem i Naród z Królem. Zdumiały się dalsze Potencje, że Polacy dawniej bez zgody prywacie służący, napojeni przesądem, nieczuli na swą kondycją, mogli się nagle ocucić z zastarzałego letargu; a Polak stanął z tryumfem wśród swojej Ojczyzny, wzywając Króla, Kapłana, Senat, Stan Rycerski, Miejski i Rolnika, aby w Ustawie Rządowej z przezorną polityką spo-

[1]) X. A. Malinowski, Kazanie w dzień 3 Maja, rocznicą nowej formy rządu i uroczystością świętego Stanisława, Biskupa i męczennika, Patrona korony polskiej i wielkiego Księstwa Litewskiego zaszczycony, miane. Warszawa 1792.

kojnie ubeśpieczył zachwiane: Ołtarz, Tron, granice, osoby, majątek i wszystko, co jest eksystencją Polski!« (5).

Nazwawszy Konstytucję prawie cudem i podkreśliwszy pięknie na tle pisma św. wielkie znaczenie rocznicy, opowiada, że zamierza mówić o Konstytucji, jako ona tchnie moralnością i jako ona jest pożyteczna dla obywateli. Ku czemu w osobnej i pięknej modlitwie błaga Boga o pomoc.

W »części pierwszej« wskazawszy na religię jako najpewniejszą podstawę państw i narodów, zwalcza poglądy »mocnych duchów i wielkich filozofów«, którzy niestety, pychą swoją wiele krzywdy wyrządzają także polskiemu narodowi:

»Narodzie polski! Po 3 Maja roku zeszłego los Twój był pod niebeśpieczeństwem więcej zapewne dla wprowadzonego libertynizmu, zbytków, niezgod, dyffidencyj, prywaty i wzrastającej irreligji, jak dla politycznych przyczyn, bo te wszystkie sposoby grunt charakteru psując, wolny wstęp każdej intrydze dawały, doprowadzając do okropnej przepaści, w której i Polaka i Polskę łatwo zagrzebać obca siła obiecywała sobie. Gasły zwolna bohatyrskich dzieł zaszczyty, uwierzyliśmy przesądom, że nierządem będzie stać Polska, imię wolności choć od rzeczy dalekie przyjęliśmy za zaszczyt narodu, a tymczasem ścieśniały się granice państwa przy czczym tytule zostawując, zostawując odpadłych znacznych części Kraju, myśmy zaś jak obłąkani dobiegali punktu naszej zguby« (12).

A zła tego przyczyn należy szukać w religijnych nowinkach XVI w., szerzących się po kraju w pismach, mowach i »czarnych paszkwilach«. Ostatecznej stracie wolności i cnoty zapobiegła właśnie Konstytucja, która w pierwszym artykule tak wysokie wykreśliła znaczenie wierze św. rzymsko-katolickiej. Jest ona jednym z epokowych faktów w dziejach narodu.

»Jeżeli Mieczysława I w Polszcze rok 964 (?) i Jagiełły w Litwie rok 1386 sławne epoki przyjęcia Wiary S. Katolickiej Chrześcijaństwo z uczuciem wspomina, Twoje N. Królu Stanisławie Auguście w dniu 3 maja r. 1791 zabeśpieczenie i zaprzysiężenie tejże św. Wiary w Ustawie rządowej uczynionej przed Bogiem lud prawowierny Polski i Kościół Ś. w najpóźniejsze lata na pamiątkę zachowa i uwielbiać zawsze będzie; habebitis autem hunc diem in monumentum« (14).

W »części drugiej« rozprowadza bardzo trafnie myśl, że zasada wolności stała się podstawą rozwoju Polski, lecz biada nad tem, że w ciągu wieków ta wolność zamieniła się na swawolę. Tej swawoli świetnie przeciwdziałać może Konstytucja, bo w »ustawie

rządowej znadziemy dogodne prawo żądanej pożyteczności, która tak mądrze i przezornie jest utworzoną, że cokolwiek kiedy polityka objąć mogła dawnych Prawodawców, wszystko to (mówię niepodchlebnie) przewyższającym sposobem jest opisano« (17).

Potem omawia ważniejsze punkta Konstytucji zwalczając wymownie zarzuty jej przeciwników i w bolesnem uniesieniu woła potężnie:

»A jeżeli prędzej czy później zamach na Nas i Ojczyznę naszą uczyniony kiedy zostanie, my sami pierwszą sprężyną naszego nieszczęścia będziemy. Ręka niewidoma Opatrzności, która dla pokorzenia się naszego łaskawe oświadcza dziś względy, taż sama dla naszego niezreflektowania się groźną okazać się może: »strzeżcie się (mówi Mędrzec) poddać pod wątpliwość Opatrzności, byście snadź nie przywiedli jej do zniszczenia i rozprószenia wszystkich waszych zamysłów« [1]). Wiara i cnota albo rozwiązłość i niezgoda dadzą wagę naszym losom; pierwsze wleją szacunek charakteru, drugie podłości, pierwsze męstwa i odwagi, drugie słabości i bojaźni, pierwsze uczynią nas prawdziwie chwalebnemi, drugie na obelgę wydadzą« (21).

Na dobrą drogę naprowadzą sławne przykłady miłości ojczyzny, a między niemi najsławniejszy przykład króla, na którego cześć teraz kaznodzieja wypowiada panegiryk, niesmacznie nawet twierdząc, że Kościół jego cnotę i wiarę ku naśladowaniu podawać będzie. Kończąc modli się jeszcze za tego króla i wspominając o założeniu kościoła Opatrzności zamyka kazanie:

»Przeto teraz o synowie bądźcie miłośnikami prawa, a dajcie dusze wasze za przymierze.... wzmocnijcie się a czyńcie mężnie, bo w nim sławni będziecie« (24).

I czemuż zawdzięcza to kazanie swoją wielką wartość, tak wielką, że można je nawet wyżej postawić od kazania »księcia kaznodziejów« Karpowicza, i uważać ze wszystkich za najlepsze? Otóż gorącemu uczuciu, sile ekspresji, jasności i sprężystości. Jeżeli z tamtych kazań wieje ku nam rzeczywiście przejmujący chłód 18 w., to tutaj przynajmniej żywsze i szczersze drgają uczucia.

Ale i tu nawet zamało dla nas jeszcze tego tragicznego bolu jaki sępiemi szponami szarpie serce Polaka na myśl o rozbiorach skołatanej Ojczyzny, zamało jeszcze w tych kazaniach świętego Skargowskiego oburzenia na niezgodę i anarchję, za mało grzmotów

[1]) Eccl 5, 5.

i piorunów przeciwko zdrajcom i wrogom Konstytucji. Mowcy ci przemawiają, wyłączając może Malinowskiego, jako mędrcy polityczni czy historyczni, a jeśli się uniosą, to czuć tam zbyt wiele retoryki, zbyt mało temperamentu i gorącego uczucia.

Ciekawe są w ich kazaniach wzmianki o przeciwnikach Konstytucji, niemal wszyscy się z nimi rozprawiają: widoczna z tego ich potęga. Kiedy mówią o nich, przychodzą nam na myśl owe zebrania w pałacu wrogiego Bułhakowa, posła rosyjskiego, owe teatralne występy Suchorzewskiego w Sejmie, owa szalona wrzawa opozycji [1]).

Jeszcze ciekawszem zagadnieniem, które szczególnie dzisiaj stało się aktualnem, to wskazanie na przyczyny, jakie się złożyły na upadek Polski; mówcy podkreślają wrogie zakusy sąsiadów, mówią obszerniej jednak o rozprzężeniu wewnętrznem i wskazują na to, a osobliwie to czyni Malinowski, że pierwszą sprężyną upadku będą wady narodowe. Zrozumieć to dobrze możemy, że ówcześni kaznodzieje, patrząc tak codziennie i zbliska na libertynizm i rozwiązłość, nie ogarniając całej sieci intryg i zbrodniczych zabiegów, jaką zarzucały na Polskę ościenne państwa, byli skłonni przypisywać rozbiory w pierwszym rzędzie przyczynom wewnętrznym. Dzisiejsza historjografja przechyla się do zdania, że główną przyczyną rozbiorów była »wiarołomna zaborczość« sąsiadów [2]), jak już John Russel powiedział. W każdym razie ze wszystkich mów bije jasnym promieniem ta wzniosła otucha, że naród, który stworzył tak wiekopomne dzieło jak Konstytucję, ma w całej pełni prawo do życia i rozwoju i rokuje wielkie nadzieje na przyszłość.

Warto jeszcze wspomnieć, że nie wszystkie mowy były dotąd znane w naszej historji literatury. Najszczęśliwszy rozumie się »książe kaznodziejów«, o Jędrzeju Grabowskim ani Pelczar ani Bruchnalski nic nie wiedzą, zresztą kazanie jego nie ma większego znaczenia. Ale o Naruszewiczu, którego Bruchnalski nie zna a Pelczar tylko z nazwiska wspomina [3]), warto podkreślić, że był to nie tylko znakomity historyk, ale także kaznodzieja i mowca i który oprócz tego kazania zostawił jeszcze szereg wartościowych mów. Zaś biskupa

[1]) X. W. Kalinka, Ustawa 3 Maja, Kraków 1896. — Marceli Handelsmann, Konstytucja 3 Maja, Warszawa 1907.

[2]) Por. Dr. Wł. Bogatyńskiego, Przyczyny upadku Polski w świetle naszej najnowszej historjografji, »Przegl. P.«, 1918 z. 1 – 2.

[3]) Wymienia jednak jego »Głos« Gabrjel Korbut w swej »Literaturze polskiej«, II, 86.

Malinowskiego, nieznanego dotychczas naszym historykom kaznodziejstwa, spotkał ten sam los, co Bibrowicza plebana Rzegocińskiego, który świetną wygłosił mowę w Katedrze poznańskiej wśród obrzędów pogrzebowych za Kościuszkę. W każdym razie należy się Malinowskiemu miejsce w dziejach kaznodziejstwa choćby i za to jedno kazanie, w którem tak znakomicie odzwierciedlił ducha epoki i Konstytucji.

I względom praktycznym mogą służyć te kazania szczególnie dzisiaj, kiedy kapłani - kaznodzieje współpracują nad tworzeniem nowej Konstytucji. Mianowicie wśród uroczystości poświęconych ogłoszeniu tej Konstytucji i wśród dostojnych rocznic Konstytucji majowej kazania te, opracowane przez dobrych mówców z rzetelnym nakładem trudu, uchodzić mogą jako wzór i podawać niemało materjału i tak wzniośle łączyć wielką teraźniejszość z przeszłością wielką.

Ks. N. Cieszyński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z publikacyj Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej.

Eugeniusz Sokołowski: Szkoła a głód, jako problem społeczno-państwowy. Warszawa, 1919, 8°, str. 142.

Mizerja wywołana wojną daje się dokuczliwie odczuwać wszystkim, ale bodaj czy nie najbardziej dzieciom. Organizm młody, za mało odporny, nie zahartowany, wskutek lichego odżywiania wyczerpuje się szybko, staje się podatnym na choroby, zamiera. Choć może niejedni rodzice dziś prędzej przeboleją stratę dziecka niż w normalnych czasach, klęska zagrażająca naszej Ojczyźnie wskutek wzmożonej śmiertelności dzieci jest bardzo wielka. Ale i te dzieci, które jakoś przetrzymują niedostatki wojenne, nie rokują tych nadziei, jakie się żywi zazwyczaj wobec młodszych pokoleń. Dziecko niedostatecznie odżywiane nie ma ochoty i poprostu nie może uczyć się dobrze. I nic tu nie pomogą obowiązkowe, czy na własną rękę przez nauczycieli prowadzone wśród szkolnych godzin ćwiczenia gimnastyczne, bo one wycieńczony organizm jeszcze bardziej osłabiają. Naszemu społeczeństwu potrzeba nauki, by mogło godnie stanąć wobec społeczeństw zachodnio-europejskich, potrzeba przedewszystkiem zmniejszyć te kompromitujące nas zastępy analfabetów. Dopóki jednak dotychczasowe stosunki szkolne pozostaną niezmienione, o nauce prawidłowej i owocnej mowy niema. Społeczeństwo i czynniki państwowe muszą to zrozumieć, że jak obowiązkową rzeczą dla szkoły, nawet początkowej, jest widna, czysta, sucha, ciepła, dość obszerna klasa, porządne, wygodne ławki, wysoka tablica, dane pomoce naukowe, sumienny nauczyciel, należyty porządek i godziny lekcyj, a w wielu już krajach książki, kajety dla dzieci, tak samo powinno być rzeczą konieczną w dzisiejszej szkole, choćby tylko na początek, jak u nas, szkolne śniadanie, składające się bodaj jedynie z kubka mleka i kromki chleba, bo bez tego cała ta zabawa w szkołę staje się widowiskiem, któremu trudno uzgodnić się z nazwą.

Oto postulat, który się dziś wysuwa na pierwszy plan w wychowaniu i kształceniu dziecka. Śniadania te musi wziąć za swój obowiązek szkoła, która w ten sposób i u rodziców i u dzieci zyska większą sym-

patję. Wszystkie inne rozwiązania kwestji głodu dziecka, obciążonego kilku godzinami nauki, są zupełnie błędne. Tanie kuchnie, te t. zw. »trąbizupki« i »dziadowskie obiady« bezwarunkowo nie wystarczą.

Prywatna działalność w tym względzie nie wystarczy. Te setki tysięcy zgłodniałych dzieci może tylko ocalić publiczna państwowa pomoc i państwo powinno pokrywać koszta prowadzenia kuchni szkolnych. Zapłatę za śniadania można brać tylko od rodziców lepiej sytuowanych i w takiej formie, by te dzieci, które korzystają z urządzeń całkiem darmo, nie czuły żadnego upokorzenia.

Jest to jedyne wyjście z tego trudnego położenia, w jakiem oddawna znajduje się dziatwa uboższej ludności, której zastępy pomnożyła znacznie ostatnia wojna. O niezawodności tego kroku pouczają nas przykłady innych państw. Francja na szeroką skalę prowadzi kuchnie dla dzieci już od lat kilkudziesięciu i prawo do opieki państwowej mają wszystkie dzieci, a raczej niepełnoletni, o ile inne czynniki niedostatecznie się nimi zajmują. To też liczba korzystających z państwowej pomocy jest, jak na Francję, bardzo wysoka: w r. 1908 sięgała 300 tysięcy. Kuchnie szkolne nie ograniczają się tam do śniadania, ale wydają dzieciom i obiady. — W Anglji również od 1876 r., w którym jedna z ustaw wyraża zasadę, że »żadne dziecko nie powinno rozpoczynać lekcji w szkole bez rannego posiłku«, kwestja odżywiania dzieci nie zchodziła z porządku dziennego. Debatowano nad nią w parlamencie, sondowano wszechstronnie opinję publiczną, aż doszło do owego wiekopomnego prawa w r. 1908 zwanego »Children Act«, które jest niejako konstytucją małoletnich obywateli Anglji. Do zrealizowania hasła rzuconego w 1876 r. przystąpił teraz »ręka w rękę Rząd z narodem«. To też rezultaty tej solidarnej pracy społeczeństwa i państwa są nadzwyczaj pokaźne. W r. 1911 wydano z górą 16 miljonów posiłków, a rozchód na to 157 tysięcy funtów poniosły kasy miejskie i powiatowe, a tylko 6000 wniosły towarzystwa i prywatna ofiarność. Kuchnie są pod kontrolą lekarzy, którzy swą ingerencję ograniczają do trzech pytań: co, ile i komu dawać należy. Miasto Bradfort stworzyło u siebie wprost »idealne« kuchnie szkolne. — Inne państwa Europy wzięły się później do tej szczególnej opieki nad dzieckiem, w krótkim jednak czasie dokonały już bardzo wiele. We Włoszech pierwszy Medjolan dopiero w r. 1908 zapoczątkował śniadania dla szkolarzy, za nim poszły inne miasta. W Niemczech prywatna inicjatywa działała już od lat osiemdziesiątych, a rząd zajął się tą sprawą dopiero w r. 1893, ale już w trzy lata później »nietylko wszystkie stolice niemieckich państw i państewek, ale i 79 pomniejszych miast było zaopatrzonych w różnego zresztą typu szkolne kuchnie«. Wiedeń w 1907 r. był świadkiem 25-cioletniego jubileuszu »Wiedeńskiego Centralnego Związku wyżywienia szkolarzy«, ale choć Związek ten ma wielkie zasługi, akcja jego nie była proporcjonalna do potrzeb miasta Wiednia, w innych zaś miastach robiono jeszcze mniej, a raczej nic. Rosja stoi jeszcze dalej za wspomnianemi wyżej państwami. Nawiasem można dodać, że w Ameryce bardzo mało zrobiono pod tym

względem. Podobno przyczyną główną była duma amerykańskich dorobkiewiczów, twierdząca, że Ameryka nie ma głodnych dzieci.

My jednak wiemy, że mamy na samym terenie Kongresówki i Małopolski do 2 miljonów dzieciąt potrzebujących opieki społecznej i dlatego musimy wziąść się do dzieła, a raczej dziełu, zapoczątkowanemu w czasie wojny i prowadzonemu głównie przez R. G. O., nadać więcej mocy i trwałości przez upaństwowienie kuchni szkolnych.

Jasna rzecz, że akcja pociągnie za sobą znaczne koszta, ale czy nie lepiej wydać coś na wychowanie i wykształcenie, by zyskać pożytecznych obywateli, niż wzbraniać się początkowo przed tą konieczną ofiarą, którą i tak potem musimy złożyć na więzienia i różnego rodzaju poprawcze zakłady?

Taki mniej więcej zakres myśli ujął autor w swej pracy. Ubrał je i uwydatnił zarówno silnem słowem, jak znamiennemi faktami. A że mu chodziło o to, żeby społeczeństwo przekonać i zyskać dla tej tak ważnej sprawy serce czytelnika, więc niekiedy, zdaje się, trochę poszedł za daleko i w swym oratorskim patosie i w przedstawieniu stosunków naszej dziatwy szkolnej. — Motywy do pracy nad wyżywieniem czerpie autor i z miłości ojczyzny i z etyki chrześcijańskiej, w której jednak nie tęgo się orjentuje, skoro twierdzi, że »na bezludnej wyspie nikt nie może być moralnym, albo niemoralnym« i z taką pewnością powtarza za Sokratesem, że »cnota jest tylko kategorją poznania ludzkiego«. Za mylne też uważać należy stanowisko autora, kiedy żąda pożywienia dla dziecka, jakby wynagrodzenia za pracę szkolną; jest to poważne spostponowanie nauki i dlatego też nawet to podkreślanie akcji odżywczej, jako pierwiastka nęcącego młodzież do szkoły, wzbudza u nas pewne podejrzenie.

Mimo to warto pracę autora polecić i nauczycielstwu i wszystkim, których obchodzi los tych naszych »maluczkich«.

Edward Grabowski: Zarys statystyki pracy. Warszawa, 1919, 8⁰ str. 89.

Każdy, kto chce przyczynić się wydatniej czy do ekonomicznego podniesienia naszego kraju, czy do uśmierzenia społecznych niedomagań, pragnie przedewszystkiem zaznajomić się z faktami, posiadać jakieś daty statystyczne, na których mógłby oprzeć swe rozumowania, użyć ich niejako za archimedesowy punkt oparcia. Tymczasem zestawień statystycznych, obejmujących wszystkie ziemie polskie, było nam brak do ostatnich czasów. Każda z byłych dzielnic, traktowana jako część wielkich państw, w obliczeniach statystycznych zlewała się przeważnie z liczbami zaborczych państw, tam zaś, gdzie przeprowadzano specjalne obliczenia dzielnic polskich, nie zawsze notowano prawdziwe fakta, i urzędowe statystyki zaborczych państw zawsze można podejrzewać o stronniczość.

Trudności w jednolitem ujęciu stosunków polskich są naprawdę wielkie, bo choć nie brak jakiegoś materjału w urzędowych statystykach, materjał ten nie da się użyć bezpośrednio, bo statystyki urzędowe we

wszystkich trzech państwach prowadzono według różnych zasad, w odmiennych latach, za różne okresy i t. d. Trzeba dopiero przeprowadzać kalkulacje, żeby te różnice wyeliminować, trzeba szukać uzupełnień w monografjach i po biurach prywatnych, by przecież jakoś skonstruować całokształt.

Tej pracy w zakresie kwestji robotniczej podjął się autor, który w 1917 r. opracował i wydał »Podręcznik Statystyki« W pracy świeżo wydanej stara się najpierw w dwu pierwszych rozdziałach zaznajomić czytelnika z literaturą i źródłami statystyki pracy. Potem kolejno w poszczególnych rozdziałach przechodzi ogólną statystykę zawodową, następnie odpowiedniemi tablicami ilustruje, jak się przedstawia stan ludności robotniczej do ogółu ludności w poszczególnych dzielnicach i gubernjach, przyczem parę zestawień może niepotrzebnie pomieszcza tu, choć odpowiedniejsze miejsce dla nich było w rozdziale poprzednim. W dalszym ciągu rozpatruje naturalny ruch ludności robotniczej. To są kwestje ogólniejszej natury. Po nich mamy kilka rozdziałów, obejmujących ruch organizacyjny i jego wyniki, a więc: związki zawodowe robotnicze, statystyka czasu pracy, zarobków, budżety robotnicze z uwzględnieniem cen produktów, sprawa mieszkaniowa, zatargi pracy czyli strajki i lokauty, wreszcie nieszczęśliwe wypadki, zdrowotność i ubezpieczenia społeczne.

Zestawienia, ilustrujące stosunki polskie, porównywa z odpowiedniemi datami z innych krajów, co oczywista ułatwia bardzo ocenę naszego ruchu społeczno-ekonomicznego. Możnaby nawet powiedzieć, że tych porównań jest za mało, by sobie wyrobić jakiś bliższy prawdy obraz o naszych brakach. Autorowi jednak chodziło głównie o umożliwienie »ogólnej orjentacji w zakresie dotykanych zagadnień« i to napewno uzyskał.

Utrudnił trochę tę orjentację przez to, że zbyt wiele zestawień umieścił w tekście, zamiast w tablicach, albo przynajmniej w kolumnach, wskutek czego nie można, a raczej trudno odrazu ująć te różnice czy podobieństwa, wynikające z poszczególnych dat. Krótka uwaga, dlaczego się uwzględnia jakieś zestawienie cyfrowe, objaśnienie tablicy i sama tablica najlepiej orjentuje, tekst zasiany liczbami zaciemnia obraz.

Pewnie, że do owego jednolitego a szczegółowego ujęcia robotniczej kwestji autor nie ma pretensji, boć to dopiero pierwsze kroki w tym kierunku, lecz i za to, co nam dał, możemy mu być wdzięczni.

Dr. Zofja Daszyńska-Golińska: Przyczynki do kwestji robotniczej w Polsce, Warszawa, 1920, 8°, str. 58.

Rozprawka opracowana na podstawie referatu, złożonego Delegacji Polskiej na Konferencję Pokojową w Paryżu. Mimo szczupłych ram, jakie autorka zakreśliła swemu studjum, znajdujemy tu sporo szczegółów trafnie zestawionych i tak uwydatnionych, że łatwo na ich podstawie wytworzyć sobie pojęcie o całości ruchu robotniczego w Polsce. Autorka przed przytoczeniem faktów z najnowszej doby rzuca pewien

obraz »z przeszłości klasy robotniczej w Polsce«, podkreślając to charakterystyczne zjawisko, że i w kwestji robotniczej społeczeństwo polskie w swych humanitarnych poczynaniach nie tylko zrozumiało ducha czasu, ale nawet wyprzedziło kraje ościenne. Rozprawka omawia dwa główne problemy: warunki pracy, na które się składa długość dnia pracy, płace zarobkowe, zatargi pracy i ochrona pracy wraz z ubezpieczeniem; następny problem to samopomoc robotników i pomoc społeczeństwa, a więc: związki zawodowe, praca oświatowa. Rzecz całą objaśnia 16 tabelek statystycznych, któremi na pierwszem miejscu ilustruje liczebność i zawody robotnika w Polsce.

Spotykamy w tej rozprawce dobrze ujęte główne dążenia organizacyj robotniczych do kontroli nad produkcją i do kierownictwa fabryk, do głosu decydującego o przyjmowaniu i wydalaniu robotników. Pisze o tem z wyraźną sympatją i wierzy, że zawodowe organizacje zachowają odpowiednią miarę, że nie marzą o dyktaturze proletarjatu. Być może, że tylko dla zyskania sympatji przewódcy P. P. S. raz po raz powtarzają te słowa »dyktatura proletarjatu« i w swych przemówieniach i pismach, być może, że o co innego chodzi partji w owych próbach sił, na które musimy patrzeć. Wprawdzie p. Daszyńska-Golińska twierdzi, że związki zawodowe tworzą się pod hasłem bezpartyjności, ale to twierdzenie niezupełnie zgodne z prawdą i lepiej powiedział Grabowski pisząc, że noszą nazwę bezpartyjnych a pozostają pod wpływem P. P. S.

Ks. Romuald Moskała.

Myśl francuska.

George Fonsegrive: L'évolution des idées dans la France contemporaine. De Taine à Péguy. Paris, Bloud et Gay, 1917, str. 339.

Celem tej książki jest wykazanie ewolucji myśli francuskiej w ciągu ostatnich lat trzydziestu i stałe zbliżanie się jej do wierzeń i dogmatów Kościoła katolickiego. Nie jest to ewolucja w łonie samego Kościoła, jak raczej ruch społeczeństwa ku Kościołowi i to umysłów przeważnie pierwszorzędnych. Ruch ten posuwał się zwolna ze szczebla na szczebel. W r. 1882 Renan nazwał chrystjanizm na publicznem posiedzeniu Akademji »cieniem cienia« i słowa te przyjęte były z uprzejmym uśmiechem. Trzydzieści lat później, na takiem samem posiedzeniu René Bazin, ogłaszając nagrody cnoty, udzielane przez Akademję, tak się wyraził o wartości dusz, których czyny Francja uznała za godne nagrody: »W duszach tych widzę zawsze obraz Mistrza, który przyniósł na ziemię prawo miłosierdzia — obraz Przyjaciela ubogich, Pocieszyciela zasmuconych i cierpiących, który przeszedł przez świat »dobrze czyniąc« i którego z radością wyznaję z miljonami żywych i miljonami umarłych: Pana naszego Jezusa Chrystusa«. To wyznanie wiary spotkało się

z gorącem uznaniem zgromadzonych. W r. 1882 uważano chrystjanizm za »cień cienia« — dzisiaj za siłę żywą, zdolną pobudzać do czynu i do największych poświęceń. Ta ewolucja dokonała się pomimo wrogiego stanowiska państwa w stosunku do Kościoła, po brutalnem zerwaniu węzłów, łączących je z nim przez stulecia. Imię Boga usunięto ze szkoły i z oficjalnych zgromadzeń — ale społeczeństwo stale idzie w kierunku przeciwnym, w kierunku do Boga, a jeżeli nie czyni tego całe, to śmiało rzec można, że tą drogą postępuje jego umysłowa elita.

Zrodzone w XVIII w. ubóstwienie wiedzy i racjonalistycznie pojętego rozumu trwało w całej sile do ostatniej ćwierci XIX stulecia; za ostatni jego wyraz można uważać zdanie słynnego chemika, Berthelota: »Świat nie zna już dziś tajemnic«. Człowiek, upojony zdobyczami nauki, uczuł się panem całej natury. W r. 1870 dwaj ludzie byli wcieleniem niejako tego sposobu myślenia: byli to Taine i Renan, obaj wyznawcy pozytywizmu Comte'a i krytycyzmu Kanta. Taine uważał człowieka za »chodzący teorem« i »wytwór, jak każda inna rzecz«.

Wedle niego, niebo jest puste, a raczej niema go wcale — a występek, czy cnota są wytworami materji, równie dobrze jak witrjol albo cukier. Teorja ewolucji Darwina wzmocniła tylko te pojęcia. Renan zbliżał się więcej do Kanta: racjonalizm, naturalizm i scientyzm wyrażają całą jego myśl, a jeśli ta ukazuje się czasem lekką, jak mgła poranna, to powodem tego była przedziwna wyobraźnia i urok stylu. Zwalczał Kościół, który uważa, że prawda jest tylko jedna. — Renan zaś twierdził, że »tyle jest prawd, ile myślących głów«. Poglądy Taine'a i Renana, przez negację Boga a przyznanie zupełnej kompetencji rozumowi, zabijały wiarę.

Naturalizm i negacja weszły do literatury i znalazły swój wyraz w powieściach Zoli, Maupassanta, Anatola France'a, a nawet tak zupełnie inaczej piszący dziś Bourget wyrażał się sam, iż »determinizm Taine'a to było »Credo jego młodości«. Nauka, teatr, powieść, ukazywały ciągle zwierzę ludzkie, oddające się swoim popędom w sposób mniej lub więcej brutalny. Następstwem tego stał się ogarniający szlachetniejsze natury pesymizm, a najznakomitszym jego przedstawicielem stał się w literaturze Brunetière. Był to jednak umysł zbyt żywotny, aby miał zagrzęznąć w pesymiźmie i wyrastającej z niego buddyjskiej bezczynności. Praca własnej myśli i równoległa z nią praca wielu innych umysłów wybitnych, pojawienie się książki Melchiora de Vogüé p. t. »Le roman russe«, pełnej zrozumienia dla cierpień ludzkich, dalekiego od samolubnego indywidualizmu, następnie głośna powieść Bourgeta »Le disciple«, podnosząca kwestję moralnej odpowiedzialności pisarzy, wszystko to pchnęło umysły na zupełnie inne drogi, a z Brunetière'a uczyniło szermierza nowego kierunku. Z wyżyn Watykanu poczęły płynąc snopy światła w postaci słynnych encyklik Leona XIII, które otoczyły blaskiem myśl katolicką i Kościół. »Rerum novarum« zadziwiła świat wspaniałem ujęciem kwestji socjalnej; »Aeterni patris« wyniosła św. Tomasza z Akwinu i filozofję scholastyczną na miejsce naczelne w nauce katolickiej. Słowa wielkiego papieża wywołały żywy

ruch w tym kierunku: Mgr. d'Hulst założył Towarzystwo św. Tomasza dla prac filozoficznych i stał się jego duszą, szerząc tomizm słowem i piórem. W Belgji, za sprawą dzisiejszego kardynała Mercier'a, uniwersytet w Lowanjum zorganizował wykłady wedle szkoły św. Tomasza. W Paryżu »Annales de philosophie chrétienne«, »Revue de philosopie«, a w Lowanjum »Revue néo-scolastisque« stały się organami tego odrodzonego kierunku katolickiej myśli. Lata 1890—95 były latami fermentu. Leon XIII przyjął na prywatnej audjencji Pawła Desjardins, który napisał po powrocie z Rzymu swoje poglądy na stosunki współczesne p. t. »Le devoir présent« i Ferdynanda Brunetière'a, który dał wyraz swoim w artykule, umieszczonym w »Revue des deux mondes« a zatytułowanym »Après une visite au Vatican«. Artykuł ten miał formę manifestu i był odzwierciedleniem myśli, które nasunęła autorowi dłuższa rozmowa z Leonem XIII. Genjalny papież wykazał mu był, że Kościół, przy niewzruszoności swoich dogmatów, ma w sobie możność i siłę rozwoju, zrozumienie dla zmian w historycznem życiu ludzkości i zdolność do kierowania niemi, bez wstrzymywania rzetelnego ich pochodu. Encykliki Leona XIII uznawały demokratyczną, republikańską formę rządu i domagały się dla robotników takiego wynagrodzenia za pracę, aby nędza była dla nich niemożliwą i nieznaną. Brunetière'a pociągnęły te poglądy z całą siłą i nazwał katolicyzm socjologją w czynie.

Pismo jego spotkało się z żywemi protestami, tak ze strony wolnomyślicieli, jak i katolików, którzy nie mogli zgodzić się na to, by Kościół miał być przedewszystkiem tylko strażnikiem społecznego rozwoju, a nie rządem dusz i depozytarjuszem nieśmiertelnej prawdy.

W każdym razie jednak wyrażone przekonania zbliżyły go do katolickiego światopoglądu i obozu, gdzie z natężoną uwagą i sympatją śledzono stopniowy bieg nawrócenia znakomitego pisarza i profesora, który w pismach swoich i wykładach dawał wyraz etapom tej wewnętrznej ewolucji, aż wypowiedział się tak jasno, iż »szukając pewnego oparcia, nie znalazł go w wiedzy i filozofji, ale znalazł w katolicyzmie« — »od tego dnia jestem katolikiem, a jeżeli mnie pytacie, w co wierzę, odpowiem na to: Idźcie z tem pytaniem do Rzymu«. Cała liczna falanga młodych przejęła się z zapałem temi słowy znakomitego profesora Szkoły normalnej, który skupiał ich koło siebie, że wymienimy tu tylko nazwiska Ollè Laprune'a, Goyau, braci Brunhes, Giraud i wielu innych.

Giraud w dziele swojem »Les maîtres de l'heure« daje studjum subtelne ośmiu pisarzy, którzy, wedle niego, są w szczególny sposób duchownymi mistrzami obecnej doby we Francji. Pośród tych ośmiu, jeden tylko, Anatol France, jest nietylko niewierzącym, ale wrogim wszelkiej myśli religijnej. Loti jest dyletantem, ale ma jak gdyby nostalgję chrystjanizmu. Rod, choć niezupełnie przekonany, uważa jednak za zbyt ciasny umysł tego, który zadawala się spokojnie negacją. Faguet stale wykazywał społeczne dobrodziejstwa chrystjanizmu i zbrodniczość stawianych mu zapór — umarł zaś jako wierzący chrześcijanin. Juliusz

Lemaître po wielu myślowych fluktuacjach doszedł do uznania w katolicyźmie źródła moralnego zdrowia dla Francji. Vogüé, Brunetière i Bourget występowali otwarcie jako katolicy, dwaj ostatni po definitywnem swem nawróceniu, nietylko jako wierzący, ale jako apologeci. Idzie za nimi cały zastęp pisarzy, którzy do literatury wprowadzili katolickie zasady, a z niemi zdrowie moralne i nieznaną poprzednio prostotę i świeżość. Takimi są Bazin, Barrès, Bordeaux, du Rouze, Psichari, Lafon, Vallery-Radot.

Najwybitniej jednak ukazuje się rozkwit i dojście do szczytów myśli współczesnej w dwóch postaciach pisarzy katolickich: to Paweł Claudel i Karol Péguy. Pierwszy przeniknął do głębi genjusz chrystjanizmu, a myśli swoje wyraził w formie pełnej poezji, jest on w całem słowa znaczeniu poetą chrześcijańskim. Péguy jest może mniej poetą, a chrystjanizm jego jest, jeżeli się tak można wyrazić, bardziej intellektualny, zna zato teologję, a dogmatyka katolicka żyje w jego pismach.

Ci wszyscy, którzy od lat trzydziestu prowadzili myśl francuską od pozytywizmu i determinizmu do gorącego ogniska wiary, świadomie czy nie, szli za słowami św. Augustyna: »Szukajmy, jak szukają ci, którzy mają znaleść, a znajdujmy jak ci, którzy mają szukać jeszcze, bo powiedzianem jest: Człowiek, który stanął u kresu, zaczyna dopiero«. (Ekkl. XVIII, 6.).

Ustępy w książce Fonsegrive'a, poświęcone kierunkom filozoficznym, zostawiam do oceny piórom fachowym. Chodziło mi tylko o zaznajomienie czytelników Przeglądu z godnem polecenia dziełem i jego myślą przewodnią.

Helena Skolimowska.

Z kaznodziejstwa niemieckiego.

Dr. J. Jatsch: Das Evangelium der Wahrheit und die Zweifel der Zeit. 2 tomy (str. 335, 311), Herder, Fryburg, 1918.

Jak pozyskać z powrotem dla Wiary sfery wykształcone — oto, zdaniem autora, profesora wszechnicy w Pradze, żywotne pytanie, nad którem nie można spokojnie przejść do porządku dziennego. Zastanawiano się już nad tem nie mało, a były czasy, w których za najskuteczniejszy środek w tym względzie uważano t. z. konferencje. Były to w gruncie rzeczy rozprawy filozoficzne, zabarwione nieco pokostem religijnym. W ostatnich lat dziesiątkach okazało się jednak, że skuteczność konferencyj na ogół przeceniano.

Najlepszą i wypróbowaną przez wieki metodą jest głoszenie słowa Bożego z uwzględnieniem tylko obecnych potrzeb i trudności. Toteż i praca Dr. Jatscha nie zawiera wcale naukowych rozpraw, lecz daje szereg duchownych nauk na wszystkie niedziele roku kościelnego, omawiających najżywotniejsze kwestje religijne obecnej doby.

Wygłaszał je autor w uniwersyteckim kościele św. Klemensa w Pradze. Po największej części na tle niedzielnej perykopy rozwija jakąś prawdę religijną, n. p. o istnieniu Boga (niedz. I. Adw.), o Bogu-Odkupicielu i Jego zbawczem dziele (niedz. IV. Adw.), o katolickiem małżeństwie (niedz. II. po 3 Król.), o prawdziwym postępie (niedz. II. post.), uzasadnia ją gruntownie, jużto dowodami ze źródeł teologji, jużto chrześcijańskiej filozofji. Uwzględnia przytem najbardziej rozpowszechnione zarzuty i stara się dać na nie odpowiedź.

Rozkład i wykład jasny, powiedzieć można nie pozostawia nic do życzenia. Na początku każdej nauki podaje autor szkic całego przemówienia i szereg tekstów biblijnych, mających zastosowanie w osnowie. Nauki Dr. Jatscha mogą się przydać nietylko dla ambony, ale również służyć sferom inteligentnym jako bardzo pożyteczna lektura z zakresu chrześcijańskiej apologetyki.

Im Dienste der Himmelskönigin, herangegeben von G. Harrasser S. J. und P. Sinther S. J. 2 tomy (str. 302, VI. 292) Herder, Fryburg, 1919, wyd. 4.

Zbiorowa ta praca doczekała się w krótkim czasie czwartego zwiększonego o tom drugi wydania. Jestto szereg przemówień do Sodalicyj marjańskich, wygłoszonych jużto przez księży moderatorów, jużto przez wybitnych członków Sodalicji.

Tom pierwszy zaznajamia słuchaczy z celem, historją i organizacją sodalicyjną, poucza o obowiązkach sodalisa, przedstawia pożytki i owoce prawdziwej czci Matki Bożej. Przedewszystkiem szeroko uwzględniony tu wpływ kongregacji na wewnętrzne życie i na wyrobienie silnego charakteru, będącego cechą dobrego dziecięcia Marji. Tom drugi ma głównie na celu wskazać wytyczne linje w pracy Sodalicji na zewnątrz. Ostatnie przemówienia poświęcone są działalności apostolskiej na polu misyjnem.

Dziełko to może księżom moderatorom oddać wielką przysługę, nasuwa bowiem szereg tematów, które przy uwzględnieniu częstokroć naszych polskich stosunków stanowić mogą treść przemówień sodalicyjnych.

Ks. A. Ż.

Literatura powojenna.

Em. Prüm: Der Witwenstand der Wahrheit. Bemerkungen eines Neutralen zu der Abwehrschrift der deutschen Katholiken gegen das französische Buch »La guerre allemande et le catholicisme«. Bloud & Gay, Paris — Barcelona — Dublin, 1919, str. 267.

Autorem tej nad wyraz zajmującej książki jest Luksemburczyk, a więc neutralny, tem samem sąd jego można uważać za objektywny. Napisał ją w jesieni r. 1915 pod wrażeniem pisma, wydanego przez poważne osobistości niemieckiego świata katolickiego w odpowiedzi na francuską książkę p. t. «La guerre allemande et le catholicisme«. Ta

niemiecka odpowiedź nosi tytuł: »Die falschen Anklagen französischer Katholiken gegen Deutschland« i jest jaskrawym dowodem, jak potrafiło zaćmić jasny sąd przeczulenie patrjotyczne, wspomagane przez rozmyślne ze strony sfer rządowych zamilczanie lub fałszywe oświetlanie faktów. Katolicy niemieccy wystąpili z całą gwałtownością przeciwko skargom belgijskich, zowiąc je oszczerstwem i potępiając mężne, prawdziwie apostolskie stanowisko episkopatu w Belgji, a w szczególności biskupa Heylen z Namur i prymasa kardynała Mercier'a.

Jako neutralny i świadomy istotnego stanu rzeczy, uważał Prüm za obowiązek wyświetlenie prawdy, którą nazywa »wdową«, tak bardzo została w czasie tych straszliwych zapasów i powodzi fałszów opuszczoną i gnębioną. W parę dni po ukazaniu się tej książki, autor jej został na neutralnem terytorjum luksemburskiem pochwycony przez pruskich oficerów i wywieziony do więzienia w Trewirze, gdzie przebywał przez półtora roku. Na skutek starań Ojca św. Benedykta XV, został po tym upływie czasu wypuszczony z więzienia, ale wywieziono go na Śląsk, gdzie pozostawał na wolnej stopie, lecz jako konfinowany aż do zawieszenia broni 1918 r.

Wedle jego słów w przedmowie, jedynym jego zamiarem było »torować prawdzie drogę przez góry uprzedzeń, nagromadzonych w Niemczech w czasie wojny«. Wojnę światową nazywa on starciem się dwóch odrębnych kultur, wyrosłych ze sprzecznych światopoglądów. Po jednej stronie nietscheanizm, miażdżący wszystko, co słabsze i stojące mocniejszemu na zawadzie, — z drugiej kultura romańska, zrodzona z chrystjanizmu, dla której słowo dane i umowy mają jeszcze wartość. Jako najbardziej uprawniony przedstawiciel tej kultury, wyraził się Benedykt XV o złamaniu paktów między narodami: »Nie wolno nigdy i pod żadnym pozorem naruszać sprawiedliwości«.

»Wdowieństwo prawdy« wytworzyło trującą atmosferę, skoro zdołało zabić miłość między wyznawcami jednego Kościoła. Prasa niemiecka napiętnowała wystąpienie francuskich i belgijskich kardynałów i biskupów, zanoszących przed światem skargę na znieważanie i niszczenie świątyń, więzienie i mordowanie księży. W oczach nieuprzedzonych ta prawdziwie apostolska postawa przypomina wielkich biskupów z V w., którzy wśród największych niebezpieczeństw zastawiali się za owce swoje.

Na poglądy niemieckie wpłynął między wieloma innemi przyczynami w pierwszym rzędzie specjalnie w szkołach i koszarach niemieckich hodowany patrjotyzm, oparty nietylko na miłości ojczyzny, ale na wygórowanej pysze narodu, zowiącego się »das Herrschervolk«. W umysły młodzieży państwowy monopol wychowawczy wszczepiał ideał uniwersalnej monarchji wojskowej, mającej opanować swym wpływem świat cały. Skutkiem takiego wychowawczego systemu wyrósł w Niemczech nacjonalizm do niebywałych rozmiarów. Zaraził on w pewnym stopniu i katolickie umysły, mimo iż przeciwnym jest duchowi Kościoła, który uświęca miłość ojczyzny, ale potępia wybujały w pysze i nienawiści nacjonalizm.

Nowa niemiecka kultura jest nawskróś protestancką i ona to znajduje wyraz w znanem »Deutschland über alles«, ona spadła na Belgję

jako »furor protestanticus«. Racją bytu protestantyzmu jest negacja ciągłości misji Kościoła, nadanej mu przez Chrystusa. My, żyjący w kraju jednolicie katolickim, nie znamy tej głębokiej niechęci, żeby nie wyrazić się silniej, jaką szkoła i zbór budzą u młodzieży swojej przeciw katolicyzmowi. Dodajmy do tego rozrzucane w tysiącach egzemplarzy wśród warstw ludowych pisma, jak je Prüm nazywa: »Lügen- und Hetzkampagne«, podniecające do chorobliwej gorączki umysły ludu przeciw katolickiej Belgji i jej duchowieństwu. Czyny, jakie były tej kampanji wynikiem, pozostaną piętnem hańbiącem tych, którzy byli ślepym mieczem, ale stokroć większą hańbę ściągnęły na moralnych sprawców tego rozpętania się niemieckich żołnierzy w Belgji.

Fala protestanckiej nienawiści, podniecana w duszy ludu niemieckiego, zwróciła się była nawet ku katolikom rodakom, jak o tem świadczą przytoczone pisma biskupów z Hildesheimu, Fryburga i Strassburga, odpierające z powagą i oburzeniem szerzone tendencyjnie kłamstwa i żądające ochrony dla katolickich księży i wiernych przed nienawistną brutalnością protestanckich współobywateli.

Książka »O wdowieństwie prawdy« podaje szereg autentycznych szczegółów, dotyczących prawdziwych powodów wojny, sposobów jej prowadzenia ze specjalnem uwzględnieniem naruszenia neutralności Belgji i znęcania się nad jej ludnością i pomnikami jej kultury, odpierając zwycięzko kłamliwe zarzuty, czynione przez niemiecką prasę. Jest to rzeczywiście torowanie drogi prawdzie, a spokojny, objektywny sposób przedstawiania faktów dodają powagi temu zamierzeniu.

Kończy Prüm dzieło swe słowami z Pisma św.: »Uleczalnemi stworzył Bóg narody«, nawiązując do nich nadzieję, iż naród niemiecki przez doznane klęski pozna, na jak fałszywej znajdował się drodze — a wojujące ze sobą narody za hasło odrodzenia wezmą wskazanie Benedykta XV, zawarte w słowach: »Niema pokoju bez sprawiedliwości, a sprawiedliwości bez prawdy«.

Helena Skolimowska.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

P. W. Schmidt S. V. D.: Die Gliederung der australischen Sprachen. Wien, 1919, str. 299 in 4^0 z mapą.

Mutter Klara Fey: Fastenbetrachtungen. Freiburg, Herder, 1920, str. 258.

Ks. A. Prügel: Przez przyrodę do Boga. Kraków, 1920, str. 60.

Revue de Synthèse historique. Tome XXIX, consacré aux États-Unis. Paris, libr. Cerf, 1919, str. 303.

Adam Krzyżanowski: Założenia ekonomiki. Wyd. 2. Kraków, nakł. księg. S. A. Krzyżanowskiego, 1920, str. 198.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Sprawa patronatów kościelnych w Sejmie. — Republiki zakaukaskie a katolicyzm.

Marną usługę wyświadczyli naszemu Sejmowi ci z jego posłów, którzy na sesji 4 marca przeforsowali uchwałę, dotyczącą patronatów kościelnych. Wystawili powagę prawodawczego ciała na kompromitację. Lwia część winy za tę kompromitację spada i na tych drugich posłów, co swą naganną nieobecnością w Sejmie w owym dniu umożliwili przejście nieznaczną większością głosów takiej uchwały.

Dlaczego powzięcie uchwały o patronatach uważamy za kompromitujące sam Sejm? Dlatego, że kompromituje się każdy prawodawca, stanowiący prawo, które nie będzie wcale wykonane, bo wykonanem być nie może. I jeżeli częściej mu trafia się ogłaszać takie ustawy, tem gorzej dla niego. Poprzednie fałszywe kroki nie usprawiedliwiają następnych.

Uchwałę z dnia 4 marca właśnie zaliczyć należy do takich niemożliwości. Uchwalono mianowicie wezwać rząd, »aby w porozumieniu z władzą duchowną przedstawił Sejmowi w jak najkrótszym czasie projekt ustawy o skasowaniu patronatu kościelnego całej Rzeczypospolitej Polskiej i przeniesieniu go na gminy parafjalne«. Uchwała ta nie jest jeszcze, jak widzimy, gotową ustawą, określa już atoli zgóry istotę ustawy przyszłej i rządowi poleca pozyskać dla niej władze duchowne. Otóż nie potrzeba być prorokiem, by przewidzieć, że rząd polecenia tego nie zdoła wykonać. Najpierw uderza w uchwale sejmowej dziwna niekonsekwencja w stosunku do Kościoła: z jednej strony uznaje się, że kwestja patronatu jest co najmniej

kwestją mieszaną, państwowo-kościelną, skoro się widzi potrzebę porozumienia z władzami kościelnemi, — z drugiej strony lekceważy się Kościół, zgóry przesądzając, jak dana reforma co do istoty swej ma wyglądać, nie pytając, ażali ze stanowiska kościelnego proponowane rozwiązanie jest możliwe, lub nie. Pocóż w takim razie uchwalać porozumienie się z władzami kościelnemi? Co one mają tu do powiedzenia? Czy mają tylko potulnie zgodzić się na przyjętą już bez nich zasadę? Czy więc wprowadzona do sejmowej uchwały klauzula o »porozumieniu« nie jest tylko niedopasowaną maską na właściwą tendencję aranżerów — przeprowadzenia zasady supremacji państwa nad Kościołem, zasady, która jeszcze nie śmie w naszem kraju wystąpić bez maski?

Paktowanie w tych warunkach z »władzami kościelnemi«, któreby znaczyło tyle, co wezwanie tychże władz, aby jedynie zgłosiły swój akces do powziętej w sejmie uchwały, byłoby wprost grubym nietaktem, zgóry skazanym na niepowodzenie. Być może, że gwałtowny atak, jaki przywódcy lewicy, pp. Putek i Daszyński, skierowali z trybuny sejmowej przeciwko polskiemu episkopatowi, był obliczony i na to, by zastraszyć biskupów, iż jeżeli nie okażą się posłusznymi przyjętej uchwale, dostarczą dowodu, że »spiskują przeciw Rzeczypospolitej«. Gdyby wszakże ci obrońcy majestatu tej ostatniej zdobyli się na więcej spokoju, byliby chyba spostrzegli, że przedstawiciele episkopatu katolickiego wogóle, a naszego polskiego w szczególności, nie są subjektami, podatnymi na działanie podobnych pogróżek, a miłości Ojczyzny potrafią dowieść stokroć lepszemi dowodami, niżby dowiedli tem, czego się od nich żąda — sprzeniewierzeniem się prawom i interesom Kościoła. Nie wiemy, czy rząd polski zwróci się do polskich biskupów z propozycją, by stanęli w sprawie patronatu na gruncie uchwały sejmowej, można atoli przewidzieć, co na propozycję musieliby odpowiedzieć. Odpowiedzieliby niezawodnie: 1-o że proponowane przez Sejm »przeniesienie« prawa patronatu na gminy byłoby nie czem innem, jak stworzeniem patronatów nowych; 2-o że prawo patronatu jest przywilejem, którego nadanie lub odmówienie należy wyłącznie do kompetencji Kościoła, w żadnym zaś razie nie do Sejmu; 3-o że do utworzenia patronatów ręki przyłożyć nie mogą, jako do czynu zabronionego przez kan. 1450 kodeksu prawa kanonicznego, od którego tylko papież dyspensować może. Przypuszczamy, że czynniki rządowe lepiej zorjentują się w sytuacji,

niż 115 posłów, którzy za uchwałą 4 marca głosowali i uznają czynienie episkopatowi niemożliwych propozycyj za rzecz bezcelową.

Ale może pp. Krężel, Putek i ich towarzysze liczyli na papieża? Nie chcemy zaprzeczać, że, biorąc rzecz jedynie z dogmatycznego stanowiska, udzielenie prawa patronatu przez papieża całej gminie jest możliwem. Kanon 1452 nowego kodeksu prawa kanonicznego zna wybory proboszczów przez lud; wyraźnie wszakże zastrzega tenże kanon, że taki porządek obsadzania parafij może być tolerowanym jedynie tam, gdzie już istnieje; nadto lud wybierać może proboszcza jedynie z pomiędzy trzech kandydatów, których wskaże biskup. Gdyby więc nawet Stolica Święta udzieliła tego przywileju, czego nie przypuszczamy, polskim parafjom, to i tak panowie Putek et C-o nie osiągnęliby tego, do czego zmierzają, mianowicie uzależnienia kleru od parafjan, gdyż dobór kandydatów nie należałby do ludu. Powtóre wielu z naszych dzisiejszych zwolenników »demokracji« Kościoła okazałoby się prawnie niezdolnymi do czynnego wykonywania przywileju: całym szeregiem kanonów (1453, 1470, 2263, 2346, 2375 i inne) wykluczone są od tego rodzaju aktów rozmaite kategorje osób, prawnie lub duchem obcych lub wrogich Kościołowi, np. tych, co zawarli małżeństwo mieszane, tych co należą do towarzystw przez Kościół potępionych, etc. Z chwilą nadania gminom przywileju wybierania proboszczów, musiałby Kościół rozszerzyć stosowanie ekskomuniki do takich żywiołów, które w sprawach kościelnych miałyby wpływ destrukcyjny, a chyba nikt rozumny i nieuprzedzony nie mógłby wziąć tego za złe Kościołowi, że broni się przed elementem sobie wrogim, rozkładowym.

Lecz to wszystko są przypuszczenia, wychodzące z supozycji, że Stolica Św. zgodziłaby się bodaj w jakiejś mierze na ustanowienie patronatu ludowego nad Kościołem w Polsce. Przekonani jesteśmy wszakże, że i do tego nie dojdzie. Jeżeli nie dogmatyczna niemożliwość, to bądźcobądź poważne racje zdają się wykluczać podobne rachuby. Stolica Apostolska rządzi się w swojem postępowaniu na pierwszem miejscu względem na dobro Kościoła, a chyba zwolennicy stanowienia patronatów ludowych nie zdołają dowieść tego, że o dobro Kościoła im chodzi. A musiałoby ono być niezmiernie wielkiem, by zdołało sprowadzić Rzym z tej drogi, którą kroczy od wieków, a której etapami były walki przeciw inwestyturze świeckiej, placetum regium i innym zamachom omnipotencji państwowej i wrogich religji czynników na wolność Kościoła. Czego zaś dobrego dla

wiary można się spodziewać dzisiaj, w czasach obniżenia się w masach uczuć religijnych przy równoczesnem ich rozagitowaniu politycznem, z wciągnięcia tychże mas do czynnego udziału w stanowieniu kapłanów? Nowy kodeks kanonicznego prawa okazuje raczej tendencję do uwolnienia Kościoła z resztek patronatów, które są przeżytkami z innych czasów i stosunków, — trudno przypuścić, by tej tendencji sprzeniewierzono się, tworząc nowe patronaty w Polsce i to w takich rozmiarach, jakich domaga się sejmowy projekt.

Więc cóż? Może Sejm zechciałby uchwalić niepożądane dla Kościoła prawo wbrew woli episkopatu i Rzymu? Zdaje się, że aranżerowie uchwały marcowej nie cofnęliby się i przed tą ewentualnością, — przynajmniej ich wykrzykniki o »watykańskim najeździe« tak można rozumieć. Ale w takim razie mielibyśmy wojnę z Kościołem, — najgorszą i najniewdzięczniejszą z wojen. Zgóry zaś przewidujemy, czyją skończyłaby się przegraną Cóż z tego, że Sejm uchwaliłby »obieralność« proboszczów przez parafjan, skoroby Kościół taką ustawę odrzucił? Żadne takie wybory nie byłyby przez biskupa uznane, owszem odbyćby się nie mogły dla prostej przyczyny, że żaden katolicki kapłan nie mógłby wystąpić przed zgromadzeniem wyborczem jako kandydat bez narażenia się tem samem na kary kościelne. Czy pp. Putek i Daszyński sądzą, że wielu w Polsce znalazłoby się Husznów i Okoniów? Gdyby nasi zwolennicy »demokratyzacji« Kościoła trochę pilniej rozczytywali się w historji, dowiedzieliby się od tej mistrzyni życia, że niejeden już rząd, niejeden parlament zabierał się do reformy prawodawstwa kościelnego i żaden celów swych nie dopiął. Narzucano r. 1791 we Francji konstytucję cywilną klerowi, w 1872 w Niemczech zainscenizowano »walkę kulturną«, licząc na przedajność księży, znowu we Francji r. 1905 chciano rozbić organizację kościelną przez uchwalenie parafjalnych związków kultu, które się miały przed rządem legitymować, — wszystkie te zakusy spełzły na niczem, choć niepotrzebnie tyle energji na walkę z Kościołem zużyto. Ostatnia uchwała francuska wprost pozostała martwą literą i rząd nie znalazł środka, by ją w życie wprowadzić. A przecież tam nad owemi ustawami pracowały takie głowy, jak Bismarków, Waldeck-Reusseau,ów, Combesów, do których zdaje się nasi »suwereni« nie dorośli. Francja, po kilkunastu latach walki podjazdowej z Kościołem, dochodzi do przekonania, że trzeba jednak z Rzymem zerwane stosunki nawiązać. Czyni to jeszcze z rozmaitemi zastrzeżeniami; w gruncie rzeczy stawia

pierwszy krok na udeptanej przez innych drodze do Canossy. Skąd nasze Combesy mają pewność, że na tę drogę nie musieliby kiedyś wstąpić? Nie życząc upokorzenia nikomu, nawet przeciwnikom, pragnęlibyśmy, aby zrozumieli wcześnie, że walka z Kościołem, jaką zdaje się chcieliby u nas wzniecić, ani Polsce korzyści, ani im samym chwały nie przyniesie. I pragnęlibyśmy, aby wcześnie sami znaleźli sposób przekreślenia uchwały z 4 marca. Szkoda — powtarzamy — tylko tej kompromitacji, na jaką powagę Sejmu wystawili, ale w tem winni nie tylko oni, ale i ci nieobecni... gdy obecność ich tak była potrzebną!

Z warszawskiego Sejmu przenieśmy się myślą na Kaukaz.

Na południe od głównego grzbietu Kaukazu utworzyły się po wybuchu rewolucji w Rosji trzy nowe republiki: północno-zachód dawnego »Zakawkazja« tworzy rzeczpospolitą Gruzji, z wyjściem na morze Czarne, ze stolicą w Tyflisie, na południe od Gruzji rozciąga się aż do granic Persji i Turcji Armenja z głównem miastem Eriwaniem, wreszcie wschodnia część kraju zakaukaskiego, opierająca się o morze Kaspijskie, przedstawia nowy twór polityczny Azerbeidżan, z siedzibą rządu w słynnem z naftowego przemysłu Baku.

Pod względem religijnym różnią się te trzy republiki znacznie: Gruzini wyznają wchodnie prawosławie, Ormianie tworzą odrębny i obrządkiem i dogmatem (monofizytyzm) kościół gregorjański, wreszcie obywatele Azerbeidżanu są to Tatarzy-muzułmanie. Atoli nie brak w tych trzech republikach i wyznawców katolicyzmu, lecz znowu nie stanowią ci katolicy jednej zwartej grupy, ale rozpadają się na grupy różniące się między sobą językiem wyznawców, a nawet obrządkiem. Mianowicie w Gruzji znajduje się ogółem mniej więcej 25 tysięcy katolików, z czego przypada na Polaków, b. urzędników rosyjskich i przemysłowców, około 5 tysięcy, Gruzinów łacińskiego obrządku jest coś 4 tysiące, resztę, t. j. 16 tysięcy, stanowią Gruzini obrządku ormiańskiego. W Armenji katolików liczą około 40 tysięcy; wszystkie parafje są obrządku ormiańsko-unickiego z wyjątkiem jednej parafji Sjagut o 280 duszach, należących do obrządku chaldejskiego. Zresztą tu i owdzie trafią się zabłąkani łacinnicy, nie posiadający wszakże żadnej własnej organizacji kościelnej. Wreszcie na terytorjum Azerbeidżanu można naliczyć około trzech albo czte-

rech tysięcy napływowych katolików obrządku łacińskiego, zgrupowanych przy kościele w Baku.

Pod względem jurysdykcji wszyscy katolicy łacińskiego i chaldejskiego obrządku należeli do ostatnich czasów do diecezji tyraspolskiej, mającej rezydencję w Saratowie. Atoli biskup w zarządzie kościelnym na całym Kaukazie (więc i w północnej jego części), wyręczał się przez tak zwanego wizytatora, mającego swą siedzibę i quasi-konsystorz w Tyflisie. Wizytatorem od dłuższego czasu był Gruzin, ks. Antonow; podlegały mu więc i znajdujące się na Kaukazie grupy naszych rodaków.

Co się tyczy unitów ormiańskiego obrządku, to ci przechodzili ciekawą a smutną dla siebie historję. Jak wiadomo, część Ormian połączyła się z Kościołem katolickim jeszcze w epoce Soboru Florenckiego w XV stuleciu. Przez parę wieków prawie wszyscy ci Ormianie - unici znajdowali się pod żelaznem berłem sułtana tureckiego, wystawieni na perjodycznie powtarzające się rzezie. Część ich — tych zawodowych kupców, rozeszła się po Krymie i aż po naszem Podolu, Bukowinie, Siedmiogrodzie. Wszak Lwów posiada ormiańskie arcybiskupstwo. W miarę, jak Rosja rozszerzała swe panowanie na Kaukazie i za Kaukazem, zagarniała coraz większą liczbę Ormian, tak wyznania gregorjańskiego jak i katolików. W jej granicach znalazł się wreszcie i słynny, z V wieku pochodzący klasztor w Eczmiadzinie w pobliżu Eriwania, rezydencja głowy wszystkich Ormian - gregorjanów, tak zwanego »katolikosa«. Przez przejście pod władzę Rosji stracił on jurysdykcję nad swymi współwyznawcami w tureckiej Armenji, nie zrzekając się jednak tytułu »katolikosa«. Podczas gdy gregorjanie, stanowiący prawie całość narodu, mieli pod berłem rosyjskiem oparcie w swych biskupach, to garstka ich współbraci katolików znalazła się prawie zupełnie pozbawioną duchownej opieki. W Gruzji nad wyznawcami tego obrządku, podobnie jak nad łacinnikami, czuwała misja OO. Kapucynów, lecz ci zostali wydaleni z Kaukazu w r. 1845 przez cara Mikołaja I. Przy zawieraniu konkordatu między Rosją a Stolicą Świętą w r. 1847 kwestja Ormian - katolików nie została ostatecznie uregulowaną. Ociągano się z utworzeniem dla nich biskupstwa rzekomo dla zbyt małej ich liczby. Podano ich więc jurysdykcji biskupów łacińskich w nowoutworzonej diecezji tyraspolskiej i dawnej kamienieckiej; w seminarjach tych diecezyj miała się kształcić pewna ilość kandydatów do stanu duchownego dla obrządku ormiańskiego. W Tyflisie utworzono

osobny zarząd duchowny dla Ormian-katolików, stojący wszakże w zależności od biskupa łacińskiego w Saratowie. Taki stan rzeczy trwał około 30 lat.

Po wojnie r. 1878, gdy Rosja anektowała nowy kawał Armenji (Kars), liczba Ormian-katolików pod berłem rosyjskiem wzrosła. Na terytorjum cesarstwa znalazła się nawet jedna stolica biskupia obrządku ormiańsko-katolickiego w Artwinie, zależna od ormiańskiego patrjarchy Cylicji. Powstała więc w Petersburgu kwestja: czy skasować diecezję w Artwinie i Ormian-unitów tej djecezji poddać pod jurysdykcję biskupa łacińskiego w Saratowie, czy też odwrotnie władzę biskupa w Artwinie rozciągnąć na Ormian, podległych dotąd łacińskiemu biskupowi. Obrano coś pośredniego: po śmierci biskupa w Artwinie nie pozwolono już obsadzić tej katedry; rozszerzono natomiast kompetencję administratora tej djecezji na wszystkich Ormian i Gruzinów ormiańskiego obrządku. Kiedy atoli w r. 1893 ówczesny administrator Ter-Epojan naraził się rządowi, zabraniając dzieciom Ormian-katolików chodzić do schizmatyckiej cerkwi na galówki, porwano go od ołtarza, wywieziono na pokutę do klasztoru w Agłonie (w Inflantach!), zarząd Ormian-unitów zreorganizowano, przeznaczając mu na siedzibę Tyflis, i oddano znowu pod zwierzchnią jurysdykcję biskupa tyraspolskiego. Dopiero w r. 1909 po porozumieniu się z Rzymem zarząd ten dostał niezależnego przełożonego w osobie archimandryty Ter-Abramianca. Na utworzenie wszakże biskupstwa ormiańskiego rząd rosyjski nie zgodził się do końca swego panowania na Kaukazie.

Stolica Apostolska, do której należy »piecza o wszystkich kościołach«, nie zapomniała nigdy o tych zagubionych wśród gór »płomienistej Kolchidy« nielicznych dzieciach Kościoła. Dopóki trwało rosyjskie panowanie, jak mogła opatrywała ich duchowne potrzeby. W czasie rozpadania się caratu odnosiła się z sympatją do dążności ujarzmionych ludów, pragnących odzyskać polityczną niezawisłość. Skoro się utworzyły wspomniane trzy republiki zakaukaskie, wysłał Benedykt XV do nich w sierpniu ubiegłego roku wizytatora apostolskiego w osobie O. Delpucha z kongregacji Ojców Białych. Właśnie La Croix (29 lutego) podaje szczegóły tej podróży, jakich udzielił sam wizytator, obecny w Genewie na kongresie akcji ratowniczej dla dzieci w krajach nawiedzonych wojną, odbytym w ostatnim tygodniu lutego. Według własnego opowiadania, doznał O. Delpuch w krajach, do których był wysłany, nader serdecznego przyjęcia.

Władze polityczne nowych państw, zwłaszcza Gruzji, robiły wszystko co mogły, w celu okazania czci, należnej reprezentantowi Ojca św. i ułatwienia mu jego misji. Wagon salonowy, auto rządowe były do jego dyspozycji. Na nabożeństwie zjawili się wszyscy dostojnicy rzeczypospolitej. Rząd okazał wszelką gotowość zapewnienia rozwoju szkół i instytucyj katolickich.

Podobneż przyjęcie spotkało wizytatora papieskiego w Armenji. Tam chciano okazać wielką wdzięczność Ojcu św. za wszystko, co podczas wojny uczynił dla nieszczęśliwego narodu, masakrowanego przez Turków i Kurdów. Przedewszystkiem wiele sierót ormiańskich bez różnicy wyznania zawdzięcza swe ocalenie i życie akcji ratowniczej, zainicjowanej z polecenia Benedykta XV przez Mgra Dolci w Konstyntanopolu. To też sam »katolikos« Ormian schizmatyków, zaprosiwszy O. Delpucha dla zwiedzenia eczmiadzińskiego klasztoru, prosił go o przedłożenie Ojcu św. podziękowania za opiekę nad Ormianami.

W Baku, stolicy muzułmańskiego Azerbeidżanu, na powitanie reprezentanta Stolicy św. zjawili się na dworcu przedstawiciele rządu i parlamentu. W samym parlamencie, gdy takowy zwiedzał, zgotowano mu szumną owację. Podobna owacja jeszcze raz spotkała Delpucha w tyfliskim parlamencie, gdy był w drodze powrotnej do Batumu.

Z tych wewnętrznych objawów czci, okazywanej przedstawicielowi Ojca św., widać, jak wzrósł p r e s t i g e Stolicy Apostolskiej nawet w krajach niekatolickich. Pozwala to dobrze wróżyć o stosunku rządów i ludów tych krajów do katolicyzmu. Najbliższa przyszłość zapewne przyniesie nowe urządzenie spraw katolickich w owych krajach. Zależność katolików zakaukazkich od dalekiego Saratowa musi się skończyć. Ormianie - katolicy zapewne otrzymają własnego biskupa, a jeśli konferencja pokojowa wymierzy temu nieszczęśliwemu narodowi zupełną sprawiedliwość i połączy wszystkie części Armenji, która dotąd podzielona była między Rosję, Turcję i Persję, w takim razie prawie wszyscy katoliccy Ormianie znajdą się we wspólnej ojczyźnie i wstąpią w nową fazę historji. W Gruzji na szczególną uwagę zasługuje owa grupa Gruzinów katolików ormiańskiego obrządku. Obrządek ten, zupełnie obcy i niezrozumiały, narzucony im był po 1829 r., kiedy rząd rosyjski, zaniepokojony istnieniem grupy katolików, używających wspólnej z panującą cerkwią liturgji, dał im do wyboru: albo powrócić do cerkwi schizmatyckiej,

albo przejść na obrządek katolicko-ormiański. Wybrali to ostatnie, byle wiary prawdziwej nie utracić. Obecnie proszą o zmianę obrządku. Z Rzymu proponowano im powrót do obrządku grecko-gruzińskiego, w jakim modlili się ich dziadowie i jakiego używają ich współrodacy schizmatycy. Oni jednak z kapłanami swymi na czele proszą o pozwolenie przyjęcia obrządku łacińskiego. Ta ich decyzja, zdradzająca lęk przed wszystkiem, co przypomina odszczepieństwo, dobrze świadczy o ich przywiązaniu do wiary katolickiej. Przychylenie się do ich prośby i ustanowienie w Gruzji jednolitej łacińskiej hierarchji dla wszystkich katolików będzie, jak należy się spodziewać, jednym z najtrwalszych owoców misji O. Delpucha.

Przed katolicyzmem na Kaukazie otwierają się perspektywy lepszej przyszłości.

Ks. Jan Urban.

Bankructwo różdżki czarodziejskiej.

W obecnej ciężkiej walce o byt ludności europejskiej, zagrożonej głodem i brakiem artykułów codziennego zapotrzebowania, zwłaszcza zaś opału, na pierwszy plan zabiegów i usiłowań wybijają się dwie ważne sprawy: jedna z nich, to wydobycie z wnętrza ziemi jak największej ilości skarbów mineralnych, jak węgla, nafty, rud mineralnych, sztucznych nawozów, soli, a druga, ulepszenie środków przewozowych, któreby pozwoliło szybko i tanio przerzucać towary i ludzi z jednego miejsca na drugie.

Sprawa pierwsza przybrała gdzieniegdzie kierunek bardzo niepożądany, odpowiedni jednak do dzisiejszego próżniaczego nastroju ogółu ludności, nastroju, którego mimo wszelkich usiłowań ludzi dalej patrzących nie można było jeszcze ani trochę usunąć. Gdy więc jedni opanowawszy istniejące już kopalnie, groźbą ciągłych strajków terroryzują ludność, i tworzą najwyższą, najbardziej uprzywilejowaną kastę społeczną, inni pragnęliby nowe odkryć kopalnie, ale także oczywiście bez wysiłku, a mianowicie przy pomocy owej sławnej różdżki, wskazującej rzekomo w sposób prosty i pewny ukryte w ziemi skarby. Trudne to do wiary, a jednak jest faktem, że mimo tylu już badań, mimo stanowczego głosu ludzi nauki, poszukiwania górnicze przy pomocy różdżki znowu odżyły gwałtowną falą i nawet u takich trzeźwych Niemców znajdują wielu zwolenników, tak, że istnieje tam osobne tej sztuce poświęcone pismo »Die Wünschenrute«, a w licznym gronie tak zwanych »Rutengänger« znajdują się ludzie inteligentni, inżynierzy o fachowem wykształceniu.

Ale nic dziwnego. Różdżka czarodziejska, znana już w starożytności, znalazła od dawnych wieków szczególne rozpowszechnienie w Niemczech. Sebastjan Münster opisuje ją w swej Kosmografji z początku 16-go wieku, jako »widełki z leszczyny lub wierzby«; używano jej też do znajdywania wody podziemnej i kruszców, zwłaszcza w Górach Kruszcowych i przez kupców przeniesiona została jeszcze za czasów królowej Elżbiety do Anglji, do odkrywania pokładów kruszcowych, a gdy następnie górnictwo tam podupadło, używano różdżki do odkrywania podziemnych żył wodnych. Powoli popularność różdżki czarodziejskiej tak się rozszerzyła, że stosowano ją już do wszystkiego, nawet do tropienia zbrodniarzy i heretyków, jak to miało miejsce w południowej Francji w wieku 17-tym, a w r. 1701 ukazał się nawet dekret, zakazujący stosowania różdżki w celach sądowych. Dziś chyba dekret taki nie byłby już potrzebny, ale używanie różdżki do celów górniczych i techniki wodnej jest ciągle w użyciu i to we wszystkich krajach.

Sfery ściśle naukowe odnoszą się oczywiście do różdżki z wielką niechęcią, a i u nas przed kilku laty grono profesorów fachowych, mineralogów i geologów Uniwersytetu Jagiellońskiego, oświadczyło się w publicznej a energicznej odezwie stanowczo przeciwko różdżce, odmawiając jej wyrokiem ostatecznym wszelkiego znaczenia i wartości. Jednak idea w dziejach ludzkości — to jak myśl w duszy osobnika. Stłumiona wraca znowu i znowu, a chociaż człowiek przekonał się o jej niedorzeczności, raz poraz w sposobnej chwili z podświadomości wyłania się ciekawie, czy się może tą razą komu nie spodoba. I dzisiaj jeszcze znajdują się ludzie uczeni, którzy wyrzekając się oczywiście wszelkiego zabobonu, przyznają różdżce pewną wartość, opartą na prawach przyrody. Do takich należy np. angielski profesor Barrett, członek akademji londyńskiej, i jeden z najwybitniejszych nowszych badaczy zajmujący się specjalnie kwestją różdżki. Według niego, gdy chodzi o znalezienie żyły podziemnej wody, prawdopodobieństwo znalezienia jej przez człowieka z różdżką »o wiele przewyższa prawdopodobieństwo kopania na domysł, a nawet szukania przez geologów, znających dobrze daną okolicę i jej wewnętrzne uwarstwowienie«. Celem przyrodniczego wytłómaczenia działania różdżki utworzono rozmaite hypotezy. I tak przypisuje się badaczom, posługującym się różdżką, szczególną, nadnormalną zdolność percepcyjną, odnośnie do szukanej substancji, jakby jakąś idiosynkrazję, tak, że jak mówi Barrett »najsłabsze wrażenie wywarte przez szukany przedmiot, wywołuje mimowolne, automatyczne ruchy poszukiwacza«. Zdolności te odkrywacza przyrównują do instynktu wędrownych ptaków, który je ciągnie w sposób niezawodny i pewny do miejsca gniażdżenia, ztąd też moc badacza leży poniżej jego progowej świadomości, a funkcja różdżki jest tylko wskaźnikiem zewnętrznym jakiegoś materjalnego czy umysłowego zaburzenia, które się wewnątrz jego istoty odbywa, a które inaczej byłoby niewidzialne. Zresztą wiadomo, że niektórzy poszukiwacze wcale nawet nie posługują się różdżką, inni trzymają w ręku inne przedmioty, naprzykład drut lub

kawałek sprężyny zegarowej. To znowu przypisują poszukiwaczom szczególną, nadnormalną wrażliwość zmysłową na tarcie w ziemi płynącej wody, która oddziaływa rzekomo na przeponę nad żołądkiem i objawia się potem przez drżenia różdżki, które oczywiście nie pochodzą od samej różdżki, lecz od trzymającego ją w rękach poszukiwacza. Wreszcie inni przypisują poszukiwaczom wody wrażliwość na działanie hydrometryczne, jak to zresztą tak często doświadczają na sobie reumatycy i artrytycy, odczuwając zbliżającą się słotę o wiele dziesiątek kilometrów odległą.

Zwyczajnie poszukiwacz trzyma w ręku różdżkę, którą stanowią najczęściej widełki z leszczyny lub wierzby. Do posługiwania się skutecznego zwykłą różdżką trzeba rzekomo posiadać odpowiedni dar i umiejętność. Jednak niedawno nadinżynier Schermuly w Frankfurcie nad Menem, znany »Rutengänger«, wynalazł różdżkę, tak zwany polaryzator, działającą zupełnie automatycznie, a więc bez szczególnego uzdolnienia poszukiwacza. W swojej najprostszej formie polaryzator jestto okrągła sztabka metalowa, do której na dole jest przylutowany drut zgięty łukowo, niemal tak wysoki, jak sama sztabka, tak, że całość przedstawia kształt litery V, której lewe ramię jest proste, pionowe — owa sztabka metalowa, — a prawe — to ów drut — zagięte. Na końcu tego zagiętego ramienia jest haczyk, na który wiesza się naczyńko metalowe, w kształcie pustego walca, do którego kładzie się tę substancję, którą się w wnętrzu ziemi pragnie wykryć. Przy użyciu podczas poszukiwań, dolny koniec pionowej sztabki wspiera się na wewnętrznej stronie wskazującego palca lewej ręki, zaś górny koniec tejże sztabki trzyma się wskazującym palcem ręki prawej. Zdaniem Schermulyego przez emanacje pokładów szukanej substancji, znajdujących się w ziemi i przez powstający stąd prąd, który przebiega przez poszukiwacza, cały przyrząd obraca się około sztabki prostej, jak około osi, tak dalece, że np. w przypadku manganu skręt ten wynosi aż 750^0, czyli przyrząd obróci się dwa razy naokoło i jeszcze o 30^0. Gdy pokłady szukane znajdują się daleko, przyrząd obraca się w ich stronę, a nawet można zapomocą tego przyrządu wyznaczyć kierunek północno-południowy.

Chociaż, jak widzimy z opisu, przyrząd ten nie jest całkowicie automatyczny, bo działa tylko wtedy, gdy jest trzymany w rękach poszukiwacza, to jednak wskazówki jego są w teorji tak wyraźne i tak łatwe do otrzymania, że gdyby istotnie dał to, co obiecuje, to wkrótce ludzkość stałaby się panem tych niezmiernych skarbów chemicznych i energetycznych, jakie jeszcze we wnętrzu ziemi się kryją a to tem snadniej, że polaryzator Schermulyego wskazuje nietylko obecność szukanych pokładów, lecz nadto ich głębokość i ilość, mianowicie przez ruchy wahadłowe, które można z łatwością dostrzedz i policzyć. W ten sposób ludzkość nietylko odszkodowałaby się w bardzo krótkim czasie za zniszczenie wojenne, lecz nadto przemysł rozwinąłby się do tak zawrotnych rozmiarów, że wkrótce wybuchłaby nowa wojna, która nie zadowolniłaby się już, jak wojna ostatnia, zniszczeniem powierzchni krajów cywilizowanych, lecz rozkopałaby i przerzuciła ziemię na głębokość

przynajmniej kilometra. Niestety albo na szczęście, przyrząd Schermułyègo, jak dotąd, zawiódł pokładane w nim nadzieje — przynajmniej tak twierdzą sfery naukowe, zawsze zresztą przeciwne wszystkim różdżkom czarodziejskim, a twierdzenie swe opierają tą razą na bardzo sumiennych badaniach, niedawno ukończonych.

Różdżka Schermulyègo swoim niezmiernie obszernym programem zyskała wkrótce rozgłos należyty, to też koła naukowe postanowiły gruntownie nią się zająć. W tym celu wysadzono komisję, złożoną z dwóch fachowych geologów, dwóch fizyków i dwóch psychologów, wszyscy docenci na uniwersytecie frankfurckim. Skład tej komisji, na pierwszy rzut oka nieco dziwny — bo po co psychologa wciągać do badań nad problemem geologicznym — jest jednak doskonale obmyślany. Naprawdę różdżka czarodziejska, jej zastosowania i rozgłos, więcej może nadają się do rozmyślań i dociekań psychologicznych, niż geologicznych; jestto problem, którym bardzo obszernie zajmowało się i zajmuje sławne Society of Psychological Researches, bo jak zresztą nawet sami zwolennicy różdżki przyznają, pokłady geologiczne w ziemi nie działają wprost na różdżkę, lecz pośrednio, przez posługującego się nią poszukiwacza; to też i rezultaty tych badań nad różdżką Schermulyègo ogłoszono bardzo słusznie nie w piśmie geologicznem, lecz psychologicznem, mianowicie w Zeitschrift für Psychologie (tom 82, rok 1919, str. 314—333).

Badania, które odbywały się 4 go i 5-go kwietnia we Frankfurcie nad różdżką Schermuly'ego, albo raczej nad Schermul'm i jego różdżką, podzielono na dwie grupy, z których jedna odbyła się w pokoju laboratoryjnym, a druga na wolnem powietrzu.

Przeciwko badaniom działania różdżki w pokoju podnoszono już niejednokrotnie zarzuty ze strony zarówno osób używających różdżki, jak i tych, którzy kwestją różdżki wogóle zajmują się ze stanowiska naukowego. Ponieważ jednak Schermuly utrzymywał, że i w zamkniętym lokalu stwierdził użyteczność swego polaryzatora, więc tutaj to badanie zupełnie jest słusznem. Rezultaty jednak były zupełnie ujemne. Przyrząd nie pokazał kierunku północnego, nie wskazał złotych zegarków członków komisji, w przykrytych czarnemi chustami masach metalu rozpoznał polaryzator nikiel zamiast manganu, cynk zamiast niklu, miedź wziął za srebro. Ponieważ p. Schermuly się bronił, że ilości metalu, użytego do badania, były za małe, więc naniesiono dużo niklu, węgla i potażu, a prócz tego ustawiono próżne skrzynie drewniane, pudła z tektury i naczynia szklane, celem kontroli badania. Pokazało się, że polaryzator dawał odchylenia niklowe nad węglem i próżnemi naczyniami szklanemi, ale ani razu nad samym niklem, podobnie wykazywał przyrząd istnienie potażu w próżnej skrzyni i pudle. P. Schermuly, poznawszy swój błąd, utrzymywał, że widocznie we wnętrzu ziemi prostopadle pod pudłem muszą być pokłady potażu, gdy zaś przeciw temu zaprotestował członek komisji, geolog, który znał dobrze uwarstwowienie terenu, potaż zamienił się na łupek, a następnie na wodę mineralną. Fizyk nie potrzebował wogóle w tych badaniach wydawać sądu, bo polaryzator nie wykazywał żadnych osobliwych promie-

nistych czy innych właściwości, zaś psycholog stwierdził, że działanie polaryzatora odbywa się pod wpływem świadomych, czy nieświadomych wyobrażeń, a nie jakichś emanacyj, tembardziej, że p. Schermuly przed każdem doświadczeniem informował się z napisanej uprzednio przez siebie tabelki, o ile stopni ma się przyrząd obrócić pod działaniem danego materjału.

Niemniej i doświadczenia robione na wolnem polu dały zupełnie ujemne wyniki. Komisja zakopała w niektórych miejscach materjały, które Schermuly miał wykryć, a zakopała je tak ostrożnie, by niewtajemniczony nie mógł nawet dostrzedz, że grunt poruszono. Natomiast w innych miejscach zrobiono podrywki w ten sposób, że skopano ziemię wierzchem, by się zdawało, że wewnątrz coś ukryto. Różdżka wykazała parę razy w próżnych podrywkach istnienie węgla, a cztery razy potażu, natomiast nad rzeczywiście ukrytemi materyałami przechodziła spokojnie.

Wobec takich rezultatów komisja uznała wynalazek Schermulyego za zupełnie bezwartościowy, a z nim i inne tego rodzaju przyrządy. Co do zasadniczej kwestji samej różdżki nie miano jeszcze odwagi wystąpić stanowczo, chociaż ściśle naukowo przeprowadzone badania wykazują niezdolność różdżki do dania tego, co obiecuje. Mundus vult decipi. Jeżeli jednak ludzie za kilka chwil lub choćby dni złudnej, lecz miłej nadziei płacą przy kartach lub loterji wielkie sumy, to czemuż im jej bronić, gdy mogą ją otrzymać za cenę — gałązki wierzbowej?

Ks. Feliks Hortyński.

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. Jan Urban T. J.*

Druk ukończono 1 kwietnia 1920.

W setną rocznicę przybycia Jezuitów do Galicji.

1 maja 1820 roku dwunastu Jezuitów przekraczało między Radziwiłłowem a Brodami galicyjską granicę. Była to forpoczta licznego zastępu tułaczy, dekretem Aleksandra I z dnia 13 (25) marca skazanych na wydalenie z granic rosyjskiego imperjum.

Przymusowy exodus Jezuitów z państwa carów był właściwie opuszczeniem arki, która ich zachowała od wód potopu. Kiedy Klemens XIV, pod naporem głównie dworów burbońskich, skazał r. 1773 całe dzieło św. Ignacego Loyoli na zagładę, Opatrzność, umiejąca i z wrogów Kościoła czynić narzędzia swych dalszych zamiarów, dopuściła, że Katarzyna II nie pozwoliła ogłosić kasacyjnego brewe w nabytych po pierwszym podziale Polski ziemiach, i dzięki temu stanowisku schizmatyckiej władczyni szczątki Towarzystwa Jezusowego ocalały na swych placówkach na Białej Rusi. Stało się to, jak wyjaśniał biskup Siestrzeńcewicz cesarzowi Józefowi II, »populo indigente, imperatrice iubente, Roma tacente« — dodajmy: t a c e n t e po paru bezskutecznych dyplomatycznych reklamacjach. Jezuici białoruscy, którzy już od Klemensowego następcy, Piusa VII, otrzymali ustną aprobatę swej dalszej egzystencji, stali się rozsadnikiem wznowionego zakonu. R. 1801 wychodzi z Rzymu uroczyste potwierdzenie Towarzystwa na ziemiach podległych rosyjskiemu berłu, w trzy lata później zezwala Pius VII na przywrócenie Jezuitów w królestwie Sycylji, a w r. 1814 tenże papież przekreśla akt Klemensa, wskrzeszając zakon bez żadnych terytorjalnych ograniczeń. Wody potopu opadły, zadanie korabia skończone, Jezuici mogą się rozejść po świecie ze swego Araratu. Opatrzność wyprowadza ich stamtąd, posługując się tym samym absolutyzmem carskim, którym posłużyła się w ich zachowaniu od zagłady.

Za pierwszym tedy oddziałkiem wygnańców przesuwają się przez cały maj na Radziwiłłów i Brody oddziały następne. Liczba wypędzonych z Rosji księży, kleryków i braci zakonnych przewyższała 300 osób. Wszyscy oparli się o Lwów bez jasnego planu, co dalej czynić. Zdaje się, zrazu nie spodziewali się pozostać na polskiej ziemi. Królestwo »Galicji i Lodomerji«, bez Krakowa jeszcze, wchodziło w skład państwa, które bez trudności przyjęło było i skwapliwie przeprowadziło brewe kasacyjne, które od szeregu dziesiątków lat stale zmierzało do ograniczania liczby klasztorów i zakonników, a nigdy ich nie pomnażało, ani wskrzeszało, państwa wreszcie, w którem, jak podobno w żadnem innem, nad całem życiem kościelnem i religijnem ciążył system biurokratycznej niewoli. Czyż naprawdę »józefinizm« był choć trochę lepszym dla Kościoła od autokratyzmu prawosławnych carów? Nie mogła się więc Galicja wydawać dość podatnym terenem dla działalności zakonu. Zamierzali tedy wygnańcy nasi przedrzeć się tylko przez austrjackie kraje w poszukiwaniu bardziej wdzięcznych placówek na południu i zachodzie Europy.

Stało się wszakże inaczej, niż myśleli. Wśród Jezuitów polskich pielęgnowanem jest podanie, że święty syn Polski, Stanisław Kostka, miał objawić któremuś z późniejszych zakonnych braci, iż na ziemiach polskich nigdy Jezuitów nie zabraknie. Rzeczywistość odpowiada temu podaniu. Skasowani w całej Rzeczypospolitej, ocaleli Jezuici w jednej dzielnicy dawnej Polski, na Białej Rusi; wypędzeni stamtąd, mieli znaleść gościnę w dzielnicy innej, w Galicji. Inicjatywa do zatrzymania wygnańców w tym kraju wyszła — któżby się tego spodziewał? — od przedstawiciela austrjackiego rządu. Wielkorządca Galicji, Hauer, pisze do Wiednia w tej sprawie w porozumieniu z arcybiskupem Ankwiczem, liczącym na to, że księża wygnańcy wypełnią choć w części luki wśród diecezjalnego kleru. Nie zdawał sobie ani jeden, ani drugi sprawy, że przyjęcie Jezuitów miało się stać początkiem końca systemu józefińskiego, uważanego w monarchji Habsburgów za nietykalną świętość.

Cesarz Franciszek okazał gotowość zatrzymania w Galicji na etacie rządu 50 wygnanych z Rosji kapłanów, wszakże jako »byłych Jezuitów«, w charakterze profesorów gimnazjalnych i do pomocy parafjalnemu klerowi. Gdy jednak oni oświadczyli, że Jezuitami być nie przestaną i tylko jako tacy, z zagwarantowaniem wolności rządzenia się swym Instytutem, mogą przyjąć ofiarowane

im placówki, zgodzono się w zasadzie i na to w Wiedniu, choć z ciężkiem sercem. W szczegółach potrzebne Jezuitom dyspensy od ustaw wyznaniowych austrjackich miały być określone i udzielone później. Oprócz 50 przyjętych na koszt rządu (raczej funduszu kościelnego) kapłanów pozostało w Galicji jeszcze dwa razy tyle na opiece Opatrzności i tym sposobem dawna białoruska jezuicka prowincja, liczbowo zmniejszona do 158 członków, przemieniła się w tymże samym 1820 roku w prowincję galicyjską, pod rządami tego samego prowincjała. Reszta białoruskich ojców puściła się w dalszą drogę, podążając do swych włoskich i francuskich braci.

Pierwsze lata pracy Jezuitów w Galicji to powolne, ale wytrwałe kruszenie systemu józefińskiego. Nie chce się dzisiaj wierzyć, ile uporczywych starań ich kosztowało, by wywalczyć i od wiedeńskiego rządu i od miejscowej józefinizującej hierarchji kościelnej należną sobie według Instytutu swego i niezbędną dla owocnej pracy wolność. Otrzymanie swobody znoszenia się z jenerałem w Rzymie, zdobycie pozwolenia na studjum domowe dla kleryków, zamiana zatwierdzonych przez rząd, przyjętych przez episkopat, a nie wolnych od heretyckich błędów i tendencyj podręczników do teologji i prawa kościelnego — na nowe, pardziej katolickie, uwolnienie profesorów od dokuczliwych egzaminów biskupich, a nauczania szkolnego od wścibskiej drobiazgowej kontroli — wszystkie te sprawy musiały wędrować po rozmaitych instancjach kościelnych i państwowych, zaprzątać kancelarję nadworną, utrudzać majestat cesarski. Ba, nawet takie kwestje, jak każda zmiana w »uregulowanej przez rząd służbie Bożej« lub w sposobie głoszenia kazań, każda próba ożywienia pobożności, dajmy na to przez zaprowadzenie Sodalicji marjańskiej dla uczniów, urządzenie lub zaniechanie misji ludowej w tej czy innej parafji, stawały się przedmiotem długich debat we Lwowie i Wiedniu, jak gdyby chodziło o sprawy pierwszorzędnej politycznej doniosłości. Austrjaccy mężowie stanu nie przewidywali, jakiego kłopotu się nabawią, wpuszczając Jezuitów. Zawiódł się również w rachubach i arcybiskup Ankwicz, który mniemał, że Jezuici, zanim się im na szerszą działalność pozwoli, »powinni się pierwej z duchem ustaw austrjackich zapoznać, aby go tem pewniej w swoich następcach krzewili«. A oni właśnie w tych ustawach znaleźli wiele rzeczy, niezgodnych z duchem Kościoła katolickiego i dla życia religijnego zgubnych, i całkiem nie byli skłonni ich się uczyć, a tem mniej im się poddać. Szturmują tedy o coraz to nowe

dyspensy. Doznawszy odmowy, ponowią swą prośbę niebawem po raz wtóry, wyrzuceni jednemi drzwiami, wejdą drugiemi ze swojem »caeterum censeo« i skutku wreszcie dopną. Zanim w rewolucji 1848 r. powieje wietrzyk wolności, zanim w r. 1855 konkordat ze Stolicą Apostolską uporządkuje stosunki kościelne, oni swą wytrwałością niejedną uczynią szczerbę w systemie, w którym Kościół miał być jednem z kółek machiny państwowego zarządu. Józefinizm wżarł się był w krew i kości wielu ludzi, skądinąd religijnych i dobrze Kościołowi życzących; dygnitarze państwa i Kościoła uważali za ideał stosunku między temi dwoma dziedzinami pomieszanie obydwóch, a za warunek porządku w Kościele i za dowód opieki nad religją ludu — ciągłą ingerencję biurokracji państwowej w najdrobniejsze szczegóły życia kościelnego. Jezuici, wytrwale dążąc do wyłomów w tym systemie, niejednemu józefiniście, jak np. samemu arcybiskupowi, otworzyli oczy na jego ujemne strony, a na dodatnie wyniki tego, co się uważało za zakłócenie »uregulowanej służby Bożej«. Można się dlatego spodziewać, że historyk dziejów Kościoła w Galicji z owego okresu właśnie owo podkopanie józefinizmu poczyta Jezuitom za największą zasługę.

Wśród ciągłych utarczek o zasady rozwija się praca galicyjskich Jezuitów, zataczając powoli, ale stale, coraz szersze kręgi. Liczba członków zgromadzenia przez dwadzieścia z górą lat utrzymuje się prawie ta sama: w chwili organizowania prowincji było ich 158, w r. 1848 katalog zakonny wykazuje ich jeszcze tylko 178. Ale pole pracy rozszerza się. W pierwszym roku pobytu w Galicji otrzymali kolegjum w Tarnopolu, gdzie im powierzono do prowadzenia rządowe gimnazjum; stopniowo przybywają im domy: w Starejwsi, gdzie urządzają nowicjat i studja zakonne, chwilowo Tyniec służy również jako miejsce studjów dla kleryków, w Nowym Sączu otrzymują r. 1835 gimnazjum, a r. 1843 otwierają we Lwowie konwikt szlachecki.

Nauczanie młodzieży w tych kilku szkołach stanowi jakby podstawowe zajęcie zakonu, zajęcie często niewdzięczne z powodu trudności, stwarzanych przez panujący system. Znaczną liczbę kapłanów zakonnych zatrudnia praca po parafjach, którą, acz niebardzo chętnie, jako mniej odpowiadającą swemu powołaniu, przyjmują wobec braku świeckiego kleru. Wniosą Jezuici i tam odmienny od panującego system, nie zgadzając się na narzucane im przez biskupów warunki bytu zwykłych parafjalnych księży, natomiast

zakładając tak zwane misje, na których przynajmniej po dwóch osiądą i które pod zarząd władz zakonnych poddadzą, zrzekając się czysto biurokratycznych obowiązków i złączonych z niemi dochodów na rzecz sąsiednich proboszczów. Zresztą dążyć będą wytrwale do wycofania się z tych misyj, a skupienia się w większych ogniskach zakonnego życia.

Zato za jedno z najważniejszych zadań swego zakonu poczytują odprawianie po parafjach krótkotrwałych misyj i rekolekcyj ludowych. Zrazu niechętnie bywają na nie zapraszani przez duszpasterzy, gdyż prawie powszechnie panuje zdanie, że tego rodzaju ćwiczenia są zbyteczne, bo wszak rząd i tak dba o religijny i moralny poziom ludu, bo na parafjach pracują wykształceni i gorliwi kapłani, dla których może będzie ubliżeniem, że się ich pracę uważa jakoby za niedostateczną i przez misje uzupełnia i poprawia, bo wreszcie misje budzą fanatyzm i zakłócają porządek ustanowiony. Powoli jednak te uprzedzenia do misyj jezuickich ustępują uznaniu błogich owoców, jakie przynoszą, i misje te, raz pozwalane przez rząd, to znowu tamowane, wreszcie wchodzą w obyczaj życia kościelnego. Dosięgają swego apogeum w r. 1846, kiedy po bratobójczej rzezi Jezuici wyruszyli kilku oddziałami między krwią splamiony i nienawiścią jeszcze dyszący lud, by głosić miłosierdzie Boże dla pokutujących. Niewątpliwie więcej te wycieczki misyjne, aniżeli zarządzenia rządowe, przyczyniły się do przywrócenia pokoju w kraju, do zbliżenia powaśnionych stanów, do częściowego przynajmniej naprawienia popełnionego zła.

Kiedy zdawać się już mogło Jezuitom, że stoją na pewnym gruncie, kiedy ze swej galicyjskiej prowincji zdołali nawet wyłonić prowincję nową w dziedzicznych habsburskich krajach, austrjacko-węgierską (od 1846 r.), miało w nich uderzyć nowe doświadczenie, niby grom z pogodnego nieba. Wiosna 1848 r., zwiastująca ludom polityczne swobody, Jezuitom w całej Austrji, a więc i w Galicji, niosła zagładę. Cesarz Ferdynand, nie bez poduszczeń ze strony polskich demokratów, podpisał 7 maja dekret banicyjny na Jezuitów i Redemptorystów. Obietnica jednak św. Stanisława Kostki miała i tą razą się spełnić. Jezuici nie zniknęli z polskiej ziemi. Tylko młódź zakonną wysłano na studja do Francji, tylko w konwiktach zwinięto pracę wychowawczą, większość jednak kapłanów i braci pozostała w kraju, tuląc się po parafjach i pańskich dworach; wykonanie nawet cesarskiego dekretu złagodzono o tyle, że niektórym ojcom pozwolono pozostać przy kościołach jezuickich dla

ich obsługi. Pewna część księży rozproszonych znalazła nadto wdzięczne pole pracy w innych polskich dzielnicach, mianowicie na Górnym Śląsku, w Poznańskiem i Zachodnich Prusach, dając tam misje ludowe i nawet zakładając stałe placówki. Zaznaczają się tam przedewszystkiem krzewieniem wstrzemięźliwości wśród mas ludowych słowem i piórem. Wypłoszy ich stamtąd kulturkampf bismarkowski w 1872 r., ale wtedy będą mogli swobodnie powrócić do swych galicyjskich pieleszy.

Już w r. 1852 Franciszek Józef przywraca Jezuitom prawną egzystencję, a z nią odebrane im placówki pracy. Więc znowu skupia się i reorganizuje galicyjska prowincja, licząca zaledwie 134 osoby. Ale odtąd zacznie się okres nie cofającego się już nigdy jej rozwoju. Przez lat 60 wzrastają w liczbę kadry pracowników, a jednocześnie tworzą się dla nich coraz to nowe rodzaje pracy. Zwinięto tylko stopniowo narzucone zakonowi okolicznościami posterunki misyjne po parafjach; powstaje zato cały szereg nowych rezydencyj i kolegjów: w Krakowie, Stanisławowie, Chyrowie, Kołomyi, Czerniowcach, na Śląsku w Opawie, Karwinie i Cieszynie, w Zakopanem wreszcie i Staniątkach, pomijając już domy o efemerycznem tylko istnieniu. We wszystkich tych domach rozwija się bogata praca. Do wskrzeszonego konwiktu w Tarnopolu, a w r. 1882 przeniesionego do Chyrowa, napływa młodzież nie tylko z Galicji, ale i z innych dzielnic Polski, jako to z Kongresówki, Poznańskiego, Litwy, z dalekich wreszcie zakątków Rosji. Wychowaniu tej młodzieży poświęca zakon najzdolniejsze swe siły, kształcąc je w tym celu na krajowych wszechnicach. Rezydencje po miastach poświęcają się pracy apostolskiej w konfesjonale, na ambonie, służą też za podstawę operacyjną dla lotnych kolumn misjonarzy, wyruszających co chwila to tu, to tam, gdzie ich pomoc jest wymaganą. Ostatnie dziesiątki lat upowszechniają praktykę rekolekcyj wielkopostnych dla wiernych rozmaitych stanów i zawodów, począwszy od kapłanów, a kończąc na prostym ludzie, praktykę, która uważaną jest dziś wszędzie za tak naturalną i konieczną, a na którą niedawno patrzano z pewną podejrzliwością, jeśli nie z niechęcią. Z kolegjum krakowskiego w szczególności promieniuje na cały kraj, owszem na Amerykę, kult Serca Jezusowego i stowarzyszenie Apostolstwa modlitwy.

Inny rodzaj czynnego apostolstwa, jaki pielęgnują Jezuici w tym czasie, to tworzenie różnych organizacyj. Coraz gęściej powstają, dzięki danej przez nich inicjatywie, organizacje czysto religijne, jak

sodalicje marjańskie i niektóre bractwa pobożne; ale obok nich, w duchu wskazań Leona XIII, powstają też związki robotników, uczniów rękodzielniczych, sług. Potrzebę organizowania tych klas na podstawach katolickich — wobec wzbierającej fali socjalizmu — odczuli Jezuici galicyjscy w chwili, kiedy u nas tej akcji powszechnie niedoceniano, a nawet z pewnych kół, na które Jezuici, zdawało się, mogli liczyć, patrzano na nią z ukosa, jako na niebezpieczny radykalizm. W takich warunkach trzeba było sporej dozy odwagi, by się poświęcić pracy społecznej i organizacyjnej.

Obok apostolstwa żywego słowa rozwijają galicyjscy Jezuici w rozpatrywanym okresie apostolstwo pióra. Już wcześniej, bo podczas swego pobytu w zaborze pruskim, rozpoczęli wydawać pobożne ludowe książki, a chwilowo redagowali nawet czasopismo o apologetycznem zacięciu p. t »Tygodnik katolicki«. W Galicji, począwszy od r. 1872, rozwiną na szerszą skalę wydawnictwo pobożnych książek i broszur i założą cały szereg pism perjodycznych tak dla ludu, jak i dla klas inteligentnych Tak powstaje w r. 1872 »Posłaniec Serca Jezusowego«, budząc głęboką pobożność ku Zbawicielowi świata i w lepszych latach osiąga cyfrę 170 tysięcy egzemplarzy; od r. 1900 wychodzą »Głosy katolickie«, popularnie oświetlające zagadnienia chwili lub pogłębiające znajomość prawd wiary; w r 1882 poczynają »Misje katolickie« zaznajamiać polskich katolików z szerzeniem się królestwa Bożego po dalekim świecie; od r. 1904 obejmują Jezuici redakcję pisma »Sodalis Marianus«, usiłującego podtrzymać i rozszerzać kongregacje marjańskie, tak niegdyś w Polsce popularne; dla wygody wreszcie duchowieństwa wydają tomami »Kazania i szkice« mowców zakonu. Wreszcie dla pogłębienia świadomości katolickiej wśród klas inteligentnych powstaje w r. 1884 poważny miesięcznik »Przegląd powszechny«, stawiający sobie za zadanie oświetlanie wszelkich zagadnień nauki, życia społecznego, literatury ze stanowiska zasad katolickich. Lat już 37 nie schodzi on ze swego posterunku, a skupia około siebie nietylko pisarzy zakonnych i duchownych, ale cały zastęp najwybitniejszych piór świeckich, co było innowacją w wydawnictwie, przez księży kierowanem, innowacją wszakże, jak skutek pokazał, bardzo szczęśliwą.

W miarę rozrostu prowincji, kieruje się wzrok naszych Jezuitów i poza jej granice, gdzie mogą coś pożytecznego zdziałać Tak 1885 r. przyjmują w Rumunji misję wychowania świeckiego kleru dla tamtejszych katolików, obsługując tymczasem szereg opuszczonych pa-

rafij, dopóki im nie dadzą świeckich kapłanów. Pracę tę prowadzą do r. 1905. Podążają za polskim robotnikiem czy kolonistą »na Saksy«, do Danji, Szwecji, Bośni, by choć w kilkudniowej misji pokrzepić duchowym chlebem zgłodniałą na obczyźnie rzeszę; w Ameryce od lat 30 pracują, jako misjonarze, po polskich parafjach.

Szczególne pole pracy otwiera się im na unji. Kiedy w r. 1875 rusyfikacyjna polityka petersburskiego rządu przy pomocy galicyjskich zaprzańców zniszczy ostatnią pod berłem carów unicką diecezję chełmską i nad duszami rozciągnie terror prześladowania za wiarę, galicyjscy Jezuici wystąpią do Stolicy świętej z projektem, aby im powierzono zaszczytną acz trudną misję krzepienia prześladowanych. Otrzymawszy tę misję w r. 1877 od Piusa IX, stale rok w rok, aż do edyktu tolerancyjnego Mikołaja II, będą wysyłali w przebraniu wieśniaczem lub wędrownego kupca pocieszycieli do ciemiężonych unitów podlaskich Niektórzy z misjonarzy zakosztują celi więziennej w Siedlcach czy Lublinie, jeden lat kilka będzie mieszkańcem ponurej cytadeli warszawskiej. Na miejsce uwięzionych pójdą natychmiast inni, którzy przebiegając wioski Podlasia i Chełmszczyzny, zasilać będą sakramentami świętemi wiernych Kościoła synów, wlewać otuchę do serc tych, co już wątpili o przyszłości, co się już w stałości swej chwiać zaczynali. Jeżeli uchroniono przed schizmą i rusyfikacją kilkaset tysięcy najlepszych dziś synów Kościoła i Polski, to nie cała oczywiście zasługa, bo i inne na to złożyły się czynniki, dużą wszakże jej część przypadnie galicyjskim Jezuitom. Niektórzy z nich wyjeżdżać poczęli ze swemi sieciami i na otwarte rosyjskie morze, usiłując zarzucić je na połów tych prawosławnych, którzy okazywali pewną skłonność do katolicyzmu. Bezwzględnie wrogie propagandzie katolickiej prawa rosyjskie nie pozwoliły na szersze rozwinięcie tej akcji. Zdołano wszakże skupić w znaczniejszych paru centrach gromadki konwertytów, wśród których jakiś czas udało się pracować słowem i piórem.

Walce ze schizmą i wzmacnianiu unji wśród pobratymczej Rusi Jezuici poświęcają swą współpracę, ile razy nadarzy się do tego sposobność. Kiedy około 1882 r. prawosławna agitacja we wschodniej Galicji podminowała całe unickie okolice i jedną parafję (Hniliczki) doprowadziła do jawnego odstępstwa od Kościoła, śpieszą tam Jezuici z szeregiem misyj, któremi wzmacniają przywiązanie do wiary katolickiej wśród ludności obydwóch obrządków. W tymże czasie zleca im Stolica święta reformę podupadłego zakonu bazy-

ljańskiego; więc przez lat 25 wychowują nowe kadry zakonników ruskich, którym należy oddać sprawiedliwość, że w dużej mierze przyczynili się do wzmocnienia wśród swego narodu znacznie nadwątlonej unji.

Chociaż łany ojczyste i sąsiedzkie przedstawiały tak rozległe pole do pracy dla galicyjskich Jezuitów, budziły się wszakże wśród nich i do misyj zamorskich powołania. Już w połowie XIX stulecia żegnają oni niektórych swych braci, wyruszających w pojedynkę to do Brazylji, to do Australji. Później większa ich liczba znajduje misyjną pracę w krajach afrykańskich, w szczególności w Zambezie, zarządzanej podówczas przez zakonną prowincję portugalską. A kiedy rewolucyjny rząd lizboński wypędził misjonarzy z obszarów, podległych swej władzy, Stolica Apostolska wydzieliła polskim Jezuitom osobne terytorjum misyjne w angielskiej Rodezji, gdzie też od 10 lat głoszą nowinę ewangeliczną plemionom Kafrów. Jeden polski Jezuita z infirmerji konwiktu chyrowskiego przenosi się na daleki Madagaskar, by się oddać wyłącznie najnieszczęśliwszym między nieszczęśliwymi na ziemi, trędowatym Malgaszom, wśród których umiera jako ofiara swego poświęcenia.

Zamykając ten pobieżny przegląd prac galicyjskich Jezuitów, można jedno z uczuciem wewnętrznego zadowolenia powiedzieć o nich: Nie próżnowali! Czy zawsze w sposób najdoskonalszy wywiązali się z swych zadań, to może kwestja inna. Ludzkie dzieła wszystkie, a więc i te, które pod tchnieniem łaski Bożej powstają, nie są wolne od braków, pochodzących z ludzkiej ograniczoności i niedoskonałości. Zapewne i w pracach Jezuitów galicyjskich dopatrzy się historyk braków i błędów. Jeżeli jednak weźmie pod uwagę trudne warunki w jakich pracowali, ufać można, że sąd ostateczny wyda o nich korzystny: jak umieli i mogli, wcielali oni w czyn swoje zakonne hasło: »Na większą chwałę Bożą i dusz pożytek«.

Niech i nam wolno będzie zrobić parę luźnych refleksyj, które może dopomogą do trafnej oceny prac Jezuitów galicyjskich.

Zapewne nie ujdzie uwagi przyszłego historyka fakt, że Jezuici w Galicji stosunkowo mało się zaznaczyli na polu naukowem, nawet w dziedzinie teologji. A wszak powszechnie uważani są za zakon »uczony«, wszak kształcili setki własnej i z innych zakonów młodzieży! Czem to wytłomaczyć? Czy brakło im w tym kierunku zdolności? Otóż przyczyn tego szukać należy gdzieindziej. Pewna liczba poważniej-

szych prac z zakresu teologji i filozofji, jakie wyszły z pod pióra Jezuitów galicyjskich, świadczy, że mogli oni i na tem polu chlubnie się zaznaczyć. Nie pozwoliły im wszakże na to warunki miejsca i czasu. Do pielęgnowania nauki potrzeba obracać się w naukowej atmosferze, mieć do użytku wszystkie pomoce i środki, potrzeba nadto ciszy, skupienia i całkowitego poświęcenia się przedmiotowi. Tego wszystkiego właśnie niedostawało Jezuitom galicyjskim. Nie mówiąc już o trudnościach ściślejszego kontaktu z uczoną zagranicą, o braku w kraju dostatecznych bibljotek do głębszych naukowych studjów zwłaszcza w zakresie umiejętności kościelnych, sama zbyt szczupła liczba czytelników, którzyby z prac polskich uczonych korzystać chcieli, mogła ostudzić zapał do tego rodzaju studjów. A pisać w obcych językach dla zagranicy, posiadającej tylu na tem polu pracowników, wobec bliższych własnych potrzeb, musiałoby wydać się sprzecznem z zasadą szukania większej chwały Bożej. Dlatego nasi Jezuici, zgodnie zresztą z duchem swego zakonu, jako zakonu przedewszystkiem czynnego, apostolskiego, skierowali wszystkie prawie swe siły do bliższych zadań i pilniejszych potrzeb. W innych prowincjach, gdzie warunki dla naukowej pracy łatwiejsze, a liczba wolnych rąk i głów większa, nazwiska Jezuitów znajdziemy wśród uczonych we wszystkich gałęziach wiedzy: w teologji, filozofji, historji, naukach przyrodniczych, nawet wśród znawców wytrawnych sztuki i literatury; u nas pozostawili oni te pola innym. W galicyjskiej prowincji profesor, pisarz musiał być przygotowanym na to, że go w każdej chwili rozkaz starszych oderwie od książki do jakiejś innej niecierpiącej zwłoki pracy. Stąd i działalność pisarska Jezuitów galicyjskich przybiera przedewszystkiem cechę ludową i apostolską; jest ona jakby rozszerzeniem ich działalności misyjnej, przez nią chcą trafić do mas. Nawet »Przegląd«, mający na oku koła inteligentne, chętniej omawia na swych łamach aktualne tematy, niż zagadnienia akademickie.

W pracy Jezuitów galicyjskich na zewnątrz, w szczególności w akcji organizatorskiej, zauważa się tu i owdzie brak metody, ciągłości, wytrwania. Niektórych zapoczątkowanych przez siebie dzieł nie doprowadzają do pełnego rozwoju, stwarzają nowe placówki, by niebawem niejedną z nich opuścić. Pochodzi to stąd, że na niektórych polach, jak np. w organizacjach społecznych, orzą oni dziewiczy łan, sami nowicjusze, bez dostatecznego wyszkolenia, jedynie wiedzeni poczuciem, że ta praca nie cierpi zwłoki i że do niej nikt

inny się nie zabiera. Zrobią więc jakiś błąd, skoro zaś znajdą się inni pracownicy, lepiej do zadania przygotowani, z chęcią ustąpią im miejsca. Oni są oddziałem lotnym, który wybiera nie posterunki najłatwiejsze, ale najbardziej opuszczone i zagrożone; nie zawsze chadzają szlakami utartemi, lecz często drogę przed sobą dopiero torują. Wspomnieliśmy wyżej o misji podlaskiej, o pracach dla ruskiej Cerkwi; możemy tu dodać, że nawet w wyborze miejsc osiedlenia powodują się względami na większą potrzebę Kościoła i narodu: najchętniej i najwięcej otwierają domów na wschodnich kresach i na Śląsku austrjackim, gdzie dobro Kościoła i polskości domagały się pomnożenia kadrów polskiego duchowieństwa.

Z tą ostatnią uwagą przechodzimy do stosunku Jezuitów do Polski. Między wygnańcami z r. 1820 była spora liczba cudzoziemców, na Białąruś bowiem garnęły się rozbitki dawnego Towarzystwa i nowe powołania z różnych krajów, jako do jedynego przez dłuższy czas przytuliska zakonu. Między zatrzymanymi w Galicji Jezuitami znalazło się więc sporo obcokrajowców. Było to nawet wprost opatrznościowem, bo z pośród nich mógł zakon dostarczyć profesorów dla swych szkół publicznych, w których nauczanie przez długi czas musiało się odbywać po niemiecku. Ale ci obcy Jezuici pamiętali o swej regule, nakazującej każdemu uczyć się języka kraju, w którym przebywa. Rzeczywiście widzimy, że owi cudzoziemcy, chyba tylko z małemi wyjątkami, przyswajają sobie należycie naszą mowę, na niejednej kazalnicy polskiej ujrzymy kapłana o nazwisku brzmiącem obco dla polskiego ucha, który jednak umie wczuć się w nasze potrzeby i stosunki i pokochać przybraną ojczyznę. Uważają oni za swój obowiązek, narówni z rdzennymi Polakami, pielęgnować ducha narodu, wśród którego i dla którego pracują. Jezuici zaraz po przybyciu do Galicji zaprowadzają w swych szkołach nadobowiązkowe kursy języka i literatury polskiej, o czem świadczą dochowane własne ich podręczniki do tych przedmiotów. Centralny rząd, który z Jezuitów chciał uczynić krzewicieli austrjackiego patrjotyzmu, nie zawsze był z nich zadowolony. Jeszcze w r. 1845 gorszy wysokiego urzędnika policji fakt, że jezuiccy misjonarze każą do ludu tylko po polsku i ludność nazywają »Słowianami« .. Z biegiem czasu galicyjska prowincja staje się coraz bardziej polską, zwłaszcza po roku 1848, choć posiada zawsze pewną liczbę członków narodowości niemieckiej, zajętych przeważnie w niemieckich częściach Śląska. W prowadzonych przez siebie szkołach, w Tarnopolu, później w Chyrowie,

Jezuici przestrzegają rządowego planu nauk, zresztą już pod kierunkiem autonomicznej Rady szkolnej krajowej, są lojalni wobec Wiednia, z łatwo zrozumiałą wdzięcznością odnoszą się do osoby panującego, któremu swe przywrócenie w Galicji zawdzięczają, któremu zresztą i cały kraj był wdzięczny za możność rozwijania swej narodowej kultury; czują się zawsze wszakże nie czem innem, jak Polakami. Polskie serca kształcą i polskie uczucia pielęgnują w powierzonej sobie młodzieży. Ktoby wątpił o tem, niechaj przerzuci kilkadziesiąt roczników wydawanego w Chyrowie kwartalnika. Czy znajdzie się bodaj jedna narodowa rocznica czy uroczystość, któraby przeszła w tym zakładzie niepostrzeżenie, czy odbył się bodaj jeden obchód, któryby nie drgał nutą miłości ojczyzny? Dla niejednego polskiego domu, zwłaszcza z zaboru rosyjskiego, z samej Rosji, pobudką, że posyłano dzieci do Chyrowa, było nie co innego jak to, że to była szkoła polska, wychowująca wiernych synów ojczyzny.

To też z rosnącem wciąż zadowoleniem patrzyli Jezuici galicyjscy na uznanie swej pracy w narodzie. Wnioskowali o tem uznaniu z rosnących wciąż w liczbę czytelników ich pism, z ciżby tworzącej się pod ich ambonami i u ich konfesjonałów, z wołań ze wszystkich dostępnych zakątków Polski o przybycie z pracą, z wdzięczności wreszcie, jakiej dawali im dowody ich wychowańcy. I jeżeli jeszcze w roku 1848 liberalne koła czyniły starania o usunięcie Jezuitów ze Lwowa, a w 1869 tłum szturmował w Krakowie nowe ich kolegjum, to w miarę, jak się bliżej przypatrywano ich pracy, znikał dawny zabobonny strach przed Jezuitami, ucichały animozje i napaści.

Stuletni jubileusz przybycia Jezuitów do Galicji przypadł już na trzeci rok wskrzeszonej Polski. Już kilka lat przedtem prowincja galicyjska przyjęła urzędowo nazwę »polskiej«. Z chwilą zmartwychwstania ojczyzny Jezuici polscy zyskują nowe dla swej pracy tereny. Oprócz domów galicyjskich i śląskich, przyjmuje ich stołeczna Warszawa, Poznań, Wilno, Kalisz, Piotrków, Lublin, daleki Pińsk, widownia apostolskich prac bł. Boboli. I z innych miast wołają na nich: przychodźcie, bo pracy wiele, a robotników mało! W odpowiedzi na te wołania Jezuici w tym swoim roku jubileuszowym, ufni w błogosławieństwo Boże i pewni życzliwości narodu, ofiarują wszystkich swych 460 kapłanów i braci na dalszą pracę Bogu, Kościołowi, duszom i ojczyźnie.

Ks. Jan Urban.

NOWA METAFIZYKA.

(Dokończenie).

Tak samo jak monizmowi i idealizmowi, Joël uległ innej chorobie wieku. Chorobą tą jest ewolucjonizm.

Teorja ewolucjonistyczna do tego stopnia podbiła sobie współczesne umysły, że nieuznawanie jej jest uważane za umysłowe zacofanie i za rozbrat z wszelką wyższą cywilizacją. Każdy postępowy filozof czułby się wyrzuconym poza nawias postępu, gdyby wstępując na Parnas wiedzy nie złożył przepisanej hekatomby bożyszczu Lamarcka [1]) i Darwina. Nie ominął tego szkopułu i Joël, aczkolwiek widzieliśmy, że poczynił pewne zastrzeżenia (nie lubi »fanatyzmu« ewolucjonistycznego). I dla niego uniwersalny pierwiastek — życie podlega prawu ewolucji. Nie stanowi bowiem coś doskonałego, lecz jest czemś nieustannie doskonalącem się, a więc czemś przechodzącem ze stanu mniej doskonałego do stanu bardziej doskonałego.

A to jest ewolucjonizmem.

Ponieważ zaś Joël, jak zresztą większość ewolucjonistów, nie uznaje Boga, istniejącego odrębnie od świata oraz obdarzonego potęgą twórczą, więc, stając na gruncie ewolucjonizmu, popełnia nowy absurd metafizyczny. Przypuszcza bowiem, że nicość może wydać byt, że to, co jest mniej doskonałe, może wydać to, co jest bardziej doskonałe, że skutek może zawierać więcej niż przyczyna. Takie zaś zdanie sprzeciwia się zasadzie przyczynowości. Ta bowiem mówi nam, że niema skutku bez przyczyny, że w skutku nie może być zawarte to, czego nie było w przyczynie. Każdy chłop, obdarzony

[1]) Pierwszymi rzecznikami ewolucjonizmu byli jednak nie Lamarck i Darwin, lecz filozofowie jońscy, w szczególności Anaksymenes (koło r. 480 przed nar. Chr.).

zdrowym rozsądkiem, mógłby bez pomocy metafizyki powiedzieć Joëlowi, że z próżnego i sam Salomon się nie napije. Ale, jak widzimy, zdrowy, nie przyćmiony sofistyką rozsądek, nie jest właściwością liberalnych filozofów. Utracili oni go w pogoni za oryginalnością pomysłów i oklaskami tłumu, który szuka bardziej nowości niż prawdziwości i skutkiem tego woli tych, co głoszą nowy fałsz, niż tych, co głoszą starą prawdę.

Teorja ewolucji jest następnie teorją, nie znajdującą potwierdzenia w doświadczeniu. Jeżeli bowiem przyjrzymy się tworom na świecie, to zauważymy bez wielkiego trudu, że wszystkie dążą jedynie do powtórzenia i zachowania tego samego typu, który same reprezentują, a nie do jego udoskonalenia lub przeobrażenia w następnych pokoleniach. Najlepszym tego dowodem jest fakt powszechnie stwierdzony, że typy doskonalsze, sztucznie wytworzone przemyślnością człowieka, wracają znowu do stanu swoich prototypów, jeżeli ich wytwarzanie nie jest w dalszym ciągu sztucznie podtrzymywane. Zresztą i samo udoskonalenie dotyczy jedynie cech drugorzędnych, a nie podstawowych, t. j. przywiązanych do samej natury stworzeń. Jeżeli zaś uda się czasem otrzymać jakiś nowy, dotąd nieznany typ, to typ ten nie jest w stanie wydać potomstwa.

Teorja ewolucji nie znajduje również absolutnie żadnego potwierdzenia w danych paleontologicznych, któreby w tym wypadku mogły być miarodajnemi, ponieważ, jak widać, Joël nie uznaje dowodów metafizycznych, zaczerpniętych z samej natury stworzeń, a świadczących przeciwko tej teorji. Badania paleontologiczne stwierdzają jedynie, że poza istniejącemi obecnie gatunkami stworzeń istniały jeszcze inne gatunki, które wyginęły, ale które nie mogą być żadną miarą uznane za ogniwa pośrednie, łączące niższe gatunki z wyższemi w procesie ewolucji.

O istnieniu pośrednich gatunków nie wie również nic i historja. Przeciwnie, stwierdza, że te same gatunki, które dziś istnieją, istniały od początku historji i absolutnie żadnym zmianom nie ulegały.

Wreszcie i co jest najważniejsza, głębsze badanie nad ustrojem istot wykazują, że w organizmach żyjących wzajemna zależność organów jest tak wielka, iż każde poważniejsze przeobrażenie w jednym organie — takie zaś przeobrażenia są nieodłączne od procesu ewolucji wyższych istot z niższych — wymagałoby odpowiednich przeobrażeń w innych organach, by organizm mógł żyć i rozwijać

się normalnie. Całkowite zaś i równoczesne przeobrażenie wszystkich organów byłoby niemożliwe bez zupełnej destrukcji organizmu.

Słowem, każdy znany nam gatunek istot posiada charakter typu skrystalizowanego, dającego się conajwyżej zmodyfikować w swoich cechach drugorzędnych, ale strzegącego zazdrośnie swoich cech istotnych.

Nic przeto dziwnego, że biorąc te i inne fakty pod uwagę, poważniejsi uczeni odrzucają teorję ewolucji, jako hipotezę zgoła nieprawdopodobną. Znakomity entomolog francuski Jan Henryk Fabre nazywa ją un commode oreiller de qui n'a pas le courage de scrutèr plus à fond.

Wreszcie należy i to zapamiętać, że w monistycznym systemie Joëla teorja ewolucji nie ma racji bytu, jest niezgodna z jego podstawową tezą. Przyznając bowiem istnienie jednego tylko pierwiastka, Joël przez to samo odrzuca możliwość wszelkiej ewolucji. Wszystko bowiem, co jest jednorodne (homogène) i nie posiada części, nie może ulegać zmianie, a więc i doskonaleniu się. Skąd bowiem, lub od kogo mogłoby nabyć nowych własności, skoro poza niem nic nie istnieje? Skoro tedy istnieje tylko jedno, to to jedno zamienia się tylko w to jedno, t. j. w to samo, czyli innemi słowy, nie może wcale się odmieniać, a więc i rozwijać. Kto tedy, stojąc na stanowisku monistycznem, jednocześnie pisze się na teorję ewolucji, ten naśladuje owego cygana, który wdrapawszy się na wysokie drzewo, odciął gałąź, służącą mu za siedzenie. Przejście bowiem od monizmu do teorji ewolucji jest niemożliwe bez dziury... w logice i metafizyce, t. j. bez uznania monizmu jednocześnie za teorję fałszywą i prawdziwą i bez przypisywania monistycznemu pierwiastkowi jednocześnie cech pluralistycznych, których on z natury swej mieć nie może.

Następnie Joël i w tem się nie odrodził od innych filozofów życia, że samego życia, które według nich jest jedyną rzeczywistością, nie uważa za coś chociażby tylko w małej cząstce aktualnego, lecz za coś takiego, co wciąż przechodzi ze stanu potencjalnego do stanu aktualnego, ale nigdy przejść nie może. Joël bowiem, jak widzieliśmy, przyłącza się do zdania Euckena, że »życie nie jest czemś danem«, a więc czemś aktualnem, »lecz problemem«, t. j. czemś jeszcze nie rozwiązanem, nie skrystalizowanem, nie urzeczywistnionem, nie ujętem w pewne formy. To, co my nazywamy istnieniem, nie jest istnieniem, lecz ciągłem stawaniem się.

Filozofja tedy Joëla jest właściwie negacją bytu, czystym fenomenizmem, teorją złudnej fatamorgany. Nie uznaje bowiem żadnej substancji, lecz tylko szereg kolejno następujących po sobie zjawisk bez realnego i stałego substratum, sprowadzających się do jednej, jedynej przypadłości — ruchu.

Metafizyka Joëla jest więc zakażona relatywizmem [1]), zupełnie tak samo, jak jej oryginał — filozofja życia, chociaż, jak widzieliśmy, Joël chce tego szkopułu uniknąć.

Teorja jednak, według której cały byt podlega nieustannym przemianom, — a taką jest teorja relatywizmu, — stoi w sprzeczności z naszem doświadczeniem wewnętrznem i zewnętrznem. Wewnętrzne doświadczenie poucza nas, że pomimo ciągłych zmian, którym podlegamy, pozostaje w nas coś, co się nie odmienia i co sprawia, że każdy z nas jest świadomy swojej identyczności we wszystkich momentach przeżywanego czasu.

Istnienie stałości i trwałości obok zmienności potwierdza również i zewnętrzne doświadczenie. Tak np. objawy pamięci u zwierząt poświadczają, że w zwierzętach istnieje pierwiastek, który nie podlega zmianie, lecz trwa dopóty, dopóki trwa organizm. Widzimy również, że i w roślinach pewna strona ich bytowania nie ulega zmianom, mianowicie ich natura. Dąb w różnych fazach swego istnienia przyjmuje rozmaite kształty, rozmiary, zabarwienie, ale zachowuje zawsze naturę dębu. Czy ma dziesięć, czy sto lat, pozostaje tym samym dębem. Okazy świata mineralnego mogą również pod wpływem różnych czynników zmieniać swoje kształty, ale każdy z nich zachowuje swoją naturę. Złoto, srebro, miedź i t. p. przedmioty, czy z biegiem czasu przyjmują taką lub inną formę zewnętrzną, czy występują w takiej lub innej ilości, zawsze zachowują swoją naturę, o ile nie wchodzą w skład związków chemicznych.

Relatywizm więc, który neguje trwałość, jest błędem.

Od zarzutu takiego relatywizmu nie uchronią filozofji Joëla nawet stałe formy myślenia, które według tej filozofji mają być pierwiastkiem q u a s i niezmiennym, porządkującym i organizującym życie.

Coprawda przytoczony w tym rozdziale ustęp z książki Joëla, gdzie autor mówi o potrzebie połączenia myślenia z bytem realnym,

[1]) Słowa »relatywizm« użyto tu nie w znaczeniu teorjopoznawczem, lecz ontologicznem, mianowicie dla oznaczenia względności istnienia. Taki relatywizm nazywają również m o b i l i z m e m.

o wypełnieniu form myślnych treścią, przypomina nam owe ideje platońskie, unoszące się ponad światem, które potężny genjusz Arystotelesa sprowadził na ziemię i uznał za pierwiastki czynne i stałe, nadające istotom materjalnym właściwą im trwałość, doskonałość i jedność, oraz właściwy każdej z nich sposób działania. Ale różnica jest ta, że w metafizyce Arystotelesa i scholastyków ideje te przekształciły się w formy substancjalne (entelecheje), stanowiące w połączeniu z materją pierwszą (materia prima) nieodzowny pierwiastek składowy wszystkich substancyj materjalnych. Natomiast w systemie Joëla te formy nie posiadają, niestety, znaczenia pierwiastków, determinujących materję, jak w systemie Arystotelesa, a później scholastyków [1]). Są to sposoby istnienia bez realnego podłoża. Względnie są to stany jednej i tejże rzeczywistości, którą według Joëla jest życie, urzeczywistniające się, lecz nigdy nie urzeczywistnione. Nie posiadają one nawet znaczenia przypadłości (accidentia), bo i te różnią się realnie od substancji, w której się znajdują. Formy te są nakształt dopływów jednej wielkiej rzeki, rzeki życia i faktycznie stanowią z nią jedno.

Ale co najważniejsza, formy te w systemie p. Joëla nie mogą posiadać żadnej stałości i ta właśnie ostatnia okoliczność świadczy w pierwszym rzędzie o zakażeniu systemu Joëla relatywizmem, t. j. chorobą właściwą filozofji życia. W samej rzeczy, jeżeli życie jest czemś nieuchwytnem, wciąż się odmieniającem, płynnem, to i myślenie ze swojemi formami, które tylko myślnie, a nie realnie, w systemie Joëla różnią się od życia, musi ulegać temuż prawu ciągłych przemian, ciągłego stawania się. Ten porządek, to coś stałego i jakby nietkniętego, reprezentowane przez stałe formy myślenia, jest i musi być fikcją bez realnej podstawy w systemie, gdzie wszystko podlega nieustannym przemianom, wciąż się rozwija, doskonali, dopełnia, zmienia, rodzi się, ale nigdy urodzić się nie może.

Słowem, wynik skojarzenia idealizmu z fizolofją życia jest taki, że filozofja życia nie nawróciła się nawet na tak skromną stałość, jaką jest stałość apriorycznych form myślenia. Stałe formy myślenia

[1]) Według filozofji scholastycznej formy substancjalne nadają istotom materjalnym właściwe im cechy (specyficzne), wyróżniające jeden gatunek (species) istot od drugiego. Materja zaś w połączeniu z formami substancjalnemi nadaje istotom materjalnym indywidualność, wyróżniającą jedną istotę od drugiej w obrębie gatunku, do którego one należą.

zostały żywcem połknięte i zasymilowane przez relatywizm filozofji życia. W metafizyce Joëla utożsamiły się one z »płynnem« życiem, jedyną rzeczywistością.

»Synteza twórcza życia«, którą nam Joël chce dać w zamian za »ewolucję twórczą« filozofów życia, nie różni się tedy co do istoty od tej ostatniej. Jest to taż sama rzecz pod inną nazwą i Joël napróżno piorunował przeciwko relatywizmowi filozofji życia.

Zresztą, widzieliśmy z przytoczonej na innem miejscu cytaty, że system metafizyczny Joëla, według jego własnego zdania, nie jest postulatem prawdy rzeczowej, lecz wszechpotężnego »ducha czasu«. Ten może sprawić, że np. jutro dążność życia do organizacji, do syntezy, do uporządkowania, do stabilizacji w myśleniu, może być uznana za fałsz. Taki figiel jest zupełnie możliwy wobec zmiennego nastroju ducha czasu.

Wobec tego, możemy zakonkludować, że metafizyka Joëla jest nieuleczalnie dotknięta relatywizmem i że niemasz innego sposobu uratowania jej od tej choroby, jak porzucenie tez podstawowych tej metafizyki.

IV.

Przyjrzyjmy się jeszcze konsekwencjom, do których metafizyka Joëla siłą rzeczy prowadzi i które jeszcze bardziej uwydatniają jej fantastyczność. Konsekwencje te dotyczą zarówno teorji, jak i praktyki, zarówno nauki, jak wiary i moralności.

Jeżeli chodzi o naukę, to na wstępie musimy zaznaczyć, że metafizyka Joëla nietylko nie jest »twórczą« syntezą naukową, jak myśli jej autor, lecz przeciwnie, jest obaleniem nawet najoczywistszych zasad i faktów, na których każda nauka oprzeć się musi.

Istotnie, co tu mówić o zasadach lub faktach w systemie, gdzie wszystko się nieustannie zmienia, gdzie właściwie nic nie jest, a wszystko się staje, gdzie jedno jest wszystkiem, a wszystko niczem, ponieważ wszystko jest bez realnego substratum, bez jakiejkolwiekbądź substancji?

W takim systemie tracą nasamprzód znaczenie wszelkie zasady logiczne i metafizyczne: zasada tożsamości, zasada sprzeczności i zasada przyczynowości. Zasada tożsamości dlatego, że w tym systemie nic nie może być tem, czem jest, albowiem wciąż się staje i nigdy

stać się nie może. Zasada sprzeczności dlatego, że w teorji Joëla »życie« jest czemś, co jednocześnie jest i nie jest. Zasada przyczynowości dlatego, że według tego systemu niema ani przyczyn, ani skutków, bo wszystko jest jedno.

Co do zasady sprzeczności w szczególności, to już mieliśmy sposobność na innem miejscu zaznaczyć, w jaki sposób narusza ją autor, przyznając się do dualizmu pośredniego pomiędzy logicznym a realnym. Tutaj dodajmy jeszcze, że Joël gwałci ją i przez to, że z pierwiastka prostego i niepodzielnego, którym według niego jest życie, wyprowadza istoty złożone, a więc podzielne, istoty o najrozmaitszych i sprzecznych własnościach.

Co się tyczy znowu przyczynowości, to widzieliśmy, jak mało z niej robi sobie, przypisując nam zdolności bezwzględnie twórcze, wyprowadzając swój pierwiastek z niczego, a z tego niedoskonałego pierwiastka coraz to doskonalsze twory drogą ewolucji.

Tak samo, jak z najoczywistszemi zasadami, postępuje Joël z najoczywistszemi faktami. Widzieliśmy, jak, stając na gruncie idealizmu, kwestjonuje realność świata przedmiotowego, przez to, że świat ten uznaje za wytwór naszej jaźni.

Ale tego nie dosyć.

W systemie p. Joëla zostaje zakwestjonowana nawet realność naszego własnego ja. Ta bowiem realność rozpływa się w szeregu następujących po sobie zmian. Niema naszej osobowości, lecz są tylko momenty wciąż odmieniającego się w sposób cudowny bezosobowego wszechżycia. Realność więc, jak również trwałość, względnie identyczność naszego ja są tu radykalnie zburzone. Że taki pogląd stoi w jawnej sprzeczności z naszą samoobserwacją, która tę realność, trwałość i identyczność poświadcza, Joëla to nic nie obchodzi. Za przykładem Bergsona, umie on wszystkie sprzeczności i przeciwieństwa pogodzić, a więc zmienność i jednoczesną trwałość naszej osobowości afirmować.

Dalej, sprowadzanie całego bytu do jednego pierwiastka ma ten skutek, że musi zniknąć indywidualność wszelkich istot, chociaż Joël zapewnia, że ta indywidualność z punktu widzenia jego teorji da się utrzymać. Dla wytworzenia bowiem różnic pomiędzy istotami, nadających każdej z nich odrębne istnienie i własną indywidualność, potrzebny jest więcej niż jeden pierwiastek [1]). Jeden bowiem pier-

[1]) Według filozofji scholastycznej istoty materjalne wyodrębniają się przez połączenie materji pierwszej z formami substancjalnemi. Sku-

wiastek, jak stwierdziliśmy gdzieindziej, może mieć jedną tylko tendencję, a nie wiele różniących się pomiędzy sobą tendencyj, potrzebnych do wytworzenia różnic. W systemie zaś Joëla oprócz życia — błędnie pojętego — innych pierwiastków niema. Więc niema też i indywidualności istot.

Znosząc zaś wszelkie zasady logiczne i metafizyczne, negując najoczywistsze fakty, odrzucając wszelką niezmienność, wszelkie stosunki i różnice, wszelki porządek, filozofja Joëla znosi przez to samo wszelką naukę. Nauka bowiem musi oprzeć się na zasadach i faktach oczywistych i ma do czynienia przedewszystkiem z tem, co jest stałe, niezmienne, co się opiera na pewnym porządku, na pewnych stosunkach i różnicach. Skutkiem tego metafizyka ta, zamiast być najwyższą nauką wszystkich nauk, zamiast być ich mistrzynią i przewodnikiem, rozświecającym im drogę za pomocą najwyższych pojęć, zasad i danych naukowych, metafizyka ta, powiadam, burzy wszystkie podstawy naukowe i przez to sprzeniewierza się swojemu posłannictwu, jako nauki pierwszej, podstawowej.

Następnie, metafizyka Joëla prowadzi logicznie do ateizmu czyli odrzucenia Boga, do obalenia wszelkiej religji i moralności, które muszą z konieczności oprzeć się na danych metafizycznych.

Jest ona nasamprzód ateistyczną. Uznając jedną tylko rzeczywistość w postaci nieustannie się odmieniającego życia, Joël ipso facto odrzuca Stwórcę i przypuszcza, że ta rzeczywistość sama sobie zawdzięcza swoje istnienie, że więc świat jest Bogiem. Joël nie lęka się tej konsekwencji i otwarcie przyznaje się do panteizmu, pisząc się na słowo Campanelli, że świat jest Boga żywym obrazem: mundus Dei viva statua. Stąd płynie również zachwyt autora dla Goethego, który, jak wiadomo, był panteistą. Panteizm zaś równa się ateizmowi; Bóg, utożsamiający się ze światem, nie jest i nie może być prawdziwym Bogiem, ponieważ świat nie posiada tych cech, które przysługują Bóstwu, jako to: niezłożoności, niezmienności, nieskończoności, konieczności i t. d.

Należy oddać sprawiedliwość Joëlowi, że uznaje on, iż porządek świata jest dziełem umysłu porządkującego. Ale stąd nie wy-

tkiem tego, jak powiada św. Tomasz z Akwinu: materia finitur quodammodo per formam et forma per materiam, czyli że materja znajduje w pewnej mierze swe zakończenie przez formę, a forma przez materję (patrz przypisek na str. 337). Natomiast istoty duchowe wyodrębniają się przez swoją formę.

nika jeszcze, że ten porządkujący pierwiastek musi utożsamiać się z samym światem, względnie z nami samymi, jak myśli autor nowej metafizyki.

Metafizyka Joëla, będąc ateistyczną, znosząc wszelką osobowość, wszelką indywidualność i wszelką różnicę pomiędzy człowiekiem a światem, tem samem burzy wszelką moralność, ponieważ moralność opiera się na pewnym stosunku człowieka do Boga, do siebie samego, do innych ludzi i do otaczającego nas świata. Niema tedy ani dobra, ani zła moralnego, ani praw, ani obowiązków moralnych. Niema również ani kary, ani nagrody, względnie sankcji skutecznej, mogącej skłonić nas do czynienia dobrze. Taką bowiem sankcję mógłby ustanowić tylko Bóg osobowy i samoistny, a nie utożsamiający się ze światem i z nami samymi.

Ale ponieważ Joël, jako wielbiciel Kanta, dobrze rozumie, że bez religji i moralności nie mógłby się ostać żaden porządek, więc wiarę w Boga chce zastąpić wczuwaniem się w byt ogólny, a moralność wszechstronnym rozwojem własnej indywidualności (której w tym systemie właściwie być nie może), oraz przystosowaniem naszego postępowania do dobra ogółu. Moralność chrześcijańską chce zastąpić panteistycznym sentymentalizmem. To wszystko zaś równa się w praktycznem zastosowaniu zupełnej anarchji religijnej i moralnej. Równa się obaleniu wszelkiego porządku społecznego. Któż bowiem chciałby słuchać przepisów takiej religji i takiej etyki, nad których wykonaniem nikt nie czuwa i które nie mogą mieć żadnej mocy obowiązującej, ponieważ są tworem tej samej istoty, którą mają obowiązywać!?

Z tego wszystkiego, cośmy dotychczas powiedzieli, wynika, że obiecana nam przez p. Joëla metafizyka nie jest nauką o bycie realnym, o jego rzeczywistych i najogólniejszych własnościach, rodzajach i przyczynach, lecz nauką o jednym tylko skrawku bytu realnego, którym jest, według niego, życie utożsamiające się z myśleniem i którego znaczenie, wbrew wszelkiemu doświadczeniu, potęguje do znaczenia pierwiastka powszechnego. Ten byt realny, który nam z początku tak się podobał, — to wyłącznie życie — i to zupełnie na opak pojęte.

I było po co zawracać ludziom głowę obietnicą metafizyki, gdy się ma dla nich w kieszeni tylko biologję lub psychologję i to jeszcze zredukowaną i spaczoną, nie liczącą się ze zdrowym rozsądkiem, z najoczywistszemi prawdami i faktami, zabarwioną hy-

lozoizmem, monistycznym solipsyzmem, ewolucjonizmem, relatywizmem, oraz różnemi innemi niedorzecznościami.

Z dokonanego przez Joëla połączenia filozofji życia z idealizmem narodził się nowy tylko błąd lub raczej odżył stary, w odmiennej nieco postaci. Tym błędem jest znany oddawna panteizm, utożsamiający świat z Bogiem. Chociaż jego niedorzeczność została już tysiąckrotnie wykazana, pomimo to odradza się on, jak przysłowiowy feniks z popiołów, na utrapienie ludzkie.

Tak się przedstawia w krótkości metafizyka Joëla.

Zapoznawszy się z jej podstawowemi postulatami i widząc całą ich nicość, czytelnik mógłby z wszelką słusznością zawołać słowami zdesperowanego Fausta:

Und bin so klug als wie zuvor.

Albowiem metafizyka ta nie daje żadnej pozytywnej wiedzy, nie rozwiązuje ani jednego z interesujących nas zagadnień metafizycznych. Nie posuwa nas ani o jeden krok dalej na drodze do prawdy filozoficznej, lecz burzy nawet te resztki prawdy objektywnej, których nie odważył się zburzyć ojciec współczesnego sceptycyzmu — Kant. Zamiast obiecanej nowej metafizyki, mającej wyrwać świat z chaosu moralnego, Joël dał nam negację metafizyki, teoretycznie bezwartościową, a praktycznie niebezpieczną.

Nie będziemy wchodzili tutaj w rozpatrywanie tych wszystkich poglądów Joëla, które dotyczą objawów organizującego się (ale nigdy nie mogącego się zorganizować) życia [1]) w dążeniu do wyrównania przeciwieństw w nauce, polityce, w sztuce, religji, moralności i życiu ekonomicznem. Te poglądy są akurat tyle warte, co i podstawowa teza autora. Grzeszą one taką fantastycznością i przesadą, że czytelnika, nie przywykłego do produkcji współczesnej antykatolickiej filozofji, mogłyby o zawrót głowy przyprawić i wzbudzić w nim na zawsze wstręt do wszelkich badań nad filozofją. Dopiero, czytając filozoficzne produkcje Kantów, Heglów, Bergsonów, Euckenów, Joëlow i innych, świadomych lub nieświadomych fałszerzy prawdy, — produkcje, pełne nieścisłości, mglistości, karkołomnych argumentów, śmiesznego patosu, nie liczące się ani

[1]) Przełożone na język zwykłych śmiertelników, to organizujące się życie jest tutaj działaniem umysłu ludzkiego, zmierzającego do ujęcia samego siebie w pewien system, dążącego do uporządkowania swoich aktów.

z doświadczeniem, ani z oczywistością i tak zagmatwane, że sami autorowie nie rozumieli najpewniej, do czego one zmierzają, — dopiero wtedy, powiadam, widzi się, jakiem jest dobrodziejstwem filozofja scholastyczna, a na jej czele filozofja św. Tomasza z Akwinu, uwzględniająca doświadczenie i zasady oczywiste, odznaczająca się ścisłością, wyłuszczająca każdą myśl, każde rozumowanie możliwie najkrótszą drogą, bez żadnej gmatwaniny, bez żadnej niepotrzebnej okrasy literackiej. Filozofja antykatolicka i filozofja scholastyczna to jakby człowiek ślepy i człowiek widzący. Pierwsza chodzi po omacku w ciemnościach, co krok potykając się o różne przeszkody. Druga idzie krokiem pewnym w jasności słonecznej.

Dlatego też usunięcia chaosu, panującego obecnie w filozofji i innych naukach, nie należy się spodziewać od metafizyki, niezgodnej z metafizyką scholastyczną, nawet najnowszej, włączając w to i metafizykę Joëla. Nie należy się spodziewać dlatego, że ta metafizyka opiera się na błędnych, niezgodnych z prawdą przedmiotową podstawach. Jedynem wyjściem z błędnego koła, w którem się obraca filozofja antykatolicka, jest powrót do pogardzanej metafizyki scholastycznej. A jeżeli mówimy o metafizyce scholastycznej, to mamy przedewszystkiem na myśli metafizykę św. Tomasza z Akwinu, który niby miasto słoneczne — città del sole — roztacza dokoła siebie jasność i swoją nadludzką, prawdziwie anielską mądrością rozświetla najgłębsze tajniki prawdy. Metafizyka ta spełnia oddawna w świecie katolickim rolę przewodniczki innych nauk, podając im racjonalny pogląd na najogólniejsze własności i prawa bytu. Tę zaś rolę dlatego tak dokładnie spełnia metafizyka scholastyczna, iż sama poddaje się kierownictwu innej wyższej nauki. Tą nauką jest teologja, czerpiąca swe zasady z samego źródła prawdy, bo z Objawienia. Dopiero w świetle Objawienia i przywiązanej do jego wyznawania łaski filozofowie będą mogli ujrzeć w całej okazałości i jasności owe szczyty najwyższych i najpowszechniejszych prawd przyrodzonych, które panują nad prawdami poszczególnemi i stanowią przedmiot metafizyki.

Henryk Romanowski.

Chyżość historyczna.

. .....Upadek [1]) i odrodzenie historyczne dokonują się w rozmaitych krajach z rozmaitą szybkością. Rozmaitość ta tyczy jednak nietylko tej strony przedmiotu, lecz wszelkiego pochodu historycznego wogóle. Znamy w historji zjawiska powolne, znamy szybkie; możemy przeto mówić o chyżości historycznej podobnież, jak o fizycznej.

Znamy społeczeństwa, w których w ciągu wieków zmiany były nieliczne i pozbawione większego znaczenia; a jednak, chociaż tak nieznaczne, dokonywały się nadzwyczaj powoli. Niektórzy autochtoni syberyjscy, ludy »kozacze« turańskie (np. Kirgizi), Chamici berberyjscy i wiele innych ludów stanowią okazy tego rodzaju. Gdzie nic się nie zmienia, tam niema historji, a gdzie tylko badacze specjaliści mogą z trudem stwierdzić zmiany, bo są niewidoczne, tam też historji niewiele, ledwie tyle, żeby się dopatrzeć czegoś przy bardzo specjalnych badaniach. Są ludy, których historja ledwie kroniką wypadków przygodnych być może, a są i takie, które znajdują się wciąż w tym samym stanie, w jakim zapoznali się z nimi pierwsi ich »odkrywcy« (Patagonja itp.). U nich chyżość historyczna równa jest niemal zeru.

Chyżość ta, zwiększając się, może się zwiększać w rozmaitych dziedzinach życia bardzo nierównomiernie. Za przykład może służyć Japonja, która tyle doniosłych reform przeprowadziła w czasie nader krótkim. Powszechne jest mniemanie, jakoby zmienił się tam cały ustrój społeczny. Wcale nie! Przy nadzwyczajnej chyżości w wielu kierunkach, w jednym chyżość równała się zeru: prawo familijne pozostało bez zmiany.

---

[1]) Wyjątek z większej całości p. t. »Pojęcia zasadnicze do nauki Historji«.

Pewien stopień chyżości nie stanowi stałej właściwości pewnego społeczeństwa. W tem samem środowisku chyżość historyczna bywa zmienna. Ta sama Japonja, od połowy XIX w. pędząca w cwał naprzód, przez długie wieki stała we wszystkiem na jednem miejscu. Nie różniła się pod tym względem niczem od Chin ani od Korei, których antytezą miała się stać wkrótce. W Europie obserwować można szeroką wielce skalę zmian chyżości historycznej na półwyspie apenińskim.

Zmiany chyżości tej bywają zasadniczo różne i przyspieszające i opóźniające rozwój — w stosunku do poprzedniej chyżości. Istnieje chyżość wsteczna, nieraz bardzo rącza, chyżość dodatnia i ujemna.

Rozpowszechnione jest mniemanie, jakoby postęp był sprawą czysto chronologiczną. Wydaje się to ludziom całkiem »naturalnem«, jeżeli dziś stosunki są lepsze, aniżeli niegdyś, a że w przyszłości będą jeszcze lepsze, to się uważa za coś, co się rozumie samo przez się. Ten przesąd chronologiczny stanowi jaskrawy przykład, jak ogólniki przyjmują się bez krytycznego zastanowienia, wbrew nawet elementarnym zasadom logiki. Dzięki przekonaniu, że postęp musi się odbywać nieustannie w miarę, jak przybywa ludzkości rachuby czasu, patrzymy na przeszłość, jako na przestarzałość; identyfikujemy mylnie jedno z drugiem. Z tego powstało »powszechnie wiadome« bałamuctwo o ciemnocie ogólnej wieków średnich. Według tego mechanicznego wyobrażenia o pochodzie dziejowym możnaby rozwój społeczeństwa mierzyć ilością pokoleń, a tymczasem cóż zawodniejszego!

Postęp może być w każdem pokoleniu, lecz w żadnem być nie musi. Każdej chwili może nastać zastój. Każde pokolenie musi pracować i być czujnem, bo wystarczy kilkanaście lat zaniedbania kulturalnego, społecznego i państwowego, a pochód może się odbywać nagle przy pomocy chyżości wstecznej.

Nic błędniejszego (a zarazem nic szkodliwszego dla życia zbiorowego) nad mniemanie, jakoby postęp społeczny, kulturalny i państwowy, był tem większy, im bliżej naszych czasów, a czem dalej w przeszłość, tem grubsze panowało zacofanie. Popularne zdanie o młodym i starym wieku społeczeństw i narodów, o ich dzieciństwie, młodości, wieku dojrzałym i starości — jest nonsensem. Niektóre społeczeństwa nie zdążyły nigdy wyjść ze stanu prymitywności; cieszą się widocznie wiecznotrwałą młodością! Są społeczeństwa, które gniją, chociaż nie dorosły do miernego jeszcze rozwoju; może

to przyspieszona dojrzałość? Niektóre społeczeństwa kwitnęły krótko i zapadły w niehistoryczność ponowną, z której mogą jednak wyrwać się znowu do nowego życia; gdzież je pomieścić w takiej fizjologiczno-dziejowej klasyfikacji?

Żadne społeczeństwo nie rozwija się na podobieństwo ciała ludzkiego, czy zwierzęcego; nie miewa młodości; a dzięki temu nie musi też być skazanem na upadek, tem mniej na śmierć. Jeżeli społeczeństwa upadają i giną nawet, dzieje się to zgoła z innych przyczyn, a nie z powodu długowieczności ich. Starożytni Rzymianie mogliby istnieć dotychczas, gdyby chodziło tylko o wiek ich dziejowy.

Naiwnem jest przedstawianie sobie pochodu dziejowego gdziekolwiek, jako linji z konieczności ciągłej (choć nie prostej) w danym kierunku. Linja ta bywa w rzeczywistości nietylko przerywana, ale może ona nawet zmieniać kierunek. Załamania kierunku zdarzają się niemal u każdego społeczeństwa — a historja np. Rosji składa się z nieustannych zmian kierunku, nawet radykalnych. Niewiele jest społeczeństw odznaczających się wyraźną ciągłością swych dziejów, ciągłością nietylko przyczynową, ale też celową; z europejskich najwybitniejsze są pod tym względem dzieje Anglji i Polski, wybitnie ewolucyjne.

Narody europejskie, dzięki piśmienności, rozporządzają taką nieprzerwalnością i obfitością źródeł historycznych, że każdy ich okres chronologiczny da się opracować szczegółowo, co do wydarzeń. Pisarze historyczni zdają się trzymać zasady, że czem więcej wydarzeń, tem więcej historyczności i porobili się opowiadaczami wypadków w ich związku przyczynowym. A tymczasem wypadek wypadkowi nierówny. Mogą być wydarzenia ogromnie zajmujące współczesnych, a dla historji bez znaczenia. Zmniejszenie się chyżości historycznej nie koniecznie bowiem łączy się z jednostajnością tła dziejowego, ani też przyspieszeniu chyżości większa obfitość zewnętrznych wydarzeń; pomiędzy temi kategorjami niema wogóle związku. Stan chyżości poznajemy bardziej po t. zw. stosunkach wewnętrznych, niż po sprawach zewnętrznych, które mogą być wielce urozmaicone, podczas gdy czai się już zastój.

Nie wynika z tego bynajmniej, żeby »sprawy wewnętrzne«, ustrój społeczny, prawa i urządzenia miały być częściej odmieniane, jeżeli mamy stwierdzić gdzie większą chyżość historyczną. Postęp

dokonuje się nie tyle przez wymyślanie rzeczy nowych, ile przez coraz lepsze zastosowanie starych. Biada społeczeństwu, które goni za »nowinkami«, nie wyzyskawszy należycie jeszcze postępowo rzeczy starych! Wszelka przerwa w rozwoju wytwarza niebezpieczną wyrwę, w którą można się stoczyć. Tyczy się to nietylko ogólnych zasad, ale także szczegółów. Każdy pierwiastek ustroju, każdy moment kulturalny, musi być wyzyskany wszechstronnie i w zupełności, — inaczej następuje w pewnem miejscu mechanizmu życia zbiorowego przerwa — wyrwa lokalna; coś gdzieś zepsuje się, a gdy takich usterek nazbiera się więcej, mechanizm cały przestanie sprawnie działać. Dlatego w życiu zbiorowem niema »drobnostek«.

Pożądaną jest taka chyżość historyczna, jaką dane społeczeństwo znieść może, a to zależy od czasu, miejsca i okoliczności. Sprawa z tem jest tak zawiła, iż wymagać będzie długich roztrząsań naukowych, zanim uda się nauce wpaść na ślad jakiegoś prawa pod tym względem. To pewna, że żadną miarą nie można sądzić, że czem większa chyżość, tem lepiej. Bywają chyżości gorączkowe, wiodące do zguby, do śmierci.

Jeszcze mylniejszem byłoby uważanie wszelkiej zmiany za postęp, podczas gdy równem prawem można upatrywać w niej cofnięcie się. Zmiana radykalna, choćby z największą wiarą i ofiarnością podjęta w imię postępu, może być właśnie radykalnem wstecznictwem.

O tem, co jest krokiem wprzód, a co wstecz, nie rozstrzyga żadna a żadna »zasada« społeczna ni polityczna, ale wyłącznie s k u t k i zastosowania danej zmiany w praktyce. Toteż polityka i wszelka wogóle działalność publiczna polega nie na nader pospolitym talencie snucia projektów, lecz na trudnej sztuce przewidywania skutków. Nie nabędzie tego przymiotu, kto nie jest obeznany dokładnie z r z e c z y w i s t o ś c i ą — a to wymaga znacznej biegłości i w teorji i w praktyce.

Badając tedy chyżość historyczną w przedstawieniu dziejów pewnego społeczeństwa czy pewnego obszaru dziejowego, musi się historyk wystrzegać przedwczesnego generalizowania, ale musi badać ją w każdem niemal pokoleniu z osobna, aby móc potem dopiero stwierdzić, czy wogóle jest co do generalizowania.

Stopień chyżości historycznej nie jest danym z góry, a zatem da się przyspieszać i opóźniać. Przykładu celowego, całkiem świa-

domego opóźniania dostarcza zachowanie się rządów zaborczych w porozbiorowym okresie Polski. Przyspieszaniem świadomem, celowem, jest podjęcie wszelkiej pracy społecznej, moralnej, oświatowej czy ekonomicznej, boć dlatego się to robi, żeby przyspieszyć postęp w społeczeństwie.

Nie o to więc chodzi, czy chyżość historyczną przyspieszać, ale o to, j a k to robić, żeby zrobić dobrze i nie osiągnąć czasem wyniku wręcz przeciwnego zamierzonemu.

Dowodów chyżości przyspieszonej i to znacznie, a ze skutkiem dobrym, znajdujemy w historji niemało. Inaczej nie mogłoby społeczeństwo zacofane zrównać się nigdy z postępowemi; niemożliwem byłoby odrodzenie społeczeństwa raz upadłego; niemożliwem byłoby t zw. doganianie. Danja, Czechy, Japonja, dały dowody skutecznego doganiania. Największą chyżość tego rodzaju, chyżość doganiania po straszliwem zacofaniu, wykazała Anglja, podniósłszy się z mizernego stanu w połowie XVIII wieku w ciągu półwiecza do potęgi, która sama jedna mogła być groźną Napoleonowi, a po pracy następnego pokolenia począwszy przodować całemu cywilizowanemu światu.

Dla nas kwestja doganiania po upadku jest bliską i ważną; dlaczego, tego nie trzeba tłumaczyć. Ale dla naszej nauki dziejów istnieje także inna kwestja doganiania, bez upadku:

Znaną jest teorja »młodszości czywilizacyjnej«, którą starano się wyjaśniać tok dziejów polskich od czasów najdawniejszych aż do najnowszych. Młodszymi cywilizacyjnie jesteśmy, bośmy później od innych przystali do cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej. Temu nie można przeczyć, że np. Niemcy są od nas starsi cywilizacyjnie, to znaczy, że dłużej od nas się cywilizują. Czyż jednak z tego ma wynikać, że zawsze młodszość ta musi się nam dawać we znaki? że jesteśmy na całe życie dziejowe skazani na to, by stać niżej od innych, bez ratunku, boć zawsze młodszymi zostaniemy? Czyż stopień cywilizacji zawisł od... chronologji?

Powołując się na poprzednie wywody niniejszego ustępu, można zaprzeczyć temu z całą stanowczością. Chronologiczna młodszość tłumaczy p o c z ą t k o w ą tylko niższość cywilizacyjną, ale potem nie stanowi o niczem. Społeczeństwo starsze czywilizacyjnie może popadać w zastoje, może posiadać chyżość historyczną nieznaczną; podczas gdy młodsze może posiąść chyżość znaczniejszą, doganiać i nawet przeganiać.

Gdyby jakąś zasadniczą okolicznością z początku historycznego pochodu dało się tłumaczyć i wyjaśniać cały pochód, natenczas byłoby to oznaką stagnacji, która się rozpoczęła wnet po rozpoczęciu życia dziejowego. Naukowe zaś badanie dziejów mogłoby się ograniczyć tylko do tego początkowego stadjum — a reszta byłaby tylko opowiadaniem wypadków.

Historja polska jest bardziej skomplikowaną!

Prof. Feliks Koneczny.

O zawiązkach państwa polskiego i skąd pochodzą nazwy Polan i Polski.

O powstaniu państwa polskiego istnieje cała literatura. Pisała o tem bardzo wiele zwłaszcza szkoła lelewelowska. Wszystkie te prace, zdaniem trafnem Bobrzyńskiego, chybiły w głównej zasadzie swojego celu, bo autorowie ich, nie znając gruntownie lingwistyki i prawa, nadużywali ich tylko do budowania zwodniczych hipotez. Przypuszczając, że już w najdawniejszych czasach istniał jaskrawy przedział pomiędzy szlachtą polską a ludem, starano się szlachcie polskiej, t. zw. Lechitom, odrębne pochodzenie obmyśleć. Najazd Lechitów miał się stać początkiem polskiego narodu i państwa. Skądże jednak mieli pochodzić Lechici? Lelewel wyprowadził ich od Dako-Gotów, Lewestan od Celtów, Bielowski od Illirów, Maciejowski od saskich »lazzi«, Szajnocha, odświeżając dawną teorję Czackiego, od Normanów.

Wszystkim tym hipotezom zadaje kłam nasza późniejsza historja, która rzekomo nie wykazuje nam żadnego śladu obcego najazdu. Nazwę Lechitów, którą spotykamy w źródłach, możemy też przyjąć za »etnograficzne oznaczenie całej Słowiańszczyzny zachodniej w przeciwieństwie do Rusi« [1]). Zdaniem p. Bobrzyńskiego, podanie o Popielu i Piaście, w tej postaci, jak je przechował najdawniejszy nasz kronikarz Gall [2]), posiada tę zaletę, że nie pozwala nam szukać powstania Polski w awanturniczych hipotezach, na jakie wpadali nowsi historycy, a tłomaczy je podbojem i połączeniem ludów słowiańskich, mieszkających nad Wartą, przez książęta jednego z tych

[1]) Bobrzyński, str. 77.
[2]) M. P. H. I. 395.

ludów. Jestto przypuszczenie najprostsze, a temsamem najprawdopodobniejsze, które nam zarazem późniejszy wewnętrzny ustrój Polski najlepiej wyjaśnia. Gwałtowne uderzenie Niemców na Słowian połabskich w IX wieku musiało odbić się także na ludach należących do szczepu Polan. Wśród zawichrzeń, które stąd powstały, wzmogła się władza książąt wojowników u pojedyńczych ludów na niekorzyść wieców. Jeden z tych książąt, prawdopodobnie gnieźnieński, może Ziemowit, pokonał w stanowczej walce księcia ludu sąsiedniego, wypędził go, oba ludy pod swojem berłem złączył i władzę swą wzmocnił. Jeden lud służył mu do podboju drugiego, oba złączone posłużyły do podboju dalszych. Postępując dalej tą drogą, książę ten i jego następcy podbijali coraz to więcej ludów lub dobrowolnie korzące się przyjmowali pod swoją władzę, a w ten sposób wszystkie ludy, do szczepu polskiego należące, w jedno połączyli państwo. Stała, nadworna wojskowa drużyna, którą się panujący otoczył, zapewniała mu posłuszeństwo i zabezpieczała go przed możebnem zerwaniem się podbitych do zbrojnego oporu i buntu. Łączyły się i inne, sąsiednie ludy słowiańskie dla odparcia groźnego im niebezpieczeństwa, ale słabe i wiotkie były te związki, bo władza wojskowa, którą sobie na czele stawiały, polegała na obiorze, na dobrowolnem chwilowem poddaniu się jej kilkunastu ludów. Kto się zaś dobrowolnie połączył, ten mógł się przy każdej sposobności odłączyć, a choćby nawet nie zrywał sojuszu, to zachowaniem swem obojętnem, nieposłusznem lub krnąbrnem związek osłabiał i z łatwością niweczył. O władzę dobijał się każdy, a urażony, że nie jemu się dostała w udziale, lekceważył ją. Dlatego ani szczepy połabskie, ani Pomorzanie, ani Ślązacy i Chrobaci nie zdołali się wyżej rozwinąć i byliby wszyscy niepowrotnie upadli, gdyby się w szczepie polskim nie była zbudziła myśl władzy samoistnej książęcej, nie na wyborze, ale na własnej swojej sile opartej, która przemocą rozszerzała swój zakres, której każdy podlegać musiał z konieczności, z przymusu. Powstaniu takiej siły państwo swój początek zawdzięcza. Tak przedstawia genezę państwa polskiego p. Bobrzyński i przedstawienie to zyskało dotąd ogólną aprobatę świata naukowego.

A jednak w tem przedstawieniu są pewne niedokładności i niejasności. Nie wytrzymuje krytyki twierdzenie, jakoby gwałtowne uderzenie Niemców na Słowian połabskich w IX wieku musiało się odbić także na ludach, należących do szczepu Polan. Najpierw uderzenie Niemców w IX wieku na Słowian połabskich nie było wcale

gwałtowne; królowie frankońscy ponoszą czy od południowo-zachodnich Słowian, Morawian i Czechów, czy od Obotrytów i Wilków przeważnie klęski. Osłabienie potęgi frankońskiej za Ludwika Pobożnego i jego następców wschodnio-frankońskich umożliwiło zupełne prawie oswobodzenie się Słowian połabskich czy czesko-morawskich od jarzma frankońskiego, a przez cztery dziesięciolecia (877—919) mieli bałtyccy i połabscy Słowianie spokój zupełny od Niemców. Przedstawienie prof. Bobrzyńskiego mogłoby się odnosić z pewnemi zastrzeżeniami do państwa czeskiego w IX wieku, nie zaś do odległego państwa polskiego, na które słabe wpływy frankońskie absolutnie nie mogły oddziaływać państwowotwórczo.

Nie dziw, że hipotezę obcego najazdu podejmuje prof. Piekosiński w trzech głośnych swego czasu pracach [1]), które wywołały zaciętą polemikę w świecie naukowym, zwłaszcza ze strony Bobrzyńskiego, Smolki, Łaguny, Małeckiego. Hipoteza jednak Piekosińskiego, opierająca się na twierdzeniu o identyczności herbów pierwotnych polskich z runami skandynawskiemi, które do Polski mieli przynieść najeźdzcy pochodzenia wagryjskiego z Holsztynu, jest tak fantastyczna, tak bardzo mięsza najskrupulatniejsze badania nad heraldyką polską z fantastycznemi baśniami o przedhistorycznych Leszkach, o pokrewieństwie wszystkich niemal książąt słowiańskich ze Samonem, pokrewieństwie naszych Popielów i Piastów z jakimiś obotryckimi Dragami, tak łączy fantastyczne przypuszczenia z trafnemi wnioskami, że słusznie nauka tego rodzaju hipotezę najazdu obcego odrzuciła. Podstawą tej hipotezy były rzekome znaki runiczne, znachodzące się w najdawniejszych herbach polskich. — Łaguna, jeden z najznakomitszych znawców naszego średniowiecza, spostrzega w znakach herbowych, przedstawionych przez Piekosińskiego, że najczęściej śród nich powtarza się strzałka, mianowicie 174 razy, dalej idzie podkowa 94 razy, potem półksiężyc z gwiazdą 64 razy, półpierścieni naliczył 29, krzyżów zaś w różnej postaci 23, resztę stanowią znaki widłowate przeważnie. Otóż wszystkim tym znakom przypisywano, zdaniem Łaguny, siłę magiczną i używano w różnych okolicznościach życia względnie spokojnego, powszedniego. O ile potrzebniejsze były

[1]) O powstaniu społeczeństwa polskiego w wiekach średnich i jego pierwotnym ustroju 1881. Obrona hipotezy najazdu, jako podstawy ustroju społeczeństwa polskiego w wiekach średnich z uwzględnieniem stosunków Słowian pomorskich i zaodrzańskich r. 1882. — O dynastycznem szlachty polskiej pochodzeniu r. 1888.

one dla wojska, narażonego co chwila na niebezpieczeństwa dla człowieka najgroźniejsze. Nie każdy jednak rycerz mógł rąbać cudowną Durandalą lub szczerbcem, z rąk anioła otrzymanym, ale każdy mógł oręż swój zaopatrzyć w znaki czarowne, starać się o broń »zamówioną«, a więc i niechybną. Takie znaczenie mieć mogą różne krzyże w herbach, znane u nas już w czasach przedchrześcijańskich, skoro się na urnach znachodzą [1]). Do podobnych rezultatów ujemnych co do pochodzenia polskich herbów szlacheckich od run skandynawskich przyszedł prof. Małecki w swych »Studjach heraldycznych« [2]), gdzie wykazuje, że podobne znaki, co szlachta, mieli mieszczanie polscy, a zwłaszcza rybacy kaszubscy, i t. d. Ten sam autor w innej rozprawie [3]) dziwi się, że kompleks różnych dzielnic polskich, tyle rozległych, dał się jeszcze w przedhistorycznych stosunkach, a więc, jakby wnosić należało, środkami czysto narodowemi połączyć pod jednem berłem książęcem, w rodzinie Piastów. Jeżeli bowiem przejdziemy cały, aż po owe czasy, szereg znaczniejszych państw słowiańskich, ile ich tylko było — od Bułgarji w wieku VII powstającej począwszy, aż do Rusi Rurykowej, to się przekonamy, że te wszystkie bez wyjątku narody, zawdzięczały przejście swe z mnóstwa małych społeczeństw w jedno, z separatyzmu w skupienie, z nicości politycznej w początek działania i znaczenia historycznego, jakiemuś naciskowi z góry i z zewnątrz, jakiejś kościstej dłoni obcej, najezdczej, jakiejś woli, wydającej swoje rozkazy innym, jak słowiański, językiem i wbrew ich woli stawiającej te społeczeństwa na nogi. Sama jedna tylko Polska przeobrażenie takowe zawdzięcza sobie samej jedynie.

Zdaniem Kadleca [4]), Polacy, występując na widownię historji, mieli już za sobą okres istnienia państewek plemiennych, o których historja nic nie mówi, ponieważ Słowianie polscy zbyt oddaleni byli od ówczesnego zachodnio-europejskiego i bizantyńskiego ruchu kul-

---

[1]) Łaguna, Nowa hipoteza o pochodzeniu szlachty polskiej. Pisma Stosława Łaguny, wyd. przez Bielińskiego 1915, str. 252—254.

[2]) T. str. II. 116 i 117, 149 i 382.

[3]) Małecki, Z przeszłości dziejowej, Kraków 1897. Rewizja dziejów polskich w pierwszych dwóch wiekach politycznego istnienia 962—1146, str. 17.

[4]) O zawiązkach państw u ludów słowiańskich. Początki kultury słowiańskiej. Encyklopedja polska, wydawnictwo Akademji Umiejętności. Tom IV, część II, str. 84—89.

turalnego. Jednem z pierwszych plemion, których istnienie podają nam źródła, byli Wiślanie, późniejsi Małopolanie, około 874—79 r. Książę Wiślan Wisław został wyzuty z ziemi przez Świętopełka morawskiego [1]). Obok Wiślan wymienia Geograf bawarski, źródło z końca IX wieku, Ślęzan i Opolan [2]). Ani Wiślanie jednak, ani polskie plemiona na Śląsku nie posiadały naturalnych warunków do wytworzenia większego scentralizowanego państwa polskiego. Dążenie do centralizacji mogło się zrodzić jedynie wśród plemienia geograficznie najdogodniej położonego i stojącego najwyżej pod względem kulturalnym. Te warunki posiadali właściwie Polanie, nazwani tak od siedzib w polach. Już nazwa sama wskazuje, że w cywilizacji postąpili najdalej ze wszystkich plemion lechickich, zajmowali się bowiem przeważnie rolnictwem, gdy tymczasem inne plemiona wschodnio-lechickie według wszelkiego prawdopodobieństwa trudniły się jeszcze po większej części chowem bydła, na co wskazują same ich nazwy, od charakteru ich siedlisk zależne: Łączanie (później Łęczycanie, otrzymali nazwę od łąk, na których byli osiedleni), Kujawianie, Mazowszanie od ziemi niedawno dopiero uprawianej, częścią dzikiej jeszcze. Dla Polan w porównaniu z innemi plemionami było jeszcze i to pomyślne, że przez ich terytorjum przechodziła droga handlu światowego [3]), a więc i pod tym względem stali wyżej, niż inne plemiona wschodnio-lechickie. Gdy jeszcze zwrócimy uwagę i na to, że Polanie, znajdując się w pośrodku plemion lechickich, nie byli narażeni na nieprzyjacielskie napady Niemców, jak plemiona zachodnio-lechickie, ani na najazdy Prusaków, Litwinów i Jadźwingów, jak Mazurzy, wtedy zrozumiemy, dlaczego ośrodkiem centralizacji państwa polskiego była właśnie ziemia Polan.

Wywody atoli Małeckiego, poparte przez Kadleca, nasuwają mimo wszystko poważne wątpliwości. Najpierw, dlaczego Polska jedyna wśród wszystkich narodów ma zajmować wyjątkowe stanowisko i samorodny ma mieć początek? Czy dlatego, że Polanie znaj-

---

[1]) Potkański, Kraków przed Piastami. Rocznik krak. str. 302.

[2]) M. P. H. I. 10/11.

[3]) Szelągowski. Najstarsze drogi z Polski na wschód. Kraków 1909, str. 86. Droga handlowa ze wschodnich krajów islamu na północ Europy szła według Sz. przez kraje Chazarów, Bułgarję, Węgry do górnego i środkowego Pomorza. — Kadlec, O zawiązkach państw u ludów słowiańskich. Początki kultury słowiańskiej. Encykl. pol. A. U. IV, 2; str. 88/89.

dując się w pośrodku plemion lechickich, nie byli narażeni na nieprzyjacielskie napady? Czy to bezpieczeństwo właśnie mogło jakiekolwiek wogóle plemię, a cóż dopiero lechickie lub słowiańskie, uczynić ośrodkiem centralizacji państwa? Skąd ten dziwny popęd podbójczy i organizacyjny w samym środku plemion, znanych przecie z braku wszelkiego zmysłu organizacyjnego, z braku wszelkiej karności i podporządkowania? Skąd nazwa Polan i Polski w dorzeczu Warty, w daleko wyższym stopniu zabagnionem i zalesionem podówczas, niż dzisiejsze Polesie? Mimo, że to dorzecze Warty ze wszystkich ziem polskich było najbardziej nawodnione, nie było ono tak dalece moczarowate i błotniste, iżby było pozbawione borów i tylko gdzieniegdzie gajami liściastemi porosłe, jak chce Rostafiński[1]), aby koniecznie tego rodzaju moczarowatym, pustym krajobrazem uzyskać wodne pola i uzasadnić nazwę Polan. Takiemu z palca ad usum Delphini wyssanemu krajobrazowi sprzeciwiają się przeliczne nasze wielkopolskie Gole, Golinie, Pleszewy, Opalenice, Pogorzele, Pogorzały, Zalesia, Zakrzówki, Wyrębiny, Dębna, Dąbrowy, Brzostkowy, Grabia, Grabowy, Buki itd. itd., które najwymowniej świadczą o gęstem zalesieniu przedhistorycznej Wielkopolski. Polan zresztą zalicza Nestor do Lachów czy Lęchów. Lęchy zaś są to, wedle zgodnej opinji świata naukowego, mieszkańcy puszcz, wyrabiający lęchy, t. z. zagony, czy lendy, t. j. odłogi wśród kniei[2]). Godzi się na to p. Rostafiński i popada nie wiedząc sam, ze sobą w sprzeczność. Nehring[3]) usiłował nazwę Polan wywieść od wyrazu »polana«, »polenka«, a Polany nazwał lud i kraj z polanami pustemi wśród kniei i puszcz dlatego, że krajobraz pierwotny Polski, jak ją przedstawił Szajnocha w swem dziele »Jadwiga i Jagiełło«[4]), sprzeciwia się, by Polan można wywieść od wyrazu pole«. Etymologję Nehringa całkiem słusznie kwestjonuje Perwolf, twierdząc, że gdyby Polan nazwa pochodziła od wyrazu polana, musiałaby brzmieć nie Polanie,

---

[1]) O pierwotnych siedzibach i gospodarstwie Słowian w przedhistorycznych czasach, Kraków 1908, str. 15.

[2]) Potkański. O Lachach i Lechitach. Rozprawy Akad. Umiej. w Krakowie Wydz. hist. filoz. Tom XXVII, str. 183—255, tak samo Nehring i Perwolf. Über die Namen für Polen und Lechen. Archiv für slavische Philologie III 405 i następne, Polen, Ljachen, Wenden l. c. IV, 63 i następne.

[3]) l. c. str. 405/6.

[4]) z r. 1855, t. I, str. I—22.

lecz Poljanjanie na wzór Derewljanie, Pomorjanie i t. d.[1]) Polan i polskiej ziemi nazwa nie mogła żadną miarą powstać na ówczesnym terenie wielkopolskim. Tu urodziła się nazwa »Lendiców«, jaką ma już Geograf bawarski. Mają oni wedle niego posiadać 98 grodów, a z Lutykami nie mają nic do czynienia, jak mniema Šafařik[2]), skoro o Lutykach na wstępie mówi rzeczone źródło historyczne w IX wieku. Lendicy są, wedle najnowszych badań, identyczni z Lechitami i Lachami, na co węgierska nazwa na Polaków »Lengyel« (czytaj Lendyel) i litewskie »Lenkas« wskazuje. Na Lendiców wskazują wielkopolskie miejscowości gród i klasztor Landa, Linda i Lenda w XII w., dziś Ląd i Lądek zwane[3]), z dwoma ostrowami, zawierającemi przedhistoryczne i historyczne zabytki. Tu w nadwarciańskiej ziemi urodziła się nazwa Łaczan czy Łączycan tak, jak opodal nieco na zachód Łużycan, ale nigdy Polan.

Nazwa Polan nad Wartą, to importowany towar z tych okolic, gdzie rzeczywiste pola były, ukraińskie stepy około Kijowa. Te okolice słusznie były macierzą nazwy Polan i siedzibą Polan, nie zaś kraje nad Wartą. Tutaj nazwa Polaków dopiero bardzo późno się ukazuje. Najstarsze źródła, wzmiankujące o Słowianach polskich, a mianowicie geograf bawarski z drugiej połowy IX[4]) i król Alfred I w opisie Germanji[5]), znają tylko polskich Wiślan, Ślęzan z 15, a Opolan z 20 grodami i Lendiców z 98 grodami, t. z Lechitów. Legenda o św. Metodym[6]) wspomina także o potężnym księciu pogańskim, który przebywał wśród Wiślan. Źródła nie podają nam jasno nawet imienia narodu, nad którym panował pierwszy historyczny książę polski Mieszko. Witukind mówi w r. 963 o Mieszku, jako o królu Licikawiców czy Licikaniców, pod którym jedni rozumieją Łęczycan (plemię, którego przednim grodem była Łęczyca), drudzy zaś przyjmują ich za Le-

[1]) L. c. str. 63.

[2]) Slavische Altertümer, Beilage XIX.

[3]) Perwolf. L. c. str. 72. Lednogóra atoli z Lendicami, jak twierdzi Nehring. L. c. str. 466, nie ma nic wspólnego, pochodzi raczej od ruskiego czy wspólno-słowiańskiego lednica = lodownia, przymiotnik ledny = lodowy. Ks. Koziorowski, Badania nazw topograficznych dzisiejszej archidiecezji gnieźnieńskiej, str. 142.

[4]) M. P. H., I, 11.

[5]) M. P. H., I, 13.

[6]) M. P. H., I, 107.

chitów (Brückner uważa Licikawiców za Lestkowiców, nazwanych tak od ks. Lestka, Leśćka). Objaśnienia te z trudnością uchodzić mogą za udatne. Dopiero na samym schyłku X wieku pojawia się w źródłach imię Polan; w żywocie św. Wojciecha przez Canapariusa podany jest Bolesław, jako dux Polanicorum [1]). Otóż nazwa Polan pochodzi z pod Kijowa z polskiej ziemi nad Dnieprem, jak zwie kraj Polan kijowskich kronika Nestora [2]). Polanie jednak sami nie byli państwotwórczym żywiołem, byli masą podbójczą, którą przywiedli nad Wartę Rusowie już przeważnie spolonizowani. Przecież chodzili na swe wyprawy bez kobiet i byliby się rozpłynęli szybko w masie ludności słowiańskiej, gdyby nie to, że ze Szwecji przybywały raz coraz drużyny nowe. Igor np. syn Ruryka ma żonę Olgę Słowiankę, a syn ich nosi już nazwę Światosława [3]). Polanie zaś, uzbrojeni w miecze obosieczne skandynawskie [4]), skoro już Chozarom dostarczali po jednym wojowniku od każdego ogniska domowego, posłużyli Rusom do tworzenia pułków słowiańskich, które na wielkich wojnach i wyprawach na Carogród były o wiele liczniejsze od waregskich drużyn [5]).

Jedna lub kilka takich drużyn polskich pod komendą Rusów przybyły na korabiach do jeziora Gopła i kraje okoliczne zawojowały, zastawszy tu ludność w tych zapadłych i bagnistych kniejach zupełnie nie zorganizowaną. Przecież ludność pierwotna nad Gopłem i Wartą, znajdując się w pośrodku plemion lęchickich, nie narażona na nieprzyjacielskie napady Niemców od zachodu, ani na napady Prusaków, Litwinów i Jadźwingów od północy i wschodu, nie miała powodu do organizowania się, była najpodatniejszym materjałem do ulegania cudzej kościstej ręce najeźdzcy i tej też uległa niebawem po mniejszym czy większym oporze i stała się biernem podnożem najbardziej, jak to stwierdza panowanie Mieszków i Bolesławów, despotycznej w świecie władzy. Normandowie Warego - Rusowie byli, jak stwierdza historja, w IX wieku dominującym prawie państwotwórczym żywiołem w całej Europie, w Anglji, Francji, Niemczech, na Rusi. Byli więc nim i w Wielkopolsce, jak o tem świadczy wy-

[1]) Kadlec. O politycznym ustroju Słowian. Początki kultury słowiańskiej. Encyklopedja polska A. U., T. IV, cz. 2, str. 32 i 88.
[2]) M. P. H. I, 565.
[3]) Koneczny, Dzieje Rosji, T. I, str. 51.
[4]) Tenże, l. c. 33.
[5]) Tenże, l. c. 81.

mownie cały szereg nazw miejscowości wielkopolskich, które tylko wpływom wschodnio-słowiańskim mogą zawdzięczać swój początek, a głównie grupują się około Gopła, Gniezna, Lednogóry, Poznania, najstarszych sadyb polsko-ruskich podbojców.

Mamy przedewszystkiem kilkanaście miejscowości, pochodzących od tematu »Rus«, a więc: Ruszin (powiat witkowski), trzy Rusinowa (p. strzeliński, wyżyski i leszczyński), Rusza (p. gnieźnieński), Rusiec (p. żniński), Rusko (p. jarociński), Ruscza (osada znikła pod Łąskiem, p. bydgoski), Ruszcza, Rusibórz i Rusiborek (p. średzki), Rusocin (p. śremski), Rusinowa góra (wzgórze na rzeczce Kamionnie w p. międzychodzkim), Ruski dół w Gogolewie (p. śremski), Ruskie błoto, las na Dobrojewie (w p. szamotulskim)[1]. Mamy dalej dwa Polanowa (p. witkowski i wyżyski), a zwłaszcza Polanowice (p. strzeliński). Trudno przypuścić, by wśród Polan tworzono osady, zwane Polanowicami lub Polanowami. Tylko wśród obcego plemienia Lendyców mogły powstać osady, wyróżniające Polan, przybyłych z obczyzny. Istnieją nadto dwa Popielewa w p. bydgoskim i mogilnickim. Wiemy, że wyraz »cerkiew« pochodzi z greckiego »kyriakon«, nie z niemieckiego »Kirche«, a pop z greckiego »pappas« i że te wyrazy dostały się do słowiańskich języków w VII lub VIII wieku ze wschodu[2]. Otóż mamy tych Popowów, Popówków, Popowic itd. na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej w granicach r. 1772 około 169, z tego na ziemie ruskie przypada 112 osad, na Małopolskę 5, na Mazowsze 10, na Prusy królewskie 9, zaś na Wielkopolskę wraz z ziemią łęczycką i sieradzką przeszło 33. Cerekwic na polsko-ruskich ziemiach mamy około 22, z tego na ruskich ziemiach 7, w Małopolsce tylko 1, na Mazowszu 1, na Pomorzu 1, na Śląsku 4, w Prusiech królewskich 2, a w Wielkopolsce 6 około Poznania, Żnina, Jarocina. Mówią, że te nazwy niewątpliwie greckiego pochodzenia przyszły do nas z Czech. W takim razie powinno tych Cerekwic być najwięcej w Małopolsce, gdzie św. Metody bezpośrednio był czynny w nawracaniu, a czeskie wpływy przez wiek cały rzeczywiście dominowały. W powiecie jarocińskim znajduje się Cerekwica tuż przy Rusku, a w powiecie poznańskim

[1]) Oprócz tego Kodeks Wielkopolski zna w różnych czasach 12 nazw od tematu »Rus«.

[2]) Brückner. Wpływy kultur obcych. Początki kultury słowiańskiej. Encyklopedja polska Akademji Umiejętności, t. IV, część 2, str. 190 i 206. Dr. S Widman, Geschichte, 1913, str. 123.

tuż przy Rokitnie, — czy to tylko przypadek? Czy tych Cerekwic i Popowów część nie przynieśli już z początkiem chrześcijaństwa nad Gopło i Wartę Polano-Rusowie, skoro przecież już około r. 867 chrześcijaństwo w Kijowie się krzewiło, a prawdopodobnem jest, że Askold był chrześcijaninem, natomiast jego zabójca, Oleg, wrogiem Chrystusa, skoro zniósł misję chrześcijańską w Kijowie [1]). Tuż pod Gnieznem leży Łubow i takiż nad Wartą między Sierakowem a Warnkami w pow. szamotulskim od wschodnio-słowiańskiego tematu »łub« — łyko. Na 78 miejscowości z tego tematu się wywodzących, 37 przypada na ruskie ziemie, 13 na Mazowsze, 9 na Małopolskę, 3 na Łużyce, 1 na Śląsk, 1 na Prusy królewskie, 14 na Wielkopolskę. Tuż przy jeziorze Gople mamy ciekawą miejscowość Lachmirowice. R. 1271 wielmoża Lanchomir zapisuje ją przy śmierci testamentem swej żonie i bratankowi. Trudno przypuścić, by ta miejscowość, wtedy Lanchomirzem zwana, dopiero w XIII wieku powstała; raczej należy wnioskować, że to prastara osada, a jej założyciel miał mir u Lechów, tak samo, jak założyciel podhalańskiego Ludźmierza mir u ludu.

Pobiedziska przy Lednogórze pochodzą od wschodnio-słowiańskiego »pobieda« — zwycięstwo. Tutaj odniósł Kazimierz Odnowiciel wraz ze swym dziewierzem ruskim, Jarosławem Mądrym, zwycięstwo nad Masławem, księciem mazowieckim, r. 1047 [2]). Nieco dalej na zachód, niedaleko od Poznania, leży wieś Wierzenica, której nazwa da się wytłómaczyć lepiej wschodnio-słowiańskim wyrazem »werjenica« — klucz ptaków lecących, jak osada tej samej nazwy w powiecie żółkiewskim, niż staropolskim imiosłowem »wierzen, wierzon« — wierny, jak chce ks. Kozierowski [3]). Przeważna część tych miejscowości o wschodnio-słowiańskiej nazwie [4]) znajduje się, rzecz ciekawa, w pobliżu Gopła, Gniezna, Lednogóry i Poznania i mówią po dziś dzień głośno, komu zawdzięczają swój początek. A co najciekawsze, nazwy gniazd potęgi polskiej »Kujawy« i »Gniezno« wschodnio-słowiańskiego są pochodzenia. Wprawdzie, wedle

[1]) Koneczny, Historja Rosji, tom I, str. 42—46.

[2]) Nestora kronika M. P. H., I, pod r. 6555.

[3]) Badania nazw topograficznych dzisiejszej archidiecezji poznańskiej. Poznań 1916, t. II, str. 385.

[4]) Czy Gołańcza w powiecie wągrowieckim nie pochodzi od ruskiego Goland, t. z. Holender, tak samo, jak stare Gołańczyce na Podolu, nie śmiem twierdzić, uważam to za prawdopodobne.

Galla, kolebką państwa polskiego ma być Gniezno; tam lokuje swą opowieść o Popielu i Piaście [1]); z tem wszystkiem Gall jest obcym przybyszem, mówi o tem prastarem podaniu mimochodem, wspomina o katastrofie Popielowej w jakimś grodzie na wyspie jeziora, ponieważ zaś kronika wielkopolska [2]), aczkolwiek półtora wieku blisko młodsza, lecz pisana nie przez obcego, ale Polaka, Kruszwicę uczyniła widownią Popielowych rządów i upadku, przeto historjografja polska Kruszwicę i Kujawy uznała za kolebkę państwa polskiego [3]). Otóż Kujawa lub Kujawy w mowie ludu ruskiego oznacza kraj stepowy, pustynię wedle Maciejowskiego [4]), wedle Wojciechowskiego są to obszary świeżo wytrzebione albo pagórki bezdrzewne i piasczyste wśród lasów [5]). Gniezno zaś, stolica pierwotna państwa polskiego, nie ma nic z gniazdem do czynienia, aczkolwiek Gall w swej kronice z początku XII wieku (1113 r.) pisze: »Erat namque in civitate Gnesnensi, quae nidus interpretatur slavonice, dux nomine Popel«. (Był bowiem w mieście Gnieźnie, które po słowiańsku tłómaczy się »gniazdo«, książę, zwący się Popiel [6]). Pierwotne brzmienie Gniezna jest »Chnaznina«, jak to stwierdza rękopism współczesny z XI wieku »Męczeństwa św. Wojciecha« [7]), a podobnie u Thietmara w autografie drezdeńskim z początku XI w. »Gnesin« lub »Gnesni», t. j. »Kniaznina« osada lub »Kniezin« gród [8]).

Twórcami państwa polskiego byli wschodnio-słowiańscy Polanie pod wodzą spolonizowanej już Rusi. Że Polanie stali się państwowotwórczym żywiołem pod kierownictwem Rusi, to nie dzieło tylko przypadku. Polanie mieszkali od wieków na krzyżownicy wielkich dróg, drogi wodnej waregskiej północno-południowej i drogi lądowej z Azji do Europy turecko-tatarskich hord. Ich siedziba, Kijów, była już od czasu ujarzmienia Polan przez Kozarów ważnem ogniskiem

[1]) M. P. H., I, 393.
[2]) M. P. H., II, 477.
[3]) Koneczny, Dzieje Rosji. I, str. 9.
[4]) Bogusławski. Dzieje Słowiańszczyzny półn.-zach., I str. 125,I, uw. 43.
[5]) Chrobacja (Kraków 1873), str. 281. Kadlec. O zawiązkach państw ludów słowiańskich. Encykl. polska Akad. Umiej. IV, 2, str. 88.
[6]) M. P. H., I, 393.
[7]) M. P. H. I, 391.
[8]) Dyrektor Gumowski zwrócił mi uwagę na denarki z czasów Bolesława Chrobrego z napisem »Gnezdna«. Świadczy to, że już około r. 1000 obok »Kniaźnina« posługiwano się nazwą lechicką »Gniezdno«.

handlowem, gdzie się schodziły i ścierały wpływy skandynawskie, bizantyńskie, arabskie i kozarskie, pogańskie, żydowskie, muzułmańskie i chrześcijańskie. Nie dziw, że wśród Polan zapanowała wyższa cywilizacja, wyróżniająca ich od reszty plemion słowiańskich. Wedle Nestora u Polan monogamja, u Siewierzan poligamja; Polanie »skromni i prości«, podczas gdy Drewlanie żyli jak bydlęta, Siewierzanie jak wszelki zwierz, a i Krywicze nie są bez ale. Polanie żyli w organizacji rodowej, »żyli«, jak mówi Nestor »po rodach swych«, a już w czasach przed r. 850 »zaczęli u nich panować książęta z ich rodu«. Gdy nastało przeludnienie na ich ziemiach, następowała emigracja gromadna przez ród obmyślana i ustanowiona, w rodzaju praktykowanej u ludów italskich instytucji »ver sacrum« [1]). Być może więc, że nacisk drużyny Olegowej, z drugiej strony przeludnienie pchnęło część dorastającego pokolenia u Polan do emigracji het na zachód. Na czele tej emigracji stanęli przedsiębiorczy i świat znający Rusowie. Poprowadził zaś, jako wódz, cały ten polsko-ruski rój nad Gopło wedle wszelkiego prawdopodobieństwa kniaź Popiel [2]), którego nazwa nietylko w podaniu ludowem, przechowanem u Galla, się zachowała, ale i w nazwach Popielewo nad jeziorem trzemeszeńskiem [3]).

Z kroniki Nestora [4]) dowiadujemy się, że około r. 862 zajął Ruryk z braćmi okolice jeziora Ilmeńskiego, t. j. Nowogrodu. »I byli u niego« — pisze dosłownie kronikarz ruski — »dwaj męże, ani plemieńcy jego, ani bojarowie i wyprosili się u niego do Carogrodu wraz z rodem swym«. Po drodze zdobyli Kijów, znieśli zwierzchnictwo Chazarów nad Polanami i »poczęli władać polską ziemią«, stając się jej kaganami. Waregowie-Rusowie jednak uważali Kijów aż do połowy XI wieku nie za stolicę państwa, lecz za stację przejściową do Grecji. »Put z Warjag w Greki« stale się w tych czasach w źródłach ruskich powtarza. Jakoż między r. 860 a 865 wyprawili się Askold i Dir w 8000 Waregów, zbrojnych w długie miecze i topory, na 200 łodziach na Miklagard, t. j. Konstantynopol, zabrali tam olbrzymie łupy i tylko ogień grecki zmusił napastników do ucieczki. Rządy Askolda i Dira w Kijowie trwały tylko 20 lat.

[1]) Koneczny, Dzieje Rosji, I, 17—19.

[2]) Tamże, I, 87.

[3]) Ks. St. Kozierowski Badania nazw topograficznych dzisiejszej archidiecezji gnieźnieńskiej, 231—232.

[4]) M. P. H., I, 565.

W r. 882 Oleg, wierny opiekun nieletniego syna i dziedzica Rurykowego, Igora, przybył z wielką siłą Waregów do Kijowa, a podstępnie zwabiwszy Askolda i Dira na rozmowę, zabił ich i sam po długiej, rok trwającej walce zawładnął Polanami i innemi plemionami słowiańskiemi [1]). Pokonani Waregowie kijowscy z częścią Polan, nie chcąc znosić jarzma Olegowego, uchodzą nad Gopło. Kto w pierwszym rzędzie uchodzić musiał? W pierwszym rzędzie rodziny Askolda i Dira, które z mordercami swych ojców pogodzić się nie mogły i nie chciały. Askoldzice zatem i Dirowice byli niezawodnie przywódcami wyprawy rusko-polskiej nad Gopło. Że tak było, a nie inaczej, o tem świadczy nazwa Askold. Nazwa ta, jak na to trafnie zwrócił uwagę Dr. W. Semkowicz [2]) pochodzi od staronordyjskiego wyrazu »asca« — popiół. Askold więc znaczy Popiel. Wniosku atoli, by łączyć Askoldów ród z legendarnym Popielem, przestraszył się Dr. Semkowicz, aczkolwiek sam z siebie się nasuwa. Nie darmo też Askoldów-Popielów ród zwie się Awdańcami, t. j. Skarbkami od staro-germańskiego wyrazu »anda« (staro-nordyjski »andr«) — skarb [3]) Obłowił się przecież ich przodek w Carogrodzie takiemi łupami, jakich dotąd żaden Warego-Rus jeszcze nie zdobył. Nie z Danji więc pochodzą nasze Awdańce-Habdanki, lecz z Kijowa od Askolda, skarbami carogrodzkiemi zbogaconego. Praszczury tego rodu niezawodnie przywiedli nad Gopło polskie drużyny posiłkowe, przez siebie zwyczajem ruskim nad Dnieprem zorganizowane [4]). Oni też założyli w Polsce nowej nad Gopłem pierwszą dynastję panującą. A w rodzie tym imię Askold, Askitel, Asca, przeobrażone w Jaszczołd lub Jaskotel, będzie się przez całe wieki w nazwach osad, przez nich założonych, lub imionach ich potomków powtarzało [5]).

W każdym razie na północnym końcu Gopła stanęła na ostrowiu Kruszwica gród, a naprzeciw niego, nad brzegiem jeziora, osada handlowa. Była to stolica dynastji Popielów, która w Kruszwicy uległa katastrofie rewolucyjnej. Któryś z pierwszych Piastów prze-

[1]) Kronika Nestora, M. P. H., I, 567/8.

[2]) Ród Awdańców w wiekach średnich. Rocznik Tow. Przyjaciół Nauk Poznańskiego. T. 44, r. 1917, str. 178/9.

[3]) Semkowiez, l c., str. 184.

[4]) Koneczny, Historja Rosji, t. I, str. 43.

[5]) Semkowicz, l. c., str. 254.

niósł siedzibę swą na ostrów jeziora Lednicy, a potem dopiero stało się Gniezno w pierścieniu jezior »kniazim grodem« [1]).

Którędy zaś przybyli Polano-Rusowie aż nad Gopło, możemy dziś napewno wykazać. W każdym razie nie drogą, jaką p. Szelągowski [2]) wskazuje ze wschodnich krajów islamu na północ Europy, tj. przez państwo Chazarskie, Bułgarję i Węgry do górnego i środkowego Pomorza, a stąd ku środkowej Wiśle. Rusowie - Waregowie zbyt dobrze znali hydrografję ówczesnej Europy, aby przez takie ambaga dostać się nad Wisłę, Wartę lub Gopło. Eksplorowali oni każdy szlak handlowy, który doszedł do ich wiadomości. W r. 838 pojawia się po raz pierwszy w Konstantynopolu poselstwo ludu skandynawskiego, zwanego »Rus«, a w r. 850 wiedzieli już Rusowie nietylko o Chersonie, Konstantynopolu, ale o Itilu i Sarkalu, głównych ogniskach handlowych wschodniej Europy nad ujściami Donu i Wołgi [3]). Tak znaleźli drogę do Carogrodu przez lacką ziemię Grodów Czerwieńskich Prypecią, Bugiem na południe do ujścia Huczwy do wąwozu dukielskiego [4]), wzdłuż Cisy i Dunaju. Tej okoliczności zawdzięczamy zajęcie Grodów Czerwieńskich i Przemyśla lackiego przez Włodzimierza r 981 [5]). Znali oni jednak starszą drogę do Polski na Zachód, drogę, którą prawdopodobnie Gotowie w II wieku po Chrystusie z nad Wisły przewędrowali nad Dniepr i Don. Jest to trakt rzeczny Prypecią, Bugiem na północ do Wisły, która tak samo, jak dziś sztucznym kanałem, ongi naturalnym kanałem przez rzeczkę Zgłowiaczkę i Bachorze z Gopłem była połączona. Że ta droga dobrze była znana Rusom, o tem świadczy kronika Nestora, która pod r. 1041 podaje: «Szedł Jarosław w łodziach na Mazowszany«, a pod r. 1047: »Jarosław szedł na Mazowszany i zwyciężył ich i ubił księcia Mojsława i upokorzył Kazimierzowi« [6]). My wiemy, że zwycięstwo odniosła Ruś w sojuszu z Kazimierzem Odnowicielem około Gniezna w miejscu, po rusku nazwanem Pobiedziska, od »pobieda« — zwycięstwo.

---

[1]) Dr. Koneczny, Dzieje Rosji, I, 36.

[2]) Najstarsze drogi z Polski na Wschód. Kraków 1909, str. 38.

[3]) Koneczny, l. c. str. 27—29.

[4]) Szelągowski. Najstarsze drogi z Polski na wschód w okresie bizantyńsko-arabskim. Kraków 1909, str. 101, 110, 112, 118.

[5]) Koneczny, l. c., str. 61.

[6]) M. P. H., I. 702.

Zatem Ruś w r. 1047 przybywała pod swoim kaganem Jarosławem na łodziach aż w pobliże Gniezna, przybyła też tak samo 150 lat wcześniej pod kniaziem Popielem do jeziora Gopła i Kruszwicy. Że tam szukali Polanie-Rusowie nowych siedzib, to nie przypadek tylko. Znali je skandynawscy korsarze nie od dziś, ani wczoraj. O ujściu Wisły, o ludach, nad nią mieszkających, nawet przy jej źródłach zasłyszał z końcem IX wieku już anglosaski król Alfred od jednego z tych morskich łazęgów ze Skandynawji Wulfstana [1]). Jezioro Gopło, największe z jezior wielkopolskich, trzy razy większe ongi niż dziś, było ogniskiem wszystkich dróg. Z Gopła wypływa Noteć (zwana z początku Matwą), przepływająca liczne jeziora i łącząca się przez nie od południa z Wartą, a następnie z Odrą. Tędy była główna droga do Wilców i Obotrytów, tędy otwarta droga do Bałtyku — tak do Wisły, jak i Odry; gdzie tylko były suchsze wzdłuż niej miejsca, wszędzie powstawały osady [2]). Ruskie zaś korabie z powodu swoich szczupłych rozmiarów, jak twierdzi kronikarz wenecki [3]), dostawały się przez najmniejsze wody, a gdy wody zabrakło, potrafili je zamieniać na wozy i nie prosząc nikogo, sami się załatwiali z przewłokami z rzeki na rzekę, z jeziora do jeziora [4]), mimo, że taka łódź brała po 40 ludzi załogi. Na takich łodziach przybyła do nas polska Ruś.

Że tak było, a nie inaczej, o tem świadczy wodny gościniec, odkryty przez tych naddnieprowych nomadów wodnych z jeziora Gopła do Warty górnej pod Koninem. Wiedzie on z Gopła górną Notecią aż do miejsca, gdzie ta rzeka zwraca się na wschód. Tutaj na północnej granicy ziemi zbarskiej, której nazwa dawno poszła w niepamięć, a również przypomina słowiański wschód, odbywano przy grodzie Przywłoka przewłóczenia korabi do jeziora ślesińskiego i wąsockiego, a stąd szła droga wodna, zwana nie bez powodu Goplanicą, do Warty. Z jeziorka wąsockiego wiodła droga na zachód jeziorem gostawickiem w pobliże później głośnego tu klasztoru Kazimierskiego. Tu znajduje się osada z ciekawą nazwą »Kozarzewo«, chyba od Kozarów, którzy w pierwszej połowie IX wieku władali Polanami, a później wraz z nimi ulegli ruskim podbójcom, a jako ruchliwi kupcy w niewielkiej liczbie wraz z drużyną polsko-ruską

[1]) M. P. H., I, 11/12.
[2]) Dr. Koneczny. Dzieje Rosji. I, 36.
[3]) Jan Diaconus. Obacz Koneczny, l. c., str. 42.
[4]) Tamże, str. 31.

dostali się w okolice Gopła i Warty i uwiecznili tu swe przybycie założeniem osady, od nich nazwanej [1]).

Kiedy się to stało, kiedy zawitali tutaj przybysze z pod Kijowa, o tem nie mówi żadne źródło wprost, ale z kroniki Nestora można wysnuć prawdopodobne bardzo przypuszczenie. Wedle niego około r. 862 zajął Ruryk z braćmi okolice jeziora Ilmeńskiego, tj. Nowogrodu. Równocześnie za zgodą jego opanowali Askold i Dir Kijów. Panowanie tu ich trwało 20 lat do r. 882, kiedy zginęli w zdradziecki sposób z ręki Olega. Wtedy to drużyny polsko-ruskie umknęły na korabiach wspomnianym wyżej gościńcem wodnym nad jezioro Gopło, ochrzciły te okolice z wytrzebionemi w części lasami wschodnio-słowiańską nazwą »Kujaw«, zajęły istniejącą tu osadę Kruszwicę i zbudowały opodal na ostrowiu gród dla kniazia Popiela.

Zorganizowani Ruso-Polanie ujarzmili bez trudu niezorganizowaną tu ludność lęchicką, zakładali z biegiem czasu nad jeziorem swe Polanowice, Rusinowy, Kijewice, Lęchomierze, Chołmy, Książe, Knieginice czy Kniaginice [2]), Mohylanki i Popielewa. Piastowie następnie założyli sobie jako nową stolicę Kniaźniną osadę, późniejsze Gniezno i gród na ostrowiu Lednickiego jeziora, gdy w upornych walkach rozszerzyli swe panowanie na południe i zachód. Wtedy to zapewne powstało Łubowo pod Gnieznem i Wierzenica pod Poznaniem. Gdy zaś kagan ruski Jarosław [3]) dopomógł kniaziowi polskiemu Kazimierzowi do zwycięstwa nad mazowieckim Masławem w r 1047, wtedy miejsce zwycięstwa nazwano wschodnio-słowiańską nazwą Pobiedziska. Przedtem już i potem powstawały z nastaniem chrześcijaństwa owe niezliczone u nas Popowy, Popówki Popowice, Cerekwice, Bojanowy, Bojanice, Wasylanki i t. d. i t. d. Drużyna polsko-ruska musiała być nieliczna, skoro zdobywanie ziem lechickich nad Gopłem i Wartą wypełniło panowanie Popiela, Ziemowita [4]), Leszka, Ziemomysła. Podbój szedł w dwóch kierunkach: zrazu na południe do Łęczycan i Sieradzan i na zachód ku Odrze. Kruszwica, Gniezno i Poznań, to pojedyńcze etapy w tym podbój-

[1]) Mapa Wielkopolski epoki Piastowskiej, Kodeks wielkopolski, tom IV.

[2]) Tak się zwie jeszcze r. 1136 wieś Chełmie i osada Książ około Kruszwicy r. 1215. Kod. WP., nr. 7. Małecki, Studja heraldyczne I, str. 44.

[3]) Małecki. Z przeszłości dziejowej I, 20—7.

[4]) Łaguna, l. c. 285.

czym pochodzie na zachód do ujść Odry. Mieszko już dotarł do Odry, bił się już z Pomorzanami i z Wolinią nad ujściem Odry do Bałtyku, wedle Ibrahima ben Jakuba. Żyd ten hiszpański, przydzielony do poselstwa któregoś z kalifów z Korduby do Ottona I, odbył podróż między r. 962 a 966 do Niemiec i czas jakiś w Merseburgu przebywał. Pisze na podstawie dobrych informacyj, zatem między innemi o ludzie Awbaba, który przebywa w miejscowościach błotnistych, na północny zachód od państwa Mszkowego i posiada wielkie miasto nad oceanem z 12 bramami i jedną przystanią. Lud ten prowadzi podobno walkę z Mszkiem, a potęga jego jest wielka [1]). Z tego wynika, »że król północy Mszko«, to Mieszko, to potężny władca wśród czterech królów, którzy zdaniem Ibrahima rządzą Słowianami. »Są zaś nimi król Bułgarów Brisław, król Fragi, Bwimy i Krakwa, (Bolesław król Pragi, Czech i Krakowskiej ziemi); trzeci król północy nasz Mieszko i czwarty Nakon na skrajnym zachodzie« (Nakon obotrycki. Pisze to żydowski pisarz w tej chwili zapewne, kiedy nasz Mieszko w swym pochodzie zaborczym na zachód zetknął się z potężniejszym podbójcą, tj. Niemcami i ich margrabią Geronem nad Odrą w 963. W kilku bitwach pokonany nasz Mieszko wraz z braćmi, którzy go posiłkowali w tej wojnie, pokonany przez Wichmana i Gerona między Frankfurtem a Kistrzyniem, musi ukorzyć się przed potęgą niemiecką i płacić daninę cosarzowi rzymskiemu z ziemi lubuskiej i kistrzyńskiej aż po Wartę [2]).

Wypadek ten, który wdzierstwu niemieckiego marchiona otwierał bramę do krajów polskich, otwiera równocześnie bramę do historycznych czasów polskich. W epokowej tej chwili państwo Mieszka obejmowało obszar wcale nie wielki, zatem Kujawy, późniejszą Wielkopolskę, tj. województwo kaliskie, gnieźnieńskie i poznańskie które ostatnie sięgało do samej Odry w kierunku dzisiejszego Kistrzynia i częścią swą zaoderską (tj. ziemią lubuską) przeszło było w r. 963 pod zwierzchnią władzę niemieckich marchionów [3]), dalej należała do państwa jego ziemia łęczycka i graniczące z nią Sieradzkie, z południa może kawałek Śląska. Reszta polskich ziem, jak Śląsk i Krakowskie należało do Czechów; Mazowszany i Lachy Czer-

[1]) Kadlec. O zawiązkach państw u ludów słowiańskich. Encyklopedja pol. Akad. Umiej. IV. 2, str. 81.

[2]) Małecki. Z przeszłości dziejowej. I, 9 i 10.

[3]) Tenże.

wieńscy byli jeszcze niezawisłemi plemionami [1]). Był to obszar, nie wynoszący więcej nad 60.000 km., dorobek w ciągu 80 przeszło lat dla niewielkiej drużyny wcale znaczny.

W państwie tem, despotycznie rządzonem, drużyna wojskowa, licząca wedle pisarzy arabskich 3000 ludzi, była podstawą rządów, podwaliną władzy kniaziowskiej. Jak dalece ta drużyna jest główną troską polskiego podbójcy Mieszka, o tem świadczy znowu relacja arabskiego podróżnika Al Bekri, który o drużynie tego księcia Polan zachował nam taką wiadomość: »Jeżeli któremuś z członków drużyny narodzi się dziecię, to dostaje on od chwili narodzenia opłatę na wychowanie. Gdy chłopiec dorośnie, książę ożeni go i zapłaci za niego wiano ojcu oblubienicy. Gdy dziewica dojrzeje, książę wystara się dla niej o męża, a wiano da jej ojcu« [2]). Drużyna Chrobrego Bolesława, t. z. wedle Diethmara człeka większą sławę mającego [3]), liczyła około 16.000 wojowników, a umieszczona była tak samo, jak ruskie drużyny [4]) około Kijowa, około kilku grodów, jak Poznań, Gniezno, Gdecz i Włocławek [5]), a więc w ziemiach zawiązkowych państwa polskiego. Takie utrzymywanie wielkich obozowisk w jakiejś ziemi jest charakterystycznem znamieniem podboju, praktykuje się zaś u wszystkich podbójców w owych czasach, u Arabów, Awarów, Normanów i Warego-Rusów. Jeżeliby Polska powstała samorodnie przez podbój jednego szczepu przez drugi, zatem Lendyców nadwarciańskich przez Kujawian albo naodwrót, to albo Wielkopolska albo Kujawy winne być wolne od znamion wyraźnych podboju; tymczasem organizacja wojskowa Bolesława trzyma zarówno Kujawian, jak Nadwarcian w karbach wojskowego rygoru.

---

[1]) Małecki, l. c., str. 26—31. Koneczny, Dzieje Polski za Piastów, str. 34. Tenże, Dzieje Rosji, I, str. 59. O pradawnej przynależności Krakowa do państwa polskiego i jego stołecznej godności już za Mieszka pisze prof. Zakrzewski w pracy: Czeski charakter Krakowa za Mieszka I w świetle krytyki źródeł, Kwart. Histor. XXX, 221 n. Innego zdania jest Balzer, Królestwo polskie 1276—1370. Lwów 1919, I, 174—184.

[2]) Westberg. Komentarij na zapisku Ibrahima iben Jakuba o Słowianach. Petersburg 1903, str. 145/6. Kadlec o prawie prywatnem zachod. Słowian. Encykl. pol. Akad. Umiej. IV, 2, str. 104.

[3]) Cap. 28, M. P. H., I, 259.

[4]) Koneczny, l. a., str. 43, 115.

[5]) Kronika Galla I, 8, M. P. H., I, 404. St. Łaguny Pisma. Nowa hipoteza o pochodzeniu szlachty polskiej, str. 224.

Jeżeli do tego dodamy okrutne barbarzyńskie prawa Bolesława, jakiemi stara się wedle Diethmara [1]) utrzymać chrześcijański zwyczaj i obyczaj w Polsce, tedy naprawdę na ewolucję miejscowych stosunków, dzięki której zdaniem Balzera [2]) miało powstać państwo polskie i czeskie, miejsca wiele nie zostaje. Geneza nadto państwa czeskiego nie na wyłącznej ewolucji miejscowych stosunków jest oparta. Ludki czeskie już w VII wieku organizował Samo, w IX wieku wielkomorawscy książęta, od Mojmira począwszy aż do Świętopełka, w X wieku zaś Przemyślidzi, obaj Bolesławy skupiają swe państwo nie tylko pod wpływem ewolucji miejscowych stosunków, ale pod podwójnym naporem: Węgrów i Niemców. Polskie plemiona kto znagla do organizowania się? czy Niemcy? Uchowaj Boże. W IX wieku i początkach X wieku Niemcy były w rozkładzie; kiedy w 963 starł się z nimi pierwszy raz nasz Mieszko, Polska już miała długi wiekowy okres organizacyjny poza sobą, była potężnem państwem między czterema słowiańskiemi.

Jak dalece przedsiębiorczymi władcami w europejskim horyzoncie byli pierwsi nasi Piastowie historyczni, jak dalece inni od wszystkich lechickich książąt, nawet wielkich książąt, królów i królików, tego dowodem są koligacje pierwszych Piastów. Mieszko I szuka żony na dworze czeskiego Bolesława, towarzysza niedoli wobec zachłanności Niemiec. Prosi o rękę chrześcijańskiej Dubrawki ze względów politycznych, aby przyjąć chrześcijaństwo i w ten sposób pod osłoną krzyża ochronić się przed zachłannością margrafów niemieckich i otrzymać to stanowisko bezpieczne, jakie posiadł Bolesław czeski. Dwa lata po śmierci Dubrawki r. 979 zaślubia porwaną z klasztoru nowicjuszkę Odę, córkę margrabiego marchji północnej Dytryka, aby sobie utrwalić spokój od zachodniej ściany i w tym samym celu każe się 17-letniemu synowi Bolesławowi ożenić z margrabianką miśnijską. Kwestja jest, czy Adelajda żona Gejzy, t zw. Biała kniegini, była siostrą Mieszka [3]), natomiast faktem jest małżeństwo młodziutkiego Bolesława Chrobrego z córką władcy węgierskiego [4]). Jeszcze więcej znamiennym faktem politycznym jest

[1]) Pisma Stosława Łaguny. Pierwsze wieki Kościoła polskiego str. 257. Diethmara kronika M. P. H., I.

[2]) Oswald Balzer. Historja ustroju Polski. Lwów 1914, str. 2.

[3]) Pisma Stosława Łaguny. Rodowód Piastów, str. 290. Balzer, Genealogia Piastów 29—39.

[4]) Balzer, Genealogia Piastów, str. 39—41.

wyswatanie 15-letniej córki Mieszka i Dubrawki roku 985 za skandynawskiego Eryka, króla Swijów, śmiertelnych wrogów Dunów, z którymi Mieszko walczył o Pomorze i ujścia Odry. Przedsiębiorcza Mieszkówna, nazwana przez Swijów Sygryda z przydomkiem Storrada (wzniosła, wielkomyślna), rządziła mężem swym starszym o 30 lat i doprowadziła do tego, że podczas dorocznej obrzędowej uczty na cześć bogów ślubował podbić duńskie państwo. Jakgdyby Mieszkówna po to umyślnie wyszła za niego. Eryk rzeczywiście króla duńskiego Sweina wygnał, a państwo jego do swego przyłączył [1]). Czy takie małżeństwa polityczne z odległym królem Swijów byłby kojarzył którykolwiek z książąt lechickich? Czynił to władca, który znał kraj Swijów, t. j. Szwecję, kolebkę Rusów i Waregów i potrzebował ich pomocy dla opanowania ujść Odry i Wisły. Te same cele polityczne ma na oku Bolesław, gdy swata najstarszego syna z Ryksą, krewną cesarską i wydaje córkę swą za turowskiego kniazia Świątopełka, którego później robi kaganem kijowskim, gdy sam żąda ręki Predsławy, siostry Jarosława [2]). Czy te ruskie zwłaszcza koligacje Piastów z Rurykowiczami nie przemawiają także za tem, że to ziomkowie, w których żyłach płynie ta sama krew, ta sama jest przedsiębiorczość, ten sam zmysł organizacyjny, lechickim plemionom i książętom zupełnie obcy?

Ruś polska dała początek państwu polskiemu, ale i to fakt ciekawy, że ona to państwo polskie dźwiga z upadku. Gdy Kazimierz Mieszkowic, syn Niemki Ryksy, z pomocą niemiecką wraca do ojczyzny i zaczyna Polskę odbudowywać, w tem dziele organizacyjnem szuka głównie pomocy ruskiej, zaślubia siostrę Jarosława Dobronegę i z pomocą ruskiego dziewierza odzyskuje Mazowsze. Tak samo z ruską pomocą Bolesławowic Władysław II stara się wzorem Chrobrego wywalczyć sobie jednowładztwo.

Opozycja przeciwko tej despotycznej władzy wychodzi od kogo? Od wielkopolskiego społeczeństwa, które tylko z trudem znosi despotyczne rządy Piastów. Że Mieszki i Bolesławy nie darmo utrzymują drużyny wielotysięczne po grodach właśnie w kujawskiej i w wielkopolskiej ziemi, to najdowodniej wykazała pogańska reakcja ludu wielkopolskiego po śmierci Mieszka II. »Pozabijał biskupy, kapłany

[1]) Balzer, Genealogja Piastów, str. 44—52. Koneczny, Dzieje Polski za Piastów, str. 50.

[2]) Koneczny. Dzieje Rosji, I, 72.

i możne pany«, nawet niewiast nie oszczędzał, podniósł się przeciw długoletnim ciemiężcom swym. Zostały zburzone katedry w Gnieźnie i w Poznaniu, a w ich ruinach dzikie zwierzęta czyniły sobie legowiska [1]). Rabacja pogańska zniszczyła dokumentnie całą Wielkopolskę, szczególnie tam szalała, gdzie nadwarciańscy Lendycy czy Lęczanie łączyli się z pobratymczymi Łużyczanami i dlatego na pograniczu polsko-łużyckiem zakłada Kazimierz Odnowiciel klasztor lubiński, jako misyjną stację przeciwko pogaństwu r. 1040. Zadziwiająca jest bowiem wiekowa nieprzyjaźń, jaką dwa odłamy Lechitów wschodni i zachodni, ku sobie wzajem pałały [2]). Połabianie łączą się systematycznie z Czechami, nawet z Niemcami przeciw Piastom i Polakom i nawzajem przez nich są gnębieni w służbie niemieckiej czy samodzielnie w wojnach pomorskich. Awanturnik Wichman w spółce z Lutykami napada r. 963 na Mieszka i ułatwia zwycięstwo nad nim Geronowi [3]); w r. 990 Lutycy popierają czeskiego Bolesława przeciwko Mieszkowi w walce o Śląsk i Kraków, a Mieszka wspierają Niemcy [4]). Ta nienawiść nienaturalna, ten brak łączności między tępioną Słowiańszczyzną połabską a państwem polskiem tłomaczy się tylko hipotezą najazdu Ruso-Polan, w których Lechici połabscy widzą nowych, groźniejszych od niemieckich podbójców. Stąd są sprzymierzeńcami wszystkich wrogów polskich, a także sprzymierzeńcami buntującego się ludu wielkopolskiego przeciw Piastom. Jeżeli ród piastowski po śmierci Mieszka wyginął oprócz jednego Kazimierza, kto wie, czy w tem nie odgrywała roli zemsta i odwet tak długo podbitych i gnębionych Lęchitów nadwarciańskich.

Panowanie pierwszych Piastów w Wielkopolsce było oparte na gwałcie i przemocy i to daleko bardziej w Wielkopolsce, niż w innych później zdobytych ziemiach polskich. To fakt, nad którym nie może przejść historja do porządku dziennego, a fakt ten świadczy, że podbój i gwałt obcej kościstej ręki był twórcą tego stanu.

---

[1]) Gal. I, 19. Pisma Stosława Łaguny. Pierwsze wieki Kościoła polskiego, str. 257.

[2]) Pisma Stosława Łaguny. Nowa hipoteza o pochodzeniu szlachty polskiej, str. 234.

[3]) Koneczny. Dzieje Polski za Piastów, str. 29.

[4]) Małecki. Rewizja dziejów polskich w pierwszych 2 wiekach politycznego istnienia. Z przeszłości dziejowej, tom I, str. 25.

Hipoteza najazdu, jaką przedstawiłem, nie wątpię, że spotka się z opozycją, że podstawy, na której się oparła, będą poddane ze strony zwłaszcza lingwistyki ostrej krytyce. Wiem, że nieoceniony materjał historyczny, jaki się kryje w nazwach miejscowości i w mowie samej, tak mało u nas wyzyskany, odsłoni nam przy lepszych, gruntowniejszych badaniach niejedną jeszcze zagadkę z zamierzchłej przeszłości. Wiem, że niejeden z cytowanych przeze mnie przykładów językowych okaże się może nie dość uzasadnionym, ale o tem jestem przekonany silnie, że skrupulatniejsze badania, zwłaszcza nad staremi dziś zapomnianemi nazwami miejscowości wielkopolskich, tezę moją poprą. Cokolwiek bowiem krytyka o hipotezie najazdu powie, to pewna, że więcej wiary wymaga hipoteza, że państwo polskie jedyne wśród państw europejskich powstało samorodnie dzięki ewolucji stosunków miejscowych na tej podstawie, iż rzekomo nie można u nas wykryć śladu obcego najazdu i podboju, niż uznać, że Polska nie była wyjątkiem w plejadzie państw europejskich, a zwłaszcza słowiańskich i tak samo, jak one, powstanie swe zawdzięcza obcej najeźdźczej ręce. Podbój wychodził w Europie w IX wieku od ludów skandynawskich, turecko-fińskich lub Arabów. Normandowie skuwali państwo angielskie, państwo francuskie, oni wraz z Węgrami tworzyli potęgę sasko-niemiecką, oni tworzyli państwa we Włoszech, oni to głównie wsławili się przy budowie państwa jerozolimskiego w czasie krucjat. Arabowie pracują nad odtworzeniem chrześcijańskiej Hiszpanji, Bułgarzy dają początek swemu państwu na Bałkanie; tak samo Węgry tworzą na podłożu różnych słowiańskich i romańskich szczepów swe państwo przemocy i gwałtu. Czyżby tylko Polska powstała samorodnie dzięki genjuszowi jednego z plemion lechickich? Jakie to idyliczne, jakże mile łechce dumę narodową, a listkiem figowym tej dumy jest wygodne »ignoramus« i »ignorabimus«. A przecież te lechickie plemiona we wszystkie rozłażą się strony, są kupą lotnego piasku i stają się kompostem etnicznym dla niemieckich podbojów, a przecież i te polskie plemiona rozłaziły się tyle razy, ile razy zabrakło silnej, twardej, organizującej ręki twórczej. Małoż my tego doświadczyli w toku dziesięciowiekowej naszej historji i doświadczamy i dziś jeszcze? A jednak my tak lubujemy się we wyjątkowych pozach wśród europejskich społeczeństw! Dość wspomnieć o Polsce Chrystusie narodów, beatyfikowanej przez obłędny mesjanizm i naszą poezję mesjanistyczną. Czy nie rozumniej i korzystniej dla nas raz porzucić problematyczne stanowisko wy-

jątkowe i zejść do reguły europejskiej we wszystkich dziedzinach życia, zatem i w historji naszej genezy państwowej? Któżby przed kilku jeszcze laty był uwierzył w przyjętą dziś przez naukę tezę, że najpotężniejszy w świecie i najdoskonalszy twór państwowy, t. j. państwo rzymskie, zawdzięcza początek swój nie latyńskim chłopom, lecz garści etruskich zdobywców i korsarzy, którzy uległszy językowo latyńskiemu otoczeniu, jako rzymski patrycjat, potrafili je twardą, kościstą dłonią tak zorganizować, że stało się w ciągu wieków panem świata! Jestem przekonany, że i nauka polska nie spocznie wprzódy, aż i genezę polskiego narodu i polskiej państwowości nie podciągnie pod nieunikniony reguły strychulec. Ta zaś brzmi: żaden lud o prymitywnej kulturze rolniczej nie stworzył sam ze siebie państwa; państwa tworzyli zawsze i wszędzie wyłącznie nomady, zarówno lądowe, jak i morskie[1]).

Dr. Kazimierz Krotoski.

[1]) Ratzel, Völkerkunde. Oppenheimer, Der Staat.

PRZYSZŁOŚĆ WAWELU.

Mówić o przyszłości Wawelu niełatwo nawet dla tych, którzy jego przeszłość i teraźniejszość poznali dokładnie — być może, trudniej nawet, niż dla innych, nie inspirowanych tą świetną przeszłością i obecną aureolą, jaka otacza Wawel — paladjum polskie.

A jednak czas najwyższy pomyśleć o przyszłości. Czas najwyższy, chociaż bowiem nie przystępujemy dziś, zaraz, do wykonywania jakichś prac szczegółowych, decydujących o jego przeznaczeniu, to przecież codziennie wykonywujemy i coraz częściej wykonywać będziemy na Wawelu roboty, przy których zadawać sobie będziemy pytanie: do jakiego ostatecznie celu przy odnawianiu Zamku dążymy, na co dawną siedzibę królów naszych przeznaczamy, jak ukształtujemy całe wzgórze wawelskie?

Wiemy doskonale, czem był Wawel w wiekach ubiegłych. Wiemy, że tu od niepamiętnych czasów, w grodzie drewnianym, następnie w zamku murowanym, była siedziba władców tej ziemi. Obok katedry stały tu liczne kościoły, obok zamku — mieszkania panującego, mnóstwo domów i domków prywatnych. Całe miasteczko samo w sobie, pełne życia swoistego, poza zamkiem i katedrą z pewnością wcale nie świetne i dość brudne, zatłoczone mnóstwem budowli o charakterze najróżnorodniejszym, malownicze i niezawodnie piękne, a jednak poza grobem Świętego Patrona Polski bynajmniej nie specjalnie święte i czcigodne dla przeciętnego Polaka — taka ot jedna z licznych siedzib królewskich, być może obok warszawskiej najświetniejsza, nie koniecznie najwygodniejsza. Trzeba było aż ciosów porozbiorowych, by ta była siedziba królewska w każdym swym zakątku najbardziej prozaicznym stała się dla polaka świętością, panteonem dawnej chwały naszej i potęgi. Nic to, że na gruzach dawnych budowli i kościołów wyrosły obrzydliwe budynki

koszar i szpitali austrjackich, że brzydki mur forteczny otoczył urwiska i skały wzgórza, że znikł dawny przepych architektoniczny, pod ręką Wandalów grubym pokostem tynków wojskowych zatarty. Wawel pozostał świętością aż do dzisiaj, gdy powoli wracać zaczyna do dawnego wyglądu.

Bo też zapewne nie wygląd i stan zachowania zamku na nas oddziaływa. Działają tu być może niepodzielnie czynniki psychiczne, które aureolą nadzwyczajnej świętości potrafią otoczyć ruinę przeszłości, a których gdy zbraknie, nie pomoże najlepsza praca odnowicielska. Pamiętać o tem nam należy i dążyć, by myśląc nad przeznaczeniem Wawelu w przyszłości, nie wprowadzić na Wawel czegokolwiek, coby nie tylko nie spotęgowało owych czynników psychicznych, lecz mogło je w jakikolwiek sposób osłabić.

Na szczęście niema zapewne mowy, by Akropolis nasze zeszłoznów na dawny poziom stałego mieszkania panującego, głowy Polski. Odżyłyby wówczas niezawodnie mury starego pałacu, lecz pamiętajmy, że obok nielicznych epokowych i pięknych epizodów historycznych widziałyby one tysiące wypadków trywjalnych codziennego życia. Czyż to nie strąciłoby w naszych oczach Wawelu z tej wyżyny, na jakiej go obecnie widzimy?

W murach dawnego pałacu powinno się znaleźć mieszkanie Głowy państwa, który podczas pobytu w Krakowie tu właśnie zamieszkać powinien, ale niekoniecznie w historycznych izbach zamku. W tych ostatnich, zajmujących parter i pierwsze piętro dawnego pałacu, powinniśmy pielęgnować tradycje dawnych dni potęgi i chwały. Tutaj w tych murach sędziwych musimy zgromadzić wszystko, coby podkreślić mogło nastrój z epok odnośnych, tu stworzyć musimy jedyne w Polsce muzeum kultury historycznej polskiej. Piętro drugie, doszczętnie zniszczone, poświęćmy przyszłości. Niech nasze siły artystyczne stworzą tu szereg sal, na pięknych posadzkach których odegra się w przyszłości zapewne niejeden historyczny akt naszych dziejów przyszłych, jak się dawniej odgrywał. Nie ujmie to niczego Wawelowi; przyczynić zapewne będzie mogło dużo jeszcze chwały jego murom.

A cóż z resztą wzgórza? Co stanie obok zamku i katedry? Czy przynajmniej tutaj może wprowadzimy życie kipiące, codzienne, przez wystawienie takiego naprzykład budynku sejmu dzielnicowego, lub czegoś podobnego?

Sądzę, że z góry należy odrzucić projekt podobny. Na Wawelu znaleźć się może jedynie to, co podniesie nastrój, jaki dziś Wawel wywiera na każdym Polaku, czy to przybyszu z Litwy, czy z Poznania, czy z Prus, czy z Ukrainy. Wątpię, by nastrój ten spotęgował się na widok najpiękniejszego nawet budynku utylitarnego, do jakich bądź co bądź zaliczyć musimy wszelkie sejmy, muzea, pałace i t. d.

W wielkich godzinach Odrodzenia Polski tu, nie gdzieindziej, wznieść musimy wielki pomnik tym prawym synom Polski, którym zawdzięczamy, że w najgorszych dla nas chwilach, gdy wymazanem było z historji imię Polski, żyła ona w dziejach ludzkości bez przerwy, a nawet zajaśniała nowym blaskiem — ku zbudowaniu potomnym, jako pobudka do wielkich czynów dla przyszłych pokoleń, jako przykład godny naśladowania.

Nie będę tu mówił o tem, w jakiej formie ma ten panteon powstać, czy w kształcie krużganków, jak to w moim projekcie, wystawionym na Wawelu widzimy, czy w postaci wolnostojącego budynku lub pomnika — to jedno uważam za pewnik, że jest to jedno z tych rozwiązań, które nie tylko pozwoli nam stworzyć na Wawelu nowe źródło dodatnich wzruszeń, lecz zgodnie z zasadami nauki i religji pozwoli na gruzach ohydnych budynków austrjackich wskrzesić pamięć o dwóch odwiecznych kościołach, zburzonych przez austrjaków — Św. Michała i Św. Jerzego, które tutaj od czasów Bolesławów stały. A o tem powinniśmy pamiętać przedewszystkiem.

Prof. Dr. Adolf Szyszko-Bohusz.

Nasz sąsiad wschodni.

(Szkic o bolszewiźmie.)

W ciągu dotychczasowego trwania rewolucji rosyjskiej bywały już okresy, w których się zdawało, że nad bolszewizmem będzie można położyć krzyżyk i że kwestją bolszewizmu będą się zajmować już tylko teoretycy, jako nowożytnem zjawiskiem wandalizmu, nową próbą socjalistycznej republiki, jedną więcej próbą urzeczywistnienia utopijnych marzeń proroków komunizmu Stało się jednak inaczej. Wielki rozmach, z jakim Anglja, a po części i Ameryka, poczęła w imię ludzkości i kultury występować przeciw unurzanej we krwi dyktaturze proletarjatu, rozbił się ostatecznie częściowo o sprzeciw zorganizowanych robotników angielskich, biorących w ten sposób w obronę proletarjat rosyjski, rozbił się do reszty o zimne, kupieckie wyrachowanie Anglosasów, którym milszy jest własny materjalny interes, niż wartości idealne całego świata. Wszystkie kontrrewolucyjne armje, podobno tak liczne i bitne, zostały zniesione i bolszewizm się ostał. Naszemu zaś rządowi wypadło pertraktować z przywódcami bolszewickiego chuligaństwa, i wszyscy musimy sobie powiedzieć, że bolszewicy to nasi najbliżsi sąsiedzi.

Może to i lepiej, że rzeczy wzięły taki obrót Triumfujący początkowo Denikin począł już zdradzać tradycyjne wielkorosyjskie pretensje, którym z cicha wtórowali nawet nasi przyjaciele, Francuzi. O bolszewików nikomu tak bardzo chodzić nie będzie i trudno ich będzie ująć jakimś datkiem terytorjalnym, naszym kosztem, chyba pomocą finansową na agitację bolszewicką w Polsce, o co jednak nie można posądzać ani Francuzów, ani Anglików, choćby dlatego, że pieniądze musieliby wydać z własnej szkatuły

Może to być lepiej dla Polski i z tego względu, że teraz właściwie pierwszy raz wobec ogłoszonego przez ententę »désintéresse-

ment", Polska ma sposobność postawić krok samodzielny, bez dyktanda ze strony koalicji, że może dowieść całemu światu, iż umie się oprzeć tej potędze militarnej, która zniosła tyle świetnych armij, wspieranych przez koalicję, że potrafi powziąć zdecydowane kroki, któreby chroniły jej interes polityczny, ekonomiczny i społeczny, mimo, że wytrawni politycy zachodu nie mogą się dotychczas zdecydować na jakiś jasny, jednolity program i czyn.

Może się dobrze stało, że bolszewizmu siłą nie pokonano, jeszcze z jednej racji. Stłumiony gwałtem ruch komunistyczny nie przestałby działać na przyszłość i miałby ciągle te pretensje, że byłby uszczęśliwił proletarjat i ludzkość swemi zasadami, ale przemoc zacofanych imperjalistów i burżujów przeszkodziła mu w tej zbawczej działalności. Tymczasem skoro się bolszewizm ostał, będzie miał czas i sposobność dowieść swej twórczej siły, albo swej niemocy, gdy chodzi o pozytywne, systematyczne działanie. Skona czy wcześniej, czy później, z swej własnej bezsilności, a jeśli działać będzie, to tylko sposobem, zapożyczonym od potępionych imperjalistów i kapitalistów. Tak czy owak będzie mogła ludzkość doświadczalnie przekonać się, jak daleko można pójść w radykalnych postulatach, a raczej dokąd z niemi dojść nie można.

W razie likwidacji bolszewizmu przez własną niemoc, może jeszcze bolszewizm znaleść jedną wymówkę, że zginął wskutek swego odosobnienia, zaś utrzymaćby się mógł tylko wówczas i wówczas tylko stworzyłby raj na ziemi, gdyby we wszystkich państwach doszło do dyktatury proletarjatu i do komunistycznych ustrojów. Jest to niezawodna prawda, że gdyby wszędzie zapanował bolszewicki porządek, to przetrwałby o wiele dłużej, niż zaprowadzony w jednem państwie, nie dowodziłoby to jednak jego twórczej siły, tylko raczej tej przemocy zjednoczonego proletarjatu wszystkich krajów, przemocy, którąby potrafiła długo tłumić wszystkie i najsłuszniejsze objawy niezadowolenia. Ale skoro bolszewizm nie przyjmie się w innych krajach, to przewódcy dzisiejszej sowieckiej republiki muszą sobie powiedzieć jedno, likwidując swe komunistyczne ideały, mianowicie, że się przeliczyli grubo, że z dziecinnym uporem, ale bez męskiej rozwagi szli naprzód wtedy, gdy jeszcze czekać należało, że cały ten trud wielki i krwawy był podjęty przed czasem. I jeszcze jedno. Jeśli bolszewizm ma w sobie jakąś zdolność do pozytywnej akcji, to ślady tej akcji muszą zostać, choćby nawet w tem odosobnieniu, w jakiem obecnie znajduje się rosyjski komu-

nizm. Boć przecież na początek przynajmniej powinien każdy ruch wysunąć swoje plusy, żeby niemi olśnić i zyskać zwolenników. Jeśli zaś tego braknie, tłómaczenie się możliwością pozytywnej działalności w chwili powszechnego panowania komunizmu, będzie czczym frazesem, bo minusy, zesumowane choćby i z całego świata, dadzą w rezultacie tylko wartość ujemną.

W ten sposób przez dalszą spokojną ewolucję bolszewizmu doszlibyśmy do tego rezultatu, który przewidział Bismarck, mówiąc, że państwa powinny pomóc jakiemuś społeczeństwu do zaprowadzenia u siebie ustroju komunistycznego, by przez odstraszający przykład wszystkie społeczeństwa raz na zawsze straciły ochotę do usiłowań w tym kierunku. Oto problem, który mogą rozpatrywać socjologowie i ekonomiści, albo i historycy, nam tu jednak więcej chodzi o bliższe poznanie obecnego wroga, a niebawem sąsiada.

Kiedy w r. 1917 wybuchła rewolucja marcowa, wielu ze zdziwieniem przyjęło i sam fakt rewolucji w tej właśnie chwili, dziwiąc się równocześnie, że zamachu stanu dokonano tak łatwo, prawie bez oporu; niektórzy nawet spodziewali się, że lada dzień wybuchnie kontrrewolucja, usiłująca wznowić carat i dawne rządy. Ci znów, co znali bliżej stosunki rosyjskie i system rządzenia i społeczeństwo rosyjskie, ze zdumieniem patrzyli na fakt, przechodzący ich pojęcia, że mianowicie rewolucja miała tak spokojny przebieg, jak żadna dotychczas, czy w Rosji, czy gdzieindziej. Azjatycka, choć w wielkiej mierze po europejsku ucywilizowana, dusza rosyjska, zdolna była do rewolucji o innym wyglądzie.

W istocie wybuch rewolucji nie był faktem nadspodziewanym. Jeśli w życiu moralnem, społecznem i politycznem jest pewna analogja prawa fizycznego: akcja równa się reakcji, to jasną jest rzeczą, że w absolutystycznej Rosji republikańskie i demokratyczne prądy musiały być silne. W tej Rosji, gdzie szerzenie kultury, oświaty, a nawet wierzenia religijne, tak delikatne i głęboko subjektywne, zależne ostatecznie od osobistego chcę lub nie chcę, którego Bóg nawet nie narusza, stały pod grozą knuta i zesłania na Sybir, reakcja musiała być tak głęboka i szeroka, jak głęboko i daleko sięgał gwałt carski. To też naprawdę żadne społeczeństwo nie było w duszy tak zrewoltowane, jak społeczeństwo rosyjskie. Począwszy od dekabrystów, spisku rewolucyjnego, do którego należeli oficerowie, a więc bezpośrednia podstawa nieograniczonej władzy cara, a nawet jeszcze wcześniej, bo od rewolucji

francuskiej, której pisma zrewoltowały przedewszystkiem inteligencję i najwyższe sfery rosyjskiego społeczeństwa [1]), duch rewolucyjny nigdy całkowicie nie zamiera, ale działa coraz silniej, coraz wszechstronniej. Tłumiony represjami carskiemi, nabiera siły w tajnych, konspiracyjnych organizacjach, prześladowany w osobach teoretyków rewolucyjnych na szerokiej ziemi rosyjskiego imperjum, znachodzi drogi ucieczki do zachodniej Europy, by tam wybuchać jeszcze silniej, radykalniej. Tem się tłumaczy, że najskrajniejsze teorje wywrotowe miały nie gdzieindziej, ale właśnie w Rosji, a w każdym razie z Rosji, swych największych przedstawicieli, ludzi częstokroć niezwykłego talentu, i tem właśnie niebezpieczniejszych. Czy więc weźmiemy ów typowo rosyjski nihilizm, występujący z bezwzględnym fanatyzmem przeciw całemu porządkowi moralnemu i idącemu tuż za nim porządkowi społecznemu, przeciw wszelkiej religji i wszelkiemu głębszemu pojęciu życia, a stawiający na miejscu idej moralnych zmysłowość, wierzący w kabałę, jak Herzen, Bieliński, czy też zapamiętałych propagatorów anarchizmu, jak Bakunin, Krapotkin i t. d., według których niszczyć, druzgotać cały dotychczasowy porządek było swego rodzaju rozkoszą, rozkoszą z samej siebie twórczą (!), a mord, skrytobójstwo zjawiskiem tak naturalnem, jak oddychanie, do którego nie dadzą się zastosować żadne wartości moralne. — czy wreszcie zwrócimy uwagę na rosyjskiego proroka z Jasnej Polany, Tołstoja, fascynującego swym artyzmem całą elitę i arystokracji i inteligencji rosyjskiej, ale artyzmem, którego treścią były znów idee anarchistyczne, rewolucyjne, owiane swego rodzaju mistycyzmem, działającego demoralizująco równocześnie i na lud rosyjski przez swą dziwaczną chłopomanję — zrozumiemy, że ostatnia rewolucja rosyjska nie jest jakiemś »deus ex machina« w historji rosyjskiej, ale konsekwencją pojęć i dążeń wszystkich warstw społecznych wielkiej Rosji.

Ogólnie trzeba powiedzieć, że wszystkie prądy, które na Zachodzie spowodowały jakieś paroksyzmy w ustroju społecznym, politycznym, moralnym i religijnym, odbijały się żywem echem na Wschodzie. I choć może nie dochodziły do wyższej miary w Rosji, niż w państwach zachodnio-europejskich, działały bardziej zabójczo

[1]) Z tego powodu, a także i wskutek przyjmowania się skrajnych teoryj w umysłach akademików rosyjskich, odbywających swe studja we Francji, mógł Miljukow twierdzić, że bolszewizm przyszedł z Francji.

na organizm społeczny rosyjski, niż gdzieindziej, bo nie miały tej przeciwwagi, jaką na Zachodzie stanowiła religja katolicka, która pewną przynajmniej część społeczeństw urabiała bardzo głęboko, sasadniczo. Kościół schizmatycki nie mógł być tą przeciwwagą ze swymi przedstawicielami, którzy byli niemal w powszechnej pogardzie, dla swej ciemnoty, prostactwa. Jasną jest rzeczą, że skoro przewodnicy wierzeń religijnych nie grzeszyli zbytnią wiedzą nawet w kwestjach teologicznych, nie mógł tej wiedzy posiadać i ogół wiernych. To też religja ograniczała się prawie wyłącznie do obrzędów, często imponujących, zdolnych wywołać pewne podniosłe nastroje, ale chwilowe, a nie sięgała do głębin duszy, nie urabiała pojęć, nie uśmierzała dzikich instynktów. Rosjanin w swej ogromnej większości, wszystko jedno czy ten z formami kulturalnemi, czy ów prosty mużyk, pozostał nadal dzikim Azjatą, zdolnym do największych zbrodni.

Żadne też europejskie społeczeństwo nie cierpiało na tyle wybryków, anomalij społecznej i moralnej natury, co społeczeństwo rosyjskie. Samobójstwa, ojcobójstwa, zamachy dochodziły do zastraszającej wprost miary. A trzeba zwrócić na to uwagę, że w tych zamachach na władze rządowe nie brały udziału jakieś jednostki z czarnych kątów przedmiejskich, ale często członkowie domu panującego, arystokracja i inteligencja rosyjska. Wiadomą bowiem jest rzeczą, że najbardziej rewolucyjnie nastrojone od początku prawie XIX wieku były nie warstwy robotnicze, czy ludowe, ale rosyjskie uniwersytety. Studenci uniwersyteccy potrafili wywoływać strajki, dokonywać zamachów; wyższa szkoła wiedzy była prawdziwą szkołą rewolucji.

Carski despotyzm bronił się przed tym zalewem zła, przedewszystkiem we własnym interesie, systemem policyjnym, bezwzględną cenzurą, ustawami, zabraniającemi wszelkich organizacyj. Cóż z tego, kiedy policja sama spiskowała i bodaj czy nie w połowie była zaprzedana tajnym organizacjom, a prawie wszystka dała się przekupywać. I znów prawie wyłącznie rosyjskie, a bynajmniej nie odosobnione jest zjawisko, że taki ajent policji rosyjskiej, Azew, bierze udział w zamachu na ministra Plehwego i tenże sam Azew wydaje tych, którzy z nim wspólnie spiskowali.

W takich warunkach represje nie mogły zła wytępić. W dziejach też rosyjskich widać to lepiej, niż gdzieindziej, że im silniej działała reakcja, tem żywioły rewolucyjne, wywrotowe stawały się

radykalniejszemi i bardziej jeszcze umiały się maskować. Wobec tego niewiele pomogły cenzury, czy zakazy organizacyj.

Tu właśnie tkwił błąd jeden z największych. Podczas kiedy rozwój dziejowy domagał się koniecznie tworzenia związków i stowarzyszeń, by zaniedbani przez rząd, uciskani przez warstwy lepiej sytuowane, mogli jakoś, zapomocą organizacyj, zdobyć znośniejsze warunki egzystencji, szablonowy zakaz organizowania się, mający na celu ubezpieczenie samodzierżawia, godzący w organizacje rewolucyjne, tępił i to, co było uprawnione do życia [1]). Oczywista, nie mogły ukazy wytępić organizacyj całkowicie, ale sprawiły, że wszystkie prawie organizacje były prowadzone na modłę spisku, z rewolucyjnem zabarwieniem. Tak było z polityczną organizacją »kadetów«, z organizacją ludową »Ziemia i wolność«, takiej organizacji i takiego ruchu przedstawicielami byli członkowie partji ludowej, noszący nazwę »narodników«, tak żyły i rozwijały się dwie najpotężniejsze organizacje, a raczej partje, którym świat zawdzięcza dzisiejszą rewolucję rosyjską: partja »eserów« i »esdeków«.

Partja socjalrewolucyjna jednoczyła w swem łonie wszystkich pracujących, a więc i inteligencję i chłopów i robotników. W demokratyzacji społeczeństwa i politycznego ustroju dawała pewne pierwszeństwo mużykowi, dla jego liczebnej przewagi, a w każdym razie na równi stawiała chłopa z robotnikiem. W urządzeniach komunistycznych »mirów« widziała pewien zaczątek uspołecznienia i unarodowienia ziemi i produkcji rolnej. W kwestji zamachów i teroryzmu przeważał w partji pogląd, że obydwa te środki są i etycznie i politycznie dozwolone i korzystne, ale powinny być kierowane przez centralną organizację partji.

Socjaldemokracja od początku miała bardziej klasowe zasady i plany. Jednoczyła wyłącznie robotnika fabrycznego, chłopa uważała za »burżuja«, na mniejszą tylko skalę. Ideą przewodnią »esdecji« była od początku walka klas, proletarjatu robotniczego z kapitalizmem wszelkiej formy i z partjami choćby nawet skrajnemi. Wspólne porozumienie i działalność z kimkolwiek uważała za możliwe tylko celem przeprowadzenia masowej rewolucji. Masowa rewolucja stanowiła pierwszy postulat i warunek zburzenia dotych-

[1]) Prymitywny typ związków gospodarczych, »miry« i »artele«, nie dawał tego, co dać powinna organizacja społeczna i obok komunistycznych zasad, któremi się rządziły, mógł w nich istnieć wyzysk i uciemiężenie.

czasowego ustroju społecznego. Terrorem nie chciała się partja posługiwać w dobie przedrewolucyjnej, bo sporadyczne zamachy raczej przeszkadzały, niż pomagały, urzeczywistnieniu tego wielkiego pragnienia — rewolucji mas.

Obydwie partje miały wielu teoretyków i wraz z różnego rodzaju wyznaniami filozoficzno-społecznemi swych ideologów przechodziły różne fazy większego lub mniejszego radykalizmu, opierały swe programy to na idealiźmie Kanta, to na djalektycznym rozwoju dziejów Hegla, to znów na grubym materjaliźmie Feuerbacha. Raz przeważał ortodoksyzm Marxa, to znów rewizjonizm. Odpowiednio do różnych prądów tworzyły się w partjach pewne odcienia, lewice i prawice.

W ostateczności socjaldemokracja (ta nas głównie obchodzi) rozpadła się na dwa obozy [1]). Stało się to w r. 1903. Na kongresie socjalistycznym w Londynie dysputowano wiele nad samą organizacją »esdecji« i nad sposobem rekonstrukcji świata politycznego i społecznego. Jedna część twierdziła, że organizacja powinna mieć tylko luźny związek centralny, a główny nacisk musi łożyć na rozwój i działalność kół lokalnych. W dziele rewolucji powinni wziąć udział wszyscy, nawet i burżuazja, która po przewrocie politycznym będzie miała czas i sposobność postępowaniem swojem »usprawiedliwić dalsze swe służenie w społeczeństwie«. Demokracja powinna zbratać wszystkie żywioły. Przeciwnicy tego stanowiska bronili ścisłej centralizacji, domagali się surowych przepisów karności partyjnej, do udziału w rewolucji dopuszczali tylko proletarjat, bo burżuazja nie zrozumie nigdy prawdziwej demokracji i będzie nadal podporą kapitalizmu, mimo demokratycznej formy rządów, jak to ma miejsce w Anglji, Francji, Stanach Zjednoczonych i Szwajcarji.

Ostatnie zdanie zyskało większość głosów »bolszinstwo« i odtąd zwolennicy tego odłamu socjaldemokracji noszą nazwę bolszewików, dzięki tej większości, jaką uzyskali na owem zjeździe w Londynie [2]).

Największym zwolennikiem, a właściwie projektodawcą ustroju i programu ówczesnej większości, był człowiek, który już do obecnej chwili prześcignął wszystkich Dantonów, Robespierrów, Maratów,

[1]) Centrum esdecji stanowią teoretycy, nie zajmujący się ruchem organizacyjnym, krytykujący celowość postanowień lewicy i prawicy. W rewolucji nie odgrywali żadnej roli.

[2]) Mylnem więc jest utarte u nas wiązanie tej nazwy partyjnej z największym radykalizmem programu partji.

Włodzimierz Iljicz Uljanów, znany ogółowi pod nazwiskiem Lenina. Jest to więc ojciec teorji bolszewickiej [1]) i dzisiejszy pater patriae sowieckiej republiki. Syn radcy stanu, szlachcica-Rosjanina i matki właścicielki, urodzony w Symbirsku 1870 r. Człowiek posiadający niepoślednie zdolności, rozum nadzwyczaj bystry, żelazną wolę, niepohamowany zapał, fanatyczne oddanie się swemu celowi i, co jest dziwne nawet w dzisiejszych stosunkach sproletaryzowania i »ideowej« działalności komisarzy bolszewickich, człowiek zupełnie bezinteresowny. Posiada on gruntowne wykształcenie uniwersyteckie (studjował w Kazaniu i Petersburgu) z dziedziny prawa i ekonomji, przepojony nawskróś marxowskiemi ideami z doby największego radykalizmu i materjalizmu swego mistrza [2]).

Takim był od swojej młodości i takiem jego najbliższe otoczenie. Jego siostry były długo pod obserwacją policji, brat jego zginął z ręki kata jeszcze w r. 1887 za udział w spisku, sam zaś Lenin już przed r. 1900 był wywieziony na Syberję, skąd puszczony na wolność opuścił Rosję. Na Zachodzie brał żywy udział we wszystkich zjazdach i kongresach »esdeków« i zaznaczał wszędzie wybitnie swą indywidualność. Podczas rewolucji 1905 r. kierował poczynaniami bolszewików, którzy jednak nie zdołali odegrać decydującej roli. Skoro miała Rosja wziąć udział w wojnie światowej, partja Lenina sprzeciwiała się najkategoryczniej wojnie. Był to oczywiście tylko manewr. Bolszewicy wiedzieli, że nie przegłosują sprawy pokoju, ale wobec proletarjatu zyskiwali ten atut, że oni jedni uchodzili za jego prawdziwych obrońców, że wszystkie inne partje, głosujące za wojną, choć noszą lewicowe tytuły, faktycznie zdradzają interes roboczego ludu, są najemnikami kapitalistycznego imperjalizmu. W gruncie rzeczy, jak wszystkie niemal odezwy i broszury i Lenina i jego zwolenników zaznaczają, konflikt państw europejskich był konieczny, by mogło dojść do rewolucji.

---

[1]) Lenin początkowo po wybuchu rewolucji marcowej oburzał się na nazwę bolszewika, nazywał to słowo »bezsensownem, szkaradnem«, utrzymując, że partji jego należy się wyłącznie tytuł »komunistów«. Później jednak zgodził się i na nazwę »bolszewik«, w przekonaniu, że prześladowania partji ze strony burżuazji uczyniły ją zaszczytną!

[2]) Powierzchowność Lenina nie jest bynajmniej charakterystyczna. Figura przysadkowata, twarz raczej bez wyrazu z małym wąsem i skromną bródką. Wygląda raczej na notarjusza z prowincji, niż na demagoga.

Lenin z niezwykłą bystrością przewidział zawikłania społeczno-ekonomiczne, jakie wojna miała wywołać wszędzie, a przedewszystkiem w Rosji. Zdawał sobie sprawę, że wojna potrwa długo, a że w ojczyźnie dla niego nie było zbyt bezpiecznie, mógł spokojnie wyjechać znów na Zachód, by tam śledzić przebieg wypadków i snuć plany wielkiej, masowej rewolucji.

Nie ulega wątpliwości, że kierującym czynnikom państw centralnych znane było stanowisko esdecji bolszewickiej, stanowisko i wobec wojny i wobec rządu rosyjskiego, że więc w Niemczech oceniano dobrze znaczenie Lenina i wiedziano, gdzie go szukać. Jaką rolę w przygotowaniu rewolucji rosyjskiej odgrywały wpływy i finanse koalicji, a jaką niemiecki rząd i junkierskie miljony, dziś trudno powiedzieć. Amerykański Komitet publicznej informacji (Commitete of public information United States of America) uważa przywódców bolszewji za niemieckich najmitów i twierdzi, że cały bolszewizm został przygotowany przez niemiecki sztab jeneralny, a zapotrzebowanie finansowe pokrywał skarb Rzeszy. Na dowód przytacza 70 dokumentów porozumienia laederów bolszewizmu z niemieckiem kierownictwem wojny, obok licznych reprodukcyj fotograficznych przemawiających za tem samem. Pewne jednak dokumenty, według opinji rzeczoznawców ze strony koalicji, nie wytrzymują krytyki, lecz autentyczności innych nie mogą zaprzeczyć nawet Niemcy. Nie wypierają się też tego, że Leninowi ułatwili powrót do Rosji w chwili dlań najodpowiedniejszej [1]).

Pierwsze trudności zamachu rewolucyjnego wzięła na siebie partja »eserów« i »mienszewicy«. Zamach udał się właśnie dlatego, że te partje go podjęły, stanowiły bowiem większość lewicy, z którą sympatyzowały nawet czynniki rządowe, a w każdym razie należeli do niej liczni przedstawiciele arystokracji i inteligencji rosyjskiej. Jak każda rewolucja, tak i rewolucja marcowa, obok ogromnych korzyści na rzecz ogółu społeczeństwa rosyjskiego, przyniosła ze sobą demoralizację. Uległy rozkładowi przedewszystkiem dwa czynniki siły i rozwoju każdego państwa: poszanowanie i uległość władzy i dyscyplina wojskowa.

---

[1]) Burcew, z partji »eserów«, opublikował otwarty list, w którym zaznacza, że Niemcy przez swe terytorja przewieźli w zaplombowanych wagonach 200—300 rewolucjonistów, między którymi był Lenin, Trocki, Łunaczarski i t. d.

Kiedy w społeczeństwie zachwieje się powaga władzy, niema innej rady jak dać jakieś konkretne dowody, że ta władza jest, że tej władzy należy słuchać. Społeczeństwu rosyjskiemu, przywykłemu do dzikich, brutalnych sposobów rozkazywania i przeprowadzania rozkazów trzeba było dostarczyć wymownych dowodów tej władzy, tak jednak, by nie urazić idej demokratycznych, z któremi szła w przyszłość rewolucja. Było to rzeczą arcytrudną. Kiereński wierzył, że dokona tego swą porywającą wymową. Możeby mu się to nawet częściowo powiodło, bo psychologja mas dziwną jest w tym względzie, ale i to jest prawdą, że verba volant i że przy radykalniejszych propozycjach, które wysunęli bolszewicy, wobec silnego ujęcia rządu przez Lenina, było to wprost niemożliwe.

Lenin nie znał kompromisu, obcą mu była wszelka delikatność. Dostawszy się raz do władzy, wiedział, jak jej użyć. Bierności, cechującej całe niemal rosyjskie społeczeństwo, potrzeba było człowieka, któryby nie tylko porywał słowy, ale pchał do czynu, bo do tego popychania bezwzględnemi »ukazami« społeczeństwo rosyjskie przywykło od wieków i nie było w stanie pojąć, że może być inaczej. Lenin znał doskonale moskiewską duszę i wiedział, że jeszcze dla dawnych ideałów, jak car i prawosławie, które miały urok dla większości społeczeństwa, choć w pewnej jego części były znienawidzone do ostateczności, byłby się może bił rosyjski żołnierz, ale dla idei tak nowej, jak republika, demokracja, sołdat nie zechce krwi przelewać. Szerzył więc popularną już od pewnego czasu myśl o pokoju, pokoju natychmiastowym. Poza rządem Kiereńskiego, myślącego o dalszej wojnie, całe społeczeństwo rozbrzmiewało potrójnym postulatem: pokoju, chleba i ziemi. To wszystko obiecywał Lenin i tem odniósł zwycięstwo; mimo swej faktycznej mniejszości, w Rosji zapanował bolszewizm. »Jak przedtem (za rządów Kiereńskiego), powiada świetnie Parandowski w swej nowej pracy o bolszewizmie, była bierność zastoju, niezdecydowania, nieświadomości, tak pod rządami bolszewików objawiła się nowa forma bierności — bierność niszczenia i przelewu krwi, ślepego okrucieństwa i barbarzyńskiej dzikości. Zawsze ta sama bierność apatyczna nierozwiniętego narodu«.

Sylwetek i próbek bolszewickich rządów znamy aż nadto dużo z pism i opowiadań naocznych świadków, żeby tu o nich wspominać. Nikt nigdy nie będzie w stanie podać w przybliżeniu liczby ofiar, sprowadzić do jakichś ogólniejszych typów egzekucyj, a tem mniej

szczegółowo opisać te bestjalskie; szatańskie wprost mordy, to pławienie się we krwi ludzkiej, których widownią jest sowiecka republika. Opowiadania i opisy przynoszą nam takie fakty, fakty niekiedy kłócące się ze sobą, że wierzyć się nie chce w ich możliwość, ale właśnie dlatego, jak paradoksalnie zaznacza pewien francuski pisarz, wiarogodne. Chodzi nam tu o to, by w tym społecznym i moralnym katakliźmie odkryć jakąś zasadę, co nam ułatwi ocenę bolszewizmu i jego destrukcyjnej działalności.

To, że w rewolucji krew płynie, to nie jest dziwne, ani nawet samo przez się nie decyduje o wartości rewolucji, boć przecież w każdej wojnie krew się przelewa, a jednak nie każdą wojnę i nie wszechstronnie, przynajmniej jak dotąd, się potępia. Nie możnaby się też dziwić, że w rewolucji rosyjskiej spotyka się przykłady rozbestwienia. Niestety, rozbestwieniu ulegają i najbardziej cywilizowane narody. Trzeba więc przypuścić, że wśród cywilizowanego i umoralnionego tylko po wierzchu społeczeństwa rosyjskiego będzie tego rozbestwienia więcej, niż gdziekolwiek i kiedykolwiek indziej. Ale to wszystko jeszcze nie tłómaczy dostatecznie tego, co się działo i dzieje w Rosji. To można dopiero zrozumieć, poznawszy bliżej ludzi, kierujących akcją rewolucyjną i hasła bolszewickie.

Poznaliśmy Lenina jako fanatyka, konsekwentnego i w swej myśli i w działaniu. Wynikiem jego fanatyzmu jest i to, że dla celu, który uzna za dobry, nie będzie się liczył z żadną ilością ofiar życia ludzkiego. Z największym spokojem, nie dla osobistej przyjemności, tylko dla »idei«, podpisze wyrok śmierci choćby i na dziesiątki tysięcy ludzi. Ale gorszy pod tym względem jest chersoński żyd, Trocki. Ten ma jakąś sadystyczną rozkosz w mordowaniu, w pastwieniu się nad swemi ofiarami, o czem świadczą n. p. słowa apoteozy, jakiegoś okrutnego żartu na temat gilotyny: »O rozkoszna maszyno, wynaleziona przez lekarza, której celem jest skracać ciało ludzkie, tylko o głowę!« A takich Trockich w rządach bolszewickich jest legjon. Żeby przecież otrzymać jakieś znaczenie czy władzę w republice sowieckiej, wystarczyło wykazać się, że się siedziało w kryminale za poprzedniego »reżymu« lub że się było na zesłaniu. Więc najwstrętniejsze szumowiny społeczeństwa, ludzie, którym nihilistyczne teorje i zbrodnia pospolita wyżarły zupełnie sumienie, pojęcia i poczucie moralne, dostali się do steru sowieckich rządów. Najpospolitsi zbrodniarze pootrzymywali stanowiska komisarzy, profesorów, ministrów.

Wśród tej bandy opryszków 75% stanowią żydzi. Stąd to wielu skłonnych jest twierdzić, że bolszewizm jest dziełem, uplanowanem przez żydów całego świata [1]). Tkwi w tem twierdzeniu przesada. To, że żydzi tak wybitny biorą udział w krwawej i destrukcyjnej robocie bolszewickiej, nie dowodzi jeszcze tego, że zamach bolszewicki oni zorganizowali, lecz wystarczy powiedzieć, że z zamachu tego skorzystali, by się zemścić na całem społeczeństwie za pogardę, której od niego doznawali. Żydzi, w Rosji szczególnie upośledzeni, celem obrony swych interesów garnęli się prawie wszyscy do rewolucyjnych skrajnych organizacyj. Stąd jeszcze przed rewolucją i bolszewizmem pokaźny odsetek zwłaszcza esdecji stanowili żydzi. Nadto cechujący żydów brak moralnego wyrobienia, delikatności sumienia, najłatwiej odpowiadał i mógł się dostosować do bolszewickich metod. Służą więc bez skrupułu czerwonemu terrorowi, ale prócz tego nie zapominają o sobie. Robią miljonowe interesy, do czego ułatwiają im drogę ich wybitne stanowiska. Są na to liczne dowody. Trocki n. p. przez swego szwagra Żywałowskiego wysłał do Sztokholmu, gdzie bawi jego żona, około 300 miljonów. Czy w tem gromadzeniu kapitału niema też myśli zdobycia silnej pozycji w całej ludzkości do walki z chrześcijaństwem, do obrony żydostwa w całym świecie, trudno zaprzeczyć.

Jakkolwiek rzecz się ma w tej kwestji — bolszewizm rosyjski jest rażącym dowodem, jak strasznie lichym materjałem pod względem moralnym jest żydostwo; jest zarazem przestrogą dla naszego społeczeństwa, które tyle tej lichoty ma u siebie.

Inny typ krwiożerczych instynktów przedstawiają trzy jeszcze elementy, z których komisarze utworzyli specjalne kompanje egzekucyjne: Łotysze, Madziarzy i Chińczycy. Łotysze ogromnie przyczynili się do zapanowania bolszewizmu. W pierwszych tygodniach rządów Lenina były to najwierniejsze wojska Sowdepji. Potem zaciągnięto do służby Madziarów. Mongolskie ich instynkty dawały się we znaki jeszcze podczas regularnej wojny i to nie tylko wrogom Austro-Węgier, ale i narodom należącym do korony austrjackiej. Polacy i Rusini w byłej Galicji woleli mieć do czynienia z dzikim kozakiem

[1]) Tego zdania jest między innymi minister Niderlandów, który swój pogląd umieścił w angielskiej książce Białej, wydanej 1919. Czytamy tam na str. 6: Bolszewizm jest »zorganizowany i prowadzony przez Żydów, nie mających narodowości, a pragnących dla własnych celów zburzyć istniejący porządek rzeczy«. Parandowski, o. c. str. 41.

niż z Madziarem. Najniższe instynkty tych ludzi występowały już wtedy z taką mocą i brutalnością, że wszędzie ścigano ich pogardą i przekleństwem. Nic więc dziwnego, że w anormalnych stosunkach bolszewickich instynkty te przemieniły się w jakąś stałą żądzę patrzenia na ciała ludzkie konające w konwulsjach, zeszpecone ich pastwieniem się nad ofiarami. Wiadomo, że skazanym przez czerezwyczajki bolszewickie Madziarzy obcinają oczy, uszy, ręce przed egzekucją lub po niej, jak im dzika fantazja każe. A jeszcze bardziej wyrafinowani są w tych zbrodniach Chińczycy. Mają oni swoje specjalne sposoby zadawania mąk, jak n. p. wyłamywanie stawów poszczególnych członków, rąk i nóg, a czynią to z takim spokojem i obojętnością, jakby łamali kawałek patyka. Są to zresztą ludzie, którym jakby obce jest nie tylko współczucie, ale nawet jakiś lęk i obawa własnych cierpień. Z tą samą obojętnością potrafią innych torturować, jak czekać na własne katusze i znosić je prawie bez żadnego skurczu bólu. Prócz tego Trocki zorganizował bataljony t. zw. międzynarodowe, złożone z Niemców, Czechów, niestety i Polaków, oraz innych narodów i plemion. Dawni jeńcy, gnani rozpaczą, wstępowali w te kadry i tracili w nich tę resztkę uczuć ludzkich, których nie zdołała im wydrzeć wojna i długoletnia niewola.

Zrozumiałą jest rzeczą, że takie przykłady i ze strony rządu i ze strony owych mongolskich najemników mogły bardzo łatwo zniszczyć do reszty tę cienką warstewkę szlachetnych uczuć, która pokrywała duszę Rosjanina, azjatycką nawet w Europie. Nic dziwnego, że większość tych, którzy się oddali na usługi bolszewji, zamieniła się w okrutnych chuliganów, że wszystko jest splamione jedną wielką zbrodnią, urągającą uczuciom ludzkości, kulturze, najprymitywniejszej moralności.

Lenin sam otwarcie wyznaje, że na stu bolszewików 60 jest idjotów, głupich, 39 zbrodniarzy, a tylko jeden »ideowiec«. Burcew, znający z autopsji raj bolszewicki, twierdzi, że Lenin pomylił się tylko w jednem, mianowicie, że głupich będzie 39%, a 60% zbrodniarzy. A do tych trzeba jeszcze dodać i owego jednego »ideowca«. Czemże bowiem są te »ideje« i hasła bolszewickie, w które zapatrzeni są ich zwolennicy z przekonania? Sięgnijmy po odpowiedź do najautentyczniejszych źródeł, do pism Lenina i do konstytucji sowieckiej.

(Dok. nastąpi).

Ks. R. Moskała.

Uwagi nad metodą w sztuce starochrześcijańskiej [1]).

W lutowym numerze »Przeglądu powszechnego« ukazała się rozprawka: »O metodzie w historji sztuki starochrześcijańskiej«, będąca właściwie krytyką mojej książki: »Dzieje sztuki starochrześcijańskiej«. Ponieważ książkę moją zacząłem wydawać zeszytami w roku 1912, a skończyłem z wiosną 1913, a więc krytyka ukazała się w ośm lat po jej napisaniu. Przez ten czas znacznie rozszerzyłem swe studja, zwłaszcza nad sztuką bizantyńską, i to zagranicą, mając do rozporządzenia nieznane u nas materjały, a dziś mam już gotowy cały tom uzupełnień i zmian, który oczekuje wydania. Stąd rzeczywiście niektóre uwagi mojego krytyka uznaję za słuszne, bo sam do podobnych rezultatów doszedłem.

Niektóre uwagi, nie wszystkie, uznaję za słuszne, i dlatego piszę niniejsze wyjaśnienie, a po części sprostowanie zapatrywań krytyka.

Chcąc przygotować wstęp do badań sztuki w Polsce, napisałem Dzieje sztuki w pierwszych dziesięciu wiekach i nazwałem cały ten okres sztuką staro-chrześcijańską. Mój krytyk czyni mi zarzut, że sztukę bizantyńską widzę dopiero później po upadku obrazoburstwa. Otóż nie jest to ścisłe, gdyż na str. 232 wyraźnie stwierdzam początki sztuki bizantyńskiej za Konstantyna, a nawet za Dioklecjana. Pisząc przed ośmiu laty, po powrocie z Włoch, brałem jeszcze z zastrzeżeniem wywody Strzygowskiego, tyczące się przemożnego wpływu wschodniej sztuki na Europę, lecz im bardziej ku końcowi książki, tem więcej okazywałem się przekonanym. Teorje Strzygowskiego dotąd jeszcze odrzucają tacy ludzie, jak A. Venturi, Marucchi i Msgr. Wilpert. Zarzuty krytyka w tym względzie są w wielu rzeczach pozbawione podstaw, jak n. p. jakobym uważał Ewangeljarz Rabuli za zabytek Zachodu, nie syryjski, gdy na str. 90 i 355 zupełnie dokładnie zaznaczam jego pochodzenie i znaczenie, przyczem wyrażam się: »Ewangeljarz Rabulasa wykazuje, że sztuka wschodnia, która wydała tak urobioną już i udoskonaloną

[1]) W imię bezstronności dajemy miejsce niniejszym uwagom, będącym po części polemiką z artykułem ks. prof. Wł. Żyły. Redakcja.

rzecz, musiała stać dawno na wyższym, niż na Zachodzie, stopniu rozwoju i była dla Zachodu pierwowzorem«.

W omawianiu miniatur krytyk nie powiedział rzeczy najważniejszej, mianowicie, że nie można już, wobec nowszych badań n. p. Swarzeńskiego, pozostawiać podziału na szkoły Karolińskie, wprowadzone przez Janiczka.

Krytyk uważa za »inwencję rzymską« realistyczne popiersia, gdy w rzeczywistości powstały one z hellenistycznych nagrobkowych portretów. Zarzuca mi autor krytyki, że nie odróżniam »bazylik miejskich (św. Piotra) od cmentarnych (S. Lorenzo fuori le mura i S. Agnese fuori le mura)«. Otóż sądzę, że niema żadnego powodu do odróżnienia, gdyż bazylika św. Piotra, zbudowana nad pierwotnym grobem Apostoła, na cmentarzu podmiejskim, była taksamo bazyliką grobową, jak św. Paweł, św. Agnieszka i św. Wawrzyniec.

Co do kształtu bazylik bizantyńskich, to wcale nie twierdziłem, że są one typu wyłącznie okrągłego, gdyż zaznaczałem połączenie podłużnej bazyliki z okrągłą; krytyk natomiast nie zwrócił uwagi na to, że kościół św. Zofji nie miał ani jednego naśladownictwa.

Krytyk zarzuca, że nie rozróżniam malarstwa monumentalnego (mozaikowego i freskowego) od drobnego (miniatury, obrazy sztalugowe). Jeżeli omawia się je w osobnym ustępie, to chyba odróżnia się je.

Inne uwagi co do układu książki są nie na miejscu, bo autor tak układa książkę, jak to sam uważa za najlepsze.

Krytyk zarzuca mi jeszcze, że nie podaję historji rozwoju sztuki, ale opisuję przykłady na sposób encyklopedyczny. Opis rozwoju jest ulubiony u uczonych niemieckich, ja zaś zawsze i stale będę trzymał się tego, że będę podawał umotywowane przykłady, a poglądy, wywody, »rzuty oka« może wyprowadzić sobie sam inteligentny czytelnik.

Inny zarzut, że klasycyzm uważam za miarę w ocenianiu wartości artystycznej danego dzieła i dodaje, że »na szczęście ta teorja już jest przezwyciężona. Artysta będzie prawdziwie twórczym, a dzieła jego dziełem sztuki, chociaż się umyślnie oddala od wzorów klasycznych, a oddala się, bo tak chce, bo ma w tem swoje tendencje artystyczne. Nie jest to upadek lub nieudolność, jak się nam zdaje, lecz odmienna wola artystyczna. I to się odnosi w całej pełni do sztuki chrześcijańskiej. Ona o tyle właśnie jest chrześcijańską, i co za tem idzie, staje w opozycji do pogańskiej, o ile się z pod jej wpływu wyzwala i staje na własnych nogach«. Zgadzam się zupełnie z twierdzeniem autora, że w sztuce nie powinno chodzić jedynie o naturalność, o zbliżenie się do przyrody, ale sztuka chrześcijańska przez to, że wyzwoli się z pod wpływu klasycznej, niekoniecznie jeszcze »stanie na własnych nogach«, bo przecie i Goya y Lucientes i Felicien Rops byli w tej opozycji do naturalizmu. Nie wystarcza »sama twórczość, choćby nie była piękną«, ale twórca musi wypowiadać jakąś myśl w sposób natchniony. Że nie stoję w ocenianiu wartości artystycznej na stanowisku klasycyzmu, wyrażam to jasno na str. 32: »dla chrześcijan sztuka nie była celem« itd., nie godzę się jednak stanowczo na to, by sztuka bizantyńska wyrażała

ducha prawdziwego chrześcijaństwa. Budownictwo i sztuka zdobnicza stanęły w Bizancjum niezmiernie wysoko, ale stylizacja osób i ich wyraz nie ma nic wspólnego z duchem prawdziwego chrześcijaństwa, z duchem miłości Chrystusowej, czem właśnie wyróżniała się sztuka początkowych wieków chrześcijaństwa. Sztuka bizantyńska wyobraża doskonale zimny ceremonjał bizantyński z całą jego zewnętrzną powagą i zewnętrzną pobożnością, kryjącą zbrodnie najgorsze, bizantynizm, to używanie religji do celów świeckich, wtrącanie się państwa w sprawy Kościoła, popełnianie strasznych zbrodni pod osłoną pobożności. Chrystus w bizantyńskiej sztuce nie jest głosicielem miłości i pokoju, ale groźnym sędzią i mścicielem. Ta groza bije od postaci świętych, od duchownych i zakonników, tak jak wszędzie na Wschodzie, dobroć poczytuje się za słabość, a grozę za siłę. I dziś osoba biskupa greckiego odznacza się jedynie powagą i grozą. Jak z jednej strony niezgodny jest z duchem prawdziwego chrześcijaństwa pogański naturalizm, tak i z przeciwnej strony niezgodny jest i bizantynizm. Jeżeli gdzie szukać prawdziwej sztuki chrześcijańskiej, to właśnie w pierwszych czasach chrześcijaństwa, w szczerych, choć naiwnych, ale pełnych miłości i nadziei obrazkach i prostych symbolach i stąd, choć z punktu widzenia bezwzględnego artyzmu mogą komuś podobać się dzieła bizantyńskie, to, co do mnie, zawsze będę je uważał za dalekie od ducha prawdziwego chrześcijaństwa.

Kiedy już mówimy o bizantyńskiej sztuce, to dodam pewien mało u nas znany szczegół o początku Odrodzenia na gruncie właśnie bizantyńskim. W samej Grecji snać rychło uznano ujemne strony bizantynizmu w sztuce, bo wcześnie spotykamy się z nowym prądem. Oto w końcu X w. zakonnik Łukasz buduje w przepięknej dolinie w dawnej Fokidzie klasztor, gdzie podobnie jak później św. Franciszek Seraficki żyje otoczony wspaniałą przyrodą, w której widzi dzieło rąk Bożych, a nie twór złego ducha. Stąd swoboda duchowa, stąd prawdziwa miłość Boża. Postać Łukasza z Fokidy to jakby pierwszy przebłysk Odrodzenia. Odrodzenia więc kolebką jest Grecja. Wiadomo, że Vasari, mimo całej pogardy, jaką miał dla sztuki bizantyńskiej, pisze wyraźnie, że Giotto, jeden z pierwszych twórców Odrodzenia, był uczniem Greków. Profesor uniwersytetu w Charkowie, Teodor Szmit, w dziele swem o mozaikach kościoła Kachrié Dzami w Carogrodzie, które wykazują już wiele znamion Odrodzenia, jak swobodę w ruchach, profil osób, nieznany w sztuce bizantyńskiej, znaczny już wpływ żywej przyrody itd., udowadnia, że mozaiki te powstały po ustąpieniu krzyżowców z Carogrodu, a więc pod koniec XIII wieku. Przed zajęciem Carogrodu przez krzyżowców w r. 1204 panował w sztuce jeszcze dawny duch bizantyński, a więc było prawdopodobne, że początki Odrodzenia powstały w czasie, gdy cesarstwo bizantyńskie było na wygnaniu w Małej Azji. Dowód na to znalazł znakomity ten uczony w końcu drugiego roku wojny. Mianowicie po zajęciu Trebizondy przez wojska rosyjskie czynił on badania w tamtejszym kościele N. P. Marji. Kościół ten zamienili Turcy na meczet po zdobyciu tego miasta, co nastąpiło niedługo

po przeniesieniu się cesarzy z Trebizondy do Carogrodu, a więc znajdujące się tam malowidła musiały pochodzić z czasów cesarstwa greckiego w Trebizondzie. Otóż po odbiciu tynku pokazało się, że freski są nawskróś naturalistyczne, oblicza świętych, ręce i bose nogi są znacznie więcej naturalne, niż w dziełach pierwszych mistrzów włoskiego Odrodzenia. Do Małej Azji zaś duch naturalizmu przyszedł zapewne z dalekiego Wschodu, gdzie stylizacja jest bardzo silna, ale naturalistyczna, z podkreśleniem najdrobniejszych i nieładnych na pozór właściwości przyrody. Tak więc w temże Bizancjum, w którem zaczęła się zakamieniała ostrość stylizacji, poczęło się Odrodzenie, które wydało największych mistrzów sztuki chrzescijańskiej, twórców początkowego Odrodzenia, jak Giotto, Donatello i Fra Angelico.

Ks. Dr. T. Kruszyński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Propedeutyka teologiczna.

Grabmann Martin: Einführung in die Summa Theologiae des hl. Thomas von Aquin, Freiburg, Herder 1919; str. VII, 134. (4·40 Mk.).

Wobec ożywiającego się także i u nas w Polsce zainteresowania się filozofją św. Tomasza z Akwinu (czego dowodem zorganizowanie się osobnej sekcji tomistycznej przy krakowskiem Towarzystwie filozoficznem) nie będzie od rzeczy zwrócić uwagę na małe, ale niezwykle interesujące dziełko, jakie świeżo ogłosił znakomity znawca filozofji i teologji średniowiecznej, ks. M. Grabmann, profesor dawniej wiedeński, obecnie monachijski. Ma ono za cel wprowadzenie czytelnika w studjum Summy teologicznej — ale nie tyle wprowadzenie w treść tego monumentalnego dzieła, ile w jego ducha i formę, a to przez rzucenie Summy na tło historyczne, bez którego nie sposób dojść do zupełnego jej zrozumienia.

Ważność i potrzeba takiego historycznego wstępu do Summy św. Tomasza stanie się natychmiast zrozumiała, jeżeli powiem, że w ogromnej literaturze tomistycznej nie było dotąd dzieła, któreby właśnie taki cel, jak ks. Grabmann, miało na oku, Komentarze, jakie do Summy spisano, mogłyby tworzyć całą bibljotekę; ogromny jest także poczet kompendjów filozoficzno-teologicznych »ad mentem S. Thomae«, których przeczytanie ułatwia początkującemu zrozumienie naczelnych myśli Akwinaty — ale wszystkie te dzieła i dziełka nie troszczą się wcale, albo troszczą się bardzo mało o stronę, że się tak wyrażę, historyczno-literacką pism św. Tomasza. Ich twórcy nie zastanawiają się najczęściej nad tem, co z treści tych pism istniało już przed św. Tomaszem, zarówno w teologji patrystyczno-scholastycznej, jak i w filozofji greckiej, arabskiej i okcydentalnej; nie biorą pod uwagę okoliczności czasu, w jakim działał i pisał św. Tomasz, a w szczególności następstwa chronologicznego poszczególnych pism »doktora anielskiego«; skutkiem tego nie zadają sobie nawet najczęściej pytania, czy pewne drobne rozbieżności, jakie się między różnemi dziełami Akwinaty dają zauważyć, nie są przypadkiem symptomatami wewnętrznego rozwoju jego myśli filozoficznej; jednem słowem, uważają wszystkie pisma św. Tomasza jak

gdyby wyniesione poza obręb czasu, lub jak gdyby rzucone na jedną płaszczyznę bez uwzględnienia kolejnego ich następstwa oraz zawieszone w próżnej przestrzeni bez uwzględnienia nici, jakie je z przeszłością i współczesnością łączyły.

Że taki stan rzeczy nie jest dla neotomistów ani dla nikogo innego korzystny, kto dla jakichkolwiek powodów chce się z filozofją św. Tomasza zapoznać, nietrudno zrozumieć; bo przecież jakżeż może być mowa o wszechstronnem zrozumieniu jakiegoś autora, jeżeli się go w tak ahistoryczny sposób traktuje! Nie szukając daleko, ileż to razy trafiałaby dyskusja na zebraniach wspomnianej już »sekcji tomistycznej« o wiele prościej, prędzej i pewniej do celu, gdyby każdy z uczestników starał się wniknąć w odczytywane zdania przedewszystkiem z historycznego punktu widzenia. Przecież już samej terminologji św. Tomasza (zwłaszcza w jego dziełach najwcześniejszych) nie podobna dokładnie zrozumieć, jeżeli się nie wie, w jakiem znaczeniu używali tychsamych słów jego współczesni, którzy znów ze swej strony przejmowali je głównie z tłómaczeń grecko-łacińskich i arabsko-łacińskich.

Te wstępne uwagi wystarczą do postawienia dziełka ks. Grabmanna we właściwym świetle. Cel jego jest trojaki. W pierwszym rozdziale zapoznaje nas autor przedewszystkiem z pojęciem »summy teologicznej« wogóle, t. j. ze znaczeniem, jakie temu mianu w ustach średniowiecznych pisarzy odpowiadało: słowem tem oznaczono systematyczny wykład (podręcznik) teologji spekulatywnej. »Summ teologicznych« znamy około dwudziestu; kwitnął ten rodzaj przez cały ciąg XIII-go i w pierwszej ćwierci XIV-go wieku. Najwybitniejszą z nich zarówno pod względem treści, jak i ze względu na rolę historyczną jest właśnie Summa św. Tomasza, do której się teraz autor zwraca, poświęcając długi i ważny ustęp (str. 7—33) historji jej powstania oraz określeniu jej stanowiska w obrębie piśmienniczej twórczości jej autora. Jak wiadomo, nie stoi Summa w bezpośrednim związku z działalnością nauczycielską św. Tomasza, chociaż się formą zbliża do pism, jakie na tle tamtej działalności powstały, a więc przedewszystkiem do »Questiones disputatae«. Fakt ten wyjaśnia się z uwagi na porządek chronologiczny pism św. Tomasza. Pomijając dla krótkości pisma, które nas tu nie obchodzą, zaznaczę, że dla Quaestiones disputatae przyjmuje Grabmann następujące daty: 1) Qd. de veritate 1256-1259; 2) z czasu pobytu we Włoszech (1259-1268): Qd. de potentia, Qd. de malo, Qd. de natura beatitudinis; 3) z czasu drugiego pobytu w Paryżu (1268-1272): Qd. de virtutibus [1]). Co do Summy, wyznaje, że tu wątpliwości są większe;

[1]) Opierając się na zupełnie innych przesłankach, niż Grabmann, doszedłem jeszcze w r. 1915 do całkiem analogicznych rezultatów, z tą tylko różnicą, że wedle mnie Qd. de malo powstały po Qd. de virtutibus. Rezultatów tych nie ogłosiłem wtedy, ustępując przed autorytetem Hertlinga (w rozprawce cytowanej przez Grabmanna na str. 22), którego argumentów za powstaniem Qd. de spiritualibus creaturis w Paryżu nie potrafiłem wtedy obalić. Obecnie, skoro Grabmann (str. 21) znalazł świadectwo rekopiśmienne, wywracające argumenty Hertlinga, przesłałem moją, w r. 1915 napisaną, rozprawkę do redakcji »Philosophisches Jahrbuch« w Fuldzie.

na każdy sposób należy ją umieścić w latach 1266-1273 i to zapewne w taki sposób: Prima napisana została cała we Włoszech, Secunda częściowo jeszcze tu, a częściowo już w Paryżu, Tertia w Neapolu (1272-1273). Jeżeli się jeszcze zważy, że Quaestiones de quolibet powstały także podczas włoskiej i drugiej paryskiej działalności nauczycielskiej św. Tomasza, wyjaśni się w wysokim stopniu wzajemny stosunek zarówno treściowy jak i formalny wszystkich tych wymienionych dzieł. Równocześnie wypada nam odpowiedź na pytanie, jakie miejsce należy się Summie w całokształcie piśmienniczej twórczości »doktora anielskiego«: »Summa uważana jako całość stanowi najpełniejszy a zarazem najbardziej zamknięty, samoistny[1]), systematyczny, ogólny wykład teologji tomistycznej, łącznie z jej filozoficznemi podstawami i założeniami. Należąc do ostatniego okresu życia i twórczości wielkiego scholastyka, przygotowana przez szereg większych i mniejszych prac przygotowawczych i tworzona równolegle z innemi współczesnemi, głęboko analizującemi pracami, przedstawia również Summa bezwątpienia najbardziej dojrzałe dzieło Akwinaty, będące w zakresie wielu zagadnień jego ostatniem słowem« (Grabmann str. 25). Podkreślić tutaj należy, że ocena ta odnosi się do Summy jako do całości; ze względu na wiele specjalnych zagadnień zapuszczają się inne dzieła częstokroć i głębiej i szerzej, niżby to było możliwe w Summie ze względu na architekturę całości. Bo też Summa miała, jak zaraz zobaczymy, zupełnie inne zadanie, niż n. p. Quaestiones disputatae, wyrosłe bezpośrednio na gruncie dysput, których są jak gdyby protokołami. Ponieważ jednak żadne inne dzieło św. Tomasza nie jest złączone z jego Summą tylu więzami chronologicznemi i treściowemi, co właśnie Quaestiones disputatae, wybijają się one na pierwszy plan przy stosowaniu hasła: »objaśniać Tomasza Tomaszem (divus Thomas sui interpres)«. Nie mniej jednak należy tu mieć na oku ciągle te zasadnicze między Summą a Quaestiones disputatae (i Quaes iones de quolibet) różnice, które płyną z różnego tych przeciwstawionych dzieł charakteru i różnych okoliczności normujących ich powstanie (Grabmann str. 30-32). Tosamo mutatis mutandis stosuje się do innych grup pism Akwinaty (komentarze do Arystotelesa, komentarz do Sentencyj, Summa contra Gentiles, Opuscula, komentarze do Pisma św.), które dostarczają wiele materjału do wyjaśnienia poszczególnych ustępów Summy — pod warunkiem, że czytelnik będzie sobie dokładnie zdawał sprawę z tego, jakie miejsce danemu dziełu należy wyznaczyć w całokształcie piśmienniczej twórczości św. Tomasza (Grabmann str. 26-30).

Rozwiodłem się dłużej nad streszczeniem tego najważniejszego w całej książeczce ks. Grabmanna ustępu (str. 7-33), bo w nim się zawiera »in nuce« znaczna część treści trzeciego rozdziału, który ma dać praktyczne wskazówki do czytania i komentowania Summy (zob. niżej). Tymczasem jednak jeszcze jesteśmy w rozdziale pierwszym i znajdujemy tu na trzeciem miejscu krótki rys dziejów, jakie przechodziła

[1]) W przeciwieństwie np. do komentarza »in libros Sententiarum«.

Summa od XIII do XX wieku; najważniejsi komentatorowie przesuwają się grupami przed oczyma czytelnika.

Rozdział drugi przypomina nam, że ks. Grabmann jest autorem znakomitych »dziejów metody scholastycznej« [1]); oto stara się on tutaj o wydobycie z prologu, jakim św. Tomasz Summę swą poprzedził, tych wskazówek, któreby nas pouczyły o celu tego dzieła i o metodzie, zapomocą której autor do tego celu zdążał. Ustala przeto, że Summa, chociaż nie powstała bezpośrednio z wykładów lub dysput autora, nie mniej przecież ma za cel »eruditio incipientium«, tj. pisana jest dla uczniów »anioła szkoły«; treścią mają być »ea, quae ad christianam religionem pertinent« w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu; metoda ma być łatwa i przystępna dla nowicjuszów. W długim ustępie (str. 53-98) analizuje teraz Grabmann, na czem ta metoda w szczegółach polegała. Wedle słów św. Tomasza trojakie są główne braki dotychczasowych podręczników teologji: po pierwsze za wielka ilość niepotrzebnych »kwestyj«, artykułów i argumentów; po drugie nieprzejrzystość i brak systematyczności przy układzie i uporządkowaniu treści; po trzecie nużąca rozwlekłość i częste powtarzanie jednego i tegosamego. Słuszność tych uwag ilustruje Grabmann na licznych przykładach, zaczerpniętych z pretomistycznych podręczników teologji; równocześnie wykazuje szczegółowo, jak św. Tomasz unikał wszelkiego zbytniego balastu, jak doskonale usystemizował Summę czy to pod względem podziału zewnętrznego, czy też konsekwentnej budowy wewnętrznej, jak wreszcie unikał powtarzania jednych i tychsamych rzeczy, a w zamian za to wynajdywał nowe drogi, jakiemi jeszcze jego poprzednicy nie chodzili.

Rozdział trzeci zawiera szereg »myśli o sposobach objaśniania Summy teologicznej i korzystania z niej«. Rozróżnia tutaj Grabmann dwojaki sposób wnikania w to główne dzieło św. Tomasza: systematyczny i historyczny. Nie mogę tu wchodzić we wszystkie szczegóły: wystarczy zaznaczyć, że przy wnikaniu systematycznem trzy stopnie należy kolejno przebyć: przedewszystkiem starać się o zrozumienie samej »literatury« tekstu i to w łączności z całokształtem biegu myśli św. Tomasza; po drugie »objaśniać Tomasza Tomaszem«, mając to wszystko na względzie, o czem już wyżej w pierwszym rozdziale była mowa (odróżnianie dzieł autentycznych od nieautentycznych, ich chronologja i związki wewnętrzne itd.); potem dopiero zapoznać się z późniejszymi komentatorami. Druga, »wyższa« metoda jest historyczno-genetyczna: należy badać św. Tomasza na tle epoki, wyświetlać jego źródła i stosunek do poprzedników, brać pod uwagę wszystkie wydarzenia współczesne jego życia i wpływy, jakie nań działały, oraz wyśledzać oddziaływanie pism jego na bezpośrednich następców. Jakiemi się przy tem kierować zasadami i na co uważać, o tem się szeroko ks. Grabmann rozpisuje (str. 113-121); wolno mi więc do niego odesłać czytelnika, bo mojem zadaniem nie może być tutaj powtórzenie wszystkich

[1]) Die Geschichte der scholastischen Methode, Freiburg, Herder 1919 i nast. (dotąd dwa tomy).

tych wskazówek metodycznych, ale tylko zwrócenie na to uwagi, że żadnemu czytelnikowi Summy św. Tomasza nie będzie odtąd wolno nie wziąć do ręki książeczki ks. Grabmanna. Kończy ją parę uwag o znaczeniu Summy teologicznej dla naszych także czasów, przyczem ze względu na obecne przewroty socjalne dochodzi głównie do głosu Secunda, słusznie zresztą od wieków uważana za szczyt twórczości św. Tomasza.

Dr. A. Birkenmajer.

Z historji sztuki.

Ks. Feliks Dettloff. Stosunki artystyczne biskupa poznańskiego Urjela z Górki z Norymbergą. Poznań, 1919, str. 42.

Pod tym tytułem ukazała się niedawno rozprawa znanego historyka sztuki ks. Szczęsnego Dettloffa z Poznania, w której autor daje kilka przyczynków do historji stosunków artystycznych biskupa poznańskiego Urjela z Górki z Norymbergą.

Urjel z Górki, który umarł w r. 1498, utrzymywał żywe stosunki z Norymbergą, głównie finansową, umieszczając w tamtejszych kasach olbrzymie swe kapitały. Tem się też tłumaczy, że po dzieła sztuki nie udaje się ani do Krakowa, gdzie wówczas czynny był Wit Stwosz, ani do bliższej Saksonji, lecz do odległej Norymbergi. Nawiązawszy stosunki z Norymbergą finansową, czynił też zamówienia w Norymberdze artystycznej. A czynna była wówczas w Norymberdze rodzina Vischerów, Hermanna i syna jego Piotra Vischera Starszego.

Norymberskie pochodzenie zdradzają też nagrobki bronzowe, które Urjel dla katedry poznańskiej zamówił. Pierwszym jest nagrobek ojca jego wojewody Łukasza z Górki, który umarł 1475. Drugim nagrobek jego własny.

Co do pierwszego konstatuje najpierw autor, że jest dziełem norymberskiem. Przemawiają za tem właściwości stylistyczne pomnika. Chodzi tylko o to, czy płyta Łukasza z Górki jest dziełem Hermanna Vischera, czy też syna jego Piotra. Wobec tego, że Piotr w r. 1475 mógł mieć lat około 15, sądzili niektórzy, że płyta ta nie może od niego pochodzić, lecz od ojca. Wychodzili oni z fałszywego założenia, że płyta musiała być sporządzona w roku śmierci Łukasza z Górki t. j. 1475. Prostuje to mniemanie autor trafną i przekonywującą argumentacją. Wywody jego są następujące: Najpierw charakter całej płaskorzeźby, tak ujęcia postaci jak i obramienia, świadczy o znacznie późniejszem powstaniu pomnika, niż w r. 1475. Powtóre na płycie znajdują się figurki Apostołów zupełnie podobne do tych, które autor znalazł na projekcie do grobu św. Sebalda w Norymberdze z r. 1488. Zatem nasz nagrobek mógł powstać dopiero po r. 1488, a więc w 13 lat po śmierci Łukasza z Górki. Lecz, że projekt do grobu św. Sebalda jest dziełem Piotra Vischera, jak to autor wykazał w swojej rozprawie

pod tym tytułem z r. 1915 [1]), zatem twórcą pomnika Łukasza z Górki jest nie Hermann Vischer, lecz syn jego Piotr. Przemawiają za tem figurki Apostołów tu i tam podobne, jakoteż odpada trudność zbyt młodego wieku Vischera, bo wtedy, t. j. po roku 1488, już liczył lat 28.

Teraz chodzi o datę drugiego pomnika, samego biskupa Urjela. Umarł on 1498 r. Pytanie zachodzi, kto i kiedy go zamówił? Że nie powstał po śmierci biskupa, widać stąd, ze na końcu legendy większemi głoskami wyryte są słowa: »Anno Dni 1498«, a potem luka niewypełniona niczem. Widocznie nagrobek był gotowy przed śmiercią biskupa, a po śmierci dopisano tylko datę śmierci większemi głoskami.

Drugie znowu pytanie, w jakim odstępie czasu od poprzedniego pomnika (po 1488) został wykończony pomnik biskupa? Styl przemawia za tem, że pomnik został wykonany w znacznym odstępie czasu po pomniku ojca biskupa. Znacznie bowiem udatniej postać biskupa wsadzona jest w przestrzeń i znacznie staranniej wykończona jest legenda wokoło płyty. Że zaś pozycja biskupa en face i fałdy u nóg przypominają bardzo dwa inne pomniki biskupie Piotra Vischera St., mianowicie Ernesta w Magdeburgu z r. 1495 i Jana Rotha we Wrocławiu z r. 1496, zatem wniosek łatwy, że około tego czasu powstał i nasz pomnik Urjela z Górki.

Tym stylistycznym argumentom przybywają na pomoc dane archiwalne. Oto znalazł autor dwa dokumenty, z których wynika, że Urjel z Górki 1495 i 1496 r. wysyłał posłańca do Norymbergi z poleceniem, aby wyjął pieniądze i sprawy jakieś pieniężne mu załatwił. Przypuszcza więc autor bardzo trafnie, iż biskup r. 1495 nagrobek dla siebie u Piotra Vischera zamówił, posyłając mu swój wizerunek (Visierung) i dając zadatek, a 1496 za gotową płytę resztę zapłacił.

Płyta jednak w Norymberdze została aż do śmierci biskupa 1498, poczem uzupełniono w Norymberdze legendę »Ano Dni 1498« i odesłano do Poznania. W Poznaniu bowiem niktby wówczas nie potrafił tak dobrze wyryć tych ostatnich słów legendy.

Mamy tedy datę jednego i drugiego pomnika, ojca Łukasza po r. 1488, a biskupa 1495—1496. Obu zaś nagrobków twórcą jest nie kto inny, tylko Piotr Vischer St. Urjel bowiem, udając się w latach 1495 i 1496 do Norymbergi w celu zrobienia nagrobka, mógł go zamówić tylko u P. Vischera, bo innego wówczas w Norymberdze nie było. Zatem nagrobek Urjela jest dziełem Piotra Vischera. Ponieważ zaś nagrobek Łukasza zdradza wyraźne podobieństwo stylistyczne i motywów do pomnika Urjela zatem jednego i drugiego twórcą jest Piotr Vischer St.

Oprócz stosunków Urjela z Górki z Piotrem Vischerem St. wykrył autor na podstawie dokumentów nadto stosunki biskupa z innymi norymberskimi artystami, z Albrechtem Dürerem St. (ojcem sławnego malarza i sztycharza), który był złotnikiem i sporządził dla biskupa kilka

---

[1]) Rozprawa »Der Entwurf vom 1488 zum Sebaldusgrab«, Poznań, 1915, odznacza się umiejętnem posługiwaniem się metodą historyczno-artystyczną, a i zewnętrznie zaleca się starannem wydaniem i bogactwem ilustracyj.

sreber stołowych i z niejakim Szymonem Lainbergerem rzeźbiarzem, u którego zamówił Ogrojec dla Poznania. Dziś jednak niema żadnego śladu, czy ten ogrojec do Poznania dostawiony został.

W rozpawie omawianej autor posługuje się biegle dwojaką metodą w badaniach historyczno-artystycznych. Nietylko korzysta pilnie z dokumentów, jak każdy inny historyk, ale także bada sam monument i zestawiając go z innemi wnioski swe wyprowadza. Łączy tedy metodę czysto historyczną z metodą historyczno-artystyczną, którą to ostatnią głównie posługiwać się powinien każdy historyk sztuki. W tym względzie praca ta lepsze daje o autorze wyobrażenie, niż rozprawka jego niemiecka z 1919, drukowana w zeszycie kwietniowym lipskich »Monatshefte für Kunstwissenschaft«, mająca na celu ustalenie dat trzech nagrobków marmurowych Wita Stwosza z epoki jego krakowskiej, a przeprowadzona metodą czysto historyczną.

Ks. Wład. Żyła.

X. Władysław Żyła: Katedra ormiańska we Lwowie, Kraków 1919, str. 160, 13 ilustr.
Tenże: Kościół OO. Dominikanów w Tarnopolu, Lwów 1917, str. 82, 58 ilustr.

Dwie te, niewielkie rozmiarami prace należy powitać jako cenny dorobek naszej nauki w zakresie historji sztuki kościelnej. Książka o katedrze ormiańskiej ma tę wielką zasługę, że po raz pierwszy opisuje dokładnie ten cenny zabytek. Obydwie prace, tak w tekście jak i w ilustracjach, starają się wyzyskać metodę porównawczą i dają nam rzeczy prawdziwie naukowe.

Mamy atoli do wypowiedzenia kilka krytycznych uwag, dotyczących tak obydwóch prac, jak w szczególności książki o katedrze ormiańskiej.

Najpierw pragnęlibyśmy, aby autor uwolnił się od zbytniego wpływu niemczyzny. Autor opiera się prawie wyłącznie na źródłach niemieckich i posługuje się bez potrzeby wyrażeniami niemieckiemi, jak: Eselrücken, Kielbogen, Dachreiter, Kreuzkuppelbasilica, Stileinheit, Stilreinheit; ukazują się u niego usiłowania nowych Stürmerów i Drängerów i t. d. Nawet tam, gdzie wyjawia swe wrażenia estetyczne, wyraża się po niemiecku: »urozmaicone widoki na wskróś (Durchblicke)«, a nawet w określeniu stylu Ludwika XIV widzi »Das Spielende, das Zierliche«. Niepotrzebne są też wyrażenia takie, jak: »tambur«, »kondygnacja«, »ubikacja«, »krzyż da się wsadzić w konstrukcję«, »kościoły niektóre formalnie zapakowane«, »kłaść malowidło«, »markować«, »arcymalowniczy pejzaż«, »uplaçować« i t. d. Dalej niepożądanem jest określanie miejscowości wedle dokonanych zaborów Polski. Tak w określaniu miejscowości przy wyliczaniu kościołów, zbudowanych jeszcze przed rozbiorami, używa wyrażeń: »Poznańskie, Królestwo, Galicja«; a nadto n. p. Mozyr leży w Królestwie, Tarnopol jest stołecznym grodem Podola, zamiast powiedzieć Święta Lipka w Prusach Książęcych, mówi »Heiligelinde

w Wschodnich Prusach«, w Pradze czeskiej znajduje »Kreuzherrenkirche« i t. d.

Zupełnie błędnie mówi, że na Kaukazie plemiona pokrewne Ormianom zamieszkują Abchazję, Mingrelję i Georgję czyli Gruzję. W rzeczywistości istnieje naród, mający swój odmienny obrządek, naród, który podlegał państwu bizantyńskiemu, miewał własnych władców, albo też ulegał w części Ormianom, zwany przez europejczyków Gruzinami, Geogjanami, od św. Jerzego (Georgios), który zawsze doznawał w tamtych krajach wielkiej czci. Gruzini samych siebie nazywają Kartweli. Gruzja dzieli się na pięć głównych krajów, mianowicie na Swanetję, Abchazję, Mingrelję, Imertynję i Łazistan w okolicach Trebizondy. Różnice językowe są tak znaczne, że n. p. narzecze Swanetji tak jest oddalone od narzecza Łazistanu, jak język rosyjski od czeskiego. Gruzini mają swą odmienną sztukę i nie można n. p. wyrażać się, że zabytki w Gelati czy Pitkunda należą do sztuki ormiańsko-kaukaskiej. Uwaga ta jest tem ważniejsza, że ostatnie badania na Kaukazie prof. F. I. Szmita, D. P. Gardiejewa i B. Taranuszczenki wykazały, że sztuka dawnej Rusi pozostawała w bardzo ścisłym związku ze sztuką kaukaską, a n. p. mozaiki klasztoru w Gelati są znacznie więcej zbliżone do mozaik u św. Zofji w Kijowie, niż mozaiki carogrodzkie. Ruś w swym czasie sięgała aż po Kaukaz, a nad samem morzem Azowskiem leżał Tmutorokań, siedziba udzielnego księstwa ruskiego.

Autor w studjach nad katedrą ormiańską opiera się jedynie na źródłach niemieckich, które są zupełnie niewystarczające, bo samemu Strzygowskiemu zarzucają uczeni, że niema odpowiednich wiadomości do wydawania dzieła o budownictwie ormiańskiem. Istnieje natomiast bardzo cenny dorobek naukowy, wydawany w języku rosyjskim, bo i Gruzini i Ormianie, jak sławny Marr, Achflidiani, Bakradze i t. d., piszą prawie wyłącznie w języku rosyjskim, a literatura ta jest tak bogata, że bez znajomości jej niema mowy o wyczerpującej pracy z zakresu sztuki ormiańskiej.

Co do strony zewnętrznej prac ks. Żyły, to zdjęcia są bardzo słabe, a przy opisie katedry ormiańskiej musimy wierzyć na słowo, bo widoki katedry są malutkie i to nawet nie oryginalne, ale wzięte z zamazanej siatkowej kliszy.

Co się tyczy wreszcie zagadnień stylowych, to nie wiem, dlaczego autor rozróżnia między motywami zdobniczemi perskiemi, arabskiemi i syryjskiemi, gdy w rzeczywistości są one tworem jednej sztuki, t. zw. mahometańskiej, która powstała na dawnej mezopotamskiej, a po drugie, dlaczego autor ślepe łuki, zdobiące ścianę, zalicza do części konstruktywnej budowli?

Ks. dr. T. Kruszyński.

Wychowanie.

Ks. Arcybiskup Bilczewski: Charakter. List pasterski do uczniów szkół średnich i seminarjów nauczycielskich. Poznań - Warszawa, 1920, str. 168.

Nie po raz pierwszy zwraca się Dostojny Arcypasterz z osobnem słowem pasterskiem do uczącej się młodzieży. Już lat temu kilkanaście wzywał dusze młodociane do lotów górnych słowami poety: »Młodości! ty nad poziomy wylatuj«. W ciągu tej wojny, pustoszącej nasz kraj, a w szczególności kresową diecezję bł. Jakóba Strzemię, kiedy wszyscy pojmują, że odbudowę naszą musimy oprzeć przedewszystkiem na charakterach prawych, szlachetnych i dzielnych, pisze częściami, co rok część nową, posłanie pasterskie do tych, co są ojczyzny nadzieją, ucząc ich, jakie i jakiemi sposobami mają w sobie kształtować charaktery. Obecnie wszystkie części zostały wydane razem. Już część pierwsza, poświęcona »charakterowi czysto ludzkiemu«, zakreśla młodej duszy pracę wielką nad ukształtowaniem rozumu i woli przy udziale wyobraźni i uczuć z pobudek czysto naturalnych. Część druga o »charakterze chrześcijańskim« otwiera przed dobrą wolą młodzieńca perspektywy nieskończenie szersze, podnosi jego oczy do ideałów wyższych, nadprzyrodzonych, uczy posługiwać się skarbami łask, jakie w Kościele swoim pozostawił Chrystus. Wreszcie trzecia część wskazuje na żywy »pierwowzór charakteru«, jakim dla wierzącego jest sam Bóg w ludzkiem ciele zjawiony.

Książeczka o charakterze wraz z listem do młodzieży z r. 1905 stanowi całkowity niemal podręcznik dla młodzieńca, pragnącego pracować nad samym sobą, podręcznik, którego nie zastąpią utwory Payotów, ani nawet Foersterów. Podkreśla on bowiem w pełni to, co tamci pomijają lub nieśmiało tylko akcentują, — znaczenie wiary objawionej i owoców odkupienia dla uszlachetnienia natury ludzkiej. »Charakter« Ks. Arcybiskupa Bilczewskiego winien się znaleźć w rękach każdego młodzieńca Polaka-katolika. Rodzice i nauczyciele wyświadczą młodzieży najpiękniejszą usługę, jeśli tę książkę jej do rąk podadzą, a młodzież ją przeczyta z zapałem i wdzięcznością, bo znajdzie w niej zrozumienie przez Autora jej najlepszych drgnień duszy i ciepło ojcowskiego serca.

J. U.

St. Dunin-Borkowski S. J.: Reifendes Leben. Ein Buch der Selbstzucht für die Jugend. Berlin u. Bonn 1920, str. 362.

Książka przeznaczona dla młodzieży jako przewodnik w pracy nad sobą samym. W pierwszych rozdziałach podaje autor obrazki obyczajowe i przeżycia młodzieży. Autor jest bystrym psychologiem i wielkim — zdaje się — przyjacielem młodzieży, a w swem przeszło 20-letniem z nią obcowaniu poznał dobrze duszę młodzieńczą, zna jej tajniki, subtelnie odczuwa jej walki i nurtujące w niej w obecnej dobie prądy. Toteż wskazówki, jakie w następnych rozdziałach podaje, są bardzo

cenne dla młodzieży, bo doskonale odpowiadają wrażliwej duszy młodzieńczej. Młodzież będzie niewątpliwie czytać tę książkę z zajęciem i z wielką dla siebie korzyścią, a niemniej pożądana będzie i dla wychowawców, którzy mają do czynienia z dorastającą młodzieżą.

M.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Andrzej Towiański: Wybór pieśni i nauk. Opracował St. Pigoń (Bibl. Narodowa N. 8), Krakowska Spółka wyd., 1920, str. 168.

Edward Ligocki: Tryumfatorzy, poezje. Kraków, 1920, nakł. Krakowskiej Spółki wydawniczej, str. 94.

Antoni Chołoniewski: O kierownicze idee przeszłości. Drukowane jako rękopis, Kraków, 1919, str. 44.

Ks. A. Żukowicz T. J.: Serce Jezusa króluj nam. Kazania o dziele poświęcenia rodzin Sercu Zbawiciela. Kraków, 1920, wyd. Ks. Jezuitów, str. 8, 72.

Ks, Józef Opielka: Górny Śląsk, Polska i katolicyzm. Odpowiedź ks. Nieborowskiemu. Mikołów, 1920, str. 82.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Nadprzyrodzona płodność katolicyzmu. — Potrzeba studjów hagjograficznych w Polsce.

Odcięci od zagranicy przeszło dwa tygodnie, nie mogliśmy, jak należało, śledzić toku zewnętrznych spraw Kościoła. Korzystamy z tej przymusowej izolacji, by podumać nad płodnością wewnętrznego jego życia. Sposobność do tego dają nam zamierzone w Rzymie na najbliższą przyszłość kanonizacje i beatyfikacje.

Mianowicie rok bieżący ma być szczególnie bogatym w tego rodzaju wewnętrzne, że tak się wyrazimy, domowe uroczystości Kościoła. Szereg ich otwiera 9 maja beatyfikacja wiel. Ludwiki de Marillac Le Gras, współzałożycielki Sióstr miłosierdzia, dobrze u nas znanych i zasłużonych »Szarytek«, 13 maja odbędzie się kanonizacja błog. Gabrjela, młodego zakonnika z zakonu Pasjonistów i błog. Małgorzaty Marji Alacoque, apostołki kultu Serca Jezusowego, w kilka dni później kanonizacja bohaterki Francji Joanny d'Arc; na czerwiec projektowane są beatyfikacje Siostry miłosierdzia Marji Magdaleny Fontaine i jej dwóch towarzyszek, jak również Marji Klotyldy Urszulanki z 10 towarzyszkami, męczennic za wiarę z czasów wielkiej rewolucji francuskiej, wreszcie Karola Luangi i 21 towarzyszów, męczenników z Ugandy z r. 1886. Pomienione kanonizacje i beatyfikacje, bynajmniej nie sztucznie dobrane, ale zwyczajnym biegiem tego rodzaju spraw przygotowane, dają wymowne świadectwo bogactwa świętości Kościoła katolickiego. Zaiste świętość katolicyzmu okazuje się w świetle obchodzonych kanonizacyj powszechną pod

każdym względem. Najpierw co do czasu. Święty u swej kolebki, nie przestaje Kościół wydawać świętych po dziś dzień. Obok świętych odległej starożytności i średniowiecza stawia on na swych ołtarzach postacie, które w czasach nowych zajaśniały heroiczną cnotą, lub dały prawdzie chrześcijańskiej świadectwo krwi. Tylko Dziewica Orleańska wskrzesza nam pogranicze średniowiecza i Odrodzenia, — inni, mający odebrać publiczną cześć, to syny i córki ostatnich wieków, tak zdawało się zmaterjalizowanych, a tak mimo to, w obrębie Kościoła, w świętość i heroizm płodnych! A jaka rozmaitość tych świętych i błogosławionych! O koronę świętości współubiegają się obie płci: stałości we wierze afrykańskich męczenników nie ustępują francuskie dziewice. Obok arystokratki Le Gras, tworzącej największą na świecie instytucję miłosierdzia — stoi imię prostej wieśniaczki z Domremy, prowadzącej swój naród ku chwale w patrjotycznym wysiłku. Klerycy i zakonnice, wielkoświatowa dama, dworzanie murzyńskiego królika i pasterka wiejska — dostępują tych samych honorów ze strony Kościoła. Ile imion tyle kontrastów, a wszystkie te kontrasty nikną w nadprzyrodzonej jedni, z jakiej wszyscy ci święci czerpią swoją świętość — w mistycznem Ciele Chrystusa. Nie istnieje w Kościele różnica barwy skóry. Właśnie po raz pierwszy wynosi on na swe ołtarze 22 czarnych wyznawców Chrystusa. Może na tę okoliczność warto zwrócić uwagę w naszych czasach, kiedy najbardziej postępowe społeczeństwa, jak Ameryka, wahają się, czy można dopuścić do równouprawnienia z rasą białą rasę nie już czarną, ale choćby żółtą. W Kościele przez pośrednictwo »czarnych« błogosławionych biali będą zanosić do Boga swe modły. Tegoroczne kanonizacje i beatyfikacje świadczą, że religja umie uświęcić najróżnorodniejsze powołania, że im wszystkim błogosławi, że wszystkie uważa za potrzebne w owem mistycznem życiu bosko-ludzkiego organizmu. Znajduje się w niem miejsce na kontemplację takiej Małgorzaty Marji, tonącej w miłości boskiego serca Zbawiciela, takiego Gabrjela Pasjonisty, żyjącego pamięcią Golgoty — i ta kontemplacja nie jest dla świata straconą, bo z niej rozejdzie się szeroko ciepło religijnego odrodzenia Obok niej jednak widzimy czyny: samarytańskie miłosierdzie, śpieszące koić każdą ludzką nędzę, waleczność prostej dziewczyny, dźwigającej ojczyznę z politycznego upadku. A heroizm męczenników głośno woła, że za wiarę, która takie dzieła rodzi, za Chrystusa, który siły do nich daje, warto spłonąć na stosie, lub skłonić głowę pod katowski topór. I krew tych męczenników

użyźnia rolę Kościoła pod nowy posiew, a wzory wyznawców pociągają serca tysięcy naśladowców. I nigdy świętych Kościołowi nie zbraknie.

Wśród tej Bożej niwy chyba i nasz polski łan nie jest najmniej wydajny. Czy mało mieliśmy w ciągu choćby ostatnich stuleci rycerzy chrześcijańskiej cnoty, purpuratów męczeństwa? Czy prawie jednocześnie z błog. Bobolą nie oddało swego życia kilkudziesięciu innych kapłanów na świadectwo wierze, znienawidzonej przez schizmatyckie kozactwo? Czy my nie wysyłaliśmy na krańce świata na pracę i śmierć naszych Męcińskich, naszych Beyzymów, czy nie lała się krew w Połocku, pod cerkwiami Pratulina i Drelowa? Po naszych klasztorach znalazłyby się ciche a świetlane przykłady ascetów, w naszem życiu wielkie postacie świątobliwych kapłanów i świeckich mężów i niewiast. Nie słyszymy atoli o zamiarach kanonizacji lub beatyfikacji synów Polski. Dlaczego? Zamało jest u nas rozumienia doniosłości takich aktów, zamało też znajomości naszej religijnej przeszłości. Nie posiadamy własnego martyrologjum, nie zbieramy nawet materjałów do niego. Istnieje w Brukseli uczone kolegjum pisarzy, Bollandystów, poszukujących po całym świecie śladów dzieł Boga w świętych Jego. Do naszych archiwów nie trafiają, albowiem my sami ich nie znamy. Czy nie warto zająć się sumiennie a naukowo poszukiwaniami w tym kierunku? Przypuszczam, że nasza historja, że rzeczowe zabytki, że zakonne zwłaszcza bibljoteki i archiwa, że wreszcie żywa tradycja ludu wieleby dostarczyła materjału do rodzimego martyrologjum. Studja hagjograficzne na własnym gruncie winnyby pociągnąć zwłaszcza młodszych adeptów historji kościelnej. Wielką usługę religji i nauce odda, kto dostarczy choć paru kamyczków, — większą, kto z nich ułoży mozaikę świątobliwych Polaków i Polek. A może po św. Stanisławie Kostce i bł. Andrzeju Boboli ujrzelibyśmy więcej rodaków na ołtarzach w koronie świętości.

Ks. Jan Urban.

Zjazd naukowy warszawski.

Przebieg »zjazdu, poświęconego zagadnieniom organizacji i rozwoju nauki«, który z inicjatywy Kasy Mianowskiego odbył się w Warszawie w dniach 7—10 kwietnia b. r., wywołał bardzo sprzeczne ko-

mentarze; według jednych należy go uważać za zupełnie nieudały, inni określają swoje wrażenia ze zjazdu jako »niecodzienne«.

Po czyjej stronie jest prawda? Zamiast rozbierać zarzuty, wolę scharakteryzować problemy, jakie zjazd poruszył, i postawić pytanie, o ile te problemy rozwiązał? Chodzi mi mianowicie o te problemy, które były ogólne, tj. ważne dla całego obszaru nauki polskiej, zmierzały do wskazań i żądań konkretnych i miały znaczenie dominujące nad innemi. Takich było cztery: byt materjalny nauki, ekonomja sił naukowych, sprawy organizacyjne i stosunek z Zachodem.

Z góry było do przewidzenia, że alfą i omegą całego zjazdu będą warunki materjalne, w jakich się obecnie nauka polska i jej przedstawiciele znajdują. Przed wojną, a nawet w pierwszej jej połowie, można je było nazwać »smutnemi«, »niepomyślnemi«, dla niektórych jednostek »tragicznemi«; potem stały się »opłakanemi« i »zatrważającemi«; dzisiaj są poprostu groźne i katastrofalne. Pracownicy naukowi przeżywają z całym polskim (a raczej z całym światowym) zastępem pracowników umysłowych kryzys socjalny, wywołany niedoborem wszechświatowego bilansu dóbr materjalnych i spowodowaną nim drożyzną pracy twórczej (mechanicznej): toteż szeregi uczonych polskich przerzedzają się w przyspieszonym tempie. Starsi, wyniszczeni wieloletniem ograniczeniem swych potrzeb życiowych, wymierają poprostu »masowo«: śmiertelność wśród profesorów np. Uniwersytetu Jagiellońskiego jest tak wielka, jak na żadnym innym uniwersytecie całego świata. Młodsi dezerterują, przenosząc się do zawodów bardziej popłatnych; toteż np. na uniwersytecie warszawskim $^1/_3$ posad asystentów jest nieobsadzona, a z pozostałych $^2/_3$ conajmniej połowa zajęta jest przez studentów uniwersyteto, którzy sobie tym sposobem pomagają finansowo przez ciąg studjów, na to, ażeby po ich skończeniu rzucić tę chwilową posadę. A środki naukowe? Pracownie przyrodników (zwłaszcza w nowopowstałych uniwersytetach) nie posiadają najniezbędniejszych przyrządów i chemikaljów; pracownie humanistów, tj w pierwszym rzędzie biblioteki, nie mogą sobie pozwolić nawet na zaprenumerowanie najważniejszych bodaj pism naukowych zagranicznych, któreby informowały o tem, co się w nauce europejskiej (nietylko niemieckiej) przez czas wojny działo. Jednem słowem: dotacje naszych zakładów naukowych, już przed wojną niewystarczające, są obecnie wprost humorystyczne [1]), zwłaszcza jeżeli się zważy, że zakłady te muszą bądź z natury rzeczy (jak biblioteki), bądź z powodu słabego rozwoju naszego przemysłu (jak pracownie przyrodników) pokrywać swe zapotrzebowanie w całości niemal z zagranicy, mając na swą niekorzyść niski stan naszej waluty. A zważyć jeszcze trzeba, że nie tylko troska o potrzeby osobiste i nie tylko troska o warsztat naukowy są dzisiaj zmorą pracownika naukowego: niemniej od tamtych trawi go troska o los własnej myśli. Chociażby nawet bowiem potrafił żyć jak anachoreta i dokonać swej pracy ograniczonemi

[1]) Wystarczy przytoczyć fakt, że dotacja jednego z zakładów uniwersyteckich krakowskich wystarczyła zaledwie na sprawienie — tuzina ścierek.

środkami, jakie ma do rozporządzenia — to czy może mieć nadzieję, że owoc tej pracy ujrzy kiedykolwiek światło dzienne? Wobec szalonych już dzisiaj, a ciągle rosnących cen papieru i druku stało się wydanie książki naukowej luksusem, na który sobie pozwalają tylko te towarzystwa naukowe, których to jest obowiązkiem — a i te muszą się coraz bardziej ograniczać, bezustannie stojąc pod groźbą całkowitego wstrzymania swej działalności.

Oto w krótkich słowach dzisiejszy stan nauki polskiej i widoki jej »rozwoju« na przyszłość; zaiste nie można go inaczej nazwać, jak groźnym. Grozi nam dzisiaj, jak słusznie zaznaczył na samym wstępie zjazdu min. Łopuszański, zagłada polskiej nauki; a za tą pójdzie w ślad, jak to w zakończeniu obrad podkreślił prof. Kochanowski, ruina polskiej kultury. Odczucie i zilustrowanie tego faktu było dominującym motywem, przewijającym się przez cały przebieg zjazdu i dochodzącym do głosu przy każdej sposobności; główną przecież okazją do szerszej nad nim dyskusji były referaty prof. Kalinowskiego (Nauka a społeczeństwo), prof. Kutrzeby (Nauka a państwo) i prof. Czekanowskiego (Byt materjalny nauki), wszystkie wygłoszone w drugim dniu zjazdu. Nie mogę tu, niestety, streszczać ani samych tych referatów, ani też tych przemówień w dyskusji, któreby na to zasługiwały; jako pozytywny jej wynik podniosę tylko przemówienia przedstawicieli rządu i sejmu. Już w pierwszym dniu zjazdu słyszeliśmy z ust min. Łopuszańskiego, że rząd jasno widzi groźbę zagłady, jaka wisi nad polską nauką, że odczuwa troskę uczonych zarówno o środki do życia, jak i o środki do pracy; słyszeliśmy zapewnienie, że rząd dołoży wszelkich starań, ażeby uczonym zapewnić chleb codzienny, wyposażyć zakłady, umożliwić sprowadzanie książek z zagranicy, doprowadzić do tego, żeby każda praca warta druku doczekała się światła dziennego. Szef sekcji szkolnictwa wyższego, p. Wrzosek, wygłosił główne swoje exposé właśnie w drugim dniu zjazdu; ponieważ jednak względy zewnętrzne nakazywały mu w niem poruszyć także sprawy, jakie obejmował pierwszy dzień obrad, sprawa materjalnego poparcia nauki nie ze wszystkiem była w niem wyczepana. Zobrazowało ono głównie starania rządu o zaspokojenie pierwszej z trzech trosk, o jakich wyżej mówiłem; na jego podstawie można było nabrać otuchy, że pod tym przynajmniej względem rychło nastąpi wyraźniejsza zmiana na lepsze. Czy nastąpi ona także pod dwoma drugiemi względami? — trudno było i tę także powziąć nadzieję, mimo wiary w zapewnienia o jaknajlepszych chęciach zarówno przedstawicieli rządu, jak i przedstawiciela sejmu.

Drugi problem: ekonomiczne i racjonalne wyzyskanie sił naszych pracowników naukowych, dwie posiada strony: z jednej każdy pracownik powinien otrzymać takie stanowisko, jakie mu najlepiej odpowiada, z drugiej każdy posterunek powinien być zajęty przez taką osobistość, która się na to miejsce najlepiej nadaje. Obie te strony zagadnienia ujawniły się całkiem wyraźnie na zjeździe warszawskim, pierwsza z okazji referatów na temat »instytutów badawczych«, druga zwłaszcza z okazji korreferatu prof. Peretiatkowicza pt. »Nauka a państwo«. Większość

mówców, którzy w sprawie instytutów badawczych występowali (zastrzegając się przeciwko oddzielaniu »nauki« od »nauczania«, odciąganiu sił i t. d.), wykazała conajmniej — brak uwagi podczas przemówień referentów (zwłaszcza prof. Bujaka). Zato Ministerstwo oświaty przez usta p. Wrzoska okazało pełne zrozumienie dla jądra tej sprawy, stając zresztą na stanowisku pośredniczącem (odpowiadającem mniej więcej przemówieniom p. Jetejkównej, dra Słonimskiego i prof. Zawidzkiego): zapowiedziało stworzenie instytucji profesorów honorowych, dla których się będzie zakładać instytuty w związku z uniwersytetami, ale bez obowiązków pedagogicznych, oraz umożliwienie wydatniejszej niż dotąd pracy twórczej profesorom wyższych uczelni, a to przez stosowną rewizję dekretów nominacyjnych oraz przez wprowadzenie trymestrów. Za wielce pożyteczną uważam też dyskusję, jaka się nad referatem prof. Peretiatkowicza (a spontanicznie i przedtem już) wywiązała, czy mianowicie nie mamy za dużo wyższych uczelni na to, ażeby je wszystkie na dostatecznie wysokim poziomie utrzymać? Pytanie to było dotychczas, na równi z zagadnieniami instytutów badawczych, okazją do całkiem niepotrzebnych tarć między rządem a pewnemi kołami uczonych; można więc mieć nadzieję, że dyskusja i nad jedną i nad drugą z tych kwestji doprowadzi do wyników zadawalniających obie strony.

Tak tedy dyskusję warszawską nad obu głównemi zagadnieniami »ekonomizacji sił naukowych« należy uważać za korzystną i rokującą w przyszłości owoce. Nie da się to niestety powiedzieć o dyskusji nad referatem prof. Semkowicza o »Organizacji pracy naukowej«. Ten przejrzyście opracowany referat, uzasadniający potrzebę skoordynowania naszej pracy naukowej zarówno w odniesieniu do uniwersytetów, jak i do bibljotek i zbiorów naukowych, jak wreszcie do towarzystw naukowych, nadawał się znakomicie na podkład dyskusji — choć się może zbyt starał dostosować do warunków przejściowych, w jakich obecnie żyjemy, a mniejszy kładł nacisk na to, że już dzisiaj możemy zacząć kłaść podwaliny pod systematyczny, na specjalizacji oparty plan skoordynowania działalności naszych uniwersysetów, obliczony na dziesiątki lat w przyszłość; pod tym tylko bowiem warunkiem będzie można mówić o planowem skoordynowaniu naszych bibljotek i zbiorów, jakiego się słusznie referent domagał. Niestety referat ten padł w próżnię, wykazującą, jak mało jest u nas dotąd zrozumienia dla ważności organizacji pracy naukowej — lub raczej zalał go potok żądań szczegółowych, wśród których istota sprawy utonęła. Tutaj przedewszystkiem żałować należy, że zjazd się rozjechał bez powzięcia jakichkolwiek konkretnych uchwał, bo nawet to jedno jedyne ogólne pytanie, co do którego się szereg projektów wyłonił, kto mianowicie ma opracować plany organizacyjne, nie zostało ostatecznie przez zjazd zadecydowane. Żałować także wypada, że referat prof. Rutkowskiego o »Nauce na prowincji«, wiążący się treścią z zagadnieniem organizacji nauki i mający wedle programu bezpośrednio po referatach na ten ostatni temat nastąpić, został na sam koniec zjazdu zepchnięty, przez co dyskusja jeszcze bardziej się rozstrzeliła.

Ale o ile ogólne posiedzenia zjazdu nie doprowadziły w kwestji organizacji do żadnych określonych wyników, to warto zaznaczyć, że równocześnie toczyły się obrady ściślejszych kół i kółek uczonych związanych ze sobą nicią pokrewnego zawodu badań. Na tych zebraniach wybijały się sprawy organizacyjne na plan pierwszy; zwłaszcza to z nich, które było najbardziej szczegółowo przygotowane, dwudniowa konferencja historyków, ma pod tym względem do zapisania całkiem pozytywne rezultaty.

Ostatnią sprawą, jaką się zjazd zajmował, była rola »Nauki polskiej na terenie międzynarodowym«. Obu referentów, prof. Siedleckiego i prof. Konopczyńskiego, wysłuchano z ogromnem zainteresowaniem, będącem probierzem tego, jak aktualne jest u nas dzisiaj zagadnienie nawiązania ściślejszego kontaktu z »Europą«, kontaktu, który przed wojną nie był zbyt ścisły (zwłaszcza na polu nauk humanistycznych), a przez ciąg wojny zerwał się kompletnie. Obaj referenci podawali szereg konkretnych sposobów, któremiby należało dążyć do osiągnięcia zamierzonego celu; są to bezwątpienia nieraz środki kosztowne, ale n i e o d z o w n e, jeżeli nie mamy wiecznie grać roli kopciuszków i zaściankowiczów. Toteż z zadowoleniem powitać należy fakt, że — jak głoszą prywatne informacje — rząd okazał dla postulatów, wyrażonych przez referentów (a akcentowanych także przez prof. Kutrzebę w referacie p. t. »Nauka a państwo«), pełne zrozumienie i przyrzekł ich realizację przeprowadzić: w szczególności należy uważać za zapewniony udział państwa polskiego w organizacjach naukowych międzynarodowych (Conseil international des recherches, Union académique), przejęcie na etat rządowy stacyj naszych naukowych w Paryżu i w Rzymie (utrzymywanych przed wojną przez Akademję Umiejętności), oraz stworzenie biura tłomaczeń, któreby uczonym polskim ułatwiało ogłaszanie prac naukowych w językach Europy zachodniej. Miejmy także nadzieję, że rząd weźmie w swoje ręce »aprowizację umysłową« Polski, o którą tak gorąco w prasie nawoływano[1]) i dostarczy nam literatury naukowej, jaka wyszła w państwach koalicyjnych w czasie wojny, oraz zabezpieczy dalszy jej regularny nadpływ w miarę, jak się ukazuje.

Wyczerpaliśmy wszystkie główne problemy ogólne, jakie zjazd poruszył. Czy można powiedzieć, że nie dał żadnych rezultatów? Formalnie — być może; nie było żadnego głosowania, zjazd rozpłynął się w próżnię. Mimo to śmiem twierdzić, że obrady warszawskie nie były całkiem bezowocne. »Mogły być dziesięć razy owocniejsze!« — gotówem przyznać, szczególnie co się tyczy spraw organizacyjnych. Może mógł wywrzeć silniejszy nacisk na rząd w sprawie finansowego popierania nauki zarówno na gruncie rodzimym, jak i międzynarodowym; może mógł się stać trąbą budzącą społeczeństwo z obojętności na potrzeby kultury. Mógł zapewne — w innych pracując okolicznościach — lepiej zgłębić sprawę instytutów badawczych i sprawę obsadzania nowych katedr. Mimo te wszystkie zastrzeżenia mam przecież to przekonanie, że zjazd

[1]) Zob. też Przegląd Powszechny z marca b. r., str. 212—216.

był pożyteczny i że dyskusja nad nim nie zrazi Komitetu Kasy Mianowskiego do zwołania w swoim czasie nowego, już całkiem poprawnie zorganizowanego zjazdu, na którego korzyść obróci wszystkie te niezbyt przyjemne doświadczenia, jakie pierwsza próba zwykła za sobą pociągać.

Dr. A. Birkenmajer.

Żydowska akcja ratownicza.

Tu i ówdzie w naszych pismach spotkaliśmy się z wzmiankami o działalności jakiejś amerykańskiej organizacji żydowskiej, analogicznej do Czerwonego Krzyża, ale brakowało nam dostatecznych wiadomości i o samej organizacji i o jej rozmiarach. Parę ciekawych szczegółów podaje jeden z ostatnich zeszytów pisma Les Nouvelles Religieuses, szczegółów autentycznych, bo pochodzących z ust dr. B. Bogena, kierownika owej organizacji. Szczegóły tem ciekawsze, że wiele mówią o akcji w Polsce. Widać dr. Bogen nie spodziewał się, że z jego wynurzeń będą korzystać i polskie czasopisma.

Wnet po zawieszeniu broni znaleźli się w naszym kraju oficerowie amerykańscy. Patrzyliśmy na nich może ze czcią, aleśmy nawet nie przypuszczali, że to właśnie pierwsi emisarjusze (naturalnie nie wszyscy oficerowie amerykańscy, którzy byli u nas) owej żydowskiej organizacji. Gdybyśmy się byli lepiej przypatrzyli ich mundurom, na epoletach moglibyśmy zauważyć trzy litery »J. D. C.«, mające oznaczać »Joint Distribution Committee«. Jest to nic innego jak zjednoczenie pierwotnych trzech organizacyj ratowniczych, które powstały zaraz z początkiem wojny wśród trzech warstw żydów amerykańskich: kapitalistów, robotników i ortodoksów.

Choć komitet w tytule ogranicza swe zadanie tylko do rozdzielania zapomóg, faktycznie stawia sobie za cel protegowanie swych współplemieńców przez pomoc materjalną. A może skutecznie pomagać, skoro przez cztery lata wojny zdołał uzbierać na ten cel przeszło 30 miljonów dolarów.

Polska jest polem najintensywniejszej działalności. Za pośrednictwem J. D. C. więcej niż 400 tysięcy dolarów miesięcznie otrzymują polscy Żydzi, prócz tego komitet sprowadza dla nich wielkie ilości mąki, oliwy i odzieży. W Warszawie rezyduje główny komisarz J. D. C. i stamtąd czuwa nad rozdziałem zapasów żywnościowych i odzieżowych, oraz nad tem, by pieniądze, przesyłane przez różnych Żydów z Ameryki, dostawały się do właściwego celu. Wysłannicy komitetu biorą też pewien udział w pomocy dla dzieci, którą roztoczył H. Hoover. Dr. Bogen twierdzi, że w tym względzie nie odgrywa żadnej roli kwestja wyznaniowa.

Obecnie delegacji J. D. C. w Polsce chodzi o to, by powołać do życia komitety miejscowe i zorganizować Żydów do walki z klęską eko-

nomiczną. Miejscowi Żydzi mają dość po temu środków, by sobie wystarczyć, chodzi jedynie o to, by zorganizować te masy, które i tak skupiają się coraz bardziej pod wpływem »prześladowań«, jakie przeżyły.

Nie jest to pewno wszystko, coby można powiedzieć o działalności i usiłowaniach J. D. C. Możemy śmiało wątpić w to, że wobec alarmów »pogromowych« komitet działał tylko uśmierzająco, że mu nie chodziło o powiększenie tych i tak urojonych ofiar fanatyzmu polskiego. W każdym jednak razie musimy sobie zdać sprawę z tego, że w obronie przed żydostwem będziemy mieli do czynienia z organizacją z za morza, silną liczebnie i finansowo. Komitet wysłał swe delegacje do Palestyny, Grecji, Serbji, a ostatnio nawet na Ukrainę, najwięcej jednak interesu przedstawia dlań Polska. Nie powinniśmy też pozostać mu dłużnymi i również żywo musimy się zająć działalnością J. D. C.

R. M.

Ustawa antyalkoholowa w Stanach Zjednoczonych.

Dzień 17 stycznia b. r. był pamiętnym w dziejach Stanów Zjednoczonych. We wszystkich szynkach i restauracjach pito na umór, z uderzeniem bowiem godziny 12-ej w nocy wchodziło w życie nowe państwowe »prawo prohibicyjne«, zakazujące najsurowiej: wszelkiej reklamy, sprzedaży, wyrobu, przewożenia »nawet we własnej kieszeni«, importu i eksportu jakichkolwiek napojów, zawierających więcej niż $^1/_2\%$ alkoholu; wyjątek uczyniono jedynie dla celów sakramentalnych, leczniczych i naukowych.

Cóż sprowadziło tą niebywałą w swoim rodzaju ustawę?

Panujące oddawna w Ameryce nadużycie alkoholu wywołało naturalną reakcję ze strony ludzi lepiej myślących. W r. 1826 założono pierwszy związek abstynencki, a ruch ten przybrał potem wielkie rozmiary. Niektórzy zwolennicy jego doszli jednak do przekonania, że tylko państwowy zakaz może tu przynieść skuteczne lekarstwo i rozpoczęli usilną akcję w tym kierunku. I rzeczywiście udało im się już w r. 1851 przeprowadzić taką ustawę prohibicyjną w stanie Maine, a z czasem także w niektórych innych państwach związkowych, lub poszczególnych miastach i wsiach, gdzie większość wyborców tego żądała. W r. 1916 już prawie 30 stanów wprowadziło u siebie podobny zakaz, przewożenie zaś napojów z okolic sąsiednich zostało wzbronione jeszcze trzy lata wcześniej.

Zwolennikom ogólnego zakazu w całej Unji, t. zw. prohibicjonistom, pomogła ostatecznie wojna. Konieczność zaopatrywania sprzymierzonych w zboże, oraz utrzymania karności wśród wojska i robotników, wyrabiających amunicję, wymagała naprzód ograniczenia, a potem zupełnego zakazu wyrobu napojów palonych. Ustawowy ten przymus miał trwać aż do zupełnej demobilizacji. Tymczasem jeszcze z jesienią tego

samego r. 1917 wniesiono poprawkę, która żądała trwałego zakazu w całem państwie. Przeszła ona w obu izbach większością $^2/_3$ głosów, a ponieważ 45 z ogólnej liczby 48-iu państw związkowych zgodziło się na nią, przeto stała się prawem, którego termin wyznaczono na północ 17-go stycznia 1920 r.

Lotem błyskawicy wieść ta rozeszła się po świecie i niejeden może w prostocie serca podziwiał trzeźwość i tężyznę narodu amerykańskiego, który z taką energją przecina wszelkie nadużycia. W rzeczywistości jednak sprawa przedstawia się nieco odmiennie. Ustawa przeszła głównie dzięki agitacji i nie jest wcale wyrazem woli ogółu. Ciekawą co do tego korespondencję O. Eckerta ze Zgrom. Verbi Divini zamieszcza pismo Allgemeine Rundschau (num. 9—11 bież. roku).

Prawda, że do wprowadzenia ustawy prohibicyjnej przyczyniły się pośrednio nadużycia ze strony konsumentów i sprzedających. Zwłaszcza ci ostatni nie liczyli się często z żadnemi prawami boskiemi i ludzkiemi, wyzyskiwali nielitościwie gości, utrzymywali przy restauracjach domy rozpusty i gry; tu przygotowywano również przy kieliszku wszelkie wybory z wielką szkodą dla ogółu. Główną jednak sprężyną była szalona agitacja metodystów i baptystów, którzy walkę z alkoholem przyjęli do swego programu religijnego, tak że w kościołach ich zamiast nauki ewangelji słyszało się w ciągu ostatnich lat tylko ciągłe wygadywania na »restauratora i jego djabelski interes«. Weszli oni w służbę ligi, zawiązanej w tym celu w r. 1893 przez pastora H. Russel z Chicago, która posługiwała się fanatycznie wszelkiemi niechrześcijańskiemi środkami propagandy. Kolosalnych funduszów, koniecznych do tak rozległej akcji, dostarczali różni przyjaciele, przedewszystkiem nowopowstali fabrykanci napojów bezalkoholowych, liczący na olbrzymie zyski, zapowiadające się w razie przejścia ustawy prohibicyjnej.

Katolicy, luteranie i anglikanie zajmowali w większości stanowisko przeciwne zupełnemu zakazowi. Nie popierając wcale pijaństwa, uznawali absolutny zakaz alkoholu za szkodliwy i domagali się raczej ścisłego uregulowania wyrobu i sprzedaży napojów. Katolicy mieli tu jeszcze specjalną rację ze względu na potrzebę wina do mszy św. Już przedtem bowiem pojawiały się na tym punkcie liczne trudności w poszczególnych stanach, a nie brakło ich i teraz. Klauzuli: »do celów sakramentalnych« nie było w pierwotnem brzmieniu ustawy, została ona dodana dopiero później. Nadto w praktyce wyłoniły się różne a nie małe utrudnienia co do nabywania mszalnego wina.

Również na inne ujemne następstwa nie trzeba było długo czekać. Gdzież się podziała owa głośna »wolność amerykańska«, kiedy dziś państwo miesza się nawet do życia prywatnego i zagląda, co kto w domu pije? Ta sama bowiem liga prohibicjonistów, która przyczyniła się do wprowadzenia ustawy, zorganizowała teraz system szpiegowski, przeszukuje domy prywatne i konfiskuje z ramienia rządu znalezione zapasy. A zapasów tych nie mało, gdyż bogaci Amerykanie, nie podzielający bynajmniej abstynenckich sympatyj, mieli dość czasu, by zaopatrzyć na długie lata swe piwnice i skorzystali z niego skwapliwie. To też kra-

dzieże i rabunki, w celu podzielenia się temi skarbami, są dziś na porządku dziennym.

Nie dość na tem. Fabrykanci są przemyślni. Nie mogąc prowadzić jawnych gorzelni, pozakładali tajne (już około 22.000 tychże jest w ruchu). Co gorsze, spragnieni ludzie, nie mając dobrej wódki, piją różne namiastki, przyprawiające ich o ciężkie następstwa; gazety z Chicago donoszą niemal codzień o wypadkach śmierci z powodu otrucia się spirytusem drzewnym.

To też rozsądniejsi przewidują, że ustawa ta nie potrwa długo. Sami prohibicjoniści nie wierzą w jej trwałość. Pierwotna obojętność ludności ustępuje bowiem coraz więcej, a rośnie niezadowolenie, zwłaszcza wśród szerokich warstw robotniczych. Trudno zresztą, by było inaczej. Człowiek nie jest maszyną ani zwierzęciem; jeżeli się chce polepszyć jego byt, a zwłaszcza podnieść jego stan moralny, musi się to uczynić od wewnątrz, a nie przez sam zewnętrzny przymus. Przecież nawet w wychowaniu dzieci potępia się słusznie stosowanie samych zewnętrznych środków, a jakże można być tak zaślepionym, by uznać je za odpowiednie względem ludzi dojrzałych!

Ks. St. P.

SPIS RZECZY TOMU 145—146.

Artykuły:

Str.

Ks. J. Urban T. J.: Manowce chorobliwego mistycyzmu . 5
Ks. J. Nuckowski T. J.: Wolny Polak a pesymizm . 15
Dr. A. Prochaska: Wyprawy zagraniczne możnych za Zygmunta III 28, 187
Ks. M. Kuznowicz T. J.: O dusze dorastającej młodzieży 39
Dr. J. Rafacz: Ucisk włościański w dawnej wiosce polskiej 81
Ks. Wł. Żyła: O metodzie w historji sztuki starochrześcijańskiej 106
Ks. St. Podoleński T. J.: Prawo rozwodowe a szczęście małżeńskie 120, 200
Ks. J. Urban T. J.: Drożyzna a sumienie obywatelskie . 161
H. Romanowski: Nowa metafizyka . . . 172, 259, 333
Ks. F. Hortyński T. J.: O pomoc polskiej nauce . . 212
Ks. J. Urban T. J.: Uczłonkowanie i rozwój hierarchji kościelnej 241
Dr. M. Estreicherówna: Cecylja Plater-Zyberkówna . 271
Ks. N. Cieszyński: Kazania o Konstytucji 3 Maja przed 128 laty 282
Ks. J. Urban T. J.: W setną rocznicę przybycia Jezuitów do Galicji 321
Prof. F. Koneczny: Chyżość historyczna 344
Dr. K. Krotoski: O zawiązkach państwa polskiego i skąd pochodzą nazwy Polan i Polski 350
Prof. A. Szyszko-Bohusz: Przyszłość Wawelu . . 373
Ks. R. Moskała T. J.: Nasz sąsiad wschodni . . . 376
Ks. Dr. T. Kruszyński: Uwagi nad metodą w sztuce starochrześcijańskiej 389

Przegląd piśmiennictwa.

Str.

Najnowsza powieść polska. St. Wł. Kamocki, Dziecię natchnienia; H. Zbierzchowski, Człowiek o dwu twarzach; T. Konczyński, Blaski miłości; K. Glinka, Spotkanie; St. Dzikowski, Gracz (Dr. St. Lam) 49

Tad. Sinko, Poetyka Sarbiewskiego (Ks. J. K.) . . . 56

R. Zawiliński, Nasz język ojczysty w przeszłości i teraźniejszości (Ks. J. K.) 57

Z francuskiej literatury powojennej. Ernest Psichari, Terres de soleil et de sommeil; Tenże, L'appel des armes (H. Skolimowska) 58

Apologetyka. G. Neyrun, Le Gouvernement de l'Eglise; J. Huby, La conversion (Ks. Wł. Lohn T. J.) 133

Życie duchowne. R. Plus, Dien en nous (Ks. Wł. Lohn T. J.); V. Cathrein, Die christliche Demut; K. Haggeney, Im Heerbann des Priesterkönigs; J. Laux, Der hl. Kolumban; H. Riesch, Die hl. Hildegard von Bingen; Dr. Maeyr, Alban Stolz etc.; M. Most, Geh hin und künde (Ks. E. Matzel T. J.) 141

Rzeczy współczesne. K. Mainage, La Pologne puissance catholique; M. Siedlecki, Paryż 1919 (H. Skolimowska) 146

Literatura polska. Biblioteka Narodowa: Treny, Kordjan, Odprawa posłów greckich, Powrót posła, Anhelli (Ks. J. K.) 149

Książki o wojnie i jej skutkach. T. Szydłowski, Ruiny Polski (Ks. W. Żyła); Fr. Rouvier, En Ligne (J. A.); R. Gaëll, Księża na polach walk we Francji (M. Czeska-Mączyńska); St. Kutrzeba, Kongres, traktat i Polska (J. B.) 217

Z wydawnictw zbiorowych. Noworocznik Chyrowski (Ks. R. Koppens T. J.) 221

Nieco z belletrystyki. W. Gomulicki, Krzyż; Tenże, Pieśń o Gdańsku; A. Leśniowska, Życie (M. Czeska-Mączyńska) 225

Ascetyka. J. Schmitt, Das Priesters Heiligung (E. M.) . . 226

Z publikacyj Ministerstwa P. i O. S. E. Sokołowski, Szkoła a głód; E. Grabowski, Zarys statystyki pracy; Z. Daszyńska-Golińska, Przyczynki do kwestji robotniczej (Ks. R. Moskała T. J.) 297

Myśl francuska. G. Fonsegrive, L'evolution des idées dans la France contemporaine (H. Skolimowska) . . 301

Str.
Z kaznodziejstwa niemieckiego. J. Jatsch, Das Ewangelium der Wahrheit und die Zweifel der Zeit; Harasser und Pinther, Im Dienste der Himmelskönigin (Ks. A. Ż.) . . 304
Literatura powojenna. E. Prüm, Der Witwenstand der Wahrheit (H. Skolimowska) 305
Propedeutyka teologiczna. M. Grabmann, Einführung in die Summa Theologiae des hl. Thomas von Aquin (Dr. A. Birkenmajer) 393
Z historji sztuki kościelnej. Ks. Feliks Dettloff, Stosunki artystyczne biskupa poznańskiego Urjela z Górki z Norymbergą (Ks. Wł. Żyła); Ks. Wł. Żyła, Katedra ormiańska we Lwowie; Tenże, Kościół OO. Dominikanów w Tarnopolu (Ks. dr. T. Kruszyński) 397
Wychowanie. Ks. Arcybiskup Bilczewski, Charakter (J. U.); St. Dunin-Borkowski S. J., Reifendes Leben (M.) . . 401
Nadesłane do redakcji 60, 152, 227, 307, 402

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła przez Ks. J. Urbana T. J 61, 153, 228, 308, 403
Włoskie stronnictwo Ludowe, przez R. M. 69
Z ruchu naukowo-religijnego w Rzymie, przez Ks. Wł. Lohna T. J. 71
Niebezpieczeństwo idące z Ameryki, przez Ks. R. Moskałę T. J. 75
Prawodawstwo kinowe w Pensylwanji, przez E. M. . . . 158
Demokracja przyszłości, przez R. M. 232
Szkolnictwo katolickie w Anglji, przez Ks. St. P. . . . 235
Posłowi Klemensiewiczowi małe wyjaśnienie, przez Ks. J. U. . 238
Bankructwo różdżki czarodziejskiej, przez Ks. F. Hortyńskiego T. J. 316
Zjazd naukowy warszawski, przez Dr. A. Birkenmajera . 405
Żydowska akcja ratownicza, przez R. M. 410
Ustawa antyalkoholowa w Stanach Zjednoczonych, przez Ks. St. P. 411

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. Jan Urban T. J.*

Druk ukończono 10 maja 1920.